

Wojna pokaże,
kto pozostanie przyzwoity

*Wendyjska
Winnica*

CIERPKE
GRONA

ZOFIA
MAKOSA



Książnica



ZOFIA MAKOSA

*Wendyjska
Winnica*

CIERPKIE
GRONA



WROCLAW 2017

Czasem o zmierzchu, kiedy jestem w domu sama, nawiedza mnie uczucie, że poza mną ktoś jeszcze tu jest. Unoszę głowę nad książki, rozglądam się i nasłuchuję. Wokół panuje niczym niezmacona cisza, ale wrażenie nie mija. Wyglądam zza drzwi na długi korytarz, chodzę po pokojach. Nikogo nie ma. Spoglądam na śpiącego na legowisku psa i uspokajam się, bo przecież on na pewno wyczułby obcego. Niekiedy jednak to nie pomaga. Świadomość bycia obserwowaną jest tak intensywna, że staje się nie do wytrzymania. Wychodzę na ganek, przemierzam ogród i siadam na trawie tyłem do ulicy oparta o sztachety płotu, podciągam nogi pod brodę i mimo wieczornego chłodu czekam, wpatrując się w okna mego domu, aż ten ktoś pozwoli mi wrócić.

Chwalim 1974

Część 1



1

Altreben 1938

W obszernej kuchni na stołeczku siedzi kobieta. Przed nią stoi miska z wodą i wiadro pełne ziemniaków. Lewa ręka szybko obraca szarą bryłkę, a spod małego nożyka sunie w dół długi, wąski pasek obierki. Raz po raz żółta kula z głośnym pluskiem wpada do miski. Proste, czarne brwi są zmarszczone, szare oczy pochmurne, a usta zaciśnięte. Pac, pac, woda rozpryskuje się na posadzkę. Ręka trzymająca nóż wędruje do czoła i niecierpliwie odgarnia pasemka ciemnych włosów, które wysunęły się spod cienkiej bawełnianej chustki. Mimo że pod kuchenną płytą nie ma nawet śladu ognia, czoło kobiety jest mokre od potu, a zakładany z przodu w kopertę i wiązany z tyłu fartuch znaczą ciemne plamy pod pachami. Jedna ze słonych kropel spływa w dół po szyi, leniwie wędruje po opalonym dekolcie i ginie gdzieś między piersiami. Gdyby nie obecność gospodyni, w kuchni panowałby kompletny bezruch. Nawet mucha próbująca uwolnić się od lepu zwisającego z lampy traci nadzieję i godzi się z losem.

Wtem w senny bezwład wdziera się turkot kół po bruku, którym wyłożono część podwórza, a potem słychać kroki na korytarzu. Marta na moment prostuje plecy i wyciąga szyję ku oknu. Dostrzega niewielki drewniany wózek, a po chwili w drzwiach staje niska, krępa, niespełna pięćdziesięcioletnia kobieta. Ściąga z głowy przepoconą chustkę i ciężko siada na krześle. Twarz usiana jasnobrązowymi piegami, gołe, podrapane przez gałązki krzewów ramiona i łydki są zaczerwienione od słońca, krótkie rudawe włosy w nieładzie, a cieniutki medalik na srebrnym łańcuszku przywarł do mokrej skóry nad piersią. Janka, odsapnąwszy, sięga po stojący na stole kompot i łapczywie pije. Dopiero po chwili dociera do niej, że Marta się nie odzywa. – Coś się stało? – pyta z niepokojem.

– Heinz przyniósł depeszę. Teściowa jutro przyjeżdża.

– Walter już wie?

– Skąd! Wróci pod wieczór. Jutro to oczywiście ja będę musiała wyjechać po wielką panią, bo nie mam nic innego do roboty, tylko być na jej rozkazy.

Kolejny kartofel łąduje w misce, ale rzucony z wielką siłą odbija się od innego i wypada na podłogę. Janka wznosi oczy do sufitu, a potem, nie komentując, podnosi ziemniak i wyciera szmatą podłogę. – Daj spokój. Do jutrzejszego popołudnia jest dużo czasu, poradzimy sobie – próbuje uspokoić zdenerwowaną gospodynię.

– Na pewno? Nie wiem, czy mogę na ciebie liczyć.

– Dlaczego tak mówisz? Zawsze ci pomagam.

– Ale właśnie dzisiaj, jak mam tyle zajęć, poszłaś rwać swoje porzeczeki. Jakby nie mogły poczekać – wypomina Marta.

– Tłumaczyłam ci przecież, że już prawie przejrzały. W tym upale mogłyby się zmarnować. Rano nakarmiłam świnię, kury, króliki, Lotte, podlałam w ogrodzie. O co jeszcze ci chodzi?

– Trzeba wreszcie pójść na winnicę.

– To cię gryzie! Kilka dni nie robi różnicy. Pójdziemy we trójkę i zrobimy wszystko od razu. – Janka jakby nie przejmowała się zmartwieniami kuzynki.

W kuchni zapada cisza. Marta wciąż obiera kartofle, tylko teraz jakby wolniej.

– Jak porzeczeki? Zebrałaś już wszystkie? – pyta, chcąc przerwać ciężące obu kobietom milczenie.

– Zostawiłam cztery krzaki dla nas i jeden dla siostrzyczek. Resztę zawiozłam do skupu. No, dość już tego dobrego – dodaje, podnosząc się energicznie. – Pójdę na pastwisko po krowy. A ty przestań obierać kartofle, bo do końca tygodnia ich nie zjemy.

Marta spogląda na górkę wystających z wody ziemniaków, jej brwi wędrują do góry, a twarz przybiera żartobliwy wyraz.

– Będę wciąż nimi karmić Sabine, to może prędzej wyjedzie – odgraża się.

– O, dziedziczka Tila wróciła! – Janka śmieje się na widok szczupłej, niewysokiej panienci z ciemnoblonde warkoczami, która z impetem wpada na ciotkę wychodzącą właśnie na korytarz. Dziewczyna ma na sobie strój organizacyjny BDM^[1] – białą bluzkę, ciemnoniebieską, prawie granatową spódnicę za kolana, czarne półbuty i białe podkolanówki. Kiedy wychodziła na zbiórkę, ubiór był świeży i czysty, teraz bluzka jest pomięta i przybrudzona, czarne buty zakurzone, podkolanówki zaś barwą przypominają ścierkę do podłogi.

– Zmiłuj się, dziewucho! Jak ty wyglądasz! Tarzałaś się w piachu czy co? – Marta znowu wpada w zły nastrój. – Przebierz się i zaraz to wypierz.

– Oj, mam. Przecież wiesz, jaki kurz na drodze, a my dzisiaj z panną Stein

maszerowałyśmy aż do Dorothenau i z powrotem – wyjaśnia zarumieniona dziewczyna. – Jest już obiad? – pyta, ale zauważa jednocześnie ziemniaki i skwaszoną minę matki. – Mogę wziąć kawałek chleba z masłem? Jestem strasznie głodna – prosi.

– Jeszcze nie zapracowałaś na chleb, a tym bardziej na masło, Matyldo. – Pomędzy brwiami Marty pojawiają się pionowe zmarszczki. – Zrób, co kazałam, a potem przyjdź mi pomóc.

Zrezygnowana Tila obraca się na pięcie i po chwili słyhać szybkie kroki na schodach prowadzących do góry. Gospodyni schyla się, bierze miskę pełną ziemniaków i wychodzi na zewnątrz. W progu uderza ją fala rozżarzonego powietrza. Większą część podwórza, tę, na którą nie pada cień domu, zalewa oślepiające słońce. Marta mruży oczy i lustruje obejście. Co prawda przez godzinę nic się nie zmieniło, ale lubi mieć pewność, że wszystko jest jak należy. Krowy przyszły z pastwiska, a przez otwarte drzwi do obory lotem błyskawicy wpadają jaskółki. Zaraz wracają z niewiarygodną prędkością, by znów szybować pod błękitnym niebem. Jeszcze rzut oka na zaczynające się tuż za płotem pole obsiane żytem i Marta kieruje kroki do letniej kuchni. Tam w kuchennym piecu buzuje ogień, a na brzegu płyty stoi brytfanna z pieczonym królikiem. Gospodyni metalowym haczykiem sprawnie odciąga na bok gorące kółka fajerek i stawia garnek z ziemniakami bezpośrednio nad ogniem.

– Co mam robić?

Córka przebrała się w codzienną kretonową sukienkę i czeka przed progiem. Woli nie wchodzić do pomieszczenia, w którym jest parno, brzęczą muchy i czuć nie tylko obiadem, ale i parzonymi dla świń otrębami, pokrzywami i gotowanymi obierkami. Na długim stole z heblowanych desek stoi kilkanaście słoików wypełnionych truskawkowymi konfiturami.

– Przyklej papierowe paski i napisz datę, później wynieś je do piwnicy – zarządza matka.

– Czy potem będę mogła pójść do Rosiny?

– Najpierw trzeba przebrać stare kartofle. Są tylko dla zwierząt, ale nie mogą się zepsuć. Oberwiesz pędy i odrzucisz zgniłe.

– Mamo... Nie lubię być sama piwnicy. Ciocia Janka nie może?

– Dobrze – Marta zgadza się nieoczekiwanie. – Ciocia miała dziś sprzątnąć świniom. Na pewno będzie wolała się zamienić. Tam jest chłodno, czysto i mała kupka ziemniaków do przebrania.

– Nie! To już wolę kartofle!

– Tak przypuszczałam. – Matka uśmiecha się pod nosem.

Jedzą w domu. Kuchnia, której okno wychodzi na północ, wydaje się chłodna i przyjemna w porównaniu z jej letnią wersją. Tila pochłania posiłek w milczeniu, a Marta z Janką planują zajęcia na resztę dnia.

Potem w gospodarstwie pani Neumann następuje wyjątkowa, przez wszystkich wyczekiwana pora – godzina na odpoczynek. Marta jak co dzień idzie do sypialni, siada na krześle przy oknie i otwiera Biblię. W skupieniu czyta Słowo Boże, ale dzisiaj ręce podtrzymujące grubą księgę opadają coraz niżej, oczy kleją się sennie, a głowa sama znajduje drewniane oparcie. Znużona ciężką pracą i upałem kobieta zasypia w niewygodnej pozie. Janka też drzemie w swym małym, dusznym pokoiku na poddaszu. Tyle że ona od razu zdjęła przybrudzony fartuch i w samej halce położyła się na łóżku, wcześniej odgarnawszy pościel. Tila, która zdaniem matki powinna w tym czasie oddawać się religijnym przemyśleniom, rozesała koc w cieniu na trawie i razem z Rosiną leniwie wyciągnięte rozprawiają o czymś, patrząc jednocześnie na zajęte zabawą dwie małe dziewczynki – siostry przyjaciółki.

Jeśli ktoś stanąłby teraz na grzbiecie długiego, niewysokiego wzniesienia, u stóp którego leży Chwalim, od ponad pół roku nazwany przez władze Rzeszy Altreben, i spojrząłby na południe, w dole, między rozłożystymi koronami lip i akacji zobaczyłby czerwone dachy domów, gdzieś podwórka z porządnie ustawionymi sprzętami gospodarskimi i sady pełne dojrzewających owoców, ale na próżno wypatrywałby śladów życia. Nawet dymy z kominów się nie unoszą. Ludzie zjedli posiłek i pozwolili, by ogień wygasł. Przyszedł czas odpoczynku.

Kończy się długi letni dzień. Słońce wisi nad horyzontem i nadal jest bardzo ciepło. Wokół unosi się zapach dojrzewających zbóż, polnych kwiatów i ziół porastających przydrożne rowy. Rozgrzane powietrze drży, unosząc się nad wąską asfaltową szosą wiodącą z Unruhstadt do Chwalimia. Jesiony posadzone w dwóch równych rzędach po obu jej stronach nie dają wiele cienia. Przez cały dzień palące promienie przenikały między liśćmi i opadały świetlistymi plamami na drogę. Teraz każdy centymetr asfaltu ma taką temperaturę, że trudno byłoby postawić na nim gołą stopę.

Jadący rowerem mężczyzna pedałuje z wysiłkiem. Ubiór, który ma na sobie, na pewno nie jest odpowiedni do jazdy w taki upał. Jeszcze tylko kilkaset metrów i będzie w domu. Zrzuci z siebie przepoconą koszulę, przywdzieje lekki codzienny strój i nareszcie odpocznie. Przed pierwszym po lewej stronie szosy budynkiem Chwalimia, restauracją u Rauscha, w cieniu pachnącej miodem lipy stoi kilka rowerów. „Piwo! Jak ja bym się napił piwa!” – myśli, wyobrażając sobie zimny kufel bursztynowego napoju z białą pianką, jednak jedzie dalej.

Wreszcie dociera na miejsce. Schodzi z roweru i otwiera pierwszą furtkę. Nie idzie prosto do zielonego, obrośniętego pędami winorośli ganku dla gości, a prowadzi swój pojazd ku bramce w kolejnym ogrodzeniu. Dom stoi kilkanaście metrów od ulicy i płotu ze sztachet. Na wysokości bocznych ścian ciągnie się drugi płot, a za nim znajduje się podwórze gospodarstwa oraz wejście do budynku dla domowników i znajomych. Walter wprowadza rower pod szeroką wiatę i stawia

obok trzech innych.

Kiedy wchodzi do kuchni, żona nie wita go jak zwykle, nie pyta, jak minął dzień. Bez słowa kładzie na stole otwartą depezę. Po przeczytaniu wiadomości mężczyzna domyśla się, o co chodzi. Marta nie lubi, kiedy jego matka do nich przyjeżdża.

– Będziesz mogła wyjechać jutro na dworzec? – pyta, a słowa ledwo przechodzą mu przez gardło. – Bo ja na pewno nie zdążę – usprawiedliwia się.

– Wyjadę. Umyj się i jedz obiad.

I tyle. Koniec rozmowy. Walter znika w sieni. Po chwili wraca odświeżony i przebrany. Je w zamyśleniu.

– Wiesz, Marto, dzisiaj rano kierownik pochwalił mnie przy wszystkich. Byłem bardzo dumny.

– Tak? – Zdawkowe pytanie nie zachęca do dalszej rozmowy.

– Przestań się złościć. Przecież nie zapraszałem matki. Kiedy byłem u niej w czerwcu, nie wspominała, że chce przyjechać.

– Widocznie nie ma tam komu dokuczać – stwierdza z przekąsem Marta, a potem odkręca kran i woda z hałasem płynie do garnka.

– Nie wiem, czego ty ode mnie oczekujesz. – Mężczyzna podnosi głos. – Mam zerwać kontakty z matką? Odkąd Georg nie żyje, tylko ja jej zostałem. Nie mogę jej zabronić odwiedzin u nas.

– I bez niej mam dość roboty. W niczym mi nie pomagasz. – W głosie Marty brzmi wyrzut.

Sprzeczkę rodziców przerywa pojawienie się Tili.

– Tatusiu, jesteś nareszcie! Stęskniłam się za tobą. – Uśmiecha się do ojca i całuje go w policzek.

Walter czuje, że skóra córki pachnie wodorostami, i zauważa mokre końce warkoczy. – Skąd wracasz? – pyta.

Tila zerka ukradkiem w kierunku matki. – Poszliśmy z Rosiną i jej braćmi wykąpać się w rzece – wyjaśnia, ale widać, że nie ma czystego sumienia.

Marta, zmywająca akurat talerze, obraca się gwałtownie:

– A spytałaś mnie, czy możesz iść nad rzekę?

– Mamo, pozwoliłaś mi pójść do Rosiny. Nie wiedziałam wtedy, że Michael i Tobias zaproponują, żebyśmy poszły z nimi.

– Idąc tam, nie mijałaś przypadkiem naszego domu? Nie mogłaś wstąpić i zapytać? Przecież gdyby coś się stało, nawet nie wiedziałabym, gdzie cię szukać!

– Marto, daj spokój. Bracia Rosiny to rozsądni chłopcy. W dodatku prawie dorośli. Co mogłoby się stać? – wtrąca się Walter, po czym zwraca się do córki: – A ty pamiętaj, nie rób tak więcej. Teraz przeproś mamę.

– Przepraszam – mamrocze dziewczyna bez przekonania. – Dobrze, że przynajmniej tatuś mnie rozumie – dodaje szeptem, chociaż matka właśnie

wychodzi.

Marta siada na schodkach oplecionego winem ganku. Czuje, jak wszystko, co ją dzisiaj dręczyło, staje się mniej ważne, a duszę ogarnia błogi spokój. Patrzy w niebo, którego błękit zmienia się w coraz głębszą szarość, upaja się słodkim zapachem lipy i wsłuchuje w dźwięki niosące się od strony rzeki – rechotanie żab i bez troski śmiech młodych ludzi. Ból w zmęczonych plecach pomалу ustępuje, a chłodny wietrzyk studzi znużone upałem ciało. Gdyby tylko mogła, zatrzymałaby w miejscu czas i trwała tak zanurzona w lipcowej nocy. Chciałaby jeszcze poczekać na moment, kiedy zza kępy drzew wychyli się księżyc. Już dostrzega zapowiedź tej chwili – złote błyski pojawiające się między listowiem, ale słyszy kroki męża idącego po schodach do góry. „Na mnie też już czas. Muszę wstać o świcie” – myśli. Odpoczywa jeszcze przez chwilę, a potem podnosi się niechętnie i idzie do sypialni.

Nie zgasił światła. Czeka i spogląda spod półprzymkniętych powiek. Już nie widzi na twarzy żony tego zaciętego uporu, co przed godziną. Zza parawanu dochodzi plusk wody nalewanej do miski, a potem odgłosy mycia. Marta wychodzi przebrana w nocną koszulę, tę, w której najbardziej mu się podoba. Różowy materiał delikatnie otula szczupłe ciało, podkreślając linię bioder i kształt piersi. Walter patrzy, jak staje przed lustrem i wyjmuje spinki podtrzymujące węzeł ze zwiniętego warkocza. Obserwuje, jak warkocz rozwija się i zsuwa po plecach, aż dosięga pasa. Wtedy ona przerzuca go przez ramię, kładzie na piersiach i wolno rozplata włosy. Kiedy falujące pasma są już rozdzielone, sięga po szczotkę. Zaczyna od dołu, potem przesuwając szczotkę coraz wyżej i wyżej. Gdy ma pewność, że każdy włos jest osobno, rozpoczyna rozczesywanie od początku, ale tym razem od góry. Pochyla głowę, wygina delikatnie szyję to w przód, to w tył, jakby była w transie. Później na moment zastyga przed lustrem w bezruchu i okryta ciemnym falującym płaszczem patrzy. Po chwili zgarnia dłońmi włosy, dzieli na pasma i znowu splata je w luźny warkocz. Celebra się kończy. Marta gasi światło, odmawia pacierz i kładzie się do łóżka.

Walter wyciąga rękę i dotyka ramienia odwróconej plecami żony. Jej pachnące mydłem ciało jest chłodne i wilgotne. Dłoń mężczyzny wędruje ku talii i znowu wyżej, na biodro. Czuje drgnięcie, które wzmagają jego pragnienie. Przesuwając rękę po gładkiej tkaninie koszuli, dociera do jej brzegu, wsuwa pod koszulę i rozpoczyna wędrówkę po nagim pośladku. Próbuje wcisnąć palce między uda, najpierw delikatnie, potem bardziej zdecydowanie, ale czując, że Marta sztywnieje i napręża mięśnie, przesuwając dłoń ku piersiom i kusi delikatną pieszczotą. Na próżno. Mimo to nie rezygnuje, staje się natarczywy. Kiedy próbuje przewrócić żonę na plecy, ta zniecierpliwiona szarpie się i zrywa z łóżka, chwytając leżący na krześle koc i bez słowa wychodzi z sypialni.

Walter zostaje w łóżku sam. Zaskoczony i upokorzony, nie rozumie,

o co chodzi. O przyjazd matki? A może...

2

Marta leży na tapczanie w pokoju na dole. Serce bije już spokojniej, ale sen nie przychodzi. „Dlaczego taki jest? Nie może zrozumieć, że opadam z sił? Zawsze pierwsza jestem na nogach. On może poleżeć dłużej. W pracy też się nie przemęcza. Bo co to za praca przy biurku. I jeszcze ten przyjazd teściowej! Wyciągnął po mnie rękę jak po swoją własność. Nawet nie powiedział niczego miłego”. – Żal nie pozwala zasnąć, kobieta długo przewraca się z boku na bok, ale zmęczenie w końcu bierze górę i skleja powieki.

Jest bardzo wcześnie. Na dworze dopiero świta, a Marta już otwiera szeroko okna w pokojach i drzwi na podwórko. Niech dom się wietrzy, zanim przyjdzie upał. Potem wszystko zostanie znów zamknięte aż do wieczora. Dzięki temu wewnątrz będzie można jakoś wytrzymać.

Siedzą z Janką przy kuchennym stole i piją mleko z fajansowych kubków. Kuzynka zauważa podpuchnięte oczy Marty. Zorientowała się też, że nie nocowała dzisiaj w sypialni na górze.

– Co się dzieje? Pokłóciłaś się z Walterem? – Nie słysząc żadnej odpowiedzi, mówi dalej: – Nie przejmuj się teściową. Przyjedzie i pojedzie. Zawsze tak było. Jak ci będzie gadać, to z nią nie siedź. Ja mogę zostać w domu, a ty idź w pole.

– Nie trzeba. Ruszajmy do pracy, bo z niczym później nie zdążymy – ucina Marta. Potem, usiłując skierować rozmowę na inne tory, pyta: – Ciekawe, czy Willi dzisiaj przyjdzie?

– Chyba nie. Wczoraj, jak wracałam z chlebem, zaszłam do niego. Ledwie podniósł się z łóżka, tak bolała go głowa. Kiedy ma ataki, nie może wychodzić na słońce. Jego siostra mówiła, że jak mu się nie poprawi, wezwie doktora Pupkego.

– No tak. Mamy pracownika, a musimy radzić sobie same. Idę doić krowy. Obudź Tilę. Niech narwie malin, a potem wygoni krowy na pastwisko. Kiedy wróci, to zaprzęgnie konia i pomoże ci załadować wóz. Jeśli chce, może jechać z tobą.

W oborze Marta bierze widły i odrzuca krowie placki do kąta, potem podściela zwierzętom trochę świeżej słomy i zadaje siana – niewiele, tyle tylko, by krowy podczas dojenia stały spokojnie, zajmując się jedzeniem. Słyszy kwik świń karmionych przez Jankę w sąsiednim pomieszczeniu, potem gdakanie kur ścigających się do kupki zboża rzuconego na zamiecioną ziemię, a jeszcze później odgłos ręcznej pompy i szum wody wpadającej do metalowego koryta, wreszcie rzenie wyprowadzanej ze stajni kłaczy Lotte. Jaskółki śmigają jej nad głową, krzyżąc wniebogłosy na dwa bure koty cierpliwie czekające na progu obory

na należną im porcję mleka. Podwórze jak co rano tętni życiem. Marta, dotykając czołem ciepłego i pachnącego przeżutą karmą boku krowy, powoli się uspokaja. Małżeńskie nieporozumienia nie są już takie ważne, kiedy tu wszystko jest na swoim miejscu.

Promienie wschodzącego słońca wpadające przez otwarte drzwi przesłania czyjaś sylwetka. Do obory zagląda Tila.

– Już kończę! Możesz wyganiać!

Dziewczyna odpina od żłobów łańcuchy przytrzymujące trzy krowy, a one już same znajdują wyjście na podwórze i kołyszącym, niespiesznym krokiem zmierzają do koryta przy pompie. Piją długo, jakby delectowały się smakiem chłodnej wody, raz po raz leniwie machają ogonami, oganiając się od natrętnych much. Zniecierpliwiona Tila przerywa zwierzętom i przez otwartą bramę gna je na pastwisko.

– Tylko wróć szybko, jeśli chcesz jechać z ciocią Janką!

– Dobrze, mamó.

W letniej kuchni Marta scedza mleko do dwóch metalowych kan, potem wynosi je i stawia na wysokiej ławeczce w pobliżu szosy. Niedługo powinien podjechać wozem mleczarz, Otto Böse, który dostarcza mleko od chwalimskich krów do mleczarni w miasteczku. Część wieczornego udoju gospodyni przekręciła w centryfudze, oddzielając śmietanę. Resztę wstawiła do ukwaszenia, żeby zrobić twaróg.

Kiedy Tila z Janką ładują na wóz skrzynki z młodą kapustą i innymi warzywami, wiaderko malin, a także porzeczeki, które Janka zamierza podarować zakonnicom w miasteczku, Marta przygotowuje słodką i kwaśną śmietanę, masło i sery. Wszystko starannie opakowane wkłada do wiklinowych koszy. Ma w Unruhstadt stałe klientki, rzadko więc się zdarza, by czegoś nie udało się sprzedać.

W domu panuje przyjemny chłód, toteż nie rozpala ognia pod kuchenną płytą. Bierze metalowy czajnik z wodą, kawę zbożową i kieruje się do letniej kuchni, gdzie w piecu tli się żar rozniecony wczesnym rankiem przez Jankę. Parzy kawę, gotuje mleko i robi zacierki. Potem wraca do domu, żeby przygotować drugie śniadanie dla Waltera. Kroci cztery grube skiby chleba, obficie smaruje masłem i przekłada kilkoma plasterkami wędzonej szynki. Zawija chleb w papier i kładzie na stole. Słyszy kroki męża na górze, idzie więc po kawę i garnek z mleczną zupą. Nalewa ją do talerzy, układa w koszyczku pokrojony chleb, obok stawia w spodeczkach masło, konfitury i miód, słodką śmietankę i kawę w kubkach.

Walter schodzi na dół ubrany i ogolony. Mimo łysiny, wyraźnie przeświecającej pośród czarnych, gładko zaczesanych włosów i lekko zaokrąglonych pleców, nadal jest przystojnym mężczyzną. Jego rówieśnicy ze wsi

rzadko mogą mu dorównać wyglądem. Na ogół, zniszczeni ciężką fizyczną pracą w gospodarstwie albo na budowach Berlina, robią wrażenie znacznie starszych niż w rzeczywistości.

Po modlitwie małżonkowie niemal równocześnie sięgają po łyżki. Jedzą w milczeniu. Żadne nie ma ochoty na rozmowę, ale takie tkwienie bez słowa naprzeciwko siebie odbiera apetyt i staje się trudne do zniesienia.

– Tila jeszcze śpi? – przerywa ciszę Walter.

– Nie. Pojechała z Janką.

– Jadła coś?

– Wiesz, jaka jest. Rano nigdy nie ma na nic ochoty. Napiała się mleka.

Wróci, to się naję.

Znowu zapada cisza.

– To wyjedziesz dziś po matkę? – pyta Walter, dopijając kawę.

– Mówiłam, że tak. Nie musisz się martwić.

– Na pewno ma jakiś kłopot, inaczej nie ruszyłaby się z Berlina w takie upały. Nie bądź dla niej niemila – prosi mężczyzna.

– Nie będę.

– Postaram się wrócić dzisiaj wcześniej.

– Nie wiedziałam, że to możliwe.

– Więc o to ci chodzi? – Walter wyraźnie zaczyna tracić cierpliwość. –

Wiesz, jaką mam pracę. Do tego obowiązki w partii. Nie mogę wracać do domu i wkładać kapci, kiedy w Niemczech tyle się dzieje.

– Nie musisz wkładać kapci. Możesz mi czasem pomóc. Stale jestem sama. Wszystko na mojej głowie. Namówiłeś mnie, żebym wzięła do pracy Williego. I co z tego mam? Wciąż jest chory. Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby nie Janka. A ciebie nigdy nie ma – użala się Marta.

– Nie narzekaj! Ile razy prosiłem, żebyśmy sprzedali to twoje gospodarstwo i przeprowadzili się do Berlina. Ale ty wolisz robić mi wyrzuty, zamiast posłuchać.

– Nie zostawię ojcowizny! Przyrzekłam to rodzicom, żeby dali mi zgodę na ślub z tobą. Nie pamiętasz?

– Oni dawno nie żyją. Przysięga się nie liczy.

– Dla mnie tak. Poza tym nie lubię wielkiego miasta. Co ja bym tam robiła? Ale chyba jest jakieś rozwiązanie – głos Marty łagodnieje. – W nocy przyszło mi do głowy...

– W nocy? Muszę już jechać. Ta rozmowa i tak nie ma sensu.

Mężczyzna zabiera drugie śniadanie i wychodzi bez pożegnania. Ona obserwuje go przez okno, jak przypina skórzaną teczkę do ramy roweru, spina nogawkę spodni, by nie wkręciła się w łańcuch, i wsiada na rower. Dopiero kiedy znika z pola widzenia, rozgoryczona, pozwala płynąć łzom.

Zaraz jednak bierze się w garść. Czeka ją dużo pracy, a ani Janki, ani Tili nie

ma do pomocy. Idzie najpierw do ogrodu warzywnego, spulchnia ziemię między rządkami pietruszki i marchwi, wrywa nieliczne chwasty i podlewa rośliny, by nie zmarniały w upale. Potem kieruje się w stronę wybiegu dla kurcząt. Tam, nie bacząc na krzyki wystraszonego drobiu, łapie młode koguciki i waży je w rękach. Wreszcie wybiera najcięższego i trzymając go za skrzydła, niesie w stronę drewni, gdzie czeka siekiera wbita w okrwawiony pień. Śmiertelnie przerażony ptak daremnie usiłuje wyrwać się z jej rąk. Jeden zdecydowany ruch i wkrótce z bezgłowej szyi chlusta ciemnoczerwony strumień, plamięc leżące wokół wióry i brunatne kawałki kory. Gospodyni wrzuca drgające jeszcze zwłoki do starego wiadra i oblewa wrzątkiem. Siedząc na zydelku, najpierw oskubuje z piór, potem patroszy, na koniec płucze i wkłada do zimnej wody. Głową kogucika zajęły się koty, a zawartość wiadra zostaje wrzucona do wykopanego wcześniej pod płotem ogrodu dołu. Marta myje dokładnie ręce i wkłada czysty fartuch. Teraz czas na porządki. W domu nie ma bałaganu, ale na wszelki wypadek, w obawie przed krytyką teściowej, uważnie zagląda we wszystkie kąty, szuka pajęczyn, ściera kurze i myje podłogi. Ponieważ Tili wciąż nie ma, sama idzie na pastwisko po krowy, bo przecież nie może pozwolić, by stały bez wody w palącym słońcu. Akurat wpędza zwierzęta do obory, kiedy na podwórze wjeżdża wóz. Tila szybko zeskakuje na ziemię, a za nią niezdarnie, z uwagą patrząc w dół, schodzi z wozu korpulentna Janka. Kiedy dziewczyna wyprzęga spoconą Lotte, kobiety zabierają do mycia kanki i słoje.

Po obiedzie Marta jak zwykle idzie do sypialni. Mimo panującego na zewnątrz upału lekko uchyla okno i siada na krześle. Przez moment po prostu nic nie robi. Przymyka oczy, wsłuchuje się w brzęczenie pszczoł i pozwala utrudzonemu ciału odpocząć. Potem sięga po Biblię. Ręce spoczywają na okładkach, a oczy wpatrują się w okno, szukając Bożej myśli w błękitnym niebie, miodnych kwiatach i pracowitości małych owadów. Gniew już minął, a ją nachodzi refleksja, że nie była dzisiaj sprawiedliwa, oskarżając męża o brak pomocy. Przecież nigdy nie ukrywał, że nie lubi pracy w gospodarstwie. Nie jest leniwy, po prostu inaczej zarabia na życie. Czuje ciężar w duszy i w Świętej Księdze chce znaleźć odpowiedź na swoje wątpliwości. Otwierając Biblię na Liście św. Pawła do Efezjan, z góry wie, jakiej rady szuka. *Żony, bądźcie uległe mężom swoim jak Panu, bo mąż jest głową żony, jak Chrystus Głową Kościoła, ciała, którego jest Zbawicielem. Ale jak Kościół podlega Chrystusowi, tak i żony mężom swoim we wszystkim*^[2]. „Ja jestem głową tej rodziny, Panie. Ja staram się o to, by miała co jeść. Nie mój mąż. Jeśli byłabym uległa, kto strzegłby mojej ziemi? Kto kładłby kwiaty na grobach przodków, kiedy ja tkwiłabym w czterech ścianach berlińskiego mieszkania?” Jednak wkrótce głowa chyli się z pokorą i po próbie buntu nie ma już śladu. Siedzi jeszcze chwilę zadumana, potem zamyka Biblię i odkłada na stolik. Po wyjściu z sypialni zagląda do pokoju Tili, ale dziewczyny

jak zwykle tam nie ma. Wzdycha ciężko. „Pewnie jest u Rosiny. Muszę z nią porozmawiać – obiecuje sobie. – Nie może tak wychodzić bez pytania. Poza tym ma swoje obowiązki”.

Na dole Janka dawno posprzątała po obiedzie. Nawet pomyje wyniosła świniom. Marta, idąc do ustępu, słyszy dobiegający z chlewa głośny kwik. To znaczy, że zwierzęta akurat dostają karmę do koryt. Otwiera drzwi i wchodzi do środka. Drewniane wnętrze wychodka pachnie mydlinami, a deski są jeszcze mokre i jasne od szorowania ryżową szczotką.

„Kochana Janka! Co ja bym bez niej zrobiła”.

*

O czwartej po południu Marta wyprowadza ze stajni klacz i zaprzęga do bryczki. Pojazd jest stary i niewygodny. Pamięta czasy, kiedy prowadzący gospodę dziadkowie przywozili ze stacji kolejowej turystów zwiedzających winnice w tej części prowincji lub zawozili ich na pikniki nad Schwentesee^[3]. „Muszę powiedzieć Williemu, żeby po niedzieli odstawił bryczkę do Waltera Kliema. Niech ją trochę odszykuje i zajrzy do kół” – myśli, przyglądając się z niesmakiem wiekowemu wehikułowi. Wchodzi do domu, by się odświeżyć i przebrać, potem siada na koźle, szarpie lejcami, by zmusić rozleniwionego upałem konia do wysiłku, i rusza do miasteczka. Mogłaby jechać na chwalimski przystanek kolejowy, ale teściowa nie lubi wysiadać na położonej pośród łąk wiejskiej stacyjce. Woli bardziej *cywilizowaną* okolicę. Marcie to akurat nie przeszkadza. W tę czy tamtą stronę – odległość jest przecież taka sama.

Jak zwykle zjawia się zbyt wcześnie. Pociągu z Züllichau jeszcze nie ma. Przywiązuje Lotte do słupka przed dworcem i idzie na peron, by tam w cieniu lip zaczekać na przyjazd teściowej. Lekkie podmuchy wiatru przynoszą znad miasta słodki obłok czekoladowo-malinowego zapachu. Marta lekko przechyla głowę do tyłu, mruży oczy i zachłannie wciąga w nozdrza apetyczny aromat. Ktoś, kto patrzyłby na nią z pewnej odległości, mógłby pomyśleć, że to młoda dziewczyna. Mimo niemal czterdziestu lat zachowała szczupłą sylwetkę. Głowę chroni przed słońcem skromny kapelusik, poniżej którego widać gruby węzeł ciemnych włosów. Lekka ciemnoniebieska sukienka w drobne białe groszki i letnie buciki na obcasie sprawiają, że robi raczej wrażenie mieszczerki niż wiejskiej gospodyni. Z bliska widać, że twarz ma opaloną od częstego przebywania na słońcu, pełne, nieco zbyt szerokie usta i szare, bystre oczy obramowane gęstymi czarnymi rzęsami. Kiedy uśmiecha się do kogoś, kto uklonił się jej na peronie, odsłania równe białe zęby.

W oddali, tam gdzie mocno świeci zmierzające ku zachodowi słońce, pojawia się lokomotywa mozolnie ciągnąca kilka wagonów. Po chwili wjeżdża na peron i zatrzymuje się z chrzęstem i piskiem, owinięta obłokiem pachnącej metalicznie pary. Marta próbuje dojrzeć Sabinę, co wcale nie jest łatwe. Odkąd ustalono przebieg granicy między Polską a Niemcami, Unruhstadt to końcowa

stacja. Wsiadają wszyscy pasażerowie, nawet ci, którzy planują nieco dalszą podróż. Parowóz zaraz zostanie odczepiony i wjedzie na kolejową bocznice. Dołączony do wagonów z przeciwnej strony, pociąg je znowu w stronę Züllichau.

Sabina Neumann staje w otwartych drzwiach drugiego wagonu za lokomotywą. Wsiada jako ostatnia i zatrzymuje się na dolnym schodku, wypatrując znajomej twarzy. Marta już widzi teściową. Szybkim krokiem podchodzi i wyciąga rękę, by pomóc starszej pani bezpiecznie zejść na peron. W drugą chwyta niewielką, skórzaną walizkę. Wysoka, postawna kobieta w ciemnej, eleganckiej garsonce i kapeluszu starannie dobranym do ubioru ostrożnie staje na peronie. Witają się dość oficjalnie. Marta zauważa, że matka Waltera wygląda gorzej, niż można było się spodziewać. Proponuje, żeby czegoś się napiły. Wchodzą do budynku stacji. Wewnątrz na lewo znajduje się kasa biletowa, a na prawo restauracja Mespigo. Marta pomaga teściowej usiąść przy stoliku, a sama podchodzi do lady i zamawia dwie szklanki zimnej lemoniady. Z portretu zawieszzonego naprzeciwko drzwi na nielicznych gości spogląda wódz niemieckiego narodu Adolf Hitler, a one siedzą, sącząc wolno zimny napój, i próbują rozmawiać, ale kłótnia dwojga dzieci stojących przy automacie sprzedającym cukierki zagłusza ich słowa. Wreszcie zjawia się matka chłopców – młoda blondynka z modnie ułożoną krótką fryzurą i zbyt mocno, zdaniem Marty, umalowanymi ustami, i zdecydowanie kończy spór, każąc dzieciom wyjść na zewnątrz bez cukierków. One też zbierają się do wyjścia.

Na dworze wciąż jest gorąco. Na szczęście klacz stoi w cieniu wysokiej wieży ciśnień, gdzie nie sięgają palące promienie. Sabina zajmuje tylne siedzenie, a Marta wspina się na kozioł. Bryczka ciągnięta przez znużone i spragnione zwierzę wolno rusza w drogę powrotną. Z początku jadą Invalidenstraße^[4], mijają po lewej stronie katolicki cmentarz i po chwili są już na szosie prowadzącej z Unruhstadt do Chwalimia. Zmierzają wprost na zachód, więc przez kilka minut znajdujące się dość nisko słońce świeci im bezlitośnie w twarz. Na szczęście droga łącząca miejscowości jest z obu stron obsadzona drzewami, których cień daje oczom trochę wytchnienia.

Na podwórku Janka z Tilą wyglądają ich przyjazdu. Dziewczyna całuje babkę w policzki, zdejmuje z bryczki walizkę i niesie do gościnnego pokoju. Sabina przez chwilę rozkoszuje się panującym w korytarzu chłodem, a potem wchodzi za synową do przeznaczonego dla niej pokoju.

– Rozpakuj się i odśwież. Tu są ręczniki i woda. – Marta wskazuje na białą fajansową misę z granatowym wzorem i pasujący do kompletu dzban. – Zaraz przygotuję coś do jedzenia.

– Nie. Dziękuję ci. Nie chce mi się jeść. Poczekam na Waltera. Chyba będzie niedługo? – pyta z nadzieją starsza z kobiet.

– Nie wiem. Ostatnio wraca coraz później. Ale rano powiedział, że dziś postara się być wcześniej – pociesza teściową, widząc wyraźny zawód na jej twarzy.

– To dobrze. Muszę z nim porozmawiać. Specjalnie po to przyjechałam. To bardzo ważna sprawa.

„No tak. Do mnie prawie się nie odzywa. Ma ważną sprawę do Waltera, a ja, jego żona, jak zwykle się nie liczę. Mnie nawet nie powie, o co chodzi” – myśli Marta.

Teściowa chyba zauważyła irytację synowej, bo szybko dodaje:

– To znaczy... chcę porozmawiać z wami, ale to takie przykre dla mnie, że nie mam siły powtarzać tego dwa razy.

– Dobrze. – Marta nagle łagodnieje. – Poczekamy na Waltera, a tymczasem odpocznij.

Zbliża się pora dojenia, szybko więc idzie na górę, żeby się przebrać. Prędko ściąga sukienkę, wkłada fartuch, wiąże chustkę na głowie i wraca do kuchni.

– Nie wychodź nigdzie – nakazuje Tili. – Jesteś potrzebna w domu. Pomożesz cioci Jance przygotować kolację. W spiżarni jest pieczony kurczak. Przynieś go i podziel na porcje. Nakryjcie w pokoju. Weź zastawę dla gości.

Marta siedzi na stołeczku, trzymając między nogami wiadro, ręce zaciśnięte na dójkach poruszają się szybko i rytmicznie. Myśli o teściowej. Kiedy tylko zobaczyła ją na stacji, zauważyła, że musiało się coś wydarzyć. Była pochylona, zrezygnowana, jakaś zapadnięta do środka. Zmieniła się już dwa lata temu, kiedy umarł brat Waltera, Georg, ale odkąd widziała ją na Boże Narodzenie, postarzała się o kilka lat. „Może jest chora i chce nam o tym powiedzieć? To niewykluczone, ma swoje lata”. – Marta czuje, że dotychczasowe pretensje i żale schodzą na dalszy plan. Myśli o teściowej ze współczuciem i niepokojem, tym bardziej że nie usłyszała dziś żadnej kąśliwej uwagi.

Właśnie kończy cedzić mleko, kiedy zjawia się Walter. Widzi żonę przez otwarte drzwi letniej kuchni i najpierw do niej kieruje kroki.

– Przyjechała?

– Tak, odpoczywa i czeka na nas. Ma jakąś ważną sprawę. Chyba się martwi. Idź do niej – radzi mężowi. – Ja też przyjdę za chwilę, tylko tu skończę.

3

Sabina Neumann skuliła się w kącie wagonu i próbuje spać. Siedzi tyłem do kierunku jazdy, żeby zachodzące słońce nie świeciło jej w twarz. Raz po raz otwiera podkrążone bladoniebieskie oczy i spogląda na przesuający się za oknem krajobraz. Łany dojrzewających zbóż przetykane bławatkami i makami, krowy na łąkach, srebrzyste wstęgi rzek, zadbane, pełne kwiatów wiejskie stacyjki – wszystko, czym zawsze się zachwycała, teraz nie ma dla niej żadnego znaczenia.

Opuszcza zmęczone powieki, żeby siedzący w przedziale pasażerowie nawet przypadkiem nie dostrzegli w nich bólu i niczego się nie domyślili.

Kiedy okazało się, że jej starszy syn Georg ma raka, Sabina sądziła, że już nic gorszego jej nie spotka. Minęły dwa lata, od kiedy ciało jej chłopca spoczęło na cmentarzu, i choć najchętniej poszłaby za nim do grobu, rozumiała, że musi żyć dla wnuków i owdowiałej Ewy.

W 1936 roku Berlin był miastem szczęśliwych Niemców. Dzięki Hitlerowi czuli, że znowu wieje dla nich pomyślny wiatr. Skończył się kryzys, kto tylko chciał, miał pracę. Berlińczycy żyli zbliżającą się olimpiadą. W oczekiwaniu wielkich sportowych wydarzeń każdą wolną chwilę spędzali w parkach i kawiarniach pod gołym niebem. Tańczyli, słuchali muzyki i patrzyli na swe miasto, które piękniało z każdym dniem. Świeciło słońce, łopotały czerwone flagi ze swastyką, niegdyś symbolem pomyślności i cnót, obecnie wyższości niemieckiego narodu nad innymi rasami. Jeździły tramwaje, a Sprewą przepływały statki pełne turystów.

Sabina codziennie chodziła z wnukami do ogrodu zoologicznego. Przechodząc ulicami lub siedząc w zoo na ławeczce, widziała radosnych ludzi, oddających się zabawie w niczym niezmaconym poczuciu bezpieczeństwa. Jakże im zazdrościła, bo ani jej mali wnukowie Arnold i Christian, ani synowa Ewa nie mogli podzielać ich szczęścia. Byli napiętnowani żydowskim pochodzeniem. Na szczęście jeszcze nikt się tego nie domyślał. Ewa, urodzona w zamożnej ateistycznej żydowskiej rodzinie Adlerów, przed ślubem przyjęła chrzest w kościele ewangelickim w rodzinnym Hamburgu. Pracowała tam jako nauczycielka, ale po przeprowadzce z mężem do Berlina i urodzeniu synów nie wróciła do zawodu. Oficerska gaża Georga i jej osobisty majątek pozwalały na dostatnie, wygodne życie. Ewa pięknie śpiewała i grała na fortepianie, organizowała przyjęcia, chodzili z mężem na koncerty, spektakle i wystawy. Wraz z chorobą Georga i pogłębiającymi się nastrojami antysemitycznymi beztroski świat Ewy się zawalił. Dopóki głowę miała zajętą czym innym, nie zwracała szczególnej uwagi na wejście w życie ustaw norymberskich szykanujących Żydów w praktycznie każdej dziedzinie. Dopiero po śmierci męża dotarła do niej tragiczna rzeczywistość. Wiedziała, że przyszłość jej i dzieci będzie zagrożona, jeśli ktokolwiek pozna ich pochodzenie. Była wdzięczna losowi za przynależność do Kościoła ewangelickiego i blond włosy synów. Ale strażnicy czystości rasowej byli czujni. Pracowicie tropili nie-Aryjczyków. Wytropili też Ewę. Prawdopodobnie wtedy, gdy pojechała pożegnać się z rodzicami. Pewnego dnia Adlerowie zrozumieli, że już nie ma na co czekać i najwyższy czas uciekać z Niemiec. Za ogromną sumę kupili sobie pozwolenie na opuszczenie kraju, a ich starszy syn, ożeniony z amerykańską Żydówką, z wielkim trudem załatwił zgodę na ich wjazd na terytorium Stanów Zjednoczonych. Jakieś czujne oczy uważnie

musiały obserwować każdego, kto zęgnął pasażerów wypływającego do Ameryki statku. Ktoś dokładnie sprawdził, kim są młoda kobieta w żałobie i dwaj jasnowłosi chłopcy. Kilka dni później do drzwi ich berlińskiego mieszkania zapukał mężczyzna w długim płaszczu. Poinformował, że wie, ale za odpowiednią kwotę gotów jest o wszystkim zapomnieć. Przeżrana Ewa uległa szantażowi i przez kilka miesięcy regularnie płaciła za milczenie. Wreszcie zrozumiała, że kiedy zabraknie jej pieniędzy, mężczyzna ich wyda bez jakichkolwiek skrupułów. Dlatego w końcu poszła do urzędu i *przyznała się*. Od razu też wystąpiła o pozwolenie na opuszczenie kraju wraz z dziećmi.

Sabina otwiera gwałtownie oczy potrącona przez ruchliwego chłopca. Młode małżeństwo z dwojgiem dzieci wsiadło do berlińskiego pociągu w Neu Bentschen. Mężczyzna w letnim garniturze w klapie marynarki ma wpiętą odznakę ze swastyką. Jasnowłosa kobieta w widocznej ciąży wygląda na zmęczoną podróżą. Spuchnięte stopy ledwo mieszczą się w letnich pantofelkach. Z rozmowy wynika, że wracają z odwiedzin u rodziców na wsi. Ich bagaż stanowi całe mnóstwo toreb i torebek, a w przedziale smakowicie pachnie wędzoną wiejską kiełbasą. Chłopiec czuje się pokrzywdzony, bo młodsza siostra usadowiła się przy oknie, a ponieważ Sabina siedzi naprzeciwko, dla niego zostały tylko *gorsze* miejsca. Ojciec bierze syna na kolana i przez kilkanaście minut zajmuje jego uwagę nauką wierszyka. Monotonnie powtarzane wersy *Kiedy wreszcie urosnę i będę już duży, Führerowi jako żołnierz będę służył*^[51] wkrótce nudzą nadmiernie żwawe dziecko. Rodzeństwo na przemian pije i wychodzi do toalety. Kiedy wracają, chłopczyk szybko siada przy oknie. Dziewczynka reaguje na to spazmatycznym płaczem. Ojciec rodziny wygląda na zdenerwowanego, próbuje uciszyć i pogodzić dzieci, ale chyba są bardzo rozpieszczone, bo nie słuchają jego upomnień. Matka ciężko wzdycha i wciska każdemu po czekoladowym cukierku. Już po chwili maluchy są niemiłosiernie umorusane na wpół rozpuszczonymi z gorąca słodyczami. Sabina poddaje się, kiedy na kolejnej stacji dzieci, deptając jej po nogach, rzucają się do okna, by zobaczyć czerwone flagi z takim samym znakiem, jak ma tata, a przy okazji któreś zostawia na jej spódnicy czekoladowy ślad małych palców. Wstaje i sięga po walizeczkę, ale młody tatuś jest szybszy. Zdejmuje bagaż z półki i proponuje, że pomoże przy wysiadaniu.

– Jest pan bardzo uprzejmy. Dziękuję. Nie wysiadam – informuje Sabina zmęczonym głosem. – Pomyślałam tylko, że będą państwo mieli więcej miejsca, gdy zmienię przedział.

Młodzi małżonkowie rumienią się ze wstydu, ale dzieci, tym razem wyjątkowo zgodne, wydają radosny okrzyk. Z ulgą zamyka za sobą drzwi i rusza wąskim korytarzem w poszukiwaniu spokoju. Na końcu wagonu spotyka konduktora, który radzi jej, by dołączyła do dwóch starszych pań w odległym przedziale.

– Nie. Na pewno będą chciały ze mną rozmawiać, a ja nie mam na to ochoty. Może znajdzie się jakieś inne miejsce?

– Jest prawie pusty przedział, w którym jedzie młoda dziewczyna. Ale nie wiem, czy pani to odpowiada – waha się konduktor.

– Jak najbardziej. O czym mogłyby rozmawiać dwie obce kobiety w tak różnym wieku? Proszę mnie tam zaprowadzić.

Znalazłszy upragniony spokój, Sabina rozpamiętuje wczorajszy wieczór. Przyjechała do Waltera i Marty prosić o ratunek. Po kolacji, kiedy Matylda i Janka poszły spać, wyjawiała synowi i jego żonie cel swej podróży.

– Wiecie, oczywiście, że Ewa jest Żydówką – zaczęła. Przypomina sobie teraz reakcję ich obojga. Na pewno nie takich słów się spodziewali, dlatego nie potrafili ukryć wrażenia, jakie na nich wywarły. Marta najpierw rzuciła Walterowi spłoszone spojrzenie, a potem zerwała się z krzesła i zaczęła bez sensu przestawiać garnki na płycie. Twarz syna zamieniła się w obojętną maskę.

– Ewa znalazła się w bardzo trudnym położeniu – mówiła dalej, mimo że miała wrażenie, iż oni najchętniej zatkaliby uszy. – Odebrano jej obywatelstwo, paszport, nie ma praktycznie żadnych praw.

Zamilkła, wpatrzona w ciemność za oknem.

– Synów Georga – ciągnęła z trudem – zasłużonego oficera armii niemieckiej, nazwano *mieszkańcami*^[6]. Arnold zamknął się w sobie. Nie chce chodzić do szkoły. Zmuszam go, ale nie wiem, czy dobrze robię, bo on i Christian są poniżani przez kolegów, a nauczyciele udają, że tego nie widzą. Nie wolno im uczestniczyć w żadnych zajęciach sportowych. Stracili przyjaciół. A Arnold tak marzył o wstąpieniu do Jungvolku. Wprost nie mógł się doczekać, kiedy skończy dziesięć lat. – Przerwała. Z napięciem wpatrywała się w twarze syna i synowej, ale oni unikali jej wzroku. – Sieroty po Georgu i biedna, kochana Ewa nie mogą tak żyć – dokończyła.

Pamięta ciszę, jaka zapadła. Siedziała zgarbiona przy stole, nawet nie wycierała łez, które jedna za drugą spływały jej po twarzy.

– To znaczy... co mamy zrobić? Czego od nas chcesz? – odezwał się wreszcie Walter. Mówił spokojnie, zbyt spokojnie na to, żeby wzbudzić w niej jakkolwiek nadzieję.

– Przyjechałam was zapytać, czy moglibyście przygarnąć Ewę z chłopcami. Na jakiś czas – błagała. – Dopóki nie dostaną pozwolenia na wyjazd z Niemiec.

Wtedy Walter, który nigdy dotąd nie podniósł głosu na matkę, zerwał się z krzesła i krzyknął: – Matko, jak możesz stawiać nas w takiej sytuacji! Co ty sobie wyobrażasz? Wydaje ci się, że nagle zjawi się tu moja bratowa z dwoma synami, którzy powinni chodzić do szkoły, ale nie chodzą, a ludzie się tym nie zainteresują?

– Przecież to wieś. Tutaj ludzie trochę ich znają. Przyjeżdżali kiedyś na wakacje. Powiesz, że dzieci chorowały w Berlinie, że potrzebują zdrowszego

powietrza – tłumaczyła pokornie. – Marto, ty na pewno zrozumiesz. Sama jesteś matką. – Spojrzała błagalnie na synową.

Marta rzeczywiście była bardzo poruszona jej prośbą, a może łzami. Już miała coś powiedzieć, kiedy Walter, widząc wahanie żony, oświadczył zdecydowanie:

– Nie, nie ma mowy i niech mama nie próbuje wpływać na Martę. Ewa mogła wyjechać razem z rodzicami. Nie wiem, na co czekała. Teraz zrzuca na nas swój kłopot.

– Chciała... To ja ją prosiłam, żeby mnie nie opuszczała. Nikt wtedy nie wiedział, że jest Żydówką. Nalegałam, bo... bo Georg nie żyje, a ja... ja nigdy już nie zobaczyłabym moich wnuków. To wszystko moja wina.

– Niech pójdzie do swoich znajomych – zaproponował Walter. – Przecież tyłu ich ma. Bywała na przyjęciach u wielu ustosunkowanych osób i oni u niej gościli. Na pewno znajdzie się ktoś, kto załatwi paszport i pomoże wyjechać.

– Była. Chodziła od drzwi do drzwi. Ale teraz nikt nie ma dla niej czasu, jakby nigdy się nie znali. Nawet rozmawiać nie chcą, a co dopiero pomóc. Ma tylko nas. My jesteśmy jej jedyną rodziną – tłumaczyła synowi, czując się jak żebraczka.

– Nie, tutaj nie może przyjechać. W mieście łatwiej schować się w tłumie, a tu ludzie by ją nagabywali, dopóki by się nie dowiedzieli, dlaczego przyjechała. Ty widzisz na wsi tylko kwiatki, krówki i świeże powietrze – znowu uniósł głos. – Ale jest inaczej, niż ci się wydaje. Jeden o drugim wie wszystko do piątego pokolenia, zna najskrytsze tajemnice sąsiada. A nie daj Boże, jeżeli mu czegoś zazdrości, tylko czeka, by mu się noga powinęła. Myślisz, że nie dowiedzieliby się? Wypytywaliby chłopców o wszystko, aż by ich przyłapali. Ani chybi donieśli by na nas osobiście albo napisali anonim. Wtedy ja byłbym skończony. Lichtenstein, właściciel fabryki słodyczy w Unruhstadt, taka figura, a lada dzień sprzeda zakład, bo Żydzi w Niemczech nie mają czego szukać. Muszą się wynieść. Są uparci, myślą, że przeczekają, ale my ich wszystkich wykurzymy. Matko, jeśli nam dobrze życzysz, nie proś o gościnę dla Ewy.

– To co mam robić? – spytała zrozpaczona.

– Nie wiem. Idźmy spać – zdecydował. – Może coś jutro wymyślę.

Rano, kiedy zjawiała się w kuchni po bezsennej nocy, Walter powiedział jej, co mu przyszło do głowy: – W przyszłym tygodniu wezmę dwa dni urlopu i pojadę do Berlina. Mam kolegę, z którym byłem na froncie w jednym oddziale. Zajmuje wysokie stanowisko w Ministerstwie Finansów. Wiem, że potrafi być dyskretny. Zapytam go o radę.

Z iskierką nadziei w sercu postanowiła wrócić do domu popołudniowym pociągiem.

Na dworcu w Berlinie nikt na nią nie czeka. Nie dała znać o swoim

powrocie. Kiedy podjeżdża taksówka, podaje adres Ewy. Nie może i nie chce trzymać jej w niepewności.

4

Wstały o świcie. Szybko uporały się z porannymi zajęciami w zagrodzie, a zanim wyruszyły, Marta obudziła Matyldę i powiedziała jej, co ma do południa zrobić w obejściu. Kazała też przygotować ojcu śniadanie, wyprasować świeżą koszulę i przyszykować ciepłą wodę do mycia i golenia.

Jest rześki poranek. Słońce weszło niedawno, nie zdążyło więc jeszcze wysuszyć rosy. Janka i Marta idą na północ drogą prowadzącą na wzniesienie, u stóp którego leży Chwalim. Najpierw kroczą między obsypanymi dojrzewającymi owocami drzewami wiśni. Potem wchodzą między ściany wąwozu, z początku niewysokie i nieprzesłaniające widoku na okolicę. Im są wyżej, wąwóz staje się głębszy, bo wcina się w grzbiet wzgórza. Mimo to promienie słoneczne mają tu dostęp do niemal każdego skrawka ziemi, dlatego zbocza parowu to prawdziwe królestwo ziół: białych kwiatów krwawnika, ciemnożółtego dziurawca i oblepionych bladożółtymi drobnymi kwiatkami długich prostych pędów dziewanny. Jeszcze nie dotarły na górę, a już ich buty są mokre od rosy i ciężkie od lepiącego się piasku, ale nie zwracają na to uwagi. Kroczą rażno, rozprawiając zawzięcie, jakby jednodniowa przerwa spowodowana obecnością Sabiny stanowiła niepowetowaną stratę w ich wzajemnych kontaktach. W pewnej chwili Janka pyta:

– Czemu teściowa wyjechała tak szybko? Nie miała zostać na dłużej?
– Nie. Chciała tylko prosić Waltera o pomoc w pewnej sprawie. Odwiedzi ją w przyszłym tygodniu i to załatwi – odpowiada Marta wymijająco.

Jednak Janka nie odpuszcza:

– A co to za ważna sprawa?

Marta nie wie, co powiedzieć. Z jednej strony nie lubi kłamać, a z drugiej nie chce, żeby Janka dowiedziała się o tym, że Ewa ma problemy i dlaczego. Czuje też, że kuzynka mogłaby niewłaściwie zrozumieć ich zachowanie. Nie żeby uważała, że postąpili źle. Przeciwnie, jest wdzięczna Walterowi, że zabronił matce wywierać na nią nacisk. Dzięki temu nie musiała brać na swe sumienie trudnej decyzji.

– Ewa, wdowa po Georgu, chciałaby pojechać w odwiedziny do brata w Ameryce, ale ma kłopoty z załatwieniem formalności. Teściowa prosiła Waltera, żeby pomógł – mówi wreszcie.

Janka wyczuwa w głosie przyjaciółki fałszywy ton. Nie pyta więcej. Marta też milczy. Idą w krępującej ciszy, aż wreszcie docierają do rozstaju dróg. Gdyby szły dalej prosto szlakiem wśród pól obsianych zbożami, doprowadziłyby je do innego wąwozu, a potem do starego sosnowego lasu. Zbaczając w prawo, na wschód, skierowałyby się ku górnej części Unruhstadt, jednak one skręcają

na zachód drogą wśród pól i winnic. Idąc, obserwują wieś budzącą się do życia. Wkrótce dobry nastrój powraca, bo z góry widzą kuzyna Marty, Hermana, który biegnie w samej bieliźnie do drewnianego wychodka. Równocześnie wybuchają śmiechem, a potem znowu zaczynają rozmowę.

Mniej więcej naprzeciwko położonego w dole domu Gustava Soyty i leżących za szosą gospodarstw Schulza, Williego Hoffmanna, Wilhelma Rischke i Wilhelma Deutschmanna zatrzymują się i ogarniają wzrokiem całą okolicę. Są w najwyższym punkcie długiego wzgórza. Nigdy tego nie uzgadniały, ale zawsze przystają w tym miejscu, żeby popatrzeć przed siebie. Słońce wciąż jeszcze jest na wschodzie i łagodnym blaskiem oświetla śmigły wiatraków, wysokie dymiące kominy, wieże dwóch kościołów i ratusza w Unruhstadt. Daleko, ale bardziej na południe, widać bezkresną przestrzeń pokrytą iglastymi i liściastymi lasami i skąpaną w porannym blasku – przynależną już do Śląska niewielką wieś – Dorothenau. Bliżej przez zieloną równinę leniwie płynie rzeka. Tuż za nią, oddzielone pasmem łąk, ciągną się tory linii kolejowej, po których akurat jedzie, robiący wrażenie dziecięcej zabawki, pociąg zmierzający do Züllichau. Co prawda w powietrzu unosi się delikatny opar, ale patrząc na zachód, można dostrzec odległe pasma wzgórz w barwie ciemnej lub zamglonej zieleni, za którymi leży Grünberg. Niemal u samych stóp mają zaś Chwalim z jego sadami, winnicami i szachownicą pól na zboczu.

Dopiero kiedy nacieszyły się ulubionym krajobrazem, zauważyły, że są obserwowane przez dwie pary czujnych oczu. To rdzawo umaszczone sarenki wystawiły głowy z żyta i zastanawiają się, skąd się tu wzięły te dwunożne istoty. Nagle, czymś spłoszone, jednocześnie robią w tył zwrot i pędząc wielkimi susami przez zboże, nikną w odległej kępie drzew. A Marta i Janka kontynuują swą wędrówkę ku Schwentesee. Teraz trakt, mimo że wciąż prowadzi szczytem wzniesienia, tak jak i ono opada łagodnie w dół. Kobietom towarzyszy unoszący się nad łąnem pszenicy skowronek, a spod stóp umykają polne świerszcze. Niezgrabne robocze buty miażdżą wszechobecne tutaj zielonożółte koszyczki, więc nad zapachem dojrzewających zbóż i polnych ziół dominuje kojąca woń rumianku.

Przemierzyły już większość trasy i dotarły do następnego skrzyżowania polnych dróg. Stąd, idąc na południe i mijając transformator z czerwonej cegły, można wrócić do wsi, a kierując się na północ, trafić do pól nad jeziorem. Tam właśnie znajduje się cel wędrówki obu kobiet. Jeszcze przez jakiś czas podążają wśród delikatnie falujących łąnów przetykanych modrymi kwiatami bławatków, liliowej wyki i ostatnich czerwonych maków, aż wreszcie schodzą w dół ku nielicznym już dziś winnicom porastającym słoneczne zbocze niewielkiej doliny, na dnie której błyszczą wody Schwentesee. Większość to plantacje winiarzy z Unruhstadt, ale w tym najlepszym miejscu, gdzie dojrzewają najśłodsze winogrona, jest morga należąca do Marty. Kiedyś dziadkowie posiadali cztery

morgi. Marta odziedziczyła tę jedną nad jeziorem i pół blisko domu, ale tam rosną już maliny. Na innych gruntach będących jej własnością jest sad, pole ziemniaków, warzywa i zboże. Ma też łąki nad rzeką i dwa pastwiska dla krów. Wiadomo, że nie jest w stanie obrobić całej ziemi sama, dlatego na czas największych prac, takich jak żniwa, sianokosy czy wykopki, wynajmuje ludzi. Ale co tylko może, robi z Janką, Matyldą i parobkiem Willim. Dzisiaj córka musi zająć się domem i zwierzętami w gospodarstwie, a one przyszły do winnicy, żeby obciąć zbędne pędy, obłamać dzikie odrosty i sprawdzić, w jakim stanie są krzewy winorośli. Zatrzymują się na brzegu doliny i spoglądają na cel dzisiejszej wędrowki. Zielone krzewy przywiązane do akacjowych palików schodzą w kierunku jeziora w równych niskich rzędach. Wyglądają zdrowo i bujnie dzięki sumiennej uprawie i słońcu, które ogrzewa je od rana do wieczora.

Gdziekolwiek w innych winnicach, na poletkach malin i porzeczek, sadzonych w miejsce likwidowanych plantacji winorośli, już są ludzie. Kobiety wesoło wszystkich pozdrawiają, po czym z płóciennych toreb wyjmują specjalne ostre nożyki i przystępują do pracy. Zielone miękkie pędy opadają na ziemię, a one depczą po nich i przesuwają rękoma to w dół, to w górę, prześwietlając zbyt bujne krzewy. To, co spada na ziemię, natychmiast więdnie i schnie w palącym słońcu. Do następnego roku zamieni się w próchnicę i użyźni pole. Po dwóch godzinach decydują się na odpoczynek, lecz chwila przerwy niewiele daje. Powietrze w dolinie staje się duszne i gorące, niebo zaś zmienia barwę z błękitnej na jasnoołowianą. Słońce, choć lekko przytłumione, praży niemiłosiernie, a jego promienie palą odsłoniętą skórę. Jance wydaje się, że już nie ma czym oddychać, co chwila wyciera pot z czoła, a w oczach jej ciemnieje, ilekroć prostuje plecy. Szczuplejszej i młodszej Marcie jest trochę lżej, ale i ona pracuje wolniej niż rano.

Mają za sobą większą część roboty, kiedy słyszą daleki grzmot. Spoglądają z niepokojem w niebo. Na wschodzie pojawiły się groźne ciemne chmury. Jest ich coraz więcej i szybko suną w stronę doliny. Nadciąga burza, ale Marta ma nadzieję, że zdążą skończyć, więc mimo zmęczenia zwiększa tempo pracy. – Jeszcze tylko dwa rzędy – mówi do siebie. – Zdażymy. Przecież nie ma sensu tracić czasu na przychodzenie tutaj znowu. – Raz po raz zerka w górę, jakby chciała zakląć niebiosa i zatrzymać nieuniknione. Mimo to robi się jeszcze ciemniej, a cisza między grzmotami jest coraz głębsza. Ptaki, które w zaroślach nad jeziorem zawsze prowadzą ożywione rozmowy, teraz milczą i trwają w oczekiwaniu tego, co ma nastąpić. Kobiety właśnie skończyły cięcie jednego z rzędów. Stojąc wysoko na krawędzi doliny, patrzą na wschód, skąd napłynęły granatowe chmury. Widzą, jak wiatr targa łanami zbóż, wiruje i przygniata kłosa do ziemi, by za chwilę znów poderwać je w górę. Gdzieś tam na Unruhstadt już spadają strumienie deszczu. Ściana ulewy pędzi na zachód, niemal czarne niebo przecinają błyskawice, a zaraz potem ogłuszający huk grzmotu wali się na głowę. – Do szopy na łodzie. Szybko! –

rzuca komendę Marta i obie, nie oglądając się na nic, pędzą w dół zboczem. Kiedy są już na dole, wbiegają między drzewa i gnają spacerową alejką w kierunku niskiego drewnianego baraku. Są tuż-tuż, gdy najpierw słyszą za sobą szum deszczu wściekle bijącego o wodę, a potem czują na spoconych plecach zimne dotknięcia kropel. Janka mknąca za Martą szepcze pod nosem modlitwę, a prawą dłoń ścisną swój medalik, tak jakby w nim szukała ratunku przed groźnym żywiołem. W jej wyobraźni każdy grom bierze sobie na cel miękkie Jankowe ciało i tylko boskiej opiece zawdzięcza, że jeszcze nie została przecięta na pół ostrzem błyskawicy. Wreszcie dopadają drewnianych wrót szopy i Marta silnym pchnięciem otwiera je na oścież. Są bezpieczne. W pierwszych sekundach oślepienie zmęczeniem i deszczem spływającym jeszcze po twarzy nie widzą, że w szopie są też inni ludzie. Na widok przejętych kobiet wybuchają śmiechem. One, trochę zawstydzone, rozglądają się i teraz, kiedy strach minął, śmieją się z siebie z innymi. Tylko jeden z mężczyzn, oparty o ścianę, zamiast okazywać żywiołową radość, przygląda się Marcie. Nieświadoma niczego kobieta staje nieco z boku, ściąga mokrą chustkę, a potem wyjmuje szpilki z węzła na karku. Czarny splot rozwija się i opada na plecy. Marta, przechylając głowę, wykręca z warkocza wodę. A mężczyzna obserwuje każdy jej ruch, tak jakby chciał zapamiętać rozchylone usta dyszące po biegu, pasemka krótkich włosów zwijających się w pierścionki nad czołem i to, jak skłania głowę, chcąc słyszeć, mimo huku grzmotów, co ktoś do niej mówi, i jak uśmiecha się z wdzięcznością do kobiety podającej jej chleb. Nikt nie zwraca na to uwagi, bo wieśniacy, korzystając z nieoczekiwanej przerwy w pracy, wyjmują z toreb grube skiby i posilają się, dzieląc się z tymi, którzy zostawili swe śniadania na polu, nie zdążywszy ich zabrać. Niektórzy popijają wodą, ale większość butelek wypełnia miejscowe rozcieńczone wino i nim właśnie gaszą pragnienie.

– Manfred! Co tak sam siedzisz? – woła Wilhelm Adam. – Chodź tu do nas!

Dopiero wtedy Marta dostrzega mężczyznę pod ścianą. Ich oczy – jego zielone, jej szare – na moment się spotykają, a twarz kobiety oblewa rumieniem.

Burza, którą można przetrwać wśród przyjaznych ludzi, przestała być straszna, więc jedzą, popijają i rozmawiają o codziennych sprawach, a tymczasem ulewa gwałtownie uderza o taflę jeziora, spada na łodzie kołyszące się na wzburzonych falach i drzewa, które gną się od podmuchów wiatru. Nagle straszny huk wstrząsa barakiem, a drewniane drzwi otwierają się gwałtownie. Kolejne uderzenie, jeszcze mocniejsze. To piorun uderzył w jeden z dębów rosnących tuż przy restauracji. Zdażyli tylko zobaczyć, jak żłobi w pniu głęboką jasną ranę, spływa w dół i niknie w mokrej ziemi. Nawałnica, która jeszcze przed chwilą zdawała się słabnąć, znów siecze z nową mocą.

Wkrótce jednak deszcz ustaje, a ciemne chmury i błyskawice wędrują na zachód. Słońce ponownie wesoło błyszczący nad jeziorem i winnicami. Ludzie

odpoczęli, ale nie wrócą już do pracy, bo wszystko jest mokre, a nogi grzęzną w gliniastej ziemi. Marta z Janką też zbierają się do domu, ale nie idą tą samą drogą, którą przyszły rano. Wraz ze wszystkimi schodzą szlakiem wiodącym ku centrum wsi. Na polach między rzędami ziemniaków lśni deszczówka, która nie zdążyła wsiąknąć, zboża wytargane wiatrem i przybite ulewą leżą pokotem. Razem z ludźmi schodzącymi w dół spływa woda, żłobiąc w żółtawoszarym piasku kręte rowki. Z daleka słychać wesołe nawoływania dzieci, które boso biegają po ciepłych kałużach, opryskując przy tym siebie i towarzyszące im z radosnym poszczekiwaniami psy. Na północnej części ciemnoniebieskiego nieba, niczym brama do raju, barwnym łukiem rozłożyła się ogromna tęcza.

Obie kobiety minęły transformator z czerwonej cegły i są już na głównym trakcie. Pod nogami chrzęszczą im drobne kamyki, piasek i gałązki zostawione przez nawałnicę. Mimo że ich ubrania jeszcze nie całkiem wyschły, nie podążają w stronę domu, a skręcają w prawo i kierują się na skraj wsi. Tam gdzie rzeka najbardziej zbliża się do ludzkich siedzib, zaczyna się wiejski cmentarz. I chociaż były tu już dziesiątki razy, także teraz, przechodząc między grobami i uprzętając połamane gałązki, czytają imiona i nazwiska dawnych mieszkańców i przywołują w pamięci tych, których znały. Wiele nazwisk się powtarza, bo zmarli należą do jednej wielkiej rodziny. Jeszcze w ubiegłym stuleciu ci słowiańscy przybysze ze Śląska żenili się tylko między sobą, mówili po swojemu i zachowywali odrębność, nie łącząc się z Niemcami. Mijają więc groby Brusów, Klójów, Jendrzików, Figlarków, Zuchanków, Swadów, Soytów, Gawronów, Rogoschów, Kliemów, Biedermannów, Melcherów, Makufków, Petrasów, Hoffmannów i wielu innych. Prawie wszyscy byli też i z nimi spokrewnieni. Podczas gdy Marta zatrzymuje się przy grobie swego pierwszego dziecka, Martina – zmarłego tuż po narodzinach, Janka idzie trochę dalej, by pomodlić się za Annę i Matheusa – babcię i dziadka Marty.

Przy swoich najbliższych nie staje ani na chwilę. Dawno im darowała, ale wie, że jej bliscy krewni, ci umarli i ci żyjący, nie przyjmą jej przebaczenia.

Grób Anny i Matheusa Swadów należy do bardziej okazałych. Wysoki, kamienny nagrobek otoczony jest kutym metalowym płotkiem. Od wiosny do jesieni kwitną tu kwiaty, a chwasty są troskliwie wyrywane.

– Musimy iść, Tila na pewno zrobiła już obiad – słyszy zamyślona Janka. Dopiero teraz dostrzega stojącą obok Martę. Jeszcze krótką chwilę spędzają przy grobie rodziców Marty zmarłych w tysiąc dziewięćset dziewiętnastym roku na hiszpankę, a potem ruszają w drogę powrotną. By dotrzeć do domu, muszą przejść prawie całą wieś.

Kiedy są już w centrum, zauważają grupę chłopców z Jungvolku porządkujących otoczenie pomnika poległych. Od pracujących odrywa się chudy młodzieniec w mundurze Hitlerjugend i podbiega do kobiet. Gdy jest już całkiem

blisko, poznają, że to Emil Weiler.

Chłopak podnosi rękę w hitlerowskim pozdrowieniu:

– Heil Hitler! – woła – Witam obie ciocie! Skąd wracacie?

– Idziemy z winnicy. Miałyśmy dzisiaj skończyć cięcie, ale burza nam przeszkodziła. Jutro musimy tam wrócić, nie ma co odkładać, bo dzikie pędy szybko rosną. Przy okazji zaszłyśmy na cmentarz. A jak się ma babcia Truda? – pyta z troską w głosie Marta.

– Dobrze, ciociu. Babcia Truda jest niezniszczalna. A ciocia Janka znowu się modliła po katolicku na naszym ewangelickim cmentarzu? Co zmarli myślą o tak nietaktownym zachowaniu, ciociu? – Wydaje się, że jak zwykle dla skorego do żartów chłopaka nie ma żadnych świętości.

– Nie wiem, co myślą zmarli, ale ja wierzę, że modlitwa, nawet katolicka, im nie zaszkodzi. Pan Bóg nie dzieli nas na takich i owakich – odpowiada poważnie Janka.

– Racja, ciociu. Muszę wracać do chłopaków, bo jak nie czują dowódcy, tylko udają, że pracują. Heil Hitler! – Znow wyrzuca rękę w górę i biegnie do dokazującej gromady.

W domu jest dziwnie pusto. Tila gdzieś zniknęła. Obiad niegotowy. Krów nikt nie przygonił z pastwiska, a króliki pchają się na siatki, jakby wcale nie dostały jeść.

– Pewnie pobiegła do Rosiny, jak tylko usłyszała grzmoty. – Janka próbuje tłumaczyć nieobecność dziewczyny.

– Burza czy nie burza, powinna dawno wrócić. Nic nie zrobiła, a w dodatku zostawiła dom otwarty. Niech tylko się pokaże, to na pewno tym razem dostanie karę – odgraża się Marta. – Nie pozwolę jej nigdzie wychodzić przez miesiąc.

– Daj spokój. Wiesz, jak to jest. Przecież sama byłaś kiedyś w jej wieku. – Ciotka jak zwykle staje w obronie swojej ulubienicy. – Nakarmię króliki i pójdę na pastwisko. A ty zrób coś do jedzenia – proponuje.

Marta podpala drewno w piecu w letniej kuchni i wstawia do gotowania ziemniaki dla świń na wieczór, a potem zabiera się do obiadu. Janka wraca z krowami, poi je i wiąże w oborze. A Tili jak nie było, tak nie ma.

Po obiedzie coraz bardziej zaniepokojona Marta idzie na górę, by jak co dzień przeczytać i przemyśleć kolejny fragment Biblii. Jest właśnie u szczytu schodów, gdy z pokoju córki dobiega ją cichy płacz. Otwiera ostrożnie drzwi. Na wąskim drewnianym łóżku leży Tila skulona pod kocem mimo gorąca i zalewa się rzewnymi łzami.

– Co się stało, na Boga? Jesteś chora? – Szybko przysiada obok i dotyka czoła córki. Z ulgą stwierdza, że jest chłodne. – Co się dzieje? Powiedz – nakazuje nieco uspokojona.

Dziewczyna szlocha jeszcze rozpaczliwiej. Wreszcie wyrzuca z siebie:

– Ja krwawię.

– Co? – Marta nie rozumie.

– Brzuch mnie boli i krwawię – łąka, chowając zawstydzoną twarz w poduszkę.

Marta pojmuje, w czym rzecz, i wzdycha z ulgą.

– I o to ten płacz? Przecież rozmawiałam z tobą, że tak może się wkrótce stać. Masz czternaście lat, już najwyższy czas.

– Wiem, ale to takie obrzydliwe.

– Obrzydliwe czy nie, ale zdarza się wszystkim kobietom. Pamiętaj, że zawsze trzeba być na to przygotowaną. Przyniosę ciepłej wody, umyjesz się, przebierzesz i zejdziesz na obiad.

– Nie chcę jeść i nigdzie nie zejść!

– Przestań robić tragedię! – denerwuje się matka. – Nie jesteś wyjątkiem. Jakoś nie zauważyłam, żeby z tego powodu kobiety umierały albo przestawały pracować i pokazywać się ludziom. Żadna z nas nie ma wypisane na twarzy, że akurat teraz przechodzi trudne dni. Zrób, co kazałam, i przestań się mazgać – rozkazuje zdecydowanym tonem. – Idę po wodę i ręcznik.

Prócz miski z wodą matka przynosi mały pakunek. Siada obok spokojniejszej już córki i rozkłada coś, co przypomina majtki.

– Spójrz. Uszyłam to specjalnie dla ciebie.

Na kocu leży pas na biodra z różowego atłasu wzmocniony od spodu bawełnianą tkaniną. W kształcie przypomina mocno wycięte na udach majtki, tylko że bez kroku. Tam, gdzie powinien być, znajduje się przypięta z obu stron guziczkami wąska, ale gruba warstwa materiału.

– Przyjrzyj się – wyjaśnia Marta. – Kiedy będziesz krwawić, założysz ten pas i przypniesz do niego wymienny wkład. Składa się z wiele razy złożonych warstw chłonnego materiału. W nim będzie gromadzić się twoja krew. Jak będzie trzeba, to go wymienisz. Pamiętaj też, że musisz się często myć, bo krew będzie się psuła i wtedy każdy wyczuje, co ci jest, a to dla nikogo nie będzie miłe.

– A gdzie mam wyrzucać brudne wkłady? Do pieca?

– Nie, bo wtedy wkrótce by ich zabrakło. Będziesz je musiała wyprać i wysuszyć. Tylko rób to dyskretnie, tak by nikt w domu nie musiał tego oglądać, a już zwłaszcza ojciec. – Marta spogląda na przejętą córkę i niespodziewanie dla siebie samej głaszcze ją po zmierzwionych włosach. – Nos do góry – mówi łagodnie. – Dzieciństwo kiedyś się kończy. Nie ma na to rady.

– Mamo, mogę chociaż dzisiaj zostać w swoim pokoju? – błaga Tila.

– Dobrze, ale tylko dzisiaj. Janka zaraz przyniesie ci zupy, a na bolący brzuch zaparzę krwawnik.

Rzeczywiście, wkrótce do pokoiku wchodzi Janka z talerzem ciepłej zupy i kubkiem naparu z krwawnika. Uśmiecha się do dziewczyny, odstawia tacę

i obejmuje bladą, skuloną istotę.

– Słyszałam, że jesteś już kobietą. Gratuluję ci – mówi serdecznie. Na co Matylda przytula się do ciotki i znowu zaczyna żałośnie szlochać. – No popłacz sobie, popłacz. Będzie ci lżej – szepcze Janka, kołysząc ją w ramionach.

5

Walter wrócił z Berlina z mieszanymi uczuciami. Złość na matkę mu nie minęła. Nie mógł jej darować, że zwróciła się do niego w sprawie Ewy. W dzisiejszych czasach mieć w rodzinie Żydów, to jakby nosić płamę na partyjnym mundurze. Jeśli ktoś w Unruhstadt albo w Altreben się dowie, może się pożegnać z widokami na awans, a niewykluczone, że straci kilku kolegów. Jadąc do Berlina, miał nadzieję na szybkie rozwiązanie problemu. Liczył na to, że uda się wysłać bratową i dzieci do Ameryki czy dokądkolwiek, byle dalej. W tym celu odwiedził dawnego towarzysza broni pracującego w Ministerstwie Finansów i wyłuszczył mu sprawę. Tamten zaproponował spotkanie po pracy przy piwie, bo tam, gdzie byli, nie można było swobodnie porozmawiać. Wcale nie zdziwiła go prośba kolegi, ale uprzedził Waltera, że obecnie wyjazd z Rzeszy jest niezwykle trudny. Ewa z chłopcami może wprawdzie otrzymać paszport, ale szef berlińskiej policji Helldorf za *odsprzedanie* wcześniej skonfiskowanego dokumentu żąda 250 tysięcy marek. Jeśliby nawet bratowa przyjaciela dysponowała odpowiednią kwotą i wydostała się z Niemiec, powstawał następny problem. Na skutek dużej liczby Żydów opuszczających w ostatnich latach Rzeszę prawie wszystkie państwa zamykają przed nimi granice. W tej sytuacji doradza inne rozwiązanie. Uważa, że Walter powinien ratować tylko bratanków. Są już co prawda zarejestrowani jako mieszańcy, ale za odpowiednio dużą kwotę można znaleźć urzędnika, który załatwi *genehmigung*^[7]. Konieczne będzie tylko sfotografowanie chłopców z profilu i *en face*. Dobry wygląd jest bardzo ważny dla uzyskania takiego dokumentu, bo żaden urzędnik nie narazi się na kompromitację, gdyby starający się o zwolnienie mieli semickie rysy.

Walter, wróciwszy z Berlina, zdaje Marcie relację z wyjazdu. Leżą w łóżku zwróceniu ku sobie twarzami i rozmawiają półgłosem, aby Janka i Tila nie usłyszały. Okno jest otwarte, a powietrze wypełnia cykanie świerszczy w ogrodzie. Luźno spleciony warkocz żony splywa swobodnie na poduszkę. Walter wdycha gorzkawy zapach. „Co to? – zastanawia się. – Czym pachną jej włosy? Jakieś zioła?” – Wyobraź sobie – szepcze – ja wracam ze spotkania szczęśliwy, że tak dobrze wszystko załatwiłem, mówię matce i Ewie, że jutro zobaczę się z odpowiednim człowiekiem, a one obie w płacz i lament.

– Nie rozumiem. Przecież to dobre rozwiązanie. – Oczy Marty błyszczą w ciemnościach.

– No właśnie. A wiesz, o co im chodziło? „Chyba liście dębu tak pachną?” – zastanawia się, ale mówi dalej półgłosem: – Powiedziałem, że Arnold i Christian nie powinni mieszkać z Ewą. Najlepiej, żeby chłopcy przeprowadzili się do babci.

– To jej dzieci. Dlaczego nie mogą być razem? – nie rozumie Marta.

– A jak inaczej miałyoby to wyglądać? Myślisz, że to byłoby dobre dla nich, że matka Żydówka mieszka z nimi? – Walter znowu zniża głos do szeptu, a Marta przysuwa się bliżej, by lepiej słyszeć męża.

„Orzechy? Tak, młode łupiny orzechów!” – nareszcie rozpoznaje niepokojąco kuszący zapach.

– Masz rację. Nie pomyślałam o tym. Ale mogliby się gdzieś spotykać – próbuje coś utargować dla innej matki.

– Najlepiej jak najrzadziej. – Walter zdaje się nie pojmować kobiecych uczuć. – Na szczęście potem się uspokoiły i można było z nimi rozmawiać. Ewa zachowała się bardzo rozsądnie. Powiedziała, że kiedy tylko chłopcy dostaną genehmigung, przeprowadzą się do babci. Odtąd wszystkie sprawy będzie załatwiała Sabina. Zapisze ich do innej szkoły i będą mogli zacząć normalne życie.

– A oni? Czy to rozumieją? Arnold ma tylko dziesięć lat, a Christian nie ma jeszcze siedmiu.

– Nie wiem, nie widziałem ich. Matka i babka będą musiały im wszystko wytłumaczyć.

– Skąd Ewa weźmie pieniądze?

– To Żydówka. Oni zawsze coś mają schowane. Zresztą nawet nie wspomniała, że nie może zapłacić. Wieczorem przyniosła potrzebną sumę, a ja dziś rano przekazałem ją dalej.

– No tak, biedna nigdy nie była – stwierdza Marta z lekkim przekąsem. – Kto by pomyślał, że los może się tak odmienić. Dobrze, że to jakoś załatwiłeś – stwierdza. – Georg byłby ci wdzięczny.

– A ty? – Walter uśmiecha się w ciemnościach.

– Ja też się cieszę – szepcze trochę niepewnie, bo sumienie nie daje jej spokoju. Chcąc zagłuszyć wątpliwości, dodaje: – Jak pomyślę, co powiedzieliby ludzie na to, że mieszkają u nas Żydzi, i to w dodatku rodzina, aż mnie dreszcz przechodzi. Nasz ród jest szanowany od pokoleń, a tu coś takiego. No i Tila. Jak jeszcze chodziła do szkoły, często przynosiła wiadomości o rasach. Co by teraz pomyślała o tym wszystkim.

– Dobrze, że w domu nigdy nie mówiło się o pochodzeniu Ewy.

– Kiedyś nie miało to żadnego znaczenia. Teraz wszystko się zmieniło. Dobrze, że nie pozwoliłeś im tu przyjechać.

– Taaak? To może zasłużyłem na pocałunek albo coś więcej? – Walter

przysuwa się jak najbliżej i zanurza twarz w pachnących orzechowo włosach, a gdy widzi, że Marta nie protestuje, pożądliwie wsuwa rękę pod jej nocną koszulę.

6

Jest początek sierpnia. Na łąkach za starym mostem ludzie rozrzucają kopy siana. Zbiór drugiego pokosu jest w tym roku wyjątkowo pracochłonny. Skoszona trawa podeschła w słońcu, ale nie na tyle, żeby można było ją zebrać i zwieźć albo ułożyć w stogi. Nocą przyszła burza z ulewą i trzeba wszystko zaczynać od początku. Każdy na swojej łące rozrzuca namokłe kupki, żeby umożliwić wilgotnym źdźbłom wyschnięcie. Nikt nie jest pewien, czy nie jest to daremny trud, bo pogoda stała się wyjątkowo kapryśna.

Także Marta z córką i Janką pracują na swojej łące. Dorosłe kobiety szybko i sprawnie rozrzucają kopy i natychmiast przechodzą do następnych. Tila nie nadaża, co chwila odkłada widły i przygląda się dłoniom albo odgania boleśnie tnące końskie muchy. Janka widzi, że dziewczyna nie daje rady, zawraca więc, by jej pomóc.

– Ciociu, zobacz, jakie mam pęcherze na rękach. Tak mnie bołą, że nie mogę utrzymać wideł.

– Musisz więcej pracować. Zobacz – pokazuje swoje dłonie – jaką mam grubą skórę. Ale na to trzeba sobie zasłużyć. Ty też wkrótce taką będziesz miała – śmieje się dobrotliwie ciotka.

– Tylko że mnie teraz boli.

– Jak wrócimy do domu, posmaruję ci pęcherze sokiem z nagietka. Powinno trochę pomóc. A teraz rozrzucaj dokładniej, bo siano musi dobrze wyschnąć – upomina kobieta. – Po południu ułożymy kupki z powrotem. Może jutro uda się zwieźć.

Przez chwilę pracują w milczeniu, ale monotonne zajęcie nudzi dziewczynę, zagaduje więc:

– Zauważyłaś, że tatuś ostatnio poweselał? Może wiesz dlaczego?

– Nie wiem. Zapytaj ojca.

– Pytałam, ale tylko zażartował sobie, i dalej nic nie wiem.

– Ja też. Chyba nie myślisz, że mi się zwierza. Tila, przyszłam ci pomóc, a tymczasem ja macham widłami, a ty gadasz. – Janka niby strofuje pupilkę, ale w jej głosie na próżno by szukać surowości. – Weź się do roboty, bo zaraz przyjdzie mama i się nasłuchasz.

– No przecież pracuję! Ciociu, ale to takie nudne! Opowiedz coś, żeby czas szybciej zleciał.

– Co byś chciała?

– Może o tym, jak mama z ojcem się poznali.

– O to możesz zapytać rodziców.

– Akurat powiedzą – odyma się dziewczyna.

– Dobrze, opowiem, ale ty w tym czasie musisz rozrzucić siano. Jak zobaczę, że przystajesz, kończę. – Janka grozi żartobliwie, ale znów zaczyna: – Poznali się zaraz po wojnie. Twój ojciec był w wojsku już dwa lata. Miał wielkie szczęście, bo nigdy nie przytrafiło mu się nic złego. Wojna się skończyła, ale czasy wciąż były bardzo niespokojne. Niemcy przegrały, a w Berlinie wybuchła rewolucja, Polacy z prowincji poznańskiej wykorzystali więc słabość Niemców i zaczęli walczyć, żeby całą prowincję przyłączyć do Polski.

– To podłe! Jak mogli! – oburza się nastolatka.

– Ty tak na to patrzysz. A oni widzieli to inaczej. Rozumiem ich, bo sama jestem Polką.

– Ty, ciociu, uważasz się za Polkę? Dlaczego?

– Przecież mówiłam ci, jak to się stało, że u was zamieszkałam i że moim ojcem był Polak, a mamą Wendyjką. Noszę polskie nazwisko. W żyłach twojej mamy też nie płynie germańska krew.

– Ciociu, co ty mówisz! Nie wierzę ci. Mama jest prawdziwą Niemką i tata też! – Tila aż czerwienieje ze wzburzenia.

– Ojciec tak, ale rodzina mamy pochodzi stąd, a w Chwalimiu mieszkało kiedyś niewielu Niemców. Najwięcej było Słowian. Może to byli Polacy, może nie, różnie o tym mówią, ale na pewno nie byli Niemcami. Mimo że należeli do Kościoła ewangelickiego, tak jak większość Niemców, czuli się Słowianami. Twoja mama pochodzi z dwóch starych wendyjskich rodów. Po matce z Zuchanków, a po ojcu ze Swadów.

– Przecież mama mówi, że jest Niemką!

– Wiem. Tak się czuje. Ale ja pamiętam, że babcia Anna i dziadek Matheus mówili, że są Wendami, czyli Słowianami. Odwiedzasz czasem prababcię Trudę? Sama wspominałaś, że wtrąca jakieś słowa, które nie zawsze rozumiesz. Niemieckiego nauczyła się w szkole, a w domu mówiło się tylko po wendyjsku. Ty też znasz wendyjski.

– Tak, ale niezbyt dobrze. Więc ja nie jestem Niemką? – Tili najwyraźniej nie spodobały się wyjaśnienia Janki. W szkole i na spotkaniach BDM tyle się nasłuchiwała o wyższości rasy germańskiej. – Słowianie to przecież gorsza rasa! Nie chcę być Słowianką! Jestem Niemką!

– Myślę, Matyldo, że jako lepsza rasa powinnaś sama poradzić sobie z resztą siana. Ja, jako gorsza rasa, zmęczyłam się. Pójdę się napić i posiedzieć chwilę w cieniu. – Urażona Janka odwraca się i kieruje ku kępie drzew, gdzie stoją rowery.

– Nie! Ciociu, przepraszam. Ja tak wcale nie myślę. Jesteś najlepsza na świecie. – Dziewczyna wpada w panikę. – Nie gniewaj się! Proszę, nie odchodź.

Kobieta przystaje. Tila wie, że tym razem naprawdę sprawiła jej przykrość.

Czuje się podle i chcąc ciotkę przebłagać, obejmuje ją i obsypuje pocałunkami piegowatą, zwykle pogodną, ale tym razem wyraźnie zasmuconą twarz.

– Idź odpocznij, ale nie gniewaj się na mnie. Zapomnij, co powiedziałam – prosi żarliwie.

– Co tam się dzieje?! – z oddali słychać wołanie Marty. – Co to za czułości? Matyldo, bierz się do pracy, bo zostawimy cię tu samą.

– Jedź do domu, my dokończymy! – krzyczy Janka.

Marta wsiada na rower i w towarzystwie Anny Radach, która ma łąkę po sąsiedzku, odjeżdża.

– Dziękuję. Wybaczysz mi? – Tila przybiera pokorną minę.

– Tak, ale nigdy więcej tak nie mów. – Ciotka jest bardzo poważna. – Nie ma lepszych i gorszych. Przed Bogiem wszyscy są równi.

Matylda chciałaby powiedzieć, że Żydzi na pewno nie są tacy sami jak Niemcy, ale nie wie, jak ciotka na to zareaguje, trzyma więc język za zębami.

– Miałaś mi powiedzieć, jak poznali się rodzice – przypomina sobie i, nie bacząc na bolesne odciski, znowu bierze się do pracy.

– Skończyłam na tym, że Polacy się zbuntowali. Zaczęło się w Poznaniu, a niedługo walki dotarły tutaj.

– I ty to wszystko pamiętasz?

– Tak. Miałam wtedy dwadzieścia sześć lat. Pamiętam bardzo dobrze.

– Po czyjej byłaś stronie?

– To nie takie proste. Serce chciało, żeby wygrali Polacy, ale rozum podpowiadał co innego.

– Dlaczego? – Tili wydaje się to dziwne. – Serce chce czegoś innego niż rozum?

– Widzisz, ja chodziłam tylko do niemieckiej szkoły, a tam mnie uczyli, że to ziemie niemieckie. Polska babcia, która mnie wychowywała przez pierwsze dziewięć lat życia i nauczyła mnie mówić i modlić się po polsku, opowiadała, że tutaj kiedyś była Polska. Dlatego uważałam, że będzie sprawiedliwie, jak Polacy odzyskają to, co do nich należało. A znowu Niemcy straszili, że Polacy nie potrafią stworzyć prawdziwego mocnego państwa, że będzie chaos i bieda, więc nawet ci w Chwalimiu, którzy czuli się Polakami, nie byli pewni, czego chcą. I ja też nie mogłam się zdecydować.

– Co było dalej? Opowiedz o rodzicach.

– Marta, twoja mama, była wtedy piękną dziewiętnastoletnią panną i miała narzeczonego. Jej rodzice zaplanowali ślub na wiosnę, gdy tylko wróci z wojny jej brat Wilhelm.

– Ale on przecież nigdy nie wrócił.

– Zaginał gdzieś na froncie wschodnim. Taki był los wielu żołnierzy.

– A kto był narzeczoną mamy?

– Ktoś ze wsi, ale nie powiem ci. Zapytaj mamę, to jej sprawa.

– Opowiadaj – prosi coraz bardziej zaintrygowana Matylda.

– W styczniu dziewiętnastego roku Polacy zdobyli Wollstein, Kopnitz^[8], Unruhstadt i weszli do Chwalimia, ale na krótko, bo szybko się wycofali. Jakoś na początku lutego Niemcy podciągnęli dużo wojska pod Unruhstadt. Tu wszędzie stały armaty – wyjaśnia ciotka, wskazując ręką na wzgórze leżące na północy.

– I wtedy ojciec spotkał mamę?

– Nie, jeszcze nie. Nie bądź taka niecierpliwa.

– Jak już byli gotowi – kontynuuje – zaczęła się straszna bitwa. Strzelała artyleria, karabiny maszynowe, wojsko nacierało na miasto właśnie od strony Chwalimia i naszych winnic. W końcu Niemcy zwyciężyli i zdobyli Unruhstadt, a iluż ludzi wtedy zginęło! To była krwawa walka. Cała wieś siedziała przerażona w domach. Wojna nie była dla nas taka przerażająca, jak ta bitwa właśnie. Kiedy sobie to przypomnę, to znowu ogarnia mnie strach, jak wtedy.

– A co z mamą?

– Mama była już od miesiąca w Unruhstadt. Twoja ciotka Lisa, jej starsza siostra, miała urodzić dziecko i babcia ją tam posłała do pomocy. Gdyby wiedziała, że będzie tak niebezpiecznie, nigdy by tego nie zrobiła. Na szczęście nikomu z rodziny nic się nie stało. Ale Polacy zostali wyparci do Kopnitz. Kiedy bitwa się skończyła, Niemcy wyszli z domów, gdzie dotąd się ukrywali, i z radości zaczęli wiwatować na cześć żołnierzy. Twoja mama też. I właśnie wtedy zauważył ją twój tata. Od razu się zakochał, bo była naprawdę śliczną dziewczyną. Zagadnął do niej, ale że nie mógł długo z nią rozmawiać, zaprosił ją do cukierni Peschela na następny dzień.

– I babcia pozwoliła mamie spotkać się z nieznajomym?

Tila jest tak podekscytowana, że nie zdaje sobie sprawy, iż na jej szyi siadła końska mucha. Dopiero gdy czuje piekący ból, niecierpliwym gestem strząsa natrętnego krwio pijęcę.

– Przecież babcia o niczym nie wiedziała. Tak naprawdę nikt mamy wtedy nie pilnował, uległa więc pokusie, za co los ją ukarał. Ale po kolei. Następnego dnia wystroiła się, poszła do Peschela i czekała na przystojnego żołnierza, a on się nie pojawił. Pomyślała więc, że z niej zakpił, i bardzo się zawstydzila. Nie wiedziała, że nazajutrz został ranny i trafił do szpitala. Gdyby wujek Wilhelm wrócił z wojny, mama wyszłaby wiosną za męża, a tak czekała ze ślubem. W maju zjawił się w Chwalimiu nieznajomy młody mężczyzna. Wypytywał o dom, w którym mieszka Marta Swade. Był to twój tata. Nie zapomniał o spotkanej w lutym dziewczynie, wrócił i ją odszukał. Pobrali się dopiero na Boże Narodzenie następnego roku, bo w październiku zmarli rodzice mamy i wszyscy byliśmy bardzo nieszczęśliwi – kończy opowieść Janka, rozrzucając ostatnią kupkę siana.

– Jak to się stało?

– Twój dziadek, Martin Swade, cały czas czekał na powrót Wilhelma. Jednak słuch o nim zaginął, chociaż jeszcze wielu żołnierzy wracało długo po wojnie. Dziadek i babcia Lisa, nie tylko w Chwalimiu, ale i w Unruhstadt, w Groß Schmöllen, nawet w Karschinie na Śląsku, odwiedzali każdego, który szczęśliwie dotarł do rodzinnego domu, i pytali, czy nie słyszał o Wilhelmie. Jeden z żołnierzy wrócił chory na hiszpankę i zaraził swoją rodzinę, a przy okazji dziadka i babcie. I tak, szukając syna, znaleźli śmierć – wzdycha ze smutkiem ciotka. – Zobacz. Przez nasze gadulstwo zostałyśmy na łąkach same – mówi, rozglądając się wokół.

– Ale dzięki temu poznałam aż dwie historie – romantyczną i smutną.

– Bo tak właśnie jest w życiu. Radość przeplata się ze smutkiem. – Janka milknie na moment, jednak otrząsa się z zadumy. – Pokaż ręce.

Nastolatka wyciąga przed siebie dłonie. Pęcherze popękały, a gdzieniegdzie z ranek sączy się krew.

– Zagoi się. Potem skóra nie będzie już taka wrażliwa – pociesza dziewczynę. – Jedźmy!

Chowają widły pod rozrzuconym sianem i ruszają rowerami w kierunku wsi. Na łąkach zostają jedynie kroczące z godnością bociany wypatrujące drobnych gryzoni na ostatni posiłek przed odlotem.

7

Kiedy Janka z Tilą wróciły od siana, obiad był gotowy. Marta, w porze pilnych prac polowych nie mając komu zlecić przygotowania posiłku, robi rano gęstą pożywną zupę z mięsem, tak zwany eintopf, i stawia ją z boku kuchennej płyty, aby w południe już tylko podgrzać potrawę. Tak jest i tym razem. Gospodyni nie może się doczekać, kiedy przekaże świeżo zasłyszane wieści. Zaraz po modlitwie, chwytając łyżkę, zaczyna:

– Mam nowiny. Anna mi powiedziała. Wszyscy podobno wiedzieli wcześniej, ale ja ostatnio miałam tyle pracy, że nie chodziłam do sąsiadek. A w niedzielę po nabożeństwie nikt nawet nie przystanął, bo szła burza.

Wykorzystując to, że Marta włożyła łyżkę do ust, Janka wtrąca:

– Powiedz wreszcie, o co chodzi.

– Paula Bruse sprzedaje dom. Podobno już się umówiła z jakąś rodziną spod Züllichau.

– I dokąd pójdzie? – dopytuje się kuzynka.

– Do Zehdenick^[9].

– Dziwię się jej. Stara kobieta idzie w obce strony?

– Co ma robić? Dzieci już dawno wyjechały. Pamiętacie, że w drugą niedzielę maja na Święto Matki przyjechała Helga z mężem? Rozmawiałam z nią. Martwiła się o matkę. Niby Paula całkiem dobrze się trzyma, ale w tym wieku

nigdy nie wiadomo. Helga mówiła, że cegielnia postawiła bloki dla pracowników. Oni też mają dostać mieszkanie i chcieliby matkę wziąć do siebie.

– Nie wierzę, że będzie jej tam dobrze. – Janka kręci głową.

– Ja bym chciała mieszkać w mieście. Nie musiałabym wstawać tak wcześnie – oznajmia Tila.

– Tak, a rano służba podawałaby ci śniadanie i wynosiła nocnik – gasi córkę Marta i, nie zważając na to, że Tila się nadąsała, wyjaśnia dalej: – Anna mówiła, że Helga wreszcie nakłoniła matkę do sprzedaży domu. Niedługo przyjadą ją zabrać. Dzisiaj, jak uda mi się wcześniej skończyć, pójdę do Pauli. Mam wyrzuty sumienia, że tak dawno do niej nie zaglądałam.

– Tylko nie idź zbyt późno. Po zmierzchu nikogo nie wpuści – ostrzega Janka. – Zamyka dom na cztery spusty. Gasi światło i idzie spać.

– Przecież wiem. Pójdę wcześniej. Chyba nie odpoczniemy po obiedzie. Zrobmy szybko, co niezbędne, i wracajmy do siana. Na pewno już ładnie wyschło.

Wieczorem, mimo że bolą ją plecy i dłonie, a skóra swędzi od ukąszeń komarów, Marta myje się i w czystym fartuchu wybiera się do Pauli Bruse. Kobieta mieszka niedaleko. Wystarczy wyjść na szosę, minąć jeden dom i skręcić z drogi w lewo. W pewnej odległości od głównego traktu stoi niewielki domek z szaroniebieskimi okiennicami. Jeden z nielicznych, które pozostały we wsi po dawnych czasach. Kiedyś, gdy Marta miała pięć – sześć lat, a Chwalim był wsią winiarzy, takie domki nie należały do rzadkości. Główne wejście było usytuowane zwykle od strony podwórza. Wewnątrz znajdował się korytarz prowadzący wprost do kuchni. Po jednej stronie był pokój, a po przeciwnej sypialnia. Ramy okien we wszystkich domach malowano na szarobłękitny kolor. Domek Pauli niegdyś otaczała winnica kończąca się nad łąkami. Dziś, kiedy winiarstwo w Chwalimiu praktycznie upadło, po winnicy nie ma śladu. Marta idzie wiśniową alejką, zastanawiając się, dlaczego Paula nie zerwała wszystkich owoców. Z wiśni tak dojrzałych, że prawie czarnych, byłyby doskonałe konfitury. Lada chwila mogą przylecieć szpaki i owoce się zmarują. Na ściernisku, za którym stoi dom pani Bruse, pasie się koza, ale jej właścicielki Marta nigdzie nie może dostrzec. Dopiero wchodząc na podwórze, zauważa Paulę. Siedzi na drewnianej ławeczce i patrzy przed siebie. Ręce, zawsze czymś zajęte, teraz leżą beczynne na podołku. Na stole szarym od deszczów i słońca stoi kubek z nietkniętym mlekiem i talerz z wystygłymi ziemniakami. Dźwięk zamykanej furtki wyrywa kobietę z zamyślenia. Widząc, że ma gościa, wstaje szybko i uśmiecha się serdecznie.

– Dobry wieczór, Marto. Stało się coś, że mnie odwiedzasz?

– Już dawno zbierałam się, żeby do ciebie przyjść, ale sama wiesz – żniwa, sianokosy, ogród. Ciągle coś. Nigdy nie mogę zdążyć.

– Pracujesz i pracujesz, aż pewnego dnia zrozumiesz, że to nie ma sensu, bo i tak musisz wszystko zostawić – stwierdza ze smutkiem gospodyni.

– Paulo – mówi zgorzonna Marta – przecież wiesz, że Pan nakazał ludziom pracować. Nie trudzimy się tylko dla siebie, ale i na chwałę Boga. Jak możesz mówić, że to nie ma sensu?

– Wiem, wiem. Ale takie mnie myśli nachodzą dziś wieczór. Mam nadzieję, że nasz Zbawiciel wybaczy starej kobiecie, która całe życie ciężko pracowała, że czasem miewa chwilę słabości. Dobrze, że przyszedłeś, Marto. Siadaj. Napijesz się koziego mleka? – proponuje.

– Nie. Dziękuję. Nie lubię go. Zawsze przeszkadzał mi ten zapach. Zupełnie inny niż ma krowie mleko.

– Och, dziewczyno – wzdycha. – Od razu widać, że nie zaznałaś biedy. – W głosie Pauli słychać lekką przyganę. – Ale kompotu z wiśni mi nie odmówisz?

– Nie. Bardzo chętnie się napiję.

– Pewnie już słyszałaś, że przenoszę się do Helgi? – pyta Paula, kiedy wróciwszy z kompotem, usiadła obok gościa.

– Tak, od Anny Radach. Tylko zastanawiam się, dlaczego robisz to teraz. Czy coś ci dolega?

– Starość, Marto, i jeszcze samotność. – Wyblakłe oczy Pauli zachodzą łzami. – Wszyscy mi mówią: siedź tu, dopóki możesz, pójdiesz do Helgi, jak opadniesz z sił do reszty. Ale ja tak nie chcę. Lubię towarzystwo kozy i kotów. Nawet z nimi rozmawiam i wydaje mi się, że rozumiem, co one mi odpowiadają. Jednak to tylko zwierzęta, a ja, póki mam siłę, chciałabym oglądać moje wnuki i prawnuki i być im pomocą, a nie ciężarem.

Zapada cisza. Obie kobiety siedzą na ławeczce i patrzą przed siebie. Wyglądają jak matka i córka. Są szczupłe, mocne i ogorzałe od słońca. Mają podobne, zakładane w kopertę fartuchy i chustki na głowach. Różni je tylko wiek, świadczący o nim kolor włosów wymykających się spod tkaniny i ilość zmarszczek na twarzy. Jeszcze oczy są inne. Marty – wciąż pełne srebrnego blasku, Pauli – zmatowiałe i zmęczone. Tam, gdzie spoglądają, piaszczystą drogą między małym gospodarstwem pani Bruse a łąkami wolno przesuwa się wóz pełen siana ciągnięty przez parę koni. Woźnica, postawny, lekko przygarbiony mężczyzna, idzie obok z lejcamy w ręku. Towarzyszą mu dwaj młodzieńcy, którzy obserwują z uwagą kołyszącą się niebezpiecznie stertę i przy każdym przechyleniu podpierają ją widłami to z jednej, to z drugiej strony.

– Twój dawny narzeczony, Marto – uśmiecha się Paula.

Marta nie odpowiada. Patrzy na człowieka, który miał być jej mężem. Z daleka nie widzi przedwcześnie posiwiałej głowy, ale dostrzega wysoką sylwetkę i wciąż sprężysty krok. Nagle przypomina jej się ta chwila sprzed miesiąca, kiedy w baraku nad jeziorem poczuła na sobie jego spojrzenie, i tak jak wtedy ciało przenika dreszcz.

– Żałujesz czasem?

– Nie, nigdy – odpowiada szybko. Zbyt szybko, jakby chciała ukryć, że nieraz się zastanawia, czy wtedy słusznie postąpiła, nie słuchając rodziców. Jakby sama przed sobą nie chciała się przyznać, że często myśli, jak potoczyłoby się jej życie, gdyby nie spotkała i nie pokochała Waltera. Może ze swym pierwszym narzeczonym rozumieliby się lepiej? Na pewno razem pracowaliby w gospodarstwie, byłiby dla siebie oparciem. Walter pochodzi z wielkiego miasta i stale za nim tęskni. Małżeństwo, do którego oboje uparcie dążyli, nie bacząc na przestrogi rodziców obojga, żadnemu nie dało pełni szczęścia.

– Ciężko mu teraz – ciągnie Paula. – Już od roku jest wdowcem. Czasem odwiedza go siostra mieszkająca po sąsiedzku, ale to nie to samo, co kobieca ręka na miejscu. Jest kogo karmić i opierać.

– Ma dzieci. – Marta sili się na obojętny ton. – Synowie, jak widzisz, już mu pomagają, a dziewczynki nie są takie małe, więc na pewno dużo zrobią w domu. Da sobie radę. Zresztą słyszałam, że wdowa po twoim kuzynie kręci się koło niego.

– Oj, aż przebiera nogami. Jakby mogła, siłą zaciągnęłaby go do ołtarza, ale on na żadną nie spojrzy. Taką ma wierną naturę. – Paula zerka ukradkiem na Martę, a ta, słysząc ostatnie słowa, oblewa się rumieńcem.

„Czyżby chciała mi dokuczyć?” – myśli i prędko zmienia temat: – Zobacz, pociąg jedzie.

Rzeczywiście, w oddali za łąkami przesuwa się nitka pociągu zdążającego do Züllichau. Słysząc głośny gwizd, po chwili zatrzymuje się na stacji, a potem rusza w dalszą drogę. Paula ze smutkiem i zadumą patrzy w tym kierunku.

– Byłam w twoim wieku, kiedy oddawali tę linię kolejową. W kwietniu tysiąc dziewięćset piątego roku ją otwarto – wspomina. – Ileż szumu przy tym robiono! Wszyscy poszliśmy patrzeć na pierwszy przejazd pociągu.

– Nie dziwię się, to musiało być wielkie wydarzenie i, jak się później okazało, ogromna szansa dla wsi.

– Co masz na myśli?

– Przecież wiesz. Tym pociągiem jechały nasze wina do Poznania. Zresztą nie tylko wina, bo i warzywa, owoce, a nawet zwierzęta. Także dzisiaj, chociaż linia kończy się w Unruhstadt, pociąg jest ważny. Tylu mężczyzn z całej okolicy pracuje poza domem i wraca wieczorem albo przyjeżdża raz w tygodniu czy raz w miesiącu. Całe to bydło, które pasie się nad rzeką, pociąg zawiezie do ubojni w Berlinie. Ile masła, sera, mleka, kapusty, malin, porzeczek, szparagów, a nawet miodu z chwalimskich lip i akacji przewozi się codziennie do stolicy i do innych dużych miast.

– Nie przeczę. Ale dziś inaczej na to patrzę. Do otwarcia linii kolejowej żyliśmy jak za murem. Mówiliśmy po swojemu, w kościele byliśmy grupą, dla której odprawiano specjalne nabożeństwo po wendyjsku, przestrzegaliśmy naszych obyczajów. Dziś, jak kogoś zapytasz, każdy mówi, że jest Niemcem. Tak mi się

zdaje, jakby to kolej wszystko zmieniała. Przyjechali inni ludzie, a nasze dzieci uciekły w świat. Gdyby nie ona, zostałyby w swojej wsi.

– I tak by uciekły. Czasu nie zatrzymasz, Paulo. – Marta wstaje niechętnie. – Na mnie już pora. Dobrze mi u ciebie, ale robi się chłodno i zaraz całkiem się ściemni. Muszę wracać do domu. Daj znać, jak będziesz czegoś potrzebowała. Kiedy jedziesz do Helgi? – pyta jeszcze.

– Na początku września. Do tego czasu uporządkuję wszystkie sprawy. Może kiedyś przyjadę tu pociągiem w odwiedziny. – Kobieta uśmiecha się smutno. – Idź, na pewno zobaczymy się przed moim odjazdem.

Marta już jest przy furtce, ale jeszcze się odwraca.

– Kto kupuje twój dom? Znasz tych ludzi?

– Tydzień temu byli tu obejrzyć wszystko. Niedługo ich poznasz – odpowiada Paula z zagadkową miną.

– Raz, dwa, trzy! Raz, dwa, trzy! Raz, dwa, trzy! Raz, dwa, trzy! Raz, dwa, trzy!

Głos mädelschaftsführerin Klary Stein, mimo monotonii wypowiedzianych komend, brzmi niezmiennie energicznie. Dwanaście dziewcząt ustawionych w dwóch rzędach wykonuje pokazywane przez przełożoną ćwiczenia. Wszystkie mają na sobie białe bawełniane koszulki, czarne szorty i sportowe buty. Musztra trwa już pół godziny. Ważne, by każde ćwiczenie wykonane zostało idealnie równo, tak jakby dziewczęta były jednym ciałem. Żadnego odstępstwa, żadnego fałszywego kroku, żadnej indywidualnej myśli.

Tila, zarumieniona z wysiłku, wyrzuca ramiona w przód, w bok, w górę i znów od początku w ustalonym rytmie. Obok, dokładnie to samo robi Rosina Petras. Na koniec pajac. Podskakują warkocze i drobne piersi.

Środowe popołudnia dziewczęta w Chwalimiu, podobnie jak wszystkie w Niemczech, spędzają na zajęciach sportowych. Tu, na należącej do szkoły łączce, powinno być ich więcej, ale rodzice potrzebują pomocy w gospodarstwie, dlatego zawsze kilka ma w dzienniczku usprawiedliwienie nieobecności. Zwykle nie stanowi to problemu, ale dzisiaj mädelschaftsführerin Klara Stein jest rozczarowana niską frekwencją, bo po musztrze miały doskonalić układy gimnastyczne, z którymi wystąpią za miesiąc na Święcie Dziękczynienia za Plony. A jak tu dobrze wszystko przygotować, kiedy nigdy nie ma kompletu? Mädelschaftsführerin robi jednak, co może.

Najpierw pokaz gimnastyki. Dziewczęta muszą wykonywać ćwiczenia identycznie, bo dopiero wtedy będzie się czym pochwalić, potem układ z szarfami w barwach narodowych, a na koniec najsprawniejsze ustawiają się do piramidy. Trzy najwyższe i zarazem najcięższe stanowią podstawę, przyklękając i podpierając się rękami. Dwie lżejsze wchodzą na nie i pochylone opierają ręce na barkach koleżanek. Na koniec najdrobniejsza wspina się na plecy drugiego poziomu, prostuje się i zwycięsko podnosi ręce. Panna Stein rzuca kijek gimnastyczne stojącej na szczycie. Później, podczas pokazu, będzie to proporczyk ich grupy w barwach czarnej, czerwonej i białej z wpisaną w romb swastyką. Rosina, która jest czubkiem piramidy, usiłuje złapać lecący w jej stronę patyk, przechyla się, traci równowagę i spada na trawę. Cała konstrukcja natychmiast się dekomponuje i ćwiczenie trzeba zaczynać od nowa. Mädelschaftsführerin przeczuwa, że dzisiaj niewiele już robi, bo panienki, zamiast skoncentrować się na zadaniach, patrzą w stronę pobliskiej rzeki.

Tam zbiórkę mają chłopcy z Jungvolku. Pan Lorenz, miejscowy nauczyciel, tłumaczy, jak należy wsiadać do kajaka z brzegu i jak z niego wysiadać, żeby nie wpaść do wody. Chłopcy wykonują polecenia, ale coraz to któryś ląduje w zimnej

wodzie, wywołując salwy śmiechu kolegów. Najczęściej przydarza się to grubemu i niezdarnemu Franzowi Klenke. Emil Weiler, który jest dla tych pimpfów^[10] kameradschaftsführerem, wyciąga rękę i pomaga wygramolić się Franzowi, a potem zachęca go do ponownej próby. Pan Lorenz marszczy brwi, ale nic nie mówi.

Dziewcząt nie interesuje technika wsiadania do kajaka ani też dwunastoletni kajakarze. Nauczycielowi, oprócz Emila, asystuje jakiś nieznany blondyn, i to właśnie on przyciąga uwagę gimnastyczek.

– Widziałas, jak on wygląda? – pyta Rosina, kiedy wracają do domu. – Jest taki piękny, jakby go z plakatu wyjęli.

– Jakiego plakatu? Co ty bredzisz?

Tila jest zazdrosna, że nie widziała chłopaka tak dokładnie, jak wspinająca się na szczyt piramidy Rosina.

– Ojej! Kiedy bliźniaczki były w szpitalu w Züllichau, mama zabrała mnie do nich w odwiedzin. Widziałam wtedy w mieście plakat, na którym piękny jak młody bóg chłopak zachęcał do czegoś. Nie pamiętam, o co chodziło, ale trzymał sztandar Rzeszy i był taki cudny!

– Sztandar czy chłopak?

– No jasne, że chłopak! Miał takie same włosy i niebieskie oczy jak ten nowy.

– Akurat widziałas z daleka, że miał niebieskie oczy. – W głosie Tili znów słychać kpinę.

– Widziałam!

– To dlatego wciąż spadałaś? – nie daje za wygraną.

– Nie. Spadałam, bo się ruszałaś, i nie mogłam utrzymać równowagi.

– Sama się kręciłaś i wbijałaś mi stopę w plecy. Tak to jest, kiedy się myśli o chłopakach zamiast o ćwiczeniach.

– Nie myślę o chłopakach, tylko jestem ciekawa kto to – broni się Rosina.

– Nazywa się Karl Holzer – wtrąca ktoś wesoło.

Kiedy się oglądają, widzą roześmianego od ucha do ucha Emila Weilera.

– Podśluchiwałaś! – krzyczą jednocześnie z oburzeniem.

– Tak jak wy wracam ze zbiórki. Dogoniłem was, ale na nic nie zwracacie uwagi, bo jesteście zajęte nowym chłopakiem. Zresztą klóćcie się tak głośno, że może sam Karl usłyszał.

– Co? Gdzie on jest? – Rosina rozgląda się w popłochu.

– Nie bój się. Nie ma go tu. Został jeszcze z pimpfami. Ma dopilnować, żeby schowali kajaki i wiosła.

– Ty powinieneś to zrobić – przypomina Tila. – Przecież jesteś kameradschaftsführerem.

– To prawda, ale pan Lorenz kazał Karlowi. Chyba chciał z nim

porozmawiać sam na sam albo sprawdzić, jak sobie poradzi.

– Skąd on się wziął w Chwalimiu? Oj, przepraszam, w Altreben? Powiedz nam – prosi Rosina.

Cała trójka przystaje, bo Emil mieszka przy placu, do którego dotarli, a Tila z Rosiną zaraz idą dalej.

– Powinnyście wiedzieć lepiej ode mnie. Przecież mieszka blisko was.

– Gdzie?

– Jego rodzice kupili dom od Pauli Bruse. Nie przyjechał z nimi, bo był na letnim obozie. Wrócił w niedzielę i od razu zgłosił się do naszej Kameradschaft. Wkrótce same go poznacie. Nie mam czasu stać tu z wami, bo obiecałem wujowi, że przyjdę na pole. Pewnie już mnie wypatruje.

Emil macha dziewczętom na pożegnanie i kieruje się do bramy domu, który stoi niedaleko remizy strażackiej. Koleżanki ruszają dalej.

Tila i Rosina są przyjaciółkami niemalże, odkąd nauczyły się chodzić. Pierwsza, będąc jedynaczką, Ignęła do rówieśniczki obdarzonej licznym rodzeństwem. Posesje ich rodziców oddziela ponadstumetrowa przestrzeń, na której rosną warzywa, sad pani Neumann i sad Petrasów. W płocie postawionym na granicy działek jest furtka, którą codziennie przechodzą do siebie. Niegdyś korzystała z niej babka Anna, kiedy chciała odwiedzić sąsiadkę, a potem Marta Swade, zanim poróżniła się z koleżanką z dzieciennych lat. Dziewczęta często mówią, że są siostrami, chociaż nikt by je za siostry nie wziął. Tila, o głowę wyższa od przyjaciółki, ma długie ciemnoblonde włosy, najczęściej zaplecione w warkocze, i szare oczy. Rosina to szczupła, niewysoka osobka o ciemnych krótkich włosach, ściętych równo tuż poniżej uszu, z grzywką nad piwnymi oczami.

– On nie jest nic a nic podobny do swojej rodziny – stwierdza Rosina. – Nigdy nie pomyślałabym, że ma z Holzerami coś wspólnego.

– Mnie też to dziwi. Nie widziałam go tak dokładnie jak ty, ale uważam, że on w porównaniu z resztą wygląda za dobrze. Słyszałam, jak mama rozmawiała z ciocią Janką, co zobaczyły, kiedy poszły do nich się przywitać.

– A co zobaczyły?

– Mówiły, że w życiu nie widziały takiego bałaganu. Wiesz, jak czysto było u pani Bruse. A teraz mnóstwo rzeczy wala się na podwórku. Te małe dziewczynki bawią się garnkami, korytkami dla kur, grabiami i to wszystko zostawiają gdzie popadnie. Pani Holzer wcale ich nie pilnuje i nie każe sprzątać. Ciocia Janka powiedziała, że pani Bruse zapłakałaby krwawymi łzami, gdyby widziała, co się dzieje z jej sprzętami – powtarza Tila z przejęciem.

– Widziałam panią Holzer. Jest taka gruba. – Rosina pokazuje rękoma rozmiary nowej sąsiadki.

– Słyszałam, jak Janka powiedziała do mamy, że ona chyba niedługo będzie

rodzić – szeptuje Tila.

– Co? Jeszcze jedno dziecko? Ma już czworo! – wykrzykuje zdumiona Rosina.

– Was jest więcej – stwierdza Tila z ironią.

– Ale my mamy porządek! Nasza mama daje sobie radę ze wszystkim. Nie porównuj nas do Holzerów! – Rosina czuje się dotknięta.

– Ciekawe, czy znowu będzie miała dziewczynkę.

– Dlaczego znowu? Przecież ma Karla.

– Ale on jest inny. Wszystkie córki mają rude włosy jak pan Holzer, a Karl ma jasne. Może go porwali albo adoptowali?

– Wiesz co, Tila, chyba naczytałaś się jakichś romansów. Przecież jego mama jest blondynką. Karl ma jasne włosy po mamie – autorytatywnie orzeka Rosina.

Zbliżyły się właśnie do domu Holzerów i obie wyciągają szyje, żeby zobaczyć, co dzieje się na podwórku, ale niczego nie mogą dostrzec, bo dom jest oddalony od drogi, a podwórko znajduje się na tyłach budynku.

Matylda nie spodziewała się wtedy, że panią Holzer pozna bliżej jeszcze tego samego wieczoru. Siedzieli właśnie przy kolacji, kiedy ktoś zapukał do drzwi od strony gościnnego ganku.

– Idź, zobacz, kto to.

Na polecenie matki Tila idzie długim korytarzem, otwiera najpierw przedzielające go w połowie białe przeszklone drzwi i dociera do wejścia od strony ulicy. Na ganku czeka kobieta. Rozsiadła się na jednej z dwóch symetrycznie rozmieszczonych ławeczek. Jest w zaawansowanej ciąży. Opuchnięte nogi wyciągnęła przed siebie i rozstawiła szeroko. Między masywnymi udami spoczywa rozdęty brzuch, a piersi wylewają się z opinającej ciała sukienki. Jedną rękę oparła na brzuchu, a drugą na dwulitrowej emaliowanej kance postawionej obok na ławce.

– No, nareszcie ktoś się zjawił. Pukam i pukam, a nikt nie przychodzi – mówi z wyraźnym wyrzutem.

– Bo wszyscy wchodzi do nas od strony podwórza. Tam jest drugie wejście – usprawiedliwia się Tila.

– Skąd miałam wiedzieć?! Przyszłam kupić mleko. Twoja matka mówiła, że sprzedajecie.

– Teraz?

– Teraz? – blondynka przedrzeźnia Tilę. – Co cię tak dziwi? Sklep zamknięty? Macie jakieś godziny otwarcia? Idź, zawołaj matkę, bo nie mam czasu ci tłumaczyć.

Kobieta opiera się o drewnianą ściankę altanki, dając do zrozumienia, że czeka na wypełnienie polecenia. Niemal jednocześnie za plecami dziewczyny zjawia się gospodyni.

– O, pani Holzer! Tila, dlaczego nie zaprosiłaś pani do środka?

– Nie weszłabym. Nie mam czasu na ploteczki. Chcę tylko kupić mleko – przybyła mówi stanowczo, jakby zawczasu chciała uciąć ewentualną rozmowę.

– Tila, idź pomóż cioci pozmywać po kolacji. – Marta podejrzewa, że będzie musiała zachować się nieuprzejmie wobec gościa, a nie chce tego robić przy córce.

Matylda posłusznie zagląda do kuchni, ale widzi, że Janka już sprzątnęła ze stołu i kończy zmywać talerze. Na krześle przy oknie siedzi ojciec i czyta gazetę, wycofuje się więc i po cichu wchodzi do pokoju gościnnego, w którym przez otwarte okno można usłyszeć, o czym rozmawia się na ganeczku.

– Pani Holzer, niech pani nie nalega. Nie sprzedam pani mleka wieczorem. Nikt we wsi nie sprzeda ani mleka, ani masła po zachodzie słońca.

– Co za głupstwa! Czy kto słyszał coś podobnego?! – dobiega Tilę uniesiony głos nieznamomej. – Przez wasze zabobony moje dziewczynki nie będą miały mleka na kolację.

– Trudno. Dzisiaj pani niczego nie sprzedam ani nawet nie dam za darmo. – Wprawne ucho dziewczyny wychwytuje w głosie matki nieprzyjazne nuty. – To nasze odwieczne obyczaje. Tak robili nasi przodkowie i my tak postępujemy. Wierzmy, że inaczej stracilibyśmy krowy, od których to mleko pochodzi. Nie wpuścimy też nikogo obcego do stajni, obory ani chlewa – wyjaśnia twardo matka. – Niech pani rano przyśle córkę, to chętnie dam jej mleko i za pierwszy raz nie będzie musiała płacić – dodaje pojednawczym tonem.

– Dobrze. Niech będzie. Przyślę rano Hildę. Kankę zostawię.

– Niech Hilda przyjdzie wcześniej, to dostanie mleko świeżutkie, prosto od krowy. Dobranoc, pani Holzer.

Tila widzi przez okno, że kobieta zmierza do furtki kołyszącym kaczym chodem. A kiedy jest już za płotem, mówi głośno, tak żeby ją dobrze słyszeli:

– Gdzie myśmy trafili? Co za wieś! Kompletna ciemnota i zacofanie!

9

Marta, Janka i Willi całą sobotę spędzili w winnicy nad Schwentesee. Dość chłodny i burzowy sierpień spowolnił wegetację winogron, dlatego prace, które zwykle wykonuje się wcześniej, oni rozpoczęli z dwutygodniowym opóźnieniem. Do wieczora zdołali ogłowić i prześwietlić krzewy winnej latorośli. Dzięki temu słońce będzie miało łatwy dostęp do każdego z dojrzewających gron. W południe z wozu, którym cała trójka przybyła, Marta zdjęła rower i pojechała do domu, żeby zrobić obrządek i przygotować ciepły posiłek na kolację. Zaraz potem wróciła i razem z Janką i Willim dokończyli pracę w winnicy. Przy okazji gospodyni oceniła wysokość i jakość przyszłych zbiorów. Nie zapowiadały się najlepiej. Jeszcze w lipcu wydawało się, że winogron będzie dużo, a dzięki panującym wtedy upałom owoce nabiorą słodczy. Niestety, później nastąpiła mniej korzystna pogoda.

Dlatego podczas wieczornego posiłku gospodyni skarży się i narzeka, przewidując kiepski rok dla wina.

– Marto – mówi zniecierpliwiony Walter – męczysz się z winnicą i niewiele z tego masz. Ostatnie prawdziwe zyski, o ile pamiętam, były jeszcze przed wojną. Tak twierdził twój ojciec. W tym czasie, kiedy ja tu mieszkam, cieszyliśmy się, jeśli nakłady się zwróciły. Wiem, że nie sprzedasz gospodarstwa, ale zastanów się, czy nie lepiej byłoby zlikwidować winnicę i posiać tam coś, co da jakieś pieniądze?

Marta nie odzywa się. Zawsze, kiedy mowa o ostatecznej likwidacji uprawy będącej przez dziesiątki lat specjalnością rodu Swadów, narasta w niej bunt. Odnosi wtedy wrażenie, jakby ktoś namawiał ją do grzechu, a ona się temu z całych sił opierała. Zwykle z ratunkiem spieszy Janka, ale dziś nawet ona nie staje po stronie kuzynki.

– Walter ma rację. Winnica od dawna nie przynosi zysku i nie warto jej dalej uprawiać. Wymaga bardzo dużo pracy. Gdybyśmy tyle wysiłku włożyli w maliny albo szparagi, mielibyśmy z tego o wiele więcej pieniędzy. Ty jesteś właścicielką i ty decydujesz – podkreśla przyjaciółka – ale ja uważam, że nie ma sensu tego ciągnąć. Prawie wszyscy sadzą coś innego.

– Jak możecie? – Marta odkłada łyżkę i odsuwa od siebie prawie pełny talerz. – Winnice są w Chwalimiu od ponad stu lat! W tym domu była kiedyś winiarnia. Każdy mógł zająć i napić się miejscowego wina. Winiarstwo to nasza tradycja od pokoleń. Nie zlikwiduję winnicy! – upiera się. – Na pewno nadejdą lepsze lata. Wszystkie kłopoty zaczęły się od tej przeklętej granicy z Polską. Przedtem nie mieliśmy problemu ze sprzedażą wina.

– No to mogę cię pocieszyć, że już niedługo tej granicy nie będzie.

Wszyscy przerwali jedzenie i czekają, co Walter jeszcze powie.

– Mówi się, że wkrótce Czechosłowacja odda Sudety Rzeszy – wyjaśnia mężczyzna. – Potem przyjdzie kolej na Polskę. Ziemie, które do nas należały, muszą być zwrócone. Wszyscy towarzysze partyjni twierdzą, że tak się z pewnością stanie.

– Niemożliwe – kręci głową Janka. – Polska bez walki nie odda ani kawałeczka swojej ziemi.

– Nie bądź taka pewna – odgraża się Walter. – Polska to słaby kraj. Ma nic niewarte wojsko. Nie to co my! Dla Polaków wojna byłaby szaleństwem.

– Polacy mogą być szaleni – odzywa się milczący dotąd Willi. Podczas rozmowy cały czas uważnie wpatrywał się w wargi mówiących, orientuje się więc, o czym mówią. – Walczyłem na wojnie razem z Polakami. Na pewno będą się bić – dodaje.

– Jeszcze zobaczymy. A jeśli nawet, to nasza armia rozdepcze ich w tydzień. Zostaw, Marto, tę swoją winnicę na rok albo dwa – łaskawie przyzwala Walter. – Do tego czasu powinno się coś wyjaśnić.

– Jeżeli wybuchnie wojna z Polską, to ciocia Janka zostanie naszym wrogiem? – pyta niespodziewanie Tila, która do tej pory tylko przysłuchiwała się rozmowie starszych.

– Dlaczego tak mówisz? – zwraca się do niej ojciec.

– Powiedziała mi, że jest Polką i że mama też nie jest Niemką. Jeśli będzie wojna, to po czyjej stronie będzie ciocia? A mama? Ja już nic nie rozumiem – kończy zdeorientowana dziewczyna.

Walter patrzy na Jankę surowo. – Co ty naopowiadałaś Tili?

– Powiedziała jej prawdę. Wiesz dobrze, że jestem Polką. Co tydzień jeżdżę na groby rodziców i do rodziny ojca po polskiej stronie.

– Ale jesteś obywatelką niemiecką i powinnaś być lojalna wobec swojego państwa! – Walter uderza pięścią w stół, jakby chciał podkreślić wagę wypowiedzianych słów.

– A czy ja nie jestem lojalna? Co możesz mi zarzucić?

– Przypomnij sobie, jak zbierano podpisy w sprawie niemieckich mszy w twoim kościele. Jak się wtedy zachowałeś? – mężczyzna nie daje za wygraną.

– Uspokójcie się. – Marta usiłuje załagodzić sytuację. – Nikt ci niczego nie zarzuca – zwraca się do Janki. – Ty jesteś tutejsza. Twoja mama była z Chwalimia. Miałaś ojca Polaka, ale cały czas żyjesz w Niemczech. Jesteś nasza, niemiecka.

– Jeżeli już, to nie niemiecka, a wendyjska – prostuje kobieta. – Tak samo jak ty. Prawdziwym Niemcem jest tylko Walter. – Widać, że Janka nie zamierza dalej dyskutować, bo wstaje od stołu i zaczyna zbierać puste talerze.

– Pierwsze słyszę, że to stanowi jakąś różnicę. Tila – Marta zwraca się do córki – pamiętaj, jakby cię ktoś pytał, jesteś Niemką, tak jak twoi rodzice. A teraz idź spać i nie zapomnij o modlitwie.

Kiedy dziewczyna wyszła, a Willi też już życzył wszystkim dobrej nocy i udał się do domu, Marta kategorycznym tonem przykazuje Jance:

– Nigdy więcej nie opowiadaj jej podobnych rzeczy. Jest młoda i nie wie, kiedy i co może komu powiedzieć. Palnie coś na zbiorce i będą nieprzyjemności.

– Powiedziała jej tylko prawdę – wzrusza ramionami kuzynka. – Większość chwalimiaków to Wendowie z pochodzenia. Walterze, czy ja skłamałam?

– Nie. Jednak zapominasz, że mają się za Niemców, a wendyjskość to tylko wspomnienie. Poza tym nasz Führer uważa, że Słowianie to mniej wartościowa rasa, lepiej więc się nie obnosić ze swym pochodzeniem.

– Wierzę. Widzę, co się dzieje z Żydami w Unruhstadt. Oni też nie kryli się ze swoim pochodzeniem.

– Janko, czy ty nie musisz jutro wcześniej wstać? – pyta Marta, chcąc uciąć tę schodzącą na niebezpieczne tory rozmowę.

– Muszę. Jak zwykle. Dobranoc.

Nadašana Janka wychodzi z kuchni, a zaraz potem słyhać jej ciężkie kroki na schodach wiodących na górę.

– Co jej się stało? Robi się strasznie drażliwa – szepcze Walter na wypadek, gdyby mogła ich jeszcze usłyszeć.

– Nie wiem. Jeździ do tej swojej rodziny po polskiej stronie i wraca nabuntowana. Jutro znowu wybiera się po nabożeństwie. Przecież jej nie zabronię.

– Już niedługo, Marto. – Walter obejmuje żonę z tyłu. – Wkrótce wszystko się zmieni. – Mówiąc to, dotyka ustami jej ciepłego karku. – Chodźmy na górę – szepcze niecierpliwie.

– Idź sam. Ja muszę jeszcze pozmywać. Posłałam Jankę do spania i zostałam z tym bałaganem.

– Pomogę ci. Daj mi coś, żeby się nie zamoczył.

– Co? A jak ktoś zobaczy szanowanego urzędnika i towarzysza partyjnego w fartuchu zmywającego talerze? – pokpiwa Marta.

– Niech zobaczy. Nic mnie to nie obchodzi. Chcę iść spać z moją żoną.

– I nie przeszkadza ci, że należę do gorszej rasy? – przekomarza się kobieta zalotnie.

– Zupełnie nie. Sprawdzałem nieraz i żadnych braków nie zauważyłem.

Janka, która nie może zasnąć wzburzona rozmową przy kolacji, jeszcze długo słyszy dobiegające z sypialni śmiechy i szepty.

10

Ktoś, kto w niedzielny poranek stanąłby w najwyższym punkcie wzniesienia i patrzył w kierunku południowym na wieś, widziałby, że dymy unoszą się z kominów coraz słabiej, a ludzie, zamknąwszy drzwi swoich domów, podążają drózkami i uliczkami ku głównej trasie wiodącej do pobliskiego miasteczka. Jak potoki czynią rzekę, tak odświętnie ubrane postacie tworzą ludzki strumień podążający na nabożeństwo do kościoła ewangelickiego w Unruhstadt. Nieliczni zostali w domach, by przygotować obiad. Ci pójdą później. Większość wiernych idzie pieszo. Stare kobiety przywdziały tradycyjny strój wendyjski. Najczęściej jest to ciemnoniebieska lub czarna spódnica własnoręcznie uszyta z wcześniej utkanego z wełny materiału. Do tego biała, również z samodzielnie utkanej materii lniana bluzka, a na niej czarny żakiet. Włosy przedzielone równo przedziałkiem i schowane pod niewielkim usztywnionym czarnym czepkiem. Nakrycie głowy wykończony jest szeroką, długą wstęgą zawiązaną w kokardę z tyłu głowy. Końce tej kokardy zwisają aż do bioder. Ponieważ jest dość chłodno, niektóre z kobiet przykryły ramiona białą chustą. Najstarsi mężczyźni również mają na sobie tradycyjny strój – ciemnoniebieskie spodnie wpuszczone w buty z cholewami, czarny surdut z długimi rękawami i także czarny, okrągły niski kapelusz. Młodszy noszą współczesne ubrania upodabniające ich do mieszkańców innych części

Niemiec. Jednak zarówno młodzi, jak i starzy trzymają w rękach grube książki do nabożeństwa. Niewielu jedzie do miasteczka rowerami, większość podąża pieszo, bo traktują tę wędrowkę jako okazję do rozmowy z innymi wiernymi, na co w wypełnionym pracą tygodniu często nie ma czasu.

Marta, zanim wyruszyła na mszę ze swoją rodziną, jak zwykle wydoiła krowy i wystawiła mleko dla mleczarni, Janka nakarmiła świnie i drób, Tila wypędziła krowy na pastwisko i narwała trawy dla królików. Walter, chociaż na co dzień tego nie robi, wyczyścił, nakarmił i napił Lotte. Potem wszyscy umyli się i teraz przygotowują się do wyjścia.

Marta długo stoi przed otwartą szafą. Nie brakuje jej ładnych sukienek, żakietów czy eleganckich butów, choć nie przepada za kupowaniem przyodziewku. Wpojona od dzieciństwa oszczędność i pracowitość nie pozwalają na wydawanie pieniędzy na błahostki, poza tym jak każda kobieta we wsi umie szyc. Kiedyś ręcznie, a od kilku lat, korzystając z męzowskiego prezentu – maszyny do szycia marki Veritas. Jednak odzież w szafie Marty przeważnie nie wyszła spod jej ręki. Większość stanowią sukienki i inne części garderoby podarowane przez bratową Waltera, Ewę. Zawsze, kiedy przyjeżdżali z Georgiem, dla każdego przywozili prezenty. Kobietom najczęściej coś z ubrania, co akurat było modne w Berlinie. Poza tym niektóre z sukienek Ewa dała Marcie po śmierci męża, kiedy postanowiła, że nie będzie już nosić kolorowych ubrań. Stąd w szafie wiszą jedwabne, wełniane i bawełniane bluzki i sukienki na każdą porę roku. Niektóre zdaniem Marty są zbyt strojne i zupełnie nie nadają się do kościoła, ostatecznie więc wybiera zieloną sukienkę z cienkiej wełenki i dopasowany w talii żakiet w brązowo-zieloną kratkę. Na głowę wkłada niewielki czarny kapelusik. Wie, że gospodynie noszące zwykle chustki na głowach będą z niej kpiły po cichu, ale ona lubi założyć od czasu do czasu coś eleganckiego, nie przejmując się więc przytykami. Uzupełnia ubiór czarnymi sznurowanymi z przodu trzewiczkami na niewysokim obcasie. Rzut oka w lustro i zadowolona z efektu wychodzi z sypialni. Walter i Matylda, też odświętnie ubrani, czekają na nią na dole schodów. Cała trójka ze śpiewnikami w ręku włącza się w nurt zmierzający do kościoła. Mają do pokonania około kilometra. Ci, co mieszkają na początku wsi od strony Züllichau, muszą przejść dwa razy dłuższą trasę, ale czas mija szybko, bo nie idzie się samotnie, tylko w towarzystwie ludzi, których łączą podobne sprawy.

Neumannowie woleliby przyspieszyć, bo widzą, że z domku za gminnym lasem wychodzą Helena i Ernst Klimowie, ale natykają się na krewnych, więc dość niechętnie zostają z nimi. Tila, kilka kroków przed rodzicami, idzie z Emilem Weilerem wychowywanym przez kuzynkę Marty. Hedwiga wraz z mężem Josefem Ulrichem mieszka w centrum wsi, niedaleko remizy strażackiej. Kuzynka kolejny raz postanawia poruszyć drażliwy temat babci Trudy.

– Przemysleliście już moją prośbę, żeby babcia zamieszkała u was? – pyta. – Macie taki duży dom, a w nim tylko cztery osoby.

– Ja się nie wtrącam. Załatwajcie to między sobą. – Walter zwalnia, bo przypomina sobie, że ma do omówienia ważną sprawę z burmistrzem Gustavem Kurmutzem, którego dostrzegł w grupie idących za nimi osób. Marta wolałaby, żeby jednak mąż się wtrącił i na przykład zabronił przeprowadzania babci do nich, ale widząc, że nie może na to liczyć, odpowiada:

– Przecież wiesz, że ona nigdzie nie pójdzie. To jest jej dom.

– Co ty opowiadasz? Jaki jej dom? – denerwuje się Hedwiga. – Już dawno nie ma tej małej chałupki. Nasz dom wybudował mój ojciec. Nawet sobie nie wyobrażasz, ile pracy i wyrzeczeń go to kosztowało. Rodzice na wszystkim oszczędzali, żeby tylko postawić porządny murowany budynek. Ty, Marto, nie wiesz, jak to jest, bo wszystko dostałaś gotowe. Wystarczyło, że przejęłaś gospodarstwo po dziadkach i rodzicach.

– Ale dlaczego wam aż tak bardzo zależy, żeby się pozbyć babci? – Marta udaje, że nie rozumie, o co chodzi kuzynce.

– Nie pozbyć. – Hedwiga jest coraz bardziej poirytowana. – Chodzi o to, że u nas jest straszny tłok. Babcia zajmuje jeden pokój. Drugi ja z Josefem. W trzecim śpią Elza, Anna i Katharine. W czwartym chłopcy – wylicza. – Za miesiąc Elza wychodzi za mąż i młodzi nie mają gdzie się podziąć. Narzeczony Elzy chce wziąć pożyczkę na budowę domu, ale zanim budynek stanie, muszą gdzieś mieszkać.

– Dlaczego dziewczęta nie mogą spać z babcią?

– Nawet o tym nie myśl! Nie wstyd ci, żeby coś takiego proponować? Tyle u was miejsca, a ty nie chcesz wziąć jej do siebie!

– Nie o to chodzi. Ja po prostu nie mam czasu się nią zajmować – tłumaczy się Marta. – U was jest tyle ludzi, zawsze ktoś przebywa w domu, a u nas najczęściej jest pusto, bo idziemy do ogrodu albo na pole. Kto się będzie nią opiekował?

Na szczęście dla Marty zbliżają się już do bramy kościoła. Przed drzwiami wejściowymi stoi pastor Artur Plumbaum i osobiście wita przybywających parafian. Niedaleko urzędnik parafialny pan Klebe wyjaśnia coś grupie mężczyzn. Maria Plumbaum, żona pastora, dyskutuje ze swoją siostrą, panią Erbtową, żoną radcy policyjnego. W tym otoczeniu i przed zbliżającym się nabożeństwem nie wypada kuzynkom ciągnąć sporu. Milkną więc i wymieniają ukłony ze znajomymi, a potem wszyscy za pastorem wchodzą do świątyni.

Podczas gdy jeden strumień ludzi wraca z Unruhstadt do domów, drugi, znacznie skromniejszy, podąża do miasteczka w kierunku kościoła katolickiego. W Chwalimiu mieszka niewielu katolików. Głównie wywodzą się od najdawniejszych polskich mieszkańców wsi. Do nich dołączyli robotnicy rolni

przybyli z odległej o kilka kilometrów Polski. Niektórzy na stałe pracują u chwalimskich gospodarzy, inni zjawiają się tu tylko w okresie prac sezonowych. Wśród katolików spieszących na południowe, odprawiane po polsku nabożeństwo idzie też Janka. Prowadzi rower, bo chce później, jak w każdą niedzielę, odwiedzić krewnych mieszkających w oddalonym o piętnaście kilometrów Siedlcu – wsi leżącej po polskiej stronie. Na razie towarzyszy pieszo rodzinie piekarza Gabriela. Przed wieloma laty nieżyjąca już pani Gabrielowa, żona piekarza, na prośbę babci Anny zajęła się katolickim wychowaniem Janki. To pod jej opieką, najpierw jako mała dziewczynka, później jako kilkunastoletnia panienka, udawała się na mszę do Unruhstadt. Pani Gabrielowa pomogła przygotować ją do Pierwszej Komunii Świętej. Odtąd prawie zawsze szła Janka na mszę z jej rodziną. Dzisiaj jest do omówienia ważna dla niewielkiej parafii sprawa – co podarować księdzu Wdowczykowi na jego przypadające w październiku imieniny. Tradycją jest, że podarunek to coś, co wzbogaci wyposażenie świątyni, na przykład bielizna ołtarzowa, kielich czy lichtarze. Ksiądz nie chce niczego dla siebie. Kościół powstał niedawno, wcześniej istniała jedynie kaplica, ale została przebudowana i powiększona, później dostawiono wieżę, a potem zakupiono jeszcze trzy niewielkie dzwony. Powstał budynek plebanii – ładna nowoczesna willa otoczona zadbanym ogrodem. Parafia kupiła też duży budynek przy Züllichauer Straße, gdzie zamieszkały siostry zakonne organizujące zajęcia dla dzieci, pomagające podczas przygotowywania uroczystości religijnych i prowadzące w owym budynku katolickie przedszkole oraz coś w rodzaju punktu pierwszej pomocy medycznej. Założono też cmentarz katolicki tuż przy wylocie z Unruhstadt w kierunku na Chwalim. Parafianie chętnie wspierają finansowo wszystkie przedsięwzięcia księdza Wdowczyka. Jest w tym także udział Janki, znaczny w stosunku do jej skromnych dochodów, ale najwięcej pieniędzy i pracy ofiarował właściciel firmy murarskiej, sklepu z materiałami budowlanymi i tartaku, nieżyjący już od kilku lat Josef Dimke.

Odkąd w Unruhstadt rządzą naziści, ksiądz Wdowczyk ma nieustannie kłopoty. Prawda, że sam je ściąga na swoją głowę. Bo po co z ambony zniechęca młodych katolików do Hitlerjugend? Czemu niedzielne msze odprawia po polsku? Cóż z tego, że większość jego parafian ma polskie korzenie, jeśli znają też język niemiecki? Dlaczego z uporem trwa przy swoim polskim nazwisku? Mógłby przecież zmienić je, tak jak jego rodzeństwo, na Wendow. „Doprawdy, dziwnie uparty z niego człowiek – myślą niektórzy parafianie. – Przecież mógłby, tak jak wielu innych duchownych, dobrze żyć z władzami. O ile lepsza byłaby wtedy jego sytuacja”. W ostatnich miesiącach ksiądz znowu ma kłopoty. Najbardziej aktywni parafianie narodowości niemieckiej, popierani przez miejscowe władze, postanowili zebrać podpisy pod deklaracją, że wszyscy tutejsi katolicy znają język niemiecki. Chcieli w ten sposób doprowadzić do likwidacji mszy w języku

polskim. Grupa inicjatywna w osobach nauczyciela Johanna Mantheya, radcy pomiarowego Völgera i egzekutora sądowego Grossa przystąpiła do akcji. Ze strony władz patronował temu z ochotą komisarz okręgowy Erbt, znany z wielkiej niechęci do Polaków. Towarzyszył zbierającym podpisy i dokumentował przedsięwzięcie, robiąc fotografie. Większość parafian podobno podpisała się pod petycją. Wiarygodność podpisów jest jednak dyskusyjna, skoro wśród wielu polskich nazwisk znalazło się też nazwisko Wdowczyka. Ci, którzy się nie podpisali, a była wśród nich Janka Kaczmarek, narazili się na różnego rodzaju represje ze strony władz i policji.

11

W niedzielne popołudnie Tila wybiera się w odwiedziny do babki Trudy Wielgus. Naprawdę nie jest ona babką, ale praprababcią Matyldy, matką Anny Swade, babcią Martina Swade i prababcią Marty Neumann. Ma dziewięćdziesiąt osiem lat i przeżyła wszystkie swoje dzieci. Jej potomkowie, noszący różne nazwiska, zamieszkują pięć domów w Chwalimiu. Ona sama dożywa swych dni przy rodzinie prawnuczki Hedwigi Ulrich.

Dziewczyna idzie tam bez entuzjazmu, ponieważ staruszka źle słyszy i trudno się z nią porozumieć. Nie ma jednak wyjścia, bo matka z niezrozumiałych powodów uparła się, żeby Tila właśnie dzisiaj złożyła wizytę nestorce rodu.

Idąc przez wieś, słyszy dobiegający z niektórych domów religijny śpiew. Kiedyś zdziwiona zapytała matkę, co to znaczy. Ta wyjaśniła, że to stary tutejszy obyczaj. W niedzielę, mniej więcej między czternastą a szesnastą, całe rodziny spotykały się, żeby śpiewać pieśni religijne, bo przecież niedziela to Dzień Pański i Panu go trzeba poświęcić. Z czasem ta tradycja zaczęła zanikać, ale wszędzie tam, gdzie są jeszcze starzy ludzie, śpiewa się jak przed laty i to nie po niemiecku, a po wendyjsku.

Truda Wielgus mieszka w samym centrum wsi, przy placu, którego najważniejszym punktem jest ogrodzony drewnianym płotem i otoczony lipami pomnik poświęcony poległym na wojnach mieszkańcom wsi. Od porośniętej trawą i poprzecinanej koleinami płaszczyzny rozchodzą się drogi prowadzące w wielu kierunkach. Można iść brukowanym traktem prosto na południe, minąć po lewej stronie warsztat kotlarski Karla Bauma, po prawej remizę strażacką, kuźnię Heinricha Kluge, kilka domów, a między nimi obejście szewca Paula Malchera, i ostatnie, leżące na obrzeżach gospodarstwo Gustava Schulza, przejść między łąkami, potem przez most na rzece, znowu łąki i dotrzeć do stacji kolejowej. Skręciwszy z placu na zachód, a później przy gospodarstwie Hermanna Karche ostro na południe, dojdzie się ciasną uliczką do warsztatu stolarskiego Georga Neumanna, a zaraz potem do pięknej, ceglanej, otoczonej bujną zielenią i doskonale utrzymanym ogrodem starej szkoły.

Idący prosto na zachód piaszczystą drogą dotrze do gęsto zabudowanej części wsi. Natrafi tam na kolejne skrzyżowanie pięciu dróg, a przy każdej stoją domy rolników i rzemieślników, m.in. firma Reinholda Löhela, w której wytwarzane są dachówki, a dalej piekarnia Gabrielów. Jedną z tych tras mógłby zawędrować nad rzekę, przejść przez stary most i trafić na łąki.

Wyjechawszy z placu na główny trakt i skręciwszy na zachód, przejdzie się obok budynku nowej szkoły, a po jakimś czasie dotrze do cmentarza ewangelickiego, później zaś można jechać do Gross Schmöllen albo Züllichau. Tu znowu podąży się, stąpając po bruku, asfaltowa szosa prowadząca z Unruhstadt urywa się bowiem obok domu Paula Kubika. Wyłożona kamieniami droga kończy się dopiero przy cmentarzu i znów przechodzi w gładki asfalt.

Gdyby ktoś minął ogromny szary głaz leżący na obrzeżu placu, tuż przy głównym trakcie, dokładnie naprzeciwko zabudowań rolników Swady i Kliema, i skierował się na wschód, to po jakimś czasie trafiłby do Unruhstadt. Przy zachodnim obrzeżu placu w gęstej zabudowie znajduje się dom Paula Faustmanna, a w nim punkt pocztowy oraz sklep, naprzeciwko natomiast stoi okazała gospoda Richarda Röhra, a nieco dalej wyszynk Friedy Androl, z kolei na wprost drogi prowadzącej na stację przedsiębiorstwo transportowe, a zarazem skup warzyw i jajek Wilhelma Ulricha.

Każdy, kto zmierza ku stacji kolejowej, do szkoły, sklepu bądź załatwia inne sprawy w okolicy placu, musi być zauważony i oceniony przez Kerstin Heckman. Jej dom stoi przy ulicy niemal naprzeciwko pomnika, trudno więc wyobrazić sobie lepszy punkt obserwacyjny. Dlatego jeśli akurat emerytka, pani Heckman, nie zajmuje się codziennymi obowiązkami albo nie oddaje rozmowie ze swoją serdeczną przyjaciółką Gretą Kisch, z całą pewnością, opierając łokcie na miękkiej poduszeczce, trwa na swym posterunku w otwartym oknie. Jej nieodłącznym towarzyszem jest tłusty rudy kot. Oboje, zwierzak i jego pani, wodzą czujnym wzrokiem za przechodniami i wydają się rejestrować wszelkie zdarzenia i osoby będące w jego zasięgu. Zbliżając się do okna pani Heckman, choćby było zamknięte, panienki przyglądają spódnice, mężatki sprawdzają, czy dekolt sukienki nie jest zbyt głęboki, a dzieci wracające gromadnie ze szkoły nagle cichną i ustawiają się parami. Nawet pies biegnący z głośnym ujadaniem za rowerzystą w pobliżu tego miejsca zatrzymuje się i z podkulonym ogonem wraca do swego gospodarza.

Tila także, dostrzegłszy z daleka postać w oknie, bezwiednie dotyka włosów, czy nie są rozczochrane, i ogląda sukienkę, czy aby nie ma na niej plamy. Przechodząc obok pani Heckman, głośno i wyraźnie pozdrawia ją i uśmiecha się do kota. Nie zmienia to surowego i czujnego wyrazu twarzy obojga obserwatorów, ale przynajmniej może mieć nadzieję, że jutro nie nasłucha się o swoim niewłaściwym zachowaniu.

Babka Truda siedzi nieruchomo na ławeczce przed płotem i patrzy na plac. Matylda już z daleka widzi staruszkę ubraną w długą czarną spódnicę i czarny sweter. Na stopach wykrzywionych reumatyzmem ma wygodne bezkształtne kapcie uszyte z baraniej skóry z kozuchem. Obok ławki stoją dwie laski, dzięki którym może się jako tako poruszać. Na widok Matyldy jej pożłobioną bruzdami twarz rozjaśnia uśmiech.

– Przyszłaś? A ja tu *sa* siedzę i oglądam świat. Na *plodwuyrku* jak w grobie. Wcale ludzi nie widać, a tu popatrzę na dzieci, pogadam, zobaczę, gdzie kto idzie.

– Dzień dobry, babciu! – Dziewczyna pochyla się i obejmuje siedzącą kobietę. Natychmiast owiewa ją woń naftaliny, moczu, niedomytego ciała i ziół. Taki zapach kojarzy ze starością, bo zawsze towarzyszy kobietom w podeszłym wieku, obok których zdarza się jej siedzieć w kościele.

– Mama babcię pozdrawia i przysyła ciasto! – mówi głośno, prawie krzycząc.

– Połóż to tutaj. – Staruszka wskazuje ławkę. – Usiądź, dziecko. Powiedz, co tam słyhać u Anny.

– Babcia Anna nie żyje!

– Co? Anna nie żyje?

– Babciu, moja mama ma na imię Marta, a babcia Anna umarła cztery lata temu! – wyjaśnia zniecierpliwiona Tila.

– Ach tak, wiem, tylko imiona mi się pomyliły. A ty jesteś taka ładna jak moja Ania. Ona też takie *dlugie* włosy miała. No to mów, co tam u was?

– Wszystko dobrze! Mama mówi, że wkrótce będziemy winogrona zbierać i robić wino!

– Co?

Tila szuka w pamięci słów, które babka lepiej zrozumie. Wreszcie bardzo głośno mówi wprost do ucha staruszki:

– *Matka bąnóm łobiyrać winło we winicyj*^[11]!

– A, to już wiem – kiwa głową Truda.

– Kto tu tak krzyczy? I to po wendyjsku!

Z głębi podwórza wyłania się Emil Weiler.

– Dobrze, że przyszedłeś. – Tila z ulgą wznosi oczy do nieba. – Jeszcze trochę, a zaniemówiłabym na tydzień. Babka strasznie źle słyszy.

– Niestety, to prawda – przyznaje chłopak. – Z jej słuchem jest coraz gorzej. Pamięć też szwankuje. Ale poza tym jest nieźle.

Emil siada obok babki. Z drugiej strony przycupnęła Tila.

– Moje kochane wnuki przyszły mnie odwiedzić – cieszy się staruszka, odsłaniając w szerokim uśmiechu bezzębne jak u niemowlęcia dziąsła.

– Praprawnuki, babciu! – krzyczy dziewczyna.

– Nie strofuj jej. Przecież nie może wszystkich spamiętać. Dla niej

najważniejsze jest to, że należymy do rodziny.

– A byliście dziś na nabożeństwie?

– Byliśmy, babciu!

– Co *duchłownyk* Zakobielski na *kołzaniu piol*?^[12] – sprawdza ich jak niegdyś swoje dzieci, kiedy wróciły z kościoła.

– Emil, jaki Zakobielski? Co ona mówi?

– Ludwig Zakobielski był pastorem, który specjalnie dla chwalimiaków w co drugą niedzielę odprawiał nabożeństwo w języku wendyjskim. Ale ostatnie odbyło się trzydzieści lat temu – wyjaśnia Emil i zwraca się do babki Trudy, mówiąc głośno i powoli: – Babciu, teraz jest pastor Plumbaum, a w kazaniu mówił o tym, jakim wzorem jest dla nas Abraham i żebyśmy się nie bali odpowiadać na wezwanie Boga.

– *Ma! Bułys tam*^[13] – stwierdza zadowolona.

Matylda zerka na Emila z podziwem, bo ona długo musiałaby sobie przypominać, o czym była mowa podczas nabożeństwa. Rzadko kiedy koncentruje się na słowach kapłana. Najczęściej rozmyśla o czymś albo wypatruje znajomych siedzących na emporach okalających nawę główną. Dzisiejszej niedzieli daremnie starała się dojrzeć Karla Holzera.

– Dobrze z ciebie dziecko, Emilu. Jak tylko będę zdrowsza, pójdę do kościoła na nabożeństwo albo pojadę rowerem.

– Dobrze, babciu. Ja ci ten rower naszykuję – obiecuje chłopak.

Ucieszona babka głaszcze go po piegowatej twarzy i rudobrazowych włosach, a Tili wydaje się, że między jej szesnastoletnim kuzynem a starą kobietą istnieje jakieś tajemne porozumienie.

– Emilku, weź *sa* placka, Marta przyniosła.

Chłopak rozpakowuje zawiniątko leżące dotąd na ławce i oczy mu się śmieją do kawałków żółtego od jajek i pełnego rodzynek ciasta. Podsuwa je babce, ale ona odmawia.

– Ostatnio nie mam apetytu na słodkie – usprawiedliwia się. – Taka jestem słaba.

Również Tila kręci przecząco głową.

– Nie mam ochoty. Mieliśmy na obiad potrawkę z królika. Chyba za dużo zjadłam.

– To dobrze. Ja się chętnie poczęstuję. Ciocia Hedwiga, jak co sobotę, zrobiła ciasto drożdżowe z jabłkami. Dwie duże blachy! Anna z Katharine zaniósły je do pieca u Gabriela. Jak przyniosły gotowe, ciocia dała każdemu po kawałku i tak poszła jedna blacha, a drugiej nie pozwoliła ruszać, żeby coś zostało na dzisiaj. Uwierz mi, nikt nie zjadł tyle, ile by chciał, a już nie ma ani okruszka.

– U nas jest inaczej. Mama piecze w domu, bo do Gabriela za daleko. A ciasto zostaje nawet na poniedziałek albo i na wtorek.

Tymczasem babka z uwagą wpatruje się w postacie idące drogą. Z daleka trudno jej kogokolwiek rozpoznać.

– Kto tam idzie? To chyba *cudzi ludzie*? – pyta.

– Nie wiem, babciu! – krzyczy Tila – To ludzie z Unruhstadt. Idą nad Schwentesee.

– Nad *jeździortło*? *Bulaś tam*? A co tam jest?

– Nic takiego. Posiedzą sobie nad wodą. Może popływają łódkami, pospacerują, potańczą. To co zwykle, babciu.

Po chwili Truda zaczyna się wiercić niecierpliwie. – Emilku, *zapągwaj* mi *knepe*^[14] pod szyją. Zimno.

Chociaż chłopak zapiął guzik swetra, babka wkrótce oznajmia: – Pójdę już, bo chłodno się zrobiło. Dzieci, pomóżcie mi wstać – prosi.

Mimo to najpierw próbuje sama się podnieść, podparłszy się lewą ręką, prawą sięga po laskę. Emil natychmiast zrywa się z miejsca i podaje jej drugą, potem, uważając na każde stąpienie staruszki, troskliwie holuje ją do furtki.

– *A zawrzyj łolice*^[15], *co by psy nie weszły* – babka wydaje polecenie Tili.

Na podwórku wychodzi im naprzeciw ciotka Hedwiga. Dziewczyna wita się z wujostwem, kuzynkami i kuzynami. Na chwilę zagląda do domu, ale że matka kazała jej wrócić na wieczorny obrządek, wkrótce żegna się z krewnymi.

– Zaczekaj, odprowadzę cię. – Emil otwiera przed nią drzwi.

– Nie trzeba, przecież znam drogę.

– I tak muszę zająć do wuja Wilhelma i zapytać, czy nie ma dla mnie jakiegoś zajęcia na jutrzejsze popołudnie. Chodźmy.

Już za bramą Tila zagaduje: – Pracujesz u Wilhelma Ulricha? Co tam robisz?

– Czasem coś naprawiam, sprzątam, ładuję warzywa. Muszę zarabiać. Nie mogę być bez przerwy na utrzymaniu ciotki Hedwigi.

– Przecież twój ojciec przysyła cioci pieniądze.

– Niestety, już od dawna tego nie robi. Po śmierci mamy, kiedy wyjechał do pracy w cegielni, wysyłał pieniądze na moje utrzymanie, ale wiesz przecież, że w ubiegłym roku się ożenił i wtedy przestał. Napisał, że jestem prawie dorosły i sam muszę na siebie zarobić – kończy smutno Emil.

– I co, ciocia kazała ci iść do pracy?

– Nie, ona jest bardzo dobra, wujek Josef też. Sam wiem, że nie mogę być dla nich ciężarem. Mają pięcioro swoich dzieci. W dodatku Elza wychodzi za męża i chcą jej wyprawić wesele – wyjaśnia chłopak. – Ojciec kiedyś obiecał, że weźmie mnie do siebie, ale jak się ożenił, to już o tym nie wspomina. Chciałbym już być dorosły, skończyć naukę w szkole zawodowej i zostać murarzem. Teraz murarze dobrze zarabiają. W Berlinie szukają fachowców. Od razu znalazłbym pracę.

– Wyjechałbyś stąd? – Tila wpatruje się w kuzyna z uwagą.

– Czemu nie? Ulżyłoby im trochę. Elza z mężem muszą na razie zamieszkać

tutaj. Nie wiem, jak się wszyscy pomieścimy – dodaje zatroskany.

Właśnie mijają dom Wilhelma Ulricha. Na podwórzu widzą mały autobus, który codziennie kursuje po wioskach.

– Nie idziesz do wuja?

– Zajdę, jak będę wracał. Najpierw odprowadzę cię do domu.

– Jak to się stało, że masz dzisiaj wolną niedzielę? Wydawało mi się, że zwykle idziecie na strzelnicę albo biegacie w lesie – dziwi się Tila.

– Dowódcy grup Hitlerjugend mają szkolenie w Züllichau, wyjątkowo mogliśmy więc zostać w domu. W następną niedzielę chłopcy z mojego rocznika mają biegi przełajowe na dziesięć kilometrów w lasach za jeziorem.

– Ty też?

– Jasne! I zamierzam być najlepszy!

– Wierzę, że wygrasz. Zawsze byłeś pierwszy. A jaki jest Karl Holzer?

– On jest o rok starszy. Nie biegnie ze mną – odpowiada Emil wymijająco.

– Ale jaki jest w ogóle? – Tila nie daje za wygraną.

– O co ci chodzi? Pytasz, jak wygląda? Przecież go widziałas.

– Tylko z daleka. Myślałam, że będzie na nabożeństwie, ale chyba poszedł na inną godzinę.

– Nie. On jest niewierzący.

– Jak to? – dziwi się Matylda, bo nigdy nie słyszała, żeby ktoś był niewierzący. – Skąd wiesz?

– Sam mówił. Powiedział, że bogiem jest dla niego Adolf Hitler, a religią nazizm.

Po raz pierwszy Matylda nie wie, co powiedzieć, bo z jednej strony jest chrześcijanką, powinna więc potępić słowa Karla, a z drugiej – ona, tak jak inne dziewczęta, zafascynowana jest Führerem. Emil również nie komentuje deklaracji kolegi. Przez długą chwilę idą w milczeniu. Wreszcie kłopotliwą ciszę przerywa dźwięk silnika zbliżającej się od strony Unruhstadt dekawki doktora Pupkego.

– Pewnie ktoś zachorował.

– Byle nie Willi. Mama strasznie by się zdenerwowała, bo będzie potrzebny przy zbiorach winogron. Nie damy rady bez niego – wzdycha smutno dziewczyna.

– A co właściwie jest Williemu?

– Jak był na wojnie, granat wybuchł bardzo blisko i zranił go w głowę. Z tego powodu nie słyszy, ale nauczył się czytać z ruchu warg. Kiedy się mówi, stojąc przodem do niego, rozumie wszystko. Najgorsze jest to, że bardzo często boli go głowa. Niekiedy nic nie może robić. Doktor zwykle daje mu morfinę, ale mama uważa, że to nie jest dla Williego dobre, bo staje się wtedy jakiś dziwny. Ostatnio mocno schudł, nie ma apetytu i ciągle chodzi senny.

– To dlaczego go zatrudniacie? Chyba nie macie z niego żadnego pożytku.

– Tak źle nie jest. Robi na polu i na łące. W gospodarstwie potrzebny jest

mężczyzna, a tata, jak wiesz, pracuje w urzędzie. My same nie damy rady, chociaż jest nas trzy.

– To może weźcie kogoś innego.

– Nie wiem. To nie moja sprawa, ale chyba tata by nie chciał. Willi jest weteranem wojennym i kiedy dwa lata temu nasz poprzedni robotnik odszedł, tata poprosił mamę, żeby wzięła Williego. Tata też był na wojnie i żał mu kolegi.

– No tak. Tym, którzy jak on walczyli za ojczyznę, coś się od nas należy. Zobacz, już jesteśmy koło twojego domu. – Emil jest najwyraźniej zawiedziony. – Za szybko nam droga minęła.

12

Birgit sprząta biuro już od co najmniej piętnastu minut. Trzeci raz pochyła się nad biurkiem Waltera. Wyciera kurz i odsłania przy tym wydatny biust wylewający się z dekoltu. Niby niechcący zrzuca na ziemię pudełko ze spinaczami i kuca przy nogach urzędnika. Niespiesznie zbiera spinacze poufale wsparta dłonią o jego udo. Raz po raz podnosi głowę i rzuca krótkie spojrzenie, uśmiechając się przy tym zalotnie.

Walter czuje się niezręcznie. Chętnie skończyłby ciągnący się od kilku miesięcy romans ze sprzątaczką, ale nie wie, jak to zrobić. Miło jest niekiedy odetchnąć po pracy, a Birgit nie robi problemów. Wystarczy drobny prezencik od czasu do czasu. Kobieta lubi pofiglować, więc układ dla obydwu stron jest bardzo wygodny. Mimo to przez ostatnie tygodnie starał się unikać kochanki i nie zostawał dłużej w biurze. Jeśli miał coś do napisania, brał pracę do domu. Tym razem jednak musi na jutro przygotować raport na podstawie poufnych dokumentów, których nie może wynieść z biura. W dodatku wydaje mu się, że wszyscy już wyszli, został tylko on i dziewczyna wyczekująca choćby najmniejszej zachęty z jego strony. Urzędnik pochyła się nad papierami, ale trudno mu się skupić. Birgit dobrze wie, jak zainteresować sobą mężczyznę.

Kiedy nieoczekiwanie sprzątaczką opuszcza gabinet, Walter oddycha z ulgą. Jednak radość jest przedwczesna, bo drzwi znowu się otwierają.

– Sprawdziłam! Nie ma już nikogo! – oznajmia Birgit kokieteryjnie, patrząc w kierunku mężczyzny spod przymkniętych powiek. Wcisną się za biurko i bez skrzepowania siada mu na kolanach.

– Jesteśmy sami. Nie musisz się bać, że ktoś nas zobaczy – mruczy namiętnie prosto w ucho i skubie je delikatnie wargami.

– Birgit! Przestań! Nie mam czasu! – Walter usiłuje się bronić przed natarczywymi zalotami kochanki, ale jego głos nie jest już tak zdecydowany, jak by tego chciał.

– Nie przesadzaj – droczy się Birgit. – Chwilka zabawy i wrócisz do swej nudnej pisaniny. – Dobrze wie, że kochanek nie zdoła się jej oprzeć. Wierci się

na kolanach Waltera i napiera na niego bujnymi piersiami.

– Birgit, proszę... – głos Waltera brzmi chrapliwie.

– O co prosisz? Powiedz tylko... – mruczy zarumieniona. Oczy jej błyszczą, a ręce z wprawą rozpinają pasek od spodni. – No już, nie bądź taki, przecież czuję, że masz na mnie wielką ochotę.

Niestety, to prawda. Mężczyzna nie ma siły dłużej się opierać. Za miejsce miłosnych uciech służy im puste biurko kolegi, wielokrotnie wytarte dziś z kurzu. Po wszystkim Walter porządkuje garderobę i z poczuciem winy zasiada znowu do pracy. Birgit co prawda chciałaby jeszcze się trochę popieścić, ale tym razem urzędnik jest stanowczy i nie pozwala jej na dalsze figle.

– Słuchaj – mówi do ciągle jeszcze rozpalonej niedawnymi karesami dziewczyny. – Musimy z tym skończyć. Jeżeli ktoś się dowie, będę miał kłopoty.

– Ja nikomu nie powiem. Nie bądź taki strachliwy. – Kochanka pogardliwie wydyma wargi i przechyla krzesło do tyłu.

– Birgit, jestem urzędnikiem. Nie umiem robić niczego innego. Wiesz, że za romans w pracy mogą mnie zwolnić. Jeżeli wybuchnie skandal, w partii też mi nie darują – próbuje jej tłumaczyć. – O Marcie nie wspomnę. Będę skończony.

– A co to mnie obchodzi? – kobieta śmieje się beztrąsko.

– Jak to? Przecież ty też stracisz pracę, poza tym to nie będzie dobre dla ciebie, jeśli zaczną mówić, że miałś kontakty z żonatym mężczyzną.

– Praca nie jest mi potrzebna, bo niedługo wychodzę za mąż – oznajmia triumfalnie.

– Co? Nic nie mówiłaś! Za kogo? – W głosie Waltera brzmi rozczarowanie.

– Za Hansa Müllera. Wprawdzie nie jest taki mądry jak ty, ale to jedynak i ma bogatych rodziców. No i lubi to co ja – chichocze drażniaco. – Na pewno nie będę się nudzić w nocy.

– To tym bardziej powinnaś unikać skandalu – strofuje ją poirytowany.

– Może masz rację. Ale Hans i tak uwierzy we wszystko, co mu powiem.

– A co można powiedzieć w takiej sytuacji!

– Na przykład... – kobieta jakby się namyślała nad odpowiedzią – na przykład... że mnie uwiodłeś! – kończy zadowolona.

– Birgit! Proszę! – Walter jest nie na żarty przestraszony. – Nie mów takich rzeczy! Jak możesz! Już nie pamiętasz, jak krążyłaś wokół mnie? Jak mnie osaczałaś swoimi zalotami?

– Och! Niewiniątko się znalazło! – Kochanka wybucha śmiechem.

– Birgit!

– Birgit! Birgit! – przedrzeźnia go z grymasem na twarzy. – Nic innego nie umiesz wymyślić? Gdybym wiedziała, że jesteś taki strachliwy, nie zaczynałabym z tobą.

Wstaje z krzesła i wpatruje się ironicznie w Waltera. Otwierając drzwi, mówi

dobitnie:

– O tym, kiedy kończą się moje romanse, ja decyduję. Jeszcze nie wiem, czy cię uwolnię. W końcu mam swoje potrzeby.

Walter długo nie może zebrać myśli. Czuje, że znalazł się w pułapce. Jeden nierozważny krok i jego reputacja zaczęła zależeć od dyskrecji cynicznej, traktującej go niczym zabawkę dziewczyny. Chwilę stoi przy oknie, patrząc na opustoszały rynek. Robi się ciemno, zabiera się więc do pracy i po godzinie raport jest gotowy. Nie chce mu się sprawdzać długiego elaboratu, zostawia go zatem od razu na biurku kierownika urzędu.

13

Jest prawie ciemno, a Marta już krząta się po kuchni, przygotowując obfity posiłek, który zostanie zjedzony dopiero wieczorem po winobranii. Tęta nakryła poprzedniego wieczoru długi stół w dużym pokoju, dostawiła do niego dwie ławy, a na komodzie wypełnionej bielizną stołową umieściła bukiet różnokolorowych astrów w wazonie. W kuchennym piecu już trzaska ogień, Marta rozgrzewa więc tłuszcz w brytfannie i wkłada do niej surową szynkę, która wcześniej przez dwie doby moczyła się w ziołowo-czosnkowej marynacie. Mięso obsmaża się ze skwierczeniem, a gospodyni nastawia zupę. Wczoraj ugotowała kompot ze śliwek, ale niedużo, bo wie doskonale, że podczas winobrania i po nim najlepiej smakuje wino z zeszłorocznych zbiorów albo coraz bardziej modne piwo. Butelki z tymi napojami są również gotowe i czekają w chłodnej piwnicy. Marta raz po raz wygląda przez okno. Zrobiło się dość jasno, próbuje więc zorientować się, czy na pewno będzie dziś pogoda odpowiednia na zbiory. Minionej soboty, kiedy zaplanowali winobranie, padał deszcz. Na szczęście plucha rozpoczęła się już w piątek, mieli więc możliwość odwołania wszystkiego, a Walter przesunął termin jednodniowego urlopu na inny dzień. Wczoraj było już słonecznie, dlatego zdecydowali, że nie ma na co czekać, i właśnie dzisiaj wyruszają na małą winnicę nad Schwentesee.

Marta jest w dobrym nastroju. Lubi pracę w gospodarstwie, ale to, co wiąże się z uprawą winnic, zbiorami i produkcją wina, nieodmiennie jest dla niej czymś niezwykłym, bo uświęconym tradycją kilku pokoleń rodu Swadów. Odkąd siedem lat temu zmarł dziadek Matheus, sama zajmuje się winem, ale zawsze korzysta z rad przyjaciela dziadka – Ernsta Kliema. Starszy pan nigdy nie miał własnej winnicy, ale już jako młody człowiek uczył się fachu nad Renem i Mozlą. Kiedy wrócił w rodzinne strony, przyjął go do pracy pan Sommer, największy winiarz w okolicy. Ernst pracował u niego aż do emerytury. Zanim wino znajdzie się w butelkach, Marta i Ernst niejedną wieczór przesiedzą w piwnicy, dyskutując i próbując po trosze napitku o kwaśno-słodkim kłującym smaku i wyraźnie wyczuwalnym zapachu niedokończonych fermentacji.

W lepszych czasach Swadowie mieli sporo winnic, a dodatkowo sami prowadzili winiarnię. Każdy mógł zajść do nich i popróbować niedrogiego, bo kosztującego około marki za butelkę, miejscowego trunku. Mimo że wino w typie rieslinga było nieco cierpkie, to znajdowało wielu amatorów. Wyrób winiarzy z Unruhstadt i Chwalimia trafiał najczęściej na rynki prowincji poznańskiej, dużą ilość kupowali też miejscowi. Kiedy zaczynała się wiosna, w sobotnie popołudnia i w niedziele mieszkańcy Unruhstadt wyruszali pieszo nad Schwentesee. Mogli iść drogą na grzbiecie wzniesienia, ale woleli wędrówkę głównym traktem obsadzonym po obu stronach drzewami, a w samej wsi pachnącymi krzewami bzu. Przy trasie spacerów usytuowano kilka winiarni, a także co najmniej trzy gospody serwujące, prócz wina, smaczne posiłki. Tak więc, kiedy szli nad jezioro bądź stamtąd wracali, zachodzili do swoich ulubionych lokali, by nieco odpocząć, porozmawiać ze znajomymi i posmakować tego czy innego rocznika lokalnego wina. Zdarzało się, że tańce, pływanie łódkami czy inne rozrywki musieli odkładać, tak solidnie próbowali bowiem win, że w końcu całkiem opadali z sił.

Podobnie było i teraz, jesienią 1938 roku. Tyle że spragnieni częściej piwo niż wino pili, a zmęczeni drogą lub kosztowaniem napitków mogli skorzystać z autobusu Wilhelma Ulricha, który obsługiwał podróżnych ze wsi położonych w pobliżu Unruhstadt.

Marta, wstawiając do piekarnika podsmażoną pieczeń, słyszy rozlegające się na schodach kroki, a potem w kuchni pojawia się Janka. – Właśnie dzisiaj musiałam zaspać. Dlaczego mnie nie obudziłaś? – pyta z żalem.

– Dałam sobie radę – uspokaja Marta. – Zresztą słyszałam, że w nocy wstawiałaś. Nie mogłaś spać?

– Jakoś nie. A jak w końcu się udało, to spałam jak kamień.

– Źle się czujesz? – Marta patrzy badawczo na kuzynkę.

– Nie! Nic podobnego! Sama nie wiem, co to było. Zwykle zasypiam, kiedy tylko przyłożę głowę do poduszki. – Janka nie chce się przyznać, że od kilku dni myśli nad czymś intensywnie, dlatego przewracała się z boku na bok. – Byłaś u zwierząt? – zmienia temat, aby uniknąć dalszych pytań.

– Nie, jeszcze nie. Przecież dopiero się rozjaśniło. Zrobiłam wszystko, co najważniejsze. Idę doić krowy – oznajmia. – Jeszcze tylko obudzę Tilę, żeby obrała kartofle. Jak wrócimy z winnicy, nie będzie na to czasu.

Na podwórku stoi niezaprężony wóz z niskimi burtami. Już wczoraj umieszczono na nim drewniane kadzie z dębowych klepek ściśniętych metalowymi obręczami mające służyć za pojemniki na zbierane grona. Kiedy tylko Tila wróciła po zagnaniu krów na pastwisko, siadają do śniadania, ale wcześniej, jak zwykle, składają ręce do modlitwy. Około siódmej trzydzieści przychodzą Radachowie – Anna z mężem i synem Ewaldem. Obie rodziny często sobie pomagają. Wcześniej

Janka, Marta i Tila były na wykopkach u sąsiadów z przeciwka. Teraz Radachowie przyszedli na odrobek. Mąż Anny, Peter, podjeżdża wozem zaprzężonym w dwa konie. Moszczą się na nim wszystkie kobiety i Ewald, a Walter z Willim jadą oddzielnie furą z kadziami. Marta zabrała z sobą rower, a Janka i Tila trzymają dwa duże wiklinowe kosze – jeden z kanapkami szczelnie otulonymi bawełnianym ręcznikiem i drugi z napojami i kubkami.

Mimo świecącego słońca panuje rześki chłód. Nad ledwo widocznymi w oddali łąkami unoszą się poszarpane, nieregularne obłoczki mgły. W sadach dojrzewają późniejsze odmiany jabłek, a liście winorośli w winnicach zaczynają przebarwiać się na zielonożłoty kolor w przypadku jasnych i złotopurpurowy u ciemnych odmian winogron. Na wszechobecnych, misternie utkanych pajęczynach błyszczą drobnutkie kropelki rosy. W górze pod błękitnym niebem kołuje stado białych gołębi. Wznoszą się i opadają, zataczając szerokie kręgi, a słońce migoce na ich skrzydłach. To ptaki Gustava Gogola, jednorękiego inwalidy wojennego, który przed kilkoma laty kupił z żoną mały domek stojący u stóp wzgórza na samym końcu wsi. Choć tego nie widzą, są pewni, że Gustav jak co dzień stoi nieopodal swej chatki i energicznie wymachuje płachtą na kiju, by zachęcić gołębie do treningowego lotu.

Jadący wozami obserwują z góry ludzi spieszących do swoich zajęć. Choć wszyscy czują radosne podniecenie, najbardziej podekscytowany jest Ewald. Siedzi na ławeczce obok trzymającego lejce ojca, wierci się i raz po raz wskazując to na ludzi, to na pierzchające z pobocza polnej drogi ptaki i zające, wydaje gardłowe okrzyki. Jest dużym, osiemnastoletnim dzieckiem. Starsze potomstwo Radachów opuściło już dom, a on, niezdatny do samodzielnego życia, pozostał z rodzicami i babcią. Mimo ograniczenia umysłowego Ewald bardzo się przydaje. Ojciec, idąc na zarobek lub na odrobek, tak jak dzisiaj, bierze ze sobą syna, bo ten szybko i chętnie wykonuje wszystko, co mu się każe. Jest przy tym zawsze w dobrym nastroju, pogodny, ufny i radośnie uśmiechnięty.

Niemal jednocześnie oba wozy zatrzymują się przy winnicy Marty. Na całej mordze rośnie tylko jedna odmiana winnych krzewów – uprawiana na tych terenach chyba od początku, czyli od stu lat. Jest to gelb-schönedel przeznaczony na jasne wino. W pozostałych winnicach prócz tego gatunku można jeszcze napotkać jasne müller-thurgau i ciemne blau-schönedel.

Przy polu Marty czeka już pojazd Helmuta Blankenburga, producenta koniaków i likierów z Unruhstadt. Nie wszystkie owoce zostaną wykorzystane do własnej produkcji wina, dlatego pracę rozpoczynają od zbierania winogron na sprzedaż. Pochyleni albo siedząc na obrzeżach głębokich dołków, w których rosną krzewy, ścinają złociste, lekko przybrudzone piaskiem grona i kładą je ostrożnie do prostokątnych drewnianych skrzynek ustawionych jedna obok drugiej wzdłuż rzędów winorośli. Kiedy te się zapełniają, niosą je do ważenia, a następnie

składają na wozie Blankenburga. W pewnym momencie Marta decyduje, że od tej chwili rwą dla siebie. Kobiety wraz z Walterem i Willim tną grona i wkładają do niedużych wiader, a kiedy są już pełne, Peter i Ewald podchodzą ze specjalnymi, zrobionymi z wąskich dębowych klepek nosidłami na plecach. Winogrona z wiader przesypywane są do tych dużych drewnianych koszy. Trzeba mieć naprawdę dużo siły, żeby unieść taki ciężar, potem wejść po przystawionych schodkach na wóz i, nie zdejmując go z pleców, pochylić się mocno nad kadzią i wysypać. Mimo że nosidła są tak skonstruowane, żeby owoce nie spadały na głowę, a zsuwały się po specjalnie wyprofilowanym i wydłużonym brzegu, to i tak po kilku kursach od zbieraczy do wozu całe plecy i spodnie z tyłu są mokre od soku. Pół biedy, jeśli winogrona są jasne, ale ciemne zmieniają tragarza nie do poznania.

Oberwali już ponad połowę, więc Marta zarządza przerwę. Ci, którzy obcinali grona, prostują plecy zeszywniałe na skutek kilkugodzinnego pochylenia. Ból kręgosłupa jest dokuczliwy, a w głowie szumi od nagłej zmiany pozycji. Lekko jeszcze przygięci zmierzają do wozu, na którym czeka posiłek. Rozsiadają się na trawie wokół kosza z kanapkami, jedzą i rozmawiają o ilości i jakości plonu. Nawet Ewald, niemiłosiernie umorusany i oklejony sokiem, z ustami pełnymi chleba z przejęciem prawi coś po swojemu. Tylko Tila milczy, siedzi oparta o koło wozu i zastanawia się, czy znajdzie w sobie tyle sił, by znów nagiąć obolałe plecy. – Już się najadłam. Mogę pójść na chwilę nad wodę? – pyta matkę.

– Idź, ale nie zamarudź tam, bo zaraz wracamy do pracy – uprzedza Marta.

Po kilku minutach dziewczyna jest na dole. Zbyt zmęczona, by spacerować, siada w cieniu pod dębem. Patrzy przed siebie na wodę i popija kompot ze szklanej butelki zamykanej na ceramiczny kapsel. Dzisiaj nie słyhać tu muzyki i gwaru rozmów. Trudno się spodziewać, że w dzień powszedni ktoś mógłby przyjść nad jezioro ot tak, po prostu, w innym niż praca celu. Chyba że wieczorem, kiedy uczciwie wypełniło się wszystkie obowiązki. Dlatego teraz tafla wody błyszczą niczym niezmacona. Przeglądają się w niej jarzębiny ubrane w czerwone korale i dumnie wyprostowane wodne pałki. Panuje przyjemny chłód i kojąca cisza, zakłócana z rzadka śpiewem ptaków, a powietrze pachnie jesienią. W pobliżu restauracji i na przystani nie widać żywego ducha. Tylko cienie drzew padające na południowo-zachodnią część akwenu coraz bardziej się wydłużają, a jezioro w tym miejscu wydaje się ciemne, tajemnicze i groźne. W plamie słońca rozświetlającej wodę przy brzegu Tila dostrzega ławicę drobnych rybek. Trwają w bezruchu, jakby się wygrzewały. Nagle czymś spłoszone jednocześnie robią zwrot i gdzieś odpływają. Tam, gdzie były przed chwilą, spada złocisty liść.

– Tila! Tila! Matyllda! Chodźże wreszcie!

Dziewczyna gwałtownie otwiera oczy. Zasnęła na krótko, ale tak głęboko, że przez moment nie wie, gdzie jest. Zrywa się i pospiesznie wraca do winnicy,

udając, że nie widzi gniewnego spojrzenia matki.

Zbiory kończą się późnym popołudniem. Marta już wcześniej wzięła rower i pojechała do domu, by nakarmić zwierzęta i dokończyć przygotowywanie posiłku dla ludzi. Do wozu, na który załadowano kadzie pełne owoców, Peter zaprzęga dwa konie. Reszta ludzi wraca wozem ciągniętym przez Lotte.

Obfity, niemal świąteczny obiad stanowi tylko przerwę w pracowitym dniu. By podtrzymać dobry humor, gospodyni stawia na stole zeszłoroczne wino. Walter odkorkowuje butelki i poczynając od właścicielki winnicy, nalewa wszystkim, a potem wznosi toast za to, by wino z tegorocznych zbiorów było udane. Zaraz po posiłku mężczyźni idą tłoczyć sok, Anna wraca do siebie, a Marta, Janka i Tila muszą zadbać o gospodarstwo. Wcześniej przez wiele dni starannie przygotowywały się do tego momentu, dlatego teraz, kiedy do dużego i tylko do tego przeznaczonego pomieszczenia wnoszone są kadzie z winogronami, panuje tam idealna czystość. Betonowa podłoga, do której przymocowano dużą tłocznę do soku, jest umyta i złana wrzątkiem. Dębowe beczki czekające w piwnicy i wszystkie inne sprzęty również, bo w soku powinny znaleźć się tylko odpowiednie szczepy drożdży. Najdrobniejsze zanieczyszczenia mogłyby zakłócić proces fermentacji i zepsuć całoroczny wysiłek. W wielkiej okrągłej prasie umieszczono wyjałowiony wór z rzadko tkanego lnianego płótna. Do niego wsypywane są owoce razem z pajakami, szczypankami i innymi nieszczęsnymi owadami, które zginą ściśnięte przez tłok lub utopione w winogronowym soku. Kiedy wór jest pełen, a jego brzegi zostaną luźno założone do środka, zaczyna się proces tłoczenia. Za pomocą długiej metalowej śruby dociska się stopniowo dębowe koło, a moszcz wypływa do emaliowanej misy, dołem otaczającej okrąg z dębowych deseczek. Następnie specjalnym otworem spływa do drewnianych cebrzyków, w których jest przenoszony do piwnicy i przelewany do beczek. Nie ma tu zbyt dużo pracy dla czterech mężczyzn, ale że sprawia ona im wielką przyjemność, szczególnie że raz po raz jest przerywana wyjściem na papierosa lub wychyleniem kolejnego kielicha wina, więc nikt nie rezygnuje i nie idzie do domu. Jeszcze ciekawiej robi się, kiedy wpada na chwilę Ernst Kliem, który co prawda nie rwie się do pracy, ale chętnie degustuje zeszłoroczne wino. W zamian opowiada różne historie, o których przeczytał w książkach lub gazetach albo które zdarzyły się kiedyś w Chwalimiu, a on je zapamiętał. Wyciskanie moszczu trwa do późnego wieczora. Potem jeszcze zasiadają do wspólnej kolacji, przy której też nie brakuje wina, więc gdy kończy się pracowity dzień, mężczyźni mają już nieźle w czubie i idą spać w doskonałym humorze i w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku. Kobiety długo nie położą się do łóżka, bo muszą posprzątać pomieszczenie, w którym wyciskany był sok, i umyć wszystkie kadzie, kosze, wiadra, wyczyścić prasę i namoczyć do prania ciężki lniany wór. Mają przed sobą najwyżej cztery godziny odpoczynku, zanim zacznie się kolejny pracowity dzień.

*Deutschland, Deutschland über alles,
über alles in der Welt,
Wenn es stets zu Schutz und Trutze
brüderlich zusammenhält
Von der Maas bis an die Memel,
von der Etsch bis an den Belt.
Deutschland, Deutschland über alles,
über alles in der Welt!*

Tila śpiewa z całego serca. Wzruszenie ściska jej gardło tak, że chwilami wydaje się, iż nie będzie w stanie wydobyć z siebie następnego słowa. Przed nią w pierwszym rzędzie stoi Rosina, obok Bettina, Elsie i inne dziewczęta. Wokół cała młodzież z okolicznych wsi i z Unruhstadt. Odświętnie ubrani rolnicy, członkowie partii, zespoły ludowe w barwnych strojach. Wszyscy śpiewają hymn Rzeszy wpatrzeni w łopocące na masztach czerwone nazistowskie flagi. Piękne są słowa pieśni. To wspaniałe, niezapomniane uczucie tak stać ze wszystkimi, być częścią tej wielkiej wspólnoty, która myśli tak samo, ma takie same cele, tak samo marzy o wielkości Rzeszy. Teraz, jak nigdy wcześniej, Tila pojmuje, co miała na myśli *mädelschaftsführerin*, mówiąc: „Ty jesteś niczym – naród jest wszystkim”. Czuje, że mogłaby oddać życie za Niemcy i Führera.

Na boisku sportowym w Unruhstadt przed piękną, nową salą gimnastyczną ustawiono trybunę dla władz i oficjalnych gości. Niemal wszyscy stojący na niej mężczyźni mają na sobie brunatne mundury. Po odśpiewaniu hymnu nastrój robi się jeszcze bardziej podniosły, bo przez wystawiony przez okno sali głośnik zaczyna płynąć głos Adolfa Hitlera. Każdy, począwszy od kilkuletnich dzieci, na dostojnych gospodyniach kończąc, słucha go w powadze i skupieniu. Wódz w imieniu narodu składa hołd tym, którzy go żywią, mówi, jak ważna jest dla Rzeszy praca rolnika, podkreśla, że chłopci obok robotników i żołnierzy są najbardziej wartościową częścią społeczeństwa. Dziękuje tysiącom niemieckich kobiet za to, że dały narodowi setki tysięcy małych dzieci. – Ziemia niemiecka jest jak piękny ogród. Niestety, Niemcy nie mogą czuć się bezpiecznie! – głos Hitlera przechodzi w krzyk i jego słowa są na pewno dobrze słyszane na podwórkach chwalimskich gospodarstw, na łąkach, gdzie jeszcze pasą się krowy, w sadach i stodołach pełnych niewymłóconych snopów, na rynku miasteczka i na dziedzińcu majątku Richterów. – Gdzieś poza granicami tej cudownej krainy czai się zło, które chce ją zniszczyć. Zagrożeniem tym jest żydowsko-komunistyczny spisek. Ale my nie pozwolimy na to! Na każdą próbę naruszenia naszych świętych granic damy zdecydowaną odpowiedź. Na straży ich bezpieczeństwa stoi Wehrmacht. Niemieckie lotnictwo strzeże nieba nad polami, na których rolnicy mogą

bezpiecznie orać i siać... – zapewnia Führer.

Tila całą sobą chłonie każde słowo przywódcy, ale po jakimś czasie jej oczy zaczynają błędzić po twarzach osób znajdujących się w pobliżu. Przybyli prawie wszyscy mieszkańcy Chwalimia, Unruhstadt i okolicznych wsi. Dziewczyna poznaje, skąd są, po ozdobnych napisach trzymanyh przez stojącą w pierwszych szeregach młodzież. Z tyłu, za tłumem ludzi, pod drzewami okalającymi boisko ustawiono stoły, na których rolnicy prezentują najdorodniejsze plony, oraz punkty gastronomiczne, gdzie po oficjalnych uroczystościach będzie można się posilić. Między ludźmi zasłuchanymi w płynący z głośnika głos Hitlera, a potem w przemówienia przedstawicieli lokalnych władz, stoją bogato przystrojone wozy. Godzinę wcześniej przejechały w barwnym korowodzie główną ulicą miasta, wzbudzając podziw jego mieszkańców.

Tila ogląda się i dostrzega wóz Neumannów. Matka z Janką słuchają mówców, siedząc na drewnianej desce przełożonej w poprzek burt. Pojazd zaprzężony w dwa konie wygląda imponująco. Już od świtu kobiety przystrajały go kwiatami i giętkimi pędami winorośli. Matka chciała podkreślić winiarskie tradycje swego starego chwalimskiego rodu, na wozie umieszczono więc kosze z malowniczo ułożonymi winogronami, dębową beczkę, skrzynki wymoszczone słomą, na której spoczywają butelki z winem z najlepszych roczników. W dekoracji nie brakuje też dorodnych owoców i okazałych warzyw uprawianych w ich gospodarstwie. Twarz Marty nie zdradza żadnych uczuć, ale Tila wie, że matkę, której trudno wyzbyć się starych przyzwyczajęń, bardzo zasmuca fakt, iż dzień dziękczynienia za plony zmienił charakter z religijnego na świecki. Kiedyś zawsze najpierw dziękowano Stwórcy, a dziś nawet nie starcza czasu, by w tę szczególną niedzielę pójść na nabożeństwo. Jednak nigdy nie powie przy obcych, co myśli. Nawet w domu okazuje niezadowolenie oszczędnie, jakby nie ufając rodzinie, obawiała się, że ktoś mógłby się wygadać. Dzisiaj jako posłuszna obywatelka Trzeciej Rzeszy przystroiła rano wóz i świętuje razem z innymi.

Wzrok Tili wędruje za spojrzeniem matki. Niedaleko trybuny, tuż pod pierwszymi literami hasła: *Wodzu, prowadź – my rolnicy ufamy ci*, stoi grupa urzędników w mundurach NSDAP. Obserwują dwoje młodych ludzi ubranych w ludowe stroje, podających burmistrzowi wielki kosz pełen owoców i warzyw udekorowany kłosami zbóż i jesiennymi kwiatami. Dziewczyna dostrzega ojca. Na szczęście nie widzi, że Walter nie interesuje się obrzędem. Jego uwagę przyciąga młoda kobieta towarzysząca wysokiemu blondynowi o rumianej twarzy i bladoniebieskich oczach okolonych jasnymi, prawie białymi rzęsami. Mimo że niewiasta ma na sobie skromny kostium, to sposób, w jaki się porusza, obraca głowę i uśmiecha, sprawia, że zerka na nią wielu mężczyzn, nie tylko Walter.

Tila przestępuje z nogi na nogę. Jest już znudzona i zziębnięta. Październik zaczął się od zimnej i wietrznej pogody, a ona ma na sobie tylko białą bawełnianą

koszulkę i czarne satynowe szorty. Chłodny wiatr przenika cienką tkaninę i sprawia, że gołe ramiona i nogi dziewczyny pokrywa gęsia skórka. Wreszcie oficjalna część uroczystości dobiega końca. Przyszedł czas na zespoły ludowe i młodzieżowe grupy gimnastyczne. Chwalimianki wykonują pokaz bezbłędnie, ale nie czują satysfakcji, bo podziwia je zaledwie garstka ludzi. Więcej widzów gromadzi dopiero występ starszych dziewcząt z Unruhstadt należących do Glaube und Schönheit^[16]. Towarzyszy im orkiestra dęta, która wcześniej szła na czele korowodu. Nie mają na sobie bezkształtnych strojów gimnastycznych tak jak BDM, a białe, króciutkie, lekko rozkloszowane i idealnie dopasowane sukienki bez rękawów. Rozpoczynają od prostych, choć wykonanych z wyjątkową precyzją ćwiczeń gimnastycznych, stanowiących rodzaj rozgrzewki. Później w takt muzyki ustawiają się w koła, gwiazdy, tańczą z piłkami, a na koniec wirują, wymachując kolorowymi wstęgami. Matylda i jej koleżanki obserwują je z lekką zawiścią. Robi im się trochę lżej, kiedy któraś mówi, że widziała taki sam występ i sukienki w kinie, w kronice filmowej, bo to znaczy, że tamte same niczego nie wymyśliły, a tylko podpatrzyły gdzie indziej. Kiedy rozpoczynają się prezentacje zespołów śpiewaczych, publiczność znów ulega rozproszeniu. Mężczyźni spieszą do stoisk z piwem i winem, a kobiety oglądają wystawione na straganach plony z ogrodów i sadów, degustują miody, domowe nalewki, kompoty, dorodne chleby i inne wypieki. Z czasem amatorzy napojów zaczynają chóralnie towarzyszyć śpiewakom i kiwają się w takt muzyki z kuflem lub kielichem w dłoni.

Grupa Tili szykuje się do wymarszu, ale dziewczyna chce jeszcze odnaleźć matkę. Wreszcie dostrzega ją i Jankę wśród gospodyń podziwiających kolorową kompozycję z różnych odmian dyni.

– Mamo, już idziemy. Czy mogę się przebrać i wrócić tu z koleżankami na tańce?

– Ty? Na tańce? – Marcie wydaje się, że źle zrozumiała córkę.

– Mamo, jest wcześnie. Pozwól mi – prosi żarliwie.

– Przecież ja ciebie, dziecko, nie będę pilnować. My też zaraz wracamy.

– Ja zostaję – oświadcza niespodziewanie Janka. – Mogę mieć na nią baczenie.

Marta spogląda zdumiona na kuzynkę. – Co tu będziesz robiła?

– Zostaję na tańce. Gustav Gogol mnie zaprosił.

– Ten bez ręki? – upewnia się Marta.

– A jest jakiś inny? – pyta Janka zaczepnie.

Marta dostrzega, że rozmowie przysłuchuje się kilka sąsiadek, więc czym prędzej kończy: – Dobrze, pozwalam ci zostać – zwraca się do córki. – Masz nigdzie nie znikać, tak, żeby ciocia ciebie widziała. Zachowuj się przyzwoicie i wróć, zanim zacznie się ściemniać – przykazuje, jak na troskliwą matkę przystało.

Żegna się jeszcze z Janką i innymi gospodyniami, a potem kieruje się

do wozu. Idzie samotnie przez boisko, wzbudzając zainteresowanie przyjezdnych oryginalnym wendyjskim ubiorem. Niejeden miejscowy zatrzymuje na chwilę wzrok na zgrabnej kobiecej sylwetce i urodzivej twarzy obramowanej czarnym czepkiem. Zielone oczy mężczyzny prezentującego na stoisku pszczele miody śledzą ją od kilkudziesięciu minut i teraz odprowadzają spojrzeniem aż do wozu. Tam czeka na Martę Willi. Siedzi oparty o beczkę z wyrazem cierpienia na twarzy. Prawdopodobnie natłok wrażeń sprawił, że znowu rozboleła go głowa. Chce powozić, ale Marta daje mu znak, żeby odpoczywał. Chwyta lejce i powoli, uważając, by nikomu nie zrobić krzywdy, wyjeżdża z tłumu przez bramę boiska na ulicę. Jeszcze się ogląda i szuka wzrokiem Waltera. Podszedł do niej na chwilę, kiedy występowała Matyllda z koleżankami. Zamienili kilka zdań, a potem widziała go przy stoisku rzeźnika Benyska, jak kupował grzaną kiełbasę. Nie martwi się, jak mąż wróci. Z boiska do domu jest kilkaset metrów. Niepokoi ją jednak wyraz twarzy, z jakim patrzył na tę młodą kobietę.

Tila już stoi przy płocie swego domu i czeka na koleżanki. Wcale nie ma pewności, czy inni rodzice zgodzą się, żeby czternastoletnie panienki poszły same na tańce. Zanim się rozstały, ustaliły, że będą mówić, iż ciocia Janka zobowiązała się popilnować wszystkich czterech. Chyba przyniosło to spodziewany efekt, bo widzi z daleka sylwetki Bettiny i Elsie oraz Rosinę, która właśnie wyszła na drogę. W sukienkach, sweterkach i pończochach wyglądają o wiele lepiej niż godzinę temu, kiedy stały zziębnięte na boisku. Zabawa trwa w najlepsze, bo nawet przy domu Neumannów słychać głośną muzykę i gwar. Nastolatki się spieszą, bo jest już szesnasta i za dwie godziny zajdzie słońce, a porządnych panienkom nie wypada włączyć się samym po zmroku. Doskonale to rozumieją. Trochę się pobawią i wrócą do domu. Nie chcą też narazić się na nieprzyjemności w organizacji. Na każdej publicznej imprezie są patrole Hitlerjugend. Przysłuchują się, o czym mówią ludzie, i składają potem relacje przełożonym, ale przede wszystkim pilnują, czy młodzież przestrzega ustalonych zasad. Nie wolno osobom niepełnoletnim przebywać na zabawach ani w lokalach po zmroku. Nie ma mowy o papierosach ani alkoholu. Za łamanie zakazów grozi, w najlepszym wypadku, odebranie na jakiś czas chusty i ignorowanie przez grupę. W najgorszym wyrzucenie z organizacji. A jak ktoś nie należy do Hitlerjugend, to tak jakby nie istniał. Nie ma kolegów, nie uczestniczy w żadnych zajęciach sportowych. Jest wyrzutkiem.

Odnalezienie Janki nie jest trudne. Ona i jej towarzysz stanowią dość oryginalną parę. Janka, niska i pulchna w wyróżniającym się spośród innych tradycyjnym wendyjskim stroju, i Gustav, wysoki, o chudej pociągłej twarzy zdominowanej przez długi nos. Mężczyzna ma podwinięty w połowie rękaw marynarki. Stracił na wojnie całe prawe przedramię, dlatego dłoń partnerki trzyma w lewej ręce. Drugą ona obejmuje go w pasie. Mimo głośnej muzyki próbują

rozmawiać, Janka zadziera więc wysoko głowę, by słyszeć, co mówi mężczyzna. Tila wtajemnicza ciotkę w dziewczęcą intrygę, a kiedy ta z uśmiechem kiwa twierdząco głową, żadne uciech nastolatki ruszają do zabawy i wcale im nie przeszkadza, że tańczą ze sobą.

Piją właśnie lemoniadę, kiedy zauważają, że zbliża się do nich Karl Holzer w mundurze Hitlerjugend. Jak na komendę zastygają w bezruchu. Nie wierzą, że najprzystojniejszy na zabawie chłopiec może czegoś od nich chcieć.

Rosina i Matylda mieszkają z nim prawie po sąsiedzku, ale znają go jedynie z widzenia. Wiedzą, że rano wyrusza rowerem na stację kolejową i jedzie pociągiem do szkoły w Züllichau. Wraca wieczorem ostatnim pociągiem. Nikomu nie mówi, co robi tak długo w mieście. Jedyne dni, kiedy można go spotkać, to środy i soboty. Wtedy po południu ma zajęcia z chłopcami z Jungvolku. Emil mówił Tili, że jest mu przykro, bo kiedy Karl zamieszkał w Altreben, nauczyciel, pan Lorenz, zdecydował, że Jungenschaft prowadzony przez niego przejdzie pod opiekę Karla. Emilowi wytłumaczył, że chłopcom dobrze zrobi zmiana dowódcy, bo Weiler jest zbyt łagodny i nie stosuje odpowiednich metod. Na argument, że jego grupa ma bardzo dobre wyniki, więc chyba nie jest najgorszym dowódcą, pan Lorenz zabronił mu dalszej dyskusji. Dostał nową grupę, ale odtąd czuje niechęć do kolegi.

– Zatańczysz ze mną? – pyta Karl Matyldę i wyciąga do niej dłoń.

Kompletnie zaskoczona dziewczyna sama nie wie, co robi. Przyjmuje zaproszenie i idzie ku parom kręcącym się w rytm muzyki. Jest sztywna i niezadarna, nie słyszy melodii i myśli tylko o tym, żeby nie stanąć na nodze partnera. Jak na złość co chwila depta po palcach chłopaka albo obraca się nie w tę stronę co trzeba. Marzy, by orkiestra przestała grać, a ona mogła wrócić do koleżanek.

– Mieszkasz gdzieś niedaleko mnie, prawda? – pyta Karl.

– Tak, całkiem blisko. W tym domu z zielonym gankiem.

– A... tam, gdzie matce nie chcieli sprzedać mleka po zachodzie słońca! – Chłopak wybucha śmiechem, a Matylda robi się jeszcze bardziej czerwona.

– Tak, tam – odpowiada, patrząc pod nogi.

– Żebyś wiedziała, co matka wygadywała, kiedy od was wróciła!

– Chyba wiem. Słyszałam, co mówiła, jak minęła furtkę.

– No tak, to do niej podobne. Z nikim się nie liczy. A ty co o tym sądzisz? – Karl pochyla się nad Tilą, żeby usłyszeć jej odpowiedź.

– O czym? – Dziewczyna czuje się jak gamoń, w dodatku znowu nadepnęła palce Karla.

– O zabobonach.

– Nie wiem, chyba mi nie przeszkadzają – mamrocze pod nosem. – Przecież to tylko taka tradycja – tłumaczy nieśmiało.

– No coś ty! Nie wierzę, że jesteś taka zacofana!

Tila czuje, że jej zawstydzenie wypiera gniew. Podnosi głowę i patrzy z urazą w oczy chłopaka.

– To raczej twoja mama nie powinna była tak się zachować. Zamieszkaliście w naszej wsi, a nie szanujecie tutejszych zwyczajów – mówi.

– Ale my młodzi powinniśmy nieść postęp, a nie tolerować ciemnotę! My mamy budować nowe Niemcy! – Karl nie rozumie, o co chodzi jego partnerce.

Orkiestra przestała grać, więc dziewczyna obraca się w stronę koleżanek.

– Zaczekaj, odprowadzę cię. A może jeszcze zatańczymy? – pyta chłopak przymilnie.

– Dziękuję. Zmęczyłam się.

– Powiedz, jak ci na imię?

– Matylda.

– Wydawało mi się, że wołają na ciebie Tila. Ja też tak mogę?

Dziewczyna przygląda się zadowolonemu z siebie pyszałkowi i odpowiada mściwie:

– Nie. Tak mówią do mnie moi zacofani rodzice i przyjaciele.

Kiedy Karl jest już w bezpiecznej odległości, Rosina, Elsie i Bettina dopadają do Matyldy.

– I co? Dobrze tańczy?

– Prawda, że jest nadzwyczajny?

– O czym rozmawialiście?

– Nie zauważyłam, żeby dobrze tańczył. Nie sądzę, by był nadzwyczajny. A rozmawialiśmy o tym, czy należy sprzedawać mleko po zachodzie słońca – odpowiada na wszystkie pytania naraz.

– O czym? Prosi cię do tańca chłopak jak marzenie, a ty rozmawiasz z nim o krowach? – W głosie Bettiny brzmi bezgraniczne zdziwienie.

– Nie o krowach, tylko o przesądach. – Matylda dość dokładnie przytacza całą rozmowę z Karlem i ostatecznie jej koleżanki też dochodzą do wniosku, że wcale nie jest taki nadzwyczajny, na jakiego wygląda.

Słońce już zachodzi, odnajdują więc ciotkę, by powiedzieć jej, że wracają do domu. Widzą też, że prawie cała młodzież w ich wieku opuszcza zabawę. Nadchodzi czas zarezerwowany wyłącznie dla dorosłych.

Poniedziałkowy ranek jest chłodny i wietrzny. Janka i Marta wyszły do obrządku ubrane tak ciepło, jakby to była zima, a nie początek jesieni. W kuchennym piecu płonie ogień, a z boku płyty stoi garnek z mleczną zupą. Walter zszedł na dół, by z wpuszczonego w kuchenny piec zbiornika nabrać gorącej wody do golenia i mycia. Boli go głowa, bo wrócił wczoraj późno, a w nocy źle spał. Wypite piwo i echa zażartych dyskusji politycznych nie pozwalały na spokojny odpoczynek. Nie rozmawiał jeszcze z Martą. Zastanawia się, dlaczego tak szybko wczoraj zniknęła, i przyznaje w myślach, że nie okazał jej specjalnego zainteresowania. Nie zatańczyli ani razu. Czuje, że żona może nie mieć dzisiaj dobrego humoru. Trochę go też męczy sprawa Birgit. Całe szczęście, że była wczoraj z narzeczoną. Walter zobaczył go pierwszy raz i stwierdził, że nie chciałby mieć w nim wroga. Dziewczyna co prawda zachowywała się kokieteryjnie, ale nie próbowała do niego podchodzić. Nie wie, co by zrobił, gdyby na przykład poprosiła go do tańca.

Kiedy ogolony, w czystej, starannie wyprasowanej koszuli ponownie wchodzi do kuchni, Marta przygotowuje śniadanie.

– Dlaczego pojechałaś wczoraj tak wcześnie? Nie zdążyliśmy zatańczyć – uprzedza spodziewane wymówki.

– Szkoda mi było koni. Dość się wystąpiły. Poza tym jeden był pożyczony, a o to, co nie nasze, trzeba dbać podwójnie.

– Widziałem, że Tila bawiła się z chłopakiem od sąsiadów.

– Z którym? Michaeliem czy Tobiasem?

– Nie, nie z braćmi Rosiny. Tańczyła z młodym Holzerem.

– Przecież ona go w ogóle nie zna! I Janka na to pozwoliła? – Dopiero teraz kwestia partnera córki zainteresowała Martę naprawdę.

– Na co pozwoliłam? – pyta Janka wchodząca właśnie do kuchni.

– Walter mówi, że Tila tańczyła z Karlem Holzerem.

– Widziałam. Poprosił ją grzecznie. Tańczyli chwilę. Nie działo się nic niestosownego. – Kuzynka wzrusza ramionami, jakby rzecz nie była warta dyskusji. – Gdybym ich nagle rozdzieliła, zawstydziłabym ją niepotrzebnie, a ludzie dopiero wtedy zwróciliby na nich uwagę – tłumaczy.

– Dobrze zrobiłaś. Dziękuję ci, że się nią opiekowałaś. Śniadanie gotowe, siadajmy. – Marta pochyla głowę do modlitwy, a za nią czynią to Walter i Janka.

– Janko, ty też miałaś wczoraj kawalera – odzywa się po chwili Walter.

– Miałam. Co komu do tego? Nie mam czternastu lat jak Tila.

– Widziałem, że bawiliście się cały czas. Podziwiałem Gustava. Ma już swoje lata, a tańczył jak młodzieniaszek. Dawno nie był w tak dobrej formie – wyraża uznanie Walter i dodaje żartobliwie: – To chyba twoja sprawka.

– Spędziliśmy miło czas. To wszystko. – Janka, wyraźnie skrepowana, pragnie jak najszybciej skończyć rozmowę.

– Chyba nie myślisz o nim poważnie? Przecież jest od ciebie dużo starszy. – Marta wydaje się lekko zaniepokojona.

– Byliśmy tylko na tańcach. Moglibyście dać mi spokój.

– Wiedz w każdym razie, że Gustav to porządny chłop. No, może za mało zaangażowany politycznie, ale na męża by się nadał – dodaje Walter.

– Nie mów głupstw i skończ wreszcie ten temat – karci go żona.

Po wyjściu Waltera siadają jeszcze na chwilę.

– Tila nie wstaje? – dziwi się Janka, bo rzadko się zdarza, by dziewczyna opuściła śniadanie.

– Zajrzałam do niej z samego rana. Przeziębła się wczoraj. Pozwoliłam jej trochę poleżeć – usprawiedliwia córkę Marta i zaraz potem pyta: – Co myślisz o tym, żeby jutro zebrać marchew? Pogoda jest odpowiednia, chłodna i sucha. Jakby się udało, na pewno by się dobrze przechowała.

– Możemy zbierać, ale nie damy rady bez Williego.

– Obiecał mi wczoraj, że dzisiaj przyjdzie, tylko trochę później. Po południu przygotuje kopiec.

Głośne kroki na schodach zapowiadają nadejście Tili. Dziewczyna ma włosy w nieładzie, zapuchnięte oczy, czerwony nos, a na koszulę nocną naciągnęła długi sweter. Wyjmuje kubek z kredensu, nalewa gorącego mleka i, obejmując ciepłe naczynie obiema dłońmi, siada przy stole. Marta ze zmarszczonymi brwiami wyciąga rękę i kładzie ją na czole córki.

– Na szczęście nie masz gorączki. To tylko katar – stwierdza z ulgą.

– Ale czuję się okropnie. Boli mnie głowa, oczy łzawią i nie mogę oddychać – żali się Tila.

– To są skutki wczorajszej zabawy. Czułam, że nie powinnam była ci na nią pozwolić.

– Mamo, przecież się przeziębiam, bo długo czekałyśmy na występ w samych koszulkach i szortach. Wy – zwraca się jednocześnie do matki i ciotki – nawet nie wiecie, jak nam było zimno. Siedziałyście wygodnie na wozie ubrane w ciepłe wendyjskie stroje.

– To trzeba było później zostać w domu, a nie lecieć od razu z powrotem.

– Przecież byłam umówiona z koleżankami. Zresztą potem było mi ciepło.

– Dobrze już, dobrze. Przygotuję ci mleka z masłem i miodem i zaraz marsz pod pierzynę, a ciocia przyjdzie natrzeć cię olejkiem kamforowym.

– A może być samo mleko z miodem, bez masła? – dziewczyna kaprysi jak wtedy, kiedy była jeszcze zupełnie mała.

– Nie, jutro wykopujemy marchew, więc musisz być zdrowa.

– Czułam, że to zbyt piękne, żebym tak bez powodu mogła sobie poleżeć –

wzdycha Tila i sięga po chleb.

Zapada cisza. Przez kuchenne okno widać, jak szybki wiatr pędzi chmury. W kuchni jest tak ciepło i przyjemnie, że nie chce się z niej wychodzić. Dorosłe kobiety myślą, że miło byłoby troszkę pochorować i choć jeden dzień posiedzieć przy piecu, popatrzeć w ogień i posłuchać, jak trzaska świerkowe drewno pod płytą.

16

– Walter, tak wcześnie? Czyżby coś się stało? – Zaniepokojona Marta kończy kontrolę fermentującego moszczu i szybko wychodzi z piwnicy. – Co się dzieje? Nigdy nie kończyłeś pracy o tej godzinie.

– Całe lato zostawałem dłużej, chyba więc raz mogłem wyjść wcześniej. Zmienię ubranie i zejść na dół. Obiad już gotowy? – Walter jest dziwnie podekscytowany.

– Tak, zaraz podaję.

Mężczyzna idzie się przebrać, a Marta w kuchni przestawia garnek z zupą na gorące fajerki. Z duchówki wyjmuje brytfannę z pieczonym kurczakiem i wrzuca do gotującej wody pokrojony w różyczki kalafior. Potem wychodzi, żeby zawołać na obiad innych. Janka i Willi przykrywają kopce z warzywami, a Tila obcina nać marchwi, która będzie przechowywana w piwnicy.

Walter wyróżnia się na tle osób siedzących przy stole. Ma na sobie domowe obuwie, brązowe spodnie i koszulę, co prawda pocerowaną i z przesytytym kołnierzykiem, ale czystą i wyprasowaną. Dłoń trzymająca łyżkę jest biała i delikatna, jedynie na środkowym palcu od strony wskazującego widać wyraźne zgrubienie – ślad powstały w wyniku wieloletniego pisania piórem. Ręce pozostałych, nie wyłączając Tili, choć przed chwilą szorowane szczotką i mydłem, przebarwione przez sok z naci i marchwi, z ziemią za paznokciami, są czerwone i spierzchnięte od zimnej wody i podmuchów chłodnego wiatru.

Wszyscy jedzą w milczeniu, dopiero pod koniec posiłku Walter pyta:

– Co jest jeszcze do zrobienia? Może ci się przydam, Marto?

– Oj, przydasz się. Możesz pomóc mnie albo Williemu przy kopcach. Skończyłam w piwnicy i chcę przygotować warzywa, które pójdą do skrzynek. Umówiłam się z Karlem Jäckelem, że weźmie marchew, pietruszkę, pory, selery i buraczki, ale lepiej mi zapłaci, jeśli sama to przechowam i dostarczę stopniowo – wyjaśnia gospodyni. – Marchew i pietruszka są już częściowo zakopcowane. Resztę włożę do skrzynek. Najpierw muszę obejrzyć każdą sztukę, czy zdrowa, żeby mi potem nic niegniło. Później wstawimy skrzynki do stodoły i przesypujemy piaskiem. Jak zaczną się mrozy, trzeba będzie wszystko zabrać do piwnicy. To z kim idziesz? Z Willim czy ze mną?

– Z tobą. Chciałem porozmawiać – decyduje mąż lekko zniecierpliwiony

długim wywodem na temat przechowywania warzyw.

– O co chodzi? – pyta Marta, kiedy już siedzą na drewnianych stołeczkach pochyleni nad stertą marchwi.

– Chciałabyś mieć własny sklep?

– Ja? Sklep? Co ci przyszło do głowy?

– Marto, niedługo będzie okazja, żeby kupić sklep spożywczy w Unruhstadt przy rynku!

– Kto sprzedaje?

– Rosenbaum. Tak naprawdę nie tylko on. Za parę tygodni będą na sprzedaż wszystkie sklepy żydowskie. Przekonasz się. Tak się mówi w urzędzie. Nie będzie łatwo, ale zdobędę go dla ciebie – obiecuje. – Od lat cierpliwie znoszę to, że awanse są dla swoich. Liczą się tylko tutejsi. Czyjś syn, brat, szwagier – najlepsze stanowiska są zawsze dla nich. Ale tym razem nie daruję. – Walter uderza pięścią w kolano. – Taka okazja już więcej się nie trafi. Dam w łapę, komu trzeba, i sklep będzie nasz.

– Nie stać nas na to. – Marta czuje się oszołomiona nieoczekiwaną propozycją.

– Za normalną cenę nie, ale to będzie za grosze. Żydzi sprzedadzą sklepy, bo już i tak ledwie przędą. Mogą kupować u nich tylko inni Żydzi. A ilu ich jest w Unruhstadt? Nasza w tym głowa, żeby dostali symboliczne pieniądze.

– Ale czy to uczciwe?

– Co w tym nieuczciwego? Oni sprzedają, my kupujemy.

– Nie wiem – waha się kobieta. – Muszę o tym pomyśleć. Mam odłożone pieniądze, bo na wiosnę chciałam kupić jeszcze jedną krowę, tylko że to nie starczy.

– Wystarczy, a jak nie, ja dołożę – mówi twardo Walter. – To co? Mogę jutro rozmawiać w tej sprawie?

– Daj mi chociaż kilka dni na zastanowienie.

– Nie. – Mąż jest wyjątkowo uparty. – Trzeba to zacząć załatwiać już, inaczej sprzątną nam okazję sprzed nosa.

W nocy Marta przewraca się z boku na bok. Jest zmęczona, od dźwigania i schylania dokuczają jej kręgosłup. Opuchnięte stopy, które w ciężkim obuwiu przemierzają codziennie kilkanaście kilometrów, aż pulsują z bólu. Próbuje zginać palce rąk do środka, ale ma wrażenie, że nie może zacisnąć pięści, jakby stawy się blokowały. Tylko że to normalne. Tak jest zawsze. Nie może zasnąć, bo myśli o propozycji męża. Jeszcze nie wyraziła zgody, a już się zastanawia, jak by to było mieć sklep. Nie musiałyby za pół ceny sprzedawać warzyw hurtownikowi. Nie stałyby godzinami pod brezentową płachtą przy straganie na rynku. Czekałyby na klientów we własnym sklepie. „Jak dobrze byłoby go mieć – marzy. – Powiem Walterowi, żeby to załatwił” – postanawia i dopiero po jakimś czasie zasypia.

Rankiem doi krowy i planuje przy tym, że mogłaby sprzedawać też swój nabiał. Kupiłaby lodówkę – taką na dwie komory przedzielone miejscem na lód. „Ciekawe, jakie tam są piwnice? Na pewno dobre. Przecież Rosenbaum musi mieć jakiś magazyn. No tak, ale nie wiadomo, czy sprzedaje tylko sklep, czy cały dom. Piwnice by się przydały, ale po co mi cały dom? Chociaż? – zastanawia się. – Mieszkanie można by wynająć. Zawsze byłby jakiś grosz. Tylko że to jakieś takie nieuczciwe kupować za bezcen sklep i dom”. – Ta ostatnia myśl przeszkadza jej i psuje dobre samopoczucie.

– Janko, chcę cię o coś zapytać. Tylko nie mów o tym nikomu.

– O co chodzi? – pyta zaciekawiona kuzynka.

– Walter przyniósł wczoraj wiadomość, że Żydzi będą się wyprzedawać. Można tanio dostać sklep na rynku. Co myślisz o tym, żebyśmy to ja go kupiła?

– Jak masz pieniądze, to się nie zastanawiaj. Sprzedajesz nabiał, warzywa i owoce na straganie. A tak będzie wygodniej. Matylda za parę lat miałyby dobre zajęcie, a na razie mogłabyś kogoś wziąć do pracy.

– Tylko że tak mi jakoś nieprzyjemnie. Ten Żyd to dobry kupiec. Niejeden raz brał ode mnie warzywa. Czy to przyzwoite wykorzystywać sytuację i prawie go okradać?

– Zaraz tam okradać. Wiesz, co robią z Żydami. Nie weźmiesz ty, to kto inny skorzysta. Nie mówię, że to dobre, ale takie przysły czasy. Nic na to nie poradzisz.

– Tak myślisz? Dobrze, niech Walter go dla mnie zaklepie.

W październikowy poranek, jak w każdą środę, Marta stoi za straganem. Na wysokiej drewnianej ławie ustawione są skrzynki pełne równiutko ułożonych warzyw i jabłek. Po drugiej stronie wagi, w pewnej odległości od płodów rolnych, są twarogi, śmietana i pełne mleko. Duże pojemniki z późną kapustą, ziemniakami i buraczkami stoją bezpośrednio na bruku. Ma też kilka worków z kartoflami, gdyby któryś klient chciał kupić od razu większą ilość.

Cały rynek, ulice i uliczki wypełnia powietrze pachnące czekoladą. Wydaje się, że wystarczy otworzyć usta, a na języku zaraz znajdzie się migdałowa pralinka. Rozkoszne, kuszące zapachy Unruhstadt zawdzięcza Karlowi Lichtensteinowi, który dawno temu założył tu fabrykę słodczy. W ciągu niemal trzydziestu lat rozbudował ją tak, że teraz zajmuje cały kwartał w centrum miasta. Przechodnie widzą tylko ciąg ładnych, niezbyt wysokich budynków. Jedyнным znakiem świadczącym o ich przeznaczeniu jest wysoki komin z żółtawej cegły, z którego buchają kłęby czarnego dymu. W fabryce znajduje zatrudnienie wielu mieszkańców miasteczka i okolic, a na Unruhstadt codziennie spływa jakiś apetyczny zapach rodem z dziecięcych marzeń. Najczęściej pachnie czekoladą i karmelem, kiedy indziej migdałami albo prawdziwą kawą przemieszaną ze spirytusem bądź słodkim mlekiem z wanilią, a czasem po prostu karmelkami. Bywa, że wypieka się ciasteczka, a z nich najmiłszy jest korzenny aromat

pierniczków.

Od czerwca do września wytwórnia soków, likierów i koniaków należąca do Blankenburga wzbogaca smakowite wonie zapachem malin, czereśni, wiśni i innych sezonowych owoców, najczęściej pochodzących z chwalimskich sadów i plantacji. Na niebie nie ma ani jednej chmurki, lipy wokół ratusza wyglądają jak złociste bukiety, ale nikt nie zwraca na nie uwagi. Dzisiaj liczy się tylko handel. Coraz ktoś podchodzi do Marty. Przeważnie to stali klienci ceniący jakość jej towarów. Wymienia z nimi po kilka zdań, ale myśli krążą wokół tego samego od kilku dni tematu – sklepu.

Kiedy nie ma nikogo przy stoisku, zerka w stronę kamienicy Rosenbaumów. Na przeszklonej witrynie niczym piętno widnieje namalowana białą farbą gwiazda Dawida. Wtem w otwartych drzwiach pojawia się Miriam, a tuż za nią kilkuletnia dziewczynka. Stoją i patrzą na rynek. Nikt do nich nie podchodzi. W pewnym momencie kobieta cofa się gwałtownie w głąb sklepu, pociągając za sobą dziecko. Marta wie, że Miriam mogłaby rozdawać towar za darmo, a i tak nikt nic by nie wziął. Prawo zabrania Niemcom kupowania w żydowskich sklepach. Gdyby jednak ktoś chciał złamać zakaz, w pobliżu stoją chłopcy z Hitlerjugend. Upomną każdego, kto ma zamiar skorzystać ze znacznie niższych cen. To jednego z nich zobaczyła żona sklepikarza i dlatego wołała schować się w sklepie. „Tak – myśli Marta – oni nie mają przyszłości w naszym miasteczku. Muszą sprzedać sklep. Dlatego nie powinnam się zastanawiać i go wziąć. Wołałabym jednak kupić go tak, żeby nie trzeba było patrzeć w oczy Miriam. Najchętniej zapytałabym Rosenbauma, czy sprzedaje tylko sklep, czy także dom. Przy okazji obejrzałabym wszystko, ale jakoś mi niezręcznie. Poza tym, co ludzie powiedzą na to, że idę do Żyda”. Walter wciąż ostrzega ją, Tilę i Jankę, żeby uważały, co, gdzie i do kogo mówią. Wokół pełno jest gorliwców gotowych bezinteresownie śledzić sąsiadów, przyjaciół, kolegów z pracy i pisać do sądów, policji, urzędów i partii. W samym ratuszu, gdzie pracuje Walter, stale przybywa donosów. On, jako urzędnik odpowiedzialny za składanie raportów o działalności antypaństwowej, musi to wszystko czytać. Większość to bzdury wynikające z zawiści, ale nigdy nie wiadomo, do kogo trafi taki list i jak zostanie potraktowany. Sam, kiedy idzie na spotkania towarzyszy broni, pije jedynie tyle, by nie stracić nad sobą kontroli. Zdaje sobie sprawę, że na każdym takim zgromadzeniu jest co najmniej kilka osób, które następnego dnia chwycą za pióro i na ochotnika złożą relację z zachowania innych i wypowiedzianych przez nich słów. Dlatego Marta tylko patrzy i rozmyśla. Nie robi nawet kroku w stronę miejsca, które tak bardzo ją interesuje.

Po godzinie, kiedy już prawie cały towar jest sprzedany, a ludzi na rynku znacznie mniej, podjeżdża wozem Willi. Razem zwijają brezentową płachtę chroniącą przed deszczem lub słońcem, ładują na wóz drewniane elementy prymitywnego straganu, kosze i skrzynki po warzywach i wracają do domu.

Gospodyni dziś nie zwraca uwagi na swego pracownika, a ostatnio wygląda jak cień człowieka. Coraz częstsze ataki choroby i morfina zabijają go pomału. Myśli Marty wciąż krążą wokół sklepu i jego żydowskich właścicieli.

Właśnie przypomniła sobie, jak dziesięć, może jedenaście lat temu, w Zielone Świątki wzięli z Walterem małą Tilę i poszli nad Schwentesee. Restauracja i przystań nie były wtedy tak piękne jak dziś, ale i tak urok tego miejsca przyciągnął wielu mieszkańców Unruhstadt i Chwalimia. Grała orkiestra, pary kręciły się w tańcu, a ludzie byli szczęśliwi, bo goiły się wojenne rany i nastał czas dobrobytu. Nikt wtedy nie zdawał sobie sprawy, że za progiem czeka kryzys, jakiego dotąd nie doświadczyli. Kilka stołów stojących przed restauracją zajętych było przez rodziny żydowskie. Marta zwróciła szczególną uwagę na grupę osób, wśród których zobaczyła właścicieli fabryki słodyczy – Karla Lichtensteina i Alberta Kaisera. Mężczyźni mieli na sobie białe wykrochmalone koszule i krawaty, a towarzyszące im kobiety – eleganckie sukienki i korale na szyi. Nie tylko ubiór i rola, jaką odgrywali ci ludzie w środowisku, ale całe zachowanie i inteligencja malująca się na twarzach sprawiały, że traktowano ich z szacunkiem.

Przy sąsiednim stole siedziały rodziny żydowskich kupców. W pewnym momencie do wyjątkowo pięknej dziewczyny w białej sukience podszedł podchmielony wyrostek i poprosił ją do tańca. Odmówiła, ale natrętny chłopak nie rezygnował. Wtedy podniósł się z miejsca towarzyszący dziewczynie młody mężczyzna. Wydawało się, że za chwilę zacznie się bójka, kiedy wstał pan Lichtenstein i rzucił kilka słów w stronę awanturnika. Ten natychmiast się wycofał. Mężczyzna podziękował fabrykantowi i poprosił do tańca swoją partnerkę. Marta pamięta, jak zachwycająco wyglądała Miriam ze swoim narzeczonym. Pół roku później pobrali się, a dziadek Matheus, który dobrze znał rodziców panny młodej, posłał na wesele dwie skrzynki swojego najlepszego wina.

Jak niepodobna do tamtej była dziś Miriam, kiedy stała na progu sklepu. Urodziwa twarz nosiła ślady zmęczenia, troski. „Co się z nami dzieje, jeśli ludzie, z którymi żyliśmy tyle lat w zgodzie, handlowaliśmy i bawiliśmy się w tych samych miejscach, mijaliśmy się na ulicy, pozdrawiając się z uśmiechem, teraz nas się boją?” – zastanawia się, wchodząc do domu.

Dwa tygodnie później pogoda nie jest tak przyjazna. Ołowiane chmury wiszą nad rynkiem już od świtu, ci więc, którzy musieli zrobić zakupy, szybko załatwili sprawunki i pochowali się w domach. Zostało tylko kilka wozów i budek, których właściciele uparcie czekają na spóźnionych klientów. Marta wsłuchuje się w dźwięk kropel bębniących o brezentowy daszek i spadających na bruk. Nic nie zostało z październikowego słońca i płomiennych liści. Deszczowe łyzy zawisają na chwilę uczipione nagich gałązek, a potem spływają poganiane przez następne spadające z nieba. Monotonie listopadowego poranka przerywa dźwięk silnika ciężarówki z dużym napisem *H. Blankenburg. Wytwórnia koniaków, likierów,*

soków i wody mineralnej. Unruhstadt, skracającej w kierunku stacji benzynowej ARAL należącej do Alberta Zwillicha. Jedynie wszechobecny zapach pierników nie pozwala poddać się przygnębieniu. Aromat goździków, cynamonu, imbiru i gałki muszkatołowej przypomina o zbliżających się świętach Bożego Narodzenia.

Marcie jest zimno. Tęsknie spogląda w stronę zasłoniętej przez budynek ratusza cukierni Peschela i marzy o filiżance gorącej, pachnącej czekolady. Wyobraża sobie, jak koniuszki palców rozgrzewają się, kiedy bierze do rąk delikatne porcelanowe naczynie. Potem podnosi je do góry i wciąga nosem bajeczny aromat. Z lubością przymyka oczy, myśląc o tym, jak zanurza usta w aksamitnym kremowym rozkosznym napoju. Nie połyka od razu. Przez chwilę trzyma na języku gęsty płyn, by rozpoznać wszystkie odcienie jego smaku, dopiero później przesyła go do żołądka, skąd ciepło rozchodzi się po całym ciele i dociera do zeszywniałych z zimna stóp. – Tak – wzdycha – takiej czekolady nie ma nigdzie. – Żołnierze z jednostki wojskowej w Züllichau, którzy dostali przepustkę, przyjeżdżają specjalnie, żeby jej posmakować. Pół godziny pociągami tam i pół godziny z powrotem, tylko po to, żeby przez kilka minut w cukierni u Peschela rozkoszować się filiżanką brunatnej słodyczy.

Marta wychyla się do tyłu i patrzy w głąb Züllichauer Straße, czy nie dojrzy płowej grzywy Lotte. „Dlaczego Williego nie ma tak długo? Mógłby się domyślić, że trzeba przyjechać prędzej. Już nic dzisiaj nie sprzedam” – niecierpliwi się.

– Hildo – zwraca się do sąsiadki handlującej obok – popilnujesz chwilę? Polecę tylko zamówić nalepki na wino.

– Idź, przecież nikogo nie ma. Jak wrócisz, ja się zwijam.

W drukarni, która kiedyś należała do Wilhelma Fiedlera, a dziś do Karla Schuberta, szybko wyjaśnia uprzejmemu młodzieńcowi, jak mają wyglądać nalepki, umawia się, że jutro je odbierze, i wraca na stanowisko. Hilda zaczyna się pakować do małego wózka, ale ona zostaje, bo Williego nadal nie widać. Przez ten czas udało się jej sprzedać jeszcze worek ziemniaków i trochę twarogu. Postanawia, że następnym razem przyjedzie za dwa tygodnie. Mleko oddaje do mleczarni i właściwie nie ma już nadwyżek, bo dwie krowy są cielne i po Nowym Roku zaczną je zasuszać. Opłacanie placu pod stragan jest bez sensu, jeśli praktycznie nie ma zysków.

Rozgląda się po pustym rynku. Czerwone flagi ze swastykami smętnie zwisają z masztów stojących przed wejściem do ratusza. Widzi kilku najwytrwalszych sprzedających i zziębniętego chłopca z Hitlerjugend, który schronił się przed deszczem w wejściu do budynku obok sklepu tekstylnego Lipmanna. Gorliwie pilnuje, by nikt nie kupował u Żyda. Fasady wszystkich restauracji i hoteli ulokowanych przy rynku są niemal zakryte przez mokre flagi opadające w dół z wysokości pierwszego piętra. W witrynach sklepów i w większości okien prywatnych domów wystawiono portrety Adolfa Hitlera

w najróżniejszych ujęciach. „Ach, przecież dzisiaj jest jakieś partyjne święto. Dziewiątego listopada. Walter mówił, że przed pomnikiem poległych będą wieczorem obchody – przypomina sobie kobieta. – Rocznicą marszu w Monachium czy jakoś tak? Tyle się tych świąt namnożyło. Nie mogę zapamiętać”. – Z czasem ruch na rynku zaczyna się jednak ożywiać, a deszcz przechodzi w mżawkę.

Z ratusza wychodzi młoda kobieta i idzie prosto w kierunku straganu Marty.
– Poproszę ćwierć litra słodkiej śmietanki. Do kawy – wyjaśnia.

Klientka nie zwraca uwagi na to, ile reszty wydaje Marta. Przygląda się handlarce. Taksuje ciepłą chustkę i nos czerwony z zimna. W końcu, rzuciwszy ironiczne spojrzenie, odchodzi. „Gdzieś ją już widziałam. Może na nabożeństwie albo po prostu tu na rynku? – zastanawia się Marta. – Nie pamiętam. Nieważne. Co ona mnie obchodzi” – myśli.

Raz po raz ulicami wokół placu przejeżdżają samochody, głównie te przewożące towary. Marta widzi, jak w kierunku ratusza szybkim krokiem zmierzają przewodniczący NSDAP w Unruhstadt oraz Fritz Deig, o którym Walter mówi, że należy do najbardziej zagorzałych głosicieli nazizmu. Obaj mają na sobie brunatne mundury z czerwonymi opaskami na ramieniu. Dyskutują o czymś z ożywieniem. Po jakimś czasie coraz więcej mężczyzn i chłopców w mundurach spieszy do ratusza. „Przecież uroczystości mają być dopiero wieczorem. Czyżby coś się stało?” – zastanawia się. Z zamyślenia budzi ją stukot końskich podków na bruku. Nareszcie przyjechał Willi. Marta najchętniej zrobiłaby mu awanturę, że nie domyślił się, aby przyjechać wcześniej, ale widząc zboliałą minę pracownika, rezygnuje. Prędko ładują skrzynki z warzywami na wóz. Z wysokości drewnianej ławeczki rzuca jeszcze jedno spojrzenie w kierunku sklepu Rosenbauma. Nie dostrzega żadnego ruchu. Wszystko wskazuje na to, że jest zamknięty.

Kiedy Walter wrócił z pracy, nie poszedł jak zwykle odświeżyć się przed posiłkiem. Wpadł do kuchni i od razu skierował się do pokoju, w którym stało kupione niedawno radio. Włączył je i nastawił głośniej, by słyszeć wiadomości. Spiker przejętym głosem rozprawiał o zamachu na niemieckiego dyplomate w Paryżu. Mówił o żydowsko-bolszewickim spisku wymierzonym w niemieckie państwo. Przypominał, jak młody Żyd Grynszpan wszedł podstępnie do niemieckiej ambasady i zastrzelił radcę von Ratha. Rozważał, jakie mogą być ewentualne następstwa tego haniebnego czynu. Jednego był pewien – Żydzi muszą za to zapłacić. Potem z radia popłynęły dźwięki muzyki poważnej, więc Walter wrócił do kobiet czekających na niego w kuchni.

– Co się stało? – niepokoi się Marta.

– Nie słyszałaś? Jakiś Żyd ośmielił się podnieść rękę na Niemca. To niesłychane!

– No dobrze, ale dlaczego tak się denerwujesz? To było dwa dni temu – uspokaja żona.

– Bo teraz musi coś się stać. Coś, co raz na zawsze pokaże Żydom, czym kończy się podniesienie ręki na Niemca. Führer ma rację. Nie ma dla nich miejsca w naszym kraju! – wykrzykuje rozgorączkowany mężczyzna.

– Walterze, mam ci nalać zupy czy jesteś zbyt zdenerwowany, żeby jeść? – Ręka Janki trzymająca chochelkę zawisła nad garnkiem w geście oczekiwania. – My zaraz idziemy na spotkanie chóru, będziesz więc jadł sam – uprzedza.

– Nalej, nalej, jestem bardzo głodny. Tylko umyję ręce. Zaraz muszę iść na zgromadzenie przed pomnikiem poległych. Dzisiaj jest przecież święto.

– Niestety, wiem. Tila zabrała pochodnię i już pewnie tam jest. – Żona najwyraźniej nie jest zadowolona z udziału córki w jej zdaniem zbędnych uroczystościach.

Następnego dnia przed południem Janka skubie gęś na jutrzejszy tradycyjny obiad, kiedy przez otwarte drzwi letniej kuchni zauważa Martę stawiającą rower pod wiatą. – Tu jestem! – woła. – Chodź, powiedz mi, co załatwiłaś w Unruhstadt.

– Nie wejdę, bo cały płaszcz będę miała od pierza. Jak skończysz, przyjdź do domu. Tak się zdenerwowałam, że muszę się wygadać.

Po kilkunastu minutach do kuchni wkracza Janka dźwigająca miskę z tłustą gęsią w środku. – Co się stało? Nalepki na wino nie były gotowe?

– Nie. Nie o to chodzi. Słuchaj, ja nie wiem, do czego to wszystko doprowadzi. Lepiej, żebym dzisiaj nie jechała do Unruhstadt, to może bym się tak nie zdenerwowała.

– Mów wreszcie, co się stało!

– W sklepach żydowskich wybito nocą szyby, a na ścianie fabryki Lichtensteina ktoś napisał wielkimi literami *JUDE RAUS!* Kiedy zobaczyłam Miriam Rosenbaum, jak ze spuszczoną głową zamiata szkło, a bezczelne wyrostki śmieją się z niej, pomyślałam, że świat chyba stanął na głowie.

– Kto to zrobił?

– Nie wiem. Nikt nic nie chce mówić. Ludzie stali, patrzyli i milczeli. Tak mi wstyd, ale ja też się nie odezwałam.

– To chyba przez ten zamach we Francji.

– Ale co wspólnego mają z nim Lipmannowie albo Rosenbaumowie?

– No wiesz, Walter tłumaczył nam kiedyś przy kolacji, co Führer myśli o Żydach. Chce ich z Niemiec wykurzyć. Wszystkich. Młodzież tego słucha, a potem okropnie się wobec Żydów zachowuje.

– Czemu nie może być jak dawniej? Pamiętam, że żyliśmy tu wszyscy w zgodzie, Niemcy, Polacy i Żydzi. Co się nagle stało, że zaczynamy patrzeć na siebie jak na wrogów? – pyta z żalem Marta. – I przez to wszystko, jak wracałam do domu, pomyślałam sobie, że ja do tego ręki nie przyłożę i sklepu Rosenbaumów nie chcę.

– Ale wtedy weźmie go ktoś inny – Janka próbuje nieśmiało oponować.

– Trudno. Nie umiałabym się nim cieszyć.
– Ja ciebie rozumiem, jednak Walterowi tak łatwo tego nie wytłumaczysz – ostrzega kuzynka.

– Wiem, ale będzie musiał to jakoś przeboleć. Ja już zdecydowałam – kończy dyskusję pani Neumann.

Wzdychając nad światem, który staje się dla nich nie do pojęcia, idą do swoich zajęć. Wkrótce nastąpią kolejne zmiany. Upokorzony i załamany pan Lichtenstein wejdzie do ratusza, tego samego, w którym przyjmowano go jako zasłużonego i wpływowego obywatela Unruhstadt, i podpisze podsunięty mu akt sprzedaży jego ukochanej fabryki, a potem wyjedzie z miasta na spotkanie strasznej śmierci. Pewnego dnia znikną gdzieś żydowscy sąsiedzi – kupcy i rzemieślnicy oraz ich ciemnookie dzieci i zatroskane żony. I nikt nie zapyta, co się z nimi stało. Do opuszczonych mieszkań wprowadzą się nowi lokatorzy, a na szyldach sklepów pojawią się lepsze, bo czysto niemieckie nazwiska. Cementarzem za miastem zajmie się młodzież z Hitlerjugend, wyróci wiekowe macewy, zbezczęści je, a potem w poczuciu dobrze wykonanego zadania zasiądzie z rodzicami do kolacji. A oni z dumą będą patrzeć na swych pięknych i dzielnych synów i myśleć o tym, jaka wspaniała przyszłość ich czeka.

17

Walter wrócił do domu jeszcze później niż zwykle, bo po pracy wziął udział w cotygodniowych ćwiczeniach na strzelnicy, a potem poszedł z kolegami na piwo, a właściwie na kilka piw.

– Jak to nie chcesz sklepu? Co ci przyszło do głowy? – pyta, jakby nie rozumiał, co mówi do niego Marta.

– Widziałam dzisiaj, jak Miriam zamiata szkło przed sklepem.

– No to co? Co cię ona obchodzi?

– Przecież ja ją znam. Moi dziadkowie przyjaźnili się z ich rodziną. Mam sobie zakryć oczy i udawać, że nie widzę, co się dzieje? – pyta Marta z goryczą. – Nie pamiętasz? *Kto bowiem wyrządza krzywdę, otrzyma odplataę za krzywdę bez względu na osobę*^[17].

– Skończ z tymi sentymentalnymi bzdurami! Taka okazja! Kolejka chętnych już się ustawia po żydowską własność. Możesz mieć sklep prawie za darmo. Zrozum, kobieto! Ja już dałem w łapę, żebyś to ty go dostała. Przecież nie pójdę i nie powiem: „Moja żona się rozmyśliła. Czy mógłbyś mi zwrócić pieniądze?”.

– Niczego nie kazałam ci robić. – Marta jest bliska płaczu. – To był twój pomysł. Ja wciąż mam przed oczami tę biedną Miriam. I jeszcze ci smarkacze z Hitlerjugend! Zamiast jej pomóc albo przynajmniej nie przeszkadzać, śmiali się i dogadywali. Ich rodzice powinni spalić się ze wstydu. Jak można tak wychować dzieci!

– Cicho bądź! – napomina żonę Walter. – To byli prawidłowo myślący, dzielni młodzieńcy. Wiedzą, że nie można tolerować żydostwa. Pleni się, zabiera uczciwym kupcom zarobek. A ty, zamiast się cieszyć, wymyślasz nie wiadomo co. Żebyś tylko po wsi tak nie gadała! – krzyczy z poczerwieniałą twarzą. – Gdyby nie to, że jesteś tylko głupią kobietą, pomyślałbym, że krytykujesz naszego Führera.

– Ja jestem głupią kobietą?

– A nie? Może mogę z tobą o czymś poważnym porozmawiać? Jedyne twoje tematy to krowy, winnica, kapusta i plotki. Nawet ubrać się nie potrafisz. Wstydzilem się, jak zobaczyłem cię na Świącie Plonów w tych starych wendyjskich śmierdzących naftaliną szmatach.

– Tak? To po co się ze mną żeniłeś? Trzeba było posłuchać mamusi, jak ci mówiła, żebyś nie szedł na wieś, biedaczku.

– Żeby nie moje pieniądze, przepadlibyście. Uratowałem wam tyłki, jak bank chciał zabrać ziemię za długi. Może lepiej by było, gdybym wtedy matki posłuchał. W Berlinie znalazłbym lepszą pracę, Tila mogłaby dobrze wyjść za męża. A tak, kogo ona tu dostanie? Głupka śmierdzącego obora?

– Nikt cię tu nie trzyma. Nie musisz się z nami męczyć. Jedź! Jedź do mamusi! Na pewno się ucieszy, że miała rację.

– A żebyś wiedziała, że pojedę! – Rozwścieczony Walter wychodzi z kuchni, głośno trzasnąwszy drzwiami.

Janka wraca właśnie z wieczornej mszy, którą zamówiła za dusze rodziców. Już przy furtce słyszy odgłosy awantury. „Matko Boska! Co się dzieje?” – Podchodzi bliżej, jakby nie mogła uwierzyć własnym uszom. Speszona przysiadła na ganeczku i, choć trzęsie się z zimna, czeka. „Będzie lepiej, jak się nie domyślę, że usłyszałam kłótnię – postanawia. – Nie chcę się wtrącać. Oni się pogodzą, a ja będę wrogiem”. – Zjawia się w kuchni długo po tym, jak dobiegł ją huk drzwi zamykanych zbyt energicznie.

– Gdzie Tila? – pyta, udając obojętność.

Marta siedzi przy stole. Tylko niezwykle spokoj, bladość twarzy i prawie białe usta świadczą o wstrząsie, jakiego doznała. Pytanie zadane przez Jankę zdaje się budzić ją z jakiegoś letargu.

– Grupy BDM ćwiczą w okolicy Schwentesee nocne biegi na orientację – odpowiada bezbarwnym głosem.

– Kiedyś dziewczęta szyły, gotowały i śpiewały, a dzisiaj tak jak chłopcy biorą latarkę, mapę, urządzenie, co nazywa się kompas, i szukają drogi w ciemnym lesie. – Janka wzdycha teatralnie. – Pomóc ci w czymś?

– Nie. Przyprawię tylko gęś na jutro i idę spać.

– Marto, czy coś się stało? Tak dziwnie wyglądasz. – Kuzynka boi się zostawić Martę samą.

– Nie, wszystko w porządku. Jest tak, jak powinno być... już dawno.

Godzinę później Marta zjawia się w sypialni. W pokoju jest siwo od papierosowego dymu. Walter leży na swojej połowie łóżka odwrócony plecami. Po tym, jak oddycha, kobieta domyśla się, że mąż nie śpi. Podchodzi do okna i otwiera je na całą szerokość. Stoi w strumieniu chłodnego powietrza napływającego do pokoju. Patrzy przed siebie. Przez bezlistne gałęzie lipy widać księżyc. Jego zimny blask oświetla krzewy bzu, drzewa owocowe, włoski orzech rosnący za stodołą i odbija się w oknie letniej kuchni. Marta zamyka okno, myje się w ciemnościach i ubiera do snu. Mechanicznie, wyćwiczonymi ruchami czesze włosy i zaplata warkocz. Potem klęka do modlitwy, którą kończy słowami: – Czuwaj nade mną, o Panie, a gdy się obudzę dnia jutrzejszego ze snu, bądź moim wspomnieniem, dla Syna Twego Chrystusa. Amen. – W końcu kładzie się do łóżka i spokojnie zasypia.

Rano jest w kuchni sama, kiedy słyszy kroki męża na schodach. Zanim zdążył nabrać ciepłej wody do golenia, odwraca się w jego stronę i mówi stanowczym głosem:

– Zaczekaj, musimy porozmawiać.

Walter przystaje nachmurzony.

– Po tym, co mi wczoraj powiedziałeś – zaczyna Marta – zrozumiałam, że nie jesteś ze mną szczęśliwy...

– Nie, to nie tak. Zdenerwowałem się. Nie jestem nieszczęśliwy – zaprzecza. Jest zaskoczony. Oczekiwał raczej wyrzutów niż takich słów.

– Nie przerywaj mi. Zaczekaj, aż skończę – prosi łagodnie. – Kiedy posprzeczaaliśmy się latem, już wtedy myślałam, żeby ci to zaproponować. Potem między nami zrobiło się lepiej, więc nic nie mówiłam. Wczoraj usłyszałam, jak bardzo ci ze mną źle. Skoro tak, weź kilka dni urlopu, jedź do Berlina i tam załatw sobie pracę.

– Marto, co ty...

– Możesz zamieszkać u matki – kontynuuje, nie zważając na to, że mąż próbuje coś wtrącić. – Jeśli będziesz chciał odwiedzić Tilę, zawsze możesz tu przyjechać. Wielu mężczyzn pracuje gdzieś daleko, a do rodzin wraca tylko na niedzielę albo i raz w miesiącu.

– Przepraszam cię, ja nie chciałem tego wszystkiego powiedzieć... Za dużo wczoraj wypilem – tłumaczy się Walter nieudolnie.

– A jeżeli spotkasz tam kogoś, z kim będziesz chciał ułożyć sobie życie, nie będę ci robiła żadnych trudności – kończy kobieta z westchnieniem ulgi.

– Marto, nie przesadzaj. Ludzie się kłócą i godzą. Nie chcę rozstawać się z tobą i Tilą. To prawda, myślałem o Berlinie, ale z wami. Bez was to nie miałyby żadnego sensu – przekonuje.

– Dobrze wiesz, że źle bym się tam czuła. Tak samo jak ty tutaj. Poza tym powiedziałeś, że nie pasuję do ciebie.

– To było w gniewie – tłumaczy Walter pokornie.

– Od lat wiem, że do siebie nie pasujemy – mówi, jakby go nie słyszała. – Oszukiwaliśmy się, że to może się udać. Wiejska dziewczyna i chłopak z dobrego mieszczańskiego domu. Twoja matka miała rację. Moi rodzice też. Tylko my uparliśmy się bez sensu.

– Nie mów tak. Wybacz mi, proszę. – Bierze ją za rękę, a ona jej nie cofa, tylko patrzy z goryczą na dwie splecione dłonie.

– Spójrz, nawet nasze ręce do siebie nie pasują.

Walter spuszcza wzrok. Widzi swoje białe, miękkie, delikatne palce i jej zgrubiałe, popękane, poplamione sokiem z warzyw, z nierównymi paznokciami i ciemnymi obwódkami u nasady.

– Zaczekaj – prosi. – Nie decydujemy jeszcze o niczym. Wróćmy do tego za parę dni.

– Dobrze, teraz i tak musisz jechać do pracy, a jeszcze nic nie zjadłeś.

– Nie jestem głodny. Ogołę się tylko.

– Wróć punktualnie, jeśli możesz. Dzisiaj mamy gęś.

– Wiem. Postaram się być na czas.

Żadne z nich nie zdaje sobie sprawy, że na schodach, z twarzą przyciśniętą do drewnianych szczebli, siedzi Tila. Wie, że przerwą rozmowę, kiedy tylko ją zobaczą, przysiadła więc na stopniu. Słyszy zbliżające się kroki ojca i szybko cofa się do swojego pokoiku. Zaniepokojona siada na łóżku. „Co to wszystko znaczy? O czym oni mówili? Dlaczego mama chce, żeby tata wyjechał?” – zastanawia się.

Późnym popołudniem siadają do obiadu. Marta wyjmuje z piekarnika brytfannę, a apetyczny zapach pieczonej gęsiny roznosi się po całym domu. Ostrożnie przekłada rumiany ptasi korpus na półmisek, potem go kroi i każdemu kładzie na talerz jego porcję. Łyżką dodaje aromatyczny jabłkowy farsz. Do tego jeszcze ziemniaki polane brązowym sosem i modra kapusta. Jedzą w milczeniu i nikt nie prosi o dokładkę, chociaż wczoraj wszyscy z niecierpliwością czekali na dzisiejszy posiłek. Walter ukradkiem spogląda na żonę i kiedy widzi jej spokojną twarz, zaczyna ogarniać go irytacja. Myśli, że to, co się stało, to nie jego wina. To ona doprowadziła do kłótni, a teraz jest zadowolona, że dopięła swego. Pozbędzie się go tak, jak to od dawna planowała. – Poproszę jutro o trzy dni wolnego i w niedzielę pojedę do Berlina – oznajmia.

– Dobrze. – Marta wygląda na lekko zaskoczoną. – Przygotuję coś dla Sabiny.

Tila podnosi głowę i spogląda z niepokojem to na matkę, to na ojca, ale z ich twarzy nie może wyczytać żadnej wróżby na przyszłość. Janka, jakby straciła całkiem apetyt, odsuwa talerz z niedojedzonym obiadem i kręci głową z dezaprobatą.

W niedzielny poranek Marta wkłada do dużej tekturowej walizy starannie

opakowany prowiant: kurę na rosół, dwie kaczki i królika. Do tego dodaje owinięte kawałkami gazet i poukładane w pudełku po butach jaja, a także twaróg, masło i śmietanę. Od Anny Radach, która miała trzy dni temu świniobicie, pożyczyła trochę rąbanki, słoninę, po jednej pasztetowej i salcesonie, i tak lubianą przez teściową bułczankę. Kiedy mąż jest już gotowy do drogi, przynosi z piwnicy dwie butelki zeszłorocznego wina.

– Daj spokój. Nie udźwignę tego wszystkiego. Zresztą mama nie lubi twojego wina.

– To nie dla mamy. Dla Ewy. Niedługo ma urodziny.

– Nie mam zamiaru się z nią spotykać – uprzedza Walter.

– Zostawisz to u mamy. Przecież Ewa odwiedza chłopców. Na pewno jest jej ciężko. Ucieszy się, że ktoś z rodziny o niej pamięta.

Walizka okazuje się wyjątkowo ciężka. Marta przewidziała to, umówiła się więc z Willim, że odwiezie Waltera na pociąg do Bomstu, skąd pojedzie bez przesiadek do Berlina. Radzi mężowi, by na miejscu skorzystał z pomocy bagażowego, a potem wziął taksówkę. – Uściskaj ode mnie Christiana i Arnolda i... załatw wszystko pomyślnie – dodaje ciszej.

18

Po kilku godzinach jazdy Walter dociera do rodzinnego miasta. Taszczy walizę na dworzec kolei miejskiej, przeklinając w myślach dobroczynne zapędy Marty. Jedzie na Stuttgarter Platz i dopiero stamtąd bierze taksówkę. Matka od dwóch miesięcy mieszka w Charlottenburgu. Swoje nieduże, ale położone w centrum mieszkanie sprzedała i kupiła większe, daleko od starych znajomych, którzy mogliby okazać się zbyt wścibscy.

Walter wysiada z taksówki przed kamienicą będącą nową przystanią matki. Nie może tego ocenić dokładnie, bo zapada zmrok, ale wydaje mu się, że Sabina dobrze wybrała. Zarówno szeroka ulica, jak i stojące przy niej kamienice wyglądają dostаточно. Przy Unter den Linden hałas bywał nie do zniesienia, tu jest jakby spokojniej, a przy tym dużo sklepów, zieleni i, co najważniejsze, nikt nie zna Sabiny ani chłopców, a tym bardziej Ewy. Kamienice są czteropiętrowe, ale on na szczęście musi wejść z walizką tylko na pierwsze piętro. Chwyta ciężki bagaż i otwiera drzwi wejściowe, potem po szerokich schodach wspina się do góry. Spocony z wysiłku przyciska ozdobny mosiężny dzwonek. Szybki tupot stóp i drzwi się otwierają. Staje w nich uśmiechnięty chłopiec, który patrzy na przybysza oczami swego ojca Georga. Walter też się do niego śmieje, choć ma wrażenie, że na jego widok oczy te odrobinę smutnieją. – Christianie, nie poznajesz mnie?

– Poznaje, wujku. – W głosie chłopca słychać rozczarowanie.

Malec wyciąga ręce, by objąć stryja. W drzwiach pojawia się Sabina. I ona

też przytula gościa.

- Wejź, synku, nie stój w progu.
- Pięknie mieszkasz, mamó.
- Ocenisz, jak zobaczysz. Wchodź.

W dużej kuchni wyjmuję na stół wszystko, co Marta rano przygotowała. Na końcu podaje Sabinie dwie butelki chwalimskiego wina. – To dla Ewy. Marta podarowała jej na urodziny.

- Dziękuję, na pewno się ucieszy.
- Co u niej?

Sabina patrzy synowi znacząco w oczy i przenosi wzrok na Christiana.

– Wszystko w porządku. Jest bardzo zajęta, ale czasem widujemy się z nią w ogrodzie zoologicznym.

– Mamy taką tajemnicę, że to znajoma babci, i mówimy do mamy „pani”! – chłopiec dzieli się sekretem ze stryjem.

- A gdzie masz brata?
- W pokoju. Arnold się gniewa.
- Na ciebie?

– Nie, na mamę. On mówi, że to wszystko przez nią. A ja kocham mamę i chciałbym, żeby nas już zabrała z powrotem do domu.

Walter spogląda na Sabinę. Smutek w oczach matki zdradza, że nie jest jej łatwo.

- Chodź, pokażę ci mieszkanie.

Lokal składa się z holu, z którego liczne drzwi prowadzą do różnych pomieszczeń: eleganckiego salonu z wyjściem na balkon, jadalni, kuchni, trzech sypialni, łazienki z dużą wygodną wanną oraz służbówki. Stojące w pokojach kafłowe piece wyglądają, jakby je przeniesiono wprost z pałacu. Są wyjątkowo piękne, mają oryginalne kafle i ozdobne metalowe drzwiczki.

- To mieszkanie musiało być bardzo drogie, mamó.

– Wcale nie. Powiedziała mi o nim Ewa. Jej znajomi wyjeżdżali na stałe za granicę i sprzedali je całkiem tanio, w dodatku razem z meblami.

Sabina otwiera drzwi do jednego z pokoiów. – Tu śpią dzieci – wskazuje.

– Witaj, Arnoldzie – Walter zwraca się do poważnego dziesięcioletniego chłopca siedzącego przy biurku nad książkami. – Odrabiasz lekcje?

- Tak. Uczę się matematyki.
- Nie przywitasz się ze mną?

Arnold wstaje, podchodzi do Waltera i bez uśmiechu podaje mu rękę, potem wraca na miejsce.

- Widzę, że nie masz czasu. Może porozmawiamy jutro?

Chłopiec kiwa głową i przestaje zwracać uwagę na wuja.

Jest późny wieczór. Siedzą w salonie, sącząc słodką owocową herbatę.

- Wszystko u ciebie w porządku, synu?
- Dlaczego pytasz, mammo?
- Ostatnio nie przyjeżdżałaś na dłużej niż jeden dzień.
- To źle, że chcę pobyć z wami?
- Nie. Bardzo się cieszę. – Sabina uśmiecha się do syna. – Tylko czasy teraz takie, że nie wiem, z której strony uderzy nieszczęście.
- Nie mów tak, matko. To dobre czasy. Gdyby Georg żył, cieszyłby się z tego, jak potężne stają się Niemcy – mówi Walter z dumą. – Austria jest z nami, odzyskaliśmy Sudety, niedługo połączymy się z Prusami Wschodnimi. Zrobimy porządek z Polską. Georg był żołnierzem, doceniłby to.
- Jeśli chodzi o państwo, masz rację, ale ile przy tym cierpienia zwykłych ludzi. Ta nagonka na Żydów! Gdybyś widział, co się działo w Berlinie jeszcze kilka dni temu. Niszczenie żydowskich sklepów, płonące synagogi – oburza się kobieta. – Takie zdziczenie nie przystoi narodowi, który mówi o sobie, że jest wielki.
- Tak jest tylko na razie. To się skończy, jak osiągniemy nasze cele. Trzeba wytrzymać.
- Powiedz to chłopcom, którzy niedawno stracili ojca, a teraz nie mogą zrozumieć, dlaczego matka oddała ich babci na wychowanie.
- Walter patrzy na kobietę, która siedzi pochylona i wbija wzrok w pustą filiżankę. Widzi, że jej długi, trochę haczykowaty nos zrobił się jeszcze dłuższy, a włosy już całkiem posiwiały.
- Co tam u was w Chwalimiu? Marta zapracowana jak zawsze? – Sabina przerywa ciężące obojgu milczenie.
- Znasz ją. Wciąż się krząta.
- Wszystko u was w porządku?
- Znowu pytasz – irytuje się Walter.
- Nie pamiętam, co mi odpowiedziałeś.
- Nie wiem, czy w porządku. Ostatnio jakoś trudno nam się porozumieć.
- Nie pasowaliście do siebie, ale nie chcieliście nikogo słuchać – przypomina matka.
- Cóż, szaleństwa to przywilej młodości. Z wiekiem się mądrzeje – stwierdza oschle Walter.
- Nigdy nie przepadałam za Martą. Zresztą ona za mną też nie. Zasługiwałaś na lepszą żonę – wykształconą i obytą. Ciebie obchodziła tylko jej ładna buzia. Ale teraz, po tylu latach, nie ma sensu niczego zmieniać. Synku, twoja żona to w gruncie rzeczy porządna, pracowita i pobożna kobieta, choć za bardzo niezależna. Gdybyś tylko ty zarabiał na rodzinę, pewnie by się podporządkowała. A tak buntuje się, bo myśli, że może rządzić sama.
- Żeby tylko chciała się stamtąd ruszyć – mówi Walter, tłumiąc gniew. –

Tęsknię do miasta. Męczy mnie nieustanne kręcenie się wokół tego, czy jest pogoda, czy na czas zbierze się zboże, czy winorośle mają choroby grzybowe, czy krowy dają dość mleka, i wciąż to samo.

– To skutki tego, że ożeniłeś się z chłopką. Byłeś głuchy na wszelkie argumenty. No cóż, nie jesteś małym chłopcem, który wyrzuca zabawki, bo mu się znudziły. Próbuj ją namówić na przeprowadzkę. Ale jeżeli się nie uda, bądź z rodziną – nakazuje matka.

*

Walter leży w świeżej, pachnącej pościeli. Wpatruje się w wysoki sufit, po którym przesuwają się światła samochodów przejeżdżających ulicą, słyszy dyskusję dwóch podpitych mężczyzn i odgłos drzwi zamykanych na dole. Myśli o rozmowie z matką, jej słowach i smutku w oczach. Przypomina sobie, jak starał się ją przekonać, że przyszłość będzie lepsza, ale teraz, w ciemnościach, nie jest pewien, czy potrafiłby przekonać samego siebie.

Rano, zaraz po śniadaniu, wychodzi na ulicę i z budki telefonicznej dzwoni do Helmuta Fischera, kolegi pracującego w Ministerstwie Finansów. Umawiają się na spotkanie po południu. „Co robić z taką ilością wolnego czasu? – zastanawia się. Bratankowie są w szkole, a Sabina robi zakupy. – Pojadę do centrum – decyduje. – Zobaczę, co się zmieniło w Berlinie. Ostatnio wpadałem tu tylko na chwilę, nie miałem czasu na zwiedzanie”.

Z okien miejskiej kolei wiaduktowej zmierzającej do centrum patrzy na miasto. Pierwsze, co rzuca się w oczy, to powstające nowe budynki otoczone wysokimi rusztowaniami i ruch na ulicach. Kiedy wysiadł z wagonu, uderzają go dźwięki przejeżdżających tramwajów, klaksony samochodów, policjanci kierujący ruchem na skrzyżowaniach, spieszący się ludzie niknący w tunelach metra lub wyłaniający się na powierzchnię. Na każdym kroku natyka się na mężczyzn w wojskowych lub partyjnych uniformach. Z budynków publicznych zwieszają się czerwone flagi z czarną swastyką na białym polu. Ulicą raz po raz maszerują zorganizowane grupy chłopców należących do Hitlerjugend. Walter czuje, jak i jemu udziela się radość, podniecenie i duma malujące się na twarzach przechodniów. Atmosfera ulicy rozwiewa nocne wątpliwości. „Tak, jesteśmy na dobrej drodze. Trzeba być ślepym, żeby tego nie widzieć” – myśli. Zmęczył się trochę, idzie więc do parku. Mimo chłodu siada na ławce w pobliżu stawu. Przymyka oczy i przez chwilę napawa się względną ciszą, ale wkrótce kojący spokój zakłóca dźwięk metalowego kółka radośnie popychanego patykiem przez jasnowłosego chłopczyka. Kilka kroków za nim podąża matka, a obok niej idzie mała dziewczynka pchająca wózek z lalką. Kółko przewraca się u stóp Waltera. Ten stawia je do pionu i trzyma chwilę, aby chłopiec mógł włożyć patyk między krawędzie obręczy.

– Walti, dziękuj.

– Bardzo panu dziękuję – mówi nieco zawstydzony malec i znowu biegnie za kółkiem.

„Walti? Ma na imię tak samo jak ja! Chciałbym mieć takiego synka – marzy. – Bawiłbym się z nim, brał na kolana, grałbym w piłkę. Ale cóż – z piersi wyrывa się smutne westchnienie. – Marta nie może mieć więcej dzieci”.

Nagle przypomina sobie ostatnie dni w domu, kłótnię i słowa żony, że może ułożyć sobie życie od nowa. Tu, w Berlinie. Patrzy na dziecko niknące w głębi alejki i przez głowę przelatuje mu myśl, że jeszcze mógłby mieć takiego chłopczyka.

Zapałł wczesny listopadowy zmierzch. W piwiarni przy Friedrichstraße Walter czeka na przyjaciela, który spóźnia się już pół godziny. Wreszcie go zauważa. Wysoki, mocno otyły mężczyzna stoi przy wejściu i rozgląda się, usiłując przebić wzrokiem gęstą chmurę papierosowego dymu. Walter macha ku niemu ręką. Przybysz, lawirując między krzesłami, dociera do jego stolika. Witają się serdecznie i wymieniają informacjami o tym, co zdarzyło się w ich życiu od ostatniego spotkania. Po chwili kelner stawia przed nimi dwa litrowe kufle piwa i talerze, na których parują apetycznie pachnące, gotowane golonki, a obok nich kiszona kapusta duszona na smalcu z cebulką, purée z zielonego groszku i kartofle. Na widok delikatnej skórki z warstewką tłuszczu pod spodem i mięska, otaczającego kość niczym dorodny półksiężyc, czują, jak coś ściska ich w żołądku, a usta napełniają się śliną. Bez zbędnych słów zaczynają kroić, gryźć, przeżuwać. Najpierw szybko, potem, w miarę zaspokajania głodu, wolniej, smakując na języku przyprawę, delektując się miękkością skórki i słodyczą groszku.

Kiedy talerze są już puste, Helmut Fischer daje znak kelnerowi i zamawia następne piwo. Syci i ociężali piją bez pośpiechu.

– No, mów wreszcie, co cię sprowadza do Berlina.

– Znowu mam do ciebie prośbę. Dobrze mi poradziłeś w sprawie bratanków, teraz też potrzebna mi twoja pomoc. Jeśli możesz, znajdź mi tutaj jakąś pracę.

– Tu? W Berlinie? Po co? Przecież mieszkasz na wsi – mężczyzna nie potrafi ukryć zdziwienia.

Walterowi ciężko to wyznać, ale w końcu wydusza z siebie: – Ostatnio nie układa nam się z Martą. Postanowiłem wrócić w rodzinne strony.

– Co? – rechoce Helmut i rozochocony piwem klepie go w udo. – Chcesz zostawić Martę? Ten ideał niemieckiej kobiety? Nie wierzę! Co się stało? Już wiem! Dowiedziała się o Birgit i wystawiła ci walizki. A uprzedzałem cię, pamiętasz? W takiej dziurze nic się nie ukryje. Mało ci było naszych wypadów na panienki? No to się doigrałeś – dodaje z satysfakcją.

– Ciszej! – Walter rozgląda się wokół, ale ze zdumieniem stwierdza, że nikt nie zwraca na nich uwagi. – Nie, o moich wyskokach Marta nic nie wie. W tych sprawach potrafię być ostrożny. Po prostu często się kłócimy. Matka ostrzegała,

że nie będziemy dobraną parą, bo pochodzimy z zupełnie różnych środowisk. Widzę, że miała rację, choć muszę przyznać, że przez wiele lat było dobrze.

– Czekaj. Kiedy ja ostatni raz widziałem twoją żonę? – zastanawia się Helmut. – Pięć lat temu?

– Nie, byliśmy razem na czterdziestych urodzinach Georga. Minęło już siedem lat.

– I co, ciągle jest taka ponętna? Spodobała mi się. Gdybyś nie był moim przyjacielem, poglądowałbym z nią. Trochę dla mnie za chuda, ale ma w sobie coś takiego...

Walter nie odpowiada na rubaszne żarty. Wie, że Marta podoba się mężczyznom. Tyle że ona nigdy nie zwraca na nich uwagi i nie daje żadnych powodów do zazdrości.

– To jak będzie? – wraca do swojego problemu. – Rozejrzysz się za czymś dla mnie? Najlepiej w państwowym urzędzie.

– Jasne, że tak, ale mówię ci od razu, nie będzie łatwo. Spóźniłeś się trochę. Systematycznie relegowaliśmy tych, co nie chcieli wstąpić do partii, dlatego co jakiś czas mogła się trafić całkiem dobra posada. Ale teraz trudno znaleźć bezpartyjnego urzędnika. Założmy jednak, że się uda. Na pewno na początek nie będzie to stanowisko kierownicze. Ile zarabiasz w tym swoim ratuszu?

– Około sześćdziesięciu marek tygodniowo plus dodatek za przynależność do partii.

– Niewiele, ale tu przez pierwsze lata też więcej nie dostaniesz. Od tego odlicz sobie różne obowiązkowe składki, na przykład na Reichsbund Deutscher Beamten. Będziesz też musiał wynająć mieszkanie, no i wyżywienie. To ile ci z tego zostanie?

– Matka ma duże mieszkanie, mógłbym więc zatrzymać się u niej. Tak samo z wyżywieniem.

– Jak długo dorosły mężczyzna wytrzyma pobyt u mamusi? Naprawdę chcesz zaczynać wszystko od nowa? Masz czterdzieści trzy lata, ustabilizowane życie, dom, dobre wiejskie jedzenie. Żona nie kontroluje twoich wydatków, dajesz jej, z tego, co wiem, tyle pieniędzy, ile chcesz. Robisz od czasu do czasu skok w bok bez konsekwencji. Po co psuć to wszystko? – Helmut pochyla się w stronę Waltera, zniża głos do szeptu i już dużo poważniej mówi mu wprost do ucha: – Są jeszcze inne powody, żebyś dobrze przemyślał swoją decyzję. Urzędnik państwowy to ktoś nieustannie kontrolowany. Założysz telefon, będziesz miał podsłuch. Wyrzekłeś się bratowej, ale i tak dowiedzą się, że ją miałeś. Bratankowie są mieszańcami, a ty będziesz z nimi mieszkał, staniesz się więc podejrzany. Na koniec wspomnę jeszcze o bardzo istotnym twoim mankamencie. Masz tylko jedno dziecko, a urzędnicy państwowi zobowiązani są do prokreacji. Będziesz chciał ożenić się ponownie, twoja narzeczona zostanie gruntownie sprawdzona pod

względem czystości rasowej, jak i fizycznie, czy zdolna jest do rodzenia. Dam ci dobrą radę: wracaj na wieś, siedź cicho i bądź szczęśliwy – kończy Helmut trochę głośniejszym głosem.

Walter słucha tego z coraz większym rozczarowaniem. Przez wszystkie lata, kiedy myślał o tym, co stracił, zostając w Chwalimiu, łudził się, że kiedy tylko zechce, może wrócić do Berlina. Marzył o awansach, życiu na odpowiednim poziomie, dobrym zamążpójściu dla Tili. Teraz okazało się, że to mrzonki. Za późno. Został daleko w tyle za kolegami i już nie robi żadnej kariery.

Helmut zamawia kolejne piwo na koszt kolegi i, widząc minę Waltera, woła:
– Nie bądź taki ponury! Chcesz koniecznie? Znajdę ci coś. Poczekaj parę tygodni.

Był już późny wieczór, kiedy Walter wrócił do mieszkania w Charlottenburgu. Matka czekała, ale nie miał ochoty rozmawiać i szybko położył się spać.

Kolejną noc leży i wpatruje się w sufit. Głowa boli od nadmiaru piwa i niewesołych myśli. Czuje się tu obco, jakby spał w hotelu. Mieszkanie nie pachnie tak jak to, w którym się wychował. Nie ma już domu dzieciństwa, zakamarków, gdzie kryli się z bratem podczas zabawy w chowanego, ani futryny, na której ojciec zaznaczał, jak rosną. To łóżko było niegdyś własnością zupełnie nieznanym mu ludzi. Czy ktoś, kto w nim spał, patrzył w sufit i nie mógł zasnąć, wiedząc, że bezpowrotnie utraci swe miejsce na ziemi?

Dobę później wysiada z pociągu na małej chwalimskiej stacyjce. Dwie latarnie stojące przy przejeździe kolejowym rzucają żółte światło jedynie na początek drogi do wsi. W ciemnościach rozproszonych tylko blaskiem księżycy Walter niepewnie stąpa po bruku, a kiedy słyszy za plecami klekotanie jadącego roweru, schodzi na pobocze, wprost na cienki lód pokrywający kałużę. Głośne chrupnięcie i trzewik aż po cholewkę zanurza się w zimnej wodzie. Przechodzi przez most na rzece. Jeszcze kilkadziesiąt metrów i jest we wsi, ale to nie koniec wędrówki. Dopiero po długim marszu wśród uszpionych domów staje przed furką. Szron na dachu i na gałęziach drzew i krzewów błyszczy srebrnym blaskiem. W jednym z okien widać światło. Ten jasny punkt sprawia, że ciemność wokół wydaje się gęsta, niemal dotykalna. Mężczyzna zatrzymuje się zaskoczony, bo ten obraz budzi w nim wspomnienie słodkiego dzieciństwa.

19

Na kuchennym stole stoi czerwona skarbonka Pomocy Zimowej. Tila sięga do górnej półki kredensu, gdzie kilka tygodni temu umieściła starą puszkę po herbacie. Poprosiła, a właściwie wymogła na matce, aby ta wrzucała do niej pieniądze.

Władze niemieckie zachęcają gospodynie do gotowania raz w miesiącu

(od października do marca) skromnych obiadów za pięćdziesiąt fenigów. Zaoszczędzone kwoty mają być przeznaczone dla potrzebujących. Co miesiąc dziewczęta z BDM kwestują ze skarbonkami po wszystkich domach. W zamian za pieniądze wręczają różne drobiazgi i naklejki.

Minął pierwszy tydzień grudnia, więc Tila wyrusza z Rosiną na zbiórkę. Ma na sobie strój organizacyjny – białą bluzkę i niebieską spódnicę, a na nogach pończochy i czarne buty. Jest chłodno, dlatego dodatkowo włożyła krótką brązową kurtkę z czterema zapinanymi kieszeniami. Na głowie ma czarny beret, a na szyi czarną chustę ze skórzanym węzłem. Dziewczęta zaopatrzone w charakterystyczne czerwone puszki zapukają do wszystkich drzwi na przydzielonym terenie i zabręczą przed nosem każdego przechodnia, który miał pecha wyjść akurat o tej porze na ulicę. Biada temu, kto odmówi składki. Jego nazwisko zostanie umieszczone na „tablicy hańby” z odpowiednim komentarzem. Już następnej nocy pewnie straci szyby w oknach lub dozna innej materialnej szkody.

Marta nie odważyłaby się nie dać pieniędzy, ale że są z Tilą same, nie może powstrzymać się od komentarza:

– Nie rozumiem, po co to wszystko. Nie dość państwu naszych podatków?
– Trzeba się dzielić z potrzebującymi. Nawet pastor o tym mówi. A ty, mamó, zawsze słuchasz pastora.

– Ja wiem, że tak być powinno. Tylko nie mogę pojąć, gdzie są ci potrzebujący. Kiedy próbuję wynająć kogoś do pracy, wszyscy odmawiają. Gdyby nie to, że pomagamy sobie z Radachami, musiałabym szukać robotników w Polsce.

– W głosie Marty, która zwykle starannie waży słowa, tym razem brzmi jawny sarkazm. – Wydaje mi się, że w Niemczech każdy, kto chce pracować, bez trudu znajdzie zajęcie. Do korzystania z naszych datków zostały wyłącznie nieroby – dodaje z goryczą.

– Nieprawda! Są wdowy po poległych na wojnie albo rodziny wielodzietne – oburza się córka.

– Tak, są. Jednak im powinno pomóc państwo. Na to płacimy podatki.

– Nie da się w ten sposób pomóc wszystkim. Na sobotnich zajęciach nasza mädelschaftsführerin wyjaśniła, że zbiórki Pomocy Zimowej tworzą więź w narodzie. Dając pieniądze na biednych, czujemy się odpowiedzialni i stajemy się bardziej skłonni do poświęceń.

Marcie wydaje się, jakby córka recytowała propagandową ulotkę, ale nie chce wdawać się w dalszą dyskusję. Podnosi ręce w obronnym geście.

– Dobrze już, dobrze. Przestań. Niech twoje będzie na wierzchu. Idź, bo Rosina na pewno zmarzła, tyle czasu czeka na ciebie. Nalep naklejkę na nasze drzwi, bo ktoś gotów pomyśleć, że niczego nie ofiarowałam.

Tila ostentacyjnie bierze puszkę ze stołu i bez słowa wychodzi. W drzwiach mija się z ciotką wracającą z podwórza.

– Jak tu ciepłutko. Posiedzę chwilę i się zagrzeję. – Janka przysuwa krzesło w pobliże kuchennego pieca.

– Co masz jeszcze do zrobienia na dworze?

– Chciałam posprzątać w klatkach królików.

– Daj spokój. Wróci Tila, to sprzątnie. Za mało pomaga w gospodarstwie. Nic, tylko gdzieś lata. Teraz też pobiegła do Rosiny, bo idą zaraz na kwestę Pomocy Zimowej. Zdenerwowała mnie trochę i chyba za dużo powiedziałam – wyznaje Marta.

– Znowu? Słuchaj, nie twierdzą, że Tila doniesie na ciebie, ale może się zwierzyć jakiejś koleżance i będziesz miała kłopoty.

– To samo mówi Walter.

– Co powiedziałaś?

– Nie mogłam się powstrzymać i skrytykowałam zbiórkę, bo moim zdaniem ciężko zarobione pieniądze idą na tych, którym nie chce się pracować, a nie na biednych.

– Bo to prawda. Niedługo we wsi nie będzie młodych. Kto nie ma dość ziemi, żeby się utrzymać, wyjeżdża. Ci, co zostają, to albo inwalidzi, albo lenie. Zobaczysz, my też niedługo będziemy miały kłopot – prorokuje Janka.

– Co masz na myśli?

– Nie widzisz, co się dzieje z Willim? Znowu jest chory. Gdyby nie to, że Walter w ubiegłym tygodniu wziął wolny dzień na wyrzucanie i wywożenie gnoju, nie wiem, jak dałybyśmy radę. – Janka chwali przed Martą jej męża, bo chce, żeby małżonkowie znów się pogodzili. Ponieważ kuzynka nie reaguje, dodaje zrezygnowana:

– Wiosną musimy jeszcze kogoś nająć.

– A co zrobimy z Willim?

– Willi nie nadaje się na stałego pracownika. Może przecież przyjść od czasu do czasu. Potrzebujemy zdrowego i silnego mężczyzny.

– Wiesz dobrze, że nie znajdziemy takiego. – Marta zaczyna się niecierpliwić. – Przed chwilą o tym rozmawialiśmy.

– Będę w niedzielę w Polsce. Mogę popytać. Zauważyłaś, że Walter ostatnio dużo nam pomaga? – próbuje znowu Janka.

– Dobrze, popytaj.

Marta wstaje od stołu, sięga do szuflady w kredensie i wyjmuje zeszyt, w którym zapisuje wszystkie sprawy związane z prowadzeniem gospodarstwa.

– Muszę posiedzieć nad raportem dla Stanu Żywicieli Rzeszy za listopad. Zagrzałaś się już? Mogłabyś poprzekładać mięso. – Gospodyni daje do zrozumienia, że chce zostać sama.

Janka schodzi do piwnicy, gdzie w chłodnym kącie stoją dwa duże kamienne garnki, w których pekłują się szynki i boczki. Trzeba je co jakiś czas przekładać,

aby solanka dotarła w każde miejsce. Najpierw kobieta podnosi kamień leżący na okrągłej dębowej desce i odkłada go do czystej miski, potem zabiera deskę i z pachnącego czosnkiem i ziołami płynu wyjmując zaczerwienione kawały przyszłych wędzonek. Ogląda je z uwagą, sprawdzając, czy nie ma gdzieś niepokojącego koloru. Później wkłada je z powrotem w odwrotnej kolejności, na mięsie umieszcza deskę, a na niej kamień, tak że wszystko przykryte jest zalewą. To samo robi z boczkami. Po wielu dniach peklowania, tuż przed świętami, zostaną wyjęte, opłukane, osuszone i uwędzone w aromatycznym dymie z liściastego drewna. Janka wraca do kuchni, myje pod kranem ręce oblepione majerankiem, pieprzem i drobniutkimi kawałkami czosnku, potem wraca do piwnicy. Tam na drewnianych regałach ustawiono rzędami weki. Bezpośrednio po świniobiciu rzeźnik przyrządził pasztetową i salcesony. Część z nich wtłoczył do grubych flaków. Te już zostały uwędzone. Resztę masy Marta i Janka zagotowały w słoikach. Będzie co jeść aż do nowego świniobicia. Zdarza się jednak, że słoik się otworzy, chociaż każdy wek, pokrywka i gumka zostały dokładnie sprawdzone. Dlatego gospodynie regularnie kontrolują, czy wieczko dobrze trzyma. Janka zagląda też do weków z pieczonym mięsem i garneków ze smalcem. Nie można dopuścić, żeby cokolwiek się zmarnowało.

Kiedy znowu wraca do kuchni, Marty już tam nie ma. Za to z hałasem wpada Tila. – Ciociu, zrób mi coś do jedzenia. Taka jestem głodna! Za chwilę muszę wracać na kwestę. – Nie czeka na odpowiedź, tylko siada na krześle przy piecu, dotykając dłońmi ciepłych kafli.

Janka kroi dwie pajdy chleba, smaruje je masłem, a potem przynosi ze spiżarki salceson. Najlepszy, jaki może być – drażniący nozdrza zapachem dymu, ostrą wonią czosnku i majeranku, pełen chudych kawałków głowizny i ozora zatopionych w sztywnej masie zmielonych skórek przyprawionych kminkiem. To wszystko otacza gruby, złocisty z zewnątrz, wieprzowy żołądek. Matylda nie może się powstrzymać. Podchodzi do stołu, kroi słusznej grubości plaster i niecierpliwie szarpie zębami wielki kawał.

– Tila! Tak nie wolno! Mama byłaby zła! – Janka niby to napomina dziewczynę, ale cieszy ją wilczy apetyt ulubienicy.

– Ciii... Mama nie widzi – mruczy Matylda, polykając ostatni kęs. Potem z wielką kanapką w jednej ręce i z czerwoną skarbonką w drugiej pospiesznie wychodzi.

20

Jeżeli ktoś myśli, że zimą na wsi nie ma nic do roboty, bardzo się myli. To prawda, że nie trzeba iść na pole i zginać pleców, plewiąc warzywa, nie trzeba grabić siana ani zbierać kartofli. Jednak w obejściu jest tyle pracy, że czasem nie wiadomo, w co najpierw ręce włożyć.

Podczas adwentu pobożni luteranie częściej niż zwykle obcuja z Pismem Świętym i odwiedzają swoją świątynię. Cztery tygodnie przed Bożym Narodzeniem są dla nich jak ciemna noc przed świtem – słońce jeszcze nie wstało, jest prawie ciemno, a oni czekają na pojawienie się światłości. Podobnie jak przez pozostałą część roku ciężko pracują, ale prócz tego starają się spełniać dobre uczynki, wybaczą bliźnim i przepraszają ich, jeśli choćby nieświadomie zrobili im krzywdę. Wierzą, że Bóg wkrótce przyjdzie, aby zobaczyć, czy sumiennie wypełniają swoje chrześcijańskie powinności.

Dzisiaj Walter zapalił trzecią świecę na adwentowym wieńcu. Boże Narodzenie jest już blisko. Jak co roku przyjedzie siostra Marty, Lisa, z mężem i młodszymi synami. Najstarszy tym razem będzie nieobecny, bo odbywa obowiązkową służbę wojskową. Sabina, Arnold i Christian też zostali zaproszeni, ale teściowa odpisała, że nie przyjadą.

Marta trzyma w rękach Biblię i po przeczytaniu fragmentu stara się odnieść jego treść do swego postępowania. Nie jest z siebie zadowolona. Widzi, że wychowanie córki coraz bardziej wymyka jej się z rąk. Nie wie też, czy właściwie postępuje wobec męża. W listopadzie po kłótni wydawało się jej, że przeprowadzka Waltera do Berlina rozwiąże problem. Wręcz czekała, co powie po powrocie od matki. Jednak wygląda na to, że znalezienie tam odpowiedniej pracy nie jest takie proste. Tylko jak normalnie żyć po tym, co sobie powiedzieli? Chciałaby się kogoś poradzić. Najlepiej byłoby, żeby jak najprędzej przyjechała Lisa. Starsza siostra, kiedyś powiernica jej trosk, nigdy nie zawiodła.

Musi wracać do zajęć, ale zagląda jeszcze do pokoiku Tili. Córka, opatulona ciepłym kocem, siedzi posłusznie nad *Biblią na co dzień*. Twarz matki łagodnieje. Wchodzi do środka i przysiadła na twardym drewnianym krześle.

– Widzę, że wzięłaś sobie do serca moje słowa. Niepokoiłam się, bo tak rzadko spędzasz czas na czytaniu Pisma.

– Mamo, czy ty, kiedy byłaś w moim wieku, też miałaś przyjaciółkę?

– Oczywiście. Najbardziej lubiłyśmy się z Gerdą, córką Ernsta Kliema, ale nie mogłyśmy widywać się tak często, jak teraz wy z Rosiną. W gospodarstwie zawsze było coś do zrobienia, a w niedzielę po nabożeństwie i obiedzie siadałyśmy całą rodziną, żeby śpiewać religijne pieśni. Dopiero później matka pozwalała nam na zabawę. To było straszne, jak Gerda utopiła się w Schwentesee.

– Jak to się stało, mamo? Byłaś przy tym?

– Nie. Na szczęście tego dnia zostałam w domu. Jej brat wynajął łódkę. Zabrał na jezioro Gerdę i swoją narzeczoną. Podobno wiatr zwał jej do wody kapelusz. Gerda chciała go złapać. Wypadła. Otto od razu skoczył do wody, ale już jej nie znalazł. Poszła na dno jak kamień.

– Jezioro jest strasznie głębokie.

– Ma też jakby drugie dno. Gerda dostała się pod wodorosty. Dopiero

po tygodniu udało się wydobyć ciało.

Marta przerywa i ociera ręką łzę, która spływa po policzku. – Potem nie czułam już takiej potrzeby wychodzenia do koleżanek. Miałam zresztą starszą siostrę. Bywało, że się kłóciłyśmy, ale częściej ona się mną opiekowała i bawiła ze mną.

– A wujek Wilhelm?

– On też chętnie bawił się z nami. – Marta uśmiecha się do wspomnień. – Ale z wiekiem coraz bardziej ciągnęło go do kolegów.

– Ciocia Lisa jest najstarsza, prawda?

– Tak. Przyszła na świat pięć lat przede mną.

– Czy ona musiała się opiekować tobą i wujkiem?

– Tak. Właśnie tak było. Biedna Lisa. Ale taki jest los najstarszych dziewczynek w rodzinie. Same są małe, a muszą troszczyć się o młodsze rodzeństwo.

– I nie mogą odmówić? – Oczy Tili stają się okrągłe ze zdziwienia.

– Nie mają wyboru. Każde dziecko uczy się pracy od najmłodszych lat. Tak być powinno, bo jak inaczej miałyby przygotować się do trudów dorosłego życia – wyjaśnia córce Marta. – Ale takim dziewczynkom jak kiedyś Lisa, a teraz Rosina, szczerze współczuję, bo one mają tej pracy o wiele za dużo.

– Trochę mi wstyd, mamó.

– Dlaczego? Czy zrobiłaś coś niewłaściwego?

– Czytałam w Piśmie o przebaczeniu i na początku pomyślałam, że powinnam przebaczyć Rosinie, że od dawna nie ma dla mnie czasu. Byłam na nią zła, wydawało mi się, że albo mnie unika, albo nie zależy jej na mnie. Ale teraz ją rozumiem i chciałabym, żeby to ona mi przebaczyła. Jest najstarszą dziewczynką w domu, dlatego opiekuje się bliźniaczkami. Wychodzi bez nich tylko na zbiórki BDM. Mówiła kiedyś, że cieszy się, że jest taka organizacja, bo gdyby jej nie było, nigdy by nie odpoczęła od Marii i Magdy. Wyobraź sobie, mamó, że ona ostatni raz poszła gdzieś z koleżankami na Święto Plonów! Teraz, jak o tym myślę, jest mi wstyd, że jej nie rozumiałam. Poproszę ją o przebaczenie.

– To chyba nie wystarczy.

– Co jeszcze mogę zrobić?

– Pomóż jej czasem – radzi matka. – Latem często to robiłaś. Teraz to trochę trudniejsze, ale na pewno dasz radę. Nie masz pod opieką młodszego rodzeństwa, więc jeśli wypełnisz swoje obowiązki, możesz pójść do Rosiny i trochę jej potowarzyszyć. Na pewno będzie jej o wiele lżej.

– Tak zrobię. Dziękuję, mamó.

– Chodźmy na dół, bo zamarzniemy. – Marta uśmiecha się do córki. – Znajdziemy ciocię Jankę i razem przejrzymy świąteczne ozdoby. Może trzeba będzie coś odświeżyć albo zrobić nowe.

W ciepłej kuchni siedzi Walter i, paląc papierosa, czyta gazetę. Jesienią i zimą kuchnia jest jedynym miejscem ogrzewanym od rana do wieczora. Ogień pod płytą praktycznie nie gaśnie, dlatego właśnie to pomieszczenie staje się centrum rodzinnego życia. W pokojach pali się tylko podczas dużych mrozów lub w święta, kiedy są goście albo gdy ktoś zachoruje. Zwykle jest tam zimno, bo domownicy wchodzą na chwilę i wracają do kuchni, a kiedy idą spać, przykrywają się grubą pierzyną, wystawiając spod niej tylko nos, żeby się nie udusić. Aby moment układania się do snu był nieco przyjemniejszy, wcześniej chowają pod pierzynę termofor z gorącą wodą lub rozgrzaną cegłą zawiniętą w gazety.

Kiedy Tila przynosi pudła z ozdobami choinkowymi, Walter składa gazetę i zamierza wyjść.

– Dokąd idziesz? Wszędzie jest zimno. Zostań z nami – prosi Marta.

Walter namyśla się przez moment, potem z uśmiechem siada z powrotem na krześle.

– Pokażcie, co tam macie – mówi, zaglądając do najbliższego pudełka.

Córka wyjmuje na stół kolorowe łańcuchy, papierowe aniołki i gwiazdy z bibułki. Wraz z Janką, która weszła przed chwilą, pochylają głowy nad wielobarwnym stosem połyskującym srebrem i złotem, biorą do rąk każde cacko z osobna, obracają w palcach, oglądają uważnie, z rozrzewnieniem lub ze śmiechem przypominają jego historię, grzejąc się w ciepłe kuchennego pieca.

21

Jesionową aleją między Unruhstadt a Chwalimiem idą dziesiątki odświętnie ubranych ludzi. Wracają do domu z rannego nabożeństwa. Wesoło się przekrzykują, witają długo niewidzianych dawnych mieszkańców wsi, którzy przyjechali na święta do swoich rodzin. Tych, którzy nie mają obowiązków, bo są tylko gośćmi, można zobaczyć, jak stoją w grupkach i nie mogą nacieszyć się spotkaniem ze znajomymi. Tylko gospodynie nie tracą czasu na rozmowy, bo spieszą do domów gotować świąteczny obiad.

Marta wszystko, co tylko było możliwe, naszykowała wcześniej rano. Teraz pogania Tilę, która chciałaby postać z koleżankami, żeby nie marudziła, bo przecież ktoś musi pomóc w kuchni. Bardzo przydałaby się Janka, ale pojechała na święta do rodziny w Polsce. Lisa z mężem i synami została po nabożeństwie w Unruhstadt u teściów. Zjawią się dopiero na sam posiłek, toteż Marta jest zdenerwowana, bo boi się, czy zdążą ze wszystkim na czas. Walter na prośbę żony wyruszył do domu natychmiast po nabożeństwie. Teraz na pewno roznieca ogień w kuchennym piecu, a zaraz potem napali w jadalni i w pokoju, gdzie śpią goście.

Rzeczywiście, kiedy pani Neumann z córką wchodzi do kuchni, pod płytą wesoło buzuje ogień, a piekarnik grzeje się w oczekiwaniu na gęś. Obie

natychmiast zakładają fartuchy na świąteczne sukienki i zabierają się do pracy. Marta przynosi ze spiżarni natartą solą, pieprzem i majerankiem gęś. W miseczce ma przygotowane krojone w grube kawałki jabłka z dodatkiem cebuli i ziół. Napenia nimi wnętrze ptaka i zaszywa grubą nicią. Czystą szmatką osusza go z zewnątrz, następnie wkłada do brytfanny na rozgrzany tłuszcz i wsuwa do piekarnika. Przez co najmniej trzy godziny będzie podtrzymywała ogień w kuchennym piecu i polewała mięso gorącym sosem. Córka obiera ziemniaki. Kiedy się ugotują, zrobi knedle ziemniaczane. Tymczasem Marta szykuje inne przysmaki. Ziemniaki już w garnku, więc Tila idzie do dużego pokoju, w którym kiedyś była sala dla gości kosztujących wino, i rozściela na stole biały, świeżo wyprasowany obrus, ustawia talerze i kładzie sztuce, a potem ozdabia stół małymi gałązkami świerka. Zadowolona z rezultatu przynosi ze spiżarni talerze z pierniczkami, imbirowymi ciasteczkami i struclę z bakaliami. Umieszcza to wszystko na stoliku obok, bo na głównym stole musi być miejsce na dania obiadowe.

Choć nakrycie wygląda pięknie, to i tak najpiękniejsza jest choinka. Świerkowe drzewko sięga aż po sufit. Ozdabiają je ręcznie malowane bombki, łańcuchy, figurki aniołków, imbirowe ciasteczka o różnych kształtach i długie cukierki w błyszczących papierkach. Walter przypiął do gałązek osadzone w metalowych uchwytach świece, a pod choinką umieścił śliczną szopkę. Dostał ją od matki, kiedy opuszczał Berlin, żeby przypominała mu dom rodzinny. Tila wyszła do kuchni, a on, przykucnąwszy przy choince tak jak kiedyś, gdy był małym chłopcem, wpatruje się w drewniany żłóbek i porcelanową figurkę Jezuska spoczywającego na sianku. Prostuje nogi, przygląda się namalowanym na bombkach scenom i wspomina Georga. Jasnyniebieska kula z białym okrętem o wydętych przez wiatr żaglach i dzielnym marynarzem jest bardzo podobna do ulubionej bombki brata. Patrząc na nią, mówił, że jak będzie duży, popłynie daleko i pozna cały świat, pokona dzikie plemiona, zabije krwiożercze lwy, a matce przywiezie małpkę. Śmiała się wtedy i pytała młodszego syna o jego marzenia. Ale nie wiedział, co odpowiedzieć, bo jemu podobała się niemęska bombka – granatowa jak nocne niebo usiane gwiazdami, z małym domkiem pokrytym śniegiem i światłem palącym się w oknie. Myśli teraz, że ma taki domek. Tylko że lada moment może go stracić, bo jego małżeństwo wisi na włosku. Wrócił z Berlina ponad miesiąc temu. Marta jest uprzejma, rozmawia z nim o sprawach domu i gospodarstwa, jednak nie ma w niej śladu dawnego uczucia. Po prostu żyją pod jednym dachem, nawet śpią w jednym łóżku, ale już nie jak mąż i żona. Ona czasem pyta, czy są jakieś wieści od Helmuta, jakby chciała powiedzieć: „Kiedy wreszcie wyjedziesz? Mam już ciebie dość”. Nawet nie zauważyła, jak się stara – wraca wcześniej, pomaga w gospodarstwie, kiedy tylko może. „Na próżno, dla niej nie ma to żadnego znaczenia” – myśli rozgoryczony.

Głośne tupanie na schodkach ganku i śmiech Lisy wrywają go z zadumy. Drzwi od strony korytarza się otwierają i do pokoju wpada zimny powiew.

– Jesteśmy!

– Jesteśmy głodni! – wołają chłopcy.

– Cicho. Przecież jedliście u babci w Unruhstadt! – Lisa udaje, że gniewa się na synów.

– Ale nie obiad. Teraz jesteśmy głodni na obiad! Gęś tak pachnie. Jest gotowa, wujku?

– Myślę, że już niedługo. Usiądźcie na chwilę na kanapie, pójdę do kuchni i zapytam – proponuje Walter.

– Nie, zostań. Kuchnia to królestwo kobiet – oznajmia Lisa i opuszcza pokój.

*

Dwie godziny później ociążali od świątecznego jadła, uradowani spotkaniem siedzą w ciepłe bijącym od kaflowego pieca i śpiewają kolędy. Dorośli sączą grzane wino doprawione cynamonem, goździkami i anyżem, a Tila i chłopcy raz po raz sięgają po pierniczki albo inne słodkości. Zapada wczesny grudniowy zmierzch.

– Chodźmy na spacer! Nad jezioro! Tak dawno tam nie byłam – woła nagle Lisa.

– Przecież jest prawie ciemno. Pójdziemy jutro – obiecuje Marta.

– Kiedy jutro? Najpierw nabożeństwo, potem obiad, a pod wieczór wyjeżdżamy. Chodźmy! Proszę!

I tak, chcąc nie chcąc, cała siódemka ciepło ubrana wyrusza na świąteczny spacer. Idą przez wieś całą szerokością ulicy. Wszędzie panuje błogi spokój. Z domów dobiega śpiew, przez niezastłonięte okna widać świeceki płonące na choinkach i ludzi siedzących przy stołach. Lekki mróz ściał ziemię, a na niebie błyszczą gwiazdy. Chłopcy jeden przez drugiego popisują się przed Tilą znajomością gwiazdozbiorów. Na chwilę zachodzą na cmentarz. Dzięki gwiazdom i cienkiej warstwie śniegu jest na tyle jasno, że z łatwością trafiają do rodzinnych grobów. Potem zwracają ku drodze wiodącej na wzniesienie, za którym jest Schwenteseesee. Kiedy przechodzą obok małej chatki, widzą, że w jej oknach nie pali się żadne światło.

– Czy w domu Zuchanków nikt nie mieszka? – pyta Lisa.

– Ależ tak. Nie pamiętasz? Gustav Gogol.

– Całe szczęście, bo żal mi się zrobiło, że rodzinny dom naszej mamy stoi pusty.

– Mówiłam ci przecież, tylko zapomniałaś. Brat mamy, wujek Karl, sprzedał dom piętnaście lat temu i wyjechał z rodziną do Nadrenii – wyjaśnia młodsza siostra.

– To przecież wiem.

Marta ciągnie dalej: – Kupiło go małżeństwo Rogoschów, ale jak urodziły się dzieci, zrobiło się im za ciasno, dlatego trzy lata temu sprzedali go Gustavowi. Gogol stracił rękę na wojnie. Jako weteran został zatrudniony w majątku w Unruhstadt. Był stróżem i jego żona też pracowała u Richterów. Mieli troje dzieci. Synowie się poženili, mieszkają w Grünbergu, a córka wyszła za mąż za Polaka z majątku i żyje w Unruhstadt w dawnym mieszkaniu rodziców.

– To pewnie spędzają święta u dzieci. Dlatego jest ciemno w oknach – domyśla się Lisa.

– Gustav jest u córki, ale sam. Jego żona zmarła dwa lata temu – wyjaśnia Marta.

– Ciężko mężczyźnie samemu. Powinien zostać przy córce.

– Ciężko mu na pewno, ale on nigdzie stąd nie pójdzie, bo po to kupił dom na wsi, żeby hodować gołębie. Ma jakąś wyjątkową rasę. Jest z nich bardzo dumny.

Lisa i Marta docierają nad jezioro ostatnie. Zbocze doliny, na którym latem dojrzewają w słońcu winogrona, maliny i porzeczki, teraz śpi pokryte śniegiem. Zasnął też las rosnący na przeciwległym stoku. Stoi tak samo ciemny jak wody jeziora.

– Jak tu cicho – wzdycha Lisa. – Nie pamiętam, żebym tu kiedyś była w zimowy wieczór.

– W Willi Else chyba też nie ma nikogo – domyśla się młodsza z sióstr. – Jej właściciele, Skupscy, spędzają święta w Unruhstadt.

– Hej! Widzicie nas? – woła Paul z drugiego brzegu. – Pospieszcie się, bo was zdublujemy!

– Idziemy! – Kobiety przyspieszają kroku i po dwudziestu minutach doganiają resztę towarzystwa.

– Zjadłbym coś – mówi Johan, starszy z chłopców, widząc szyld restauracji.

– Jesteś niemożliwy! Wstyd mi za ciebie, żarłoku! – Lisa śmieje się z syna.

Nagle wszyscy zaczynają odczuwać niepokojące ssanie w żołądku, więc ochoczo ruszają w drogę powrotną. Od razu dzielą się na grupki. Siostry znowu idą na końcu. Tila z kuzynami na przedzie, a Walter z Paulem w środku.

– Jak się wam żyje w mieście? – Walter jest ciekaw, co powie Paul, bo być może wkrótce i on opuści te strony.

– Nam? Bardzo dobrze. Nie pamiętam lepszych czasów.

– Nie żałujesz, że wyjechaliście z Unruhstadt?

– Pamiętasz kryzys? Nie miałem pracy. Mieszkaliśmy u moich rodziców, a wy nas żywiliście – wspomina Paul. – Wiem, ile wam zawdzięczamy. Nigdy nie zapomnę tego, jak Marta przywoziła nam jajka, mleko i kurczaki. Dzięki wam niczego nie brakowało. Spokojny o rodzinę mogłem wyjechać do Grünbergu, żeby szukać pracy.

– I długo jej nie miałeś.

– Jak wszyscy wtedy. Ale w końcu udało się zaczepić u Beuchelta^[18] i, dzięki Bogu, jestem tam do dzisiaj.

– A jak z zarobkami?

– Powiedziałem ci. Nie pamiętam lepszych czasów. Najmniej sześćdziesiąt marek na tydzień albo i lepiej. Do tego trzynasta pensja. Dopłata na zakup węgla i kartofli na zimę. Jesienią będzie pięć lat, jak pracuję u Beuchelta, to powinienem dostać premię za lojalność. Do tego w sierpniu jedziemy z Lisą na tydzień w góry Harzu na wypoczynek. Płacę tylko dwadzieścia osiem marek od osoby. Chłopcy będą wtedy na obozach młodzieżowych – chwali się Paul.

– Aż trudno uwierzyć, że robotnikom jest tak dobrze.

– Nie myśl, że wszyscy tak mają. Jestem ślusarzem i robię w branży metalowej. Należę do najlepiej opłacanych fachowców. Każdy zakład przyjmie mnie z otwartymi rękami. Ale nie pozwoliliby mi odejść. Tylu zamówień co teraz nie mieliśmy nigdy. Głównie to wagony towarowe, osobowe też, ale mniej. Mamy zamówienia od wojska. – Paul zniża głos. – Nie mogę ci powiedzieć, co produkujemy. Mocno byś się zdziwił.

Niemal identyczna rozmowa toczy się między Martą a Lisą. Kiedy starsza siostra opowiada o zarobkach męża i planowanych wczasach, głos jej się zmienia. – Jedyne, czego mi brakuje, to większe mieszkanie. To dwupokojowe przy Talstraße jest naprawdę niewygodne. Zakład ma dokładać do zakupu domu albo samochodu. Wiadomo, Paul wybrałby samochód, a ja domek. Sama już nie wiem, co zrobimy.

„Wiem, że nie powinnam, ale zazdroszczę Lisie – myśli Marta. – Teraz rozumiem, dlaczego się roztyła. A taka z niej była ładna dziewczyna. Podobna do mamy”.

Rzeczywiście, niektórzy we wsi nie poznają starszej Swadówny: twarz nalana, wiszący podbródek, szerokie biodra i brzuch wystający do przodu bardziej niż piersi. Z niewysokiej, drobnej i delikatnej dziewczyny został tylko niski wzrost.

– Wy też powinniście gdzieś się wybrać. Janka z Tilą dałyby sobie radę – kontynuuje Lisa protekcyjnym tonem. – A w ogóle powinnaś bardziej dbać o siebie. Na przykład twoja fryzura jest już zupełnie niemodna. Przyjedź do mnie, pójdziemy do dobrego fryzjera.

– Nie mam na to czasu. Poza tym lubię moją fryzurę i Walter nie darowałby mi, gdybym ścięła włosy. – Marta nie wie, dlaczego wspomina o mężu. Przecież od dawna jego opinia nic dla niej nie znaczy.

– No tak, mężczyźni mają swoje osobliwe gusta.

Marta zaciska zęby. „Są święta, a ona jest moim gościem. Nie pokłócę się przecież. Co ją tak zmieniło? Moja ukochana siostra zamieniła się w głupią, tłustą babę!” – złości się w duchu.

– Radziłabym ci jednak...

– O, jesteśmy na miejscu! – woła gospodyni pospiesznie. – Tila! Chodź, pomóż mi przygotować kolację. Ciocia Lisa musi odpocząć.

Goście poszli do swojego pokoju, tylko Marta kończy wycieranie sztućców. Przed chwilą kazała córce iść spać. Pomagała cały dzień, choć na pewno wolałaby spędzać czas z kuzynami. Na dzisiejszą noc Marta zaplanowała sobie rozmowę z siostrą. Ilekroć Lisa przyjeżdżała na święta, potrafiły gadać do rana. Wspominały dzieciństwo, zaginionego na wojnie brata, rodziców, zwierzały się ze zmartwień. Dzisiaj w serce Marty wkradła się zazdrość. Sama nie wie dlaczego. Przecież nie zamieniłaby się na życie z siostrą. Może raczej zniechęciło ją zachowanie Lisy, jakaś dotąd nieobjawiona próżność albo okazywana wyższość. Dlatego przy kolacji dała do zrozumienia, że jest zmęczona i chce się szybciej położyć. Zwierzeń nie będzie.

Walter nie śpi. Ona też leży na krawędzi łóżka z otwartymi oczami.

Czy można leżeć obok siebie przez niemal dwadzieścia lat, noc w noc dotykać się stopami, plecami, dłońmi, obracać się na drugi bok, wiedząc przez sen, że drugie robi to samo, chłonać wzajemnie swoje oddechy, zapachy, być tak blisko, że nie da się bliżej, i nagle koniec? Leżeć dalej pod jedną pierzyną, ale każde na swoim brzegu łóżka, żeby tylko się nie dotknąć, bo to krępuje, bo nie wiadomo, co znaczy? A kiedy sen ześle zapomnienie i ręka sama powędruje na drugą stronę łóżka albo głowa wtuli się w znajome zagłębienie w ramieniu, budzić się nagle z zakłopotaniem?

Mężczyzna przewraca się z boku na bok, wstaje, patrzy przez okno na rozgwieżdżone niebo, pije wodę, wraca do łóżka, wzdycha ciężko, znów się obraca.

– Co ci jest? – słyszy głos Marty. – Może zejść i zrobię ci miętowej herbaty? Na pewno za dużo zjadłeś.

– Nie, to nie to. Po prostu sen nie przychodzi.

– Martwisz się brakiem wiadomości od Helmuta?

– Nie. Przeciwnie. Boję się, że w końcu nadejdą – mówi półgłosem i z bijącym sercem czeka na reakcję żony, ale Marta milczy. – Nie chcę wyjeżdżać – wyznaje w końcu.

– Myślałam, że to twoje marzenie.

– Tak mi się tylko wydawało.

– A mnie się zdawało, że wciąż za czymś tęsknisz i tylko małżeństwo ze mną ci przeszkadza.

– Bywało, że i ja tak myślałem, ale prawda jest inna. Dzisiaj przypomniałem sobie, jak wyglądała moja ulubiona bombka z dzieciństwa. Była granatowa i miała namalowany mały domek z czapą śniegu na dachu i oknem, w którym pali się żółte światło. To nasz dom, Marto. Takie światło widziałem zawsze, kiedy na mnie czekałaś. Dziś to zrozumiałem. – Chciałby wyciągnąć rękę, dotknąć jej ramienia,

ale nie ma śmiałości.

– Bombki są bardzo kruche. Śpijmy już – słyszy. – Jutro musimy wcześniej wstać.

Styczeń to czas najbardziej intensywnych spotkań pracowitych gospodyń. Szczególnie tych, które Bóg obdarzył wieloma córkami. Ich obowiązkiem jest przygotować dla każdej, zanim wyjdzie za mąż, komplet pierzyn i poduszek z gęsiego lub kaczego puchu. Matka sama albo z córkami mogłaby drzeć pierze całymi latami. O wiele łatwiej i ciekawiej zrobić to razem z innymi kobietami.

Marta i Janka przyszły na pierzówkę do Gertrudy Adam, gospodyni, która mieszka blisko rzeki i hoduje gęsi na sprzedaż. Jej ptactwo ma piękne, czyste pióra i dużo puchu, bo od rana do wieczora pasie się na łące albo pluska w wodzie. W listopadzie i grudniu Gertruda sprzedaje większość stada, ale wcześniej podskubuje ptaki, by mieć jak najwięcej puchu dla swoich czterech córek.

W dużym pokoju stoi długi stół, a przy nim dziesięć krzeseł. Prawie wszystkie są już zajęte przez kobiety w fartuchach okrywających całe sukienki i w chustkach tak szczelnie zawiązanych na głowach, że nie widać ani jednego pasma włosów. Każda ma przed sobą pojemnik na pióra, przeważnie jest nim duże sito. Gertruda przydziela każdej po kilka garści piór i zaczyna się praca. Lewą ręką nabierają pierze, a prawą odrywają puch od twardej, długiej lotki. To, co niepotrzebne, rzucają na podłogę, a puch kładą na stole w małej kupce. Pomieszczenie jest nagrzane, a rozmowa o wiejskich aktualnościach ciekawa, więc czas płynie szybko. Dwa ostatnie krzesła pozostają dotąd niezajęte. Kerstin Heckman i Greta Kisch uprzedziły, że mogą się spóźnić. Greta pojechała do Züllichau na spotkanie przewodniczących gminnych kół Narodowosocjalistycznej Ligi Kobiet, a Kerstin nie przyszłaby bez przyjaciółki. Prawdę mówiąc, nikomu nie zależy na ich obecności, ale brak zaproszenia potraktowałyby jak zniewagę. Dostanie się na języki tych dwóch pań oznaczałoby zaś wykluczenie ze społeczności, toteż nikt nie śmie się im sprzeciwić. Tymczasem póki jest miło i nie trzeba uważać na każde słowo, gospodynie bez przerwy drą pióra i omawiają spodziewane na wiosnę małżeństwa, zastanawiają się, czy nie trzeba pomóc samotnej wdowie po Karlu Zippelu, bo zrobiła się słaba i chorowita, a dzieci powyjeżdżały i wcale jej nie odwiedzają, i czy aby Franz Kloy na pewno jest wierny żonie, bo przecież podobają mu się wszystkie kobiety, niezależnie od urody i wieku.

Zbliża się przerwa na ciasto, kiedy zjawiają się Kerstin Heckman i Greta Kisch. Są wyraźnie niezadowolone, że upłynęło już tyle czasu od początku pierzówki, a więc ominęło je wiele plotek. Rozchmurzają się dopiero, gdy po pokoju rozchodzi się zapach prawdziwej kawy. Gertruda zbiera ze stołu puch, a miejsce sit i garnków zajmują dwa duże talerze z solidnymi kawałami drożdżowego placka posypanego kruszonką i dzbanki z kawą.

– Gdzie kupiłaś kawę? – pyta przyjemnie zaskoczona Helena Kliem.

– Syn przywiózł mi z Berlina. Zostawiłam specjalnie na tę okazję.
– Pamiętam, że jeszcze niedawno nie było żadnego problemu z kawą – wspomina Janka. – Nawet u nas we wsi można było kupić.

– Tak – potwierdza Helena. – W Unruhstadt też, u Kadacha, Rosenbauma i w innych sklepach kolonialnych.

– Dziwię się wam, że ubolewacie z powodu tak drobnej niedogodności jak brak kawy. Powinnyście wiedzieć, że nasz Führer dąży do tego, by Rzesza była samowystarczalna. W tym klimacie kawa nie rośnie – poucza Greta. – Nie narzekajcie i przyzwyczajcie się, że nie zawsze będziecie mogły spełniać swoje zachcianki. – Pani Kisch rozgląda się po twarzach kobiet i widzi, że jej słowa wywarły odpowiednie wrażenie. Zadowolona sięga po dzbanek, by dolać sobie aromatycznego napoju i kontynuuje tonem pełnym wyższości: – Kobiety, świadome swej roli w budowaniu nowych Niemiec, czytają odpowiednie czasopisma i biorą udział w kursach. Gdybyście nie zajmowały się plotkami, wiedziałybyście, że kawy nie ma wśród zalecanych przez Państwowy Urząd Zdrowia produktów.

– A co jest? – chce się dowiedzieć Janka.

– Ryby, kapusta, marmolada, twaróg, chude mleko, winogrona i płatki owsiane.

– Zawsze to jedliśmy – wzrusza ramionami Gabi Biedermann. – Może nie chude mleko, bo po co, jak mamy dużo dobrego, tłustego.

– Na szczęście są kobiety rozumiejące potrzebę jednoczenia się z resztą narodu. Nie wszyscy mogą sobie pozwolić na codzienne jedzenie mięsa, tłustego twarogu albo na kawę ze śmietanką – włącza się Kerstin. – A tobie, Heleno, jak widzę, żal, że już nie ma żydowskich sklepów.

Helena złapana za nieopatrznie wypowiedziane słowo rumieni się, ale odpowiada spokojnie: – Obojętne mi, kto stoi za ladą. Ważne, że sprzeda to, czego potrzebuję.

– Czyżbyś była niechętna ostatnim zarządzeniom w sprawie Żydów, które pozbawiły ich prawa do handlowania? – pyta z udawaną słodyczą Greta.

– Nie znam się na polityce. Nie jestem tak mądra ani odczytana jak ty albo Kerstin, nie mnie więc sądzić, co słuszne, a co nie. Jestem prostą wiejską kobietą. Co ja mogę wiedzieć o zarządzeniach?

Ręce trzymające kawałek placka lub filiżankę z kawą jednocześnie zatrzymują się w połowie drogi do ust. Atmosfera wydaje się gęstnieć z sekundy na sekundę. Jak przyjaciółki zareagują na tak wyraźną ironię? One też kamienieją na moment. Kerstin czeka na reakcję Greta. Ta namyśla się chwilę, wreszcie odpowiada: – Rzeczywiście, Heleno, brakuje ci wiedzy. Powinnaś wziąć udział w jednym z kursów organizowanych przez Ligę Kobiet. Jeszcze tej zimy planujemy kilka. W twoim przypadku nie ma mowy o kursie dla młodych matek,

bo nie będziesz mieć dzieci, ale możesz wybrać się na szkolenie z oszczędnego gospodarowania. Zamierzamy przy okazji zapoznać osoby takie jak ty z rolą kobiet w Rzeszy. Nie mogąc rodzić dzieci, możesz przydać się ojczyźnie w inny sposób.

W surowej twarzy Kerstin nietrudno dostrzec satysfakcję na widok łez błyszczących w oczach Heleny.

– Wracajmy do pracy! Dość czasu zmarnowałyśmy. – Marta wybawia z opresji panią Kliem.

Posłusznie siadają do długiego stołu i nabierają piór. Gertruda intonuje znaną piosenkę. Dołączają do niej pozostałe kobiety i przez resztę wieczoru śpiewają. To lepsze i bezpieczniejsze niż rozmowa.

Na tym jednym spotkaniu się nie skończyło. Na piątą i ostatnią pierzówkę Janka poszła sama. Marta mocno się przeziębiła, została więc w domu. Żałowała, bo zakończenie zawsze jest najciekawsze. Pani Adam przygotowała dobrą kolację i wino, przyszli też niektórzy mężowie. Towarzyszą gospodyniom, ale nie skubią pierza, tylko zabawiają pracujące kobiety. Klaus Biedermann gra na skrzypcach wesołe melodie, coraz któryś mężczyzna prosi do tańca jedną z pań. Nagle drzwi się otwierają i zimny powiew unosi gęsi puch do góry. Co się dzieje? Puch nie opada. Przeciwnie, chmura drobniotkich piórek wiruje i wreszcie rozsypuje się po całym pomieszczeniu. To gołąb narobił takiego bałaganu! „Czyja to sprawka?” – zastanawiają się wszyscy. Po chwili już wiadomo. Bielutkie jak śnieg gołębie ma tylko Gustav Gogol. Zadowolony z psoty pojawia się w otwartych drzwiach. Gospodynie udają, że są zagniewane, bo muszą pozbierać leżące wszędzie piórka. Ale tak naprawdę żadna nie ma pretensji do Gustava. Bez takich niespodzianek pierzówka byłaby nieudana.

– Teraz każdy musi opowiedzieć jakąś straszną historię! – zarządza Gustav.

– Ja żadnej nie znam. Nie zajmuję się takimi głupstwami – wydyma wargi Greta.

– Ja też! – zgodnie wtóruje jej Kerstin.

– Ja mogę opowiedzieć – zgłasza się Ernst Kliem. – Przeczytałem ją w starym heimatkalenderze^[19]. Usłyszał ją nasz dawny nauczyciel, zapisał i przekazał redakcji. Może ją znacie?

– O czym jest?

– O pokutnym kamieniu stojącym na wzniesieniu między Jaromierskiem a Uściem.

– Opowiadaj. To na pewno będzie ciekawe – zachęca Gertruda.

– Ponad sto lat temu w Jaromierzu – zaczyna Ernst – mieszkała śliczna i bogata panna – jedyna córka tamtejszego rzeźnika. Nie było rzeczy, której nie kupiłby jej ojciec, gdy go o to poprosiła. Nie miała matki, więc rzeźnik chciał jej wynagrodzić sierocę dzieciństwo. Dziewczyna wyrosła na próżną, niezbyt mądrą pannę. Strzelała oczami do wszystkich chłopców, zwodziła ich, a kiedy zauważyła,

że któryś zakochał się po uszy, od razu go odtrącała. Tak było przez kilka lat. Rozsądniejsi młodzieńcy szybko dochodzili do siebie i zapominali o niestałej dziewczusze, ale czeladnik rzeźnika zakochał się tak mocno, że myślał o Dorotce bez ustanku. Odważył się nawet poprosić majstra o jej rękę, ale został wyśmiany. Uroił sobie, że Dorotka też go kocha i chce tego małżeństwa, wystawał więc pod jej oknem, zaczepiał, kiedy wychodziła z domu, dawał prezenty, a na zabawach prosił do tańca. Ona śmiała się z niego, ale nie pozbawiała złudzeń, bo bawiła ją ta sytuacja. Kiedyś przyszła na tańce z narzeczonym. Okazało się, że niedługo wychodzi za mąż za bogatego gospodarza z Uścia. Czeladnik nie mógł w to uwierzyć. Wmówił sobie, że to rzeźnik zmusza córkę do małżeństwa. Zapragnął ją uratować. Pewnego wieczoru zaczął się na oblubieńca Dorotki przy leśnej drodze. Kiedy ten przejeżdżał obok... – tu Ernst zawiesił głos, potoczył wzrokiem po twarzach przerażonych kobiet i dokończył dramatycznym tonem – wskoczył na wóz i siekierą zarąbał rywala. Poszedł potem do dziewczyny, by pochwalić się, co zrobił z miłości do niej. Na dowód wyciągnął ze skórzanej sakwy zakrwawioną głowę nieszczęśnika. Na jej widok dziewczyna oszalała i już nigdy nie wróciła do zdrowia. Czeladnika skazano na śmierć, ale wcześniej musiał zapłacić kamieniarzowi, żeby wyrył na kamieniu krzyż, a potem postawił głaz w miejscu, gdzie dokonano morderstwa. I tak do dzisiaj na niewysokim wzniesieniu przy leśnej drodze stoi pokutny kamień. Ludzie opowiadają, że w bezksiężycowe noce duch czeladnika czai się przy nim i czeka, by znów komuś odciąć głowę siekierą.

Ernst skończył, ale jeszcze przez chwilę panuje grobowa cisza.

– Może po kieliszku wina na rozweselenie? – proponuje Otto, mąż Gertrudy.

– Oj tak. Przyda się po takiej historii – wzdycha Janka.

Po jeszcze kilku podobnych opowieściach uczestnicy pierzówki zbierają się do domu. Te kobiety, które przyszły z mężami, czują się bezpiecznie, mając ich teraz u boku, ale Janka musi wracać sama. Boi się, aż coś ją w dołku ściska. Noc jest tak ciemna, że prawie nie widać drogi. Gdyby nie to, że zna tu każdą ścieżkę, nie trafiłaby do domu. Dla dodania sobie otuchy trzyma w dłoni swój medalik i szepcze: – *Zdrowaś Maryjo, łaskiś pełna...* – Nagle przystaje. Wydaje się jej, że ktoś za nią idzie. Zaraz... za chwilę zimne ręce ducha złapią ją z tyłu za szyję albo poczuje na niej zimne ostrze siekiery. Dłoń na medaliku zaciska się tak, że Janka czuje wbijającą się w skórę krawędź metalu.

– Czy mogę pannę Jankę odprowadzić do domu? – słyszy głos Gustava.

– Aleś mnie przestraszył! Mało nie umarłam – oddycha z ulgą.

– To nie mogę cię odprowadzić? – pyta mężczyzna przekornie.

– Teraz to już musisz, bo żywa nie dojdę – grozi ze śmiechem niewiasta.

– W takim razie służę ramieniem.

Gustav podaje Jance jedyną rękę, a ona wsuwa dłoń w ciepłe miejsce tuż przy łokciu i razem ruszają w kierunku domu Neumannów.

W małym pokoiku na poddaszu panuje przeraźliwe zimno. Wrażenie chłodu potęguje blask księżyca sączący się przez zamrażnięte okienko.

„Boże! Tylko nie teraz!” – Tila wmawia sobie, że wytrzyma do rana. Przecież nie jest małym dzieckiem. Niestety, próba ponownego zaśnięcia nie udaje się. Musi wstać. Spod ciepłej pierzyny wysuwa rękę w kierunku krzesła, łapie sweter i wkłada go z pośpiechem. Siada na łóżku ciągle opatulona pierzyną, wsuwa stopy w zimne papcie, odrzuca pościel, robi dwa kroki i po cichu otwiera drzwi. Na niewielkiej przestrzeni między szczytem schodów a drzwiami do pokoiów na piętrze stoi wiadro z wodą. Matka zawsze je tu stawia wieczorem, żeby nie wychodzić w nocy do ubikacji na podwórku. Tila zadziera do góry koszulę i kuca. Stara się wysikać jak najciszej. Cóż, nie bardzo się jej udaje. Ma wrażenie, że wszyscy domownicy słyszą dźwięk strumienia wpadającego do wody. Dygoce z zimna. Przez moment waha się, a potem cichutko wchodzi do pokoju Janki. Podnosi pierzynę i, nie zdejmując swetra, wsuwa się do ciepłego łóżka. Czuje jeszcze, jak obejmują ją miękkie ramiona ciotki, i zasypia.

Jest już całkiem jasno, kiedy budzi ją lekkie szarpnięcie. Nad sobą widzi kołyszący się medalik, a wyżej uśmiechniętą, piegowatą twarz.

– Wstawaj! Przyniosłam ci ciepłej wody do mycia. Pospiesz się, bo wystygnie.

Tila wyskakuje z łóżka i biegnie do swojego pokoiku. Tak jak w bliźniaczo podobnym pokoju ciotki nie ma w nim pieca. Znajduje się on tylko w sypialni rodziców położonej pośrodku. Ale i u nich jest zimno, bo matka uważa, że palenie w piecu tam, gdzie tylko się śpi, to zbytek. Co innego, kiedy ktoś jest chory, ale to na szczęście zdarza się rzadko. Bierze od Janki dzban z parującą wodą, leje ją do miski i tak szybko, jak to możliwe, myje się. Potem wciąga znienawidzone barchanowe majtki, wełnianą halkę, grube pończochy, ciepłą spódnicę, flanelową bluzkę i wełniany sweter.

– Ciociu! – woła w kierunku schodów. – Pomożesz mi się uczesać?

Kiedy Janka wchodzi do pokoiku, Tila już rozplata potargane warkocze.

– Daj. – Bierze szczotkę i zaczyna rozczesywać długie włosy. Dziewczyna przymyka oczy. Uwielbia ten moment. Mrowienie szczotkowanej skóry, delikatne dotknięcia ręki, naciąganie pasm włosów i po kilkunastu minutach oczekiwany efekt – warkocze upięte w koronę. Uśmiecha się w lustrze do stojącej za jej plecami ciotki.

– Dziękuję! Gdyby nie to paskudne ubranie, mogłabym myśleć, że jestem księżniczką.

– I tak jesteś! Inne dziewczyny już dawno wstały i zabrały się do jakiejś pracy. Czy jaśnie panienka zechce zejść na śniadanie?

– Tak! Jaśnie panienka jest głodna jak wilk! – Matylda zbiega po schodach, przemyka długim zimnym korytarzem i ledwie otworzywszy drzwi, wślizguje się do kuchni. Pod płytą pali się ogień. Jest ciepło i przytulnie.

Marta, podkładająca właśnie drewno do pieca, odwraca się gwałtownie. – Ile razy mam ci mówić, żebyś po schodach schodziła, a nie zbiegała! Spadniesz kiedyś i narobisz nieszczęścia!

– Oj, mamó! Na korytarzu jest tak zimno, że zamarzałabym, gdybym szła normalnie.

– Jakoś wszyscy mogą tak chodzić i nie zamarzają. Siadaj i jedz. Już dziewiąta, a ty nie zrobiłaś jeszcze niczego pożytecznego – narzeka Marta. – Kto to widział, żeby się wylegiwać tak długo.

Dziewczyna wznosi oczy ku sufitowi i robi znudzoną minę, ale najpierw sprawdza na wszelki wypadek, czy nikt nie widzi. Matka wyjmując z kredensu głęboki talerz i nalewa Tili mlecznej zupy z garnka stojącego z boku na kuchennej płycie. Dodaje jeszcze pajdę chleba obficie posmarowaną masłem. – Matyldo! – Córka słyszy zagniewany głos matki, kiedy sięga po łyżkę. – Zapomniałaś o modlitwie.

Skruszona dziewczyna żegna się i głośno mówi: – *Panie Boże, Ojczy niebiański, pobłogosław nas i te dary, które z Twojej dobrotliwej łaski spożywać będziemy, przez Jezusa Chrystusa, Pana naszego. Amen*^[20].

Dopiero teraz zaczyna jeść, ale zaraz na jej twarzy maluje się uczucie obrzydzenia. – Faj! Kozuchy – marudzi. Widzi jednak, że ani matka, ani ciotka nie zwracają na nią uwagi, więc je dalej, tylko od czasu do czasu odsuwa coś na brzeg talerza. – Co jest do zrobienia? – pyta, skończywszy śniadanie. – Bo w południe idziemy z panną Stein na łyżwy na jezioro.

– Łód jest dość gruby? Jesteście pewne? – Marta nie lubi, kiedy córka chodzi kąpać się w rzece albo w jeziorze, tak samo jest w przypadku łyżew.

– Nie bój się, mamó. Chłopcy od tygodnia urządzają wyścigi na lodzie. Pan Lorenz nie pozwoliłby, gdyby łód nie był mocny.

– Jednak wolałabym, żebyś jeździła na sankach albo nartach – upiera się Marta.

– Sanki są dla małych dzieci, a na nartach pojeżdżę, jak będzie więcej śniegu. Mamó, mogę wziąć twoje buty i łyżwy?

– Nie wiem, gdzie są. Przecież nie używałam ich od lat.

– Już je znalazłam! – oznajmia Tila. – Były w dużym pudle na strychu. Są w sam raz. Powiesz mi, mamó, co mam teraz robić?

– Widzę, że z nie wygram z tobą, uparciuchu – wzdycha Marta z rezygnacją. – Idź pobieraj suche pranie ze sznura. Potem przejrzymy je i zobaczymy, czy jest coś do cerowania.

Tila chwytając duży kosz i już mknąc korytarzem. Z całej siły popycha drzwi

prowadzące na strych. Teraz otwierają się ciężko, bo są uszczelnione, żeby zimowy chłód nie wchodził z poddasza do mieszkania. Jest prawie ciemno, ale gdzieś tam światło przenika do wewnątrz. Aby lepiej widzieć, uchyla drewnianą okiennicę znajdującą się w szczytowej ścianie od strony zachodniej. Spogląda w dół. Pod wiatą przeznaczoną na wozy nocujących tu kiedyś gości jest pusto. Z tyłu rośnie rząd jesionów. Nie mają liści, więc roztacza się przed nią widok na przyprószony śniegiem sad i ogród, a dalej na płot, następny sad i dom. Tam mieszka Rosina, jej serdeczna przyjaciółka. Tili jest smutno, bo wie, że nie będzie jej dzisiaj na zbiórce. Ostatnio rzadko się widują. Mama Rosiny spodziewa się szóstego dziecka i nie czuje się najlepiej, więc przyjaciółka nie tylko opiekuje się małymi siostrami, ale i wyręcza matkę w niektórych pracach domowych. Proponowała pomoc, ale Rosina odmówiła. Coś się między nimi psuje. Tili wydaje się, że koleżanka ma do niej żal, że ich życie jest tak różne. Ale co ona może poradzić na to, że jest jedynaczką.

Otwarcie okiennicy sprawiło, że na strychu zrobiło się zimniej niż zwykle, więc pospiesznie ściąga pranie ze sznura. Z radością stwierdza, że kilka sztuk musi jeszcze powiesić. Rękawy dwóch swetrów są sztywne od zamrożonej wody, podobnie jak gruby kaftan ojca. Mama na pewno znalazłaby w nich coś do naprawy, ale przecież im mniej, tym lepiej. Zziębnięta dziewczyna szybko wystawia kosz za próg, zamyka okiennicę i prawie po omacku opuszcza strych.

W kuchni nie ma nikogo. Słychać tylko trzaskanie palącego się drewna. Matylda staje przy piecu i nalewa sobie zbożowej kawy z blaszanego dzbanka stojącego na gorącej płycie. Pije, trzymając kubek oburącz, by ogrzać zmarznięte dłonie. Zaraz potem zjawia się Janka. Wnosi ze sobą zapach chlewa. Nakarmiła świnię i przez moment może odetchnąć od pracy. I ona, wyciągając dłonie ku ciepłu, staje przy piecu. Tila spogląda na ciotkę i zauważa, jak ta, wpatrzona w ogień widoczny między fajerkami, uśmiecha się pogodnie do swoich myśli.

Buty do łyżew są trochę za duże, więc Tila wciska w czubki pognieciony kawałek gazety. Przymierza i, choć nadal coś jej nie pasuje, już nie poprawia. Próbuje przymocować łyżwy do butów. Uznaje, że to łatwe, wkłada więc wszystko do plecaka i idzie do matki, by zapytać, czy może już iść. Ale że słyszy jej kroki na korytarzu, cofa się do kuchni. – Mamo, zobacz, wszystko pocerowane. Mogę iść?

– Nie za wcześnie? – pyta Marta i ogląda każdą sztukę odzieży z osobna. Widzi, że córka wykonała swą pracę dokładnie. Ślady cerowania są prawie niewidoczne, a ściegi staranne. Nie brakuje też żadnego guzika. – Dobrze, możesz już iść – mówi. – Tylko ciepło się ubierz i nie zdejmuj chustki z głowy!

Tila doskonale wie, że do zbiórki nad Schwentesee zostało jeszcze dużo czasu, ale chce przyjść wcześniej, żeby w samotności spróbować, jak się jeździ na matczynych łyżwach. Rok temu Bettina pożyczyła jej swoje. Pierwsza jazda nie

należała do udanych. Zaliczyła liczne wywrotki, ale potem zdołała zrobić kilka ślizgów bez upadku. Dzisiaj chciałaby się popisać, bo większość dziewcząt z grupy nie ma nawet takich doświadczeń jak ona.

Nie idzie nad jezioro tą trasą co zwykle, czyli drogą na wzgórze zaczynającą się za polem na tyłach gospodarstwa. Zimny wiatr na pewno okazałby się jeszcze bardziej dokuczliwy na szczycie wzniesienia, lepiej więc pójść dołem przez wieś. Kiedy mija dom Kerstin Heckman, cieszy się, że pogoda nie pozwala wścibskiej kobiecie na obserwację okolicy w otwartym oknie. Podejrzewa jednak, że ciekawe oczy mogą patrzeć z głębi pokoju, bo na parapecie siedzi rude kocisko z miną identyczną jak mina jego pani. Nasuwa więc chustkę na czoło i prędko mija nieprzyjazne miejsce.

Na placu bardziej niż o innych porach roku rzuca się w oczy pomnik poległych. Bezlistne lipy otaczają wysoki smukły obelisk z orłem na szczycie. Wielki ptak z rozłożonymi skrzydłami zdaje się wzbijać do lotu ku otwartemu niebu. U stóp pomnika leżą wieńce splecione z jodłowych gałęzi. W każde państwowe święto zbierają się w tym miejscu dorośli i cała młodzież obowiązkowo skupiona w Hitlerjugend albo w jego żeńskiej odmianie – BDM. Burmistrz Kurmutz, będący jednocześnie szefem miejscowej komórki NSDAP, albo jakiś przyjezdny przedstawiciel partii wygłasza okolicznościowe przemówienie. Zdaniem Tili mowy są zbyt nudne, ale należy do organizacji i nie przyznałaby się przed nikim, że nie zawsze słucha tego, co mówią przywódcy. Jest głęboko przekonana, że dyscyplina, uroczystości, zloty i spotkania są ważne i potrzebne, bo młodzież powinna gorliwie wypełniać obowiązki wobec Führera i narodu. Kiedy podczas sobotnich heimatabendów słucha specjalnych audycji dla młodzieży nadawanych przez radio albo mädelschaftsführerin Klary Stein czytającej artykuły opisujące bohaterstwo niemieckich żołnierzy, jej szczerze nastoletnie serce czuje się gotowe do wszelkich poświęceń dla ojczyzny. Zawsze chętnie się zgłasza, by wystąpić na akademii z recytacją patriotycznego wiersza albo wraz z dziewczętami z grupy zaśpiewać wzniosłe pieśni. Gdyby nie wiedziała, jak ciężko pracuje Rosina, oburzałaby się, że często na zbiórkach przysypia oparta o ścianę, a tak tylko ją szturcha, żeby się obudziła i nie ściągnęła na siebie gniewu mädelschaftsführerin.

Tila dociera nad jezioro po długim marszu. Nie ma nikogo. Restauracja w willi Else, otwarta w sezonie, teraz dostępna jest tylko w niedzielę. Podczas mroźnych dni młodzież, a czasem i starsi, przychodzą pojeździć na łyżwach, posiedzieć przy kominku i napić się grzanego wina, a nawet potańczyć. W środę, gdyby ktoś koniecznie chciał, właściciel Hans Skupski też otworzy lokal, pod warunkiem że jest na miejscu, bo zimą często przebywa w swoim drugim domu w Unruhstadt.

Na górze hula zimny wiatr. Tu w dolinie jest nieco zaciszniej. Tila oczyszcza

ręką ławeczkę i siada, by zmienić buty i założyć łyżwy. Tafla lodu jest mocno porysowana. Śnieg nie padał od niedzieli, więc wyraźnie widać ślady po świątecznym pobycie łyżwiarzy. Dziewczyna ściąga wełniane rękawiczki z jednym palcem, zdejmuje swoje trzewiki i wkłada buty matki. Mają specjalne grube skórzane podeszwy, do których można przymocować łyżwy, dokręcając je małym kluczykiem. Mocno zaciąga sznurowadła, ale i tak, mimo grubych skarpet, noga ma za dużo luzu. „To nic – myśli. – Przecież to nie ma znaczenia. Następnym razem włożę jeszcze jedną parę skarpet”. Ostrożnie stawia kroki na lodzie, trzymając się pomostu, ale ten szybko się kończy, więc odpycha się prawą nogą i czuje, jak druga niebezpiecznie odjeżdża. Próbuje nad tym zapanować, ale luźny but przechyla się i lewa stopa jedzie do wewnątrz, podcinając prawą. Tila wywraca się na bok i uderza boleśnie w bark. Przez chwilę leży na lodzie, jakby usiłowała zrozumieć, co się stało, potem podpira się ręką i próbuje postawić prawą nogę. Nic z tego, stopa odjeżdża. Ma wrażenie, że zamieniła się w nieporadnego żuka, który przewrócił się na plecy i bezradnie przebiera w powietrzu odnóżami.

– Zaczekaj, pomogę ci! – słyszy dochodzące z brzegu wołanie. Obraca głowę i widzi Karla Holzera, który macha do niej rękami. – Nie wstawaj sama! – W mgnieniu oka chłopak jest przy niej. – Niezła z ciebie łyżwiarka – kpi. – Daj kluczyk.

Tila wyciąga z kieszeni kluczyk, a Karl odczepia łyżwę. Chce zrobić to samo z drugą, ale kiedy chwyta lewą stopę, dziewczyna wydaje bolesny okrzyk. – Zostaw! Nie ruszaj, boli. – Odpycha rękę chłopaka.

– Muszę zobaczyć, co się stało. Może skręciłaś kostkę albo, co gorsza, coś sobie złamałaś. Wtedy trzeba będzie wezwać pomoc – usprawiedliwia się niespodziewany wybawca.

Tila, czerwona z bólu i wstydu, mocno zaciska zęby, kiedy Karl ostrożnie ściąga but. – Co robisz? Nie ruszaj! – znów protestuje, kiedy zsuwa jej skarpetę i przez pończochę zaczyna obmacywać kostkę.

– Tila, ja nie robię niczego nieprzyzwoitego, sprawdzam tylko, czy nie masz złamania.

– Akurat znasz się na tym.

– Lepiej niż ty na łyżwach – odgryza się Karl.

Tila rumieni się jeszcze bardziej. Nie wie, jak przeżyje to upokorzenie. Widział jej nieporadne próby i kompromitującą wywrotkę. – Zostaw. Poradzę sobie – rzuca wyniośle i daremnie usiłuje wyswobodzić nogę z silnego uchwytu, który mimo zawstydzenia wcale nie wydaje się przykry.

– Na pewno. Ale najpierw siedzenie przymarznie ci do lodu – drwi chłopak. – Nie dąsaj się, tylko pozwól mi sprawdzić tę kostkę – prosi już znacznie grzeczniej. – Może to nic takiego i zaraz się podniesiesz.

Tila już nie protestuje, więc Karl ponownie dotyka kostkę i bada jej okolicę

dokładnie, miejsce przy miejscu.

– A tak w ogóle to trochę się znam, bo mieliśmy zajęcia z pierwszej pomocy medycznej na obozie Hitlerjugend. Umieję stwierdzić, czy to złamanie, czy nie – chwali się młodzian.

– I co? – dziewczyna nadal robi obrażoną minę, ale wie, że jest zdana na łaskę Karla i nie ma wyjścia.

– To nie złamanie – orzeka chłopak. – Czy jest skręcenie, pewnie wiedziałbym, gdybyś zdjęła pończochę, ale domyślam się, że w tych okolicznościach nie zechcesz zadzierać spodnicy, by to zrobić. Mam rację?

Tila znowu pąsowieje jak róża. Chustka zsunęła się jej z włosów. Ciemnoblond korona z warkoczy, szare, prawie niebieskie oczy i te rumieńce sprawiają, że Karl nie może oderwać od niej oczu. Nagle przestaje kpić i przybiera opiekuńczy ton. – Spróbuj wstać. Pomogę ci.

Pochyla się i obejmuje ją z tyłu, podpira troskliwie, gdy ona z wysiłkiem i pojękiwaniem staje wreszcie na nogach.

– Widzisz. Udało się – cieszy się Karl. – Bardzo cię boli?

– Już nie tak mocno.

– Widocznie tylko naciągnęłaś ścięgno. To bolesne, ale niegroźne. Co my teraz zrobimy? – zastanawia się chłopak. – Usiądź na ławeczce. Zaraz coś zorganizuję.

– Nie, nie trzeba. Za chwilę przyjdzie panna Stein i dziewczęta z mojej grupy. Na pewno coś poradzą.

– Wiem, ale czuję się za ciebie odpowiedzialny. W końcu to ja widziałem twój upadek. – Śmieje się, ale już inaczej niż przedtem, bardziej przyjaźnie.

Tila zauważa, jakie ma ładne, równe białe zęby i niebieskie oczy. „Chłopak z plakatu – przypomina sobie określenie Rosiny. – Taki przystojny, że aż niemożliwe, żeby był prawdziwy”.

– Posiedź tutaj. Zaraz będę z powrotem. – Ideał urody chyba wpadł na jakiś pomysł. Rzeczywiście. Zjawia się bardzo szybko, ciągnąc za sobą dziecięce sanki.

„No tak, przecież tu można wypożyczyć nie tylko łódzie, ale i sanki, łyżwy, a nawet narty. Zapomniałam” – myśli Tila. – Był ktoś w restauracji? – dziwi się głośno.

– Nie ma nikogo. Wziąłem je spod szopy.

– To kradzież! – Matylda jest oburzona. – Odprowadź je z powrotem.

– Zapominasz, że jestem w Hitlerjugend. My nie kradniemy! – chełpliwy ton wraca. – Pożyczyłem z powodu wyższej konieczności. Odstawię cię do domu, a potem odprowadzę sanki. Za jakieś dwie godziny mam tu zajęcia z pimpfami. Siadaj.

Dziewczyna z grymasem bólu gramoli się na sanki, a Karl kładzie przed nią plecak z butami i łyżwami i zaczyna ciągnąć.

- Karl? – Chłopak słyszy za plecami nieśmiały głosik.
- Co tam? Boli? – Ogląda się.
- Nie tak bardzo. Chciałam cię prosić, jeżeli już ciągniesz mnie na sankach, to czy mógłbyś pójść górą? Nie chcę, żeby cała wieś nas widziała.
- Jasne. Sam nie chciałbym dostać się na języki pań Heckman i Kisch. Jutro wszyscy by wiedzieli, jak bardzo byliśmy nieprzyzwoici. Idziemy górą! – decyduje.

Po półgodzinie są już na wysokości gospodarstwa Neumannów. Karl skręca w drogę prowadzącą w dolinę, ale trudno mu ciągnąć sanki, bo najeżdżają mu na pięty. W końcu zniecierpliwiony siada za Tilą, obejmuje ją ramionami, odpycha się stopami i sanki ruszają w dół.

Marta właśnie wygląda przez okno. Na widok swej niespełna piętnastoletniej córki zjeżdżającej na sankach w objęciach jakiegoś chłopca aż zastyga z oburzenia. „Niech no tylko zjawi się w domu, dowie się, co przystoi dziewczętom w jej wieku!” – grozi w myślach.

24

Walter znowu niechętnie wraca do domu. Marta zrobiła się nie do zniesienia. Wciąż narzeka. Niewinna, jego zdaniem, przygoda Tili na łyżwach zapoczątkowała bardzo nerwowy czas w ich rodzinie. Córce oczywiście oberwało się nie tyle za wypadek, ile za okoliczności, w jakich wróciła do domu. Wyrzutom i przestrogom nie było końca. Na szczęście jakimś cudem nikt niczego nie widział, udało się więc uniknąć plotek. Za to biedna Tila, która nie może nigdzie wyjść z powodu obolałej nogi, siedzi całymi godzinami przy kuchennym oknie nad stosem pończoch, skarpet, rękawiczek i swetrów, pokornie je ceruje, łąta dziury i przyszywa guziki.

Na domiar złego pewnego poranka w gospodarstwie zjawili się kontrolerzy ze Stanu Żywicieli Rzeszy. Zażądali comiesięcznych raportów z całego 1938 roku. Najbardziej interesowała ich produkcja mleka. Prawdopodobnie dowiedzieli się, że Marta sprzedaje nadwyżki na wolnym rynku, przedstawili więc nowe, wyższe normy dostaw. Kiedy się broniła, mówiąc, że to niemożliwe, żeby jej krowy mogły być aż tak wydajne, poszli do obory i sprawdzili, dojąc dopiero co wycieloną Bertę, i na tej podstawie orzekli, że pozostałe dwie dają tyle samo mleka. Na koniec zajrzeli do letniej kuchni, gdzie Janka szykowała jedzenie dla świń, żeby sprawdzić, czy aby w gospodarstwie nie zadaje się trzodzie śrutu zbożowej, co jest zabronione. Jeszcze tydzień po ich wizycie Marta martwiła się, jak sprostą tak wyśrubowanym normom. W dodatku ceny artykułów przemysłowych stale rosną, a ceny na produkty rolne są regulowane przez państwo. Gospodyni zauważa stopniowe zmniejszanie się dochodów. Jeśli teraz nie będzie mogła prywatnie sprzedać mleka, twarogów, jajek ani wieprzowiny, to co jej zostanie? Polegać tylko

na jednym przymusowym odbiorcy, czyli Stanie Żywicieli Rzeszy. Żeby jeszcze płacili na czas, ale gdzież tam! Bywa, że tygodniami czeka na pieniądze za dostarczone produkty. Dobrze, że jeszcze nie zainteresowali się drobiem, bo chyba musiałaby zastanawiać się nad każdym kurczakiem czy kaczką, tak jak teraz nad jajkami, których też ma odstawiać określoną ilość.

Brak śniegu pogłębia zły humor Marty. Mrozy nie są szczególnie silne, ale przy cienkiej warstwie opadu mogą zaszkodzić winnicy. Zarówno jej winorośle, jak i pozostałe w okolicy uprawiane są metodą niskiej głowy, tzn. krzew formuje się przez kilka lat tak, aby powstało coś w rodzaju niskiego pnia z głową na szczycie. Wiosną z głowy wyrastają pędy, z których pozostawia się co najmniej dwa i przywiązuje do drewnianego palika. W listopadzie po winobraniu krzewy trzeba zabezpieczyć na zimę, przysypując je ziemią i tworząc nad każdym mniej więcej trzydziestocentymetrowy kopczyk. Tak przykryte powinny przetrwać do wiosny. Jednak zdarza się, że silne mrozy ścinają pozbawioną śniegu ziemię, wówczas krzewy winorośli mimo okrycia marzną. Marta każdego wieczoru, zanim pójdzie spać, spogląda na termometr za oknem, a kiedy rano wstaje, znowu sprawdza temperaturę. Jak dotąd nie spadła ona tak bardzo, by mróz mógł zaszkodzić krzewom, ale nie wiadomo, co przyniosą kolejne lutowe dni.

Jakby tego było mało, Janka, mimo swych czterdziestu sześciu lat, zaczęła zachowywać się jak podłotek. Co prawda jest pracowita jak zawsze i nie zaniedbuje obowiązków, ale Marta ma złe przeczucia. Kuzynka coraz częściej umawia się z Gustavem Gogolem. A to idą na tańce, a to na spacer, chociaż jest zimno i wieje wiatr. Raz nawet poszli do kina! Żeby tylko Janka nie zrobiła jakiegoś głupstwa!

Walter wysłuchuje nerwowych tyrad żony rano przy śniadaniu i kiedy wraca też. Ma tego serdecznie dosyć. W dodatku nic się nie zmieniło w ich wzajemnych stosunkach. Przecież powiedział jej, co naprawdę myśli. Jak bardzo żałuje swoich nieopatrznie wypowiedzianych słów. Wyraźnie dał do zrozumienia, że jest dla niego ważna. A ona nic. Traktuje go jak słuchacza, domownika, ale nie jak męża!

Wobec tak napiętej atmosfery w domu wcale nie żałuje, że w niedzielę, zamiast wypoczywać, będzie musiał wziąć udział w wiecu na rynku. Właściwie nie powinno go tam zabraknąć. Był przecież ważnym uczestnikiem zdarzeń w lutym 1919 roku. Jako żołnierz walczył w bitwie o Unruhstadt. Po ciężkim boju jego oddział odbił miasto z rąk polskich buntowników. Nazajutrz wyruszyli, by zdobyć pobliską Kopanicę, ale tym razem im się nie powiodło. Wtedy właśnie został ranny i spędził kilka tygodni w szpitalu. Kiedy zwolniono go z wojska, wrócił do Unruhstadt, by odnaleźć dziewczynę, z którą umówił się na czekoladę u Peschela. Do dziś ma przed oczyma tę wesołą i energiczną panienkę, co prawda skromnie ubraną, ale wcale nie onieśmieloną, kiedy zaproponował jej spotkanie.

Walter spogląda znad gazety na żonę. W blasku lampy widzi jej skupioną

twarz. Ręce trzymające druty poruszają się szybko. Marta robi ciepłe skarpety dla ubogich, bo przewodnicząca gminnego koła Ligi Kobiet Greta Kisch zarządziła, że każda gospodyni powinna wykazać się wykonaniem pięciu par. Marta w domu odpowiednio skomentowała ten pomysł, ale nie ośmieliła się głośno sprzeciwić. Wywiązuje się z zadania jako jedna z ostatnich, dlatego dzisiaj, zamiast iść spać, z mozołem kończy niebiesko-granatowo-szarą skarpetę.

– Jutro nasza rocznica – zagaduje Walter.

– Jaka? – Marta nawet nie podnosi głowy znad robótki. Na dziś wieczór wyczerpała limit narzekań i nie chce się jej rozmawiać.

– Poznaliśmy się dokładnie dwadzieścia lat temu, w lutym. Nie pamiętasz? – udaje zdziwionego.

Marta przestaje poruszać rękami. Podnosi głowę, zamyśla się. – Tak, rzeczywiście. Zapomniałam – mówi i znowu się pochyla nad skarpetą.

– Jutro na rynku w Unruhstadt są uroczystości z okazji Dnia Wyzwolenia. Idę tam, a potem jestem umówiony z towarzyszami broni na strzelnicy – informuje mąż, jakby nie zauważył obojętności.

– Dobrze. Zostawię ci obiad. Podgrzeję, jak wrócisz. – Marta znowu pochyla głowę nad robotą.

– Poszłabyś ze mną?

– Na strzelnicę?! – Widać, że propozycja męża wprawia ją w lekkie osłupienie.

– Nie! Skądże znowu. Pomyślałem tylko, że tym razem nie szedłbym z kolegami. Chciałbym po wiecu zaprosić cię na czekoladę do Peschela. Tak jak wtedy.

Marta podnosi głowę i patrzy z powagą w oczy męża, jakby odpowiedź, na którą czeka, była niezwyklej wagi. – Dobrze. Pójdę z tobą – mówi i zaczyna liczyć oczka w robótkce.

Na niedzielnym nabożeństwie jest mniej ludzi niż zazwyczaj. Członkowie partii, kombatancki i młodzi, skupieni w swych organizacjach, ustawiają się już na rynku. Centralny punkt, przy którym umieszczono trybunę dla oficjeli, stanowi pomnik poległych stojący niedaleko wejścia do ratusza. Od kilku godzin pada mokry śnieg. Czerwone flagi ze swastyką, które powinny dumnie powiewać na wietrze, zwisają z masztów i okien kamienic sklezione wilgotnym opadem. Początkowo widok wydaje się bardzo malowniczy, bo wielkie i ciężkie płatki lecą wolno, wirując przez chwilę na wietrze, potem opadają na ramiona i głowy ludzi, bruk otaczający ratusz i samą siedzibę władz miasta. Nagle wszystko wokół, do niedawna brudnoszare, robi się czyste i białe. Po kilku minutach ludzie obserwujący z zachwytem białe płatki zaczynają odczuwać wilgotny chłód przenikający przez palta i wdzierający się do przemoczonych butów. Ten i ów tęsknie spogląda w stronę oświetlonych okien hoteli, restauracji i cukierni

mieszczących się wokół rynku. Niestety, do rozpoczęcia przez niemiecką ludność miasteczka uroczystych obchodów Dnia Wyzwolenia od Polski w lutym 1919 roku zostało jeszcze pół godziny.

Tymczasem w kościele trwa nabożeństwo. Za oknami zrobiło się prawie ciemno, ale wierni nie zwracają na to uwagi, bo uważnie słuchają pastora Plumbauma. Tematem dzisiejszego kazania jest trwałość małżeństwa. Duchowny ubolewa nad tym, że coraz więcej związków w Niemczech się rozpada. Apeluje do mężów, aby starali się godzić działalność partyjną i pracę zawodową z koniecznością spędzania wieczorów w gronie rodziny. Upomina żony, by okazywały więcej wyrozumiałości wobec małżonków, wszak obecne czasy od wszystkich wymagają poświęceń dla dobra ojczyzny. Mówi, że każde stadło przechodzi różne kryzysy, ale jeśli kiedyś małżonkowie prosili Boga o błogosławieństwo, to powinni ufać, że On chce spełnić tę prośbę, tylko trzeba dać Mu szansę. Przypomina, że chociaż małżeństwo to nie sakrament, jednak małżonkowie powinni ze wszystkich sił starać się dotrzymać obietnicy złożonej przed Bogiem.

Marta słucha słów pastora i wydaje się jej, że skierowane są specjalnie do niej. Analizuje własne postępowanie. Przypomina sobie wzięty w tej świątyni ślub i moment składania przysięgi. Przepęłniała ich wtedy wielka miłość i wiara w jej wieczne trwanie. Co się z nimi stało przez te niespełna dwadzieścia lat? Od listopada, kiedy się pokłócili i powiedziała mu, żeby przeniósł się do Berlina, minęło wiele tygodni. Żyją w zawieszeniu. Oboje czują się zmęczeni tą sytuacją i chcieliby jakiegoś rozstrzygnięcia. Walter, robiąc wszystko, by się pogodzić i zostać w Chwalimiu, powoli kruszy jej opór. Dzisiaj już nie jest taka pewna, czy wyjście, które zaproponowała, będzie najlepsze. Podczas nabożeństwa uświadomiła sobie, że to, co jej wtedy powiedział, już tak nie boli. „Może on rzeczywiście tak nie myślał i naprawdę mówił w gniewie? – zastanawia się. – Czy z powodu pochopnie wypowiedzianych słów warto rezygnować ze wszystkiego, co nas dotąd łączyło?”

Po nabożeństwie zanurza się w chmurze mokrych, gęstych płatków. Śnieg od razu przylepia się do butów, tworząc grubą, utrudniającą chodzenie warstwę. Kiedy mija piekarnię Paula Deckego i wychodzi na Wollsteiner Straße, wiatr wiejący od zachodu jeszcze silniej uderza ją w twarz i oślepia nową porcją mokrej bieli. Jest umówiona z Walterem, więc mocno pochylona do przodu, tak jakby głową chciała przebić ścianę, idzie prosto na rynek. Zatrzymuje się za rogiem, tuż koło warsztatu zegarmistrzowskiego Fotha, skąd widzi tłum ludzi stojących na placu i słuchających przemówienia burmistrza Unruhstadt von Flotowa. Szuka wzrokiem Waltera, ale teraz wszyscy wyglądają podobnie, więc rezygnuje. Liczy na to, że po uroczystości i tak się odnajdą.

Godzinę później siedzą w cukierni przy małym dwuosobowym stoliku.

Ubrany odświętnie mężczyzna gra na pianinie cichą nastrojową muzykę. Jest ciepłutko, a wewnątrz pachnie cudowną mieszaniną prawdziwej kawy, czekolady, cynamonu i wanilii. Gdyby nie to, że Walter zamówił stolik wcześniej, nie mieliby szans na wypicie czekolady. Zaraz po zakończeniu obchodów zmarznięty tłum ruszył do okolicznych cukierni, restauracji i gospód, by rozgrzać się kawą, herbatą, gorącym winem z korzeniami albo setką czegoś mocniejszego.

Siedzą blisko siebie, prawie twarzą w twarz, i czekają na zamówione ciasto. Krepującą ciszę przerywa Walter. Wyciąga rękę i ujmuje dłoń Marty.

– Pamiętasz? Nie przyszedłem wtedy.

– A ja czekałam i czekałam, i było mi coraz bardziej wstyd. – Żona dołącza się do wspomnień. – Myślałam, że za szybko zgodziłam się na spotkanie i uznałeś, że nie warto interesować się taką dziewczyną.

– Skąd mogłaś wiedzieć, że trafiłem do szpitala – odpowiada mężczyzna z czułością.

– Potem nieustannie myślałam o tobie. Dowiedziałam się, że była bitwa o Kopanicę. Miałam nadzieję, że coś ci się przytrafiło.

Walter podnosi brwi zdziwiony.

– Tak. Wolałabym, żebyś był ranny, bo to by znaczyło, że nie mogłeś przyjść, a nie, że nie chciałeś.

– Pamiętam, jak cię w końcu odnalazłem. Ktoś powiedział mi, gdzie mieszkasz. Szedłem z Unruhstadt do Chwalimia i nie poznawałem widzianej w lutym okolicy. Wokół było tak zielono, pachniały bzy, kwitły sady, a ja myślałem o tym, że dziewczyna, do której idę, tak samo zachwyca urodą jak ta wieś. – Do tej rozmowy przygotował się od dawna, tylko szukał okazji. Zdążył wygładzić słowa i ozdobić pochlebstwem niczym klejnotem. Teraz patrzy z napięciem, czy udało mu się wyrzucić zamierzony efekt.

Marta rumieni się. Nie wie, co powiedzieć. Nigdy nie słyszała z ust Waltera piękniejszego komplementu.

– Kiedy znalazłem się przed twym domem, nie mogłem uwierzyć w swoje szczęście, bo stałaś na ganku, jakbyś właśnie mnie wyglądała.

– Coś kazało mi wtedy wyjść na ganek dokładnie w tym momencie, kiedy się zjawiłeś – przypomina sobie z nieśmiałym uśmiechem.

Stojąca przy stoliku sympatyczna dziewczyna w białym fartuszk patrzy na nich wyczekująco. Ma w rękach tacę, ale dwoje mocno dorosłych ludzi nie zauważa jej, tylko rozmawia półgłosem.

– Przepraszam – przerywa nieśmiało – mam dla państwa ciasto i gorącą czekoladę.

Walter i Marta odsuwają się od siebie zawstydzeni, a kelnerka stawia przed nimi talerzyki z trójkątami tortu i porcelanowe filiżanki pełne aromatycznego gęstego napoju.

Dziewczyna wraca za kontuar. Przez chwilę przygląda się dwojgu gościom, którym przed chwilą zaniósła zamówienie. – Popatrz na nich – mówi do starszej koleżanki. – Nie są już młodzi, a tacy zakochani.

Druga kelnerka dyskretnie spogląda na Martę i Waltera. – To przecież Neumannowie z Altreben. On pracuje w ratuszu, a ona ma gospodarstwo i stragan na rynku.

- Wyglądają, jakby dopiero co się pobrali.
- Może i tak, ale nie wierz mężczyznom. Neumann robi słodkie oczy do żony, a na boku ma kochankę.
- Coś ty! Nie wierzę.
- Wiem, bo to moja znajoma. Birgit. Sprząta w ratuszu.

25

Przyszedł marzec. Mimo że Marta poważnie rozważała wzięcie do siebie babki Trudy, odwlekała decyzję tak długo, aż zięć Hedwigi, podobnie jak wielu mężczyzn ze wsi, wyjechał na zimę do pracy w głąb Niemiec, a młoda mężatka Elza wróciła do sypialni sióstr. Tym sposobem Paul, Gustav i Emil, którzy jesień przespali na sianie, odzyskali swój pokój. Co prawda Elza spodziewa się w czerwcu dziecka, ale wtedy już będzie ciepło i chłopcy chętnie znów przeniosą się na siano. W tej sytuacji Hedwiga przestała naciskać i babka nadal mieszka w domu przy placu. Przez całą zimę nawet nie wychodziła na podwórko i, może od tego albo od starości, coraz bardziej miesza jej się w głowie. We wtorkowe popołudnie w domu Hedwigi i Josefa Ulrichów jest tylko babka Truda i Tila, która przyszła zaopiekować się staruszką. Rodzina pojechała na pogrzeb kuzyna Josefa do Alt Kramzig i wróci dopiero następnego dnia.

Tila zajęła krzesło przy oknie i słucha długiego monologu wygłaszanego przez babkę siedzącą na brzegu łóżka. Szczęśliwa, że znalazła towarzystwo, po raz setny opowiada o tym, jak poszła pierwszy raz do szkoły i nie rozumiała, co do niej mówi *zok*, bo w domu mówiło się tylko po wendyjsku, a jej ciężko szła nauka po niemiecku. Potem niespodziewanie przeskakuje do historii jakiegoś cudotwórcy z wielkim *wiąsem*, co to przybył do Chwalimia z Nietkowa. Mieszkał we wsi dwa lata i za darmo uzdrawiał zwierzęta przy jednej studni *dąbłokiej*. Krowę, co mleka nie dawała uleczył, i konia, co miał oko *pomździone*^[21]. Ludzie szli do niego z chorym bydłem, a czasem sami prosili o radę. Babka wzdycha, że nie ma już takiego lekarza, bo gdyby był, to uleczyłby jej reumatyzm, nie tak jak te nic niewarte *doktory*, co to rachunki tylko przysyłają, a jej nie mogą pomóc.

– Zobacz no, zobacz – mówi, podciągając rękawy grubego wełnianego swetra. – Tak mnie leczy, że ręce zrobiły się jak patyki, a skóra jakaś brązowa. Domyć jej nie mogę. A może ktoś urok na mnie rzucił? – zastanawia się.

I tak staruszka przechodzi do kolejnego wątku swej niemającej logicznego

początku i końca opowieści. Tym razem mówi o rolniku, który jednego razu *jachauł bez pola i do zyta wjachauł*^[22] niedaleko Schwentesee, a tam napotkał wiedźmę. By się obronić przed rzuceniem uroku przez złą kobietę, prawą nogą narysował na piasku krzyż. Kiedy wrócił do domu, noga zaczęła tak boleć, że nie mógł nic robić i musiał leżeć w łóżku. W końcu jego kobieta poszła do uzdrowiciela, który kazał chłopu przyłożyć do bolącego miejsca świeżą krowią kupę. *Posłuchol tynego*^[23] i wysmarował całą nogę od góry do dołu ciepłym jeszcze bydlęcym łajnem. Długo nie trwało, a chłop wstał z łóżka i całkiem zdrow wrócił do roboty.

– Może przyniosłabyś mi z obory świeżego krowińca? Posmarujesz mi plecy, bo bolą, że *špik* nie przychodzi – wpada na pomysł babka i patrzy z nadzieją na osłupiałą Tilę.

– *Ńe?* Tak to jest. *Stótryj* nikt *ńe* pomoże. Tyle dzieci sama wychowałam – zaczyna nowy, choć znany Tili wątek. – Mój Janek poszedł na francuską wojnę i zabili biedaka. A ja z drobiazgiem zostałam. Krowami pole orałam, sama za pługiem szłam. Żniwa z chłopaczkami robiłam, najmłodsza Ania leżała na miedzy w zawiniątku. A nocami tktałam i tktałam przy warsztacie, żeby mieć choć *fyrke*. Patrz – wyciąga w kierunku dziewczyny dłonie – jakie mi się porobiły od tej roboty.

Tiła spogląda na ręce starowiny. Palce wykrzywione na zewnątrz, stawy wyglądają jak sęki drzewa, przez niemal przezroczystą skórę widać drobne cienkie kosteczki.

– Daj mi laskę, bo sikać mi się chce.

Chwiejnie, ciągnąc za sobą nogi, zmierza do masywnego krzesła. Kiedy do niego dociera, opiera jedną laskę o ścianę, a potem wolną ręką podnosi drewniane siedzenie. Pod nim ukryte jest drugie z wyciętym otworem, pod którym stoi wiadro. Babka niezdarnie obraca się i próbuje podciągnąć spódnicę. Tiła wie, że powinna pomóc. W końcu przełamuje skrępowanie, podnosi starszce spódnicę i zdejmuje długie, ciepłe majtki. Po wszystkim ubiera i odprowadza babkę do łóżka. Ta znowu zaczyna snuć swą opowieść. Tym razem o kmieciach, *co mieli pięj wołów, a dziewięj krów i dwanaście owiecków, a je przywiedli przed wieś i chcieli je przedaj*^[24].

Za oknem robi się już ciemno. Dziewczyna jest zmęczona gadaniem babki, a jeszcze bardziej jej dziwacznym niemiecko-wendyjskim językiem. Nie wie, co robić dalej. Przygotować coś do zjedzenia, a może tylko dać mleka? Nie ma pojęcia, czego w tym momencie potrzebuje stara kobieta, a pytać nie ma sensu, bo ona zupełnie nie słyszy.

Okrywa ramiona staruszki szalem, kiedy z sieni dobiega ją odgłos kroków. Po chwili do pokoju zagląda Emil. Tiła wzdycha z ulgą.

– Już myślałam, że nigdy nie przyjdiesz.

– Nie mogłem wcześniej. Majster koniecznie chciał dokończyć robotę.
– To ty nie byłeś dzisiaj w szkole, tylko na praktyce?
– Tak. Tila, ja zaraz coś zjem i przyjdę posiedzieć z wami. A może ty też chciałabyś czegoś?

– Ja niekoniecznie, ale babce trzeba by dać kolację. Ona chyba wcześniej chodzi spać.

– Różnie z tym bywa. Mówiła do ciebie po niemiecku czy po wendyjsku?

– Przeważnie po niemiecku, ale wtrącała jakieś słowa.

– Posiedź z nią, a ja coś przygotuję.

Istotnie, po jakimś czasie Emil wchodzi z tacą, na której jest dzbanek z kawą zbożową z mlekiem, chleb, masło i trójkątny kawałek tłustego twarogu z widocznymi śladami tkaniny, w której był odciskany. Stawia to na małym stoliku, który przysuwa do siedzącej na łóżku kobiety. Babka na widok jedzenia robi smętną minę.

– Oj, taka jestem chora, że mnie jedzenie zupełnie odeszło.

Emil kiwa posłusznie głową i zabiera tacę ze stolika.

– Co robisz? – Tila się niepokoi. – Może trzeba ją jakoś namówić.

– Czekaj!

Kiedy babka widzi, że chłopak zbliża się do wyjścia, woła:

– Zostaw! Może bym *kąska* zjadła!

Emil zawraca i z powrotem stawia tacę przed staruszką. Ta natychmiast sięga po chleb i kroi gruby plaster żółtawego od śmietany, kremowego przysmaku. I tak z chlebem posmarowanym masłem w jednej i z twarogiem w drugiej ręce zajada z widoczną przyjemnością, rozmaczając śliną każdą odrobinę i rozdrabniając ją dziąsłami.

– Je jak smok, tylko lubi nieco ponarzekać – wyjaśnia Emil kuzynce, która robi wielkie oczy na widok babki pochłaniającej jedzenie.

– Kiedy pójdzie spać?

– Nie wiadomo. Potrafi przespać pół dnia, a potem rozprawia do północy.

– Jak wy to wytrzymujecie?

– Nie jest tak źle. Cały dom ludzi. Zawsze ktoś do niej zajrzy.

– U nas by tak nie było. Dlatego mama nie chciała jej wziąć.

Babka kończy kolację i zaczyna szykować się do snu. Dziewczyna pomaga jej się rozebrać i ułożyć, potem nakrywa grubą pierzyną. Oboje siedzą jeszcze chwilę, a kiedy widzą, że staruszka zasypia, wychodzą.

W nocy Tila przewraca się w łóżku i próbuje ułożyć się wygodnie w dołku siennika wyleżanego przez Elżę. Ni stąd, ni zowąd ciszę panującą w domu przerywa głośny śpiew. Dziewczyna unosi głowę i nasłuchuje. To babka! Narzuca na siebie sweter i pędzi korytarzem. Staruszka siedzi na łóżku w kompletnych ciemnościach i śpiewa z przejęciem, ile tylko ma sił w płucach:

*Warownym grodem jest nasz Bóg,
Orężem nam i zbroją!
Wybawia On ze wszelkich trwóg,
Co nas tu niepokoją.
Stary, chytry wróg
Czyha, by nas zmógł;
Swych mocy złych rój
Prowadzi na nas w bój^[25].*

Starczy głos skrzypi, zawodzi i gubi melodię, ale zachowuje uroczysty nastrój hymnu reformacji. Tila stoi w otwartych drzwiach i nie wie, czy zapalać światło. Emil też się zjawia i oparty o futrynę czeka na reakcję kuzynki.

– Co się dzieje? Dlaczego ona śpiewa?

– Robi tak od czasu do czasu. Budzi się w nocy i coś jej przychodzi do głowy.

– Nie uprzedziłeś mnie. Przestraszyłam się – mówi Tila z wyrzutem.

– Ale za to poznałaś tajemną stronę babki – śmieje się chłopak.

– Długo tak będzie?

– Nie wiadomo. Ale my nie musimy tu stać. Pośpiewa i zaśnie. Nic jej nie będzie – uspokaja.

– To ja idę do łóżka, bo mi zimno.

Tila wraca do pokoju dziewcząt i szybko wsuwa się pod pierzynę. Jeszcze przez chwilę się trzęsie, ale wkrótce ogarnia ją ciepło. Mimo to nie zasypia. Nasłuchuje, co dzieje się u staruszki. A ona przechodzi do pieśni bożonarodzeniowych, potem do psalmów, a na końcu wyśpiewuje, a raczej wykrzykuje po wendyjsku zupełnie nieznaną Tili strofy:

*Chwała Bogu w wysokości
i dzięki Jego młości,
ale tak wielkiej sławy Jego,
że nam nie szkodzi nic złego.
Dobłą wolą Bóg ma ku nam,
pokoj wieczny uczynił sam,
nieprzyjacioły stłumił Pan.*

A potem jeszcze:

*Oto Jezu kochany,
chcemy słuchać słowa Twego.
Umysł nakierowany
niechaj będzie według tego,
żeby każdy precz od siebie,
pociągniony był do Ciebie^[26].*

Gdy w południe Tila wraca do domu, czuje się tak zmęczona, jakby nigdy

dotąd nie pracowała równie ciężko, jak minionej doby.

26

Ja, niżej podpisany, Klaus Hofmann zamieszkały w Unruhstadt przy Mühlenstraße, uczciwy dostawca wód mineralnych i słodkich napojów do restauracji i gospód, informuję, że byłem świadkiem nagannego zachowania gospodarza z Altreben, Petera Radacha. Gospodarz ten po południu 20 marca 1939 roku w gospodzie u Rauscha pił piwo w towarzystwie Ernsta Kliema i Hermana Bruse. Podchmielił sobie i zaczął opowiadać dowcipy. Jeden z nich oburzył mnie do głębi, gdyż dotyczył naszego ukochanego Führera i najwyższych funkcjonariuszy państwowych. Zaznaczam, że mi się dowcip nie podobał. Informuję też, że wszyscy wymienieni się śmiali. Uważam, że odpowiednie władze powinny zrobić z tym porządek.

„Co ja mam z tym zrobić? – myśli Walter pochylony nad kartką zapełnioną starannym pismem. – Dołączę do raportu, to Peter i inni mogą mieć kłopoty. Nie dołączę, to ten idiota Hofmann doniesie na mnie. Mógłbym się wykręcić od odpowiedzialności, bo to sprawa z terenu Chwalimia, a nie miasta, więc właściwie nie należy do moich obowiązków. Z drugiej strony powinienem wspomnieć w raporcie o wpłynięciu takiej informacji”.

Słyszysz na korytarzu kroki. Drzwi się uchylają i dostrzega w szparze głowę sprzątaczkę. Urzędnik rzuca niechętnie spojrzenie na niską, chudą kobietę o twarzy spłoszonej myszy.

– Pan, panie Neumann, jeszcze w pracy? – pyta rozczarowana. – Myślałam, że szybciej skończę, a tak to nie mogę. Muszę czekać, żeby u pana posprzątać.

– Jeszcze pół godziny, panno Mayer.

Drzwi się zamykają, a Waltera ogarniają wspomnienia. „Ach, Birgit, tylko ty wносиłaś trochę przyjemności w moje życie w ratuszu! Teraz pewnie grzejesz łożko swemu gospodarzowi, a przydałabyś mi się, kiedy nie wiem, jak rozwiązać sprawę. Może jakbym się rozerwał, wyjście samo przysłoby mi do głowy? Trudno – wzdycha z rezygnacją. – Muszę coś zdecydować. Nie będę tu siedział do rana. – Kończy szybko. Starannie spina stertę donosów z ostatniego tygodnia, nad którymi siedział po godzinach, i dołącza do raportu. – Nie będę nadstawiał głowy za idiotę. Po co opowiada takie rzeczy. W razie czego sam sobie będzie winien”.

Mimo że jego zdaniem postąpił słusznie, na widok Anny Radach siedzącej w kuchni i rozmawiającej z Martą czuje się nieswojo. Czym prędzej idzie na górę się przebrać.

*

Mija tydzień, może trochę więcej. Marta właśnie wyrywa pierwsze chwasty między wschodzącą marchewką, kiedy przybiega zapłakana Anna.

– Zabrali Petera. O Boże! Co my teraz zrobimy?

- Kto zabrał?
- Policja. Przyjechali godzinę temu. Kazali mu się ubrać i zabrali.
- Dlaczego? Co Peter zrobił?
- Nie wiem. Nic nie tłumaczyli, ale tak się zachowywali, jakby kogoś zabił.

Marta rozgląda się i choć ani w ogrodzie, ani na podwórzu nie ma nikogo, mówi:

- Ewald z babcią?
- Anna kiwa głową.

– Chodź do domu, zaparzę ci ziół na uspokojenie. Janki i Tili nie ma. Poszły do winnicy rozgarniać ziemię nad winoroślą. Ja też miałam zaraz jechać rowerem, ale na razie popracują same. No, chodź i przestań płakać. To na pewno jakieś nieporozumienie.

Wkrótce okazuje się, że policja zabrała też Hermana Bruse i Ernsta Kliema. Ten ostatni ma już osiemdziesiąt lat, dlatego wszyscy zachodzą w głowę, co mógł przeskrobać taki drobny i niezbyt silny staruszek. Ernst lubi opowiadać różne historie, ale do polityki się nie miesza. Następnego dnia po południu obaj mężczyźni są z powrotem w domach. Petera wypuszczono dopiero po trzech dniach. Wszyscy tak samo przygaszeni, nie chcą mówić o tym, co ich spotkało. Wiadomo tylko, że Peter opowiedział jakiś żart u Rauscha, a Ernst i Herman go słuchali.

– To straszne, że za żarty można kogoś aresztować. – Janka sprząta po kolacji i wraca do tematu, którym od kilku dni żyje wieś.

– Zależy za jakie. Nie wolno śmiać się z Führera. Za to idzie się do obozu albo gorzej. Chyba sama rozumiesz, że obrażać naszego przywódcę, to tak jakby zdradzać państwo.

– Przesadzasz, Walterze. – Marta staje po stronie Janki. – Pamiętam, że za republiki ludzie wciąż żartowali z rządu i z prezydenta i nikt za to nie groził obozem.

– Bądź cicho! Ile razy mam ci mówić, że nie wolno rozpowiadać takich rzeczy. Źle się to dla nas skończy, jak nie przestaniesz. Ani ja, ani ty nie jesteśmy od oceniania, co jest dobre, a co nie. – Mężczyzna denerwuje się coraz bardziej. – Za nas myśli Führer. My mamy wykonywać zadania, jakie przed nami stawia, i kropka!

– Dobrze już, dobrze. Nie unoś się. Przecież jesteśmy tu w domu sami. Nawet Tila nie wróciła jeszcze z heimatabendu. – Marta jest trochę zaskoczona wybuchem Waltera.

– Ja idę spać. Jak śpię, to wiem, że nie mówię niczego, za co mogliby mnie aresztować – oznajmia Janka i opuszcza kuchnię.

Walter rozkłada gazetę, a Marta, co dla niej dość niezwykle, zamiast czymś się zająć, siedzi i rozmyśla. – Czy ty masz coś wspólnego z przesłuchaniem Petera

i innych? – pyta nagle.

– Co ci przyszło do głowy? – Mężczyzna czyta uważnie jakiś artykuł, zapewne dlatego usiłuje zbyć żonę.

– Zajmujesz się donosami, czyż nie?

– Zajmuję się składaniem raportów z przejawów działalności antypaństwowej – tłumaczy mąż z rosnącą złością.

– Jeśli dostałbyś donos na kolegę, co byś zrobił? Powiedz mi jak żonie, a nie jakbyś mówił obcym.

– Coś się przyczepiła! O co ci chodzi? Dopiero się pogodziliśmy, a ty już coś wymyślasz!

– Odpowiedz mi, proszę. – Marta nie daje za wygraną.

– Nie zajmuję się donosami z Chwalimia, tylko z Unruhstadt. Nie mam nic wspólnego z tą historią. Zresztą, jak wiesz, nic im się nie stało. Dostali ostrzeżenie. To wszystko. Na drugi raz Peter będzie wiedział, że ma uważać na to, co i gdzie mówi. Zadowolona?

– Tak. Przepraszam cię. Przez chwilę pomyślałam, że to może ty. Wybacz mi. Przecież nie zrobiłbyś czegoś takiego naszym przyjaciołom. Naprawdę cię przepraszam – mówi zawstydzona Marta.

27

W Chwalimiu, tak samo jak w innych częściach Niemiec, młodzież należąca do Hitlerjugend niezależnie od wieku i płci robi wszystko, żeby uczcić pięćdziesiąte urodziny Adolfa Hitlera. Z okazji okrągłego jubileuszu dzień dwudziestego kwietnia 1939 roku został uznany za święto państwowe. Główne uroczystości z udziałem delegacji zagranicznych, przedstawiciele młodzieży i wojska odbędą się w Berlinie, ale każda, nawet najmniejsza wieś stara się, żeby i jej hołd składany Wodzowi został zauważony.

– *Daleś nam swoją dłoń i spojrzenie, od których jeszcze teraz serca drżą młode*^[27]... Znowu zapomniałam! – Tila prostuje plecy i siada na piętach. – Jak mam się nauczyć wiersza, kiedy mama wciąż każe mi coś robić!

– Dziewucho, przecież ty jesteś gościem w domu. – Janka tym razem nie zamierza brać strony ulubienicy. – Mama to święta kobieta. Nie wiem, kiedy ostatnio gdzieś nie leciałaś. A to próba akademii, a to trening biegania, a to heimatabend. Chwasty rosną, mnóstwo innej roboty, a ciebie nigdy nie ma.

– Dlatego wstałam wcześniej, żeby ci pomóc, a ty, ciociu, jeszcze na mnie krzyczysz – marudzi rozkapryszona dziewczyna.

– Nie krzyczę, tylko tłumaczę, że nie masz na co narzekać. Najważniejsze obowiązki są tu, w gospodarstwie. Wszystko inne może być wtedy, gdy zrobisz swoje.

– Ciociu, ja wiem, że wy z mamą tego nie rozumiecie, ale dla mnie ojczyzna

jest najważniejsza, nie gospodarstwo.

– Tila, ucz ty się lepiej wiersza.

– Kiedy nie pamiętam, a nie wzięłam kartki.

– *W godzinie tej potężne życie...* – podpowiada Janka.

– Ciociu, ty to znasz?

– Nauczyłam się przy tobie. Mamrocześ bez przerwy. Na pewno Lotte już umie i krowy też.

Tila wraca do wkuwania wiersza na pamięć. Jednocześnie pikuje sadzonki sałaty. Janka robi to samo i raz po raz podpowiada dziewczynie. Kiedy cała sałata stoi w ziemi w równych rzędkach, Tila umie wyrecytować wszystko bez zająknięcia. Kończą wiersz razem. Tila uroczyście, Janka z pobłażliwym uśmiechem: *...wierzymy w ciebie całą duszą, bo tyś przyszłością Niemiec, ty jedyny!*

Spiesząc się na popołudniową próbę akademii, Matylda ledwie ma czas, żeby zająć po Rosinę. Przyjaciółka, która dotąd traktowała zbiórki BDM jak błogosławieństwo, bo tylko wtedy mogła oderwać się od obowiązków w domu, tym razem idzie niechętnie.

– Rosi, przecież twoja rola w sztuce jest bardzo ważna. Uważam nawet, że najważniejsza.

– Tak? To zamień się ze mną.

– Ja nie gram w spektaklu. Pani Kisch wyznaczyła mnie do wiersza i do chóru.

– Ja też mogę mówić wiersz. A pieśni śpiewam tak samo dobrze jak ty – Rosina odpira argumenty Tili.

– Ale ja nie wyglądam tak jak ty. Masz ciemne oczy i włosy. Nie trzeba cię nawet przebierać. Tylko trochę się pobrudzisz.

– Uważasz, że jestem podobna do Żydówki? – Rosina nawet nie próbuje ukryć, jak bardzo zabołały ją słowa przyjaciółki.

– Nie! Nic podobnego. Źle mnie zrozumiałaś. Ojej! Nie obrażaj się. Mnóstwo ludzi ma takie włosy i nie są Żydami.

Tila cieszy się, kiedy wreszcie wchodzi do restauracji Röhra, gdzie na scenie w dużej sali odbywają się przygotowania do akademii. Nie przeszkadza jej nawet obecność pani Heckman, która z braku zajęć, a może z bezinteresownej życzliwości dla Führera przyszła doradzać i instruować występującą młodzież. Natomiast reżyserka całego przedsięwzięcia pani Kisch tym razem irytuje się z powodu nieustannych ulepszeń wprowadzanych przez koleżankę. Próba trwa kilka godzin. Rosina bardzo dobrze wczuwa się w rolę Żydówki, która, przygarnięta przez naiwnych rodziców małego chłopczyka, odplaca się za ich dobroć tak, że okrada ich, a potem porywa i morduje dziecko. Wiersze i pieśni są doskonale wyćwiczone, więc i ta część przebiega bez potknięć. Na koniec wystąpią

jeszcze chóry – męski z pieśniami wojskowymi i patriotycznymi oraz żeński – z piosenkami ludowymi. Ale dorosłych nie ma. Oni przychodzą wtedy, kiedy mają czas. Marta i Janka wystąpią z innymi kobietami i zaśpiewają dwa utwory.

Akademia zaplanowana jest na zakończenie obchodów urodzin Führera, to znaczy na niedzielę. Dwudziesty kwietnia przypada w czwartek. Wtedy drużyny najstarszych chłopców zaczną rywalizację na cześć Wodza w różnych dyscyplinach lekkoatletycznych na stadionie w Unruhstadt. Następne dni będą należały do młodszych chłopców i dziewcząt. W piątek w nowej sali pimpfy rozegrają turniej piłki ręcznej, a na zewnątrz, na stadionie dziesięciolatkowie pobiegą między innymi na sześćdziesiąt metrów, a starsi w przełajach na tysiąc pięćset metrów. Sobota należy do dyscyplin militarnych. Zarówno chłopcy, jak i dziewczęta wezmą udział w biegach na orientację, a po południu odbędą się drużynowe zawody w strzelaniu z karabinka małokalibrowego. Wieczorem przed pomnikiem poległych w Altleben chłopcy nowo przyjęci do Jungvolku złożą przysięgę.

Ranek dwudziestego kwietnia jest wyjątkowo piękny. Nocą spadł pierwszy ciepły deszcz. Powietrze pachnie wiosną, rozkwitają kwiaty, a zieleń jest świeża i jasna. Mädelchaftsführerin mówi dziewczętom, że nawet przyroda w ten sposób składa hołd Führerowi. Wszystkie są wzruszone. Zdyscyplinowaną grupą w strojach organizacyjnych podążają do Unruhstadt, gdzie nastąpi uroczyste rozpoczęcie obchodów pięćdziesiątych urodzin Wodza. Wzdłuż całej Züllichauer Straße postawiono maszty. Teraz łopocą na nich nazistowskie flagi. Dziewczęta przechodzą między nimi niczym czerwoną aleją. W witrynach wszystkich sklepów i w większości okien prywatnych domów wystawiono portrety Hitlera udekorowane kwiatami i zielonymi gałązkami. W czerwieni tonie ratusz. Tak wspaniale miasto nie wyglądało nigdy. Po przemówieniach młodzi ludzie tłumnie maszerują na stadion, gdzie rozpoczynają się zawody lekkoatletyczne na cześć Adolfa Hitlera.

Piątkowe biegi przełajowe dla starszych, czyli dwunasto- i trzynastoletnich chłopców z Jungvolku odbywają się w chwalimskich lasach. Trasa wiedzie stromym południowym zboczem doliny Schwentesee, spacerową alejką wokół jego brzegów, potem przez pofałdowany, pełen wzniesień i dolinek teren, gdzie rośnie sosnowy las, po czym zawraca do mety przy restauracji nad wodą. Punkty za szybkie i prawidłowe pokonanie dystansu przyznawane są zespołowi. Nie ma indywidualnej rywalizacji. Liczy się wynik całej grupy.

Karl Holzer jest kameradschaftsführerem grupy pimpfów od pół roku. Wcześniej prowadził ten zespół Emil. Karl źle ocenia metody pracy poprzednika. Uważa go za wiejskiego amatora, który nie ma pojęcia o dowodzeniu i tworzeniu silnych, zwartych zespołów. Na przykład nie pojmuje, jak Emil mógł wziąć do swej grupy kogoś takiego jak Franz Klenke. Wiadomo, że ponad dwa lata temu

przyjęto do Jungvolku prawie sto procent chłopców w wieku dziesięciu lat. Całe klasy się zapisywały. Przemycił się też Franz. Normalnie nie zdałby egzaminu sprawnościowego, który składał się z trzech konkurencji: biegu na sześćdziesiąt metrów w czasie co najmniej dwunastu sekund, skoku w dal na dwa metry i siedemdziesiąt pięć centymetrów i rzutu piłeczką palantową na minimalną odległość dwudziestu pięciu metrów. Przez ostatnie tygodnie Karl robił wszystko, żeby Franz zrezygnował, ale chłopak jest uparty. Nic nie dały kpiny, nastawianie przeciw niemu innych członków drużyny, a nawet dodatkowe ćwiczenia, które musiały być dla otyłego chłopca udręką. Karl jest wściekły, bo wie, że z Franzem nie ma żadnych szans na wygraną. Może ćwiczyć z chłopcami do upadłego, a ten niezdara wszystko zepsuje.

Sygnał startu. Ruszyli. Zniknęli z oczu, bo zbiegli w dół stromym zboczem porośniętym mieszanym lasem. Pewnie są już na brzegu jeziora, a Karl widzi jeszcze sylwetkę ostatniego zawodnika. To oczywiście Franz. Biegnie ciężko, a grube uda trzęsą się i ocierają jedno o drugie. Wreszcie i on niknie za krawędzią doliny.

Po długich chwilach wyczekiwania na mecie przy restauracji pojawiają się pierwsi biegacze. Ich czas jest skrupulatnie zapisywany. Opiekunowie grup prowadzą też własne notatki. „Moi już są. Byłby świetny wynik – myśli Karl. – Nie na darmo dawałem im w kość. Jak nic wygralibyśmy, gdyby nie Franz. Tylko że grubasa ani śladu. Pewnie wlecze się gdzieś i dobiegnie ostatni”. Są już wszyscy zawodnicy poza jednym. Karl czerwony ze wstydu i gniewu czeka. Wreszcie sędzia, zniecierpliwiony przedłużaniem zawodów, ogłasza zwycięstwo drużyny z Unruhstadt.

Impreza się kończy, a Franza dalej nie ma. Musiało się coś stać, bo w czasie, który upłynął, trasę można przejść spacerkiem. Pan Lorenz zarządza poszukiwania. Najpierw przepytują zawodnicy, gdzie ostatnio widziany był chłopak. Okazuje się, że nikt nie pamięta, wobec tego trzeba sprawdzić cały szlak. Nic. Franza nie ma. Mijają godziny. Zakres poszukiwań rozszerza się. Może zabłądził w lesie? Zaczyna się ściemniać. Kilku chłopców biegnie do wsi dowiedzieć się, czy zawstydzony nie wrócił prosto do domu. Nie, nie wrócił. Zjawia się przerażona matka. Przyjeżdża policja. Zapada noc. Poszukiwania zostają przerwane do rana. Pierwszym pociągiem z Züllichau przyjeżdża oddział wojska. Zaczynają od miejsca, gdzie Franz był widziany po raz ostatni, czyli od zalesionego zbocza doliny. Schodzą tyralierą o szerokości stu metrów.

Znajdują go dość szybko. Leży skulony na boku, jakby spał, na zbutwiałych liściach w zagłębieniu niedaleko restauracyjnej lodowni. Skąd się tu wziął? Może zrobiło mu się słabo i nie wiedział, dokąd idzie, albo zemdłał i się stoczył? Tego już nikt się nie dowie. Lekarz stwierdził, że Franz umarł na serce.

Przedpołudniowe biegi na orientację odwołano. Po południu na strzelnicy

Karl nie potrafi się skoncentrować. Raz po raz chybia. Koledzy mu współczują. Wiedzą, że jest bardzo dobrym strzelcem, ale dziś przecież przeżywa śmierć swego podopiecznego.

Kiedy zapadł zmrok, na placu wokół pomnika poległych ustawiły się grupy chwalimskiej młodzieży należącej do Hitlerjugend. Każdy trzyma w ręku zapaloną pochodnię. Przy dźwięku werbli zostaje wprowadzony sztandar. Poczet ustawia się przed frontem pomnika. Przybyły z Grünbergu oberbannführer wygłasza mowę do chłopców, którzy mają być przyjęci do Jungvolku. Później grupa dziesięciolatków wychodzi na plac. Jeden z nich bierze do ręki róg pochylonego sztandaru i w blasku pochodni, w majestacie zrywającego się do lotu kamiennego orła składają przysięgę: *Przyrzekam zawsze wypełniać swoje obowiązki, z miłością i wiernością wobec Führera i naszego sztandaru. A potem jeszcze równo recytują: Chłopcy z Jungvolku są silni, milczący i wierni. Chłopcy z Jungvolku są kolegami. Najwyższą wartością chłopca z Jungvolku jest honor*^[28]. Oberbannführer wręcza każdemu finkę z inskrypcją: *Mój honor zwie się wierność*. Teraz, po wielu miesiącach przygotowań fizycznych i ideologicznych, są prawdziwymi członkami Deutsches Jungvolk. Na koniec cała młodzież śpiewa pieśń *Ślubujemy Hitlerowi wierność aż po grób* i chyba nie ma w takiej chwili nikogo, kto nie czułby się członkiem wielkiej wspólnoty i nie byłby gotów umrzeć za Führera.

Uroczyście tak wyjątkową i podniosłą psuje śmierć Franza Klenke. Pan Lorenz zwrócił się więc do Karla Holzera, aby ten, jako bezpośredni dowódca chłopca, powiedział o nim parę słów. Dlatego po ceremonii przyjęcia nowych członków na środek wychodzi Karl. Twarz o szlachetnych rysach, blond włosy, mundur, wysoka wysportowana sylwetka robią wrażenie nie tylko na dziewczętach. Oto stoi przed nimi zasmucony, poważny, cierpiący. – Spotkała nas ogromna tragedia – mówi. – Straciliśmy kolegę i przyjaciela. Poznałem Franza Klenke pół roku temu, kiedy powierzono mi obowiązek poprowadzenia kameradschaftu złożonego z czternastu chłopców z Altreben. Franz był wśród tych dzielnych młodzieńców postacią wyjątkową. Kiedy zostałem jego dowódcą, zwierzył mi się, że jego marzeniem jest stać się godnym słów Führera. Chciał być zwinny jak chart, wytrzymały jak rzemień i twardy jak stal od Kruppa. Zналиście Franza. Natura nie obdarzyła go ciałem sportowca. Był ciężki, powolny i szybko się męczył. Nieraz, podczas szczególnie forsownych ćwiczeń, kiedy widziałem, jak dyszy i pot spływa mu z czoła, w obawie o jego zdrowie mówiłem, żeby zwolnił, odpoczął. Tłumaczyłem, że najważniejsze jest dążenie do zwycięstwa, nie musi być najlepszy. Ale on nie słuchał. Chciał pokonać niemoc swego ciała. Zwracam się do was, nowi członkowie Hitlerjugend! Niech jego wola walki, determinacja i nieugiętość w dążeniu do celu będą dla was przykładem. Bądźcie jak Franz! Przewyciężajcie własne słabości! Walczcie do ostatniego oddechu w piersiach jak wasz kolega! A jeśli będzie trzeba, tak jak on umrzyjcie w służbie Ojczyzny!

Tila wraca do domu sama. Kiedy przed uroczystością zaszła po Rosinę, okazało się, że jej matka prawdopodobnie będzie rodzić. W kuchni na piecu w dużych garnkach grzała się woda, a akuszerka przywieziona z Unruhstadt krzątała się przy pani Petras. Rosina zabrała bliźniaczki i poszła z nimi do ciotki. Tila miała nadzieję, że mimo wszystko jutro przyjaciółka wystąpi w przedstawieniu.

Samotność wcale nie przeszkadza dziewczynie. Przeciwnie, pozwala rozpamiętywać minione chwile, a przede wszystkim moment, kiedy Karl mówił o Franzu. Stał tam taki piękny i smutny, a w jego oczach odbijały się płomienie pochodni. Czowała się, jakby ją zaczarował. Teraz idzie wolno, by mieć jak najwięcej czasu na rozmyślanie. Mija właśnie dom Wilhelma Deutschmanna, kiedy słyszy zbliżające się szybko kroki i odwraca się niechętnie. Jednak na widok Karla jej twarz rozjaśnia uśmiech.

– Nie wierzyłem, że cię jeszcze dogonię – mówi zdyszany chłopak. – Zostałem na chwilę ze swoim kameradschaftem. Wiesz, śmierć kolegi bardzo nimi wstrząsnęła.

– Domyślałam się – mówi dziewczyna ze współczuciem. – Ale ty tak pięknie o nim powiedziałaś. Jeżeli Franz gdzieś to słyszał, na pewno pomyślał, że dla tych słów warto było umrzeć.

– Nie przesadzaj. Każdy by tak potrafił. – Karl skromnie spuszcza wzrok.

– Ja na pewno nie!

– Ty nie musisz. To na mężczyznach spoczywa obowiązek żegnania swoich towarzyszy. Kobiety przeznaczone są do czegoś innego.

– Wiem. Jak skończyłam szkołę w ubiegłym roku, mama powiedziała, że nie muszę się dalej uczyć, bo mi to do niczego niepotrzebne. Mam umieć prowadzić gospodarstwo, bo wszystko odziedziczę. Na heimatabendach mädelschaftsführerin tłumaczy nam, że przeznaczeniem dziewcząt jest bycie matkami, odpowiednie wychowanie dzieci i prowadzenie domu, żeby mężczyzna mógł bez przeszkód poświęcić się pracy dla Niemiec.

– A ty co o tym myślisz?

– Nie wiem. Pomagam mamie w domu i na polu, ale nie chciałabym tego robić do końca życia. Tata namawiał kiedyś mamę, żebyśmy przeprowadzili się do babci do Berlina. Miasto podoba mi się bardziej, ale mama nawet nie chce o tym słyszeć.

– Zastanawiałaś się, co mogłabyś robić w mieście?

– Tak. Lubię zajęcia z pierwszej pomocy lekarskiej. Może mogłabym być pielęgniarką.

Daleko od strony Unruhstadt widać zbliżające się światła samochodu. Tila, jakby nagle obudzona, rozgląda się i szepcze:

– Karl, nie mogę tak stać z tobą. To nie wypada. Poza tym ktoś może

zobaczyć i powiedzieć mamie. Dopiero bym się nasłuchała.

– Tak jak wtedy zimą? – śmieje się chłopak.

– A żebyś wiedział. Przez tydzień mama prawila mi kazania.

– Dobrze, idź do domu, ale chciałbym się z tobą spotykać.

Tila jest szczęśliwa, nie tylko dlatego, że w ciemnościach nie widać jej rumieńców. Kiedy ciężarówka jest już blisko, chowają się za pnem drzewa.

– Nie mogę się z tobą widywać. Mam dopiero piętnaście lat. Mama by mi nie pozwoliła.

– To kiedy znowu cię zobaczę?

– Na akademii. Mówię wiersz.

– Przyjdę tylko po to, by ciebie usłyszeć.

Tila odwraca się na pięcie i rusza w kierunku furtki. Czuje, jakby miała skrzydła u ramion. Nie chce jeść kolacji ani z nikim rozmawiać. Czym prędzej idzie do swojego pokoiku, kładzie się do łóżka i marzy, patrząc w okno na rozgwieżdżone niebo.

28

Świeżo podkute kopyta Lotte miarowo stukają o asfalt. Wczoraj Marta wybrała się do kuźni Heinricha Kluge i zafundowała klaczy nowy komplet podków. Teraz wraca z Unruhstadt. Musiała zasięgnąć rady weterynarza, a przy okazji sprzedała nieco rzodkiewki, sałaty i młodej marchewki, ale nie na straganie, bo na razie nie ma czasu ani motywacji do takiego handlu, tylko odwiedzając znajomych klientów. Władze do tego stopnia ograniczyły możliwości sprzedawania mięsa, jajek i przetworów mlecznych na wolnym rynku, że Marcie nie opłaca się stać godzinami, żeby zarobić parę marek. Mleko prawie w całości musi oddać do mleczarni, niewiele zostawiając na własne potrzeby, a jajka, świnię, zboże i kartofle sprzedaje w punkcie Stanu Żywieli Rzeszy. Co prawda zawsze zalegają z zapłatą, ale nie musi martwić się o zbyt.

Pogoda jest wyjątkowo piękna. Kwiecień obdarzył ludzi ciepłem i spokojnymi deszczami, po których powietrze pachnie wiosenną świeżością, a wszystko wokół nabiera żywych barw. Koń ciągnie wóz leniwie, ale Marta go nie pogania. Myśli o Ernście, mężu Heleny Kliem. Mało kto tak jak on kochał piękno natury i właśnie teraz, kiedy zrobiło się ładnie, umarł. „Ciekawe, czy tam, gdzie trafiła jego dusza, też rozkoszuje się wiosną?” – zastanawia się pani Neumann.

Ciągnące się po prawej stronie szosy łagodne wzgórze zaczyna się kilka kilometrów przed Unruhstadt, tam, gdzie granica podzieliła rodzinną ziemię na część polską i niemiecką. Potem biegnie ku zachodowi, osłaniając nieco Unruhstadt i Chwalim przed północnym wiatrem, a kończy tuż za Schwentesee położonym na krańcu wsi. Między miasteczkiem a wsią wzniesienie porośnięte jest ciemnozieloną oziminą, kwitnącymi sadami i pozostałymi gdzieniegdzie

po dawnych czasach winnicami. W dali, na wzgórzu za domem emerytowanego nauczyciela Wilhelma Reetza i w winnicach Kaspera i Alberta Malchera, Marta widzi uwijających się ludzi. „Co tam robią? – zastanawia się. – Przecież głowy winnych krzewów powinni byli odkopać co najmniej dwa tygodnie temu. Może sprawdzają paliki albo je uzupełniają? Tak, na pewno”. Cieszy się, że ona ma ten etap za sobą.

Jesiony tworzące przy szosie aleję nie mają jeszcze liści, więc słońce bez przeszkód dociera w każdy zakątek przydrożnych rowów. Po lewej stronie w dół ku rzece schodzą łąki i pastwiska. Stada biało-czarnych krów gospodarza z Unruhstadt Wintzlera już skubią bujnie odrosłą po zimie trawę. Nie wrócą do obory aż do jesieni. Tu na pastwisku będą dojrone, pojone i dokarmiane. Stojąca nieco dalej wiata da im schronienie przed deszczem.

Wóz mija pierwsze po lewej stronie zabudowania. To restauracja albo inaczej gospoda u Rauscha. Wejścia do niej strzegą dwie dorodne lipy. Z tyłu widać budynki gospodarcze i rozległy ogród. Nieco z boku mnóstwo drewnianych klatek dla królików. W miejscu, gdzie aleja się kończy, Martę uderza zapach bzów. W tym roku kwitną trochę wcześniej niż zwykle. Krzewy tworzą rodzaj wysokiego, ciągnącego się na przestrzeni pół kilometra żywopłotu. Gałęzie uginają się pod ciężarem jasno- i ciemnofioletowych kiści. Co jakiś czas pachnący szpaler ulega przerwaniu. To wjazdy na posesje. Dzięki temu można zobaczyć położone w głębi zadbane ogrody kwiatowe, o tej porze roku pełne różnokolorowych tulipanów, niezapominajek i bratków, a dalej rzędy sałaty, młodej marchewki, pietruszki, szczypioru i rzodkiewki. Bogactwu woni i barw towarzyszy radosny świergot ptaków. „Nie ma piękniejszego miejsca na ziemi – myśli wzruszona. – Nigdzie nie będę szczęśliwsza niż tu”.

Na widok wracającej z miasta kuzynki Janka porzuca pracę w ogrodzie, pospiesznie myje ręce pod pompą i sprawnie wyprzęga Lotte.

– Gdzie Tila? Miała ci pomagać. – Marta z gniewnie zmarszczonymi brwiami rozgląda się po podwórzu.

– Kazałam jej iść do Rosiny – spokojnie wyjaśnia Janka.

– Po co? I tak za dużo tam przesiaduje.

– Mówiła, że Rosina nie może dojść do siebie po śmierci braciszka.

– Bóg dał, Bóg wziął – wzdycha Marta. – Nic Rosinie do tego. Dziecko urodziło się słabe, to i nie przeżyło.

– Tila mówiła, że ona myśli, że to przez nią.

– A cóż to znowu za pomysły?

Kobiety wchodzą do kuchni. Marta rozpakowuje zakupy, a Janka rozpala w piecu, bo czas gotować obiad. – Podobno Rosina – tłumaczy Janka – wcale się nie cieszyła, że matka ma urodzić jeszcze jedno dziecko. Żaliła się Tili, że chyba nigdy nie odpocznie. Ledwie bliźniaczki trochę podrosły, a już będzie niańczyć

następne.

– I dlatego uważa, że przez nią to dziecko zmarło?

– Chyba tak.

– To bez sensu. Ktoś powinien z nią porozmawiać. Może poprosić pastora? –

Marta zastanawia się głośno.

– Dlatego na razie kazałam iść tam Tili. Niech trochę z nią posiedzi. Maria sama jest przygnębiona, to pewnie nie zwraca uwagi na Rosinę.

– Dobrze zrobiłaś. Sama ci pomogę w ogrodzie. Zobacz, Janko, jaki ten kwiecień dziwny... Z jednej strony pogoda łaskawa jak rzadko kiedy, a z drugiej tyle tragedii ludzi spotkało. Najpierw ten nieszczęsny chłopak nad jeziorem, potem dziecko Petrasów, a na koniec Ernst. Nie pamiętam tylu pogrzebów w jednym miesiącu, i to w niespełna dziesięć dni!

– Marto, chciałam ci powiedzieć coś jeszcze... – Janka jest trochę speszona.

– Gustav oświadczył mi się w Wielkanoc.

Marta wydaje się kompletnie zaskoczona, mimo że już od dawna coś przeczuwała.

– Czemu tak długo nic nie mówiłaś? Przecież od Wielkanocy minęły już trzy tygodnie.

– Namyslałam się.

– Nad czym tu rozmyślać? Po co ci taki stary chłop, w dodatku bez ręki?

– Gustav jest starszy ode mnie o czternaście lat. Ernst był starszy od Heleny o trzydzieści. A jakim dobrym byli małżeństwem.

– Chyba się nie zgodziłaś?! – Marta po raz pierwszy wzięła taką możliwość pod uwagę.

– Jeszcze mu nie dałam odpowiedzi, ale dzisiaj zdecydowałam. Wyjdę za niego – mówi Janka zaczepnym tonem.

– Zwariowałaś! Źle ci u nas? Przecież on nie ma nic prócz tej chatki na końcu wsi i gołębi. Nie bądź głupia! Żona mu zmarła, to potrzebuje kogoś do prania i sprzątania.

– A ty potrzebujesz mnie do czegoś jeszcze?

– Co? – Marta nie rozumie, o co Jance chodzi.

– Pytam, do czego tobie jestem potrzebna? Piorę, sprzątam, zajmuję się gospodarstwem, chodzę w pole.

– Przecież nie robisz tego za darmo. Opłacam ci ubezpieczenie, a oprócz tego daję ci co miesiąc trzydzieści marek. Masz dach nad głową i wyżywienie.

– Nie myśl, że narzekam. – Nagle oczy Janki zapełniają się łzami. – Ale sama widzisz, że i u was jestem tylko wyrobnicą.

– To nieprawda! – Marta nawet nie wie, że krzyczy. – Należysz do rodziny. Jesteś moją kuzynką! I... Tila cię kocha!

– Wiem. Dlatego tak długo się zastanawiałam i nie myśl, że nie jest mi

ciężko, ale bardzo lubię Gustava, lubię z nim rozmawiać, słuchać, jak opowiada o gołębiach, śmiać się z jego żartów. Mam czterdzieści sześć lat i żadna ze mnie Zarah Leander^[29]. Więcej okazji nie będę miała, żeby zostać gospodynią.

– Gospodynią! W chatce z ogródkiem! Przecież tam nawet pola nie ma.

– Zapominasz, że to rodzinny dom twojej matki. Nie mów o nim z taką pogardą. Kolejny powód – ciągnie Janka już spokojniej – to Helena i jej mąż. Kiedy Ernst umarł, Helena powiedziała mi, że jest szczęśliwa, że kiedyś za niego wyszła. A mogła to zmarnować, przestraszyć się różnicy wieku i tego, że to wdowiec, ale na szczęście dobrze wybrała. Pomyślałam sobie, że może teraz ja mam szansę.

– I coś jeszcze? – pyta Marta bezbarwnym głosem.

– Nie, właściwie już nic.

– Czuję, że to nie wszystko. Mów! – nakazuje Marta.

– Dobrze, ale pamiętaj, że sama tego chciałaś. Dzisiaj, jak rozmawiałam z Tilą o Rosinie, powtórzyła mi, co kiedyś powiedziałaś jej o najstarszych dziewczynkach w rodzinie, że mają najgorzej, bo to one muszą opiekować się młodszym rodzeństwem.

– Tak. Mówiłam jej o Lisie. Ona też zajmowała się mną i Wilhelmem. Co to ma do rzeczy?

– Właśnie. Widzisz, uderzyło mnie to, że ty w ogóle nie pamiętasz o mnie. – Janka znowu traci spokój. – Gdy twoja babcia Anna przywiozła mnie do was, miałam dziewięć lat. Lisa była młodsza. Zapomniałaś, że to ja przez długi czas opiekowałam się wami, nie Lisa. Ona może później, kiedy ja byłam już dość duża, żeby robić w polu. Jak Tila to powiedziała, zrobiło mi się strasznie przykro, że nie jestem dla ciebie nawet tyle warta, żeby o mnie pamiętać.

– A tak, przypominam sobie. – Marta traci pewność siebie. – Nie wiem, dlaczego wyleciało mi to z głowy.

– Ale ja wiem! Nigdy nie byłam twoją siostrą, tylko przygarniętą z łaski sierotą. Teraz wreszcie mogę mieć swój dom i być dla kogoś najważniejsza. Rozumiesz? Chcę mieć swój dom! Ten jest twój! Ja nie jestem tu u siebie i nigdy nie będę. Wyjdę za Gustava, czy tego chcesz, czy nie! – wykrzykuje Janka i ze szlochem wybiega z kuchni.

Do końca dnia w domu panuje grobowa atmosfera. Tila niczego nie może się dowiedzieć od zapłakanej ciotki. Matka też milczy jak grób. Walter wie od żony o wszystkim, ale nie rozumie jej poruszenia. Przeciwnie, gdyby go nie powstrzymała, ruszyłby do Janki z gratulacjami.

Marta czuje się z tą sytuacją coraz gorzej. Wciąż myśli o słowach Janki, wszystko jej leci z rąk, nie może się skupić na żadnej pracy. Nawet codzienna lektura Biblii nie przynosi ukojenia. Wreszcie cicho puka do drzwi pokoiku na poddaszu. Słyszac płaczliwe przyzwolenie, wchodzi i przysiadła na łóżku obok

przygarbionej, znękaney zmartwieniem kuzynki. – Już dobrze – mówi z rezygnacją.
– Wszystko rozumiem. Przepraszam.

– To nie gniewasz się na mnie? – W oczach Janki znowu pojawiają się łzy, a piegowaty nos czerwienieje jeszcze bardziej.

– Nie. Nie gniewam się i nie mam do ciebie żalu. To ty mi wybacz, że myślałam tylko o sobie. Z całego serca życzę ci, żebyś była szczęśliwa.

– O Przenajświętsza Panienko! Dziękuję ci! – Janka z otwartymi ramionami rzuca się w kierunku Marty. Ta z początku nie wie, co zrobić z tak nieoczekiwanym wybuchem czułości, ale wyciąga ręce i obie tulą się do siebie. Płaczą i śmieją się na przemian.

Zaczęła się ciepła majowa noc. W suchym powietrzu przesyconym zapachem kwitnących zbóż w sadzie Neumannów pod starą jabłonią siedzą na trawie dwie postacie. Tila wyszła z domu tylko na chwilę. Powiedziała matce, że pobiegnie sprawdzić, czy u Rosiny wszystko w porządku, a Karl przeskoczył przez płot od strony ulicy i czekał na nią w umówionym miejscu.

– Zastanawiam się, co robić dalej – chłopak kontynuuje zaczęłą przed chwilą rozmowę. – Niedługo kończę szkołę w Züllichau. Powinienem już na siebie zarabiać, ale bardziej pociąga mnie praca partyjna. A i pan Lorenz namawia mnie, żebym poszedł na kurs dla dowódców Hitlerjugend. Co mi radzisz?

„Dlaczego on mnie o to pyta? Skąd ja mam wiedzieć? Chyba sobie ze mnie żartuje?” – dziwi się w myślach Tila. – Nie wiem – mówi głośno. – Wybierz to, co ci najbardziej odpowiada. Szkoda, że ja tak nie mogę.

– Czemu?

– Już ci mówiłam. Jestem jedynaczką. Muszę zostać na gospodarstwie.

– Współczuję ci. Mnie ta wieś denerwuje. Przecież tu nic nie można zrobić jak należy. W Züllichau, kiedy wstąpiłem do Hitlerjugend, nie było mowy o nieobecności na zbiórkach. Tutaj, nieważne, czy to sobota, czy środa, wciąż ktoś jest nieobecny. Bywa, że nie ma połowy grupy. I z kim tu prowadzić zajęcia!

– Wiem. U nas też tak jest. Mädelchaftsfürerin zagroziła, że jak to się nie zmieni, rodzice najczęściej zwalnijący córki zapłacą grzywnę.

– Może to by ich czegoś nauczyło. Wiesz, że moje pimpfy, które za rok przejdą z Jungvolku do prawdziwego Hitlerjugend, ledwie umieją wymienić najważniejsze daty z życia Führera, że o innej wiedzy nie wspomnę. Na strzelanie albo na biwak to chętnie, ale nic poza tym, bo czasu nie mają. W gospodarstwie muszą pomagać! – Karl pogardliwie krzywi wargi.

– U nas to nawet na wycieczkę do Grünbergu trudno zebrać komplet. Za tydzień miałyśmy jechać pociągiem, ale chyba nic z tego nie będzie. Mnie nie zależy, bo jeżdżę tam do cioci, ale niektóre koleżanki nosa nie wytknęły poza Unruhstadt.

– I co, nie chcą jechać? – nie może pojąć Karl.

– Chcą, ale mówią, że rodzice nie dadzą pieniędzy na głupstwa.

– No i sama widzisz. Nie ma co siedzieć na wsi. Chłopi widzą tylko swój kawałek pola i nic poza tym. Z nimi nie zbuduje się potężnej Rzeszy.

– Ja muszę tu zostać. Nie mam wyboru.

– Jeszcze zobaczymy. Taka ładna dziewczyna jak ty nie może marnować się przy krowach – przymila się chłopak.

– Ciii... Ktoś idzie.

Milkną, usiłując dojrzeć w ciemności, czyje kroki usłyszeli na szosie.

– To tylko landwache^[30] – uspokaja Karl. – Nie zobaczą tu nas ani nie usłyszą. Dziś mój ojciec ma służbę.

– Mój miał wczoraj. Powiedz, po co oni chodzą po nocy? Kiedyś tak nie było.

– Niedaleko jest granica z Polską. Jeśli jakiś Polak chciałby podpalić u nas gospodarstwo albo coś ukraść, to te kilka kilometrów nie stanowi żadnej przeszkody.

– Dlaczego mieliby tak robić? Nie pamiętam, żeby Polacy u nas kradli.

– Nigdy nie wiadomo. Nie ufaj im. Lepiej dmuchać na zimne. Ostatnio są bardzo nieżyczliwi naszemu państwu.

– Janka jest taka jak zawsze – broni ciotki Tila.

– Twoja ciotka to Polka? – Karl jest wyraźnie zaskoczony.

– Jej ojciec był Polakiem. Dlatego nazywa się Kaczmarek. Matka pochodziła stąd, z Altreben, i była Wendyjką.

– Ach tak... – Chłopak głęboko zastanawia się nad czymś. – A ten stolarz, który mieszka niedaleko szkoły, Georg Neumann, to też wasza rodzina?

– Nie. Skądże by. Przecież tatuś pochodzi z Berlina. Słuchaj, ja już muszę iść. Mama zaraz zacznie mnie szukać.

– Dobrze, idź. Ale spotkamy się znowu? – Karl mimo ciemności próbuje spojrzeć Tili w oczy.

– Tak. Tylko, żeby mama się nie dowiedziała.

Janka i Marta już od dwóch tygodni spędzają wieczory w pokoju po drugiej stronie korytarza. Prócz innych mebli stoi tam maszyna do szycia. I właśnie to sprawia, że wyjątkowo nie kuchnia, a ten pokój jest miejscem, w którym ostatnio najczęściej przebywają kobiety. Zamknęły drzwi do sąsiedniego pomieszczenia, bo tam przesiaduje Walter. Wraca z pracy, przebiera się, pospiesznie zjada posiłek i idzie do swojego gabinetu, gdzie przechowuje przyniesione z pracy papiery. Coś pisze, liczy, a głównie słucha radia. Odbiornik zwany volksempfängerem kupił w ubiegłym roku po bardzo przystępnej cenie, zapłacił tylko siedemdziesiąt sześć marek. Z początku nabytek go rozczarował, bo prócz cyklicznie nadawanych wiadomości z odbiornika płynęła muzyka poważna, a Walter nie zalicza się do jej miłośników. Szczególnie trudne do zniesienia są dla niego utwory Wagnera. Jednakże teraz znajduje więcej przyjemności w słuchaniu radia, bo częściej niż poprzednio transmitowane są przemówienia Hitlera, Goebbelsa i innych przywódców partyjnych. Coraz ciekawsze są też informacje związane z polityką zagraniczną. Sukcesy Rzeszy na tym polu robią wrażenie. Jedyne kłopotem sprawia Polska. Odpowiedź Führera na bezczelne wystąpienie polskiego ministra spraw zagranicznych Becka na początku maja była miażdżąca. Walter jest przekonany, że coś się szykuje. Podobnego zdania są jego partyjni towarzysze oraz mężczyźni z Altreben, z którymi czasem spotyka się na piwie. Nie dalej jak wczoraj

w niewielkim gronie dyskutowali u Androla o tym, co mogą przynieść następne miesiące. Co będzie, jeśli Polska nie zgodzi się na postawione żądania? Rzesza wypowiedziała już pakt o nieagresji, ale przecież nie musi to oznaczać wojny. Może Polacy zmądrzeją i ustąpią. Walterowi wydaje się, że niektórzy mężczyźni ze wsi woleliby wojnę. Ustanowienie granicy w 1919 roku wielu gospodarzy doprowadziło na skraj bankructwa. Do tego czasu Poznań był jednym z głównych odbiorców nie tylko win, ale także winogron i innych owoców oraz warzyw, których uprawa stanowiła podstawę utrzymania mieszkańców Chwalimia. W ciągu dwudziestu lat zmienił się rynek zbytu, a jedno, co niemal całkowicie się skończyło, to winiarstwo. Trudno wyjaśnić właścicielom winnic, że to nie granica spowodowała jego upadek, ale trudne warunki uprawy, wyjątkowa pracochłonność z uwagi na częste przymrozki, słabe gleby i nekające krzewy choroby grzybowe, a na koniec zarządzane przez nazistowski rząd ograniczenie importu, przez co brakuje nawozów sztucznych. Starsi, często najzamożniejsi gospodarze, z rozrzewnieniem wspominają dawne czasy i nie mogą się doczekać, kiedy Hitler przywróci dawny porządek. Wierzą, że wtedy znowu posadzą winorośle i będą robić to, co kochają najbardziej, czyli celebrować produkcję wina. Walter, któremu marzenia miejscowych są w zasadzie obojętne, zabiera głos w dyskusjach jedynie wtedy, gdy dotyczą one ogólnej polityki państwa. Między innymi właśnie dlatego słucha radia. Chce, by jego opinie były w każdym punkcie zbieżne z oficjalną linią partii, inaczej pewnego dnia zobaczyłby na biurku donos na siebie.

Kiedy Walter wygodnie rozparty w fotelu wsłuchuje się w głos Wodza, kobiety rozkładają na stole tkaniny, przykładają do nich wykroje, mydełkiem krawieckim starannie kreślą jasne linie na materiale, tną, fastrygują, szyją. Ślub Janki odbędzie się już niedługo. Narzeczeni uznali, że nie warto tracić tak cennego w ich wieku czasu na długie zaręczyny. Uzgodnili z księdzem datę na koniec czerwca. Gustav zamówił garnitur u chwalimskiego krawca Franza Fadena, a Janka powierzyła krawcowej w Unruhstadt uszycie eleganckiej garsonki. Ale trzeba jeszcze przygotować wyprawę. Dotąd nie przykładła do tego wagi, bo już nie spodziewała się zamążpójścia, teraz, gdy okazało się, jak niewiele posiada, Marta, która czuje się niemal jak matka przyszłej panny młodej, postanowiła własnoręcznie uszyć jej pościel, obrusy, fartuchy i sukienki. Stąd ten pośpiech i wykorzystywanie doby do ostatnich granic. Zostało jeszcze wzięcie miary z Tili, bo przez zimę bardzo urosła i nie ma w czym pójść na ślub. Tylko że dziewczyna wyszła, mówiąc, że koniecznie musi pocieszyć przygnębianą Rosinę. To dlatego dzisiaj jeszcze obszywana jest Janka.

Stuknęły drzwi na korytarzu. Słysząc szybkie kroki na schodach.

- Tila wróciła. Może ją zawołam i zdejmemy miarę – proponuje Marta.
- Nie. Niech idzie spać. Wcześniej rano idziemy na pole – decyduje Janka.
- Zauważyłaś, że ostatnio jest jakaś dziwna, jakby nieobecna?

– Pewnie się zakochała. Ani się obejrzysz, jak będziesz miała wesele córki.
– Daj spokój. Nawet tak nie mów. Tila ma dopiero piętnaście lat! – oburza się Marta.

– Kiedy ty byłaś w jej wieku, też robiłaś się nieobecna. Dobrze pamiętam – śmieje się Janka.

Marta zamyśla się. „Jak miałam tyle lat co Tila, była wojna. Kochałam wtedy kogoś? – Nagle przypomina sobie zielone oczy Manfreda. – Wtedy kochała się w nim Maria, mama Rosiny, a ja... No tak, brzydko się wtedy zachowałam. Najpierw dla zabawy udawałam, że się nim interesuję, potem spodobał mi się naprawdę i przyjąłam jego oświadczyzny. Maria ze smutku wyszła za mąż za kogoś innego, a ja później zostawiłam Manfreda dla Waltera i straciłam przyjaciółkę. Jakie to wszystko zagmatwane”. Czując na sobie badawcze spojrzenie kuzynki, wraca do rzeczywistości. – Przecież Tila nie spotyka się z żadnym chłopcem. Nie pozwoliłabym jej na to!

– Jak będzie chciała, nie zapyta cię o pozwolenie – ostrzega Janka. – Pamiętasz, jak zimą zjawiła się z Holzerem?

– Tylko nie on! Nie podoba mi się ten chłopak.

– Najładniejszy w całej wsi. Łatwo się zakochać. Podobno dziewczęta za nim szaleją. Jak będzie miał taki talent do amatorów jak jego mama, Emma Holzer, muszą się mieć na baczności.

– No właśnie! Coś mi się przypomniało. Nie mówiłam nic, bo nie lubię plotkować. Ale skoro mówimy o Holzerze, to usłyszałam coś u Gabrielów, kiedy czekałam na chleb.

– Co takiego?! Mów! – Janka nie może ukryć zaciekawienia.

– Stały przede mną Kerstin Heckman i ta młoda synowa Griegerów. Wiesz, jaka jest Kerstin. Najpierw wyciągała z dziewczyny wszystko o niej i jej rodzinie, a potem zaczęła opowiadać swoje sensacje. Gdy córki Holzerów wyszły z chlebem, ta oczywiście przyczepiła się do ich rodziny. A to, ile mają dzieci, a to, że wciąż u nich bałagan, ale ona oczywiście rozumie, współczuje, trzeba by pomóc i takie tam. A widać, że jest szczęśliwa, że ma kogo obgadać. Auć! – Marta podnosi do ust palec z wielką kroplą krwi na opuszcze i ssie go, bo nie chce zaplamić tkaniny.

– To o tym chciałaś mi powiedzieć?

– Nie. No zobacz, ukłułam się tak mocno, że krew wciąż płynie.

– Czekaj, przyniosę plaster.

Janka idzie do kuchni i w nagle zapadłej ciszy do uszu Marty dociera odgłos przemówienia Hitlera. Nie rozumie słów, ale domyśla się, że Wódz jest rozgniewany.

Kuzynka opatruje zraniony palec i po chwili Marta może pracować dalej. – Potem Kerstin oświadczyła niby półgłosem, ale tak, żeby wszyscy słyszeli, że ma kuzynkę w tej wiosce pod Züllichau, skąd przyszli Holzerowie – kontynuuje

opowieść gospodyni. – Powiedziała, że Emma za panny służyła w kuchni jako pomywaczka w tamtejszym majątku. Kiedy okazało się, że jest w ciąży, nie chciała powiedzieć z kim. Dziwne to było, że jej od razu nie wyrzucili. Zanim dzieciak się urodził, nie wiadomo skąd zjawił się ten rudy Udo i się pobrali. Tak sobie żyli spokojnie we trójkę. Potem urodziły się dziewczynki, a Udo pracował w warsztacie w majątku. Dopiero kiedy najstarszy, ten paniński Karl zaczął się robić za bardzo do kogoś podobny, to nagle okazało się, że mają pieniądze, żeby kupić dom w Chwalimiu, i się wynieśli.

– To do kogo on jest podobny? – Janka aż się przechyliła w stronę Marty, taka jest ciekawa.

– Do hrabiego! Kerstin powiedziała, że pewnie stara hrabina dała im pieniądze na dom, żeby tylko zniknęli jej z oczu.

– To teraz rozumiem, czemu ten chłopak tak się różni od reszty rodziny!

– Nie powtarzaj tego nikomu. Nie wiadomo, czy to prawda. Nie chcę, żeby ktoś wziął mnie za plotkarę.

– Nie powtórzę, ale jak Kerstin to rozpowiada, to możesz być pewna, że co najmniej połowa wsi już wie.

Nagle otwierają się drzwi do pokoju i staje w nich Walter.

– Jeszcze tu siedzicie? Już prawie północ.

– Idziemy, idziemy. Tylko przesyję maszyną tę fastrygę – odpowiada Marta sennym głosem.

30

– Ciociu, dlaczego ty nie będziesz miała wesela? – dopytuje się Tila, zrywając kolejny bławatek.

– Nie mam rodziców, to kto ma mi je wyprawić? – Janka wcale nie wydaje się zmartwiona.

– Mama z tatą.

– Mają dość wydatków, a ja jestem stara. Po co mi huczne wesele. Wystarczy ślub i dobry obiad dla rodziny. Chodź, tam jest więcej – wskazuje sąsiednie pole żyta, na którym aż mieni się od maków i bławatków. Tylko nie depcz zboża. Z niego będzie chleb.

– Wiesz, to takie dziwne. Będziemy na ślubie u katolików.

– Co w tym dziwnego? Ja nieraz byłam u was.

– A ja nigdy nie byłam w twoim kościele.

– Najwyższy czas. Uważaj! Mówiłam ci, nie depcz żyta. Chodź tylko po między.

– Ale tam w środku jest więcej. Zobacz, aż niebiesko!

– Nie wolno. Pan Jezus nie cieszyłby się z daru, gdybyś zniszczyła zboże.

– No dobrze. – Tila zgadza się niechętnie i posłusznie stąpa po wąskim

na metr pasie ziemi.

Przez jakiś czas obie w milczeniu zbierają kwiaty rosnące na brzegu pola i na miedzach. Składają je na dwie płachty ostrożnie, żeby jak najmniej ucierpiały ich wygląd.

– Ciociu! A jakby Gustav nie był katolikiem, a ewangelikiem, wyszłabyś za niego?

– Chyba tak. Tu u nas są mieszane małżeństwa. A my i tak już nie będziemy mieli dzieci, więc nie ma kłopotu.

– Czemu nie będziecie mieli dzieci? Przecież je lubisz.

– Jestem już za stara.

– Szkoda. Urodziłabyś dziecko dla Führera. Jakbyś miała czworo, to dostałabyś medal od Rzeszy. Najpierw brązowy, tak jak pani Holzer.

– To ja już wolę być stara – mruczy pod nosem Janka. – Tila, wychodź stamtąd! To pole Kurmutza. Dałby nam, gdyby zobaczył, co narobiłaś!

– E tam. Pomyśli, że to sarna.

– Oj, Tila, Tila, na wszystko masz odpowiedź – mówi zrezygnowana ciotka.

– Chyba wystarczy. Możemy wracać.

Janka pochyła się, by związać płachtę. – Matko Przenajświętsza! Gdzie mój medalik?! – krzyczy nagle.

– Miałaś go przed chwilą. Widziałam! Na pewno gdzieś tu jest – uspokaja ciotkę Tila.

Kobieta rozgląda się bezradnie i szuka swego skarbu wśród traw. Dziewczyna też się pochyła i obie, przesuwając się stopniowo i wytężając wzrok, przepatrują każde źdźbło, mysią norkę i mrówczą ścieżynkę.

– Nie ma go – chlupie Janka. – I co ja teraz zrobię?

– Kupisz sobie nowy. Albo Gustav ci podaruje w prezencie ślubnym. Nie martw się, ciociu.

– Nie, to niemożliwe. On był dla mnie wyjątkową pamiątką. Muszę go znaleźć. Na pewno gdzieś tu jest.

Janka opuszcza się na kolana i szuka dalej, mrużąc pod nosem zdrowaśki przerywane od czasu do czasu westchnieniami i prośbami do Matki Bożej.

– Ciociu, dlaczego ten medalik jest dla ciebie taki ważny?

– Moja matka dostała go od swojej teściowej. Był w rodzinie ojca od dawna. Kiedyś ktoś go przyniósł aż z Częstochowy. Babcia powiedziała mi, że mama, zanim umarła, zdjęła go z szyi i przykazała, że ja mam go dostać i że on będzie mnie zawsze chronił przed złem. I ja, ilekroć potrzebowałam pomocy, modliłam się do Maryi. Wystarczyło, że go dotknęłam, i robiło mi się lżej na duszy. A teraz go zgubiłam. – Janka znów zalewa się łzami. – O ja nieszczęsna! Co teraz będzie?! – Lamentując, przysiada na miedzy, nagle słaba, bezbronna i zrezygnowana.

Tila nic nie mówi, ale widać wpadła na jakiś pomysł, bo porzuca

dotychczasowe badanie terenu i cofa się do płachty z bławatkami. Rozwiązuje ją, a potem pomalutku, metodycznie ujmując po garści kwiatów i odkłada na bok.

– Jest! Ciociu, jest! – krzyczy triumfalnie. – Znalazłam go! – woła, unosząc rękę, w której trzyma błyszczący drobiazg.

– Matuchno! – Janka podpira się rękami i na kolanach pełźnie w kierunku modrej sterty. – Dzięki ci, Matko Najświętsza – łka. Ostrożnie bierze z rąk Tili swój skarb i przytula go do serca.

*

Słońce chowa się za horyzontem, podświetlając chmury czerwonym blaskiem. Już spokojna Janka zawija i zawiązuje płachty, a potem przerzuca je przez kierownicę roweru, najpierw Tili, potem sobie.

– Poprowadzimy rowery górą do miasta. Potem zejdziemy do siostrzyczek.

Idąc grzbietem wzgórza, mijają leżącą w dole wieś. Dymy z kominów celują prosto w niebo, zapowiadając na jutro ładną pogodę. Janka nad czymś rozmyśla, ale dziewczynie ciąży milczenie, inicjuje więc nowy temat.

– Ciociu, a wyszłabyś za mąż za niewierzącego?

– Tak całkiem? W nic?

– No, tak całkiem.

– Nie. Za takiego bym nie wyszła – stwierdza Janka po długim namyśle.

– Czemu? Bo niedobry? – dziewczyna nie daje za wygraną.

– Dlaczego niedobry?

– Jak nie wierzy w Boga, to pewnie niedobry.

– Nie wiem, czy wszyscy wierzący są na pewno dobrzy – wątpi ciotka.

– No to czemu byś nie chciała takiego, co w nic nie wierzy? – dopytuje się

Tila.

– Jak człowiek bierze z drugim ślub, to chce być szczęśliwy. A jak tamten w nic nie wierzy, to nie może być szczęśliwy, więc po co mi taki mąż?

– Czemu niewierzący nie może być szczęśliwy?

– Aleś się przyczepiła! Daj mi spokój! Jesteś gorsza niż komary.

– Powiedz mi tylko to, a potem będę cicho.

– Jeśli ktoś nie wierzy w nic, to kiedy spotka go nieszczęście albo chociaż tylko ciężkie zmartwienie, to do kogo się zwróci? Drugi człowiek, nawet jakby bardzo chciał, nie zawsze może pomóc. A Pan Bóg może wszystko. Dlatego myślę, że niewierzący są nieszczęśliwi, bo oni nie mają żadnej nadziei.

Zaczyna się ściemniać, kiedy schodzą w dół do Unruhstadt i docierają do domu sióstr boromeuszek. Drzwi otwiera zakonnica w czarnym habicie i czarnym welonie na białym kapturze szczelnie zakrywającym czoło i podbródek.

– Tyle kwiatów! Przyniosłyście najwięcej. Panno Janko, wiedziałam, że można na was liczyć. – Zza okularów błyskają wesołe oczy młodej kobiety.

– Ta luteranka mi pomogła! – Janka pokazuje na Tilę.

– Pan Jezus ci, dziecko, wynagrodzi. A na procesję przyjdiesz? Zobaczysz, co my zrobimy z tych bławatków.

– Chyba nie. Mama mi nie pozwoli.

– Szkoda, ale rodziców trzeba słuchać. Ja ci, dziecko, dziękuję z całego serca. Panno Janko, macie jeszcze kartofle do sprzedania? Kończą nam się, a wasze są takie dobre. Dzieci w przedszkolu chętnie je jedzą.

– Na pewno coś się znajdzie. Tila, pamiętaj, żeby zapytać mamę. Jutro po procesji zajdę do zakrystii i powiem.

Następnego dnia przypada święto Bożego Ciała. Katolicy z Unruhstadt i Chwalimia stawiają się w komplecie na nabożeństwie. Wśród wiernych jest też Janka ze swoim narzeczonym. Kiedy podczas procesji ksiądz z monstrancją zatrzymuje się przed drugim ołtarzem, przez tłum przebiega szmer zachwytu. Cały zrobiony jest z bławatków misternie umocowanych jeden przy drugim. Na środku tego błękitu widnieje kielich ułożony z żółtych kwiatów, a podtrzymują go dłonie z białych rumianków.

Janka szturcha Gustava. Ten odwzajemnia jej gest, jakby chciał powiedzieć: „Wiem, wiem. Masz w tym swój udział. Jestem z ciebie dumny”.

Procesja rusza dalej, tylko Bernard, syn Grelaków, gospodarzy z Unruhstadt, stoi jak zauroczony i patrzy na bławatkowy ołtarz, jakby nigdy w życiu nie widział niczego piękniejszego.

31

– Tila, skoczysz ze mną przez ogień?

Emil czeka od dawna, by ją o to zapytać. Matylda przysłała z matką odwiedzić Elzę i zobaczyć jej synka. Siedzą u babki Trudy. Staruszka nudzi się okropnie, żeby więc trochę ją rozerwać, ciotka przyprowadza gości do jej pokoju. Hedwiga liczy też na to, że teraz, jak Elza ma dziecko, Marta ulituje się nad żyjącą w ciasnocie rodziną i weźmie babkę do siebie. Tylko że ona wciąż mówi o ślubie Janki. Tila wymknęła się, żeby poszukać Anny albo Katharine, ale żadnej z nich nie ma w domu. Za to Emil wrócił właśnie z zawodów i bardzo się ucieszył, że zdążył, zanim wyszły.

– Czemu nic nie mówisz? – niepokoje się. – Nie chcesz ze mną skoczyć?

– Nie. No co ty. Nie idę na Święto Przesilenia. Nie pamiętasz? Ciocia Janka wychodzi w sobotę za mąż.

– To co? Ognisko jest w piątek w nocy. Możesz przyjść. – Emil nie rezygnuje.

– Mama mi nie pozwoli. Prawie wszystko robimy same, a będzie trzydzieści osób. Rodzina Janki z Polski, rodzina Gustava, no i my. Pani Kliem przyjdzie do gotowania w piątek i podawania w sobotę, ale i dla nas jest dość pracy.

– Szkoda, ale rozumiem. Może w przyszłym roku?

– Kto wie, co będzie za rok. – Tila wyraźnie unika jakichkolwiek deklaracji. Prawda jest taka, że wcześniej o to samo co Emil pytał ją Karl. Nigdy nie sądziła, że będzie się cieszyć, że nie idzie na najciekawsze święto w całym roku. Musiałaby wybierać między chłopcami. Cokolwiek by zrobiła, jeden by się obraził, a tak ma przynajmniej wymówkę.

Po powrocie do domu czeka ją ostatnia przymiarka sukienki. Oczywiście mama uszyła jak najskromniejszą. Żadnych modnych akcentów. Całe szczęście, że materiał jest niebieski, więc nie będzie wyglądać jak stara baba. Tila spogląda na swoje odbicie w lustrze. Sama dostrzega zmiany, jakie przez rok zaszły w jej wyglądzie. Już na pierwszy rzut oka widać, że twarz straciła dziecięcą pucołowatość, opalona skóra ładnie kontrastuje z rozjaśnionymi przez słońce włosami, a szare oczy zrobiły się prawie niebieskie od koloru sukienki. Wyciągnęła się i zeszczipła. Tila czuje, że mogłaby ubrać się w worek, a i tak nie brakowałoby jej adoratorów chętnych do skakania przez ognisko.

Nazajutrz udało się jej wyjść na chwilę z gorącej, pełnej zapachów kuchni i spojrzeć w stronę Schwentese. Akurat ludzie wracali do domów, niosąc pochodnie zapalone od dogasającego ognia. Widok świateł wędrujących w ciemności i schodzących w dół ze wzgórza ku wsi był tak niezwykły, że nie mogła oderwać od niego oczu.

W sobotnie popołudnie w kościele pod wezwaniem św. Wojciecha w Unruhstadt zebrała się spora grupka ludzi. Część z nich to rodzina państwa młodych, jest też większość katolików z Chwalimia – państwo Gabrielowie, stelmach Walter Kliem, Elżbieta Hoffmann, Stanisław Kukurenda z żoną Marią, Paul Kubik z małżonką Gertrudą, Barbara Böse, Klara Adam, a z miasteczka – Grelakowie z synem Bernardem, Marianna i Władysław Rajmannowie, Napierałowie, Benyskowie i Kubiakowie.

Dzień jest bardzo ciepły, Tila cieszy się więc, kiedy wreszcie może usiąść w chłodnym wnętrzu. Rozgląda się z zaciekawiona. Świątynia jest mniejsza niż kościół ewangelicki. Ołtarz także wygląda skromniej, ale przystrajają go bukiety białych piwonii. Kwiatów jest mnóstwo. Ustawione w szklanych wazonach schodzą kaskadami w dół po obu stronach ołtarza aż do podłogi zasłanej dywanem. Kwiaty otaczają też figury stojące symetrycznie przed prezbiterium. Z prawej strony na czymś w rodzaju małego ołtarza Tila dostrzega figurę Matki Bożej z Dzieciątkiem wielbionej przez ciotkę Jankę, a z lewej na drugim bocznym ołtarzu znajduje się posąg przedstawiający mężczyznę w długiej szacie. Również nad głównym ołtarzem umieszczono trzy rzeźby. Środkowa to, jak domyśla się dziewczyna, patron świątyni Święty Wojciech, o którym ciocia jej opowiadała. Dwie pozostałe to asystujący mu aniołowie.

Przez kolorowe szkiełka w dużych oknach wpada różnobarwne światło. Gustav stoi z przodu, tuż przed murowanymi balustradami oddzielającymi

prezbiterium od reszty świątyni. Ministrant pociąga za sznur dzwonka wiszącego przy drzwiach do zakrystii. Wszyscy wstają. Tila też. Wchodzi niewysoki, łysawy, na oko pięćdziesięcioletni ksiądz Maksymilian Wdowczyk. Rozpoczyna się ceremonia. Przy dźwiękach organów Walter prowadzi Jankę przez środek kościoła. W kremowej garsonce z koronkowymi wstawkami wygląda zupełnie inaczej niż zwykle. Na głowie ma mały kapelusik z woalką, a w ręku bukiet róż. Gustav też doskonale się prezentuje w nowym garniturze. Msza święta, przysięga i nareszcie państwo młodzi wychodzą z kościoła już jako małżeństwo. Goście składają życzenia, a potem nowożeńcy wsiadają do bryczki i jadą do domu Neumannów, gdzie Helena Kliem grzeje obiad na piecu.

Marta czuje się jak matka weselna. Wita gości, prowadzi do stołu, pokazuje, gdzie mają usiąść. Z Polski przyjechała ciotka Janki z dwiema córkami, zięciami i ich dziećmi. Razem dwanaście osób. Tila dziwi się, że wszyscy dorośli tak dobrze mówią po niemiecku. Bez trudu nawiązują rozmowę z resztą gości. Z dziećmi jest gorzej, ale dziewczyna znowu jest zdumiona, bo sama nie wie, jak to się dzieje, że ona te paplające między sobą po polsku dzieci rozumie całkiem dobrze. „Jaki ten język podobny do wendyjskiego” – dziwi się. Dociera do niej, dlaczego Janka zawsze tak się upierała, że matka nie jest Niemką, a Wendyjką, czyli Słowianką. Tila nieraz spotykała Polaków, bo pracowali u niektórych gospodarzy, ale nigdy nie gościli w ich domu. „Niczym się od nas nie różnią – myśli. – Czemu Karl mówił, że mogą nas okraść albo podpalić?”

Rodzina Janki odjechała, zanim zapadł wieczór. Chcieli przed zmierzchem przekroczyć granicę w Grossdorf. Obawiali się, że później niemieccy strażnicy mogą robić trudności. Inni goście też wkrótce się rozeszli. Gustav z Janką podchodzą do Marty i Waltera. Janka chce coś powiedzieć, ale wzruszenie ścisną jej gardło. Obejmuje Martę i długo tak stoją przytulone do siebie. Gustav ścisną rękę Waltera i dziękuje mu za to, że przez tyle lat byli dla jego żony rodziną. Zaprasza na jutro na ciasto. Wreszcie Janka odrywa się od Marty i przyciska do serca Matyldę. Dziewczyna także nie może opanować wzruszenia i zaczyna płakać rzewnymi łzami.

– Tila, pamiętaj, zawsze możesz przyjść do nas jak do swojego domu – chlupie jej w ucho ciotka.

– Dziękuję, ciociu.

Wsiadają do bryczki, a Willi, elegancko ubrany, wiezie ich do domu na krańcu wsi.

*

Pożegnanie Janki, choć bardzo melodramatyczne, wcale nie oznaczało długiego rozstania. Już w poniedziałek o świcie obie kobiety jak zwykle razem przystąpiły do codziennego obrządku. Różnica była tylko taka, że Janka, zamiast wyjść rano ze swego pokoiku na poddaszu, przyjechała rowerem. Dawno

uzgodniły, że będzie pracować tak jak dotychczas, tyle że dostanie dodatkowo pewną ilość mleka, mięsa i zboża dla kilku kurek i gołębi Gustava. Dla Janki oznaczało to jazdę tam i z powrotem przez całą wieś, gdyż zastrzegła sobie przerwę na obiad, który chciała gotować i spożywać z mężem u siebie.

Mimo że kuzynka jest nadal obecna w życiu Neumannów, Marcie bardzo jej brakuje, szczególnie wieczorami, kiedy Tila jak zwykle gdzieś przepada, a Walter wsadza nos w gazetę, słucha radia albo, częściej niż do tej pory, idzie wieczorem na piwo.

Zapada późny letni zmierzch. Od ślubu Janki minął już ponad tydzień. Marta została sama, bo Walter w gospodzie, Tila u Rosiny, a ona snuje się po domu i nie może znaleźć sobie miejsca. Nawet radio na chwilę włączyła, ale nie usłyszała w nim niczego ciekawego. Mogłaby wziąć się za cerowanie, ale dzisiaj nie ma na to ochoty. Wchodzi na górę, otwiera drzwi do dawnego pokoju Janki. Łóżko porządnie zasłane, w prostej dwudrzwiowej szafie zostały tylko wieszaki, a na tapecie duży jasny prostokąt – ślad po obrazie Matki Boskiej, przed którym kuzynka zawsze mówiła pacierz. Marta idzie do swojej sypialni, otwiera okno na całą szerokość i wtedy do pokoju napływa strumień powietrza przesyconego miodnym zapachem lipy. Przymyka oczy i głęboko, chciwie nim oddycha. Nie uleczyło to jej smutku, nie czuje ulgi. „Jestem sama, zupełnie sama, nikomu niepotrzebna” – myśli.

Gdyby otworzyła okno na strychu w przeciwległej ścianie szczytowej domu i spojrzała przed siebie, może dostrzegłaby między liśćmi jesionów parę siedzącą pod jabłonią. To Tila i Karl. Dziewczyna mówi matce, że chodzi do Rosiny, ale naprawdę spotyka się ze starszym od niej o dwa lata chłopakiem. Nie robią nic złego. Oboje należą przecież do organizacji, w której przestrzega się pewnych zasad. Rozmawiają tylko. Wkrótce Karl wyjedzie na letni obóz w okolicy Hirschberga. Opowiada dziewczynie, co tam będzie robić.

– A co potem? Mówiłeś, że chcesz iść na kurs dla dowódców Hitlerjugend – przypomina Tila.

– Kiedy wrócę z obozu, będę miał trochę wolnego, a potem pojedę do Grünbergu, właśnie na kurs.

– To prawie cię tutaj nie będzie – z lekką pretensją w głosie stwierdza dziewczyna.

– Dawno bym stąd uciekł, gdyby nie ty.

– Tylko tak mówisz.

– Nie, to prawda. W domu można zwariować. Po szkole zawsze zostawałem w Züllichau, żeby tu nie wracać. Razem z kolegami pracowałem dla organizacji.

– Co robiliście?

– Powiedzmy, że zbieraliśmy ważne informacje – mówi Karl tajemniczo.

W ciemnościach słysząc granie świerszczy. Tilę kłuje trawa, na której siedzi,

ma też wrażenie, że po nagim udzie wędrują mrówki, ale za nic w świecie nie zmieni pozycji ani się nie podrapie po swędzącej nodze. – Czemu nie lubisz być w domu? – pyta.

– Jest strasznie ciasny. Zrobiłem sobie pokoik na strychu, ale dziewczyny wciąż tam wchodziły i grzebały mi w rzeczach. Musiałem zawiesić kłódkę na drzwiach. Ta mała, co się urodziła jesienią zeszłego roku, nieustannie płacze, nie można spać. Matka zupełnie sobie nie radzi, a ojciec wraca z pracy tylko na noc. On chyba też ma dość tego harmideru. Podobno kilka dni temu była u nas ta Kisch. Rozejrzała się i powiedziała matce, że załatwi jej jakąś pomoc.

– Współczuję ci. U nas jest za to zbyt cicho, zwłaszcza odkąd ciocia się wyprowadziła. Pójdę już. Mama na pewno na mnie czeka.

Chłopak wstaje z trawy pierwszy i wyciąga rękę do Tili. Ona przez moment zastanawia się, ale w końcu podaje mu dłoń i podnosi się. Cofa ją szybko, udając, że musi otrzepać sukienkę. Karl bierze z ziemi jabłko.

– Jeszcze zielone. Będą dobre za kilka tygodni – uprzedza Neumannówna.

– To nic. Pięknie pachnie, zresztą nie będę go jadł, tylko na nie patrzył.

– Po co? – Tili wydaje się to śmieszne.

– Będzie mi przypominało ciebie.

32

„Po śniadaniu pozmywane, po krowy pójdę za dwie godziny, przy okazji odbiorę naprawione buty od Malchera, króliki nakarmiłam, podłogi zdążę umyć, ogórki zebrane, kapusta podlana...” – Tila wylicza w myślach, co matka kazała jej zrobić, zanim poszła z ciotką do winnicy. Wychodzi na to, że ma trochę wolnego, zanim wstawi obiad w letniej kuchni. Szybko pędzi na górę do sypialni rodziców.

Tam na dnie przepastnej szafy złożone są zimowe ubrania i rzeczy, które nosi się niezbyt często. Wyjmuje na podłogę swetry, szale, czapki, kamizelki, flanelowe koszule i układa je starannie, by nie zapomnieć kolejności, w jakiej leżały. Dociera wreszcie do warstwy najrzadziej noszonych rzeczy. Z triumfalną miną wyciąga granatowo-białą szmatkę. Podchodzi do łóżka i rozkłada swą zdobycz. To kostium kąpielowy. Bawełniany trykot, z tyłu granatowy, z przodu ma dużą białą wstawkę w granatowe groszki. Na dole jest coś w rodzaju króciutkiej spódniczki, a u góry, przy mocno wyciętym, obszytym delikatną falbanką dekolcie, tam gdzie zbiegają się piersi, zdobi go zalotna granatowa kokardka. Tila szybko rozbiera się do naga i wciąga kostium. Staje przed lustrem, poprawia cieniutkie ramiączka i ocenia swój wygląd w dużym lustrze znajdującym się w środkowych drzwiach szafy. Uśmiechnięta dotąd twarz smutnieje. Spodziewała się zobaczyć inny widok. Kostium leży jak ulał, poza kilkoma drobnymi szczegółami. Opalenizna Tili zupełnie nie pasuje do kroju ubioru. Twarz, szyja, ramiona i łydki są brązowożłote, ale reszta jest oślepiająco biała. Wygląda nie tyle ponętnie,

co zabawnie. Kolejny minus to dekollet. Zamiast pięknego jak u gwiazd filmowych rowka widzi smętnie zwisającą obfityść materiału. Zsuwa ramiączka i przygląda się piersiom. Bierze je w ręce, unosi i zbliża do siebie. Wprawdzie wtedy rowek się robi, ale przecież nie będzie ich tak podtrzymywać stale. Wciąga ramiączka z powrotem. „Gdybym wszyła trochę materiału pod pachami, to może by tak nie wisiał. Tak. Tak będzie dobrze. A może do soboty lepiej się opalę? Przede mną jeszcze trzy dni zrywania malin”. – Obraca się przed lustrem, a króciutka spódniczka wiruje wokół zgrabnych ud. Tila znowu uśmiecha się do swego odbicia.

Słońce opuściło już najwyższy punkt na niebie, kiedy wraca Marta. Siada w letniej kuchni na chybocącym się krześle, by chwilę odpocząć. Pod stołem stoją wiadra używane do karmienia świń. Córka krząta się przy obiedzie.

– Przyniosłam pokrzywy na wieczór. Połowę posiekałam, a resztę rozłożyłam na strychu, żeby wyschły – informuje Tila.

– Nic ci nie mówiłam. – Marta jest zaskoczona.

– Przecież i tak trzeba by to zrobić, a zostało mi trochę czasu.

– To dobrze, że się domyśliłaś. Długo jeszcze do obiadu?

– Zupa już jest, kotlety też. Ziemniaków nie wstawiałam, bo nie wiedziałam, kiedy wrócisz – wyjaśnia dziewczyna.

– Zostaw je w zimnej wodzie. Ugotuję, jak przyjedzie tata. Nam na razie wystarczy zupa. Zabierz garnek i chodź do domu.

Marta myje ręce, twarz i nogi przy pompie. Widząc wilgotną podłogę na korytarzu, zostawia buty na ganku. Siada przy stole w kuchni, a córka nalewa do talerzy zupę. Jarzynową, z przewagą młodej kalarepy, białą od śmietany, posypaną zieloną pietruszką. Do tego świeży chleb w koszyczku.

Kiedy Tila pochylona nad miską myje talerze, matka przygląda się jej ukradkiem. „Jak urosła – dziwi się. – Sukienka zrobiła się za krótka. Dobrze, że zostawiłam zapas, odpruję i trochę podłużę. – Marta widzi, że warkocze są zaplecione zbyt luźno. Pasma włosów powychodziły i zwisają wokół twarzy. – Nie potrafi się sama uczesać. Zawsze pomagała jej Janka. Kiedy ja ostatnio zaplatałam jej włosy? Nie pamiętam. Chyba kilka lat temu. Na święta, jak Janka jechała do Polski, robiła to Lisa. Mówiła, że ma tylko synów i marzy o tym, żeby uczesać dziewczynkę. Dziewczynkę! Mój Boże. Przecież ona skończyła piętnaście lat”. – Jak chcesz, to mogę ci rano zaplatać warkocze – proponuje głośno. – Tylko nie wiem, czy potrafię tak ładnie jak ciocia Janka – kończy niepewnie.

Zdziwiona Tila podnosi głowę i patrzy na matkę z uśmiechem.

– Potrafisz, mammo. Na pewno potrafisz.

Potem znowu zaskoczenie. Matylda nigdzie nie wychodzi. Zostaje w domu i tak jak matka idzie do swojego pokoju poświęcić czas Bogu.

Wieczorem, kiedy siedzą w trójkę przy posiłku, dziewczyna pyta:

- Tato, dlaczego babcia do nas nie przyjeżdża? Ostatni raz była rok temu.
- Nie ma czasu. Musi zajmować się Arnoldem i Christianem. Mówiłem ci przecież, że ich mama jest chora – wyjaśnia Walter.
- To niech przyjedzie do nas. Na wsi szybciej wyzdrowieje. Ja mogę się opiekować ciocią.
- To nie takie proste. Tu nie ma dobrych lekarzy. – Walter już nie wie, jak ma odpowiadać córce.
- Tila, powiedz, co u Rosiny? – Marta spieszy mężowi na ratunek.
- Nie byłam u niej.
- Wiem, że dzisiaj nie byłaś, ale wczoraj tak. Jest już w lepszym nastroju?
- Chyba. Nie zwierza mi się jak dawniej – odpowiada, nie podnosząc głowy znad talerza.
- Już się nie przyjaźnicie? – pyta Walter.
- Przyjaźnimy, tylko trochę słabiej. Tato, zabierz mnie do Berlina, jak będziesz jechał do babci – prosi Tila.
- Po co?
- Przecież kiedyś jeździłam z tobą, tatusiu. Mówią, że Berlin jest teraz bardzo piękny.
- Bo jest – potwierdza Walter. – Ale jeszcze zdążysz zobaczyć. Na razie nie wybieram się do babci. Lepiej mi powiedz, czy woda w jeziorze jest ciepła?
- Nie kąpałam się w jeziorze. Nie lubię. Nie wiem czemu, ale boję się tam pływać.
- No i bardzo dobrze. Ja też nigdy nie lubiłam – stwierdza Marta.
- Chodzimy z Petrasami nad rzekę.
- Tam za las, gdzie jest pastwisko Radachów?
- Tak. Mamo, pamiętasz? Kiedyś ciocia Ewa dała ci kostium kąpielowy.
- Nie. Nie przypominam sobie – mówi Marta z namysłem. – Zresztą, może i tak. Jeśli nawet, to nie mam pojęcia, gdzie mógłby być.
- Na pewno jest w szafie na dole. Zawsze kładziesz tam ubrania, których nie nosisz – podpowiada córka.
- Tila! Podsunęłaś mi świetny pomysł. Pójdźmy w niedzielę na kąpielisko do Unruhstadt. Po co opalać się wśród krowich placzków? Przecież tam jest plaża, są przebieralnie, pomost! To co? Marto, znajdziesz kostium i niedzielne popołudnie zamiast na ganku spędzimy, kąpiąc się i opalając.
- Walter nie widzi, jak twarz Tili wydłuża się.
- Zapomniałeś, że w niedzielę są urodziny Gustava? Janka już nas zapraszała. Zresztą nie wypada, żeby czterdziestoletnia kobieta siedziała goła między obcymi ludźmi – kończy Marta.
- Nie goła, tylko w kostiumie kąpielowym, i nie czterdziestoletnia, a młodsza. Po co sobie lat dodajesz? – strofuje żonę Walter. Potem idzie jeszcze

posłuchać radia. Kiedy wchodzi do sypialni, Marta w nocnej koszuli, z ciemnym warkoczem przełożonym do przodu, klęczy przy szafie i wyjmuje rzeczy.

- Jest! Miała rację. Zupełnie o nim zapomniałam.
- Ładny! Załóż go – prosi Walter.
- Po co? Przecież nie idę się kąpać.
- Załóż. Proszę. Chcę zobaczyć, jak w nim wyglądasz.

Coś we wzroku Waltera powoduje, że Marta bierze kostium i kieruje kroki za parawan.

- Nie. Tu go załóż. Przy mnie.
- Ale...
- Proszę.

Marta sięga ręką do wyłącznika światła, ale Walter ją powstrzymuje.

- Nie gaś.
- To jak...

Walter schyla się i podnosi do góry brzeg nocnej koszuli żony, a potem ją zdejmując przez głowę. Marta stoi jak skamieniała, zupełnie naga, z lekko potarganymi włosami. Oczy jej błyszczą, sutki robią się twarde, brzuch się napina. Walter bierze kostium i ubiera Martę powoli, potem prowadzi za rękę do lustra. Rozplata warkocz i okrywa ramiona długimi włosami. – Spójrz, jaka jesteś piękna.

Kostium kąpielowy jest jakby dla niej stworzony. Podkreśla szczupłą talię, długie nogi, piersi wypełniające dekolt. Słabe światło żarówki nie ujawnia nierównej opalenizny, popękanej skóry na dłoniach ani siwego włosa przyczajonego wśród ciemnych splotów. Marta uważnie spogląda w widoczne w lustrze oczy męża. On całuje jej kark, potem szyję, zsuwa ramiączka i pieści dłońmi, i także nie odrywa wzroku od jej lustrzanego odbicia.

33

W późne letnie popołudnie młodzież z całej wsi idzie nad rzekę. Każdy z tych młodych ludzi ciężko zapracował na chwilę wytchnienia. Kto ma gospodarstwo, przez cały dzień pomaga ojcu lub matce, kto nie ma własnej ziemi, idzie na zarobek, który potem odda, by wesprzeć rodzinny budżet. Nie ma mowy o wylegiwaniu się godzinami na słońcu i zastanawianiu, która część ciała lepiej się opaliła. Dopiero kiedy rodzice powiedzą: „Wszystko jest zrobione jak trzeba. Możesz iść”, wolno chwycić koc albo tylko sam ręcznik i pobiec nad rzekę.

W długiej, rozciągniętej wzdłuż trasy łączącej Unruhstadt z Züllichau miejscowości jest wiele dzikich kąpielisk i dwa trochę bardziej okazałe. Na pierwsze, patrząc od strony zachodniej, trafi się, idąc na koniec wsi i przed drogą na cmentarz skręcając na południe, obok domu Williego Jahnsa. Na drugie kąpielisko dojdzie się traktem wiodącym do starej szkoły, tylko że trzeba ją minąć i pójść dalej, aż dotrze się do rzeki. Każdy chętny do kąpeli wybiera takie, które

mu najbardziej odpowiada. Najczęściej głównym kryterium jest jego bliskość, a czasem towarzystwo spotykające się w określonym miejscu.

Tila, Petrasowie i kilka innych osób mieszkających w domach najbliżej Unruhstadt chodzą się kąpać tam, gdzie rzeka omijająca miasteczko od południa nieoczekiwanie przysuwa się do wsi, tworząc zakole. Potem znowu się oddala, by na samym końcu płynąć niemal za płotami posesji, a już za wsią zbliża się do cmentarza. Amatorzy tego dzikiego kąpieliska przeważnie wybierają ścieżkę przez gminny las. Najwięcej w nim blisko czterdziestoletnich sosen, ale są też niskie świerki, zabłąkane akacje i kępy liściastych krzewów.

W takich właśnie krzakach przebiera się Tila, starając się nie stąpnąć bosą stopą na szyszkę albo na mrówczą ścieżkę, a Rosina pilnuje, czy nikt nie idzie. Matka nie pozwoliła dziewczynie wziąć granatowego stroju kąpielowego. Stwierdziła, że nie jest odpowiedni dla młodej panienki, a zeszłoroczny, który sama uszyła, jeszcze w zupełności wystarczy. Trochę popuściła szerokie ramiączka i nieco poszerzyła po bokach. Kiedy Matylda go dzisiaj włożyła, poszła przejrzeć się w lustrze. Jej zdaniem wyglądała koszmarnie w tym pomarańczowobrazowym bezkształtnym czymś z krótkimi nogawkami. W dodatku przypomniała sobie, że w ubiegłym roku, ilekroć wynurzała się i szła na brzeg, gęsto tkany materiał nie od razu wypuszczał wodę. Przez moment wokół brzucha robiła się bańka, której zawartość po chwili wypływała nogawkami. Pokazać się w takim łachu Karłowi? Nigdy w życiu! Sprawdziła, czy matka nie nadchodzi, wyciągnęła z szafy granatowy kostium i zawinęła go w ręcznik.

Już przebrana wynurza się z zarośli i razem z Rosiną, która zazdrośnie zerka na odmienioną nowym ubiorem przyjaciółkę, doganiają Michaela i Tobiasa. Razem pojawiają się na skraju lasu, gdzie pasą się krowy Radachów. Tu, gdzie rzeka wychodzi z zakrętu, brzeg jest podmyty. Latami urywał się po kawałku, dzięki czemu, zamiast wskakiwać od razu do wody, można zejść z małej skarpy na piasek, a potem stopniowo się zanurzać. Dziewczyny rozkładają ręczniki i idą się ochlapać. Ostrożnie, popiskując, najpierw moczą stopy, potem wchodzą po uda, brzuch i nagle... coś ciągnie jedną i drugą na dno. Ledwie łapią powietrze, a już są pod wodą. Wynurzają się z krzykiem i widzą roześmiane twarze chłopaków.

– Co się wygłupiacie! Mogłyśmy się utopić! – Rosina jest oburzona niecnym postępkami braci.

– Tak długo męczyłyście się wchodzeniem do wody, że postanowiliśmy wam pomóc! – Tobias wcale nie wykazuje skruchy.

– Chodź! – woła Michael. – Poskaczemy sobie.

I już pędzą po trawie i kępach sitowia ku wysokiej wierzbie, która rośnie na samym zakręcie. Jeden z konarów pochyła się nad rzeką. Chłopcy wdrapują się na niego i skaczą do wody. Wynurzają się, czepiając się nadbrzeżnych roślin, wypelzają na trawę i znowu gonią do wierzby, popisując się bardziej niż zwykle.

Dziewczyny chwilę pływają, potem kładą się na ręcznikach i rozmawiają. Raz po raz któraś wyciąga leniwie rękę po sitowie. Po jakimś czasie każda ma przed sobą śmieszna zieloną czapkę uplecioną z giętkich łądyg. Obracają się twarzami ku niebu. W końcu zasypiają w ciepłe promieni zachodzącego słońca.

Przebudzenie jest niespodziewane. Na obie spada deszcz zimnych kropel. Kiedy zrywają się z ręczników, Tobiasz z Michaeliem są już daleko. Zmykają co sił w nogach z czapkami z sitowia na głowach.

Słońce już zaszło. Rosina składa ręcznik, ale Tila ociąga się, zerkając co chwila w kierunku lasu.

– Nie idziesz? – pyta zdziwiona jej zachowaniem przyjaciółka.

– Zaraz. Jeszcze nie jest późno.

– Robi się chłodno. Przecież już nie będziemy pływać.

– No dobrze. Chodźmy – Tila zgadza się niechętnie.

Idą przez las, kiedy dostrzegają naprzeciwko kroczonego ścieżką Karla. – Już do domu? – pyta. – Myślałem, że zdążę.

– O, przyjechałeś z obozu! Skąd wiedziałeś, że będziemy nad rzeką? – dziwi się Rosina.

– Lubię być dobrze poinformowany. To co, wracamy?

– Jak chcesz, to idź. My już się kąpałyśmy – odpowiada Tila wyniośle.

– To ja sobie trochę popływam i za godzinę idę na jabłka – mówi, patrząc znacząco na Matyldę.

Kiedy Karl zniknął im z oczu, Rosina pyta:

– O co mu chodzi? Przecież u Holzerów nie ma jabłoni.

– Nie mam pojęcia. Niech robi, co chce.

Po kolacji Tila idzie do swojego pokoiku. Odwija z ręcznika wilgotny kostium i skrada się na strych. Wiesza go na sznurku, mając nadzieję, że matka do jutra tam nie zajrzy. Po cichu, uważając, by podłoga nie skrzypnęła, podchodzi do okna, otwiera drewnianą okiennicę i spogląda w kierunku starej jabłoni. Nic nie widzi. Jest zbyt ciemno. Złość na Karla, z którym umówiła się na kąpielisku, powoli mija. Gdyby nie dziewczęcy honor, chętnie wymknęłyby się na spotkanie.

34

Nastrój Tili zmienia się niczym kwietniowa pogoda. Nocami dziewczyna roni łzy w poduszkę albo zastanawia się, jak tu zachować twarz i ponownie nawiązać zerwaną nić sympatii łączącą ją z Karlem. Rankiem robi wrażenie radosnej jak skowronek, bo właśnie uznała, że chłopak nic dla niej nie znaczy i nie będzie już o nim myśleć. Jednak w ciągu dnia dopadają ją wątpliwości, czy aby dobrze robi, tak całkiem przekreślając szanse młodzieńca. I tak w kółko przez cały tydzień.

Tego dnia z samego rana Tila gna krowy na odległe pastwisko położone

aż za przejazdem kolejowym i małą chwalimską stacyjką. Zwykle pasą się bliżej, ale zjadły już trawę i trzeba pozwolić jej odrosnąć, więc przez kilka tygodni dziewczyna wraz ze zwierzętami musi przemierzać pół wsi, a potem poboczem brukowanej drogi iść w chmurze owadów i krowiej woni. Uważa przy tym, aby pora przepędzania bydła nie nałożyła się na czas przejazdu pociągu. Mogłaby mieć problem z powstrzymaniem trzech głodnych krów, które czują, że pastwisko pełne soczystej trawy jest tuż za przejazdem, i zwykle przyspieszają w tym miejscu, ciągnąc pasterkę. Dzisiaj obawia się, że może nie zdążyć. Pogonia więc powolne zwierzęta, bijąc różgą w czarno-białe zady, ale bydłeta się nie przejmują, bo wzdłuż pobocza rosną smakowite kępy ziół, po które akurat teraz trzeba sięgnąć. Zresztą nawet gdyby chciały mocno podbiec, utrudnia im to postronek oplatający rogi i łączący w ten sposób wszystkie trzy bydłeta, a jego koniec znajduje się w ręce Tili. Dziewczyna jest właśnie na drewnianym moście przerzuconym przez Obrzycę, kiedy słyszy gwizd pociągu nadjeżdżającego od strony Unruhstadt. Oddycha z ulgą. Jest za późno i za daleko, więc nie uda się jej wcześniej przepędzić krów przez tory, toteż nie musi się aż tak spieszyć.

Tuż przed przejazdem brukowana droga jest ograniczona z obu stron granitowymi, pomalowanymi na biało słupkami. Nieopodal przycupnął niewielki budynek kolejowej stacyjki. Właściwie to tylko poczekalnia dla podróżnych, ale kiedy spogląda się na nią zza torów od strony południowej, wygląda niezwykle urokliwie na tle zielonych łąk pełnych bydła, położonej dalej i rozciągniętej od wschodu na zachód wsi przytulonej do niewysokiego długiego wzniesienia poprzecinanego szachownicą pól i winnic, i kolejnego pasma ciemnozielonego lasu na horyzoncie. Niepokaźna budowla, będąca drewnianym szkieletem wypełnionym murem z czerwonej cegły, jest przykryta jednospadowym dachem. Podzielono ją na trzy części. Środkowa, największa, otwarta na południe to salka z dwoma dużymi oknami z tyłu. Ławki dla oczekujących ustawiono wzdłuż pobielonych od wewnątrz murów. Brak południowej ściany rekompensuje ażurowa drewniana konstrukcja, jaka zwykle zdobi ganki wiejskich domów. Po bokach rozmieszczono symetrycznie dwie mniejsze poczekalnie zamykane wysokimi, przeszklonymi u góry drzwiami. Pasażerowie wypatrujący przyjazdu pociągu z Züllichau mogą go zauważyć przez dwa duże okna umieszczone w zachodniej ścianie, gdy tylko wyłoni się z lasów pod Gross Schmöllen. Inni, których interesuje pojazd od strony Unruhstadt, zobaczą go przez takie same okna wschodniej poczekalni.

Spocona i zmęczona Tila wreszcie wprowadza zwierzęta do kopla^[31] i starannie zastawia wejście drewnianymi żerdziami. Rusza w drogę powrotną. Ma na sobie skromną kretonową sukienkę, którą matka uszyła kiedyś z dużym zapasem, dlatego na szarej tkaninie widać wyraźne ślady po kilkakrotnym odginaniu listwy i przedłużaniu ubioru. Nogi, najpierw zmoczone rosą, a potem okurzone pyłem drogi, są brudne aż po kolana. Dziewczyna zmierza w kierunku

przejazdu, machinalnie wywijając niepotrzebną już różgą. Nagle dostrzega na peronie smukłą, elegancką postać w bluzie piaskowego koloru, z czarną chustą na szyi i czerwoną opaską ze swastyką na białym polu na lewym rękawie. To Karl! Najchętniej skryłaby się w przydrożnych krzakach, ale gęste jeżyny skutecznie bronią do nich dostępu, zrezygnowana przyspiesza więc kroku, udając, że nie zauważyła chłopaka. Nic z tego! Karl stoi już przy przejeździe. Nie ma żadnego sposobu, żeby go niepostrzeżenie ominąć.

– Tila! – chłopak niemal zagradza jej drogę. – Zaczekaj.

Dziewczyna spuszcza wzrok, by uniknąć konieczności spojrzenia w błękitne oczy. Widzi czarne, idealnie czyste spodnie kończące się tuż przed kolanami, białe podkolanówki i lśniące, starannie wypastowane buty. Myśli z zażenowaniem o swoich brudnych stopach w starych powykrzywianych trzewikach i pragnie czym prędzej przemknąć obok upartego młodzieńca.

– Tila – powtarza Karl z prośbą w głosie. – Czemu się gniewasz? Co ja ci zrobiłem?

– Nic. Przepuść mnie. Nie mam czasu. – Dziewczyna przybiera minę pełną godności.

– Tila, nie wygłupiaj się. Przecież jesteśmy przyjaciółmi.

– Na przyjaciółach można polegać. – Dziewczyna z uporem wpatruje się w błyszczące w słońcu szyny, byle tylko nie widzieć twarzy Karla.

– Co masz na myśli? Wyłumacz mi, proszę. Skąd mam wiedzieć, co złego zrobiłem, jeśli nie chcesz mi niczego wyjaśnić.

– Muszę iść – wykręca się Tila. – Jak mnie ktoś z tobą zobaczy i powie mamie, znów dostanę karę.

– To wejdźmy do poczekalni. Następny pociąg dopiero za dwie godziny. Nikt nas nie zobaczy – proponuje.

– Nie. To nie wypada – broni się dziewczyna.

– Słuchaj, nie wsiadłem do pociągu, bo ujrzałem, że pędzisz krowy, i zostałem, zamiast jechać na obowiązkową zbiórkę. A ty nawet nie chcesz ze mną rozmawiać. Jeżeli będziesz taka uparta, pójdę za tobą krok w krok aż pod dom i wcale nie będę się zastanawiał, czy zobaczy nas pani Heckman albo twoja mama.

– Nie, tylko nie to! – Tila wie, że chłopak nie żartuje. – Mogę chwilę porozmawiać – zgadza się, czując, że nie ma innego wyjścia.

Wystarczyło kilkanaście minut, żeby wyjaśnić nieporozumienie. Tila przypomniała Karlowi, że przecież umówili się na kąpielisku, a on nie przyszedł. Uznała więc, że nie jest osobą, na której może polegać. W dodatku wtedy w lesie, kiedy wracały z Rosiną do domu, a on szedł się wykąpać, nawet jej nie przeprosił. Przeciwnie, zachowywał się tak, jakby nic się nie stało. Nie zdradziła jednak, jak bardzo czekała, że pojawi się nad rzeką, i jak dla niego narażała się na gniew matki, gdyby ta odkryła zamianę strojów kąpielowych.

– Przepraszam cię, Tila. Nie wiedziałem, że to dla ciebie takie ważne. Nie gniewaj się już na mnie – prosi chłopak.

– Nie gniewam się, ale naprawdę muszę iść. Już dawno powinnam być w domu.

– Idź, ale obiecaj, że przyjdiesz dzisiaj pod jabłoń – błaga Karl. – Przecież jutro znowu wyjeżdżam na długo.

– Dobrze, postaram się. Czeka tam na mnie, kiedy się ściemni.

Tym razem Tila prawie biegiem przemierza topolową aleję prowadzącą do wsi. Choć boi się, że matka zrobi jej burę za spóźnienie, czuje, jak rosną jej skrzydła u ramion.

Wieczorem spotykają się pod *swoją* jabłonią. Z początku rozmowa się nie klei. Tila jest pełna rezerwy, może z powodu żalu, który gdzieś jeszcze pozostał na dnie serca, albo dla zachowania twarzy. Karl opowiada z ożywieniem o obozie w Sudetach, o wycieczce do Berlina, o swoich planach na przyszłość, ale dziewczyna odpowiada zdawkowo, jakby niespecjalnie ją to interesowało. – Wciąż się na mnie gniewasz? Sądziłem, że już ci przeszło – pyta trochę zawiedziony Karl.

– Nie, nie gniewam się. Myślałam tylko, jakie ty masz ciekawe życie. Nie to, co ja. Też bym chciała gdzieś pojechać, zobaczyć inne miejsca, a muszę tu tkwić jak kołek w płocie. Każdy dzień jest taki sam, tydzień podobny do tygodnia. Kiedyś ojciec zabierał mnie ze sobą do babci do Berlina, ale od blisko dwóch lat tam nie byłam.

– Dlaczego?

– Tata mówi, że babcia nie ma czasu, bo wychowuje moich kuzynów. Ich mama, ciocia Ewa, jest poważnie chora. Dawniej często się odwiedzaliśmy. Bardzo lubię ciocię, jest taka mądra i miła.

– Co jej jest?

– Nie wiem. Rodzice nie mówią.

– Dziwne. Ale ty masz jeszcze jedną ulubioną ciotkę.

– Myślisz o cioci Jance? Przecież wiesz, że wyszła za męża i wyprowadziła się z naszego domu.

– Tak, wiem. Opowiedz mi o niej – prosi Karl. – Mówiłaś, że jest Polką. Dlaczego mieszkała u was?

– O, to bardzo długa historia.

– Mamy czas. Opowiedz – zachęca.

– Wspominałam ci kiedyś, że matka cioci Janki była Wendyjką. Jej krewni wciąż żyją w Altreben, ale ciocia nie utrzymuje z nimi kontaktów.

– Jak się nazywają? – Chłopak jest zaintrygowany.

– Nowotnikowie.

– Fiu, fiu! Jedni z najbogatszych gospodarzy!

– No właśnie. Mama cioci Janki zakochała się w biednym Polaku, który

pracował w Chwalimiu, ale jej ojciec za nic w świecie nie chciał się zgodzić na ślub, chociaż córka nie miała żadnego innego starającego się kawalera, a nie była już młoda. W końcu uciekła z domu i, co jeszcze bardziej rozgniewało jej ojca, zmieniła wyznanie na katolickie. Pobrali się już w Polsce.

– Jakiej Polsce? – irytuje się Karl. – Wtedy nie było żadnej Polski. To tylko wersalski wymysł.

– No tak. Zapomniałam. W każdym razie pobrali się i zamieszkali w Siedlcu w Wielkopolsce. Mama cioci Janki umarła zaraz po urodzeniu dziecka, a ojciec, ten Polak, Kaczmarek, miał jakiś wypadek przy koniach i jak ciocia miała trzy lata, też umarł.

– Pomyślałby kto, że to jakaś kara albo klątwa.

– No i kto to mówi? Ten, co zarzucał mi wiarę w zabobony? – przypomina z ironią Tila. – Nie, ja w to nie wierzę. Przecież takie małe dziecko nie jest niczemu winne. Później – kontynuuje opowieść – cioci została już tylko jej polska babcia, ale i ona po kilku latach umarła. Wtedy dziewczynkę przygarnęła jakaś ciotka. Przez cały ten czas moja prababcia Anna odwiedzała dziecko, bo kiedyś przyjaźniła się z mamą cioci Janki i w dodatku były jakoś ze sobą spokrewnione. I jak ciocia miała dziewięć lat, prababcia dogadała się z tą opiekunką i zabrała ciocię do nas.

– Po co?

– Nie wiem. Chyba było jej żal dziewczynki. Prababcia Anna zawsze postępowała tak, jak dyktowało jej sumienie. Nie oglądała się na innych. Pradziadek Matheus też taki był. I jeszcze prababcia obiecała tej Polce, że dopóki dziecko nie dorośnie, będzie chodzić do katolickiego kościoła. To dlatego ciocia jest katoliczką.

– Dlaczego rodzina z Altreben nie wzięła jej do siebie? – Karl uparcie draży temat.

– Oni się jej wyrzekli. Ten jej dziadek, Nowotnik, zabronił nawet wspominać o córce, a swojej żonie zakazał odwiedzania wnuczki. Chociaż dawno już nie żyją, to rodzina – kuzynowie i kuzynki cioci Janki – nigdy się do niej nie odzywa, nawet nie przywitają się, kiedy ją widzą.

– Wspominałaś, że ciotka często odwiedza swoją polską rodzinę. – Z jakiegoś powodu i to interesuje chłopaka.

– Tak, bo na cmentarzu w Siedlcu są groby jej rodziców i babci. W Siedlcu mieszka też stara ciotka, ta, u której jakiś czas była. Jedna z kuzynek żyje tu całkiem blisko, bo w Kopanicy. Ciocia Janka, kiedy tylko może, jeździ do rodziny do Polski, a o sobie mówi, że jest Polką.

– A tobie się to podoba?

– Dlaczego nie? Ciocia jest mi bardzo bliska. Mama bywa surowa, a cioci mogę wszystko powiedzieć. Żebyś ty wiedział, ile razy obroniła mnie przed karą! –

kończy opowieść Tila. – Na jak długo wyjeżdżasz? – Dziewczyna chce wiedzieć, zanim się rozstaną.

– Na trzy tygodnie. Wrócę pod koniec sierpnia. Tila... – mówi chłopak nieśmiało – mógłbym do ciebie pisać?

– Nie! Lepiej nie! Ojej! Co by to było, gdyby mama zobaczyła list od ciebie. Nie, Karl, to niemożliwe!

– Szkoda, ale chociaż obiecaj, że pomyślisz o mnie czasem – prosi.

– Obiecuję – przyrzeka zarumieniona nastolatka.

35

– Willi już dawno powinien był zrobić podorywkę – wzdycha zatroskana o stan swych pól Marta. Gospodyni wygląda przez kuchenne okno, skąd widzi wzgórze i ściernisko po zbożu zżętym prawie miesiąc temu. Myśl o zapuszczonym obszarze dręczy ją jak wyrzut sumienia. Trawa już przerosła rżysko, więc od czasu do czasu wygania się tam krowy. Opóźnienia w pracach polowych to wina choroby Williego. Marta kolejny raz zastanawia się nad zatrudnieniem nowego parobka, ale żal jej cierpiącego weterana. Zwleka, bo tak trudno podjąć ostateczną decyzję. „Porozmawiam z Walterem – postanawia. – Niech mi coś poradzi. W końcu to on mnie kiedyś namówił, żebym wzięła Williego do pracy. No tak, tylko że Walter drzemie. Chyba nie mam wyjścia, muszę poprosić kuzyna Hermanna Swadę o zaoranie pola. Jutro do niego zajdę, wracając z winnicy. A teraz? Co mam z sobą zrobić w to niedzielne popołudnie? – zastanawia się kobieta. – Może wezmę rower i pojedę do Janki? Nie – szybko rezygnuje. – Pewnie siedzą z Gustavem na ławeczce przed domem i obserwują gołębie. Będę się tam czuła jak piąte koło u wozu. Do kogo jeszcze mogłabym pójść? Wiem! Do Heleny!”

Kilka minut później przystaje przed furtką w płocie oddzielającym ogród Heleny Kliem od szosy. Tak jak posesja Marty, także i ta jest troszkę oddalona od głównego traktu. Jeszcze wszystko tonie w słonecznym blasku, ale wkrótce długie cienie sosnowego lasu położą się na kwiaty, krzewy i drzewa owocowe rosnące przed domem. Marta stąpa po ścieżce prowadzącej na tyły domu. Naprzeciw wybiega mały czarny kundelek, który głośnym szczekaniem oznajmia gospodyni przybycie gościa. Helena siedzi w altance. Uniosła już głowę znad robótki i czeka, kto wyłoni się zza rogu. Wizyty nie zawsze są przyjemne, dlatego na widok Marty wzdycha z ulgą. – To ty, Marto! Tak się cieszę! Już się bałam, że to któraś z tych plotkarek, co to lubi każdego obsmarować, a belki we własnym oku nie widzi.

– Czyżby ostatnio zaszła do ciebie słynna para Heckman – Kisch?

– One też, ale nie brak i innych. Czują się w obowiązku odwiedzać samotną wdowę i w razie czego po chrześcijańsku ją napomnieć – wyjaśnia rozgoryczona Helena.

– A co ci mają do zarzucenia?

– Wiesz, jak to jest. Od czasu do czasu muszę kogoś prosić, żeby mi coś naprawił. Odkąd nie ma Ernsta, wciąż jak na złość psują mi się różne rzeczy. Niedawno wołałam Martina Seiferta do hydroforu, innym razem potrzebowałam kogoś do osadzenia siekiery na obuch, bo stale spadała. Nawet dREW nie mogłam sobie narębać. Naprawdę ciężko samotnej kobiecie – wzdycha Helena.

– No tak, ale co mają do tego te różne panie?

– Jak to, co? Strzegą mojej cnoty! – śmieje się kobieta. – Boję się już prosić o cokolwiek, bo jak zjawia się tu jakiś mężczyzna, to nazajutrz mam na karku jego żonę albo myszkującą Kerstin Heckman – dodaje z goryczą. – Czy one nie rozumieją, że mam pięćdziesiąt lat i nie w głowie mi amory?

– Cóż, nie wiem, jak mam ci pomóc, Heleno. Na głupotę nie ma lekarstwa.

– Już dajmy temu spokój. Napijesz się kompotu?

– Chętnie, ale wcześniej pokaż mi, co haftujesz – prosi Marta.

Helena najpierw sprawdza, czy aby stół w altanie jest czysty, a potem rozkłada na nim śnieżnobiałą tkaninę misternie pokrytą białymi wzorami.

– Później tu – wskazuje palcem – wytnę materiał. To się nazywa haft richelieu – wyjaśnia. – Mam duże zamówienie. Obrusy, serwety i pościel. Bogate małżeństwo z Züllichau wydaje córkę. To jej wyprawa.

Potem obie kobiety idą do ogrodu. Marta, choć dumna jest ze swojego, z podziwem ogląda kwiaty i warzywa pani Kliem. Na tyłach domu znajduje się kolejna część przydomowych upraw. Warzywnik podzielony jest na dwie części. W każdej są posiane lub posadzone rośliny o podobnych upodobaniach glebowych, dodatkowo dobrane tak, by korzystnie oddziaływały na siebie. Wszystkie warzywa rosną bujnie. W królestwie Heleny nie brak niczego. Są tu oblepione czerwonymi kulami dorodne krzaki pomidorów, jędrne ogórki, sałata w różnym stadium wzrostu, pękate głowy kapusty, a dalej marchew, cebula i fasola. Od północnej strony rzędy rabarbaru, dalej krzewy agrestu, czerwonej porzeczki, a za nimi wysokie pędy malin. Gdzieniedzie warzywne zagony oddzielone są od siebie rabatami pełnymi różnokolorowych cynii, astrów, złocistych nagietków i pomarańczowo-brązowych aksamitek. Kiedy, doszedłszy do końca, odwracają się ku domowi, z piersi Marty dobywa się westchnienie zachwytu. Dopiero stąd widać, jak piękne jest otoczenie budynku i jak starannie zaplanowano nasadzenia drzew, krzewów i kwiatów.

– Skąd wiedziałaś, jak to wszystko zrobić? – pyta z podziwem i lekką zazdrością Marta.

– Nie myśl, że jestem taka mądra – śmieje się uszczęśliwiona Helena. – Nie mówiłam ci? W maju trzydziestego trzeciego roku byliśmy z Ernstem w Berlinie na wielkiej wystawie poświęconej niemieckiemu rolnictwu. Jej część stanowił specjalny dział: Dom wiejskiej gospodyni. Wielką rolę przykładano tam

do wszelkiego rodzaju porad dotyczących zakładania i prowadzenia ogrodu. Można było obejrzeć różne propozycje urzędzenia wiejskich ogrodów i porozmawiać ze specjalistami. Kiedy stamtąd wróciliśmy, postanowiliśmy, że całkowicie zmieniamy otoczenie domu. Cieszę się, że Ernst jeszcze zdążył zobaczyć rezultaty naszej pracy. Mam tylko trochę kłopotu ze zbytem warzyw. Nie mam czasu wozić ich do hurtowni. Muszę przecież uporać się z tą wyprawą.

– Chętnie ci pomogę. Ostatnio Janka wyręcza mnie w jeżdżeniu na targ. Mogą z Gustavem stać za straganem całymi godzinami. Deszcz czy słońce, dla nich najważniejsze, że są razem – śmieje się pobłaźliwie. – W dodatku dzięki Gustawowi towar łatwiej schodzi. Żartuje i zagaduje do klientek, jakby urodził się do handlu. Powiem Jance, żeby zabierali też twoje warzywa.

– Dziękuję. Wybawiasz mnie z kłopotu. Usiądźmy jeszcze – proponuje gospodyni. – Mam nową odmianę gruszek. Są pyszne. Musisz spróbować.

– Widziałam dzisiaj Tilę na nabożeństwie – mówi Helena między jednym a drugim soczystym kęsem. – Wyjątkowo ładna z niej dziewczyna. No i pobożna oczywiście – dodaje pospiesznie.

– Czy ja wiem, czy pobożna – zastanawia się Marta. – Trudno ją namówić na czytanie Biblii. Mam wrażenie, że robi to dla świętego spokoju. To samo z niedzielnym nabożeństwem.

– Już dawno zauważyłam, że z tygodnia na tydzień coraz mniej dziewcząt i chłopców w kościele. Rozmawialiśmy o tym z Ernstem. On twierdził, że partia nazistowska specjalnie odciąga młodzież od religii. Zwróciłaś uwagę, ile uroczystości odbywa się w niedziele? Albo jaką czcią otacza się Führera? Przecież to tylko człowiek, a nie bóg!

– Pastor powinien coś z tym zrobić, a on nic nie mówi, nie napomina, więc młodzi myślą, że tak wolno, tak być powinno. Wszak w psalmach Dawidowych napisano: *Błogosławiony lud, którego Bogiem jest Pan!*^[32] Pan! Heleno, a nie człowiek! Pamiętam, kiedy ja chodziłam do szkoły, czciliśmy cesarza. Ale nie aż tak! To był zwykły ludzki szacunek okazywany władcy. To, jak wielbiony jest Hitler, przechodzi ludzkie pojęcie! Tila opowiadała mi o ołtarzyku, który zrobiła w domu Hitlerowi jej koleżanka Bettina. Albo ta Emma Holzer! Chwali się, że rodzi dzieci dla Hitlera. Wstydu nie ma! Zastanawiam się czasem, co z tego wszystkiego wyniknie. Żeby kiedyś nie spotkała nas kara za to, że zapominamy o Bogu – wzdycha przygnębiona Marta. – No, na mnie już czas. Wieczorny obrządek czeka – odzywa się po chwili milczenia i podnosi się niechętnie z ławeczki w altanie.

– Dziękuję, że mnie odwiedziłaś. Zachodź częściej, tak mi smutno samej. Towarzystwo Rasmusa – Helena wskazuje na czarnego kundla wiernie wpatrzonego w oczy swej pani – mi nie wystarcza.

– Och, na pewno przyjdę. Tak dobrze z kimś szczerze porozmawiać!

Normalnie boję się otworzyć usta przy ludziach.

W kuchni zastaje Tilę i Rosinę, które ćwiczą udzielanie pierwszej pomocy rannym. Rosina właśnie owija długim bandażem głowę Tili. Nie wygląda to najlepiej, bo pas tkaniny zsuwa się na oczy dziewczyny. Mimo niepowodzenia, a może właśnie z jego powodu, obie zanoszą się beztroskim, radosnym śmiechem.

– Ewa? – Walter jest nieprzyjemnie zdziwiony. Właśnie wciągnął po schodach wyładowaną walizę i stanął zziębnięty przed drzwiami mieszkania matki. Otworzyła mu bratowa. – Co ty tu robisz? – zniża głos do szeptu i rozgląda się bojaźliwie po klatce schodowej.

– Witaj! – Ewa rozciąga usta w uśmiechu, ale jej oczy są poważne. – Może najpierw wejdiesz? W środku na pewno będziemy sami – dodaje z ironią.

Walter posłusznie przekracza próg, ale nie potrafi ukryć skrępowania. Uciekając wzrokiem na boki, stawia ciężki bagaż na błyszczącym parkiecie, zdejmując kapelusz i wiesza lekki płaszcz, który dotąd spoczywał na jego przedramieniu. Najchętniej cofnąłby się z powrotem za grube drewniane drzwi, byleby tylko uniknąć rozmowy z bratową.

– Odśwież się, a ja tymczasem przygotuję coś do jedzenia – proponuje Ewa. – Na pewno jesteś głodny.

Walter posłusznie idzie do łazienki. Wraca, stąpając cicho po miękkim dywanie. Dostrzega bratową w jadalni. Na stole już czeka posiłek, a z wygiętego dzióbka pękatego czajnika unosi się para. Ewa nie zauważa go, stoi zamyślona przy oknie i patrzy na ulicę. Wędrujące od wschodu słońce dopiero zaczyna zaglądać do pokoju. Nieśmiało przenika przez wykrochmalone siatkowe firany, oświetla delikatną twarz kobiety, odbija się w piwnych oczach i tworzy aureolę z niesfornych czarnych włosów, które nie dały się ujarzmić spinkami.

– O, już jesteś? A ja patrzyłam, czy mama z chłopcami nie wraca – wyjaśnia trochę speszona, kiedy wreszcie go dostrzega.

– No właśnie, gdzie są wszyscy? Pisałem, że przyjadę. Czyżby depesza nie doszła?

– Doszła, ale dzisiaj jest przecież niedziela. Sabina zabrała chłopców na nabożeństwo. Normalnie pozwoliłaby im dłużej pospać, ale w południe Arnold idzie na ćwiczenia Jungvolku. Znasz swoją matkę, nie wyobraża sobie życia bez niedzielnego nabożeństwa.

– To dlatego tu jesteś? Żeby nie czekał pod drzwiami?

Ewa unosi lekko brwi. – Tak. Właśnie tak, nie ma innego powodu. Ale właściwie dlaczego wciąż stoisz? Siadaj. – Kobieta odsuwa krzesło i wykonuje zapraszający gest. Potem nalewa herbatę do porcelanowej białej filiżanki z różowym motywem kwitnącej wiśni.

– Nie znam tego serwisu. To chyba nie nasz – dziwi się Walter.

– Należał do poprzednich lokatorów. Zostawili w mieszkaniu całe wyposażenie.

– Gdzie są teraz? – pyta mężczyzna bez szczególnego zainteresowania.

– W Argentynie.

– Pewnie było im żal zostawiać takie ładne mieszkanie.

Siedząca naprzeciwko bratowa znowu rzuca mu pełne zdziwienia spojrzenie.

– Na pewno było im trudno, ale ja myślę, że i tak są szczęściarzami. Chętnie bym się z nimi zamieniła.

– Często tu bywasz? – Walter pospiesznie zmienia temat.

– Teraz przychodzę w każdą niedzielę. Z początku bałam się, że znowu sprowadzę kłopoty na moje dzieci, ale widzę, że tu wszyscy są zajęci swoimi sprawami i nikt nie zwraca na mnie uwagi. Ustaliliśmy z Sabina, że gdyby ktoś pytał, kim jestem, powie, że uczę chłopców gry na pianinie. Bo tak jest w istocie. Nie chcę, by stali się ludźmi palącymi książki na stosach. – Ewa widzi, jak Walter gniewnie marszczy brwi, ale ciągnie dalej. – Christian i Arnold zwykle w niedziele mają więcej czasu. Ja też w tygodniu pracuję i widuję ich rzadko. Stąd moja tu obecność. Odniosłam wrażenie, że niezbyt ucieszyłeś się na mój widok – mówi zaczepnym tonem.

– Nie dziw się. Ustaliliśmy przecież, że ograniczysz spotkania z dziećmi. To dla ich dobra! – Twarz mężczyzny pokrywa się rumieńcem gniewu.

– Łatwo ci tak mówić! – Ewa też nie potrafi opanować emocji. – Ty żyjesz inaczej. Uważasz, że należysz do ludzi lepszej kategorii, więc masz prawo mówić, co mi wolno. Tęsknię do moich synów. Im też brakuje matki. W tej chwili nie widzę żadnego zagrożenia. Dość zła spotkało Niemców żydowskiego pochodzenia. Może to już wystarczy!

– Rób, jak chcesz. – Walter gwałtownie odsuwa od siebie pusty talerz. – Tylko nie przysyłaj potem do mnie matki, żebym was ratował.

– Nie prosiłam o nic dla siebie. Pomogłeś bratankom i swojej matce – mówi twardo kobieta. – Poza tym, gdyby nie twoja ukochana partia, nie spotkałoby nas nic złego.

Kłótnię przerywa powrót Sabiny z wnukami. Christian jak zawsze z radością rzuca się w ramiona stryja, a Arnold, usiłując zrobić wrażenie, że jest dorosłym mężczyzną, z powagą podaje mu rękę.

Ewa stoi przy ścianie. Nikt nie okazuje zainteresowania szczupłej bladej kobiecie w czarnej, zbyt obszernej sukience. Walter, czyniący jej przed chwilą wyrzuty, teraz zachowuje się jak człowiek kochający swą rodzinę. Wypytuje o wszystko, chwali chłopców, że tak wyrosli i zmeźnieli, z troską pyta matkę o zdrowie, rozdaje upominki.

Młoda kobieta jak cień wymyka się z pokoju, zdejmując z wieszaka prochowiec i cicho zamyka za sobą drzwi. Dopiero po jakimś czasie Christian, chcący coś powiedzieć matce, zauważa z żalem, że już jej nie ma.

– Nawet się nie pożegnała – oburza się Arnold.

– Mama na pewno nie chciała nam przeszkadzać – tłumaczy chłopcom Sabina.

– Zawsze zostawała na obiad, a potem graliśmy na pianinie. Dlaczego dzisiaj wyszła tak szybko? – młodszy z chłopców jest bliski płaczu.

– Christianie – babka kładzie mu ręce na ramionach i patrzy w oczy z powagą – wiesz przecież, że mama chciałaby mieszkać z wami, ale nie może. Tłumaczyłam wam dlaczego. Dzisiaj zostałyby dłużej, ale na pewno nie mogła. Czyżbyś nie ufał mamie? Nie wierzysz, że robi to, co musi?

– Już dobrze, babciu – wzdycha z rezygnacją chłopiec. – Wierzę mamie. Po południu sam poćwiczę na pianinie.

Arnold przygląda się tej scenie z ironicznym uśmiechem, potem wychodzi do innego pokoju.

Po obiedzie Walter zaproponował starszemu z chłopców, że odprowadzi go na miejsce zbiórki niedaleko pałacu Charlottenburg. Po powrocie zmęczony nocną podróżą i długim spacerem zanurza się w miękkim fotelu z zamiarem ucięcia krótkiej drzemki, ale przeszkadza mu monotonne bębnienie w klawiaturę dochodzące z sąsiedniego pokoju, a i rozmowa z Ewą siedzi w głowie i nie daje spokoju. Kiedy więc matka, niosąca do salonu tacę z kawą, chce się wycofać na widok odpoczywającego syna, Walter woła: – Wejdz! Nie śpię!

– Pewnie Christian ci przeszkadza. Powiem mu, żeby przestał.

– Nie, nie. Niech ćwicz. Wyśpię się w pociągu.

– Masz jeszcze dużo czasu. Połóż się trochę – nie daję za wygraną matka.

– Nie, lepiej porozmawiajmy. Powiedz mi, z czego żyje Ewa?

Sabina nalewa kawę do filiżanek i dopiero wtedy siada na kanapie. – Nie rozmawiałeś z nią? – Starsza pani jest bardzo zaskoczona.

– Naturalnie, że tak, ale akurat nie o tym.

– Ewa pracuje. Jako Żydówka może być zatrudniana tylko przez innych Żydów. Są jeszcze tacy, którzy chcą uczyć swoje dzieci gry na fortepianie i śpiewu. Dwa razy w tygodniu pomaga w zakładzie krawieckim. Płacą jej niewiele, ale daje sobie radę. Nigdy się nie skarży.

– Na pewno ma jeszcze coś ze sprzedaży mieszkania.

– Nie wiesz, ile płacą Żydom za nieruchomości? Symboliczne pieniądze. To jest rabunek w białych rękawiczkach.

Ponieważ Walter nie odpowiada, matka dodaje takim tonem, jakby miała do syna pretensje: – Ewa nie ma żadnych oszczędności. O co ją podejrzewasz? Wszystko, co dostała za mieszkanie, oddała mnie, dla chłopców.

– Skoro tak mówisz. – Wynajmuje pokój w takiej kamienicy, w której mieszkają sami Żydzi. Oszczędza na wszystkim. Nie zauważyłeś, jak marnie wygląda?

– Dobrze! Skończmy z tym. Mam już dość mówienia o Ewie – ucina zniecierpliwiony mężczyzna. – Wiesz, że Tila chciała cię koniecznie odwiedzić? Obraziła się, że jej ze sobą nie zabrałem.

– Wujku. Dlaczego nie wziąłeś do nas Tili?

Matka z synem jednocześnie spoglądają w stronę drzwi, gdzie w progu stoi Christian.

– Tila musi pomagać mamie i uczyć się prowadzenia gospodarstwa. Nie ma czasu na wycieczki – odpowiada chłopcu Walter.

– To czemu my nie jeździmy do was do Chwalimia na wakacje jak dawniej?

– Christianie – babka marszczy gniewnie brwi – daj spokój stryjowi. Nie widzisz, że chce odpocząć przed wyjazdem? Chodź ze mną do kuchni. Dostaniesz podwieczorek.

Walter zostaje sam. Wie, że nie ma już mowy o drzemce. Jest zły na siebie, że przyjechał, i na matkę, gdyż doprowadzając do spotkania z Ewą, postawiła go w niezręcznej sytuacji, a na samą bratową najbardziej, bo zamiast być mu wdzięczna za pomoc, robiła mu wyrzuty.

37

W czasie, kiedy Walter siedzi skwaszony w salonie matki, Marta z Tilą jadą na rowerach w odwiedzinach do Janki i Gustava. Minęły dwa miesiące, odkąd kuzynka zamieszkała na drugim końcu wsi. Od czasu do czasu Tila albo Marta wstępowały tam na chwilę, najczęściej w drodze powrotnej z cmentarza, ale dzisiaj, w ostatnią niedzielę sierpnia, jadą na specjalne zaproszenie. Janka właśnie skończyła urządzać swój dom i uznała, że przyszedł czas, by się nim pochwalić. Pod wpływem suchego wschodniego wiatru poruszają się gałęzie lip i akacji, a szum i szelest jest tak głośny, że nie słyszą zbliżającej się kolumny wojskowych samochodów. Zauważają ją dopiero, kiedy pierwsza ciężarówka wyłania się zza zakrętu tuż przed nimi. Pojazdy zajmują całą szerokość wąskiej brukowanej drogi, więc obie kobiety pospiesznie zeskakują z rowerów i przystają na poboczu. Potem ruszają dalej, by wreszcie dotrzeć do miejsca, gdzie trzeba skrócić w prawo i szeroką piaszczystą ścieżką trafić do celu.

Marta nie wiadomo który już raz patrzy na dom Zuchanków, swoich dziadków ze strony matki. Jest prawie identyczny jak budynek, w którym mieszkała Paula Bruse, i podobny do wielu już dziś nieistniejących domów chwalimskich winiarzy – mały, trzyizbowy, z wejściem od podwórza i z szaroniebieskimi okiennicami – skromny w porównaniu z okazałymi murowanymi domami współczesnych mieszkańców wsi. Gustav przy pomocy Williego otoczył go wiosną nowym płotem, odświeżył wapnem ściany, a jego żona obsadziła kwiatami. Teraz z daleka przyciągają wzrok różnokolorowe malwy, których jednoroczne sadzonki przywiozła Janka od ciotki z Polski. Z tyłu, gdzie ta część miejscowości mocno przybliżyła się do długiego wzniesienia ciągnącego się od Grossdorf, widać sady owocowe należące do Gustava Nowaka i do Wilhelma Klenke, a także winnicę Emmy Gutsche.

Janka już dostrzegła przez kuchenne okno nadchodzących gości, więc czym prędzej wychodzi na próg.

– Gustav! – woła. – Gustav, już są! Chodź do domu!

Potem, nie sprawdzając, czy mąż posłuchał wezwania, spieszy do furki, żeby powitać krewniaczki.

– Gość w dom, Bóg w dom – zaprasza po polsku zarumieniona ze szczęścia.

Wchodzą do dobrze znanej sieni, w której stoi kilka sprzętów gospodarskich równo ustawionych pod ścianą. Po prawej mają drzwi do większego pokoju, a po lewej do mniejszego. Na wprost znajduje się wejście do kuchni. Są tu także wąskie drewniane schody prowadzące na strych. Jeszcze nie zdążyły przekroczyć progu pokoju, jak coś przesłoniło im wpadające z dworu światło.

– Pięknie! – słyszą. – Zaprosiła na podwieczorek dwie szlachetne panie, ale nie wie, że gościom podaje się herbatę w salonie, a nie w ciemnym korytarzu.

W samym wejściu do domu stoi Gustav, pochylony, by nie uderzyć głową o futrynę. Niby przygania żonie, a ona udaje, że robi obrażoną minę, ale Marta z lekkim ukłuciem zazdrości zauważa, ile czułości i wzajemnego oddania jest w oczach i uśmiechach małżonków.

– Jakaś taki mądry, prowadź do salonu – przekomarza się Janka. – Tylko to gołębie gniazdo, co je masz na głowie, zostaw na podwórku.

Gustav sięga dłonią do włosów i wyciąga z nich źdźbło słomy. – Już?

– Nie! Schyl się – pogania małżonka Janka.

Wysoki mężczyzna zgina się wpół przed okrągłą, niską kobietą, a ta delikatnie wybiera mu z czupryny dwa gołębie piórka ledwie widoczne pomiędzy siwizną.

W pokoju nazwanym żartobliwie salonem stoi duży stół przykryty kwiecistym obrusem, a przy nim sześć krzeseł. Pod ścianą gospodarze umieścili wysoką szafkę z przeszklonymi drzwiami. Za szybą prezentują się równiutko ustawione filiżanki i serwis obiadowy, który dostali w prezencie ślubnym od dzieci Gustava. W rogu znajduje się wąskie jednoosobowe łóżko, starannie zaścielone i przybrane ułożonymi w piramidę poduchami, ubranymi w białe wykrochmalone falbaniaste i zdobione mereżkami poszewki.

– Gdzie macie Waltera? Nie chciał nas odwiedzić? – dopytuje się Gustav.

– Nie, nic podobnego. Naprawdę zamierzał przyjść do was, ale musiał nagle jechać do Berlina – wyjaśnia Marta. – Planował odwiedzić matkę za tydzień, ale w piątek dowiedział się, że w przyszłą niedzielę członkowie partii z całego powiatu będą mieć jakieś ważne spotkanie w Züllichau i wszyscy mają być obecni. Sam był zdziwiony, bo nikt nie wie, o co chodzi. Wieczorem wysłał do matki depeszę, że przyjeżdża wcześniej. Ja też miałam kłopot, bo w wielkim pośpiechu musiałam szykować prowiant dla teściowej. Myślałam, że Janka ci powiedziała – dodaje.

– Och, zapomniałam – mówi gospodyni wchodząca właśnie z talerzem

pełnym drożdżowego placka ze śliwkami i kruszonką. – Chciałam cię wczoraj uprzedzić – zwraca się do męża – ale natknęłam się na tę biedną Łucję i zupełnie mi z głowy wyleciało.

– Którą Łucję? – nie rozumie Marta.

– Potem ci powiem, teraz jedzcie placek. Sama piekłam i, nie chwaląc się, udał się nadzwyczajnie.

Rzeczywiście, żółciutkie, puszyste, pachnące wanilią ciasto znika błyskawicznie z talerza. Później następuje dalszy ciąg podziwiania. Najpierw gospodarze prowadzą do kuchni, w której każde możliwe miejsce na ścianie zajmują wykrochmalone makatki haftowane w różne wzory i zawierające przysłowia albo złote myśli, a potem do drugiego pokoju, czyli sypialni. Króluje w niej przykryte ozdobną kapą małżeńskie łóżko, a nad nim duży obraz przedstawiający Maryję i Józefa z Dzieciątkiem. Pod intensywnie niebieskim niebem Matka Boża i jej mąż trwają pochyleni w nienaturalnych pozach nad zawiniętym w pieluszki sporych rozmiarów Jezuskiem, a za nimi rozciąga się szeroka panorama zielonych łąk i lasów. Na szczęście Marta tłumi uśmiech na ten widok, bo Janka wskazuje z dumą na obraz i wyjaśnia:

– Dostałam od ciotki do nowego domu. Piękny, prawda?

Tila z matką gorliwie kiwają głowami, a Marta zastanawia się przy tym, co by na to powiedziała babka Zuchankowa – gorliwa luteranka.

– A teraz do gołębnika! – Gustav szerokim gestem wskazuje wyjście na podwórko.

– O nie, nie będziesz mi gości prowadził do tej klatki. Mowy nie ma – mówi Janka zdecydowanym tonem.

– Ale ja chcę! Nigdy nie byłam w gołębniku! – woła Tila. – Wujku, są tam malutkie pisklęta?

– Nie takie malutkie, ale są młode gołąbki. Zapraszam szanowną panienkę do mego królestwa. – Gustav dwornie podaje ramię Tili, a ona, prostując się i wysuwając do przodu pierś, daje się wieść przez podwórze ku drabinie prowadzącej na stryszek małego budynku gospodarczego.

– Ja wejść pierwszy, żeby panienka sukienki nie musiała przytrzymywać, wspinając się na drabinę. – Mówiąc to, wesoło mruga do dziewczyny, a ona śmieje się radośnie.

Na górze do uszu Tili dochodzi niezbyt głośna, ale ożywiona rozmowa gołębi i intensywny zapach ptasich odchodów. Większą część strychu zajmuje drewniana klatka wyglądająca jak sporej wielkości pomieszczenie.

– Chcesz do nich wejść? – pyta Gustav.

– Tak! – Dziewczyna nie może zmarnować takiej okazji.

Mężczyzna otwiera drzwi i wchodzi oboje do środka. Natychmiast otacza ich chmara spłoszonych gruchających gołębi, które zerwały się i uniosły z szumem

skrzydeł. Zobaczywszy jednak, że to tylko ich przyjaciel, siadają uspokojone – jedne wracają do któregoś z licznych małych pokoików, inne opadają na ramiona albo głowy Gustava i Tili. Mimo że to klatka, nawet wysoka osoba może stać w niej zupełnie swobodnie, dlatego stamtąd nie wychodzą. Gołębiarz opowiada o swych gdańskich sokołach^[33], tłumaczy coś, pokazuje to jednego, to drugiego, podaje do ręki, a zachwycona dziewczyna słucha, ostrożnie obejmuje dłońmi białe kule, przeciąga delikatnie palcami po białej puszystej koronce i zagląda ciekawie w perłowe oczy.

A na podwórku, na drewnianej ławeczce, oparte o mur siedzą Janka z Martą.

– Ach, jak tu dobrze. – Marta wystawia twarz ku słońcu. – Aż mi się nie chce wracać do domu. Wiesz, zawsze czuję się dziwnie, przychodząc tutaj. Jeszcze pamiętam babcię, jak wygrzewała się na tej ławeczce i patrzyła na winnicę, czy aby dobrze zadbana.

– Tak, ja też z początku czułam się trochę nieswojo, ale to dlatego, że wcześniej Gustav mieszkał tu ze swoją pierwszą żoną, i chociaż ona umarła w szpitalu, to wydawało mi się, że wciąż gdzieś tu jest. Poza tym nie wiedziałam, czy on nie porównuje mnie jakoś do tamtej. Byli ze sobą wiele lat, wychowali dzieci, tyle ich łączyło. A ja? Kim właściwie jestem dla niego?

– Co ty mówisz? Przecież on świata za tobą nie widzi! – śmieje się Marta.

– Też mi się tak czasem wydaje – spuszcza skromnie oczy Janka. I jakby skępowana kierunkiem, w którym poszła rozmowa, pyta:

– Pamiętasz? Wspomniałam niedawno o Łucji.

– No właśnie. O co chodzi?

– Nie chciałam mówić przy Tili. – Janka ścisza głos. – Wiesz, że naprzeciwno, po drugiej stronie drogi mieszka moja kuzynka Łucja. Teraz nazywa się Krüger, ale z domu jest Nowotnik. Tak jak cała moja rodzinka udaje, że mnie nie zna. Wczoraj, jak wracałam od ciebie, akurat szła z najmłodszą dziewczynką od strony tych łąk za cmentarzem. Żebyś widziała, jak ona wyglądała! Zbita na kwaśne jabłko!

– Co ty mówisz?! Może się uderzyła albo z czegoś spadła?

– To chyba musiałyby wciąż z czegoś spadać, bo to nie pierwszy raz. Ja myślę, że mąż ją tak tłucze – mówi gniewnie Janka. – Kiedyś pobije ją na śmierć.

– Może zawiadomić policję albo jakiś urząd? – proponuje Marta.

– Nie wiem, czy to pomoże. Zresztą jest wystraszona, więc i tak pewnie by zeznała, że krowa ją kopnęła. Chciałam do niej zagadać, ale jak tylko zobaczyła, że idę w jej kierunku, czmychnęła do bramy i tyle ją widziałam.

– Mamo! – woła Tila ze szczytu drabiny. – Chodź! Musisz zobaczyć, jakie śliczne gołębie ma wujek Gustav!

– Innym razem! Złaż stamtąd. Musimy wracać. Krowy same się nie podoją.

Powrotna droga nie należy do łatwych, bo tym razem wiatr wieje im prosto

w twarz. Z początku pedału ją z wysiłkiem, przytrzymując jedną ręką sukienki, by powiew nie odsłonił nóg zbyt wysoko, ale w końcu rezygnują z jazdy i prowadzą rowery. Każda o czymś myśli, idą więc w milczeniu. Marta porównuje swoje stadło ze związkiem kuzynki. Zazdrości pięknych uczuć wzajemnie okazywanych na każdym kroku przez oboje małżonków. Uświadamia sobie z goryczą, że Walter jest dla niej czuły i dobry tylko wtedy, gdy czegoś chce. Kiedy osiągnie swój cel, staje się obojętny albo znudzony.

– Mamo – przerywa jej rozmyślenia Tila. – Czy stary człowiek może się zakochać?

– Co? O kim ty mówisz?

– O cioci Jance i wujku Gustavie.

– Przecież oni nie są starzy. – Marta karci córkę. – Ciocia nie ma nawet pięćdziesięciu lat.

– Sama kiedyś mówiła, że jest stara.

– Wiesz co, Tila – Marta śmieje się nieoczekiwanie – kobiety już takie są. Mówią czasem, że są stare, ale wcale tak nie uważają.

– No to mogą się zakochać czy nie? – Córka nie daje za wygraną.

– A jak ty myślisz? Widziałaś przecież ich oboje dzisiaj.

– Ja myślę, że mogą. Nawet mocno. Tak na całe życie.

38

Coś obudziło Martę. Otwiera oczy i rozgląda się po pokoju. Jest jeszcze ciemno, przewraca się więc na drugi bok, przeciąga lekko pierzynę na swoją stronę łóżka i tak otulona próbuje zasnąć. Walter cicho pochrapuje, ale nie to wybiło ją ze snu. Leży wsłuchana w ciszę, ogarnięta nagłym, niezrozumiałym niepokojem. Wreszcie jej ucho wyławia nieznany niski dźwięk – dalekie, ledwie słyszalne, jednostajne buczenie. „Co to może być?” – zastanawia się, a senne dotąd oczy otwierają się szeroko i wpatrują intensywnie w mrok za oknem. Nie znajdują tam żadnej odpowiedzi.

Wstaje jak zwykle o świcie i przystępuje do codziennych obowiązków. Chwilami wydaje się jej, że znowu to słyszy, na przykład wtedy, gdy z pełnym wiadrem przemierza podwórze. Zatrzymuje się na środku i patrzy wokoło. Przecież nic się nie dzieje. Koty piją ciepłe mleko z miseczki, Lotte cicho rzy w stajni, stuka metalowa zapadka w bramce wiodącej na podwórze i jak zwykle o tej porze pojawia się Janka prowadząca rower.

– Czy ty słyszysz to co ja? – woła w stronę kuzynki.

– Ten dźwięk? Tak. Zaczęło się przed świtem – odpowiada równie zaniepokojona. – Gustav powiedział, że to chyba samoloty.

– Samoloty? Dokąd miałyby lecieć przez tyle godzin? W dodatku musi być ich strasznie dużo.

– Skąd mam wiedzieć? – Janka jakby traciła zainteresowanie tematem. – Bierzmy się do pracy. Pewnie to jakieś ćwiczenia. Nie ma się czego bać.

Marta zamyka właśnie kanę z mlekiem, kiedy do letniej kuchni wchodzi zdenerwowana Janka.

– Warchlaki są chore. Chodź, zobacz sama.

Gospodyni zostawia robotę i prawie biegiem rusza przez podwórze do chlewu. Po drodze natyka się na zaspaną córkę, więc każe jej wystawić mleko i wygonić krowy na pastwisko.

„Może tylko się przejadły” – stara się uspokoić siebie samą, wchodząc między kojce. W pierwszym po prawej stoi wielka maciora, w dwóch następnych po pięć warchlaków, a w ostatnim dwa wieprzki, które wkrótce zostaną sprzedane w ramach obowiązkowych dostaw.

Na widok chorych zwierzaków Marta porzuca nadzieję. Czteromiesięczne świnki zagrzebane w słomie nie wykazują żadnego zainteresowania korytem pełnym jadła. Niektóre na widok wchodzącej gospodyni z przyzwyczajenia próbują się podnieść, ale nie mogą dźwignąć zadków, patrzą tylko przekrwionymi oczami, jakby prosiły o litość. Na udach, brzuchach i uszach kobieta dostrzega krwawe plamy.

– Różyca – wzdycha z rezygnacją. – Wiedziałam, że coś się stanie. Już w nocy to przeczuwałam.

– Co robić? – Janka jest gotowa do działania. – Mam jechać po weterynarza?

– Jedź. Może chociaż coś się uratuje.

Po śniadaniu i wyprawieniu Waltera do pracy z niecierpliwością wygląda weterynarza, więc kiedy słyszy, że ktoś otwiera furtkę, szybko wychodzi na spotkanie. Okazuje się, że to tylko listonosz Heinz przyniósł kartkę pocztową. Marta stoi przy płocie i obraca ją w ręce ze zdziwieniem, jakby to była wiadomość z innego świata. Z jednej strony widzi piękny pejzaż z potokiem płynącym w górskim wąwozie, a z drugiej pozdrowienia od Lisy i Paula z wypoczynku w górach Harzu. „Jest przepięknie – pisze siostra. – Wędrujemy po górach, wypoczywamy i objadamy się pysznymi tutejszymi potrawami”.

Zanim weterynarz Matthies dotarł z Unruhstadt i podał lekarstwa, trzy warchlaki przestały się już podnosić na przednie nogi. Leżą wyciągnięte i dyszą ciężko, obojętne na wszystko. Marta i Janka wciąż siedzą w chlewie, poją wodą chore świniaki i wlewają im do pysków rozcieńczone leki.

Właśnie wyciągają na podwórze pierwsze padłe zwierzę, kiedy Walter wraca z pracy. Odstawia rower i pędzi do domu.

– Zobacz! – skarży się żona. – Zdechł. Taka strata! A to na pewno nie ostatni.

– Daj mi spokój! To nieważne! Muszę posłuchać radia. – Walter opędza się jak od uprzykrzonej muchy.

– Jak to nieważne! – woła Marta z gniewem. – Warchlaki zdychają, a dla ciebie to nieważne?

Walter zatrzymuje się na stopniach ganku i obraca w stronę żony. – Jest wojna! – krzyczy. – Przestań mi zawracać głowę głupimi świniami!

– Zawsze taki byłeś. Nie obchodziły cię moje sprawy! – wyrzuca z siebie kobieta. Nagle, jakby dopiero teraz dotarły do niej słowa męża, mówi: – Wojna? Jest wojna? – powtarza pobladłymi ustami. – Jaka wojna? Co ty opowiadasz? Zobacz, jaki wszędzie spokój. To na pewno jakaś pomyłka. To tylko świniaki są chore – kończy niepewnie.

– Ja nic z tego nie rozumiem – odzywa się Janka. – Wytłumacz nam, kto z kim walczy i o co?

– Twoi Polacy doprowadzili do tego! Sprowokowali Niemcy i dostaną za swoje. – Twarz Waltera wykrzywia brzydki grymas.

– Polska napadła na Niemcy? – Oczy Janki robią się okrągłe ze zdumienia. – Sam mówiłeś niedawno, że Polacy mają słabe wojsko. Po co mieliby na kogoś napadać? – Kobieta nagle doznaje olśnienia: – Ten hałas w nocy to były polskie samoloty!

– No chyba żartujesz! To były nasze bombowce i myśliwce lecące na Polskę – wyjaśnia z dumą mężczyzna, po czym znika w domu, spiesząc się do radia.

– To w końcu kto na kogo napadł? – pyta bezradnie Janka, zwracając się do osłupiałej Marty.

Nazajutrz Marta, jadąc po chleb do piekarni, widzi, jakie wrażenie zrobiła na ludziach wiadomość o wojnie. Zwykle po załatwieniu sprawunków wracali szybko do pracy, a dzisiaj stoją przy sklepie albo przy płocie i rozmawiają. Wszyscy są bardzo poważni i zatroskani. A Greta Kisch, która, gdy tylko znalazła odpowiednie forum, wygłaszała pełne uwielbienia tyrady na cześć Hitlera, stoi w kolejce po pieczywo cicha i przygaszona. Kiedy wychodzi z chlebem, jedna z kobiet pyta:

– Co się stało Grecie? Wyglądała na chorą.

– Nie wiesz? – odpowiada inna. – Jej dwaj synowie są w wieku poborowym. Może już dostali wezwanie.

– A jak Polacy tu przyjdą? Mieszkamy tak blisko granicy, że mogą nas wszystkich nocą pozabijać.

– Nie ma się czego bać. To raczej oni niech się nas boją – rzuca zaczepnie Klara Stein.

– Mój Boże. Na co komu ta wojna potrzebna. Nie mogło być jak dotąd? Żyliśmy sobie spokojnie – wzdycha Ella Neumann.

– Cicho bądź, Ella – odzywa się milcząca dotąd Helena Kliem. – My kobiety – mówi, rozglądając się wokół – nie znamy się na polityce i nie powinnyśmy o niej rozmawiać.

– Tak, tak, dobrze mówisz, Heleno – potwierdzają kobiety. Po czym, dokonawszy zakupu, pospiesznie wracają do domu. A jeśli któraś chce zamienić jeszcze parę zdań lub podzielić się troską, robi to w towarzystwie najbliższej przyjaciółki, do której ma pełne zaufanie.

W drodze do domu Marta zauważa, że kilku weteranów wojennych wyciągnęło swe mundury i paraduje po wsi. Walter też pojechał do pracy w partyjnym uniformie. W południe gospodyni jeszcze raz wyrusza rowerem, ale tym razem do miasteczka, żeby kupić środki do dezynfekcji chlewa. Mimo pięknej, ciepłej aury podróż okazuje się ryzykowna, gdyż drogą co rusz przemieszczają się wojskowe pojazdy i kobieta wciąż ucieka na pobocze, bo boi się potrącenia.

W Unruhstadt panuje ten sam poważny nastrój. I choć wydaje się, że jest to sobota taka jak zawsze, bo centrum miasta pachnie drożdżowym ciastem, a gospodynie niosą do domów blachy z plackiem upieczonym w piekarni, to wszyscy zdają sobie sprawę, że stało się coś nieodwracalnego. Tak jak w Chwalimiu, i tu niektórzy kombatanci wyszli na ulicę w mundurach. Zwykle wkładają je podczas świąt narodowych i państwowych, ale widocznie dzisiaj są szczególnie patriotycznie usposobieni.

Jeszcze przez kilkanaście następnych dni Niemcy z niepokojem patrzą w niebo, słysząc samoloty. Boją się, że to sojusznicy Polski – Wielka Brytania i Francja nadlatują. Niektórzy pędzą do domu po lornetki. Oddychają z ulgą, widząc czarne krzyże na skrzydłach. Dla nich oznaczają one bezpieczne, przyjazne niebo. Nawet najbardziej bojaźliwi muszą przyznać, że ta wojna nie jest niczym strasznym, a życie toczy się swoim rytmem.

39

Po zwycięskiej wyprawie na Polskę niektórzy żołnierze zaczęli powracać do domów. Co prawda tylko na krótkie urlopy, ale ich pojawienie się we wsi staje się od razu sensacyjnym wydarzeniem. Właściciele wszystkich chwalimskich gospód ogłosili, że *nasi bohaterscy chłopcy* nie muszą płacić za zamówione dla siebie napoje. Była w tym ukryta intencja, bo obecność takiego zaprawionego w boju chwata przyciągała licznych klientów. Młodzi – dziewiętnasto- i dwudziestoletni żołnierze byli też gwiazdami heimatabendów. Na sobotnich spotkaniach poświęconych zwykle historii Rzeszy, pieśniom i legendom o germańskich bohaterach oraz wiedzy o partii nazistowskiej, jej ideologii i przywódcach, młodzież spotykała się teraz z żywymi *herosami* – chłopcami niewiele starszymi od niej.

Ponieważ w gospodzie Röhra znajduje się sala mogąca pomieścić co najmniej kilkadziesiąt osób, właśnie tam w październikowe popołudnie zgromadzili się członkowie Hitlerjugend – chłopcy i dziewczęta – aby wysłuchać frontowych opowieści. Na tle wielkiej nazistowskiej flagi i portretu Führera

za stołem przystrojonym bukietem jesiennych kwiatów siedzą: Otto Kluge, Hans Pawlowski i Alfred Schulz.

Najwięcej mówi Alfred, który służy w wojskach pancernych. Już samo to powoduje, że czuje się trochę lepszy od kolegów – zwykłych piechurów. Poza tym jego prawa ręka wspiera się na temblaku, co dodatkowo przydaje mu chwały. Alfred walczył w największej bitwie polskiej kampanii, w okolicach rzeki Bzury. Opowiada o toczących się wiele dni zmaganiach, o Polakach, którzy, choć słabo uzbrojeni, stawiali zacięty opór, o tym, jak on sam wiele razy otarł się o śmierć, i wreszcie o chwili, kiedy jego samochód pancerny został trafiony pociskiem, prawie cała załoga zginęła, tylko on jakimś cudem ocalał, a przytomność odzyskał dopiero w polowym szpitalu.

Alfred snuje swą opowieść, a Michaelowi i Tobiasowi Petrasom, Emilowi Weilerowi, Karlowi Holzerowi, Williemu Griegerowi i wszystkim innym chłopcom błyszczą oczy, bezwiednie otwierają się usta, w duszach płonie ogień i rodzi się tęsknota za wielkimi, bohaterskimi czynami. Dziewczęta, choć niektóre fragmenty opowieści wydają się przerażające, też marzą o wzniosłych czynach i zazdroszczą kolegom, że to oni pójdą walczyć, a im pozostaną bardziej przyziemne zadania.

Wszyscy co do jednego, odkąd pamiętają, słuchali w szkole i na zbiórkach organizacji o krzywdach, jakich doznały Niemcy, o *ciosie w plecy* i potrzebie poświęcenia się dla Rzeszy, wzrastali w kulcie śmierci dla ojczyzny. I oto czują, że nadszedł czas odpłaty za niesprawiedliwość i historycznej szansy dla prześladowanego narodu. Teraz przyszłość Niemiec jest w ich rękach, a oni są gotowi iść, walczyć i zwyciężać, a jeśli będzie trzeba, umrzeć męczeńską śmiercią. Uwzniesieni takimi myślami opuszczają salę w uroczystym milczeniu, żałując, że po pokonaniu Polski walki się zakończyły i nie dzieje się nic, co wymagałoby od nich bohaterskich aktów.

W tym samym czasie Marta siedzi w piwnicy i wcale nie myśli o przyszłości Niemiec. Minione tygodnie przyczyniły jej wielu trosk. W gospodarstwie rozpaczliwie brakowało rąk do pracy. Pomagali Radachowie, ale przecież oni też mieli pola, które trzeba było uprawić i obsiać. Willi przychodził rzadko, a jego udział w pracach gospodarskich był symboliczny. Janka przez cały wrzesień nie nadawała się do niczego. W pierwszych dniach wojny, zatroskana o los polskiej rodziny w Siedlcu i Kopanicy, szalała z niepokoju i braku jakichkolwiek wiadomości. Bez przerwy snuła najczarniejsze wizje losów swych krewnych. Trochę się uspokoiła, kiedy Walter przyniósł wiadomość, że terenów położonych tuż przy granicy nie dotknęły bombardowania ani nie toczyły się tam żadne walki. Mimo to dalej nie miała kontaktu z rodziną, więc stale o nich myśląc, nie skupiała się na pracy. W pierwszych dniach września Gestapo aresztowało księdza Wdowczyka. Doprowadziło to Jankę i innych parafian katolickiego kościoła

do prawdziwej rozpacz. Chociaż podobno byli i tacy w Unruhstadt, co cieszyli się, że nareszcie pozbyli się *tego polskiego klechy*.

Wojna przyniosła następną komplikację w gospodarstwie, bo ostatnio, kiedy Marta pilnie potrzebowała pracowników, Janka załatwiała któregoś ze swoich polskich krewniaków. Tylko dzięki nim udało się tego lata zebrać siano i zboże z pól. Początek walk oznaczał natychmiastowe odcięcie siły roboczej z Polski. Winogrona zebrali w tym samym składzie co w ubiegłym roku, ale praca szła wolno, bo ani Janka, ani Willi nie dawali z siebie wszystkiego. A owoców było wyjątkowo dużo. Gorące lato i ciepła pogodna jesień sprawiły, że żółtozielone grona aż ociekały słodyczą, wabiąc do siebie roje os. Tłoczenie moszczu też nie miało w sobie takiej radości jak kiedyś. Mężczyźni nie mówili o niczym innym jak o wojnie. Brakowało Ernsta z jego opowieściami i umiejętnością łagodzenia zmartwień i sporów wesołym żartem.

Marta znowu jest sama w domu. Janka i Gustav pierwszy raz po zakończeniu kampanii pojechali rowerami do Polski. Chociaż właściwie nie ma już Polski, bo jak przed laty nie ma granicy, ułożono brakujący odcinek torów i ponownie otwarto linię kolejową do Poznania. Jednak na razie Marta nie czuje żadnej radości z tego powodu. Nie wie, co to może oznaczać dla jej gospodarstwa w przyszłości. Tila poszła słuchać opowieści żołnierzy, a Waltera też pochłonęła wojna, tylko że przy kuflu piwa z partyjnymi kolegami.

Gospodyni siedzi przy długim stole służącym zwykle do butelkowania wina. Pogrążona w niewesołych myślach, wsłuchuje się w monotony odgłos fermentującego płynu. Bul... bul... bul... dźwięk wydobywa się z kilku szklanych rurek wetkniętych w czopy zamykające otwory w beczkach. Wraz z wodą wypychaną w górę przez powietrze unoszą się dziesiątki utopionych octówek. Jeszcze żywe owady krążą w powietrzu, jakby owładnęło nimi pragnienie śmierci w pachnącej drożdżami cieczy. Słaby blask żarówki wiszącej pod sufitem oświetla piwniczne pomieszczenie. Panuje w nim wyjątkowa czystość. Nie sposób byłoby dojrzeć pajęczynę, kurz czy paproch zapomniany w kącie. Marta wie, że przy produkcji wina każde zaniedbanie może zniweczyć całoroczny wysiłek. Ceglana podłoga jest starannie umyta, podobnie jak dębowe kadzie, beczki i cebrzyki. Obok, za grubymi drewnianymi drzwiami znajduje się magazyn na wino z lat poprzednich. Tam na specjalnych stojakach leżą zalakowane butelki. Wszystko zostało dokładnie opisane, by nie dopuścić do pomyłki, bo najczęściej klienci życzą sobie wino z konkretnego rocznika.

Cisza panująca w piwnicy sprawia, że Marcie przychodzi do głowy myśl, że może wszystko, co się dzieje, jest tylko złudzeniem, nie ma wojny ani żadnych kłopotów. Za chwilę wyjdzie na górę i okaże się, że tam czekają na nią babcia i dziadek, a ona jest znowu młodą dziewczyną. Z westchnieniem odpędza płocze myśli, wstaje i jeszcze raz dotyka otwartą dłońią beczek, w których fermentuje

młode wino. Wyczuwalna temperatura na pewno nie jest zbyt wysoka, więc uspokojona przechodzi do innych piwnicznych pomieszczeń. Pod długim korytarzem dzielącym mieszkanie na dwie równe części tu przebiega identyczne przejście. W ścianach są nisze, a w nich drewniane półki, na których stoją słoiki z kompotami, konfiturami i piklami. Gospodyni sprawdza, czy gdzieś nie tworzy się pleśń, a potem zagląda jeszcze do miejsca, gdzie zimą przechowuje się warzywa i ziemniaki na bieżące potrzeby. Tam nie ma ceglanej ani betonowej podłogi, po prostu jest piasek – suchy, jasny i sypki.

Marta jest już w połowie schodów na górę, kiedy ciszę przerywa dźwięk otwieranych gwałtownie drzwi.

– Mamo! Mamo, gdzie jesteś?

– Już idę, Tila! – Marta wyłania się z piwnicy. – Coś się stało? Dlaczego jesteś taka zdyszana?

– Mamo, babka Truda nie żyje!

– Jak to? Skąd wiesz?

– Emil mi powiedział. Byliśmy razem na heimatabendzie u Röhra. Potem on poszedł do domu, a ja stałam i rozmawiałam chwilę z Bettiną i Rosiną. Później myśmy już wracały z Rosiną, kiedy Emil nas dogonił. Powiedział, że ciotka Hedwiga kazała ci, mamo, przekazać, że babka nie żyje – wyrzuca z siebie przejęta dziewczyna.

– To chyba jakaś pomyłka. Przecież była całkiem zdrowa. – Marta nie może uwierzyć w słowa córki.

– Ale Emil by tak nie żartował! – Tila broni kuzyna.

– Masz rację. Zostawię ojcu kolację i pójdziemy do Ulrichów dowiedzieć się, co się stało.

Nadszedł wieczór. Marta z córką idą przez wieś pogrążoną w ciemnościach. W żadnym oknie nie widać nawet nikłego blasku lampy. Mimo że ani jeden samolot wroga nie zapuścił się w te okolice, trzeba być ostrożnym i nie kusić losu. Gdyby nie cieniutki sierp młodego księżyca i gwiazdy błyszczące na niebie, trudno byłoby odnaleźć drogę. Nad łąkami unosi się białosrebrny obłok mgły. Piękna, słoneczna pogoda tej jesieni sprawiła, że ziemia jest rozgrzana i nocą oddaje ciepło, intensywnie parując.

Kiedy wreszcie docierają do domu Ulrichów, okazuje się, że modlitewne czuwanie już się rozpoczęło. W pomieszczeniu panuje chłód, bo ktoś otworzył okno na oścież, aby dusza zmarłej mogła swobodnie odlecieć. Pokój babki Trudy wygląda inaczej niż zwykle. Stół i krzesła odsunięto pod ścianę. Na środku, na wprost drzwi, stoi długa ława. Na niej spoczywa przykryte prześcieradłem ciało. Nie widać tego, ale na pewno babka ma na sobie tradycyjny wendyjski strój – cały czarny, łącznie ze sztywnym od krochmalu czepkiem. Na toaletce, która znajduje się za głową babki, stoi duży drewniany krzyż. Tło dla niego stanowi biała płachta

zakrywająca lustro. Po obu stronach głowy umieszczono świeczniki, w których płoną grube, pachnące woskiem świece. Trwa czuwanie przy zmarłej. Rodzina i sąsiedzi przyszedli ją pożegnać. Marta i Tila dołączają się do chóru śpiewających pobożne pieśni, modlących się i słuchających Słowa Bożego. Potem, kiedy wszyscy wychodzą, one zostają, żeby nareszcie dowiedzieć się, jak zmarła seniorka rodu.

Okazuje się, że śmierć przyszła niespodziewanie.

– Od rana babka była jakaś podenerwowana. Narzekała, że jedzenie niedobre, wołała, żeby jej *bulce* na śniadanie gotować – opowiada zapłakana Hedwiga. – A my wszyscy na pole szliśmy. Kto miał te kartofle jej tak zaraz zrobić? Została z nią Elza, ale mały Johann wciąż płakał, więc nie wiedziała, kim zająć się najpierw. Potem babka narobiła krzyku, że jej ktoś kancjonał zabrał, a ona chce *pioć*. Elza pokazała na skrzynię, że tam jest księga. Powiedziała, że zaraz ją poda, ale przecież babka nie słyszy. – Nagle Hedwiga uświadamia sobie, co powiedziała, i znowu uderza w płacz. – Nie mogę się przyzwyczać, że jej już nie ma – wyznaje.

– Elza próbowała uśpić małego – kontynuuje po chwili – ale on nie chciał spać, dlatego wzięła go do łóżka i położyła się obok. Mówi, że nie wie, kiedy sama zasnęła. Obudził ją straszny rumor. Zerwała się i pobiegła zobaczyć, co się stało. – Tu przerywa i znowu zaczyna zanosić się głośnym łkaniem.

Marta, której z trudem przychodzi okazywanie czułości, najpierw kładzie swą dłoń na ręce Hedwigi, a kiedy to nie przynosi żadnej ulgi, przysuwa się i obejmuje kuzynkę ramionami. Trwają tak przez jakiś czas przytulone, aż wreszcie kobieta się uspokaja.

– Babka leżała na korytarzu, tuż przy schodach na strych. Elza próbowała ją podnieść, tylko że nie dała rady. Pobiegła szybko po pomoc do Faustmanna. Przybiegł Paul i razem zanieśli babkę do łóżka, ale sąsiad od razu powiedział, że ona chyba nie żyje. Elza poszła do Wilhelma Ulricha i telefonicznie wezwała Pupkego. Jak przyjechał, to orzekł, że babka ma skręcony kark, i stwierdził zgon – kończy z westchnieniem Hedwiga.

– Ale jak to się stało? Przecież babcia musiałaby spać ze schodów, a ona nie mogłaby sama na nie wejść. – Tila nie może uwierzyć w opowieść ciotki.

– Niestety, to prawda. Babcia Truda zabiła się, spadając ze schodów. Już raz ją przyłapaliśmy, jak wchodziła na strych. Siadała na stopniu i podciągała się wyżej – na następny schodek. Wtedy na szczęście jakoś ją ściągnęliśmy, ale dzisiaj zrobiła to, kiedy Elza spała.

– Po co babcia weszła na strych?

– Nie wiem. Coś się jej w głowie pomieszało. Ostatnio wymyśliła sobie, że chcemy ją oddać do przytułku. Może chciała się schować na strychu? – Hedwiga kręci głową, jakby nie mogła uwierzyć w to, co się stało. Zapada cisza. Kobiety

siedzą przygarbione i pogrążone w myślach. Hedwiga raz po raz wyciera czerwone od płaczu oczy. W pewnej chwili Marta wyciąga rękę ku jej twarzy i ściera dłonią łzę spływającą po policzku.

– *Kruople ci lecóm z uuc*^[34] – szepcze. Słyszac wendyjski język, którym często posługiwała się staruszka, Hedwiga znowu zanosi się szlochem.

Jest już bardzo późno, kiedy wybierają się w drogę powrotną. Ciemności są jeszcze gęstsze niż wieczorem. Nie widać nieba, księżycy i gwiazd. Mgła, która wcześniej unosila się srebrzystym oparem nad łąkami, wypłynęła z dolinek i rozpełzła się po wsi, szczelnie wypełniając każdy kąt. Mimo że są blisko pomnika poległych, nie mogą go dostrzec. Brną przez piaszczystą, rozjeżdżoną przez ciężkie wozy przestrzeń, potykając się i zataczając. Z ulgą docierają do twardego bruku. Czując go pod nogami, już pewniej kierują się w stronę domu. Nagle Tilę ogarnia trwoga. Wydaje się jej, że gdzieś w mgle i ciemnościach czają się duchy zmarłych. Szuka ręki matki. Kiedy ją znajduje, chwytą i już nie puszcza. Marta odwzajemnia uścisk i tak idą zanurzone we mgle, mając za obronę przed strachem tylko ciepło swoich dłoni.

Przez dwa kolejne wieczory rodzina i sąsiedzi spotykają się na modlitewnym czuwaniu przy zwłokach zmarłej. Pod kierunkiem pobożnej Ursuli Herrys śpiewają pieśni, czytają Słowo Boże i kazania żałobne z *Postylli* księdza Samuela Dambrowskiego.

Wcześniej rano we wtorek Josef pojechał bryczką do Unruhstadt po pastora Plumbauma. Gdy wrócili, zgromadzeni w domu i ci, którzy nie zmieścili się wewnątrz, rozpoczęli żałobne śpiewy. Duchowny pożegnał babkę Trudę Wielgus słowami Psalmu, zmówił modlitwę i pobłogosławił. Wieko zostało zamknięte i zabite gwoździami, a potem Josef Ulrich, Walter i inni mężczyźni z rodziny wynieśli trumnę z domu, ale wcześniej trzykrotnie unieśli ją, a później opuścili i dotknęli o próg ze słowami: „Z Bogiem”, a na końcu włożyli na karawan. Mężczyzna trzymający krzyż ustawił się na czele konduktu.

Pastor w czarnej todze z białą befką^[35] idzie przed karawanem ciągniętym przez dwa kare konie. Za trumną podąża pogrążona w smutku rodzina, a dalej mieszkańcy wsi. Orszak żałobny jest bardzo liczny. Nawet ci, którzy nie znają osobiście zmarłej albo są katolikami, przyszli ją pożegnać, bo obyczaj każe, by w pogrzebie uczestniczył choć jeden przedstawiciel każdego domu. Ktokolwiek postronny znajduje się na trasie konduktu, zatrzymuje się, mężczyźni zdejmują czapkę i każdy czeka, aż trumna ze zmarłym go minie. Dopiero wtedy rusza dalej do swoich zajęć.

Kondukt schodzi w dół, ku płynącej wśród łąk rzece. W nocy był silny przymrozek, więc trawę pokrywa szron, ale tam, gdzie dociera ciepłe jesienne słońce, już topnieje, odsłaniając żywą soczystą zieleń. Tu zaczyna się klonowa aleja prowadząca na cmentarz. Orszak wkracza w świetlistą bramę i niknie pod

sklepieniem ze złotorudych koron drzew splecionych w górze gałęziami. W pewnym momencie, może to z powodu lekkiego powiewu albo słonecznego ciepła, które ogrzało listki trzymające się gałązek resztkami sił, na trumnę, na głowy i ramiona ludzi zaczyna padać deszcz złotych płatków. Jest ich coraz więcej i więcej. Lecą ku ziemi, wirując i migocąc w promiennym blasku, a potem, jakby nagle zmęczone, opadają pod stopy żałobników, ścieląc dywan tkany ciemnożółtą nicią na pożegnanie ostatniej Wendyjki.

Obok świeżo wykopanego dołu znajdują się groby najbliższych krewnych. Na płytach z piaskowca wyryto ich imiona i nazwiska, a także żałobne epitafia. Tila rozgląda się po cmentarzu. Jest rozległy, bo chwalimscy luteranie chowają na nim swoich zmarłych od prawie stu lat. Niektóre nagrobki są okazałe, otoczone metalowymi płótkami, inne skromne, składające się tylko z niewielkiej płyty z napisem i obramowania, wewnątrz którego sadzi się kwiaty. Teraz opadające liście szczelnie przykryły wszystkie groby, dzięki czemu każdy – biedny czy bogaty – wygląda jednakowo pięknie. Wietrzyk wiejący od strony wsi przynosi dźwięki codziennego życia: pianie koguta, gęganie gęsi tuczonych na Marcina, krzyki dzieci i porykiwanie krów. Od strony południowej cmentarz kończy się skarpią, a pod nią biegnie droga do łąk. Za nią i pasem zielonej trawy leniwie płynie Obrzyca. Za rzeką też są łąki. Dopiero dalej widać ciemną linię sosnowego lasu raz po raz przetykaną złotem brzoź albo czerwienią dębów. Ci, do których należą pastwiska położone za rzeką, pędzą krowy przez stary most. Kiedy Tila wychyla się mocno i patrzy w lewo, dostrzega go między kępami drzew i nadrzecznych trzcin. Marta szturcha wiercącą się córkę, by zamiast się rozglądać, słuchała kapłana.

– Wszechmogący Bóg powołał do siebie naszą sędziwą siostrę – mówi pastor. – Zaiste wielką łaską obdarzył ją Pan, gdyż spędziła na ziemskim padole prawie sto lat, otoczona opieką i miłością bliskich wtedy, gdy wiek odebrał jej siły. Prorok Izajasz powiedział: *Twoje słońce już nie będzie zachodziło, a twój księżyc zniknął, gdyż Pan będzie twoją wieczną światłością i kończą się dni twojej żałoby*^[36]. Gertruda Wielgus dobrze znała i rozumiała te słowa.

Tila znowu ucieka myślami od żałobnego kazania. Stojąc nad grobem, wodzi wzrokiem po sylwetkach ludzi otaczających trumnę. Trochę z tyłu, za dziećmi ciotki Hedwigi, dostrzega zasmuconą twarz Janki, a obok niej Gustava. A dalej... „Niemożliwe – myśli zaskoczona – to przecież Karl! Co on tu robi? Nigdy bym się go tu nie spodziewała”. Tila napotyka wzrok chłopaka, spuszcza skromnie oczy, gwałtownie się rumieni i natychmiast zaczyna analizować swój wygląd. „Na pewno paskudnie wyglądam w tej czarnej sukience. Mama nawet nie dopasowała jej do mojej figury, tylko wyjęła z szafy swoją i kazała włożyć. Gdybym wiedziała, że Karl tu będzie, sama bym coś poprawiła. A teraz on pewnie myśli, że ubrałam się jak stara baba”.

– *Ponieważ upodobało się Bogu odwołać siostrę naszą z tej ziemi, polecamy ją lasce Boga i składamy jej ciało do ziemi Bożej, ziemia ziemi – prochy prochom – popioły popiołom, w nadziei zmartwychwstania do życia wiecznego przez Pana Naszego Jezusa Chrystusa. Z prochu powstałeś, w proch się obrócisz. Jezus Chrystus wskrzesi cię z martwych w dzień ostateczny*^[37] – kończy pastor Plumbaum i rzuca na trumnę trzy garście piasku. Potem żałobnicy, tak jak duchowny, żegnają zmarłą po raz ostatni, rzucając do dołu po trzy garstki piachu. W chwili, gdy wszyscy tłumnie ruszają, by składać rodzinie kondolencje, Tila czuje, że ktoś delikatnie dotyka jej ramienia.

– Karl? – Obraca się gwałtownie, zawstydzona.

– Nie, to tylko ja. – W oczach Emila dostrzega urazę. – Wybacz, że cię rozczarowałem.

– Nie, ja bardzo się cieszę, że to ty. Po prostu przed chwilą wydawało mi się, że Karl tu był – nieporadnie tłumaczy się dziewczyna.

– Nie wiem. Mnie on nie interesuje – kwituje sucho Emil. – Podszedłem, bo chciałem się z tobą przywitać.

– To miłe. – Dziewczyna próbuje jakoś wybrnąć z niezręcznej sytuacji. – Emil, powiesz mi, jak będziecie otwierać skrzynię babki Trudy?

– Już była otwierana, przecież ciotka musiała ją ubrać w wendyjski strój.

– Wiem, ale jestem ciekawa, co tam jeszcze jest. Może znajdę jakieś pamiątki po praprababce.

– Zapomniałaś, że przez cztery tygodnie nie można tknąć rzeczy zmarłej osoby? – przypomina Emil o starym wendyjskim zwyczaju. – Zresztą, po co ci one?

– Po nic. Po prostu niewiele o niej wiem.

– Dobrze, dam ci znać. – Emil kończy rozmowę i wraca do ciotki, a Tila czuje, że coś się między nimi popsulo, tylko nie może zrozumieć dlaczego.

Żałobnicy, przedzierając się przez zwały złotych liści, z szumem i szelestem opuszczają cmentarz. Niektórzy robią to trochę zbyt pospiesznie, bo wiedzą, że w domu zmarłej czeka suto zastawiony stół, przy którym będą wspominać Trudę Wielgus, a przy okazji raczyć się czymś mocniejszym. Wszak idzie zima, więc nie zaszkodzi rozgrzać się na zapas.

40

– Chyba Pan Bóg karę na ludzi zesłał. Taki chłód, a to dopiero połowa grudnia – narzeka Marta, szybko zamykając za sobą drzwi. W kuchni jest przytulnie i ciepło. Pod płytą pali się ogień, a drewno trzaska wesoło.

– Ale ja nie rozumiem, dlaczego zesłał ją na wszystkich, a nie na tych, którzy na to zasłużyli – wzdycha Janka. Siedzi na stołku blisko pieca i łuska fasolę wysuszoną jesienią razem ze strąkami. Wcześniej nie starczyło czasu, żeby to

zrobić, a teraz, kiedy się ochłodziło, nawet przyjemnie usiąść przy piecu i zająć ręce lekką robotą.

– Coś taka rozgoryczona? Za tydzień święta. Trzeba się cieszyć. – Marta próbuje poprawić jej i sobie nastrój.

– Nie mam z czego się cieszyć. Mój kapłan w obozie, a rodzina pod okupacją.

– Ale jesteś zdrowa, masz swój wymarzony dom i dobrego męża. Dziękuj za to Panu Bogu – przypomina Marta.

– Dziękuję codziennie, ale nie rozumiem, dlaczego Pan Bóg pozwala na te niemieckie bezceństwa. Żeby księdza do obozu zabierać! – Twarz Janki robi się czerwona, nie wiadomo, czy z gniewu, czy z powodu gorąca bijącego od pieca. – I za co? Przecież on nic im nie zrobił. Taki pobożny, skromny człowiek. A moi krewni w Polsce? Mówiłam ci, jak oni teraz żyją. W ciągłym strachu i biedzie. Niemcy niewinnych ludzi aresztują i zamykają. W ubiegłym miesiącu zaczęli wysiedlać gospodarzy z Karny koło Siedlca. Zabierają im cały dobytek. Co ty byś powiedziała, gdyby ci kazali spakować się i wywieźli w nieznane? Jesteś taka przywiązana do tego domu, a tu ktoś przychodzi i rozkazuje, żebyś wszystko zostawiła i szła na poniewierkę – mówi, ledwie powstrzymując się od płaczu.

– Ale co ja za to mogę? – Marta czuje się dotknięta, bo słowa kuzynki odbiera jak zarzuty pod swoim adresem. – I nie mów, że to robią Niemcy, bo ja też jestem Niemką, a nikogo nie krzywdzę.

– Niby kto, jak nie Niemcy? A z ciebie taka Niemka, jak i ze mnie. – Janka podnosi się ze stołka, bo miska z ziarnami fasoli jest już pełna. – Pamiętasz? – kontynuuje, podkładając drewno do pieca. – Babka Truda zawsze mówiła *My sóm pólskie ñimcy*^[38].

– No właśnie! Niemcy, a nie Polacy – triumfuje Marta.

– Nie udawaj, że nie wiesz, co miała na myśli. Tu wszyscy uważali, że *ñimcy* to luteranie, więc babka mówiła *Jesteśmy polskimi luteranami*. Ona nigdy nie miała się za Niemkę, tylko za Wendyjkę!

– Wiesz co? Mam już tego dość. Wszystko tak przekręcasz, żeby na twoje wyszło. Nie chce mi się z tobą kłócić, bo i tak cię nie przegadam. Idę do krów. Może nie zamrznę. – Powiedziawszy to, Marta zarzuca na siebie gruby kaftan, owija głowę chustą i wychodzi na podwórze.

W oborze swojsko czuć krowami i jest cieplej niż na zewnątrz, gdzie wieje lodowaty, przenikliwy wiatr. Szybko podrzuca zwierzętom siana i, chcąc nie chcąc, wraca do domu. Zauważa z ulgą, że Janki nie ma. Domyśla się, że poszła do Tili. Tydzień wcześniej kwestowały z Rosiną na Pomoc Zimową. Zmarły i przemokły, bo padał deszcz, i teraz obie dziewczyny są chore. Tila od dwóch dni ma gorączkę i skarży się na ból gardła. Ciotka nosi jej ciepłe mleko z miodem, poi ziołami, naciera gęsim smalcem, byle tylko jej ulubienica wyzdrowiała. Marta,

przestraszona wysoką temperaturą córki, przeniosła jej posłanie na dół, do pokoju dla gości, i codziennie pali w piecu. Sama też chciałaby posiedzieć w ciepłe, ale wie, że trzeba napoić zwierzęta, więc nalewa do wiadra gorącej wody ze zbiornika wpuszczonego w kuchenny piec, uzupełnia jej zapas zimną wodą z kranu i znowu wychodzi na podwórze, gdzie hula mroźny wiatr. Przejdzie tak kilka razy tam i z powrotem, zanim ugasi pragnienie krów, klaczy, świń i kur.

Zapał już zmierzch. Walter pchany wschodnim lodowatym podmuchem prawie wcale nie musiał pedałowac i może właśnie dlatego jest bardziej niż zwykle zziębnięty. Czekając, aż Marta przygotuje posiłek, grzeje się przy piecu i aż nie chce mu się od niego odejść, by zasiąść do stołu.

– Coś mi się zdaje, że i ty będziesz chory – niepokoi się Marta. Przykłada dłoń do czoła męża, ale nie jest ono bardziej ciepłe niż zwykle.

– Zaraz naleję ci gorącej wody do miski. Wymocz nogi, a potem włóż wełniane skarpety i usiądź przy piecu. Tylko tego brakuje, żebyś też się rozchorował.

Walter je bez apetytu. Nie odzywa się, co Marta bierze za objaw nadciągającego przeziębienia. Potem, zgodnie z poleceniem żony, siada przy piecu, zanurza nogi w misce z bardzo ciepłą wodą i wtyka nos w gazetę.

– Janka już pojechała do domu – zdaje relację Marta. – Żebyś ty wiedział, jaka była dzisiaj rozdrażniona. Wciąż nie może darować, że Gestapo zabrało Wdowczyka. Swoją drogą, nie wiem, po co oni to zrobili. Co może mieć na sumieniu taki ksiądz? – Przerzywa i patrzy wyczekująco w stronę męża, w końcu rezygnuje i, pochylona nad miską, w której robi przepierkę, mówi dalej: – Żal jej ciotki i kuzynek. Podobno im nielekkko. Boją się, bo wielu Polaków aresztowano. Narzekała na wysiedlenia rolników. – Marta znowu obraca się w stronę postaci przysłoniętej gazetą. – Walterze, dlaczego oni to robią?

– Co? – Mężczyzna wygląda, jakby ktoś go obudził ze snu.

– Ty mnie w ogóle słuchasz? Pytam, czemu wysiedlają tych biednych ludzi. Przecież to ich gospodarstwa. Co oni teraz mają ze sobą zrobić?

– Wartheland ma na powrót być niemiecki. Polacy będą przeniesieni gdzie indziej, a na ich miejsce przyjdą Niemcy. – Walter mówi to takim tonem, jakby tłumaczył rzecz oczywistą i dziwił się, że ktoś może tego nie rozumieć.

– Ale jak można tak wszystko zabierać ludziom? To ziemia ich przodków, tak samo jak nasze gospodarstwo. Nawet nie umiem sobie wyobrazić, że ktoś mnie tak wygania. Wiesz, jak Janka powiedziała mi o tym, aż mi się serce ścisnęło. Niepotrzebnie się jej odcięłam. Ona ma rację. Nie powinno się krzywdzić ludzi.

Walter widzi wyczekujące spojrzenie żony. – Marto, zobacz, jak nachlapałaś. Wytrzyj podłogę, bo się jeszcze poślizgniesz. I dolej mi gorącej wody, bo ta już ostygła.

– Zaraz, już kończę.

Kobieta mocno wykręca drobne części garderoby, wylewa wodę do zlewu i wyciera podłogę. Potem wiesza pranie na sznurku rozciągniętym nad kuchennym piecem. – Walterze, ale ty mi nie powiedziałeś, co myślisz o tym wszystkim.

– Co mam myśleć? Aleś się dzisiaj przyczepiła! Nie znasz się na polityce, to i niczego nie rozumiesz. Naród niemiecki potrzebuje przestrzeni życiowej. My, Niemcy, jeśli chcemy przetrwać, nie możemy mieć sentymentów!

Walter wybiera się do spania z gorącym termoforem pod pachą, ale Marta ma jeszcze jeden problem.

– Słuchaj, nie wiem, co robić. Święta za tydzień, a ja wciąż nie mam przypraw korzennych do pierników. Nigdzie nie mogę ich dostać. – Zobaczywszy zdumioną minę męża, macha ręką, jakby zreflektowała się i uznała, że akurat tym nie będzie mu zawracać głowy.

Walter z ulgą wita ciszę panującą w chłodnej sypialni. Nareszcie może spokojnie pomyśleć o tym, co zdarzyło się dzisiejszego popołudnia. Właśnie miał po zakończeniu pracy zbierać się do domu, gdy do biura wszedł kierownik z dwoma mężczyznami w szarych mundurach SS. Jednego znał z widzenia, bo pracuje w miejscowej placówce Gestapo. Drugi, jak się okazało, to funkcjonariusz tajnej policji z Wolsztyna. Jeszcze teraz oblewa go zimny pot na wspomnienie rozmowy, którą z nim przeprowadzili.

41

Wojna, chociaż na razie zakończona miażdżącym zwycięstwem nad Polską, była obecna w umysłach i rozmowach ludzi, przychodziła do domów, siedziała przy świątecznych stołach, u jednych jako miły, u innych nieproszony gość. Była w postaci swastyk na ozdobach choinkowych i papierze do pakowania prezentów, a nawet w słowach słodkiej dotąd kołody, która teraz brzmiała w radiu tak:

*Cicha noc, święta noc,
Pokój niesie ludziom wszem,
Adolf Hitler w swej wielkości
Wiedzie nas ku świetności,
Dając moc przykładem swem,
Dając moc przykładem swem^[39].*

*

Można by powiedzieć, że święta Bożego Narodzenia u Neumannów minęły jak zwykle, bo jak co roku przyjechała Lisa z mężem i synami. Nawet najstarszy Werner, który miał już za sobą wojenne doświadczenia, dostał przepustkę. Goście tym razem przejawiali jeszcze większy niż normalnie apetyt. Od końca sierpnia wiele artykułów żywnościowych i przemysłowych zostało objętych reglamentacją. W zasadzie mięsa, tłuszczu i chleba wystarczyło, ale aby wykupić przydział, czasem trzeba było postać w kolejce. Dlatego rodzina z Grünbergu starała się

najeść na zapas. Mogli sobie na to pozwolić, bo w gospodarstwie nie brakowało niczego, a urzędników sprawdzających liczbę hodowanych zwierząt i ustalających poziom obowiązkowych dostaw zawsze można było jakoś przechytrzyć. Wracając do domu, zabrali ze sobą ciężkie torby z mięsem i jajami oraz obietnicę uzupełnienia zapasów w razie potrzeby. Marta stwierdziła z satysfakcją, że siostra spokorniała i choć uparcie powracała w rozmowach do wspaniałych czasów w Harzu, to było widać, że trawi ją niepokój, a opowieści są tylko próbą jego zamaskowania. W drugi dzień świąt, odprowadziwszy Lisę z rodziną na pociąg, prosto ze stacji Neumannowie udali się z wizytą do Gogolów.

To pierwsze Boże Narodzenie Janki we własnym domu. Mimo przeróżnych trosk, które ją trapią, gospodyni aż promienieje radością. – Zobacz, jaką choinkę przyniósł Gustav – pokazuje Tili, jakby tylko ona, uważana za dziecko, była w stanie to docenić.

Rzeczywiście, drzewko postawione w największym, ale tak naprawdę niedużym pokoju, robi wrażenie ogromnego. Ma wszystko, co powinna mieć prawdziwa bożonarodzeniowa choinka. Gwiazdę na czubku, błyszczące bombki, łańcuchy, anielskie włosy, cukierki w świecących w blasku świeczek papierkach i prezenty zapakowane w przyzwoity, świąteczny papier bez hakenkreuzów. Na Tilę czeka granatowy wełniany szalik, czapka i rękawiczki z jednym palcem, a na Martę i Waltera ciepłe skarpety w sam raz na zimowe wieczory.

Po wypiciu gorącej zbożowej kawy z mlekiem i zjedzeniu placka Tila pyta, czy może wyjść na chwilę, żeby odwiedzić mieszkającą w pobliżu Bettinę, a Walter z Gustavem postanawiają spróbować wina Neumannów z zeszłorocznych zbiorów.

– Wiesz, czuję się winna, że mam tak dobrze – wyznaje Janka. Razem z Martą idą właśnie na cmentarz. Zaraz zajdzie słońce, więc maszerują szybkim krokiem. – Przecież jest wojna, tylu ludzi przez nią płacze, a ja – ścisza głos, jakby miała powiedzieć coś wyjątkowo wstydliwego – kiedy widzę tych młodych chłopców, co pewnie niedługo pójdą walczyć, cieszę się, że nie mam dzieci, a mój mąż ma tylko jedną rękę.

– Nie ty jedna tak myślisz. Ja bym oddała wiele, żeby mój mały Martinek żył, ale kiedy wyobrażę sobie, że idzie na wojnę, to... – w oczach Marty szklą się łzy, a głos cichnie mimo woli – to czuję ulgę, że już nikt nie może mi go zabrać.

Na cmentarzu panuje cisza. Śnieg przykrył cienką warstwą wszystkie groby. W alejkach widać ślady ludzkich stóp i tropy drobnej leśnej zwierzyny. Właśnie zachodzi słońce, za moment skryje się za lasem rosnącym po drugiej stronie drogi, ale jeszcze przez chwilę oświetla czerwonym blaskiem zmrożony śnieg, odbija się i mieni w jego kryształach.

Odwiedziwszy swoich bliskich, idą z powrotem między bezlistnymi klonami. Na łąkach za starym mostem pasą się sarny, a na niezamarzniętej rzece

kołyszą się dwa białe łabędzie.

– Zazdroszczę ci – mówi cicho Janka. – Nie widziałam piękniej położonego cmentarza. Szkoda, że nie będę mogła tu spocząć.

– Zawsze możesz zostać luteranką. – Marta śmieje się, ale w jej głosie słychać wzruszenie.

Mijają właśnie dom Krügerów. Stojąca w oknie kobieca postać szybko znika w głębi pokoju.

– To Łucja – szepcze Janka.

– Wciąż chodzi taka pobita?

– Tak. Ledwie znikną jedne sińce, pojawiają się drugie. Może chociaż w święta ją oszczędzi. Mówiłam ci, że poszłam do niej?

– Nie! Kiedy? – Marta jest zaskoczona. – A co na to jej mąż?

– Nie było go. Wiesz, odkąd tu mieszkam, trochę obserwuję Krügera. Zawsze po obrządku jedzie do gospody. Dzień przed Wigilią, jak tylko zobaczyłam przez okno, że wyprowadza rower, zostawiłam wszystko i poszłam do Łucji. Wzięłam ze sobą trochę ciasta i cukierków dla dzieci, miałam więc dobry powód, żeby odwiedzić kuzynkę. Musiałam długo pukać, bo nie chciała mi otworzyć. W końcu jednak to zrobiła. Była bardzo wystraszona. Chyba bała się, że on wróci i zobaczy, że ktoś ich odwiedza. Dzieci tak się ucieszyły ze słodkości, jakby nigdy wcześniej niczego podobnego nie dostały. Powiedziałam im, że jestem ich cicią, mieszkam naprzeciwko i że mogą mnie odwiedzać, kiedy tylko będę w domu. Łucja, chcąc nie chcąc, zaprosiła mnie do środka.

Weszły właśnie na podwórko Janki, kiedy usłyszały podniesione głosy dobiegające z wnętrza domu. Ich mężowie wyraźnie się kłócili.

– A tym co? Zwariowali albo się upili! – Janka szybko otwiera drzwi i zdumione kobiety wpadają do pokoju. Walter i Gustav stoją po przeciwnych stronach stołu. Twarze mają zaczerwienione, a oczy miotają gniewne błyskawice.

– Ty tchórze! – krzyczy Walter. – Przez takich jak ty przegraliśmy tamtą wojnę!

– A to? – Gustav wyciąga przed siebie kikut. – Co to jest? Ty panicyku pewnie chowałeś się za plecami innych, skoro przez tyle czasu nie zostałeś ranny. Dopiero na koniec wojny straciłeś czujność.

– Ja chowałem się za plecami? Och, żebyś ty nie był kaleką, to tak bym cię zdzielił...

– Dość tego! Spokój! – Janka jest naprawdę rozgniewana. – Wstydź się, Gustawie! Żeby tak odzywać się do gościa. Nie spodziewałabym się tego po tobie – mówi z wyrzutem.

– Bo nie wiesz, o co poszło.

– Jak się domyślam, o politykę. – Marta nareszcie odzyskała głos i patrzy wyczekująco na męża.

– Ma taki sam ptasi mózdek, jak te jego gołębie. Nic nie rozumie. Chciałem mu wytłumaczyć, ale nie słuchał. – Walterowi wydaje się, że jego wyjaśnienia są jasne dla wszystkich.

– Co mu chciałeś wytłumaczyć?

– On mówi, tchórz jeden, że ta wojna źle się skończy dla Niemiec. Nazwał Hitlera niebezpiecznym awanturnikiem – wyjaśnia Walter ze zgrozą.

– A nie jest? Tyle ziemi włączył do Niemiec i jeszcze na Polskę musiał najechać. Jakby się nażreć nie mógł. Zobaczycie, że to się dobrze nie skończy. Będzie tak, jak dwadzieścia lat temu. Nie wiem, jak ktoś, kto pamięta ostatnią wojnę, może chcieć następnej.

– Same słyszałyście! – Walter cieszy się jak dziecko, że Gustav został przyłapany. – Mówiłem wam! Widzicie, że mam rację? Masz szczęście, że należysz do rodziny, bo poinformowałem władze, że siejesz defetyzm.

Gustav patrzy zimno w oczy Waltera i pyta: – Doniósłbyś na mnie tak jak na tamtych wiosną?

– Gustavie! – Janka spogląda błagalnie na męża. – Przestań, proszę cię. Są święta.

Zapada cisza. Cała czwórka stoi jak skamieniała.

– Na kogo doniosłeś, Walterze? – Marta przerywa milczenie.

– Nie wiem, o czym on mówi.

– Gustavie, powiedz mi, co miałeś na myśli. – Marta nie daje za wygraną.

– Nic, naprawdę nic. Tak mi się powiedziało. Za dużo wypilem.

– Nie wyjdę stąd, zanim się nie dowiem. – Na potwierdzenie tych słów odsuwa krzesło i siada za stołem.

Gustav nie wie, co zrobić. Patrzy na żonę, jakby u niej szukał ratunku. Janka, widząc, że kuzynka nie ustąpi, kiwa twierdząco głową.

– Mówi się, że to Walter doniósł na Petera, Ernsta i Hermana i to przez niego ich zatrzymano.

– Nieprawda! – głos Neumanna jest dziwnie piskliwy. – To Hofmann napisał donos! Sam czytałem!

– I co było dalej? – drażni Marta.

– Jak to co? Przekazałem pismo, gdzie należy. To przecież mój obowiązek.

– Jak mogłeś być taki podły? Peter z Anną i Ewaldem ciężko pracowali na naszych polach, nigdy nie odmówili pomocy, Ernst od śmierci dziadka pomagał mi przy winie. Wiedziałaś, że ma słabe serce. Ta historia z aresztowaniem go zabiła! Wszyscy ci ludzie to nasi przyjaciele! Jak mogłeś? – powtarza wstrząśnięta Marta.

– Zrobiłem tylko to, co do mnie należało.

– W dodatku okłamałeś mnie, kiedy pytałam, czy coś wiesz na ten temat.

– Nie muszę ci wszystkiego mówić. – Walter robi wrażenie, jakby nie

rozumiał, czego od niego chcą. – Idziemy do domu? Późno już.

– Dobrze. Czas na nas. Janko, Gustavie, wybaczcie, że popsuliśmy wam święta – przeprasza Marta.

Wracają do domu w milczeniu. Zachodzą po drodze do Bettiny i zabierają ze sobą Tilę. Dziewczyna, obserwując rodziców, domyśla się, że w domu znowu nastąpią ciche dni. „Tatus trochę wypił, a mama od razu ma do niego pretensje. Nie widziała, w jakim stanie byli ojciec i wujek Bettiny”.

Jeszcze tego samego wieczoru Marta posłała Walterowi na dole. – Teraz tu będziesz spał – oznajmiła.

Z początku był nawet zadowolony, bo mógł bez żadnych ograniczeń słuchać radia i palić papierosy, ale po trzech dniach miał już tej swobody dość. Przestał się dąsać, miłymi słowami i gestami próbował uzyskać przebaczenie żony, jednak była nieprześlądana. Wiedział, że prędzej czy później jej minie, postanowił zatem na razie odwiedzić matkę i przy okazji spędzić Nowy Rok w Berlinie. Tak więc w towarzystwie Helmuta i jego dwóch przyjaciółek całkiem miło powitał 1940 rok. Jedynym zgrzytem podczas wielogodzinnej zabawy była konieczność oddawania kartek w lokalach, kiedy zamawiał artykuły podlegające reglamentacji. Trudno mu było zrozumieć, jak tak potężne państwo jak Niemcy może być zmuszone do oszczędzania żywności. Kiedy o świcie wracał do matki, spadł śnieg. Tego dnia Walter widział Berlin takim, jakim zapamiętał go z dzieciństwa. Wszystkie skwery, rozległe parki i dachy domów pokryła warstwa białego puchu. Po południu zabrał bratanków do Tiergarten, a tam już mrowie ludzi w różnym wieku zjeżdżało z górki na sankach, alejkami śmigali narciarze, a na sadzawkach pokrytych lodem ślizgali się amatorzy łyżew. Było tak cudownie, że aż żałował, że musi wracać do pracy i nadąsanej żony.

Ani on, ani nikt inny nie zdawał sobie sprawy z tego, że śnieg i mróz, które teraz niosą wszystkim radość, wkrótce staną się tak dotkliwie, że ludzie będą je przeklinać i z utęsknieniem wypatrywać wiosny.

42

Marta, która narzekała na grudniowe chłody i podejrzewała Pana Boga o zesłanie kary na ludzi, utwierdziła się w tym przekonaniu, kiedy przyszedł styczeń 1940 roku. W dzień dało się jakoś wytrzymać, bo mróz nie był aż tak duży, ale wraz z nadejściem nocy temperatura spadała do minus dwudziestu stopni albo jeszcze bardziej. Z początku mieszkańcy Chwalimia przyjmowali to jak coś normalnego, ale im dłużej trwało zimno, tym stawało się dokuczliwsze. Zwyczaj spania w nieogrzewanych sypialniach został na razie porzucony. Tam, gdzie zgromadzono dość opału, palono już nie tylko w kuchniach, a w mniej zasobnych rodzinach wszyscy spali po prostu razem pod grubymi pierzynami. Szyby w oknach pokrył szron, malując na nich baśniowe wzory. Ściany budynków

zaczęły przemarzać, toteż naprawdę ciepło miał tylko ten, kto stanął przytulony plecami do kaflowego pieca. Zamarzła rzeka, a pociąg jeździł nieregularnie i nigdy nie było wiadomo, czy w ogóle się pojawi, bo pękały szyny i zamarzały zwrotnice. Reglamentacja benzyny spowodowała, że prywatne firmy transportowe praktycznie przestały działać, więc jeśli ktoś miał do załatwienia ważną sprawę w oddalonej miejscowości albo chciał odwiedzić chorego w szpitalu, musiał poczekać kilka tygodni albo liczyć, że uda mu się jakimś cudem złapać okazję. Często nie było prądu, dlatego powróciły do łask ręczne pompy i studnie, a wieczory nabrały romantycznego charakteru, bo nieraz spędzano je przy świecach. Przyjemne dla oka i cieszące dzieci opady śniegu wkrótce stały się uciążliwe, bo władze nakazały odśnieżanie dróg, zatem mężczyźni i młodzieńcy z Hitlerjugend pod kierunkiem burmistrza Kurmutza co rusz musieli opuszczać domowe zacisze i ruszać z łopatami na drogi. Wszyscy zaciskali zęby i mówili sobie, że trzeba wytrzymać, bo może już za parę dni będzie choć trochę cieplej, ale zima nie odpuszczała i dalej dręczyła ludzi.

Za to restauracja w willi Else przeżywała swoje wielkie dni. Popołudniami, a w niedziele jeszcze wcześniej, nad Schwentesee gromadzili się amatorzy łyżwiarstwa i saneczkarze, dla których okoliczne pagórki stały się prawdziwym rajem. Właściciel restauracji rozciągnął na zewnątrz drut elektryczny, a na nim umieścił różnobarwne żarówki. Na drewnianym słupie umocował wielki głośnik, z którego płynęły taneczne melodie, w ich takt wirowały pary, a co sprawniejsi kręcili piruety. Kiedy dokuczyło zimno, w przytulnej sali przy kominku można było pokrząć się grzonym winem albo zjeść pożywną zupę i pieczoną kaczkę z jabłkami. Dolina Schwentesee wydawała się jedynym miejscem na ziemi, gdzie panowała wieczna radość, muzyka i można było do upadłego wirować na lodzie w blasku kolorowych żarówek, a jeśli nie było prądu, to choćby w świetle pochodni.

Tila też raz po raz wrywała się nad jezioro. Matce mówiła, że ma ćwiczenia w terenie albo że idzie poślizgać się z koleżankami. Dzięki wskazówkom Karla radziła sobie z łyżwami o wiele lepiej niż minionej zimy. Każde spotkanie kończyło się obowiązkowo zaproszeniem na szklankę słodkiej gorącej herbaty. Z początku Tilę to krępowało, bo ona niczym nie mogła się zrewanżować, ale kiedy zauważyła, że Karl ma pieniądze i cieszy się, że może jej coś zafundować, przestała o tym myśleć. Jej radość mąciła jedynie obawa, że ktoś doniesie matce o schadzkach.

Jednak Martę dręczą inne zmartwienia. Szybko ubywa drewna i węgla, a trzeba opalać kuchnię, sypialnię i pokój, w którym teraz śpi Walter. Wczoraj zaprzęła Lotte i wąską drogą między wysokimi zwałami śniegu wybrała się do miasteczka, żeby na wszelki wypadek dokupić węgla, ale okazało się, że skład jest pusty. Za to nie mogła opędzić się od ludzi zagadujących ją o kartofle, jajka

i mięso. Kto nie zrobił wystarczających zapasów, miał teraz duży problem.

– Znowu! Już nie mam siły – narzeka, kiedy okazuje się, że woda z odkręconego kranu leci wąskim leniwym strumieniem. Przekręca włącznik światła, żeby upewnić się, że to brak prądu jest przyczyną słabego ciśnienia. Ma rację. Kolejny raz w tym tygodniu musi nanieść wody z pompy. Nabiera więc pół wiadra ze zbiornika w piecu, otula się wielką wełnianą chustą i idzie na podwórze. Zdejmuje metalową czapkę zabezpieczającą pompę od góry i wlewa zawartość wiaderka, potem zaczyna intensywnie pompować. Dopiero po jakimś czasie czuje, że tłok ssie wodę do góry. Rozgrzana z wysiłku idzie z pełnym wiadrem do domu, kiedy słyszy, że ktoś wchodzi na podwórze.

– Heil Hitler! – Heinz wita się obowiązkowym zwrotem. Mężczyzna utyka. Jest inwalidą wojennym, a pracę listonosza traktuje jak wyjątkowe wyróżnienie. Odkąd został zatrudniony na tym stanowisku, nie pozwolił sobie na choćby jeden dzień nieobecności. Z wielkiej skórzanej torby wyjmuje dwa listy i podaje gospodyni.

– Heinz, zajdź na chwilę do kuchni. Ogrzej się – zachęca Marta. – Mam na płycie dzbanek gorącej kawy.

Listonosz waha się przez chwilę, ale w końcu przystaje na propozycję. – Dobrze, ale na krótko. Mam dużo listów do rozwiezienia.

– Powiedz, co słyhać na wsi. Ostatnio nigdzie nie chodzę – wyjaśnia swoją niewiedzę.

Heinz siedzi przy stole nad kubkiem kawy z mlekiem. Torbę zdjął z ramienia i postawił przy nodze. – Ta sama bieda, co gdzie indziej. Wczoraj pociągi wcale nie szły. Dopiero dzisiaj wożę pocztę, dlatego torba taka pełna. Nie da się jechać rowerem, to go sobie prowadzę pomalutku. Ciepło się ubrałem, po drodze dobrzy ludzie kubek gorącej kawy dadzą. Jakoś do wiosny wytrzymam – stwierdza z pogodnym uśmiechem.

– Tylko kiedy ta wiosna będzie – ciężko wzdycha Marta. – Minęły dopiero trzy tygodnie stycznia, a co dalej? Jak żyję, takiej zimy nie było.

– Młoda jesteś, ale powinnaś pamiętać tę z dwudziestego ósmego na dwudziesty dziewiąty rok. W gazetach wciąż pisali o ludziach, którzy zmarli z zimna. I to nie tylko pod gołym niebem, ale i w mieszkaniach. Przyszedł wtedy kryzys, bezrobotni nie mieli na opał i na jedzenie. To była prawdziwa bieda. Teraz nikt z głodu i zimna nie umrze. Tak zapowiedziały władze.

– Masz rację. Tamtej zimy wymarły prawie wszystkie winnice. Teraz sobie przypominam. Tylko wtedy nie musiałam się o nic martwić. Byłam młodą mężatką, a Tila miała kilka lat. Dziadek z babcią troszczyli się o wszystko.

– Czas na mnie – listonosz podnosi się z krzesła i sięga po torbę. – Nie zapomnij, że listy ci przyniosłem.

– A tak. Dziękuję. Heinz, uważaj, wychodząc, bo na schodkach jest trochę

ślisko.

Pierwszy list jest od Lisy. Składa się wyłącznie ze skarg na kolejki, braki w sklepach, pazernych rolników i na mrozy. Wygląda na to, że wysokie zarobki Paula w tym wypadku nie mają większego znaczenia. „Jak mam im pomóc? Przecież sama nie pojedę do Zielonej Góry. Pociągi jeżdżą jak chcą. Nie mogę ryzykować, że utknę w mieście. Odpiszę, żeby przyjechała z chłopcami, to się najedzą i jeszcze wezmą ze sobą”.

Drugi list przysłała teściowa. Normalnie też by go otworzyła, ale teraz, kiedy stosunki z Walterem są lodowate, postanawia zostawić kopertę nietkniętą. Właśnie zabiera się do gotowania obiadu, ale słyszy pukanie do drzwi, więc wyciera mokre ręce w fartuch i idzie otworzyć. Na ganku czeka dwóch chłopców, a przy schodach stoi wózek z rączką do ciągnięcia.

– Heil Hitler! – wyuczonym gestem wyrzucają ręce do przodu. – Zbieramy złom – oznajmniają.

– Ale byliście już w grudniu. Dałam wam wszystko, co miałam. – Marta jest zakłopotana. – Nie mam niczego.

– Pani Neumann – głos dziesięciolatka brzmi bardzo oficjalnie – czy mamy zanotować, że pani nic nie dała, kiedy ojczyzna w potrzebie?

– Naprawdę nie wiem, co jeszcze... – zastanawia się kobieta. – Zaczekajcie...

Po chwili wraca, niosąc w rękach starą blachę do pieczenia ciasta, zniekształconą dziesiątkami lat używania.

– Mogłaby jeszcze nam służyć, ale skoro ojczyzna jej potrzebuje... – wzdycha nieco teatralnie. – I nie przychodźcie więcej, bo naprawdę nic już nie znajdę.

– W lutym zbieramy szkło! Może pani zacząć gromadzić – oznajmia młody człowiek.

Jako że jest prąd, z Tilą i Janką spędzają popołudnie w piwnicy, gdzie kolejny raz zlewają wino z jednych beczek do drugich, tak aby nabrało maksymalnej klarowności. Przy okazji Marta przekazuje córce całą wiedzę o tym etapie wytwarzania wina. Ciepło ubrane kobiety pracują, ale i raz po raz próbują, bo co to za nauka bez odpowiednich ćwiczeń. Rozmawiając i chichocząc na przemian, nawet nie słyszą, że Walter wrócił z pracy. Dopiero kiedy zagłąda do piwnicy, Marta szybko wstaje z drewnianej ławy i idzie za mężem do kuchni. On zdążył tymczasem otworzyć drzwiczki do pieca i z gniewną miną próbuje rozniecić ogień.

– Zostaw! – mówi Marta. – Obiad jest w duchówce. Ciepły. Nie trzeba podgrzewać.

– Dobrze ci mówić. Wracam zmarznięty z pracy, w piecu wygaśnięte, a wy siedzicie sobie w piwnicy w doskonałych humorach. – Walter ze złością zamyka metalowe drzwiczki i siada za stołem. Żona podaje mu obiad, a obok talerza

kładzie list.

– Heinz dzisiaj przyniósł.
– Trzeba było otworzyć.
– Nie wiedziałam, co na to powiesz. Zresztą matka zawsze adresuje na ciebie.

– Zjem, to przeczytam.
– To ja wracam do piwnicy. Niedługo kończymy. Jak przyjdę, rozpale pod płytą. – Powiedziawszy to, Marta zostawia męża samego. Dopiero wieczorem przy kolacji pyta:

– Co matka pisze?
– Prosi o pomoc. Masz, sama przeczytaj.

Kochany Synu i Synowo!

Mam nadzieję, że jesteście zdrowi i ta straszna zima nie dokucza Wam tak jak mnie. Tu w Berlinie jest wprost nie do wytrzymania. Siedzę z dziećmi w niedogrzanym mieszkaniu. W ubiegłym tygodniu poszliśmy kupić węgiel. Szliśmy zworkami od składu do składu, ale wszędzie wisiały kartki „Węgiel wyprzedany”. Nie wiadomo, kiedy znowu dowiozą. Bardzo oszczędzałam opał, ale tę resztkę, co miałam, ktoś nam z piwnicy ukradł. Jedyne Ewa od czasu do czasu przyniesie skądś kilka kilogramów. Dzięki temu są takie wieczory, które spędzamy przy lekko ogrzanym piecu. Nieprzyjemnie o tym pisać, ale chcę, żebyście znali nasze położenie. W piwnicy pękła rura od wody, więc od kilku dni się nie myliśmy. Dzisiaj naprawili, jednak jest tak zimno, że umycie się w lodowatej wodzie może spowodować chorobę. Boję się o chłopców, bo są wciąż zmarznięci, brudni i głodni. Co z tego, że mamy przydział na kartki, kiedy trudno kupić cokolwiek. Po wszystko ustawiają się kolejki. Ja stoję po mięso, Arnold po chleb, a Christian po kartofle. Najczęściej inni wypychają chłopców albo jak dojdziemy do lady, już niczego nie ma. Nie wiem, co dalej robić. Przecież ja mam już siedemdziesiąt pięć lat. Brakuje mi sił i zdrowia. Ewa to dla mnie i dzieci jedyne oparcie, ale jej sytuacja jest jeszcze trudniejsza niż moja.

Drogi Walterze, czy mógłbyś znaleźć jakiś sposób, żeby dostarczyć nam trochę jedzenia? Wtedy byłoby łatwiej wytrzymać wszystko inne. Proszę Ciebie i Twoją żonę, żebyście nam pomogli. Jesteście naszą jedyną nadzieją.

Matka

Tila, czekająca spokojnie, aż Marta przeczyta list, teraz z niecierpliwością wpatruje się w matkę trzymającą rozłożoną kartkę. – Mamo, dlaczego płaczesz? Czy babcia jest chora?

– Nie, nic takiego. Babcia pisze, jak jej ciężko. Podobno są głodni i nie mają czym palić w piecach. Wyobrażasz sobie, jak im tam zimno?

– Tatusiu, pojedźmy do Berlina! Ty weźmiesz jedną walizkę, a ja drugą.

Włożymy tyle jedzenia, ile się zmieści. – Tila jest pełna entuzjazmu.

– Sam pojedę. Ty mi niewiele pomożesz.

– Myślę, że Tila ma rację. – Marta tym razem popiera córkę. – We dwoje więcej zabierzecie. W wędzarni jest jeszcze trochę wędlin, zabiję kurę i kilka królików, przygotuję twaróg, smażony ser i jaja. Upieczemy dobry domowy chleb. Lisa też prosi o pomoc, ale ona może sama przyjechać.

– Skąd weźmiesz to wszystko? Nie mamy tyle jedzenia. Nie odstawisz świń albo jaj, będziesz miała kłopoty – ostrzega Walter.

– Nie martw się o to. Poradzimy sobie.

– Ja mogę mniej jeść – deklaruje Tila.

– No właśnie. – Marta się uśmiecha. – Będziemy jeść trochę oszczędniej.

Poza tym mamy dość kartofli. Nie zginiemy z głodu.

– Mimo wszystko wolałbym, żeby Tila nie jechała.

– Tatusiu! Nie bądź taki!

– Tila – Marta patrzy porozumiewawczo na córkę – idź spać. My musimy jeszcze porozmawiać z ojcem.

– Naprawdę powinieneś zabrać ją ze sobą – mówi Marta, kiedy córki nie ma już w kuchni. – Weźmiecie więcej jedzenia.

– Chcesz wysłać dziecko na to zimno? Może trzeba będzie stać na stacji cały dzień. Słyszałaś, co się dzieje na kolei.

– Nie jest malutka. Nie wymyślaj powodów, bo dobrze wiem, o co ci chodzi.

– Niby o co?

– Nie chcesz, żeby Tila spotkała Ewę. Boisz się, że może się czegoś domyślić.

– A ty? Niby jesteś taka święta, a sama nie chciałaś, żeby Ewa do nas przyjechała.

– To co innego.

– Taka jesteś pewna?

Marta rumieni się i milczy przez chwilę.

– Nie – odpowiada wreszcie. – Wtedy mogliśmy zachować się inaczej.

– Przestań udawać świętoszkę. – Walter uśmiecha się ironicznie.

– Możesz sobie myśleć, co chcesz. Nie zależy mi. Raczej się zastanówmy, jak najlepiej pomóc twojej matce – ucina dyskusję Marta. – Niech Tila jedzie. Możesz wysłać depezę, że przyjeżdżacie i poprosić, żeby była sama z chłopcami. To chyba żaden problem.

– Pomyślę o tym.

W sobotę nad ranem Marta odwozi męża i córkę na stację do Bomstu. Na szczęście przez cały tydzień nie spadł nawet płatek śniegu, więc droga jest przejezdna. Jeszcze nie zdążyli wyjechać ze wsi, a już twarze stężały i bolały od mrozu. Siedzą na saniach przytuleni do siebie, okryci kocami i baraniami

kożuchem. W kolejowej poczekalni panuje tłok i duchota. Ludzie ubrani w ciepłe rzeczy odwijają szale, chusty i zdejmują czapki. Marta zaledwie na chwilę przywiera plecami do rozgrzanego kaflowego pieca, potem idzie z rodziną napić się gorącej kawy. Kiedy czuje, że jej ciało trochę odtajało, żegna się z córką i Walterem, i wychodzi na mróz. Nie może pozwolić sobie na rozleniwienie, bo Lotte czeka na dworze i marznie pod derką.

Kiedy docierają do Berlina, w mieście panuje nieprzenikniona ciemność. W pociągu nie pali się żadne światło. Ludzie stłoczeni w przedziałach i na korytarzach są spoceni, a para z oddechów skleja włosy i sprawia, że bielizna lepi się do pleców. Między pasażerami siedzącymi na walizkach na korytarzu od czasu do czasu przepycha się konduktor informujący o kolejnych stacjach.

Nareszcie po piętnastu godzinach od wyjazdu, po długich postojach na stacjach albo w szczerym polu i czekaniu na rozmrożenie zwrotnic, Walter z Tilą są u celu. Dopiero kiedy wszystkie wagony znalazły się pod dachem, zapalono światła. Pasażerowie pospiesznie wychodzą, ciągnąc za sobą torby, walizy i najróżniejsze toboły. Tila z ulgą wyskakuje na peron i razem z tłumem ludzi podąża w kierunku tunelu. Tam światła się palą, ale wyjście na górę też jest zaciemnione. Schody prowadzące na poziom ulicy są pomalowane fluorescencyjną farbą. Tila, która pamięta swój przyjazd do Berlina trzy lata temu, teraz staje jak wryta u szczytu schodów, nie wiedząc, co ma dalej robić. Bezradnie szuka ojca. Ludzie mijają ją i potracają, a ona, oszołomiona nieoczekiwaną ciemnością, próbuje dostrzec cokolwiek, ale widzi tylko rozgwieżdżone niebo i czarne postacie przesuwane obok niczym duchy.

– Tila! – słyszy wołanie. – Odezwij się. Nie wiem, gdzie jesteś!

– Tutaj, tatusiu! – odpowiada, prawie płacząc. – Tu, na górze.

– Czekaj! Nie ruszaj się. Idę do ciebie.

Dopiero kiedy Walter staje obok i dotyka niepewnie jej ramienia, zaczyna się trząść. Dygoce tak, że nie może opanować stukania zębów. Dociera do niej, jak bardzo się bała tego, że zostanie zupełnie sama otoczona mrokiem. Czuje też mróz szczypiący w twarz i wciskający się pod wilgotne ubranie. Odwraca się do ojca i wtula gwałtownie w jego ramiona.

– Dobrze, że jesteś, tatusiu – szepcze.

– Od razu mówiłem, że nie powinnaś jechać.

– Nie, nie. Już dobrze. – Tila odsuwa się od ojca. – Ja tylko przestraszyłam się, że się zgubiłeś. Tato, dlaczego jest tak ciemno?

– To z powodu nalotów. Władze zarządziły całkowite zaciemnienie miasta. Okna mieszkań są szczelnie zasłonięte i jak widzisz, latarnie też się nie palą.

– Nie wiedziałam, że są naloty na Berlin.

– Nie ma. Mamy doskonałą obronę przeciwlotniczą. Jednak nie należy stwarzać wrogowi okazji – wyjaśnia córce Walter.

– Jak my teraz trafimy do babci? Nawet nie wiem, dokąd iść.

– Musimy wziąć taksówkę. Będzie to nas sporo kosztować, ale nie mamy wyjścia. Nie będziemy po omacku szukać kolejki, w dodatku z tymi torbami. Chodźmy na postój. Wydaje mi się, że wiem, jak tam trafić.

Po chwili okazuje się, że ciemności nie są aż tak absolutne. Śnieg zalegający w hałdach między ulicą a chodnikiem, fluorescencyjne znaki na murach, gwiazdy na niebie i blade światełka z osłoniętych latarek nieco rozpraszają mrok. Ulicą raz po raz przejeżdżają samochody, ale przypominają raczej sunące wolno, szare dziwaczne kształty z nikłymi, prawie całkiem przysłoniętymi światłami. Walter ma w jednej ręce walizę, a w drugiej trzyma dłoń córki. Tila czuje się już bezpiecznie, więc rozgląda się wokół, usiłując zobaczyć cokolwiek. Zadziera głowę, patrząc w górę. Niby niebo jest to samo co w rodzinnej wsi, ale tu, między czarnymi bryłami wysokich domów, wygląda jak świetlisty szlak dla zagubionych wędrowców. Idą w stronę postoj, ale okazuje się, że nie ma tam żadnej taksówki. Walter postanawia więc podejść trochę dalej, licząc na to, że w pobliżu jednego z hoteli uda mu się coś złapać. Rzeczywiście, kilka taksówek czeka na klientów. Ładują się do samochodu, ale i tak dopiero po godzinie docierają pod kamienicę, w której mieszka Sabina. Wysiadają z ulgą, bo jazda ciemnymi ulicami przez miasto widmo była nie tylko nieprzyjemna, ale i bardzo niebezpieczna. Kilka razy tylko dzięki doświadczeniu kierowcy udało się uniknąć zderzenia z innym samochodem.

– No, nareszcie jesteście. Teraz babcia mieszka tutaj – oznajmia Walter.

– Nic nie widzę.

– Zobaczysz rano. To bardzo ładna dzielnica.

Mężczyzna upewnia się, czy trafili pod właściwy adres, z trudem odczytując numer domu umieszczony na dużej tabliczce. Brama jest zamknięta, więc naciska dzwonek. Po około dziesięciu minutach oczekiwania pojawia się kobieta w papciach, chuście na głowie i grubym płaszczu.

– Żeby tak po nocy ludzi budzić. Wyspać się nie można – narzeka naburmuszona, nie odpowiedziaławszy na słowa powitania.

– My do Sabiny Neumann – tłumaczy Walter. – Pociąg miał duże opóźnienie. Inaczej byśmy pani nie niepokoiili.

Dozorczyni przygląda się uważnie mężczyźnie. Nie jest pewna, czy ma uwierzyć człowiekowi, którego ledwie widać.

– A to kto? – wskazuje na Tilę. – Jej tu na pewno nie widziałam.

– To moja córka, wnuczka pani Neumann. Proszę nas wpuścić, bo strasznie zmarzliśmy – nalega Walter.

– No dobrze, niech będzie. Tylko cicho na schodach, żeby lokatorów nie obudzić. Potem wszyscy z pretensjami do mnie przychodzą.

Stoi jeszcze u dołu schodów, czekając, aż Sabina otworzy im drzwi. Do siebie idzie dopiero, kiedy nocni goście wchodzą do mieszkania na pierwszym piętrze.

W przedpokoju nie jest ani odrobinę cieplej niż na klatce schodowej. Tila dostrzega, że babcia też ma na sobie płaszcz i wełniany szal na głowie. W pokoju

pali się światło, ale okna zakrywają zasłony z grubej, nieprzezroczystej tkaniny. Sabina najpierw prowadzi ich do kuchni, gdzie wyjmują przywiezioną żywność. Na widok sterty jedzenia aż przysiada na krześle.

– Boże ty mój. Ile tego! Nareszcie się chłopcy najedzą do syta – mówi łamiącym się głosem, a w bladoniebieskich oczach pojawiają się łzy.

Tila, która nigdy nie zaznała uczucia prawdziwego głodu, ma w głowie zamęt. Nie zdawała sobie sprawy, że w Niemczech, w jej pojęciu państwie niemal idealnym, ktoś może płakać na widok chleba albo jajek. Zdumiewa ją też wygląd Sabiny. Ma przed sobą zupełnie siwą, przygarbioną i byle jak opatuloną starą kobietę, jakże inną od postawnej i eleganckiej pani, która półtora roku temu przyjechała w odwiedzinach do Altreben.

– Chcielibyśmy się wyspać. Pokaż nam, gdzie się mamy położyć. – Walter odzywa się takim tonem, jakby chciał przywołać matkę do porządku.

– Już, już. Przepraszam. Nie pomyślałam, że jesteście zmęczeni. Tila, będziesz spała ze mną. Tobie, Walterze, posłałam tam gdzie zwykle, ale dałam ci pierzynę i gruby pled. Nie powinienesz zmarznąć.

Zanurzona w miękkiej pościeli dziewczyna spała tak, że nie zauważyła, kiedy babcia wstała i wyszła z pokoju. Nie usłyszała też, że stuknęły zamykane drzwi, a stryjeczni bracia poszli z babką do kościoła. Kiedy wreszcie odważyła się wygrzebać z ciepłego legowiska i owinięta kocem powlokła się do łazienki, mijając drzwi do kuchni, ujrzała resztę rodziny siedzącą przy stole i jedzącą bardzo późne śniadanie.

– Tila! – Christian rusza zza stołu w kierunku rozczochranej i otulonej kraciastym pledem postaci.

Dziewczyna, zawstydzona swoim wyglądem, waha się przez moment, czy nie zniknąć za drzwiami łazienki, ale ostatecznie daje się objąć chudym ramionom chłopca.

Wczesnym popołudniem Walter pojechał metrem na dworzec kolejowy, żeby zorientować się, jakie są możliwości powrotu, a Tila, Christian i Arnold wybrali się na spacer.

Drzwi do kamienicy zamykają się z hukiem za plecami dziewczyny, ale ona nie zwraca już na to uwagi. Siedząc w zimnym mieszkaniu, w którym każde okno pokrywa szron, nie zauważyli nawet, że temperatura powietrza na zewnątrz podniosła się i pada śnieg. Nie ma wiatru, więc białe płatki lecą z nieba spokojnie i osiadają delikatnie na głowach i ramionach przechodniów, przejeżdżających z rzadka samochodach, na krzewach, bezlistnych gałązkach drzew i dachach domów. Wszystko robi się czyste i piękne. Idąc, zostawiają za sobą ślady, które natychmiast zasypuje śnieg.

W parku jest już sporo ludzi, szczególnie rodzin z dziećmi. Ojcowie ciągną sanki albo razem z radosnymi maluchami lepią bałwany. Nikt w tym momencie nie

domyśliłby się, że nocą Berlin ukrywa się w bezpiecznych ciemnościach albo że jego mieszkańcy nie dojadają z powodu trudności w zaopatrzeniu. W pewnym momencie nogi Tili idącej alejką zaczynają rozjeżdżać się w niekontrolowany sposób, bo nie zauważyła, że pod białą pierzynką schował się lód. Jeszcze chwila i dziewczyna leży jak długa. Upadając, podcina nogi Arnoldowi, toteż i on wywraca się w miękki puch. Widząc stojącego nad nimi roześmianego Christiana, starszy z braci szybko lepi pigułę ze śniegu i rzuca w wesołka. Daje to początek prawdziwej bitwie między całą trójką. Po kilku minutach zabawy wszyscy wyglądają jak bałwany, tak są utyłani w śniegu. Niepostrzeżenie mija początkowe skrępowanie, które utrudniało dzieciom rozmowę, ustępuje odczucie obcości, a na jego miejsce pojawia się echo dawnej zażyłości.

– Tila, czemu nie przyjeżdżasz do nas częściej? – pyta Christian.

– Nie wiem. Chciałam, ale tatuś wołał, żebym pomagała mamie.

– Poproś tatę, żeby zawsze ciebie do nas zabierał – dołącza się Arnold. – Z tobą jest tak wesoło. Inaczej niż zwykle.

– Przecież macie kolegów.

– Niewielu – mówi Arnold ze smutkiem. – Tam, gdzie mieszkaliśmy wcześniej, trochę ich było, ale tutaj prawie nikogo nie znamy.

– Na pewno zaprzyjaźnisz się z kimś z twojego kameradschaftu – pociesza kuzynka. – Niedługo będzie wiosna, pojedziesz z kolegami na biwak. Będzie dobrze, zobaczysz – obiecuje.

– Arnold już był na biwaku! – informuje Christian.

– I co? Było wspaniale, prawda?

– Tak – potwierdza chłopak. Mówi takim tonem, że Tila domyśla się, że nie trafiła. Chcąc jakoś pocieszyć stryjecznego brata, obejmuje go ramieniem i przez jakiś czas idą przed siebie w milczeniu. Arnold czuje ulgę, że nikt na niego nie patrzy i nie widzi dwóch łez spływających po zaczerwienionych policzkach. Tak bardzo chciałby teraz wyznać Tili, że wcale mu się nie podoba w Jungvolku. Wolałby siedzieć nad książkami i uczyć się geografii albo matematyki. Nie cierpi biwaków, deszczu bębniącego o brezent namiotu, komarów, chłodu, wilgoci i strachu, gdy stoi się na warcie w kompletnych ciemnościach, a głosy lasu są tajemnicze, groźne i przerażające. Ale najbardziej ze wszystkiego nienawidzi brutalnej, niemal krwawej zabawy nazwanej „Zdobądź flagę”. W Jungvolku jest niecałe dwa lata, co prawda, odkąd zamieszkali w Charlottenburgu, jest w innym kameradschafcie i nikt nie wie, że jest mieszkańcem, ale on i tak wciąż się boi, że wszystko się wyda. Pragnie jej powiedzieć o tym, co mu strasznie ciąży – o uczuciach do matki, o tej mieszance miłości i nienawiści, której nie potrafi ogarnąć swym niespełna dwunastoletnim sercem. Byłoby mu lżej, gdyby mógł komuś to wszystko wyznać, a Tila jest dobra i na pewno by go zrozumiała, potem wróciłyby do siebie i nie musiałyby się zastanawiać, czy aby na pewno nie myśli

o nim źle po tym wszystkim, co usłyszała. Tylko jak z nią porozmawiać, kiedy Christian jest wciąż blisko? Zwiesza głowę z rezygnacją, starając się opanować gniew, jaki budzi w nim nieustanna paplanina brata.

– Tila, czy możemy do was przyjechać w wakacje? – dopytuje się Christian.

– Trzeba spytać moją mamę. Na pewno się zgodzi.

– To może nasza mama też mogłaby z nami pojechać – ciągnie chłopiec.

Christian łapie się nagle na tym, że złamał zakaz dany przez babcię. Nie wolno im mówić o matce ani przy obcych, ani przy nikim innym. To mogłoby być dla niej niebezpieczne, a na nich sprowadzić kolejne kłopoty. Tila też została uprzedzona przez ojca. „Pamiętaj! Nie wspominaj o cioci Ewie. Arnold i Christian ciężko przeżywają chorobę mamy i lepiej nie przypominać im o tym wszystkim”. Zapada krępująca cisza. Na szczęście akurat zbliżają się do pałacu Charlottenburg. Cała trójka zatrzymuje się przed kutą bramą i chłonie widok roztaczający się przed ich oczami. Budynek wygląda jak żywcem wyjęty z bajki. Jeszcze chwila, a otworzą się wrota i wyjdzie przez nie król w złotej koronie i gronostajowym płaszczu. Ogromne połacie dachu i kopulastą wieżę pokrywa biała śnieżna szata. Wielkie okna znajdujące się w centralnej części pałacu pomalował szron, ale są też takie, gdzie go nie ma i na pewno właśnie tam jest ciepło. Ciszę panującą wokół raz po raz przerywa krakanie wron. Jedna z nich przysiadła na głowie jeźdźca z brązu i przekrzywiając łepkę, przygląda się ciekawie postaci stojącej za szybą. Nagle czymś spłoszona z głośnym krzykiem zrywa się do lotu, a dzieci dotąd zastygłe bez ruchu uświadamiają sobie, że jest im bardzo zimno, w brzuchu burczy i zapada zmierzch.

Wracając do domu, obserwują wielką akcję odśnieżania miasta. Z miotłami i łopatami uwijają się dozorczy kamienic, grupy chłopców z Hitlerjugend, a nawet więźniowie nadzorowani przez strażników trzymających broń na ramieniu. Władze pokazują mieszkańcom miasta, że wszystko jest pod kontrolą. Niestraszny im śnieg, głód, zimno i wrogowie. Można rozwiązać każdy problem, kiedy jest się dobrze zorganizowanym, zdeterminowanym i odważnym.

44

Jest mroźne lutowe popołudnie. Zima wciąż nie daje za wygraną. Wszyscy mają jej dość. Znudziła się nawet dzieciom spędzającym dotąd każdą wolną chwilę na taflach Schwentesee albo na okolicznych pagórkach. Ślizgi na wystruganych przez ojców nartach, na sankach, a nawet starych poobijanych miskach cieszyły do czasu. Teraz każdy spogląda z wytęsknieniem na kalendarz i pyta w myślach: „Kiedy wreszcie przyjdzie wiosna?”.

Ziąb doskwiera nie tylko ludziom w miastach. Na wsi też jest ciężko. Kończą się zapasy drewna na opał, trudno kupić węgiel, warzywa zgromadzone w piwnicach już zjedzone, a strach otworzyć kopce, bo mróz natychmiast wśliźnie

się do środka i wszystko zmarnuje.

W domu Ulrichów po niedzielnym obiedzie odbywa się niecodzienne spotkanie. W dawnym pokoju babki Trudy, obecnie zamieszkiwanym przez trzyosobową rodzinę Elzy, na podłodze z desek w pobliżu ciepłego kaflowego pieca siedzą Tila, Emil, Anna i Katharine. Josef i Hedwiga poszli złożyć urodzinowe życzenia kuzynowi Wilhelmowi, chłopcy pobiegli do kolegów i teraz zapewne gdzieś się ślizgają, a Elza odprowadza męża na pociąg. Młody mężczyzna pracuje w Berlinie i odwiedza rodzinę tylko raz w miesiącu. W rogu pokoju w dzieciennym łóżeczku śpi dziewięciomiesięczny chłopczyk. Do spoconego czoła przykleiły się kosmyki jasnych włosów, od czasu do czasu mały kaszle, ale nie budzi się przy tym, bo matka przed wyjściem napoiła go naparem z melisy i płatków maku, więc sen ma mocny i spokojny.

W centrum zainteresowania nastolatków znajduje się skrzynia z płaskim wiekiem. Nie jest specjalnie wielka, ma może metr długości i niewiele ponad pół metra wysokości. Na mocno sfatygowanej powierzchni widoczne są resztki farby. Zarówno na wieku, jak i ścianach namalowano kiedyś po dwa symetrycznie rozmieszczone bukiety kwiatów, ale dziś trudno byłoby rozpoznać ich gatunki.

– Emil, otwórz to wreszcie! – Najmłodsza z całej czwórki Anna nie może się doczekać momentu otwarcia tajemniczej skrzyni. Przez co najmniej kilkanaście lat pudło stało w tym samym miejscu pod ścianą, a otwierane było rzadko i tylko po to, żeby babka mogła z niego wyjąć swój wendyjski ubiór. Ostatni raz wtedy, kiedy ubierano staruszkę do trumny. Od października nikt z dorosłych tam nie zaglądał, bo dotąd w gospodarstwie były ważniejsze sprawy niż poznawanie zawartości starego kufra. Przed kilkoma dniami Elza postanowiła pozbyć się z pokoju odrapanej skrzyni, więc nareszcie ciotka Hedwiga dała zgodę, by młodzi zaspokoiли swą ciekawość.

– Otwieraj! – nakazuje zdecydowanym głosem Katharine. – Ile można czekać?

– Już, już. Ale pamiętajcie! Kiedy zajrzycie wreszcie do środka, nie będzie już żadnej tajemnicy. A tak możecie jeszcze chwilę pofantazjować. – Emil wydaje się nie mieć litości dla podekscytowanych dziewcząt.

– Bo cię zaraz trzepnę! – odgraża się Katharine.

Chłopak się droczy i przeciąga moment otwarcia kufra, ale tak naprawdę chciałby, żeby to Tila go poprosiła. Tylko że ona milczy. Od pogrzebu babki zamienili ze sobą raptem parę zdawkowych słów. Obojgu brakuje rozmów i wspólnych spacerów, ale żadne nie próbuje pierwsze wyciągnąć ręki. Tila nawet przed sobą nie przyznaje się, że wie, o co chodzi Emilowi, a on, zawsze dotąd skłonny do zgody i wybaczenia innym, tym razem zachowuje się inaczej. Może by mu przeszło, ale ilekroć widzi Tilę ślizgającą się na łyżwach z Karlem, to ogarnia go uczucie żalu do dziewczyny, że tak łatwo zmieniła jedną przyjaźń

na drugą. Nie doczekawszy się prośby z jej strony, wkłada klucz do dziurki zdobionej metalowym okuciem i go przekręca. Potem podnosi wieko i cztery pary rozszerzonych ciekawością oczu kierują się do ciemnego wnętrza.

Nikt nic nie mówi, ale i tak rozczarowanie malujące się na twarzach dostatecznie odzwierciedla uczucia. Nie wiadomo, co każde z nich wyobrażało sobie w związku z zawartością skrzyni. Wszak babka nie była rozbójnikiem ukrywającym złote monety i brylantowe kolie, nie miała też tajemnych adoratorów ślących do niej miłosne listy, toteż w wypełnionym do jednej trzeciej starym drewnianym, pachnącym naftaliną pudle są tylko przedmioty ważne dla starej kobiety i dla nikogo więcej. Pierwsza sięga do wnętrza Katharine. Wyjmuje ciężką, grubą księgę.

– Kancjonał babci Trudy! – woła Anna.

– A czyj niby miałby być? – kwituje z ironią starsza siostra.

Pochylają się z nieoczekiwanym szacunkiem nad księgą leżącą na kolanach Katharine. Chociaż litery na stronie tytułowej pisane są czcionką dobrze znaną ze szkoły, to słowa, jakie się z nich składają, nie są niemieckie.

– *Kancjonał zawierający w sobie Pieśni Chrześcijańskie stare i nowe, z Przydatkiem Modlitew, a także Summarjuszem Katechizmowym i rejestrami potrzebnymi. W Brzegu nakładem i drukiem A. Klockau tysiąc osiemset sześćdziesiąt jeden* – czyta Emil głośno.

– To po wendyjsku! – dziwi się Anna.

– Nie wiedziałaś, że babcia Truda ma księgi w tym języku? Przecież słyszałaś, jak śpiewała po swojemu – strofuje siostrę Katharine.

– Tak, ale nie wiedziałam, że to wszystko jest tak dziwnie napisane.

Po następny, jeszcze okazalej wyglądający tom sięga Emil.

– *H. Samuela Dambrowskiego, Kazania albo Wykłady Porządne, Świętych Ewangelin Świętecznych, tudzież innych świętych, które Kościół Boży w Polsce, Prusiech, i indziej zwykł obchodzić przez cały Rok. W Brzegu, nakładem i Typem Chrystjana Bogusława Wolfarta, tysiąc osiemset dziewięć* – czyta.

– Jaka stara! Ma ponad sto lat! – nie wytrzymuje Tila.

– Ma z siedemset stron albo więcej – dodaje chłopak. – Szkoda, że już nikomu się nie przyda.

– Chyba mama jej nie wyrzuci. Szkoda by było.

– Nie, na pewno gdzieś ją schowa. – Katharine znowu zagląda do skrzyni. – Jest i Biblia. Też wendyjska.

Potem wydobywają jeszcze dwie drewniane, podłużne szpule z resztkami nawiniętej przędzy, motek nici z owczej wełny w rdzawym kolorze, sukienkę, którą zapewne nosiła mała dziewczynka, a na koniec niewielkie zawiniątko w białym lnianym ręczniku przewiązane wstążką. Katharine kładzie je ostrożnie na podłodze, a całą czwórkę znowu ogarnia nastrój pełen tajemniczości.

- Co tam może być? – zastanawia się Anna.
- Nie dowiemy się, jeśli tego nie rozpakujemy.

Katharine ostrożnie ciągnie za jeden z końców kokardki, a potem wolno rozchyła rogi tkaniny. Oczom nastolatków ukazują się kilka przedmiotów: stara pożółkła fotografia, niewielka książeczka do nabożeństwa i jeszcze jeden zwitek miękkiej tkaniny. W jego wnętrzu odnajdują złotą obrączkę i pociemniały ze starości srebrny łańcuszek z medalikiem. Tila go chwyta i przybliża do oczu.

- Taki sam! Jest taki sam, jak cioci Janki! – woła triumfalnie.

Przygląda się jeszcze dokładniej i dodaje, pokazując palcem:

- Widzicie, tu jest Matka Boża z Dzieciątkiem na ręku.

– Niemożliwe. Babcia Truda nie nosiłaby czegoś takiego. Nie była przecież katoliczką – wątpi Katharine.

Niespodziewanie otwierają się drzwi i zimny powiew powietrza wpada do pokoju. To Elza. Młoda kobieta, nic nie mówiąc, idzie w kierunku łóżeczka, w którym śpi chory synek. Pochylona, przygląda mu się uważnie. Ma zimne ręce, nie chce więc go dotykać, ale próbuje wzrokiem odszukać objawy gorączki. Uspokojona prostuje plecy i dopiero wtedy dostrzegają spuchnięte od płaczu, czerwone oczy.

- Pojechał? – pyta Emil ze współczuciem.

Dziewczyna nie odpowiada, tylko, zagryzając usta i starając się powstrzymać napływające znowu łzy, potrząsa potakująco głową.

– Elza – Emil odciąga uwagę kuzynki od przykrych myśli. – Umiałabyś to nam wytłumaczyć? – Chłopak wskazuje na zawartość zawiniątka. – Może coś o tym wiesz? Babcia Truda była kiedyś katoliczką?

– Nie. Na pewno nie. Nigdy o tym nie słyszałam, ale przypominam sobie – mówi z namysłem – że dwa, może trzy razy widziałam ją, jak siedziała na skrzyni, a na kolanach trzymała to wszystko. Jednak jak tylko zauważyła, że ktoś patrzy, natychmiast zawijała ręcznik i chowała z powrotem.

- Widzicie! – woła Anna. – Jednak w kufrze była ukryta tajemnica!

– Cicho bądź, bo obudzisz Johanna – upomina Elza, ale jest już za późno. W izbie rozlega się głośny płacz dziecka.

– Widzisz, co narobiłaś! – Elza bierze malucha na ręce i go przytula. – Chyba nie ma już gorączki – mówi uspokojona. – Dobrze, już dobrze, malutki, mama jest przy tobie. Nie płacz.

Zaczyna zapadać zmierzch, kiedy wracają rodzice dziewcząt. Są niecierpliwie wyczekiwani, bo młodzi pragną wyjaśnienia zagadki.

– Mamo – prosi Katharine – powiedz nam, jak to możliwe, że babcia Truda miała w swojej skrzyni katolickie pamiątki. Popatrz – kładzie na stole przed Hedwigą książeczkę do nabożeństwa i medalik z łańcuszkiem.

Kobieta wcale nie jest zdziwiona. Bierze do ręki modlitewnik, a ten sam się

otwiera w miejscu, gdzie tkwi druga fotografia, identyczna jak ta pierwsza, tylko że mocno czymś pobrudzona. Milczy przez chwilę, potem podnosi głowę i spogląda z powagą na otaczających ją młodych ludzi. – Wiem bardzo niewiele. Te przedmioty mają związek z wydarzeniami sprzed siedemdziesięciu lat. Nie było mnie wtedy na świecie, a babcia Truda nie lubiła o sobie opowiadać. Ale przez całe moje życie z nią mieszkałam, więc czegoś tam zdołałam się dowiedzieć.

W pokoju zapada pełna napięcia cisza. Nawet mały Johann zdaje się z niecierpliwością czekać na opowieść swojej babci.

– Zacznę od książeczki i medalika. Nigdy w naszej rodzinie nie wspominało się, że jeden z przodków – Jan Wielgus, był katolikiem. Wendowie, od których wywodzi się większość chwalimiaków, przybyli do wsi założonej przez Polaków. Przedtem żyły tu wyłącznie katolickie rodziny. Do tych najdawniejszych mieszkańców zaliczał się ród Wielgusów. Sto lat temu żyli tu, tak jak teraz, luteranie i katolicy. Tylko że wtedy rzadko się zdarzało, by młodzi z obu tych wyznań chcieli się ze sobą żenić, a jak już coś takiego się stało, to wywoływało wielkie problemy.

– Wiem – chwali się Tila. – Tak było z rodzicami cioci Janki. Dziadek cioci wygnał z domu jej mamę za to, że zakochała się w katoliku i Polaku.

– Masz rację, tylko że to było później i stary Nowotnik niepotrzebnie tak się zawziął. Wtedy już takie małżeństwa się trafiały.

– Mamo, opowiadaj dalej – prosi Anna.

– Tak naprawdę nie wiem, co spotkało Trudę i Jana ze strony ich rodzin, ale w końcu się pobraли i chyba nikt ich za to nie wyklął. Nie mam też pojęcia, jak się umówili w sprawie wyznania i wychowania dzieci.

– Więc ta książeczka i medalik...

– Tak, należały do Jana.

– A fotografia? Kto na niej jest i dlaczego są dwie identyczne? – dopytuje się Emil.

– Przyjrzyjcie się dobrze tej kobiecie.

Wszyscy jak na komendę pochylają się nad niezbyt wyraźnym zdjęciem. Widać na nim rodzinę. Młoda, wyraźnie przejęta kobieta siedzi sztywno na krześle, trzymając na kolanach niemowlę, obok stoją kilkuletni chłopcy, a z drugiej strony dziewczynka.

– Ta mała ma na sobie tę samą sukienkę! – gorączkuje się Anna i rozkłada przed wszystkimi sukienkę wyjętą ze skrzyni.

– Kim jest ta dziewczynka?

– Zaraz powiem. Prosiłam, żebyście przyjrżeli się kobiecie.

– To przecież babcia Truda! – Emil jest coraz bardziej zaniepokojony. – O wiele młodsza, ale tak, to na pewno ona.

– Masz rację. To ona i jej dzieci. A ten pan, który stoi za krzesłem, to Jan

Wielgus.

– Jak miały na imię dzieci? Powiedz, mamó – prosi Anna.

– Niemowlę to Anna, twoja prababcia, Tila. Chłopcy to Stanisław i Jan. Jan był moim dziadkiem, a Stanisław jest przodkiem Emila. Kiedyś pójdziemy na cmentarz, to wam po kolei wszystko wyjaśnię.

– Mamó, nic nie powiedziałaś o dziewczynce – nie ustępuje Anna.

– Bo ona umarła krótko po tym, jak zrobiono fotografię. Prawdopodobnie dlatego babcia Truda zostawiła jej sukienkę na pamiątkę.

– Czemu umarła?

– Nie wiem. Kiedyś dzieci umierały częściej niż teraz. Nie było takich leków jak dziś i lekarzy dość blisko, żeby przybyli na czas. Poza tym ludzie byli biedni i nie każdy mógł zapłacić doktorowi. Jana wzięli na wojnę, a babcia została sama z dziećmi. To musiało być dla niej bardzo trudne.

– Co było potem? – pyta Tila, choć ma wrażenie, że już wie. Przecież kiedyś, pilnując babci, słyszała jej dziwną, chaotyczną opowieść. Była o wojnie i ciężkiej pracy z małymi dziećmi. Przychodziła do Trudy z obowiązku i kiedy tylko mogła, brała nogi za pas. Tak nudne i niezrozumiałe były dla niej wywody starowiny. Teraz żałuje, że nigdy nie interesowało jej, co ma do powiedzenia.

– Tę fotografię – ciągnie ciotka, jakby nie słyszała pytania – zrobiono zaraz po tym, jak Jan dowiedział się, że musi iść na wojnę. Koniecznie chciał zabrać ze sobą zdjęcie całej rodziny. Wtedy jeszcze mało kto na wsi się fotografował, ale Jan uparł się, wsadził wszystkich na wóz i pojechali do Züllichau. Jedno zdjęcie wziął ze sobą, a drugie zostało w domu.

– I nigdy nie wrócił – kończy Tila.

– Tak. Zmarł w tysiąc osiemset siedemdziesiątym pierwszym roku we Francji z powodu odniesionych ran.

– To dlaczego znowu są dwie fotografie? – docieka Emil.

– Już po wojnie zjawił się u Trudy żołnierz, który leżał z Janem w lazarecie. Na jego prośbę zwrócił wdowie fotografię, książeczkę, medalik i obrączkę. Spójrzcie, jak poplamione jest jedno ze zdjęć. To krew. Jan musiał mieć je przy sobie, kiedy został ranny.

Zapadła cisza. Wszyscy siedzą zamyśleni, tylko mały Johann zasnął w ramionach matki.

– Chcieliście opowieści, to ją macie, tyle że teraz jesteście smutni – podsumowała Hedwiga.

– To nic. Dobrze znać historię rodziny. Wujku – zmienia temat Emil – czy wujek Wilhelm nie wspominał o jakiejś pracy dla mnie?

– Nic nie mówił. Narzekał tylko, że go zima do ruiny doprowadzi. Nie ma czym handlować, bo wszystko, co było w hurtowni, dawno sprzedał, kury na wsi się nie niosą, więc jaj na handel brak, a w dodatku dostaje taki mały przydział

na paliwo, że na transporcie też nie zarobi. – Józef wylicza wszystkie troski kuzyna.

– Chyba trochę przesadził. Na pewno nie jest tak źle – wątpi Hedwiga. – Lubi sobie ponarzekać. Taki już jest.

– Tila, zrobiło się ciemno. Niech Emil odprowadzi cię do domu – mówi Katharine trochę prowokacyjnie.

– Mogę pójść – deklaruje chłopak, nie okazując entuzjazmu.

– Nie trzeba. – Tila rumieni się z zakłopotania. – Mama po mnie zajdzie. Jest u cioci Janki.

Właśnie w tym momencie w otwartych drzwiach staje Marta. Jest tak ciepło ubrana, że ledwie można się domyślić, że to ona.

– Dobry wieczór wszystkim. Wybaczcie, że nie zostanę, ale już późno. Tila, zbieraj się, idziemy do domu.

– Wcale nie jest tak ciemno. – Dziewczyna zadziera głowę i spogląda w niebo. – Ile gwiazd! I jeszcze księżyc świeci! Jak pięknie! – zachwyca się.

– Ciocia Janka ma zmartwienie. – Marta sprowadza córkę na ziemię. – Dlatego byłam u niej tak długo.

– Co się stało?

– Zgubiła swój medalik.

– Och. Wiem, co teraz czuje. Już kiedyś tak było. Zbierałyśmy wtedy bławatki na Boże Ciało. Ja go potem znalazłam, ale pamiętam, że ciocia nagle zrobiła się taka dziwna.

– Jakby życie z niej uszło?

– Tak. Dokładnie tak. I co, nie pamięta, gdzie go mogła zostawić?

– Nie. Przetrzęsaliśmy we trójkę cały dom. Potem, dopóki coś było widać, szukaliśmy w obejściu, w śniegu, wszędzie. Jak kamień w wodę. Wiesz – mówi Marta, wchodząc na podwórze – boję się, żeby jej się w głowie nie pomieszało, jeśli go nie znajdzie. Była taka dziwna.

45

Medalik się nie znalazł. Po pewnym czasie już nieco spokojniejsza Janka domyśliła się, gdzie mógłby być. Poszła nawet do Łucji, której feralnego dnia zniosła ciasto dla dzieci, żeby zapytać, czy go aby tam nie zgubiła, ale kuzynka tylko pochyliła głowę i nic nie odpowiedziała. Wróciła więc do domu z niczym. Podejrzewała, że to Krüger musiał znaleźć drogi jej przedmiot, a to oznaczało, że straciła go bezpowrotnie.

– Dlaczego miałby nie oddać? – dziwi się Marta. – Łucja boi się własnego cienia. Sama go zapytaj. Może nie wie, że jest twój.

Marta, Tila i Janka, korzystając z tego, że temperatura powietrza podniosła się nareszcie powyżej zera, otworzyły kopiec z marchwią i właśnie wkładają

zdrowe i nietknięte przez mróz warzywa do skrzynek.

– Nie odda. Nie mam po co do niego iść. Nienawidzi mnie.

– Dlaczego, ciociu? Za co ktoś może ciebie nienawidzić? – nie rozumie Tila.

– Kiedy poszłam przed Bożym Narodzeniem do Łucji, żeby dać dzieciom upominki, to prawie mnie wypędził z domu. Krzyczał, że nie mam co u niego szukać, że mu żonę buntuję i że mam się wynosić, bo doniosłam na niego na policję.

– A doniosłaś? Nic nie mówiłaś! – Marta aż przerwała pracę, słysząc taką wiadomość.

– Powiedziałam naszemu posterunkowemu, że Otto bije żonę i że mógłby z nim porozmawiać, bo kiedyś zabije tę biedaczkę.

– I co on na to?

– Wyśmiał mnie. Oświadczył, że policja nie będzie się wtrącać w rodzinne sprawy i że kobiecie nie zaszkodzi, jak mąż jej czasem przyłoży. W dodatku Łucji znowu się dostało. Akurat wracałam ze sklepu i usłyszałam wrzaski Krügera. Biedne te dzieciaki. Na co one muszą się napatrzeć – wzdycha Janka.

– To znaczy, że posterunkowy poszedł do Ottona i mu wszystko powtórzył. Ale z niego świnia!

– Tila! Nie wolno tak mówić! – wołają jednocześnie jak na komendę matka i ciotka.

– Kiedy to prawda!

– Nie wypada, żeby panienka w ten sposób mówiła, nawet jeśli ma rację. Poza tym to policjant – ucina Marta zdecydowanie.

– Ja bym nie pozwoliła, żeby mąż mnie bił. Odeszłabym od niego – deklaruje dziewczyna.

– Łatwo ci mówić. Łucja ma dzieci, nie zostawi ich przecież. Zresztą dokąd miałyby pójść? Szkoda, że się wtrąciłam – dodaje zniechęcona Janka. – Może tylko pogorszyłam sprawę.

– Najlepiej nie chodź do nich – radzi Marta. – To niebezpieczny człowiek.

– Nie wiem jeszcze, co zrobię. Na razie omijam Krügerów – uspokaja Janka.

– Tila, przyprowadź Lotte i zaprzęgnij ją do wozu. Podwieziemy marchew do Jäckela. Nie możemy jej tak zostawić, bo nocą może być mróz.

Chociaż każdy czekał na wiosnę, to kiedy w końcu lutego się ociepliło, z sopli zaczęła kapać woda, a śnieg stał się mokry, ciężki i grząski, wszyscy zaczęli marzyć, żeby znów można było przejść przez podwórze suchą nogą. Słońce świeciło rzadko, częściej z szarego nieba padał deszcz ze śniegiem. Gdziekolwiek stąpnąć, tam noga wpadała w grząską breję, pod którą napotykała przenikliwie zimną wodę.

Skrzynki z marchwią czekają na transport ustawione na wozie. Tila, prowadząc klacz przez podwórze, uważnie patrzy w dół, próbując znaleźć suche

miejsce. Ma serdecznie dość codziennej harówki w gospodarstwie. Gdyby tylko mogła, uciekłyby do miasta i raz na zawsze skończyłoby się chodzenie za krowim albo końskim ogonem, plewienie, magazynowanie warzyw, grabienie siana, żniwa, sad, winnica i tak w kółko. Z obrzydzeniem spogląda na wielką parującą kupę gnoju niemieszczącą się w kwadratowym wybetonowanym dole usytuowanym w pobliżu obory. Ścieka z niej cuchnąca brunatna ciecz i miesza się z topniejącym śniegiem, tworząc ohydny kałużę. Kilkadziesiąt metrów dalej, za płotem gospodarstwa widzi dwie sylwetki – matkę i ciotkę ubrane w grube, bezkształtne kaftany i w chusty na głowach. „Zawsze to samo – myśli – brud, brzydota i praca od świtu do zmierzchu. Czy ktoś widzi, że mama jest ładna? A czy ona o to dba? Wiecznie w chustce na głowie, w kapocie albo w fartuchu. Ja wyglądam tak samo. Jeśli zostanę na wsi, nigdy nie będzie inaczej. Muszę się stąd wyrwać. Karl ma rację”.

– Tila, zostaw Lotte – słyszy, kiedy dociera wreszcie w pobliże kopca. – Widzę, że tata wrócił z pracy. Idź, daj mu obiad. Stoi w duchówce. Powinien być jeszcze ciepły. I zapal pod kuchnią, bo trzeba świniom zaparzyć otręby. Ja pojedę z marchwią do hurtowni i przy okazji odwiozę ciocię Jankę.

Dziewczyna bez słowa odwraca się i idzie w kierunku domu. Buty ma już tak przemoczone, że nawet nie patrzy, gdzie stawia nogi.

– Co ona taka dzisiaj bez humoru? – zastanawia się Janka, kiedy Tila jest na tyle daleko, by jej nie słyszeć.

– Nie wiesz? W styczniu była w Berlinie, a w ubiegłym tygodniu, jak tylko pociągi znów zaczęły kursować w miarę punktualnie, pozwoliłam jej pojechać na dwa dni do Lisy. Zakosztowała miasta, to jej wieś zbrzydła.

– No tak. Teraz nie przychodzę do ciebie codziennie, to i nie wiem wszystkiego. A co tak się jej spodobało u twojej siostry w Grünbergu?

– Wszystko! Mogła przez dwa dni wstawać z łóżka, o której chciała, i przez cały czas nic nie musiała robić, a wieczorem poszła z chłopcami Lisy do kina. Jej się zdaje, że życie w mieście na tym właśnie polega. Nie rozumiem, jak moja córka może być taka leniwa! – oburza się Marta.

– Jesteś niesprawiedliwa. Po prostu Tila jak każda dziewczyna marzy o wygodniejszym życiu. Nie czytałaś w ostatniej gazecie, jak ktoś pytał wiejskie dziewczęta, za kogo chciałyby wyjść za mąż. Prawie wszystkie odpowiedziały, że za urzędnika albo nauczyciela. Niemal żadna nie chciała rolnika.

Marta, kończąca właśnie zaprzęgać klacz do wozu, oblewa się nagłym rumieńcem. – Też tak kiedyś myślałam. I co z tego mam?

Skrepowane ciężkimi ubraniami z trudem wchodzą na wóz. Gospodyni bierze lejce w ręce i lekko nimi szarpie, zachęcając klacz do ruszenia z miejsca. Chociaż wóz nie jest przesadnie ciężki, Lotte ledwie go ciągnie. Wąskie, drewniane koła żłobią głębokie koleiny w grząskim śniegu. Najpierw wjeżdżają na podwórze,

a potem przez drugą bramę na ulicę. Na asfalcie zalega śnieg mocno ubity przez pojazdy, teraz wyjątkowo śliski, bo pokryty cieniutką warstwą wody. Mimo to klaczy idzie się lżej, bo ma specjalne podkowy, dzięki którym się nie ślizga.

– Marto, wciąż nie mogę zapomnieć o tej awanturze między Gustavem a Walterem. Nie ma dnia, żebym nie wypomniała tego mężowi.

– Nie masz czym się martwić. Gustavowi też daj już spokój.

– To znaczy, że się pogodziliście? – pyta Janka z nadzieją.

– Nie wiem, co masz na myśli. Myśmy się nie pokłócili.

– Tila mówiła, że wyniosłaś wtedy pościel Waltera do pokoju na dole.

– Tila ma za długi język. Ale tak, to prawda. Dopóki były mrozy, Tila ze mną spała – mówi sucho Marta. Ma zapewne nadzieję, że kuzynka zakończy wypytywanie o małżeńskie sprawy. Jednak Janka nie daje za wygraną.

– Więc dalej jest źle? Czuję się temu winna.

Przez chwilę Marta nic nie mówi. Bezmyślnie wpatruje się w koński zad. Lotte podnosi lekko ogon i gubi kilka parujących pączków. – To, co jest między mną a Walterem, to nie jest twoja ani Gustava wina – przerywa milczenie młodsza z kobiet. – Sama wiesz, że od dawna jesteś mi sobie obcy.

– Jednak zawsze się godziliście. Pamiętam, że rok temu na waszą dwudziestą rocznicę zachowywaliście się jak młoda para.

– On umie być cierpliwy. Potrafi też pięknie mówić. W końcu jest urzędnikiem. – W głosie Marty słychać ironię. – Ilekroć się pokłóciliśmy, wiedział, co robić, żebym mu wybaczyła.

– Kocha cię. – Janka chce usprawiedliwić Waltera.

– Może. Na swój sposób. – Marta ściąga lejce i kieruje klacz w stronę domu Jäckela. – Ja go już nie kocham. Jestem tego pewna – mówi zdecydowanym tonem. – Nie chcę, żebyś czuła się czemuś winna. Kiedy myślę o naszym małżeństwie, zastanawiam się, czy kochałam go kiedykolwiek. Może byłam nim tylko zauroczona? – zastanawia się. – Może byłam jak te współczesne dziewczęta, które chcą wyjść za mąż za urzędnika?

– To nieprawda! Ty zawsze chciałaś zostać na wsi, a one marzą o mieście.

– No dobrze. Sama już nie wiem, co wtedy czułam. Kończmy te zwierzenia, bo musimy rozładować wóz.

– Pójdę piechotą – proponuje Janka, kiedy wóz jest już pusty. – Wracaj do domu.

– Wsiadaj. Powiedziałam, że cię odwiozę, i tak zrobię – mówiąc to, Marta zawraca wóz i jedzie ku centrum wsi.

– Co teraz z wami będzie?

– Bo ci każe zejść z wozu! I tak za dużo powiedziałam. – Marta próbuje uniknąć dalszych zwierzeń, ale Janka nie zamierza ustąpić.

– Chcecie się rozwieść? Ostatnio to bardzo modne w wyższych kręgach.

Czytałam w gazecie – wyjaśnia kuzynka.

– Nie wiem. Po co mi rozwód? Nie zamierzam znowu wychodzić za mąż. Wszystko będzie jak dotąd. Walter ma swój pokój, a ja swój. Rozmawiamy ze sobą. On czasem daje mi jakieś pieniądze. Mamy córkę, która potrzebuje nas obojga. – Marta mówi to tonem z pozoru spokojnym, wręcz obojętnym. – Patrz, Krüger idzie – nagle zmienia temat.

Rzeczywiście, w tym samym kierunku co one podąża środkiem jezdni niewysoki mężczyzna. Mimo że z całą pewnością słyszy za sobą stąpanie konia i chrzęst kół na zlodowaciałym śniegu, nie schodzi na pobocze. Wóz jest już bardzo blisko, ale to niczego nie zmienia. Mężczyzna w futrzanej czapie i granatowej kapocie dalej kroczy tak, jakby droga należała wyłącznie do niego.

– Otto! – woła zniecierpliwiona Marta. – Zejdź na bok. Nie mogę przejechać.

– Bo co? – odpowiada zaczepnym tonem Krüger, odwróciwszy się w stronę kobiet.

– Bo nie chcę ci zrobić krzywdy. Zejdź z drogi.

Mężczyzna, chwiejąc się lekko na nogach, wzrokiem pełnym nienawiści mierzy Jankę.

– Nie! Chyba że ta suka zlezie z wozu. Jej nie ustąpię.

– Jak mnie nazwałeś, pijaku jeden?! – Pękata figura unosi się z ławki na wozie. – Czekaj, ty damski bokserze, zaraz ci pokażę! – grozi i już ma zsunąć się na dół, kiedy Marta chwyta ją za ramię i sadza siłą z powrotem.

– Nie schodź! – nakazuje. – Wio! Ruszaj, Lotte! Zapomniałam, że Krüger to tchórz – mówi do Janki, ale tak, by słyszało ją pijane indywiduum. – Na pewno ucieknie.

Koń, słysząc świst bata przy uchu, rusza tak gwałtownie, że mężczyzna, aby nie zostać stratowanym, rzeczywiście daje susa w bok, wpadając w głęboką, mokrą zaspę.

Jeszcze długo dumne z siebie kobiety słyszą za plecami wulgarne wyzwiska i groźby, ale w tej chwili nie ma to dla nich znaczenia. Wiedzą, że postąpiły właściwie.

46

Zima wróciła na kilka dni, sprawiając dzieciom niespodziankę. Woda ze śniegu topniejącego na łąkach nad Obrzycą jeszcze nie wsiąkła we wciąż zamrożoną ziemię ani nie spłynęła do skutej lodem rzeki, a mróz znowu dał o sobie znać. Cała przestrzeń między lasem na południu a przedmieściami Unruhstadt jak okiem sięgnąć stała się jednym wielkim lodowiskiem. I gdyby nie to, że marzec 1940 roku zarówno dla luteran, jak i katolików był czasem intensywnego duchowego przygotowywania się na Zmartwychwstanie Pańskie, dzieci grałyby w hokeja i ścigały się na lodzie do upadłego. Nawet cotygodniowe

zajęcia sportowe grup Hitlerjugend przeniosły się nad rzekę. Ćwiczeniom odbywającym się dotąd w lesie albo na zamarznętym jeziorze towarzyszył dokuczliwy mróz. W marcu słońce często wychodziło zza chmur, temperatura stała się bardziej przyjazna, a lód leciutko roztopiony z wierzchu pozwalał pędzić przed siebie z uczuciem nieograniczonej swobody. A kiedy ktoś zrobił sobie krótką przerwę, mógł pochylić się i spojrzeć w dół na zaczarowany podwodny świat, gdzie pod szklaną przezroczystą taflą spały trawy złapane przez mróz właśnie w tym momencie, kiedy poddawały się kołysaniu wody.

Jednak wkrótce ciepłe dni wróciły, a lodowisko zamieniło się w ogromną, błyszczącą w słońcu kałużę. Pasażerom podróżującym pociągiem mogło się wówczas wydawać, że pociąg sunie cienką nitką kolejowego nasypu między falami srebrnego jeziora. Niedługo potem woda wsiąkła, a trawa zaczęła się zielenić. Na wsi nastał czas intensywnej pracy, ale nie to było dla mieszkańców Chwalimia najważniejsze. W tych dniach każdy pobożny chrześcijanin, kiedy tylko mógł, podążał do swojej świątyni. Prócz tego luteranie częściej niż zwykle pochylali się nad Biblią, rozmyślali nad cierpieniem Syna Bożego i, uświadamiając sobie własne grzechy, zastanawiali się, jak bardzo oddalili się od Boga. W każdy piątek chwalimiacy przerywali pracę i wyprawiali się do Unruhstadt. Jedni w kościele katolickim uczestniczyli w drodze krzyżowej, inni w świątyni ewangelickiej podczas nabożeństw pasyjnych słuchali historii męki Pana Jezusa i śpiewali pieśni, a potem, wracając do domu, rozważali słowa tej, która najbardziej poruszała ich sumienia:

*Na krzyżum przelał krew,
Skonałem pośród mąk,
Byś wieczny żywot miał,
Z przebitych moich rąk;
Jam Swej nie szczędził krwi
– A ty, co dałeś mi?^[40]*

Mozolnej pracy na roli i religijnemu skupieniu w czasie Wielkiego Postu towarzyszyło coś jeszcze. Zaledwie zaczęła mijać zima, ludzie znów spoglądali z obawą w niebo, słysząc warkot samolotu. Rodziny, z których mężczyźni zostali powołani bądź poszli na ochotnika do wojska, niepokoiły się brakiem kontaktu z bliskimi. Wojna, jakkolwiek praktycznie nieobecna w Chwalimiu i Unruhstadt, kładła się cieniem na wszystko. Pytanie „Kiedy?” wisiało w powietrzu, drzemało niewypowiedziane w zatroskanych sercach żon i matek i brzmiało butnie wykrzywane w gospodach. Bo w to, że Wielka Brytania i Francja zaczną wiosną wojnę już na poważnie, nie wątpił nikt. Ten i ów przebąkiwał co prawda o negocjacyjnym talencie Hitlera i możliwości załagodzenia konfliktu, ale w taki obrót wydarzeń wierzyli tylko nieliczni.

Marta nie ma syna, nie musi się więc o niego obawiać, niemniej wojna

w irytujący sposób jest obecna także w jej domu. Walter wciąż słucha radia. Jazgot przemówień i podniosłej muzyki przedostaje się przez ściany i jest słyszalny nawet w sypialni na górze. Dlatego gospodyni dzisiaj postanowiła zrobić sobie wolne przedpołudnie. Co prawda mąż jest w pracy, a radio wyłączone, ale ona czuje, że musi pójść na pole, odetchnąć chłodnym, pachnącym wiosną powietrzem i pobyć sama ze sobą. Za tydzień Wielki Piątek, dlatego myśli Marty, kiedy idzie wiśniową aleją prowadzącą na wzgórze, krążą wokół cierpienia Chrystusa. Stara się wejrzeć w siebie, dostrzec wszystko co złe i odnaleźć drogę do uzdrowienia. Nad samotną kobiecą postacią idącą po grzbiecie wzniesienia unosi się skowronek. Jego radosny śpiew spływa w dół i przenika do duszy, rozpraszając mrok. Kiedy Marta zatrzymuje się w swym ulubionym miejscu i spogląda na leżącą w dole wieś, a potem podnosi wzrok na małego ptaka towarzyszącego jej w wędrówce, czuje, że właśnie tu i teraz znalazła się blisko Boga. Ogarnięta błogim spokojem stoi jeszcze przez chwilę, a potem odwraca się i lekkim krokiem kieruje w stronę winnicy. Ciężka gliniasta ziemia oblepia buty, więc kobieta przystaje na skraju pola. Nie widać krzewów winnej latorośli – jeszcze śpią przykryte ziemią. Marta przykuca i ostrożnie rozgarnia jeden z kopczyków. Wprawnym okiem ocenia stan głowy i krótko przyciętych pędów. – Żyje! Nie zmarł. Dzięki Ci, Panie Boże – szepcze z wdzięcznością. Potem schodzi w dół do jeziora. Na stoku doliny wystawionym na działanie słonecznych promieni zaczęła się wiosna. W zaroślach nad brzegiem kwitną białe zawilce, a dalej przy trzcinach dzikie kaczki szukają pożywienia, raz po raz zanurzając głowy. Nieoczekiwane pojawienie się człowieka zakłóca ptakom spokój, więc wzbijają się gwałtownie w powietrze, czyniąc przy tym mnóstwo hałasu. Marta, myjąc ręce w przeraźliwie zimnej wodzie, spogląda na drugi, ogarnięty cieniem brzeg. Tam lód jeszcze nie stopniał, a w mieszanym lesie porastającym zbocze leżą plamy brudnego śniegu. W willi nie ma nikogo. Sezon się skończył, a do nowego zostało jeszcze trochę czasu, więc właściciele odpoczywają w swoim domu w Unruhstadt. Wokół nie ma żywej duszy. Raptem Marta czuje, że ma już dość samotności. Chce wrócić do świata ludzi. Wyciera ręce o spódnicę i rażno rusza w powrotną drogę. Wielkanoc tuż-tuż, a jeszcze tyle jest do zrobienia.

Marta i Tila wracają z popołudniowego nabożeństwa. Wzięły dzisiaj rowery, bo pracy jest wciąż dużo, szkoda więc czasu na spacer. Niektórzy, tak jak one, podążają do domu swoimi jednośladowymi pojazdami, inni tradycyjnie pieszo przemierzają trasę między Unruhstadt a Chwalimiem.

– Tila, jedź dalej sama. Ja zamienię parę słów z panią Kliem. – Marta zeskakuje z roweru tuż przy Helenie idącej pod rękę z żoną Adolfa Hubera. Emma spodziewa się dziecka, więc opieka życzliwej osoby bardzo się jej przydaje.

– Piękne nabożeństwo! – zagaduje kobiety, prowadząc rower.

– O tak! A jakie radosne! Uwielbiam Wielki Czwartek – zachwyca się Emma.

– Mnie – mówi Helena – najbardziej wrusza bicie dzwonów w ten dzień, bo wiem, że zamilkną aż do niedzieli.

– Jak myślisz, Emmo, urodzisz chłopca czy dziewczynkę?

– Adolf chciałby syna, a mnie wszystko jedno, byleby tylko było zdrowe.

– Wybraliście już imiona? – interesuje się pani Neumann.

– Tak. Chłopiec będzie miał imię po ojcu, a jeśli urodzi się dziewczynka, to nazwiemy ją Ernestine.

– Heleno – Marta przechodzi do sprawy, która ją zatrzymała. – Mam do ciebie prośbę. Upieczesz mi sernik na niedzielę? Przyjeżdża Lisa z rodziną, a Paul i chłopcy przepadają za tym ciastem.

– Dobrze, tylko dlaczego mówisz mi o tym tak późno? Piekę na wesele krewniaka Ernsta – Friedricha.

– Och, przepraszam cię. Nie wiedziałam. Dopiero wczoraj dostałam list od Lisy. Zwykle na Wielkanoc byli w Unruhstadt u rodziców Paula, ale jego matka się rozchorowała i nie może przygotować świąt. Jeśli to dla ciebie duży kłopot, to nie trzeba. Będą inne ciasta.

– Poradzę sobie – uspokaja Helena. – Przyślij Tilę z produktami. Sernik będzie gotowy w sobotę rano.

Po kilkunastu minutach, już przebrana, Marta w pośpiechu roznieca ogień w kuchennym piecu, bo za chwilę mąż powinien wrócić z pracy. Pani Neumann dba o niego tak samo jak zawsze, a może jeszcze bardziej gorliwie. Gotuje mu ulubione potrawy, starannie prasuje i reperuje jego ubrania, interesuje się, jak minął dzień. Ktoś, kto patrzyłby z boku na małżonków, nie domyśliłby się, że w tym stadle czegoś brakuje. Tak jak się spodziewała, wkrótce w drzwiach pojawia się Walter w partyjnym mundurze. Zajrzawszy do kuchni, idzie na górę się przebrać, a potem zasiada do obiadu.

– Jadę jutro do matki – oznajmia.

– Jak to? Nic nie mówiłeś. Co ci nagle przyszło do głowy?

– Dostaliśmy w biurze dwa dni wolnego. Po co mam tu siedzieć i wam przeszkadzać. Pomyślałem, że wyskoczę do Berlina.

Marta, nalewając zupę do talerza, zastanawia się głośno: – No dobrze, ale co będzie z twoim powrotem? Nie wyobrażasz sobie, ilu ludzi będzie jechać z Berlina w sobotę. Wszyscy, którzy tam pracują, chcą spędzić święta w domu.

– A co byś powiedziała, gdybym został na Wielkanoc u matki? – W dotąd obojętnym spojrzeniu żony Walter widzi zaskoczenie. Sprawilo mu to przyjemność, więc dodaje: – Doskonale sama dajesz sobie radę, właściwie jestem tu zbędny.

– Jak chcesz – odpowiada Marta po chwili milczenia. – Nie wiem tylko, co na to powie Tila. Na pewno będzie jej przykro.

– Może jechać ze mną. – Walter wie, że przeciąga strunę, ale brnie dalej. – Ostatnio Berlin bardzo się jej podobał.

Kobieta czuje, że mąż próbuje ją sprowokować do sprzeczki. Zaciska mocno usta i stara się opanować gniew. Przystąpiła dziś do Stołu Pańskiego i nie pozwoli sobie na żadne złe myśli.

– Wiem, że naszej córce podoba się miasto, ale wolałabym, żeby tym razem została tutaj. Musi mi pomóc, bo przyjeżdżają goście, a Janka ma swoje zajęcia. W takim razie – rzuca szybko, by nie dać Walterowi szansy na dalszą dyskusję – muszę się zastanowić, co ci przygotować na podróż. Naszykuję też coś dla matki. – Powiedziawszy to, szybko wychodzi z kuchni, a Walter z triumfalnym uśmiechem sięga po gazetę i po chwili zatapia się w lekturze wiadomości.

Wielki Piątek to bardzo ważne święto w kalendarzu ewangelików. Wierzą, że Bóg złożył ofiarę ze swego Syna, by zbawić człowieka. W ten dzień niektóre kobiety z Chwalimia, nawiązując do tradycji matek i babek, idą do świątyni w wendyjskim stroju. Marta już poprzedniego dnia wyciągnęła swój ze skrzyni i powiesiła na sznurku, by się przewietrzył i rozprostował. Teraz ogląda uważnie kaftan i spódnice. Wszystko w porządku, rozkłada zatem ubiór na łóżku, by poczekał do popołudnia, kiedy cała wieś wyruszy na nabożeństwo. W domu panuje cisza. Nie ma Waltera, więc radio nie gra, ale nawet gdyby był, żona nie pozwoliłaby mu na to, by je włączył. Rano kobiety włożyły czarne sukienki. Choć post nie jest obowiązkowy, u Neumannów nie ma dziś obiadu, a głód można zaspokoić jedynie skromnym posiłkiem.

Podobnie jest w katolickim domu Gogolów, z tym że tu wcale nie było śniadania. Gustav ze smętną miną i burczącym z głodu brzuchem szuka zajęcia, żeby szybciej przeleciał mu czas do obiadu. Ale co to będzie za obiad! Postny żur i tyle. A potem znowu nic. Janka uwija się przy piecu, z piekarnika wyciąga już drugą blachę świątecznego ciasta, a po domu rozchodzą się apetyczne zapachy. Można zwariować. Gustav wkłada czapkę i wychodzi na podwórko. Zajmie się gołębiami, to łatwiej mu będzie znieść to wszystko. W drzwiach niemal zderza się

z Tilą.

– Cóż za dobry wiatr przywiał panienkę? – woła radośnie.

– Nie ma wiatru, wujku Gustavie! Sama pedałowalam – odpowiada wesoło dziewczyna.

– Co to za śmiechy i hałasy w Wielki Piątek! – Janka staje z zagniewaną miną w kuchennych drzwiach. – Ach, to ty, Tila – mówi już spokojniej. – Coś się stało?

– Nie. Mama kazała mi posprzątać na cmentarzu, a przy okazji dała to.

Tila wyklada na kuchenny stół pakunek zawinięty w szary papier.

Janka rozwija go, a Gustav na widok brązowoczerwonej, pachnącej dymem jabłoniowym szynki i kilku pęt wędzonej kiełbasy wydaje z siebie bolesny jęk.

– Idę do moich ptaków, bo zaraz zgłupieję od tego głodu – oznajmia i wymyka się z domu.

– No zobacz, miałam te wędliny wziąć w środę i zapomniałam. Niepotrzebnie ci mama kazała gnać taki kawał drogi. Zaszłabym do was, idąc dziś z kościoła. – Janka zawija pakunek z powrotem i zastanawia się, gdzie go położyć.

– Zajechałam przy okazji. To żaden kłopot, ciociu. Pędzę na cmentarz. W środę wiało, więc na pewno trzeba sprzątnąć z grobów połamane gałązki. Heil Hitler! – wykrzykuje, wyciągając w górę prawą rękę.

– Tila! Wiesz, że nie lubię tej nowej mody. Z Bogiem, dziecko.

Kiedy po półgodzinie dziewczyna wraca do domu, nagle zza zakrętu wyskakuje czarne osobowe auto. Jeszcze moment, a potraciłoby ją. Tila w ostatniej chwili odbija na pobocze i niemal wpada na wielki granitowy głaz stojący na obrzeżu placu. Nawet pani Heckman, która akurat wygląda przez okno, truchleje na ten widok.

Po południu, zrobiwszy wszystko co trzeba w gospodarstwie, Tila z matką ubierają się odświętnie i dołączają do kilkusetosobowej społeczności wsi wędrującej do swych świątyń na godzinę piętnastą, kiedy rozpoczynają się wielkopiątkowe uroczystości. Marta, podobnie jak wiele innych kobiet, idzie w czarnym czepku na głowie, czarnym żakiecie nałożonym na białą lnianą bluzkę, czarnej wełnianej spódnicy uszytej z materiału utkanego niegdyś przez babkę Trudę i w czarnych trzewikach. Tila, jak wszyscy, też ubrana jest na czarno. Taka jest tradycja, że w Wielki Piątek dominuje kolor żałoby. W połowie jesionowej alei dogania je katoliczka Gertruda Kubik.

– Gdzie jest wasza Janka? – pyta zdyszana.

– Może idzie gdzieś z przodu z panią Gabrielową. Zawsze lubi wychodzić wcześniej – wyjaśnia Marta.

– Nie. Gabrielowie są tam – pokazuje młoda kobieta. – Niepokoję się, bo mieli z Gustavem po mnie zajść. Czekałam i czekałam, aż w końcu ruszyłam sama.

- To rzeczywiście do niej niepodobne.
- Ciocia Janka nigdy nie opuściłaby drogi krzyżowej, w dodatku w Wielki Piątek – podkreśla dziewczyna z przejęciem.
- To prawda – zgadza się z córką Marta. – Idźmy. Na pewno wszystko się wyjaśni. – Pani Kubik dołączyła do Barbary Böse, żony mleczarza, i obie skrzyły w prawo, kierując się do kościoła z czerwonej cegły, a rzesza luteran musi jeszcze przejść przez całe miasto, by dotrzeć do swojej świątyni.

Biały kolor Wielkiego Czwartku został dziś zastąpiony czernią. Na ołtarzu i ambonie umieszczono czarne antepedia. Ołtarz jest pusty, nie ma na nim żadnych kwiatów, nie dzwonią dzwony, nie grają organy. Marta stara się skupić na słowach Pasji, ale przychodzi jej to z trudem. Wciąż w myślach wraca pytanie: „Co się stało z Janką? A może rzeczywiście poszli z Gustavem wcześniej i nikt ich nie zauważył? Albo któreś z nich nagle zachorowało? Nie. Przecież Tila dzisiaj u nich była. Na pewno wszystko jest w porządku” – sama siebie uspokaja i wraca do przeżywania Męki Pańskiej. Jednak po jakimś czasie, kiedy słyszy wypowiedzianą przez księdza skargę Boga: *Ludu mój, cóżem ci uczynił?*, a jej usta wraz z innymi wiernymi trzykrotnie odpowiadają na nią słowami: *Święty Boże, Święty mocny, Święty nieśmiertelny, zmiłuj się nad nami!*, jej ciało nagle przebiega lodowaty dreszcz i ogarnia ją złowrogi przecucie, że stało się coś strasznego.

48

Wraca od matki zły i zmęczony. Pomysł, żeby spędzić święta w Berlinie, okazał się nietrafiony. Chciał oderwać się od codziennych spraw, poodychać wielkim miastem i przy okazji zrobić na złość Marcie. Irytuje go jej świętoszkowatość, ten religijny nastrój Wielkiego Tygodnia, przyjazne gesty i słowa, które dla niego są na pokaz, bo przecież niczego nie oznaczają. Jeszcze to wygnanie z sypialni! Jest mężczyzną w sile wieku, a nie miał kobiety od miesiący. Nie wiedział, że Helmut będzie zajęty, a samotnie na panienki wyprawiać się nie chciał.

Z powrotem jechał jak zwykle z przesiadką w Züllichau, wysiadł na chwalimskiej stacyjce i właśnie przemierza trasę do wsi. Jest dwudziesty piąty marca, więc na pastwiskach jeszcze nie ma krów. Jedynymi żywymi stworzeniami, które udaje mu się zauważyć, kiedy przechodzi przez drewniany most, są łabędzie kołyszące się na wodzie. Z daleka w czystym chłodnym powietrzu widać wyraźnie dymy z kominów unoszące się prosto ku niebu. Dopiero mijając gospodę Richarda Röhra, czuje, że znalazł się pośród ludzi, bo z jej wnętrza dochodzi zgiełk rozmów i wybuchy śmiechu. Ma ochotę wejść, posiedzieć ze znajomymi i zjeść coś dobrego. Ale czy to wypada? Dopiero wysiadł z pociągu. Co na wsi powiedzą, jak zobaczą, że po podróży zamiast do rodziny spieszy do kolegów? Nie może się zdecydować. „A co mi zależy? Przecież w domu nikt na mnie nie czeka – myśli

z goryczą. – Nie będę się przejmował. Cały wczorajszy dzień musiałem spędzić z matką, dziećmi i z Żydówką. Idę – postanawia. – Mnie się też coś od życia należy”.

Jak na świąteczny poniedziałek w gospodzie jest zaskakująco dużo klientów. Na widok Waltera stojącego w drzwiach z walizką w ręku gwar cichnie. Mężczyzna ma wrażenie, że coś musiało się wydarzyć, bo przecież nigdy tak się nie zachowywali.

– Chodź tu do nas! – słyszy wołanie od stołu, przy którym skupiło się najwięcej osób. Waha się, bo widzi Ottona Krügera, a jego towarzystwo nie za bardzo mu odpowiada.

– No chodź! – ponagla Otto. Wstaje i macha zapraszająco, by podkreślić, jak bardzo oczekiwany jest Walter. Jako że i inni zachęcają go, a potem posuwają się, żeby na długiej ławce zrobić miejsce, w końcu siada przy najbardziej obleganym stole.

– Gdzie byłeś? – pyta Herman Kurmutz zdawkowo, tak jakby w rzeczywistości odpowiedź go nie interesowała.

– U matki w Berlinie. Zawiozłem jej trochę żywności – wyjaśnia. Właśnie wtedy pojawia się właściciel, żeby przyjąć od niego zamówienie.

– Golonka z kapustą i duże piwo. – Walter nie ma zbyt wyszukanego gustu. Lubi proste, tradycyjne potrawy, a golonkę mógłby jeść codziennie.

– Przednia czy tylna?

– Jasne, że tylna. Po co pytasz?

– Daj kartkę na mięso. Jak tylna, będę musiał wyciąć kilogram – oznajmia karczmarz.

– Richard! Nie wygłupiaj się! Kartek możesz żądać od przyjezdnych, a nie od swoich. – Widząc zakłopotaną minę właściciela, ponagla: – Pospieszysz się z tą golonką czy mam iść do Androla albo Rauscha?

Karczmarz, czując, że nic nie wskóra, odchodzi od stołu, a towarzystwo czekające w napięciu na moment, aż nowo przybyły kompan będzie całkowicie do jego dyspozycji, jak na komendę zwraca się w jego stronę.

– Wiesz o Jance? – zaczyna siedzący najbliżej Herman.

– Co? – Walter nagle blednie, bo w głębi duszy domyśla się, co może oznaczać takie pytanie.

– No tak. Skąd miałbyś wiedzieć – stwierdza Gustav Makufke. – Waszą Jankę zabrało Gestapo – oznajmia z lekkim niedowierzaniem, jakby sam wątpił w to, o czym mówi się we wsi od niespełna trzech dni.

– Gestapo? Jankę? – Neumann czuje, jak żelazna obręcz ścisła jego wnętrzności. – Dlaczego? – pyta jeszcze, choć dobrze wie, o co chodzi tajnej policji.

– Wzięli ją w Wielki Piątek po południu – zaczyna Herman, ale Otto Krüger

nie może pozwolić, żeby ktoś inny odebrał mu przyjemność zdania relacji z tak sensacyjnego wydarzenia, przerywa więc kompanowi.

– Zamknij się, Herman! – wykrzykuje na całą gospodę. – Ja to widziałem, ja opowiadałem!

– Dobra, niech Otto mówi – decyduje Makufke.

– Przyjechali chyba po pierwszej. Widziałem przez okno, że było dwóch obcych i jeden z Unruhstadt. Co robili w domu, nie wiem, ale siedzieli chyba z godzinę. Potem ją wyprowadzili, wsadzili do samochodu i pojechali – kończy z wyraźnym zadowoleniem Krüger i sięga po piwo, żeby nawilżyć gardło po dłuższej jak na jego możliwości opowieści.

– Gustava nie wzięli? – dopytuje się Walter.

– Nie, ale jak ją prowadzili, to skakał koło nich, chyba prosił to jednego, to drugiego, ale oni nic, jakby był powietrzem – uzupełnia Otto.

– A ona? Pewnie płakała. – Walter próbuje wyobrazić sobie tę scenę.

– No właśnie że nie – w głosie Krügera brzmi rozczarowanie. – Szła jakaś taka dziwna, jakby była pijana. Nawet raz się potknęła i byłaby się przewróciła, gdyby nie jeden z gestapowców. W ostatniej chwili złapał tę tłustą sukę za ramię. A szkoda. Chętnie bym zobaczył, jak leży pyskiem w piachu!

Otto przygląda się słuchaczom, chcąc sprawdzić, jakie zrobił wrażenie. Na niektórych twarzach widzi zaciekawienie, na innych współczucie, ale są też tacy, którzy z pewnością dzielają jego uczucia.

– Odkąd zgubiła ten swój medalik, wierzyła, że spotka ją jakieś nieszczęście – mówi Walter cicho, jakby do siebie. Jednak Krüger słyszy półgłosem wypowiedziane słowa i nagle wstaje. Czuje, że tym razem naprawdę wszystkich zadziwi. Sięga ręką do kieszeni, coś wyjmuje i wysoko podnosi zaciśniętą pięść. Mężczyźni widzą, że pomiędzy chudymi kościstymi palcami zwisa srebrna owalna blaszka na łańcuszku.

– Widzicie?! Widzicie, co mam?! – woła. – Ja znalazłem to gównno! – ryczy mściwie, pryskając śliną przed siebie. – Ta moja głupia baba jęczała, żebym oddał, ale ja wiedziałem, co robię! I co? – Znowu się rozgląda po sali. – Spotkało ją nieszczęście! Za moje krzywdy! Bóg jest sprawiedliwy!

– Ty, Otto, Boga nie mieszaj w swoje brudne sprawy!

Krüger patrzy uważnie wokół, żeby zorientować się, skąd padły te słowa, wreszcie dostrzega niechętnie spojrzenie mężczyzny siedzącego przy sąsiednim stole.

– Coś ci się nie podoba, Manfred? – pyta zaczepnie.

– Ty mi się nie podobasz – odpowiada mężczyzna spokojnie. – Wzywasz Boga nadaremnie, w dodatku na poparcie zwykłego złodziejstwa.

– Richter, uważaj, co mówisz! – Otto czerwony ze złości próbuje wydostać się zza ławy, popychając i depcząc siedzących najbliżej. Wreszcie, lekko się

chwiejąc, staje naprzeciwko Manfreda Richtera z zaciśniętymi pięściami.

– Nazwałeś mnie złodziejem? Mnie?!

Pytany nie ma nawet szansy odpowiedzieć, bo między nim a Krügerem zjawia się błyskawicznie karczmarz. Silny mężczyzna najpierw chwyta awanturnika za przeguby, potem stanowczo obraca twarzą do wyjścia i popychając go w stronę drzwi, tłumaczy spokojnie:

– Otto, masz dosyć na dzisiaj. Idź do domu. Jutro pogadasz z Manfredem.

Krüger jeszcze przez chwilę się szarpie i odgraża, ale w końcu daje za wygraną, bierze z rąk Röhra podsuwaną mu czapkę i wychodzi.

Golonka, którą Richard niedawno postawił przed Walterem, kusi rumianą skórką, a kiszona kapusta wprost oszałamia zapachem, tyle że jemu już dawno przeszedł apetyt. Dłubie teraz widelcem w talerzu, a tłuszcz pomału zastyga, tworząc nieapetyczną skorupę. Towarzystwo pozbawione sensacji nagle przycichło. Rozmowy, jeśli są prowadzone, to w niedużych grupkach, a kompani Waltera przy stole pilnie delektują się podłym piwem. Walter jeszcze żuje zimne mięso, a w gospodzie robi się prawie pusto. Nawet Manfred wstaje. Neumann napotyka spojrzenie jego zielonych oczu. Trwa to ułamek sekundy, ale jeszcze bardziej psuje mu humor. Richter bez słowa pożegnania wychodzi, wpuszczając do środka powiew chłodnego powietrza. Po kilku minutach Walter odsuwa od siebie talerz z niedojedzoną potrawą, płaci i opuszcza gospodę.

Idzie do domu wolno, wręcz się wlecze. Ktoś mógłby pomyśleć, że jego prawie pusta walizka jest pełna kamieni. Żal mu kobiety, która całe lata z nimi mieszkała, a dla żony jest niczym siostra, ale nie zamierza nic w tej sprawie robić. „Nie. Nie pozwolę się namówić, choćby nie wiem jak Marta mnie prosiła – postanawia. – Prędzej sobie zaszkodzę, niż jej pomogę. Trudno, stało się. Jeżeli jest niewinna, to ją wypuszczą” – wmawia sobie.

Po tym, czego się dowiedział, domyśla się, że żona czeka na niego z niecierpliwością. Istotnie, Marta wypatruje męża. Dawno usłyszała dobiegający z oddali gwizd pociągu, trochę się więc niepokoi, dlaczego nie ma go do tej pory. Zaczyna się ściemniać, zatem dochodzi do wniosku, że musiał spóźnić się na pociąg, bo to przecież niemożliwe, żeby szedł ze stacji tyle czasu. Pozmywała i właśnie zamierza zabrać się do wycierania stosu talerzy, kiedy dobiega ją odgłos otwieranych drzwi. Walter jest wyraźnie zmartwiony, toteż bez zbędnego wypytywania czy też dochodzenia, gdzie był tak długo, Marta mówi z westchnieniem: – Wiesz już?

– Wiem.

– To jakiś nonsens – żona zaczyna wywód. – Miałam co prawda złe przecucia, ale kiedy w piątek wieczorem przyszedł Gustav i powiedział, co się stało, odetchnęłam z ulgą. Nie wiem dlaczego, ale jeszcze w kościele pomyślałam, że ktoś umarł. Na szczęście to nieprawda. Umyj ręce – zwraca się do męża. – Zaraz

przygotuję ci coś do jedzenia.

– Nie trzeba. Jadłem u Röhra.

Przez twarz Marty przebiega cień, jednak kobieta chyba dochodzi do wniosku, że szkoda tracić czas na sprzeczkę, bo wraca do tematu. – To jakiś nonsens – powtarza. – Aresztować Jankę! Za co? Specjalnie przyjechali po nią samochodem. Tila akurat wracała z cmentarza, jak omal nie potrąciło jej auto. To musieli być oni. Tylko zepsuli kobiecie święta. Na pewno jutro ją wypuszczą. Biedny Gustav, szaleje z niepokoju. Codziennie rano idzie do miasta i jak wieczorem wraca, zachodzi do nas. Wyobraź sobie, że nie pozwolili mu się z nią zobaczyć.

– Jest w Unruhstadt? – Walterowi jakimś cudem udaje się zadać pytanie.

– Tak, trzymają ją w areszcie przy Am Reul. Całe święta w zimnej celi! Nie mogę w to uwierzyć. Na szczęście jutro jest już zwykły dzień i wszystko się wyjaśni.

– A co Tila na to?

– Ona tak samo jak ja uważa, że to jakaś pomyłka, ale bardzo się martwi. W ogóle to – znowu zaczyna perorować Marta – przez tę historię wszyscy mieliśmy zepsute święta. O niczym innym nie myśleliśmy, tylko o Jance. Nawet Lisa, która przecież dawno odzwyczała się od niej, okropnie się martwiła. W dodatku mnie straszyla, że w Grünbergu, jak już kogoś Gestapo aresztuje, to szybko nie wychodzi. Mówiła, że to może być przez to, że Janka z Erbtem zadarła, ale to było prawie dwa lata temu. Przecież teraz by się nie mścił.

– Gdzie Tila?

– Po co ci Tila?

– Możesz odpowiedzieć na pytanie? – niecierpliwi się mąż.

– Zaraz po obiedzie poszła odprowadzić gości na pociąg. Potem miała zajść do Bettiny. Wiesz, że Werner nie dostał przepustki na święta?

Walter, który zaczyna rozumieć, że żona nieznośnym gadulstwem zagłusza strach o kuzynkę, stara się być spokojny. – Pytałem o Tilę, bo nie chcę, żeby usłyszała to, co ci za chwilę powiem.

– Znalazłeś pracę w Berlinie? – Marta mówi to bez specjalnego żalu, ale Walter tym razem nie dba o niuansy.

– Skończ z wycieraniem talerzy i usiądź. Chcę z tobą bardzo poważnie porozmawiać, ale to musi zostać między nami – ostrzega mężczyzna. – Domyślam się, o co oskarżono Jankę.

– Maczałeś w tym palce! – Nastrój Marty gwałtownie się zmienia. – Mogłam się domyślić! – wykrzykuje. – Zemściłeś się za to, co Gustav o tobie kiedyś powiedział! Jak możesz być taki podły!

– Przestań, bo tracę cierpliwość. Nie mam z tym nic wspólnego. Możesz mi wierzyć albo nie. Jestem już zmęczony tym, co dzieje się między nami, ale chcę ci

powiedzieć uczciwie, co wiem. Jeśli to się wydostanie na zewnątrz, spotka mnie to samo, co Jankę.

Oczy Marty robią się okrągłe ze zdziwienia. Siada posłusznie i przybiera pełną wyczekiwania pozę. Niestety, nie jest jej dane zaspokojenie ciekawości, bo ktoś puka. Okazuje się, że przyszedł Gustav. Biedak schudł ze zmartwienia, a długi nos zrobił się jeszcze dłuższy niż dotąd. Twarz ma wyraz bezgranicznego smutku.

– Nic nie mogę dla niej zrobić – skarży się załamany. – Nie chcą mnie wpuścić do aresztu, żebym chociaż na chwilę się z nią zobaczył. Nie pozwolili podać ubrania na zmianę ani jedzenia. Oświadczyli, że niczego nie potrzebuje. Nie wiem, jak ona to wszystko znosi.

Walter patrzy na przygarbionego mężczyznę i zastanawia się. Wreszcie mówi:

– Miałem właśnie rozmawiać z Martą i wyjaśnić jej, czego się domyślam. Powiem i tobie. Nie wolno wam tego nikomu powtórzyć.

Gustav wyraźnie się ożywia, ale nie komentuje jego słów, tylko kiwa głową, że zrozumiał. Walter jeszcze przez krótką chwilę się waha, wreszcie przedstawia im trudną do zaakceptowania prawdę.

– Sprawa wygląda źle. Mylicie się, sądząc, że to nieporozumienie. Krótko przed Bożym Narodzeniem miałem w biurze wizytę Gestapo. Potem przesłuchiwali mnie jeszcze raz. Pytali o Jankę.

– Nie mogłeś powiedzieć? Ostrzec? – Martę ogarnia gniew na męża.

– Nie mogłem. Czy ty sobie wyobrażasz, że ja uprzedzam twoją kuzynkę, ona ucieka, a my nie ponosimy żadnych konsekwencji? – kpi zdenerwowany Walter. – Nic nie mogłem zrobić! Nie rozumiesz? – podnosi głos na widok oskarżycielskiego spojrzenia żony.

– Nie kłóćcie się! – Gustav nie może znieść niepewności. – Przestańcie! Ja tu czekam, żeby się czegoś dowiedzieć, a wy zaczynacie sprzeczkę.

Marta, która właśnie miała na języku jakieś cierpkie słowo, milknie zawstydzona, a Walter dzięki temu może mówić dalej.

– Pytali o to, jak często przed wojną Janka odwiedzała rodzinę w Polsce. Interesowało ich, jakie papiery przynosiłem do domu i czy miała do nich dostęp. Na szczęście nigdy nie brałem do domu tajnych dokumentów, bo gdyby było inaczej, to ani ja, ani ona nie ocalilibyśmy głowy.

– Janki nic nie obchodziły twoje papiery. – Marta nie może wytrzymać, ale milknie, napotykając błagalne spojrzenie Gustava.

– Chcieli wiedzieć, o czym przy niej rozmawiałem. Wypytywali o jej rodzinę w Polsce. Po wszystkim, jak już mi dali spokój, w naszej placówce Gestapo powiedziano mi w tajemnicy, że kilka miesięcy wcześniej ktoś doniósł Erbtowi, że Janka może szpiegować na rzecz Polski. Zaczęli ją obserwować, ale nic nie

zauważyli, dali więc spokój. Dopiero we wrześniu, jak nasi weszli do Wollstein, znaleźli dokumenty, których Polacy nie zdążyli zniszczyć. Okazało się, że jakaś znajoma tej kuzynki z Kopanicy zbierała informacje dla polskiego wywiadu od takich właśnie jak nasza Janka osób, co to często przekraczały granicę. Aresztowali tę kobietę. Długo nic nie mówiła, ale Gestapo ma metody, żeby przesłuchiwany w końcu powiedział wszystko, co wie, a nawet to, czego nie wie – gorzko żartuje Walter.

– Ale co to ma wspólnego z moją Janką? – nie wytrzymuje Gustav. – Przecież mówiłeś, że niczego na nią nie mieli.

– Latem nie, ale sytuacja pewnie się zmieniła, skoro przed Bożym Narodzeniem znów zaczęli koło niej węszyć. Prawdę mówiąc, dziwię się, że przyszli po nią tak późno. Obawiałem się tego od dawna. Jeżeli oskarżą ją formalnie o szpiegostwo, czeka ją śmierć – kończy, nie ukrywając niczego.

W kuchni zapada przygnębiająca cisza. Każda z siedzących w niej osób na nowo analizuje fakty i domysły i próbuje odnaleźć w tym wszystkim choć promień nadziei.

– Pójdę już. – Gustav podnosi się ciężko, przytłoczony słowami Waltera. – Jutro z samego rana pojedę i wszystko im wyjaśnię. Janka nie jest żadnym szpiegiem. To... – głos mu więźnie w gardle. Nie kończy, tylko łapie za klamkę i szybko wychodzi na korytarz. Neumann idzie go odprowadzić, a Marta zaczyna chować do kredensu wytarte talerze. W pewnym momencie wracający z podwórza Walter słyszy głośny trzask. Wpada do kuchni i widzi żonę stojącą z bezradnie opuszczonymi rękami nad stosem potłuczonych skorup. We wpatrzonych w niego oczach dostrzega taką rozpacz, że coś w nim pęka. Bierze ją w objęcia, tuli w ramionach i wbrew zdrowemu rozsądkowi szepcze:

– Przysięgam ci, że zrobię wszystko, żeby ją ocalić.

49

Tej nocy tylko Tila zasnęła szybko i śpi spokojnie. Nie dlatego, że sytuacja Janki jest jej obojętna. Przeciwnie! Dziewczyna bardzo przeżywa aresztowanie ciotki. Od Wielkiego Piątku niemal bezustannie płakała i dręczyła wszystkich wokół wyjaśnianiem, jak kochaną i dobrą osobą jest Janka i jaka niezasłużona krzywda ją spotkała. W świąteczną niedzielę wieczorem, kiedy cała rodzina siedziała przy zastawionym stole, Tila wymknęła się niepostrzeżenie, by choć na chwilę spotkać się z Karlem. Chłopak mimo ciemności dostrzegł zapuchnięte oczy i czerwony nos, zapytał więc o przyczynę. Przyjaciółka wyjaśniła mu, co się stało, i znów zalała się łzami.

– Niewinnych ludzi nie wtrąca się do więzienia, a przynajmniej nie w Rzeszy – skomentował całą historię.

I było tak, jakby na Tilę spłynęło nagłe uspokojenie. Nie wiadomo, co miał

na myśli Karl, ale ona zrozumiała go jednoznacznie. – No jasne. Jaka ja jestem niemądra – powiedziała, wycierając nos chusteczką. – To tylko jakaś koszmarna pomyłka. Po świętach ci, co aresztowali ciocię, rozumieją, że popełnili błąd, i ją wypuszczą. Dziękuję ci, że mi o tym przypomniałeś. – Podniosła pełne wdzięczności oczy ku twarzy kolegi. – Ciocia jest niewinna, więc dlaczego mieliby ją dłużej więzić. We wtorek rano na pewno ją wypuszczą – dodała z niezachwianą pewnością.

Podczas krótkiego spaceru zdążyli przejść asfaltem kilkadziesiąt metrów i zaraz niedaleko winiarni Güntera musieli zawrócić, bo Tila wołała zjawić się w domu, zanim ktoś odkryje jej nieobecność. Bardziej z uprzejmości niż dlatego, że była ciekawa, zapytała o to, jak czuje się matka Karla, bo słyszała niedawno o jej chorobie.

– Coraz lepiej. Była tylko przemęczona – wyjaśnił chłopak. – Po świętach zamieszka u nas jakaś dziewczyna z Arbeitsamtu do pomocy. Powinna mieć odpowiednie warunki, więc muszę jej odstąpić swój pokój na górze.

– Nie jest ci przykro? Przecież sam zrobiłeś tam remont.

– Myślisz, że ktoś mnie pyta? – odburknął Karl ze złością.

– Gdzie będziesz spał?

– Na dole, ze wszystkimi. Całe szczęście, że to już niedługo – oznajmił tajemniczo.

– Dlaczego niedługo?

– Powiem ci innym razem. Idź już do domu, bo zaczną cię szukać – ponaglał ją.

– Oj, tak. Naprawdę muszę wracać.

Matkę i gości zaskoczyła gwałtowna zmiana nastroju u Tili. Choć innym nie było do śmiechu, ona żartowała i w końcu namówiła kuzynów do spaceru nad jezioro. W poniedziałek dobry humor także jej nie opuszczał, dlatego po powrocie od Bettiny i kolacji w towarzystwie zmartwionych i milczących rodziców poszła spokojnie spać. „Niewinnych ludzi nie wtrąca się do więzienia... tak powiedział Karl, więc ciocia Janka jutro wróci i wszystko będzie jak dawniej” – pomyślała, wtulając twarz w poduszkę.

Za cienką ścianą oddzielającą pokój Tili od sypialni rodziców na dużym małżeńskim łożu Marta rzuca się niespokojnie. Jest zdenerwowana, nie może zapomnieć wieczornej rozmowy i obaw Waltera. Tak jak córka chce wierzyć, że oskarżenie i kara nie mogą spotkać niewinnej osoby, tylko że ona już niejedno widziała i wie, że takie rzeczy też się zdarzają. Dlatego teraz trudno jej leżeć bez ruchu i czekać na sen. Wreszcie wstaje i jak zwierzę w klatce chodzi od ściany do ściany, ogarnięta coraz większym niepokojem. Otwiera okno i wpuszcza do pokoju rześkie nocne powietrze. Przez chwilę stoi nieruchomo, wpatrując się w ciemność, ale mrok jest tak gęsty i nieprzenikniony, że strach się nasila, a przez

ciało przebiega dreszcz. Potem klęka przy łóżku i modli się żarliwie, błagając Boga o łaskę dla Janki. – Panie – szepcze – ona zawsze mówiła, że kochasz wszystkich ludzi jednakowo. Wysłuchaj mnie, proszę, uratuj ją. Uratuj ją – powtarza. – Błagam cię. – Trwa zatopiona w myślach i modlitwie, nie bacząc na zimno przenikające przez flanelową koszulę nocną i odrętwienie ogarniające ciało.

Walter też nie śpi. Chodzi z papierosem w rękę po swoim pokoju na dole, namyśla się, przysiadła przy biurku, coś zapisuje, zapala kolejnego papierosa, znowu wstaje. Dziwne, ale na jego twarzy nie widać zmartwienia, przeciwnie, jest podekscytowany, niemal szczęśliwy. W dramacie Janki dostrzegł szansę na wykazanie się przed Martą. Nareszcie żona zobaczy, ile jest wart i jak bardzo go potrzebuje. Mówił szczerze, obiecując, że zrobi wszystko, by ocalić jej krewniaczkę. Naprawdę chce ją uratować, ale zdaje sobie sprawę z różnych trudności, jakie może napotkać, opracowuje więc dokładną strategię batalii, którą przyjdzie mu stoczyć o życie Janki. Ma pełną świadomość, że od jej wyniku może zależeć jego przyszłość u boku Marty.

Rano, nie bacząc na zimny wschodni wiatr, który utrudnia jazdę, Walter ochoczo pedałuje w stronę Unruhstadt. W ratuszu panuje atmosfera poświętecznego lenistwa. Urzędnicy snują się po korytarzach, udając przemęczonych pracą, ale Walter nie daje się ogarnąć zbiorowemu nieróbstwu. Szybko załatwia najpilniejsze sprawy i podczas przerwy śniadaniowej przemierza rynek, udając się do miejscowej placówki Gestapo. Niestety, zastaje tylko młodego, nieznanego sobie funkcjonariusza, bo pozostali „wykonują zadania w terenie”. Wobec tego pospiesznie udaje się na Am Reul do aresztu. Wypatruje Gustava, którego spodziewał się spotkać przed budynkiem, ale nigdzie go nie dostrzega. W środku czekają go niepomysłne wiadomości. Z samego rana Jankę przewieziono do Züllichau, a to oznacza, że pomysł Waltera, aby spróbować ukreślić łeb sprawie na miejscu, nie powiódł się. Trochę go to martwi, ale nie zniechęca. Nie darmo pół nocy opracowywał plan działania. Na razie powinien wrócić do pracy, a potem uderzyć do Erbta. W końcu dobrze się znają, nie żeby byli przyjaciółmi, ale przynależność do jednej partii, tej samej parafii, podobne ideały, wspólnie przeżyte uroczystości, ćwiczenia, strzelania i libacje do późnej nocy do czegoś zobowiązują. W urzędzie siada za biurkiem i nad wyraz gorliwie odpowiada na korespondencję, pieczętuje i segreguje pisma, tak że na godzinę przed zamknięciem biura jest gotowy do wyjścia. Ponieważ nigdzie nie może znaleźć swego przełożonego, prosi o pozwolenie na wcześniejsze zakończenie pracy samego burmistrza von Flatowa. Potem wsiada na rower i udaje się do siedziby rady policyjnego, przedstawiciela powiatu Züllichau-Schwiebus dla Unruhstadt – Erbta. Udało się! Jest u siebie. Siedzi za biurkiem w partyjnym mundurze i wydaje się tak zapracowany, że nie ma nawet czasu, żeby wstać i podać gościowi rękę. Popędza go, by szybko wyłuszczył, z czym przyszedł,

bo za niewiele ponad godzinę musi być na ważnej naradzie w Züllichau. Kiedy Walter mówi o pomyłkowym aresztowaniu kuzynki swojej żony i wyjaśnia, że to kompletne nieporozumienie, bo Janka to prosta kobieta, która ledwie do trzech zliczyć potrafi, Erbt uśmiecha się ironicznie, wreszcie przerywa przydługie tłumaczenie.

– Czy myślimy o tej samej osobie? Janinie Kaczmarek, po mężu Gogol?

– Tak. Oczywiście, że o niej mówię – odpowiada nieco zdezorientowany Walter.

– Czy nie jest to ta sama kobieta, która dwa lata temu, kiedy zbierałem podpisy pod żądaniem odprawiania mszy w katolickim kościele wyłącznie po niemiecku, wyśmiała mnie i namawiała innych Polaków, żeby nie podpisywali?

– Tak – bąka Walter, a jego wcześniejszy entuzjazm gdzieś się ulatnia.

– Mówisz o tej samej osobie, która twierdziła, że nie zna ani słowa po niemiecku i polskie nabożeństwa są jej niezbędne? – drąży dalej Erbt.

– Sam widzisz, że nie jest zbyt rozgarnięta – próbuje ratować sytuację Neumann.

– Jest wystarczająco rozgarnięta, żeby, odkąd pamiętam, bruździć nam i popierać tego polskiego klechę Wdowczyka.

– To było kiedyś. Wyszła za męża, ustatkowała się. Jest już zupełnie nieszkodliwa – tłumaczy Walter.

– Odkąd Wdowczyk siedzi w Dachau, mamy z nią spokój, ale my nie zapominamy o dawnych zasługach – ironizuje Erbt, wstając z krzesła. – Nie mam już dla ciebie czasu, kierowca czeka. Ale jeśli chcesz wiedzieć, na tę Jankę mamy dużo więcej, niż ci się zdaje. Na twoim miejscu dałbym sobie spokój z tą sprawą. Dla własnego dobra – kończy ostrzegawczym tonem.

„Wiedział, mściwy gad – myśli Walter, patrząc na odjeżdżający samochód. Czuje się upokorzony, ale nie zniechęcony. – Trudno. Tak się nie udało, spróbuję inaczej” – postanawia i wsiada na rower, by wrócić do domu.

Marta już wie. Gustav, który z samego rana znalazł się przed aresztem, przez krótką chwilę mógł ujrzeć żonę prowadzoną do policyjnego auta. Ona też go zauważyła i rzuciła mu pełne otuchy spojrzenie. Potem jeszcze odprowadził wzrokiem pojazd uwożący Jankę w kierunku Züllichau. Jadąc, mogła zobaczyć, kto wie, czy nie po raz ostatni, obojście Marty, w którym się wychowała i do niedawna mieszkała, i swoją małą, wypieszczoną chatkę, w której zaznała krótkich chwil szczęścia płynących z posiadania własnego kąta i bliskości kochanego człowieka.

Gogol jest załamany. Wydaje mu się, że wraz z wywiezieniem żony z Unruhstadt stracił wszelki wpływ na jej los. Walter zastaje Martę i Gustava pogrążonych w rozpacz. Tila też siedzi z nimi w kuchni i jeszcze próbuje tłumaczyć i pocieszać, że to nieporozumienie na pewno się wyjaśni, ale i ona nie

ma już tej wiary, z jaką wczoraj zasypiała. Wszyscy są zmartwieni, jednak Walter przekonuje, że nie można się poddawać.

– Trzeba wykorzystać wszelkie znajomości i możliwości nacisku – mówi. – Gustavie, idź do księdza Scherera. Mówią, że to dobry człowiek, a przecież Janka należy do parafii. Może zna kogoś na stanowisku, kto pomoże. Ty, Marto, porozmawiaj z Gustavem Kurmutzem. Znasz go przecież od dziecka. Jako szef partii we wsi i burmistrz też ma coś do powiedzenia. Jakby się wykręcał, idź do jego żony. Jeśli odpowiednio przedstawiś jej sprawę, to Hermina będzie wiercić Gustawowi dziurę w brzuchu. – Walter niczym dowódca rozdaje zadania. Znowu płonie w nim chęć działania. Tak wiele od niego teraz zależy! Nie może zaprzepaścić swojej szansy.

– Ja wybiorę się w czwartek do Züllichau do samego przewodniczącego partii w powiecie, Antona Hauka. Porozmawiam też z innymi towarzyszami partyjnymi. Dowiem się, kto nie lubi Erbta i będzie chciał mu zrobić na złość. Bo wydaje mi się, że to wszystko to jego sprawka. Lisa miała rację. Zawsze nienawidził Polaków, a Janka mu kiedyś na odcisk nadepnęła, wykorzystał więc donos, żeby się na niej zemścić.

Walter, mówiąc o swoich domysłach, zapomniał o Tili siedzącej w kącie przy piecu. Dopiero kiedy usłyszał pytanie: „Jaki donos?”, uświadomił sobie, że powiedział za dużo. – Podobno ktoś poinformował Erbta, że ciocia często jeździ do Polski.

– No to co? Co w tym złego? Przecież ma tam rodzinę. – Tila nie może zrozumieć związku między aresztowaniem a wycieczkami rowerowymi ciotki.

– Masz rację, Tila – odzywa się milcząca dotąd matka. – Nie wiemy, co ktoś sobie wymyślił i jakich narobił plotek, ale my musimy komu trzeba wytłumaczyć, że to bzdury i podła zemsta. Dość gadania, do roboty! – Marta odzyskuje dawną energię. – Nie ma Janki, więc na razie wszyscy powinniście mi pomóc w gospodarstwie.

50

Mijały dni, a Janka wciąż tkwiła w areszcie. Nikomu z bliskich nie pozwalano na widzenie. Jak się wkrótce okazało, również jej kuzynka z Kopanicy została zatrzymana przez Gestapo. Walter, Marta i Gustav odwiedzili już wszystkie osoby, które mogły pomóc, ale nie przyniosło to oczekiwanych rezultatów. Jedni mimo dobrych chęci nie byli w stanie nic zrobić, inni bali się w cokolwiek angażować, by nie narazić siebie, pozostali po usłyszeniu, o jaką sprawę chodzi, czym prędzej umywali ręce. Mimo to Walter nie rezygnował. Uprzedził Gustava i Martę, że w tej sytuacji trzeba zbierać pieniądze na łapówkę.

Wieś jeszcze przez dwa tygodnie żyła sprawą Janki. Następujące później wydarzenia pomału zatarły wrażenie, jakie wywarło jej aresztowanie. Potem tylko

czasem ten czy ów zapytał cicho, czy wiadomo coś nowego w sprawie żony Gustava Gogola. Jedyne Kerstin Heckman, która już rozpoczęła sezon w otwartym oknie, niezmordowanie zaczęła Tilię zdążającą na zbiórkę, do sklepu lub do wujka Gustava i próbowała dowiedzieć się czegoś nowego. Swym przykrym wścibstwem doprowadziła do tego, że ostatnio dziewczyna, chcąc uniknąć spotkania z natrętną kobietą, tuż koło domu stolarza Gustava Soyty zbaczała w prawo i chodziła niewygodną piaszczystą drogą na tyłach gospodarstw równoległą do głównej ulicy. Dopiero na wysokości transformatora wracała na główną trasę.

Już na pierwszej po świętach zbiórce Tila zauważyła, że niektóre koleżanki stały się wobec niej nieufne. Kolejny cios zadała jej mädelschaftsführerin. Matyllda od niedawna prowadziła grupę dziewczynek należących do Jungmädelsbund^[41]. Przede wszystkim polegało to na wspólnym śpiewaniu pieśni patriotycznych, piosenek ludowych i zupełnie nowych, których teksty i nuty rozpowszechniane były bez ustanku wśród młodzieży w całej Rzeszy. Otóż pani Stein stwierdziła, że dziewczynki przejmie Bettina, a Tili wkrótce zostanie powierzone nowe zadanie. Niczego nie wyjaśniła, a że wszelka dyskusja nad poleceniami przełożonych była zabroniona, więc dziewczyna dzielnie powstrzymała łzy napływające do oczu i mężnie dotrwała do końca spotkania. Dopiero brnąc przez piaszczyste wertepy do domu, dała upust żalowi. Marta skomentowała całe zdarzenie stwierdzeniem, że bardzo dobrze się stało, bo przynajmniej córka będzie częściej w domu, ale wieczorem wsiadła na rower i pojechała do tej, która we wsi pociągała za wszystkie sznurki, przynajmniej w sprawach, które dotyczyły dziewcząt i kobiet. Greta Kisch zaprzeczyła, że miała coś wspólnego z odsunięciem Tili, ale Marta, będąca ostatnio w stanie nieustannego wzburzenia, zwymyślała ją i wróciła do domu. Dopiero poniewczasie, kiedy ochłonęła, zdała sobie sprawę, że nie tylko nie pomogła córce, ale że zrobiła sobie wroga z przewodniczącej Ligi Kobiet, jej przyjaciółki i całej rzeszy potakujących im gospodyń.

W kwietniu spodziewający się wznowienia działań wojennych dostali odpowiedź na swe oczekiwania. Pewnego pachnącego wiosną poranka ci, którzy po wczesnym obrzędku włączyli na chwilę radio dowiedzieli się, że o godzinie piątej piętnaście nastąpił atak Niemiec na Danię i Norwegię. Jako przyczynę Führer podał konieczność zapewnienia krajowi stałych dostaw rudy żelaza ze Szwecji za pośrednictwem norweskich i duńskich portów oraz potrzebę zabezpieczenia kraju od północy. Większość słuchaczy przyjęła wyjaśnienie Wodza z pełnym zrozumieniem, choć bez entuzjazmu. Jeśli kogoś ta wiadomość zaniepokoiła, to tylko rodziny żołnierzy, bo nikt nie był pewien, czy akurat ktoś z chwalimiaków nie narażał swego życia dla narodowosocjalistycznej ojczyzny. Lecz to nie same walki na północy, a raczej ich skutki spowodowały, że sprawa Janki zeszła na dalszy plan.

W połowie kwietnia Berta Neumayer, żona robotnika rolnego, dostała zawiadomienie, że jej młody mąż Horst zginął śmiercią żołnierza u wybrzeży Norwegii. Jak się domyślano, ciało pochłonęło zimne morze i nie ma szans, żeby kiedykolwiek spoczęło na urokliwym chwalimskim cmentarzu.

Dlatego pastor Plumbaum odprawił wyjątkowo uroczyste nabożeństwo żałobne, a kazanie, które wygłosił, wycisnęło wszystkim łzy z oczu. Na koniec wyraził nadzieję, że nazwisko bohatera zostanie po wojnie wyryte na kolejnym pomniku ku czci poległych. Młoda wdowa i jej małe, niczego jeszcze nieświadome dzieci zostały otoczone troskliwą opieką państwa i wiejskiej społeczności z Gretą Kisch na czele.

Nie tylko w Altreben zapanował smutek. Podobnie było we wszystkich okolicznych miejscowościach, także w Unruhstadt. W miasteczku już od września ubiegłego roku pojawiały się nekrologi, w których rodziny zawiadamiały, że syn oddał życie za Führera i Ojczyznę. Dlatego los Janki przestał budzić zainteresowanie, a jedynymi ludźmi, których on obchodził, byli Gustav i rodzina Marty oraz wąskie grono ich bliskich znajomych. Jeśli nawet rozmowy schodziły na temat nieszczęsnej kobiety, to zwykle kończyły się stwierdzeniem, że sama sobie winna, bo po co tak się upierała przy polskich mszach i denerwowała tym Erbta.

W maju wojska niemieckie pomaszerowały na Belgię, Holandię i Francję. Dopiero to wydarzenie poruszyło czujących się dość bezpiecznie chwalimiaków. Wielu z nich, weteranów poprzedniej wojny, zauważyło łudzące podobieństwo między tym, co działo się wówczas, a przebiegiem obecnej kampanii. Pamiętali, czym skończyła się dla Niemiec Wielka Wojna, toteż ogarniał ich lęk, kiedy w komunikatach wojennych znowu słyszeli te same, złowrogo dla nich brzmiące nazwy miejscowości. Nawet pomyślny rozwój wydarzeń nie rozwiał wszystkich obaw, czemu dawano wyraz podczas dysput nad kuflem piwa w miejscowych gospodach.

Na początku czerwca od znajomego urzędnika z Züllichau Walter dowiedział się, że Jankę przewieziono do Berlina i że wkrótce rozpocznie się proces całej grupy. Ponieważ oskarżeni zostali o działalność na rzecz wroga, mieli być sądzeni przez Trybunał Ludowy. Wiadomość sama w sobie była bardzo zła, bo za takie przestępstwo kara mogła być tylko jedna, ale Walter fakt wyjazdu Janki z Züllichau uznał za pomyślny, bo oznaczało to wyrwanie jej z zasięgu oddziaływań Erbta. W Berlinie, jak sądził, łatwiej znaleźć kogoś, kto za odpowiednią sumę załatwi zwolnienie tak nic nieznaczącej dla sprawy niemłodej wiejskiej kobiety. Jednak trzeba działać szybko, bo jeśli proces oficjalnie się rozpocznie, to zostanie tylko nadzieja na łagodny wyrok, a jak wiadomo Trybunał Ludowy takich orzeczeń nie wydaje zbyt często.

W gospodarstwie Marty życie toczy się z pozoru normalnie. Wiosna dobiega

końca i wszystkie siewy, nasadzenia i prace pielęgnacyjne na polach, winnicy i w sadzie zostały wykonane w odpowiednich terminach. Tylko pani Neumann i jej córka wiedzą, jakim kosztem to się stało. Pracowały od świtu do nocy, a i tak nie dałyby rady, gdyby nie wsparcie Heleny Kliem, Radachów, a nawet krewnych Marty, których poszła błagać o pomoc, odkładając na bok dumę. Gustav w miarę możliwości zastępuje Williego, który wyniszczony chorobą i morfiną już wcale nie przychodzi, bo jest tak słaby, że nie utrzymałby lejc w dłoni. Mąż Janki też nie jest szczególnie przydatny, ale Marta ma poczucie, że dając mu zajęcie, sprawia, iż jest mu lżej, a przy okazji w całej swej niemocy chociaż to może zrobić dla kuzynki. Kiedyś zamierzała kupić czwartą krowę, a wczoraj z rozdartym sercem sprzedała jedną z trzech posiadanych. Najlepszą, bo za nią kupiec zgodził się zapłacić najwięcej. W szafie, pod wykrochmalonymi i równo ułożonymi na półce pościelami, leżą zawinięte w gazetę banknoty. To cała gotówka, którą zdołali zgromadzić Marta, Gustav, a nawet Walter. Te pieniądze to cena za życie Janki. Dla nich to bardzo duża suma, ale czy wystarczająca dla skorumpowanego urzędnika w Berlinie?

Wczoraj po południu zaraz po pracy Walter pojechał do Berlina. Będzie próbował znaleźć doświadczenie do jakiejś wpływowej osoby. To już ostatnia szansa na uwolnienie kuzynki. Wszystkie inne zostały wykorzystane, a mężowskie starania, jak dotąd, nic nie dały.

Marta, która ostatnio nie ma czasu, żeby w dzień powszedni porozmyśleć nad Słowem Bożym, w niedzielę po obiedzie zasiada na swoim miejscu w sypialni przy oknie i otwiera Biblię. Przez chwilę czyta uważnie, jednak dręczące ją myśli nie pozwalają na dłuższe modlitewne skupienie. Lęk o przyszłość krewniaczki zamieszkał w jej duszy na stałe. Cokolwiek by robiła i z kimkolwiek rozmawiała, jej myśli wciąż są przy Jance. W nocy, kiedy się budzi, najpierw czuje ciężar na sercu, a zaraz potem wraca pamięć o kuzynce. Zastanawia się, co teraz robi, o czym myśli, czy ma jeszcze nadzieję, czy nie jest głodna, czy jej coś dolega. Nie wie, co by zrobiła, gdyby nie Walter. To on podsuwa nowe rozwiązania, kiedy wydaje się, że nie ma już ratunku. On puka do różnych drzwi, odświeża dawne znajomości, dodaje otuchy.

Z otwartą Biblią na kolanach Marta wpatruje się w świeżą zieleń lipowych liści za oknem, ale dziś jej nie zauważa. Jeszcze kilka tygodni temu życie wydawało się takie proste. Pamięta, jak powiedziała Jance, że nie kocha męża i nie wie, czy kiedykolwiek go kochała. Teraz widzi, jak Walter się stara, jednak nie potrafi wzbudzić w swym sercu dawnych uczuć. Obserwuje go tak, jakby stała z boku i oceniała. „Jedź do Berlina, bo pragnie, żebym mu przebaczyła – myśli. – Przytulą mnie, żebym uwierzyła, że mnie kocha – dedukuje. – Całe szczęście, że jeszcze nie wspomina o powrocie do sypialni, bo co bym wtedy zrobiła? – Marta doskonale zdaje sobie sprawę ze swojej obłudy. – Nie powinnam dawać mu

nadziei, ale przecież robię to dla Janki – usprawiedliwia się. – Inaczej mógłby się zniechęcić, nie kiwnąć palcem. Kto by wtedy jej pomógł?”

Matka bije się z myślami, a tymczasem Tila z Rosiną idą przed siebie w górę wzniesienia, ale nie zbaczają w lewo ku jezioru, tylko podążają prosto na północ ku ciemnozielonemu pasmu sosnowego lasu. Ciepły wiatr pachnący kwitnącymi trawami lekko unosi spódnicę, igra we włosach, kołysze łagodnie łany młodego żyta i muska delikatnie czerwone płatki maków. Rozmawiającym dziewczętom towarzyszy śpiew polnych ptaków i radosne poszczekiwanie brązowego kundla, którego Rosina wzięła ze sobą.

– Jak Bettina radzi sobie z moją grupą? – pyta Tila, która opuściła kilka zbiórek.

– Chyba dobrze. Nie skarży się na nic. Gniewasz się, że przyjęła dziewczynki po tobie?

– Nie, skąd – zaprzecza gwałtownie Matylda, chociaż naprawdę jest jej przykro z tego powodu.

– Wiesz, że twoja mama zrobiła Grecie Kisch awanturę?

– Co takiego?! Nie, nic nie wiem.

– Moja mama mówiła – zaczyna Rosina z wyraźną przyjemnością – że twoja mama pojechała do pani Kisch zapytać, dlaczego zabrano ci grupę. Ona się wykręcała, więc twoja mama ją wyzwalała, że ty przez nią płaczesz i że ciebie skrzywdziła, i że to nie twoja wina, że pani Janka została aresztowana, i że to nie po chrześcijańsku mścić się na dziecku.

– Skąd twoja mama o tym wie? – Tila jest kompletnie zaskoczona. Dotąd, ilekroć ktoś poskarżył się na nią matce, ta robiła jej burę i kazała przeproszać obrażoną osobę. Nie przypomina sobie, żeby kiedykolwiek wzięła jej stronę.

– Przede wszystkim stąd, że pani Kisch i pani Heckman wszędzie o tym opowiadały. Mama mówiła, że obie niemal dusiły się ze złości. Ale to by była tylko ich wersja. Wszystko słyszała pani piekarszowa i ona mówiła, jak było naprawdę.

– Niewiarygodne! Mama nakrzyczała na panią Kisch. – Tila wciąż nie przestaje się dziwić.

– Właśnie. Sama słyszałam, jak moja mama powiedziała: „Zawsze wiedziałam, że Marta to dzielna kobieta”.

– Myślałam, że ona nie lubi mojej mamy.

– A co to ma do rzeczy? Można kogoś nie lubić, ale go szanować – stwierdza Rosina, nie starając się nawet zaprzeczać słowom przyjaciółki.

Idąc drogą wśród zbóż, zdążyły upleść wianki z polnych rumianków, poprzetykanych gdzieniegdzie makami i bławatkami. Włożyły je właśnie na głowy i obie naraz parsknęły śmiechem, bo wydało się im, że pies na ich widok zrobił zdziwioną minę. Nagle Rosina poważnieje i z pewnym wahaniem pyta:

– Co będzie z twoją ciocią?

Tila nie cierpi tego pytania. Zawsze, kiedy pada, podejrzewa, że jest zadawane ze zwykłego wścibstwa, ale tym razem nie czuje gniewu. Wie, że Rosina też martwi się o Jankę.

– Nie mam pojęcia – odpowiada bezradnie, a do oczu napływają łzy. – Przecież ciocia jest niewinna. Nie zrobiła nic złego. Nie rozumiem, czemu oni ją tak krzywdzą.

Dochodzą właśnie do szerokiego, ale płytkiego piaszczystego rowu, za którym zaczyna się sosnowy las.

– Odpocznijmy chwilę – proponuje Rosina. Siadają na krawędzi wykopu, a pies, zwietrzywszy mysz, zaczyna energicznie kopać w żółtym piachu, raz po raz wysuwa głowę z coraz głębszej dziury, sprawdza, czy jego pani wciąż jest na miejscu, dyszy, wysunąłszy różowy język, i uśmiecha się od ucha do ucha. Rosina najchętniej objęłaby i przytuliła płaczącą Tilę, ale jest dużo niższa i wydaje się jej, że wyglądałoby to niepoważnie. Nie wykonuje więc żadnego gestu, za to próbuje dalej rozmawiać.

– Twój tata dowiedział się czegoś?

– Tak – chlupie Matyllda. – Teraz ciocia jest w Berlinie i czeka na sąd.

– Nie martw się. Przecież nie skażą niewinnego człowieka – pociesza Rosina. – Sędzia na pewno ją wypuści.

– Karl też tak mówił. I co? Minęło tyle tygodni, a ciocia wciąż jest zamknięta.

– Bo to sąd musi zdecydować, czy ktoś jest winien, czy nie. Po procesie na pewno ją wypuszczą – przekonuje przyjaciółka.

– Już nie wiem, co myśleć. Chyba przestałam wierzyć w sprawiedliwość. – Tila nie przestaje płakać.

– Nie mów tak. Musisz wierzyć, że ciocia wróci. Nie możesz się poddać.

– Wiem, ale bardzo za nią tęsknię – wyznaje Matyllda. Potem kładą się plecami na piachu i leżą. Milcząc, wpatrują się w błękitne niebo i pierzaste obłoczki przesuwające się wolno na wschód, a czerwone maki z porzuconych wianków więdną, kurczą się i powoli umierają w promieniach zachodzącego słońca.

51

Niemcy się cieszą. Radość opanowała całą Rzeszę, bo Francja skapitulowała. W Unruhstadt biją dzwony i powiewają flagi, a ludzie wychodzą na ulice, żeby dzielić się z innymi swym szczęściem. Walter, który dotąd przez okno biura obserwował gorączkowy ruch na rynku, wychodzi nareszcie z pracy i dołącza do świętujących. Na pospiesznie ustawionej trybunie pojawia się burmistrz von Flatow i wygłasza przemówienie sławiące Führera, jego geniusz wojenny i mądrość, która pozwoliła na błyskawiczne pokonanie największych wrogów

Rzeszy. Bo świętowane jest nie tylko zwycięstwo nad Francją, ale upokorzenie wojsk brytyjskich przypartych do morskiego wybrzeża i zmykających czym prędzej na swoją wyspę. „Anglia poznała siłę naszych wojsk! Na własnej skórze przekonała się, co spotyka tych, którzy ośmielają się wypowiedzieć wojnę Rzeszy!” Słowa te wywołują burzę oklasków i wiwatów. Okrzykom „Sieg Heil!” zapewne nie byłoby końca, gdyby nie to, że burmistrz znów mówi. Tym razem o poległych i o dumnych rodzicach, których synowie oddali swe młode życie za Führera i Ojczyznę. Nagle wszyscy cichną, z szacunkiem pochylają głowy, słuchając łamiącego się głosu mężczyzny. Wiedzą przecież, że on najbardziej ma prawo mówić o ojcowskiej dumie i poświęceniu, bo dopiero co otrzymał wiadomość o śmierci swego syna we Francji.

Przez najbliższe trzy dni mieszkańcy Rzeszy będą bawić się i odpoczywać, Walter zaś uważa, że jemu szczególnie należy się wytchnienie, bo uwięzienie Janki lada dzień się skończy. Jest to wyłącznie jego zasługa. Została jeszcze tylko jedna wyprawa do Berlina, ale jedynie po to, żeby zapłacić komu trzeba za wycofanie zarzutów wobec kuzynki żony. Odkąd znalazła się w Berlinie, wszystko zaczęło się pomyślnie układać. Walter spotkał się z człowiekiem wyszukany przez Helmuta. Jakież było zaskoczenie obu, kiedy okazało się, że jest nim dobry kolega Neumanna ze szkoły. Obiecał zapoznać się z zarzutami i zadzwonić, żeby powiedzieć, jakie są szanse na uwolnienie Janki. Dzisiaj właśnie telefonował do urzędu. Poinformował, że jego zdaniem nie powinno być problemu, trzeba tylko dać w kieszeń prokuratorowi prowadzącemu sprawę. On sam w imię starej znajomości gotów był zrezygnować ze swego udziału.

Zadowolony z siebie Walter jeszcze przez jakiś czas kręci się wśród znajomych, a potem niczym chłopiec wskakuje na rower i gna w stronę domu. Ciemnopomarańczowa kula słońca chowa się za wzniesieniem gdzieś w okolicy Schwentese. To mu przypomina, że usłyszał na rynku o wielkiej zabawie nad jeziorem dla uczczenia zwycięstwa. Połowa miasta się na nią wybiera. „Może Marta da się namówić – zastanawia się. – Włożyłaby którąś z tych ładnych sukienek wiszących bezużytecznie w szafie. Zaimponowałbym kolegom swoją piękną żoną, bo oni pokażą się na pewno ze swoimi Gretchen o podwójnym podbródku” – cieszy się z udanego żartu.

– Walter!

„Ktoś mnie wołał, czy mi się wydaje?” – zachodzi w głowę mężczyzna i na wszelki wypadek zatrzymuje się.

– Walterze! – Głos dobiega zza wielkiego krzaka czarnego bzu rosnącego na miedzy oddzielającej łąny zielonkawego żyta. Neumann stoi, trzymając kierownicę roweru, i czeka. Widzi, jak czyjaś ręka odsuwa gałęzie, a po chwili z gęstwiny kremowych baldachów wychodzi kobieca postać i macha w jego stronę.

– Chodź tutaj, bo nas jeszcze ktoś zobaczy! – ponagla.

Walter nie może uwierzyć własnym oczom.

– Birgit! Co ty tutaj robisz?

– Podejź! Nie stój jak kołek – niecierpliwi się kobieta.

Neumann rozgląda się ostrożnie, po czym prowadzi rower do krzaka oddalonego o kilka metrów od szosy.

– Schowaj rower w życie – nakazuje Birgit.

Walter posłusznie kładzie swój pojazd, gniotąc wiotkie źdźbła, a potem razem z dziewczyną siadają na miedzy, kryjąc się za wonnym krzewem. – Prędejm bym się pani Heckman spodziewał w tych krzakach niż ciebie – mówi roześmiany. Jest dziś szczęśliwy i nic nie jest w stanie popsuć mu dobrego humoru. – Co tu robisz?

– Czekam na ciebie. Nie widać? – Birgit, pewna już, że nikt jej nie zobaczy, odzyskuje swoją hardość.

– Ale po co? – nie rozumie Neumann.

– Mówiłam ci przecież, że to ja decyduję, kiedy kończę swoje romanse.

– Birgit, nie żartuj. Powiedz, o co chodzi naprawdę.

– Właśnie o to. Potrzebuję cię. – Mówiąc to, patrzy mu śmiało w oczy.

Walter z niedowierzaniem spogląda na dziewczynę. Ma dość pospolite rysy, ale jasne włosy, niebieskie oczy, mleczna cera, rumiane policzki i pełne piersi czynią ją całkiem ładną i nadają zdrowy wygląd. – Masz męża i córeczkę – przypomina. – Nie rozumiem, po co ci jestem potrzebny.

– Ten idiota zgłosił się do wojska. Bohater się znalazł – mówi z goryczą. – Wciąż siedzę w domu z dzieciakiem i starymi Müllerami. Obiecywał mi, że będę panią na gospodarstwie, a jestem nikim. Nawet nie mam komu się poskarżyć, bo jemu wojny się zachciało. Teściowa tylko wydaje rozkazy. „Zrób to! Zrób tamto! Nic nie umiesz! Czego cię matka uczyła, że nie wiesz, jak krowy doić?! Ubrałaś się jak bezwstydnica! Przebierz się!” – Birgit przedrzeźnia świekre.

– Poskarż się teściowi.

– Ale wymyśliłaś! Jest taki sam. Jeszcze mu się nie podoba, że mu wnuczkę urodziłam, bo wolałby chłopaka. Następcę – dodaje z ironią.

– Nie pomogę ci. To wasze rodzinne sprawy. Porozmawiaj z Hansem, jak przyjedzie na urlop – radzi Walter.

– Jutro powinien być – mówi dziewczyna, ale bez entuzjazmu. – On niczego nie zmieni – wyjaśnia. – Słucha ich jak dziecko. Nawet nie wiesz, jak żałuję, że wysłałam za niego – wyznaje. – Lepiej było mi samej.

– Birgit. – Walter próbuje wyplątać się z niezręcznej sytuacji. – Dobrze wiedzieć, co u ciebie, ale ja już muszę jechać. Na pewno ci się jakoś ułoży z Hansem. Wojna prawie się skończyła, wróci do domu, a już ty sobie go ustawisz tak, żeby ciebie słuchał, a nie mamusi.

– Nie jedź – ni to prosi, ni grozi młoda kobieta. – Chcę być z tobą jak

dawniej. – Mówiąc to, przysuwa się do mężczyzny i zaczyna rozpinąć mu mundur.

– Zostaw – nakazuje stanowczo Neumann i odsuwa jej dłoń. – Za dużo mnie kosztowało ukrywanie naszego romansu. Chcę żyć w zgodzie z Martą. Ty też nie powinnaś oszukiwać męża.

– Walterze, proszę, tylko ten raz – Birgit łasi się jak kotka. – Nikt się nie dowie, obiecuję.

– Daj spokój. Nie bądź niemądra. Mówiłaś przecież, że jutro wraca Hans. Jest wyposzczony. Dogodzi ci, nie bój się. – Znowu musi łapać jej dłoń zbliżającą się do paska od spodni. – No, przestań. Naprawdę nie wiem, o co ci chodzi.

– Chcę się na nich zemścić za to wszystko, co muszę znosić. Na Hansie i na jego starych – wyznaje dziewczyna. Jest rozżalona i rozczarowana. – Walterze, proszę, chcę mieć z tobą dziecko. Syna, o którym tylko ja będę wiedziała, że to nie ich wnuk. To będzie moja zemsta.

Walter odsuwa ją gwałtownie.

– Zwariowałaś! Chcesz mnie w coś takiego wciągnąć? Wiesz co? Żal mi ciebie, ale nie aż tak, żebym miał sobie życie przez ciebie zmarnować.

– Nikomu nie powiem! – próbuje go jeszcze przekonać.

– Znam cię dobrze. Pokłócisz się i rzucisz mu w twarz przy pierwszej okazji albo mnie będziesz szantażować. Niedoczekanie! I żebyś więcej mnie nie wołała, bo nawet nie podejść. – Zdenerwowany mężczyzna podnosi rower i nie sprawdzając, czy ktoś go widzi, wychodzi na ulicę. Dogania go krzyk Birgit:

– Pożałujesz tego! Jeszcze mnie popamiętasz!

52

Kiedy poprzedniego dnia Walter wrócił z pracy i ogłosił dobre wieści, nie miała sumienia odmówić mu pójścia na zabawę. Wszystkich, łącznie z Gustavem, opanowała euforia. Liczyło się tylko jedno. Janka wraca do domu! Gogol chciał natychmiast pędzić do siebie, żeby sprzątać dom na przyjazd żony, ale razem z Tilą zatrzymały go na kolacji. Gospodyni przyniosła z piwnicy najlepsze wino i posiedzieli sobie na ganku do późna. Wieczór był piękny, a wieści tak dobre, że aż nie chciało się kłaść do łóżka. Marta, zanim poszła spać, długo moczyła ręce i stopy w serwatce, by pozbyć się śladów pracy w ogrodzie, a rano umyła włosy i wypłukała je w wywarze z pachnących ziół. Po południu stanęła przed otwartą szafą i zaczęła się zastanawiać, co ma na siebie włożyć. Najpierw przymierzyła jedwabną sukienkę od Ewy, ale zaraz ją zdjęła, bo uznała, że ma zbyt śmiały dekolt, później włożyła swoją w groszki, lecz szybko z niej zrezygnowała, bo wszyscy od dobrych kilku lat ją znają. Na koniec zdjęła z wieszaka skromną sukienkę, którą kiedyś przywiózł jej Walter z Berlina. „Ta będzie najlepsza” – uznała. Po obrzędku umyła się, przebrała, a córka upięła jej włosy. Zastanawiała się trochę, czy nie włożyć francuskich pończoch – najnowszego prezentu od męża,

ale doszła do wniosku, że są zbyt cenne, żeby ryzykować rozdarcie ich o jakąś gałązkę nad jeziorem. Letnie sandały na małym obcasie włożyła na gołe stopy. „Nogi mam tak opalone, że na pewno nikt nic nie zauważy – pomyślała. – Poza tym nie cierpię chodzić w pasie do pończoch”. Jeszcze ostatni rzut oka w lustro. Marta z pewnym niedowierzaniem patrzy na swoje odbicie. W jasnej letniej sukience w drobne kwiatki, dopasowanej w talii, lekko rozkloszowanej i kończącej się tuż poniżej kolan wygląda o kilka lat młodziej. Gładko zaczesane włosy misternie upięte nad karkiem w wałek w kształcie półksiężyca dodają całej sylwetce szlachetnej elegancji. „Czy to wypada w moim wieku? – zamyśla się. – Mama, jak większość kobiet we wsi, zwykle chodziła w czarnej bluzce włożonej do długiej ciemnej spódnicy. Czy to nie próżność tak się odmładzać? Może zmienię sukienkę i zaplotę warkocz jak zawsze” – zastanawia się.

– Jesteś gotowa?

W otwartych drzwiach sypialni stoi Walter i z podziwem patrzy na żonę.

– No, no, no! – wykrzykuje radośnie. – Przeczynałem, że zakasujesz wszystkie inne żonki, i miałem rację.

– Właśnie się zastanawiam, czy nie nazbyt się odmłodziłam. Będą ze mnie kpić za plecami. Chyba się przebiorę.

– Ani mi się waż! Wyglądasz pięknie. Idziemy! – mówiąc to, wyciąga do niej rękę, a Marta niechętnie podaje mu swoją.

Szosa z Unruhstadt ciągną hałaśliwe grupy ludzi zmierzających na zabawę. Neumannowie włączają się w ten nurt i razem z innymi maszerują nad jezioro. Najpierw, jak co roku w Święto Letniego Przesilenia, będą inscenizacje, wiersze i piosenki, potem skoki przez ognisko, a pomiędzy tym i na końcu tańce. Tila już dawno poszła dekorować podest, na którym wystąpią dzieci ze szkoły. Dziewczęta przymocowały do sznurka trójkątne proporczyki ze swastyką na środku i rozpięły go między słupami, a właściciel restauracji zawiesił lampy, dzięki którym będzie można bawić się do białego rana.

Nad jeziorem zebrało się tylu ludzi, że trudno znaleźć jakiegokolwiek wolne miejsce w pobliżu restauracji. Neumannowie rozglądają się zakłopotani, ale już ktoś woła do nich i macha zza długiego stołu. To koledzy Waltera z ratusza, którzy z żonami przyszli na tańce. Wkrótce skoczna muzyka wywabia całe towarzystwo na duży drewniany podest wzniesiony na palach nad błotnistym brzegiem jeziora. Mimo ścisłości wszyscy dobrze się bawią, raz po raz spieszą do stolików, by zwilżyć wyschnięte gardła albo coś zjeść, a potem wracają na deski.

W pewnej chwili nieopodal dębu skałeczonego przez piorun Walter zauważa Birgit w towarzystwie rosnącego blondyna. Dziewczyna coś mówi do męża, robiąc minę rozkapryszonego dziecka, i wskazuje palcem w kierunku Neumanna. Ten, napotykając nieprzyjazny wzrok młodziana, zaczyna wietrzyć kłopoty. Dotąd wszystko toczyło się tak, jak sobie wymarzył. Koledzy z biura z podziwem zerkali

na panią Neumann, a niejeden, kiedy jego połowicy nie było w pobliżu, powiedział do Waltera parę pochlebnych słów o Marcie. Właśnie któryś za jego przyzwoleniem kręci nią w walcu, a on sący kolejne piwo i zajada kiełbasę z musztardą. Po jakimś czasie zerka w kierunku dębu, ale tam na trawie przysiadła już inna para. Birgit i Hansa nigdzie nie widać. Za to co chwila wzrok Waltera wyławia z tłumu jakąś znajomą twarz, czy to z Unruhstadt, czy z Altreben. Niemal wszyscy mieszkańcy wsi zjawili się tutaj, żeby świętować. Zresztą nie tylko oni. Jest też mnóstwo osób zupełnie nieznanymi Neumannowi. Na pewno przybyli z okolicznych miejscowości, bo ośrodek nad jeziorem przyciąga wielu amatorów dobrej zabawy.

Niby wszystko jest jak zawsze w taki świąteczny dzień, ale tłumy są liczniejsze, a radość i chęć zabawy większa, bo spotęgowana przez zwycięstwo nad Francją i, jak się wydaje, Anglią. Wszak Führer zapowiedział, że Rzesza będzie niezwyciężona, i tak jest. Jak dobrze mieć takiego przywódcę, który wyciągnął naród z poniżenia i postawił na należnym mu piedestale. Teraz wojna na pewno się skończy i przyjdzie czas na odpoczynek po dobrze wykonanej pracy. „Niech ta chwila trwa wiecznie!” – mówią szczęśliwie oblicza bawiących się ludzi.

Długi czerwcowy dzień jakby nie miał końca, ale już za moment słońce schowa się za wysokim brzegiem doliny. Jeszcze przez krótkie mgnienie jego czerwone światło krwawo barwi czuby i pnie wysokich drzew. Niektórzy przystają i patrzą z podziwem na niebo całe w odcieniach złota i purpury i na jezioro, którego tafla zdaje się płonąć żywym ogniem. Po chwili ogromna czerwona kula znika, spektakl kolorów się kończy, niebo traci niepokojące barwy, a krótkotrwałe uczucie lęku ulatnia się bezpowrotnie.

Towarzysz Marty odprowadza ją na miejsce, a ona, widząc męża przy kolejnym kuflu piwa, gniewnie marszczy brwi. – Jutro jedziesz do Berlina. Zapomniałeś?

– Wiem, wiem. Pamiętam. Nie denerwuj się, kochana. – Walter robi maślane oczy do zarumienionej od tańca żony. – Nie piję więcej. Przysięgam. – Podnosi dwa palce.

– Chodźmy już – prosi Marta. – Musisz się wyspać. Nie możesz się spóźnić na pociąg. Wiesz, ile od tego zależy.

– Jeszcze trochę. Zaraz podpalą ognisko. Musimy to zobaczyć. Potem od razu idziemy. Obiecuję.

– Dobrze, ale nie spuszczę cię z oka ani na chwilę – grozi żona.

– Ale ja muszę w krzaczki. – Neumann robi skruszoną minkę. – Pójdiesz ze mną?

Wyraz twarzy małżonki wskazuje, że nie zamierza przyjąć propozycji, idzie więc sam, a Marta przysiadła na brzegu ławki. Od razu jakiś mężczyzna prosi ją do tańca, ale ona ma już dość. Czuje, że popełniła błąd. Wyrzuca sobie próżność

i strojenie się. Wcale nie miała zamiaru przypodobać się mężowi. Po trzech miesiącach zamartwiania się, płaczu i błagalnych modłów po prostu chciała odetchnąć, zrobić coś radosnego, a nade wszystko pragnęła świętować rychły powrót Janki. Teraz ma dylemat. Jak odrzucić zaloty Waltera, a jednocześnie go nie obrazić? Od jego jutrzejszego wyjazdu do Berlina zależy uwolnienie Janki. Ma przekazać pieniądze komuś, kto wycofa zarzuty wobec kuzynki. A co, jeśli urażony zrobi jej na złość i nie pojedzie?

Marta bije się z myślami, a Walter lawiruje między ludźmi, by czym prędzej wrócić do żony. Nagle czuje gwałtowne szarpnięcie. Obraca się i widzi nad sobą twarz Hansa Müllera. Neumann wie, że ma problem. Rozgląda się wokół, ale w pobliżu nie ma nikogo znajomego, co więcej, zapada zmierzch i większość ludzi rusza na wzgórze, by zobaczyć moment podpalenia ogniska.

– Czego chcesz? – pyta, siląc się na spokój.

– Moja żona mówi, że się do niej dobierałeś. – Głos młodzieńca bynajmniej nie brzmi ugodowo.

– Hans, nie żartuj. Po co miałbym to robić. Ty masz swoją kobietę, a ja swoją. Zobacz – pokazuje palcem na Martę siedzącą na ławce – tam jest. Czeka na mnie. O, widzisz? Wstała! Idzie do nas.

– Nie myśl, że ci się uda. Birgit wszystko mi powiedziała. Zapłacisz za to, co jej zrobiłeś. – Müller syczy nad uchem Waltera i odchodzi.

– Kto to był? – pyta zaniepokojona Marta. – I czego chciał od ciebie?

– Jakiś pijak. Szukał zaczepki. Na szczęście poszedł sobie – odpowiada Walter z lekceważeniem. – To co? Popatrzymy na ogień?

Ledwie stanęli w tłumie ludzi otaczających stos gałęzi, buchnął wysoki płomień. Najpierw zabrzmiały oklaski i radosne krzyki, ale zaraz potem ucichły, bo na znak dany przez pana Lorenza chór złożony z umundurowanej młodzieży zaintonował hymn narodowy. Ludzie wpatrzeni w potężny ogień podchwycili melodię i przyłączyli się do śpiewu. *Deutschland, Deutschland, über alles, über alles in der Welt...* – płynie wraz z iskrami wysoko w granatowe niebo i niesie się nad Altreben, Unruhstadt i dalej aż do Elisental. Zaledwie wybrzmiały wzniosłe słowa i rozpląnęły się w ciemnościach, rozpoczyna się ceremonia wrzucania do ognia wieńców poświęconych pamięci wojennych bohaterów. Głośno padają imiona i nazwiska mężczyzn poległych w minionych wojnach, te same, które są wyrzeźbione na pomniku stojącym w centrum wsi. Niektórzy członkowie ich rodzin przyszli tu tylko po to, by usłyszeć nazwisko syna, brata lub męża i zobaczyć ten moment, kiedy płomień obejmują przeznaczony mu wieńiec. Potem chór śpiewa *Feuersprüche* i następuje punkt programu najbardziej wyczekiwany przez młodzież – skoki przez ogień.

– Chodźmy już do domu. – Marta przekrzykuje dźwięki gongu odmierzające wyczyny kolejnych par. – Musimy wcześniej rano wstać i zdążyć do Bomst

na pociąg.

– Jeszcze chwila – prosi Walter. – Zaraz będzie zapalenie pochodni. Chcę to zobaczyć.

– Daj spokój, to potrwa jeszcze ze dwie godziny.

– Tak, tak, idźmy – zgadza się Walter już bez żadnych oporów. – Ale znowu muszę w krzaczki. Zaczekasz?

– Pójdę po Tilę, a ty szybko wracaj. Tylko żebyś nie szedł znowu na piwo!

– Przyrzekam, że będę z powrotem w mgnieniu oka – uśmiecha się czule do żony i znika za drzewami.

Tila ściska rękę Karla. Jeszcze tylko jedna para, a potem oni skoczą przez ogień. Napięci do ostatnich granic, pochyleni do przodu czekają na sygnał, by wziąć rozbieg, wzbić się w górę, poczuć żar płomieni liżących gołe łydki... Niech wreszcie zabrzmie gong!

Nagle rozlega się głośny wystrzał. Tłum upojony zwycięstwem i alkoholem, oczarowany magią ognia, umocniony potęgą swego państwa, milknie przerażony. Jedyne dźwięki, który dociera do wszystkich uszu, to szum skrzydeł spłoszonych ptaków, a potem zalega cisza.

Część 2



53

Praca, praca, tylko praca od dwóch miesięcy i ani jednej łyży. Marta wstaje przed świtem, budzi córkę i we dwie po szybkim obrządku udają się na pole, do ogrodu, do winnicy, do siana, na poletko malin – wszędzie tam, gdzie jest coś do zrobienia w gospodarstwie. Kiedy przychodzi noc, rzucają się jak kłody do łóżka, by znów zerwać się przed wschodem słońca. Codziennie dołącza do nich Gustav i pomaga tak, jak potrafi człowiek bez prawej ręki. Wygania i przygania krowy, dba o Lotte, zawozi warzywa na sprzedaż, jest całkiem sprawnym woźnicą. Jedynie w niedzielę jest czas na wytchnienie, ale Marta wcale się nie cieszy, bo nie może wtedy pójść na pole. Jeśli sięga w tym dniu po Pismo, robi to raczej z obowiązku, a nie tak jak kiedyś, by było dla niej życiowym drogowskazem. Nie spiera się z Bogiem i broni się przed rozważaniem czegokolwiek. Martę wypełnia gniew na Waltera, bo wszystko, co się stało, jest jego winą. Nawet żaloby po nim nie chciała nosić, ale się przemogła dla dobra rodziny. Wie, że gdyby postąpiła wbrew tradycji, ludzie nie zostawiliby suchej nitki nie tylko na niej, ale i na wszystkich krewnych, którzy niczym sobie na to nie zasłużyli. – Dobrze, włożę czarną suknię – uległa naleganiom Hedwigi – ale rok i ani chwili dłużej. Chcę o tym człowieku zapomnieć.

Jak dwa miesiące wcześniej w niedzielne popołudnie stoi przed lustrem, ale dzisiaj zatrzymała się tylko na chwilę, by przypiąć wsuwkę, która wypadła, kiedy przebierała się po powrocie z nabożeństwa. Jakże inaczej wygląda teraz w porównaniu z tamtą kobietą zastanawiającą się, czy ma na sobie odpowiednią sukienkę. Włosy jak zawsze zaplotła w warkocz zwinięty nad karkiem w kok, ubrała się w czarną bluzkę z długimi rękawami i spódnicę sięgającą do połowy łydki. W kuchni włoży na to wszystko ciemny fartuch i robi jakiś obiad. Ostatnio

nie przykłada większej wagi do jedzenia. Gotuje coś prostego, byleby szybciej wrócić do pracy. Zaraz zejdzie na dół, jeszcze tylko przypnie niesforne pasemko włosów. Dostrzega, że źle wygląda, bo opalona skóra bez śladu rumieńca ma żółty odcień, a oczy są podkrążone i pozbawione blasku, ale nie ma to dla niej żadnego znaczenia.

Słyszy pukanie do drzwi wejściowych. Schodzi na dół i niechętnie otwiera.

– Maria? – gospodyni nie potrafi ukryć zaskoczenia. – Nie byłaś tu ze dwadzieścia lat.

– Więcej – odpowiada niska, ciemnooka kobieta.

– Rosiny nie ma. Poszły gdzieś z Tilą.

– Wiem, właśnie dlatego tu jestem. Mogę wejść do środka? – pyta Maria Petras, przekraczając próg. Mimo że nie słyszy żadnej odpowiedzi, zdąża prosto do kuchni. Zasiada przy stole i rozgląda się zaciekawiona.

– Trochę się tu zmieniło – stwierdza po chwili. – Wodę masz w kuchni – mówi z zazdrością. – Jak ja bym chciała mieć coś takiego – pokazuje na kran nad zlewem. – Nie musiałabym dźwigać tylu wiader codziennie.

– Co się stało, że mnie odwiedzasz? – Marta jest dość obcesowa, bo czym prędzej chce zostać sama.

– Przyszłam porozmawiać o Tili.

– Zrobiła coś niewłaściwego? – pani Neumann ożywia się trochę.

– Nie! Nic podobnego. Martwię się o nią. – Pwne oczy sąsiadki na próżno próbują pochwycić wzrok Marty.

– Nie ma powodu. Tila jest zdrowa.

– Rozmawiasz z nią czasem?

– Oczywiście. Codziennie rozmawiamy.

– Ty jej mówisz, co ma robić. Tak wygląda wasza rozmowa? – Maria patrzy z ironią na zachmurzoną twarz Marty.

– Nie twoja sprawa! Nie zachodziłaś przez tyle lat, mimo że mieszkasz obok, a teraz zjawiasz się, żeby mnie pouczać? – wybucha pani Neumann.

– Dobrze wiesz, dlaczego ciebie unikałam, ale nasze córki są przyjaciółkami. Lubię Tilę i nie mogę patrzeć na to, co robisz własnej córce.

– A co ja niby robię?

– Zaprzęgåłaś ją do pracy jak wołu roboczego. Ma dopiero szesnaście lat a tyra tak, jakby była dorosłym, silnym człowiekiem – obwinia sąsiadkę Maria.

– I kto to mówi? Dopiero niedawno Rosina nie mogła nigdzie się ruszyć bez siostrzyczek. Nie wspomnę o tym, że w domu też musiała wszystko robić.

– To co innego. Ona nie pracowała aż tak ciężko jak Tila. Czasem mogła pójść na zbiórkę, a wieczorami nad rzekę. I nie zawsze sama pilnowała dziewczynek. Często pomagała jej babcia. Teraz są większe, chodzą do przedszkola, nie ma już z nimi tyle kłopotu – tłumaczy gość.

– Nie pracowała tak ciężko! – gospodyni przedrzeźnia Petrasową. – To dla czego chciała, żeby twój dzieciak umarł?

– Tak mówiła? – Maria nagle cichnie i pochyla głowę.

Marta czuje, że przesadziła. Spogląda na zasmuconą sąsiadkę i bezwiednie zagryza dolną wargę. – Przepraszam. Nie powinnam była tego mówić. Rosina bardzo przeżywała śmierć braciszka, bo wcześniej, kiedy dowiedziała się o twoim stanie, pomyślała, że lepiej, by tego dziecka nie było. Taka była zmęczona opieką nad rodzeństwem – wyjaśnia. – Później robiła sobie straszne wyrzuty, bo sądziła, że to nieszczęście to jej wina.

– Nie miałam pojęcia.

– Sama widzisz – Marta wraca do chłodnego tonu – że obie niewiele wiemy o naszych córkach. Teraz powiedz mi jeszcze raz, o co chodzi z Tila.

– Naprawdę uważam, że pracuje za dużo. Pomyśl, we dwie robicie wszystko, co przedtem we trzy. A przecież Janka była szybka i silna. Nie oczekuj, że Tila ją całkowicie zastąpi.

– Może i tak jest, jak mówisz, ale nie mam wyjścia. Choćbym nawet chciała, nikogo do pracy nie znajduję. Ty masz szczęście, bo chłopcy właściwie są już dorośli i jak pójdą z ojcem w pole, to nawet możesz zostać w domu.

– Nie wiem, czy mam szczęście. Po stokroć wolałabym, żeby byli jeszcze mali. Niech ta wojna wreszcie się skończy – wzdycha ciężko Maria. – Codziennie drzę, czy nie przyjdzie wezwanie do wojska dla Michaela.

– Nie chcę rozmawiać o wojnie. Nawet nie włączam radia. Jeszcze w czerwcu mówiono, że się skończy, więc to pewnie niedługo. A wracając do Tili, pomyślę o tym, co mi powiedziałaś. Być może masz rację – kończy Marta i patrzy wyczekująco na Petrasową. Chciałaby nareszcie zostać sama, a ta wciąż siedzi.

– Jest jeszcze coś... – Maria zawiesza głos, jakby nie wiedziała, czy na pewno ma powiedzieć to, co zamierzała. Wreszcie decyduje się: – Tila nie jest sobą.

– Nie jest sobą? Co masz na myśli?

– To wszystko, przez co przeszłaś, było dla ciebie straszne – mówi z trudem gość. – Rozumiem, że nie chcesz o tym rozmawiać, ale sama przed chwilą zauważyłaś, że niewiele wiemy o naszych córkach. Ja czegoś nie wiedziałam o Rosinie, a ty o Tili. Nie darowałabym sobie, gdybym nie powiedziała ci tego. Jesteś tak pochłonięta swoim bólem, że nie widzisz cierpienia córki. – Maria patrzy nieśmiało na wdowę, ale ta słucha z kamienną twarzą. – To Tila znalazła Waltera. Zobaczyła ojca całego we krwi z roztrzaskaną głową. Taki widok musi zostać w człowieku na zawsze.

Pod wpływem tych słów do Marty wraca wspomnienie tamtej nocy. Nagły wystrzał przeraził ją do tego stopnia, że ruszyła w jego kierunku jak oszalała. Biegła w ciemnościach, potykała się, raz nawet upadła na wilgotną trawę.

Podniosła się i zobaczyła kilkunastu ludzi z pochodniami stojących niedaleko starej sosny. Podążyła w ich kierunku. Przeciskała się między nimi, traciła oddech z przerażenia, aż wreszcie znalazła się w świetlistym kręgu. Pod sosną leżał Walter z rozrzuconymi na boki rękoma i krwawą miazgą zamiast twarzy. Nad martwym ojcem klęczała Tila i wydawała z siebie jakiś dziwny głos, ni to płacz, ni pisk, wysoki, cienki, jednostajny. Marta rzuciła się na kolana obok córki i objęła ją, szepcząc: „Dzięki Bogu, dzięki Bogu, że tobie nic się nie stało”.

– Ona – ciągnie mama Rosiny – nie może się po tym pozbierać. Rzadko ją widzimy, bo na nic nie ma czasu, ale na pewno coś się z nią dzieje. Zwróć uwagę na jej oczy – są takie puste. – Maria skończyła i patrzy na sąsiadkę, czekając na jakąś reakcję, ale Marta milczy, wstaje więc i wychodzi bez pożegnania.

Wdowa siedzi przy kuchennym stole ze wzrokiem utkwionym w okno. Wszystko, o czym usilnie starała się zapomnieć, wróciło, jakby ta rozmowa przerwała jakąś tamę. Słyszy szepty ludzi, którzy coraz tłumniej gromadzili się pod sosną. Pamięta, jak dobiegały ją ciche rozmowy: „Müller go zastrzelił. Jak to? Dlaczego? Wykrzykiwał, że Neumann był kochankiem jego żony. Skąd miał broń? Zabił go z myśliwskiej strzelby”. Potem zjawili się policjanci. Zabrano ciało jej męża. To było jak zły sen. Zjawili się krewni, zajęli się gospodarstwem i zorganizowali modlitewne czuwanie. Zamknięta trumna z ciałem Waltera stała najpierw w domu, czekając na pogrzeb, a później przyjechała Sabina i spytała, czy mogłaby pochować syna obok Georga. Pamięta, że potakująco kiwnęła głową. Dlatego pogrzeb był w Berlinie. Koszmarny sen trwał nadal. Do domu wróciły z Lisą. Siostra była jeszcze przez kilka dni, ale musiała jechać do siebie, na koniec więc zostały same. Któregoś dnia zjawił się poszarzały ze zmartwienia Gustav i powiedział, że proces Janki już się odbył. Ktoś nie dostał łapówki, więc zarzutów nie wycofano i żona Gogola nie wróciła do domu. Jedyne, co w tym wszystkim można uznać za łut szczęścia, to wyrok skazujący Jankę na pięć lat obozu pracy, a nie na śmierć, czego obawiali się najbardziej.

Pewnego dnia, kiedy Marta jechała rowerem po chleb, zaczepiła ją Kerstin Heckman. Zapytała panią Neumann o okoliczności śmierci Waltera i nie czekając na odpowiedź, zaczęła mówić o tym, że o romansie Neumanna wiedziało wielu ludzi w Unruhstadt, że to się zaczęło już dawno, kiedy ta Birgit sprzątała w ratuszu, i że potem wyszła za mąż, ale romans trwał dalej. Niektórzy nawet mówią, że ta dziewczynka, jej córka, niekoniecznie jest Müllera, bo być może to dziecko Neumanna. Müller niespodziewanie dostał przepustkę i jak przyjechał, to o wszystkim się dowiedział, upił się, wrócił do domu po broń i zastrzelił kochankę żony. Teraz starzy Müllerowie ją wygonili, ale wnuczkę sobie zabrali, a młodego aresztowano.

W letniej kuchni Marta dużym, ostrym nożem kroi liście buraków dla świń, a myśli, które już przerwały tamę, wciąż płyną wbrew jej woli. Pamięta uczucie

straszego upokorzenia, kiedy słuchała Kerstin. To było tak, jakby ktoś trzymał nad jej głową kubek z nieczystościami i wylewał je na nią bez końca. Właśnie wtedy szok wywołany śmiercią męża zaczął mijać, a zastąpił go gniew rosnący wraz z każdym słowem kobiety, aż wypełnił ją całą i uczynił niewrażliwą na stan córki.

Marta prostuje plecy i ściskając nóż w rękę, myśli mściwie, że za to, co Walter zrobił jej, Tili i Jance, i ona miałyby ochotę go zabić.

54

Tilę ominęło piękne lato 1940 roku. A kto wie, czy nie było to najpiękniejsze, najwspanialsze lato w życiu chwalimskich dziewcząt i chłopców. Szczególnie tym ostatnim pasmo zwycięstw niemieckiej armii szumiało w żyłach i uderzało do głowy niczym musujące wino. Wieczorami wszyscy biegli nad rzekę. Do późnych godzin rozbrzmiewały tam śmiechy, nawoływania i głośne rozbryzgi wody, do której wskakiwali rozgorączkowani nastolatkwie. W ich rozmowach wciąż powracał ten sam problem: *Kiedy wreszcie pójdziemy na wojnę? Czemu jeszcze nas tam nie ma? Kiedy pokażemy światu, jacy jesteśmy dzielni? Dlaczego tracimy czas przy tak nieważnych zajęciach jak sianokosy i żniwa?* Krople wody wysychały na ich opalonych ciałach pachnących rzeczonym mułem, a oni opowiadali dziewczętom, co zrobią, kiedy pójdą na front, jak pokażą Tommies^[42], gdzie ich miejsce, i jak z podniesionym czołem wkroczą do Londynu. One zaś, zagniewane na swą kobiecość, która nie pozwalała im dokonywać bohaterskich czynów, zastanawiały się, jak mogą wesprzeć ojczyznę. Tymczasem zapełniały każde wolne miejsce na ścianie pocztówkami i zdjęciami umundurowanych idoli: Günthera Priena, Wenera Möldersa czy Adolfa Gallanda^[43]. W niedzielne popołudnia zorganizowane grupy młodzieży maszerowały radośnie do Unruhstadt, gdzie w sali u Gustava Eichlera można było obejrzeć jakiś film, zawsze poprzedzany kroniką. Pokazywano w niej parady, wiwatujące tłumy, kobiety rzucające kwiaty Führerowi i zwycięskim żołnierzom, przypinanie orderów, konferencje prasowe z udziałem bohaterów i ich spotkania z Wodzem. Po obejrzeniu tak dobranych obrazów i wysłuchaniu entuzjastycznego komentarza każdy młody człowiek wracał do domu odurzony, rwał się do walki i marzył o tym, by stać się następnym bożyszczem tłumów.

Tilę ominęło piękne lato, bo nosi żałobę i beztroska radość byłaby czymś niestosownym. Żałoba dziewczyny to nie tylko czarny ubiór i powaga w zachowaniu. Widok zmasakrowanej twarzy ojca nie opuszcza jej od dwóch miesięcy. Nawet jeśli na chwilę o nim zapomni, wypływa znienacka z czarnej głębi jeziora, kiedy myje powalane ziemią dłonie, albo pojawia się nocą pod zamkniętymi powiekami. Najgorsze, że nie ma komu o tym powiedzieć. Matka prawie się nie odzywa i nie daje ani sobie, ani jej nawet chwili na wytchnienie, tak

jakby praca mogła być lekarstwem. Czasem w niedzielę idzie na spacer z Rosiną. Rozmawiają o różnych sprawach, ale żadna nie wspomina o tym, co się zdarzyło w tamtą czerwcową noc. Od innych koleżanek całkiem się odsunęła. Najpierw miała do nich żal, że po aresztowaniu ciotki straciły do niej zaufanie, a od dwóch miesięcy nie chodzi na zbiórki, bo matka po prostu jej nie pozwala. „Masz inne zajęcia. Gospodarstwo jest najważniejsze, bo z niego żyjemy. Zebrania nie dadzą ci chleba” – powiedziała kiedyś. Tila nie ma o to żalu, bo nie wyobraża sobie, że mogłaby teraz gawędzić z innymi dziewczętami o potańcówkach nad jeziorem, modnych fryzurach albo o tym, ile zgromadziły pocztówek ze swoimi bóstwami w mundurach. Nie ciągnie jej do rówieśniczek, ale to nie znaczy, że nie czuje się samotna i opuszczona. W bezsenne noce słyszy matkę, jak chodzi po pokoju. Chciałaby do niej pójść, ale coś ją powstrzymuje. Najbardziej ze wszystkiego brakuje jej ciepłych i miękkich ramion Janki. Wtuliłaby się w nie i nareszcie mocno zasnęła.

Tila słyszy kroki matki na schodach. Szybko gasi nocną lampkę. Nadstawia ucha. Matka zatrzymuje się przed drzwiami pokoiku córki. Stoi tam przez długą chwilę, a potem idzie do siebie.

Rano, po śniadaniu zjedzonym w kompletnej ciszy, Marta mówi niespodziewanie: – Teraz będzie trochę mniej pracy w polu. Dałabym sobie radę sama. Gustav i pani Kliem mi pomogą. Może chciałabyś pojechać na kilka dni do cioci Lisy?

Tila jest tak zaskoczona, że nie wie, co odpowiedzieć.

– Ciężko pracowałaś tego lata. Myślę, że nawet za ciężko. – Marta mówi, jakby słowa przychodziły jej z trudem. – Należy ci się odpoczynek.

– I tobie, mamó, by się przydał.

„Odpoczęłabym, gdybym tylko mogła zapomnieć i zasnąć” – chce powiedzieć Marta, ale zamiast tego uśmiecha się smutno. – Obie nie możemy wyjechać, więc chociaż ty trochę odetchnij – odpowiada. – Mogłabyś pojechać już za dwa dni, ale najpierw zrobmy pranie, bo trzeba wykorzystać ładną pogodę – dodaje.

Duże pranie na wsi to poważna sprawa. Jak poważna, zależy od liczby domowników. Jednak jeśli nawet są to tylko dwie kobiety, mają pełne ręce roboty. Przy cieplej i suchej aurze większość czynności wykonuje się na podwórku, w pobliżu letniej kuchni. Wpierw w dużej ocynkowanej wannie namacza się pościele, ręczniki oraz jasne, bawełniane albo lniane części garderoby. Po jakimś czasie gospodyni lub inna kobieta z domu wstawia do wanny dużą tarę, do ręki bierze kawał szarego mydła, wyjmuje z mydlin każdą sztukę osobno, rozkłada na tarze, namydla obficie, a potem trze i trze, aż uzna, że wystarczy. Kiedy w oddzielnym naczyniu zbierze się pokaźny stos tak wypranej bielizny, należy wypłukać ją z brudnych mydlin, a następnie włożyć do kotła z wodą

i rozpuszczonym proszkiem lub mydłem i wygotować. Później gorącą i parującą zawartość trzeba wyjąć, używając specjalnych drewnianych szczypiec albo po prostu kija, i wrzucić do zimnej wody, a potem płukać i wykręcać tyle razy, aż nie będzie śladu mydła. Jednak to jeszcze nie koniec. Teraz przychodzi czas na posegregowanie bielizny. Część po wykręceniu pójdzie na sznurek, a reszta, na przykład pościele, obrusy i kuchenne makatki trafiają do wanny z krochmalem. Dopiero teraz śliskie i ciężkie zwały płótna można wykręcić ostatni raz i powiesić. Za dobrej pogody wszystko wyschnie do wieczora. Wtedy należy to w dwie osoby równo poskładać, a pościele i obrusy wcześniej naciągnąć. Następnego dnia najlepiej zabrać się do maglowania. Tyle o białych rzeczach. Zwykle przy okazji pierze się ciemniejsze i bardziej brudne sztuki odzieży, bo szkoda byłoby nie wykorzystać dużej ilości mydlin, które zostają po praniu i gotowaniu bielizny pościelowej i stołowej. Kiedy duże pranie się kończy, kobietom, które przecież muszą przy okazji zrobić wszystko to, co zwykle, a więc wydoić krowy i wygnać je na pastwisko, nakarmić świnię i drób, przygotować posiłki dla domowników, zając się małymi dziećmi, omdlewają ręce i pękają kręgosłupy od tarcia, wykręcania, przynoszenia wiader z wodą, nalewania, wylewania i wieszania.

Wielkie pranie Marty i jej córki nie jest aż takie duże, bo kobiety piorą tylko to, co same zabrudziły, ale i tak czują się zmęczone. Zdjęły mokre fartuchy i sukienki, włożyły suchą odzież i zasiadły do kolacji. Niestety, posiłek przerwało natarczywe pukanie do drzwi.

– Nie mam ochoty z nikim rozmawiać – mruczy niechętnie Marta. – Możesz zobaczyć, kto to? – prosi córkę.

– Mamo! – słyszy po chwili. – Panie przyszły do ciebie!

Na ganku czeka na nią osobliwa para. Wysportowana sylwetka, starannie przylizane, niemal przyklejone do głowy krótkie jasne włosy i zęby górnej szczęki ledwie mieszczące się w ustach należą do panny Klary Stein, a chuda, lekko przygarbiona postać z siwą szopą trudnych do uporządkowania włosów i żywymi myszującymi oczami to sama Greta Kisch, przewodnicząca gminnego koła Narodowosocjalistycznej Ligi Kobiet.

– Heil Hitler! – witają kobiety gospodynię.

– Dobry wieczór. Czym sobie zasłużyłam na waszą wizytę? – Marta wie, co mówi. Na odwiedzinach opiekunki BDM we wsi oraz przewodniczącej kobiet można zasłużyć, czyniąc dobrze, albo ich przyście oznaczają kłopoty. Raczej tego drugiego spodziewa się pani Neumann. – Wejdziecie do środka czy wolicie usiąść na ganku? – pyta.

– Zostańmy tutaj – decyduje Greta. – Chciałyśmy porozmawiać o Matyldzie – wyjaśnia.

– Tila, idź dokończ kolację – nakazuje córce Marta. Kiedy dziewczyna znika w głębi domu, siada naprzeciwko swoich gości i przybiera postawę wyczekującą.

Greta Kisch zamierzała zacząć o wiele ostrzej, bo miała w pamięci niedawny zatarg z Martą, ale jeden rzut oka na wdowę i Tilę wystarczył, by kobiecie nieco zmięknęło serce. Obie były tak samo smutne i wyczerpane pracą.

– Niepokoiimy się o twoją córkę – zaczyna Greta – dlatego przyszliśmy tu dzisiaj. Mädelschaftsführerin Stein, proszę powiedzieć pani Neumann, ile razy Matylda zapomniała o zbiórce swojej grupy.

– W lipcu i sierpniu nie była ani razu. Opuściła wszystkie zajęcia, zarówno ideologiczne, jak i podnoszące sprawność fizyczną – wyjaśnia panna Klara oficjalnym tonem.

Kiedy mówi, Marta nie może oderwać wzroku od jej wystających zębów. „Mówiący królik” – dziwi się w myślach.

– Pani Neumann, dlaczego pani nie odpowiada? – Panna Stein porzuca sztywną pozę i pochyla się w stronę milczącej kobiety.

– Ach! Przepraszam. Zamyśliłam się. Tila nie chodzi na zbiórki. Tak?

Greta i Klara patrzą na rozmówczynię z mieszaniną zdumienia i współczucia.

– To ja jestem winna. – Marta usprawiedliwia córkę. – Nagle... – na chwilę głos jej więźnie w gardle – nagle zostałam sama w gospodarstwie. Bez pomocy Tili nie dałabym sobie rady. Przepraszam, ale ona teraz nie może... Ma za dużo obowiązków. Zimą przyjdzie. Obiecuję.

– Ależ pani Neumann – nie daje za wygraną panna Stein. – Obowiązek wobec ojczyzny jest ponad wszystkim innym. – Widząc, że wdowa nie reaguje na te słowa, dodaje: – Jeśli Matylda nie przyjdzie w środę na zajęcia, muszę powiadomić władze organizacji. Wtedy zapłaci pani grzywnę, a córkę być może doprowadzimy siłą.

– Co takiego? – ożywia się Marta. – Ja też mam obowiązek wobec ojczyzny – podnosi głos. – Mam obowiązek dostarczyć ojczyźnie określoną ilość mleka, mięsa, jaj, zboża i nie wiem czego jeszcze. Jak mam to zrobić bez żadnej pomocy?! Może panie mi powiedzą, skąd mam wziąć ludzi do pracy w gospodarstwie?

– Panna Stein, niepotrzebnie zdenerwowała pani panią Neumann – Greta Kisch udaje, że karcii swoją towarzyszkę. – Uspokój się, Marto, na pewno da się to jakoś załatwić. Wszyscy ci współczujemy i podziwiamy. Mało kto dałby radę pozbierać się po tak strasznej tragedii. Wiadomo, ludzie umierają – ciągnie tonem pełnym zrozumienia – albo giną dla ojczyzny, ale taka śmierć jak Waltera... Okropna, naprawdę. W dodatku ta kochanka – wzdycha. – To musi być dla ciebie trudne.

Marta słucha z kamienną twarzą, a kiedy Greta kończy, dalej siedzi bez ruchu.

– Chciałybyśmy ci coś zaproponować – kontynuuje starsza z kobiet. – Mam znajomą, osobę bardzo zaangażowaną politycznie, która organizuje pomoc dla

niemieckich przesiedleńców ze Wschodu. Konkretnie chodzi o to, że oni przyjeżdżają z daleka, a te polskie gospodarstwa, które są im przydzielane, często znajdują się w opłakanym stanie. Ktoś musi je przygotować na przyjęcie osadników. Polakom kazano zostawić zwierzęta, karmę dla nich i w ogóle wszystko, ale dopóki nie przybędą nasi, ktoś musi się tym wszystkim zająć. Ta moja przyjaciółka napisała, czybym nie znalazła jej kilku pracowitych dziewcząt ze wsi do pomocy. Są tam już grupy BDM, ale składają się wyłącznie z miastowych pańienek, które niewiele potrafią. Czy twoja córka mogłaby pomóc w tej ważnej dla państwa akcji? – Greta z nieco niepewną miną wpatruje się w Martę, wyczekując odpowiedzi. Wdowa traci obojętny wyraz twarzy, tak jakby dopiero teraz zaczęło ją obchodzić to, co próbuje wyjaśnić jej siedząca naprzeciwko kobieta.

– Jak Tila miałaby wam pomóc?

– Tłumaczyłam ci przecież. Tam są potrzebne dziewczęta ze wsi. Matylda bardzo by się przydała. Nauczyłaś ją przecież wszystkiego.

– Żartujesz sobie? – Marta nie może uwierzyć w to, co słyszy. – Dopiero wam tłumaczyłam, że nie mogę się bez niej obyć, a teraz mi mówisz, że chcecie ją gdzieś zabrać.

– Nie denerwuj się, proponuję ci wyjście z trudnej sytuacji. Zamiast kary finansowej i różnych innych przykrości za to, że zabroniłaś córce uczestniczyć w życiu organizacji, możesz się zrehabilitować. – Widząc, że matka Tili zaraz wybuchnie, dodaje uspokajająco: – Ty dasz nam na jakiś czas Matyldę, a ja załatwię ci stałą pomoc z Arbeitsamtu. Zanim cokolwiek zdecydujesz, dobrze się zastanów. Jeśli mi pomożesz, to ja obiecuję ci, że też będziesz mogła na mnie liczyć. Panno Stein – zwraca się do siedzącej obok towarzyszki – pani Neumann musi to przemyśleć, więc pójdziemy już. – Idąc w stronę furtki, jeszcze się odwraca i mówi z naciskiem: – Wierzę, że będziesz rozsądna.

– Tila! – Marta jest wzburzona i przestraszona. To, co przytrafiło się Jance, nauczyło ją uważać jeszcze bardziej niż zwykle na czyny i słowa. – Tila, gdzie jesteś? – Szybko przemierza korytarz i staje w progu kuchni. Córka nie tknęła kolacji, tylko nieco przesunęła talerze. Siedzi na krześle, ale górna połowa tułowia spoczywa na stole, głowę obróconą na bok wsparła na rękach zgiętych w łokciach. Śpi. Matka cicho przysiadła na drugim krześle i w zapadającym mroku patrzy na córkę z czułością.

55

– Wujku Gustavie! Jesteś tam?

Tila stoi na najniższym szczeblu drabiny i wyciąga szyję, by coś dojrzeć w gołębniku na stryszku.

– Jestem, jestem – przebija się przez gruchanie gołębi. – Zaraz schodzę!

Dziewczyna siada na ławeczce przed domem i cierpliwie czeka, przyglądając się jaskółkom, które jedna przy drugiej przycupnęły na drucie rozciągniętym nad podwórzem i naradzają się przed odlotem. Po jakimś czasie pojawia się Gustav. Wolno i ostrożnie schodzi po drabinie. Tila dopiero teraz dostrzega, jak bardzo się postarzał przez minione miesiące. Wyprostowana sylwetka przygarbiła się i zmalała, a resztki włosów zupełnie posiwiały, tylko oczy jak zawsze błyszczą radością na widok Jankowej ulubienicy.

– To nie pojechałaś do ciotki?

– Nie, wujku. Naradziłyśmy się z mamą i postanowiłyśmy, że daruję sobie Grünberg, skoro i tak mam opuścić dom na dłużej. Wujku, mama przysłała mnie z obiadem. Jest jeszcze ciepły.

W kuchni Tila wyjmuje z koszyka garnek z zupą owinięty gazetami, żeby trzymał temperaturę, i chleb w białym płóciennym ręczniku.

– Niepotrzebne to wszystko – mówi zawstydzony Gustav. – Jakoś sobie radzę. Potrafię ugotować obiad. Naprawdę.

– Mama powiedziała, że nie będzie ci się chciało i zjesz byle co. A jesteś, wujku, chory, więc musisz dbać o siebie.

– Zaraz tam chory. Korzonki mi trochę dokuczają, ale jest już o wiele lepiej. Sama widziałas, jak śmigam po drabinie.

– Widziałam. A nie powinieneś leżeć w łóżku? – Tila rzuca wujowi karcące spojrzenie, ale on akurat pilnie patrzy w sufit. Jednak zapach z otwartego garnka z zupą i zatopionej w nim pokaźnej porcji wędzonki skłania go do spojrzenia nieco niżej. Dopiero wtedy zauważa bochenek chleba leżący obok jeszcze pustego talerza.

– Prawdziwy chleb!

– Mówisz tak jak ciocia Lisa. Przyjechała z Adamem w piątek i namówiła mamę na pieczenie chleba. Mama dostała zakwas od piekarza i wieczorem mieszały ciasto, a w sobotę piekły. I jak mama wyjmowała chleby z pieca, to ciocia składała ręce i wciąż powtarzała: „Prawdziwy chleb!”.

– Co u niej? – pyta Gustav, zając zupę.

– Ciocia Lisa jest taka jak zawsze – albo się chwali, albo narzeka, jak to źle z zaopatrzeniem w mieście. Mama znowu napakowała jej tyle wszystkiego, że gdyby nie Adam, trzeba by ją wozem zawieźć na stację.

– Werner pokazał się w domu? – Gustav wypytuje o wszystkich siostrzeńców Marty, bo zna ich doskonale dzięki opowieściom Janki.

– Nie, ale wiadomo, że jest teraz we Francji. Niedługo ma dostać urlop. Tymczasem przysłał paczkę z różnymi smakołykami, z jedwabnymi pończochami, i nawet perfumy ciocia dostała. Napisał w liście, że dzięki korzystnemu przeliczeniu reichsmarek na franki dla niemieckich żołnierzy wszystko jest tam tanie, kto więc tylko może, wysyła paczki do rodziny. Bywa, że półki

we francuskich sklepach są zupełnie puste. Wernerowi jest tam tak dobrze, że ciocia śmieje się z siebie, że niepotrzebnie się martwiła, jak wybuchła wojna. Wkrótce i Johann otrzyma powołanie do wojska, więc Adam jest zły, bo on ma dopiero piętnaście lat i narzeka, że nie zdąży powalczyć.

– Też było mi kiedyś tak spieszo i zobacz, z czym wróciłem. – Gustav pokazuje kikut. – Tacy chłopcy nie wiedzą, czym naprawdę jest wojna. Nigdy więcej nie chciałbym się znaleźć w okopie i kulić ze strachu, że trafi mnie pocisk albo granat upadnie obok.

– Werner nie narzeka – nieśmiało oponuje dziewczyna, myjąc w misce talerz po zupie.

– To zależy, jak się komu ułoży. Niektórzy mają szczęście, ale tych, wierz mi, dziecko, jest niewiele.

– Wujku, posiedzimy jeszcze na ławeczce i popatrzymy na gołębie? – prosi Tila. – Niedługo muszę wracać.

Chwilę później, oparci o ścianę, z wyciągniętymi przed siebie nogami, śledzą wzrokiem stado białych sokołów gdańskich, które Gustav przed momentem rozbujał.

– Nadal przemykasz się opłótkami?

Dziewczyna obraca głowę w stronę mężczyzny i widzi, że ten przygląda się jej zakurzonym stopom. Rumieni się gwałtownie i pyta:

– Skąd wiesz, wujku?

– Paul Kubik mi powiedział. Widzi cię często, jak prowadzisz rower przez tę łąkę piasku za jego stodołą. Po co tak robisz, dziecino?

– Nie cierpię, jak się na mnie gapią – wyrzuca z siebie Tila. – Tam przynajmniej nikogo nie spotykam.

– Nie uciekniesz przed ludźmi. Dojrzą cię wszędzie. A zresztą dlaczego miałabyś się chować? Wstydzisz się czegoś?

– Nie... nie wiem. To wszystko, co się zdarzyło... Nie chcę o tym rozmawiać – kończy dziewczyna i gwałtownie wstaje, ale Gustav chwyta ją za rękę i zdecydowanie sadza z powrotem.

– Trzeba rozmawiać. Popatrz na mnie, jedna żona mi umarła, drugą skazali na pięć lat, chociaż była niewinna, i żadnej wiadomości od niej nie mam przez tyle czasu. Tila, wiesz, co znaczy pięć lat? To cała wieczność. Sądzisz, że tylko ty jedna cierpisz? A co z twoją mamą? Pomyśl o niej!

– Ależ ja myślę! Tylko że mama wcale nie mówi o ojcu! Jakby go nigdy nie było!

Gustav obejmuje Matyldę jedynym ramieniem i przytula do piersi, a ona, szlochając i zawodząc głośno, moczy mu łzami koszulę. Dopiero po jakimś czasie, kiedy czuje, że dziewczyna zaczyna się uspokajać, mówi: – Nie można dusić w sobie bólu. I ty, i twoja mama powinnyście wyrzucić z siebie to wszystko,

co was zatruwa. Mama na pewno jest zła na tatę za te wszystkie plotki, które usłyszała po jego śmierci. Nie wiem, ile jest w nich prawdy. Ja nigdy nie zapomnę twojemu ojcu, co zrobił dla Janki. Ostatnie tygodnie życia poświęcił, żeby ją uratować, i wierzę, że tylko dzięki niemu ona nie została skazana na śmierć. Przecież ta jej nieszczęsna kuzynka czeka na wykonanie wyroku. Zostanie ścięta na gilotynie. – Gustav czuje, jak Tila przytulona do jego piersi mocno drgnęła. – Ojciec nie zdołał dostarczyć pieniędzy za uwolnienie Janki, ale jeździł, rozmawiał, dał komuś nadzieję na łapówkę i to pomogło. Zawsze będę mu za to wdzięczny.

Siedzą jeszcze przez jakiś czas w ciszy, wpatrzeni w stado białych ptaków kołujących na tle błękitu. Wreszcie Tila wstaje z ławeczki i idzie do studni, żeby przemyć w wiadrze zapłakaną twarz.

– Muszę jechać, wujku. Dziękuję ci.

Gustav uśmiecha się smutno i jeszcze raz obejmuje ją na pożegnanie.

– Którędy pojedziesz? – pyta dziewczynę wsiadającą na rower.

– Przez wieś!

Gogol wyszedł jeszcze za nią na drogę i dopiero kiedy zniknęła mu za zakrętem, ze smutno zwieszoną głową skierował się do domu.

– Gustav! – słyszy za plecami.

Ogląda się za siebie i widzi listonosza schodzącego z roweru.

– Mam coś dla ciebie.

Gogol nie może uwierzyć w to, że nareszcie ma w ręku wiadomość od Janki. Z Ravensbrück. Heinz widzi, jak jednoręki mężczyzna chwieje się ze wzruszenia. Na szczęście dłoń trzymająca kurczowo list znajduje sztachetę i to chroni go przed upadkiem.

– Może cię odprowadzę? – proponuje listonosz.

– Nie. Nie trzeba. Tylko odpocznę troszeczkę. – Dopiero kiedy szalejące serce uspokaja się trochę, Gustav rusza do domu. Siada za stołem w kuchni i drżącą ręką otwiera kopertę.

Kochany Gustavie, od dwóch tygodni jestem w obozie w Ravensbrück. Wcześniej byłam w więzieniu. Tutaj jest więcej świeżego powietrza. Czuję się dobrze. Nic mi nie dolega. Mam dużo pracy, ale to lepiej, bo dzięki temu czas szybciej płynie. Tutaj są same kobiety, przeważnie Polki i Żydówki. Ja mieszkam z Niemkami. Zaprzyjaźniłam się z jedną taką, co jest tu od początku. Ona mi doradza we wszystkim. Napisz mi, Kochany, jak się czujesz i czy dajesz sobie radę. Co słyhać u Marty i Waltera, i czy Tila Cię odwiedza? A może znalazłeś gdzieś mój medalik? Tu obok masz regulamin. Musisz się do niego stosować.

Niech Cię Bóg Wszechmogący i Najświętsza Panienska strzegą!

Twoja Janka.

Na tej samej kartce widnieje wydrukowany wyciąg z regulaminu obozowego

dotyczący korespondencji z więźniami:

Każdy więzień prewencyjny może każdego miesiąca wysłać i otrzymać jeden list lub kartę pocztową. Listy powinny być napisane atramentem, przejrzyste i czytelnie. Listy mogą być napisane na dwóch stronach, jednak nie można przekroczyć piętnastu linijek na każdej stronie. Wszystkie listy muszą mieć dokładnie podanego adresata, numer bloku i numer więźnia. Do każdego listu musi być załączony jeden znaczek pocztowy. Jeśli znaczków będzie więcej, zostaną skonfiskowane i przekazane więźniom, którzy nie mają środków na znaczki pocztowe. Koperty nie mogą być wyścielane bibułką. Dozwolone jest otrzymywanie paczek wszelkiej zawartości. Zezwala się na przesyłki pieniężne, lecz tylko jako przekazy pocztowe. Nie wolno przysyłać pieniędzy w listach. W obozie można wszystko kupić. Prośby do kierownictwa obozu o zwolnienie zwiezienia prewencyjnego są bezcelowe. Przesyłanie obrazków i fotografii jest zabronione.

56

W pochmurne wrześnie po południu cmentarną aleją idzie kobieta. Skręca w boczną uliczkę i stąpa między kamiennymi nagrobkami, aż wreszcie dociera do celu. Pochyliła się i z płyty niewielkiego grobowca odgarnia pierwsze opadłe liście, a potem nie wiadomo który już raz czyta napisy: ARNOLD NEUMANN 1860–1926, GEORG NEUMANN 1894–1936 i dopiero co wykuty pod nimi: WALTER NEUMANN 1897–1940. „Trzy wdowy Neumann, trzy wdowy Neumann...” – tłucze się jej po głowie bez sensu. Stoi zamyślona. Oczy barwy ciemnego bursztynu wpatrują się w płytę, ale mają nieobecny wyraz. Widać, że brązowe, prawie czarne włosy sięgające ledwie do ramion nie potrzebują fryzjera. Podczas porannej toalety wystarczy parę ruchów grzebienia i kilka wsuwek, żeby posłusznie ułożyły się za zgrabnymi uszami i nad karkiem. Tylko niesforne loczki nad czołem nie dają się uładzić, przez co tworzą osobliwą kędzierzawą grzywkę nad brwiami. Kobieta ma na sobie granatowy, dopasowany do szczupłej sylwetki kostium i białą bluzkę zapiętą pod szyję. Pod prawą pachą trzyma teczkę z nutami, a na zgiętej ręce wisi mała czarna torebka. Dzisiaj Ewa pełni rolę nauczycielki muzyki. Odwiedza trzy uczennice w różnych punktach Berlina, więc jak zwykle w czwartki więcej czasu poświęci na podróż kolejką miejską niż na lekcje. Od niedawna ma aż pięć uczennic. Tylko dwie są Żydówkami, pozostałe to córki dam, które skusiły wysokie kwalifikacje nauczycielki i śmiesznie niskie stawki za godzinę nauki. Nie pytały o pochodzenie rasowe, a ona nic nie tłumaczyła. Dzięki temu ma trochę pieniędzy na wynajęcie samodzielnego pokoju i skromne wyżywienie.

Ewa przychodzi na cmentarz właśnie w czwartki, bo ma w pobliżu zajęcia. Kiedy je kończy, na następną lekcję czeka dwie godziny. Spaceruje więc między grobami i rozmyśla. Śmierć Waltera wywołała powracającą od jakiegoś czasu falę

wspomnień. Wakacje w Chwalimiu, beztroski czas spędzony w otoczeniu rodziny Marty. Wieczory przegadane przy winie i kartach albo gry towarzyskie, podczas których nieraz pokładali się ze śmiechu, czy też niezręczna, ale ofiarna pomoc w pracach polowych. Dolina Schwentesee – raj w miniaturze: wieczorami tańce w świetle lampionów, a w dzień wtulona w ramiona Georga leży rozleniwiona w swobodnie dryfującej łodzi, słuchając głosów nawołujących się ptaków i spod półprzymkniętych powiek obserwuje ludzi spacerujących na brzegu. Zanim urodzili się chłopcy, Tila była jej oczkiem w głowie. Zabierała ją do wesołego miasteczka w Unruhstadt, kupowała słodycze, kręciły się na karuzeli, a w najbardziej upalne dni na pięknym miejskim kąpielisku godzinami wylegiwały się na piasku, ochlapwały wodą, jadły lody, i tak do wieczora.

Ewa idzie wolno ku bramie cmentarza. Nie zdaje sobie sprawy, że jej twarz rozjaśnia szczęście. Dopiero kiedy zmierzająca w przeciwnym kierunku starsza pani życzliwie ją pozdrawia i odwzajemnia uśmiech, zdaje sobie sprawę, czym wzbudziła sympatię nieznajomej. „Ciekawe, czy byłaby dla mnie taka miła, gdyby wiedziała, że należę do wyklętej rasy?” – przychodzi jej do głowy i radość znika z twarzy. Po piętnastu minutach wsiada do kolejki, która wiezie ją do śródmieścia. Później znowu przerwa i ostatnia dziś lekcja w Prenzlauer Berg. Stamtąd znowu kolejką do Charlottenburga, do Sabiny i synów.

Stara się otworzyć drzwi do kamienicy jak najciszej, żeby potem bezgłośnie przemknąć schodami na pierwsze piętro, a później wślizgnąć się do mieszkania. Wszystko przez dozorczynię. Jeśli tylko usłyszy najmniejszy hałas, natychmiast wychyla się zza swoich drzwi i świdruje oczami przybysza. Czasem przepytuje, a właściwie przesłuchuje: „Skąd? Do kogo? Po co? Jak się nazywa?”. Ewa wie, że musi być ostrożna. Co prawda oficjalnie zachodzi tu jako nauczycielka muzyki, ale robi to tak często i przesiaduje tak długo, że mogła już wzbudzić podejrzenia dozorczyńni. Zresztą nie tylko jej. Spotyka na schodach różnych ludzi, a przecież w dzisiejszym Berlinie nie wiadomo, kto i kiedy cię szpieguje, by potem bezinteresownie donieść na Gestapo. Chociaż może wcale nie tak bezinteresownie. Zameldowanie o czyichś niewłaściwych słowach pozwoli oddalić podejrzenia od siebie albo pozyskać przychylność władz. Tolerowanie defetystów jest słabością, za którą można trafić do obozu. Jeszcze bardziej powszechne jest tropienie Żydów, uprzykrzanie im życia albo informowanie o rzekomym popełnieniu przez nich przestępstw, by dzięki temu ubiegać się o nagrodę.

Już podnosi rękę, by zadzwonić do mieszkania teściowej, kiedy słyszy za plecami nieznany głos:

– Pani Ewo!

Kobieta przez moment nie jest w stanie się poruszyć. Strach paraliżuje ją zupełnie.

– Pani Ewo! To tylko ja, Erich Langner, sąsiad. Przepraszam, że tak

po imieniu. Nie znam pani nazwiska, a imię usłyszałem przypadkowo, kiedy pani Neumann je wymieniła, żegnając się z panią.

Ewa z pobladłą twarzą zwraca się w kierunku mówiącego. Mężczyzna stoi u dołu schodów. Musiał wślizgnąć się tak jak ona, bo nie słyszała, że ktoś za nią idzie. Ma wygląd wzbudzający zaufanie. Spojrzenie niebieskich oczu jest ciepłe i przyjazne.

– Widzę, że panią przestraszyłem. Jeszcze raz przepraszam. Czy mógłbym zamienić z panią kilka słów?

Ewa schodzi na dół. Miła powierzchowność człowieka nie świadczy o braku złych zamiarów, dlatego wciąż jest nieufna.

– Mieszkam tu od niedawna – wyjaśnia, chcąc zmniejszyć jej obawy. – Dwa miesiące temu wprowadziliśmy się z żoną do tego małego mieszkanca w oficynie. Wchodzimy do siebie od podwórza, ale ja bywam tu dość często, bo lokatorzy proszą mnie o drobne naprawy.

– O co chodzi? – Ewa chce pozbyć się natręta i jak najszybciej schronić w mieszkaniu.

– Zwracam się do pani, bo nie zauważyłem, by ktoś jeszcze odwiedzał panią Neumann. Podejrzewam, że nie ma żadnej rodziny. Widzę tylko tych dwóch chłopców, którymi tak dzielnie się opiekuje.

– O co chodzi, panie Langner? – powtarza młoda kobieta bez cienia sympatii.

– Będę z panią szczerzy. Pani Neumann prawdopodobnie jest chora. Próbowałem z nią o tym rozmawiać, ale nie traktuje mnie poważnie.

– Dlaczego ja miałabym postąpić inaczej?

– Bo chyba mogę powiedzieć pani to, co obawiałem się wyznać starszej pani... Jestem lekarzem, tyle że nie wykonuję już mojego zawodu.

– Popełnił pan jakiś błąd? Ktoś przez pana zmarł?

– Nie! Nie! Co też pani! Przyczyna jest zupełnie inna i, jak sądzę, akurat pani mogę ją wyjawiać. – Mężczyzna patrzy jej głęboko w oczy. – Nie pozwolono mi leczyć ludzi, bo moja żona jest Żydówką, a ja nie chciałem się z nią rozstać.

– Po co mi pan to mówi! – Ewa rozgląda się przerażona. – Nic mnie to nie obchodzi.

– Proszę się nie bać. Nie ma jej. Poszła do miasta. Sprawdziłem.

– Nikogo się nie boję! – Ewa prawie krzyczy. – Niech pan sobie idzie. Niczego nie chcę o panu wiedzieć.

– Niech pani się uspokoi. Chciałem tylko prosić, żeby porozmawiała pani z panią Neumann. Ona musi się oszczędzać i brać leki. Obserwuję ją od jakiegoś czasu i jestem prawie pewien, że ma poważnie chore serce – ostrzega Langner.

Słowa lekarza powodują, że Ewa natychmiast odzyskuje równowagę.

– Jestem taka zajęta... Nie zauważyłam, żeby gorzej się czuła – mówi

z poczuciem winy. – Zajmę się nią. Dziękuję panu i... przepraszam, że tak się zachowałam.

– Nie szkodzi. Takie mamy czasy, że boimy się jeden drugiego.

*

Kiedy młoda kobieta wchodzi nareszcie do mieszkania teściowej, okazuje się, że chłopców jeszcze nie ma w domu, a Sabina, po otwarciu drzwi synowej, wraca do kuchni. Tam, doglądając obiadu, coś pisze przy stole.

– Jak pachnie! Mam nadzieję, że też dostanę trochę! – woła z przedpokoju Ewa. – Przyniosłam coś na wymianę – mówi, wyjmując z torebki nieco zgniecioną drożdżową chałkę. Dopiero kiedy podnosi głowę, dostrzega na twarzy teściowej ślady łez.

– Mamo, znowu płaczesz? Jesteś dla mnie jedyną ostoją. – Ewa obejmuje starą kobietę. – Co pocznę, jeśli ty się załamiesz?

– Obiecałam sobie już nie płakać, ale pisałam list do Marty i strasznie mnie to poruszyło – tłumaczy się Sabina, wycierając oczy pomietą chusteczką.

– Ale... – Ewa waha się przez moment. – Chyba nie napisałaś tego wszystkiego, co mi mówisz o Marcie.

– Napisałam jej wszystko, co myślę. – Twarz kobiety nabiera nieustępliwego wyrazu.

– Mamo, proszę cię, nie wysyłaj tego listu. – Ewa przykuca u stóp siedzącej staruszki. – Przemawia przez ciebie rozpacz. Zobaczysz, za jakiś czas już nie będziesz dla niej taka surowa.

– Nigdy jej nie wybaczę tego, że przez nią zginął mój syn.

– Ależ nie przez nią, tylko przez jakiegoś pijanego i zazdrosnego młodzieńca.

– Gdyby Marta była inna, Walter nie szukałby szczęścia poza domem. Pamiętasz, jak przyjechał na Wielkanoc? – pyta Sabina konspiracyjnym szeptem. – Jaki był ponury? To na pewno przez nią. Ciągłe się kłócili. Wciąż miała do niego pretensje. Nie był szczęśliwy w tym małżeństwie.

– Mamo, zapominasz, że miałaś też dobre zdanie o Marcie. Chwaliłaś jej pracowitość i pobożność. Byłaś wdzięczna za żywność, którą nam przysyłała. Pamiętasz, jak Walter i Tila przyjechali w największe mrozy, bo napisałaś do Marty, że chłopcy są głodni? Proszę, zrób to dla mnie, nie wysyłaj tego listu. Marta też na pewno bardzo cierpi.

W kuchni zapada pełna napięcia cisza. Sabina waży słowa synowej, wreszcie ciężko wzdycha i drze gęsto zapisaną kartkę papieru.

– Tylko dlatego, że mnie prosisz, ale i tak jej nie wybaczę.

– Mamo, jak ty się czujesz? – synowa z niepokojem obserwuje starszą panią. Dopiero teraz dostrzega, że wygląda na bardzo zmęczoną, ma bladą cerę i oddycha głęboko, jakby brakowało jej powietrza.

– A jak może czuć się kobieta, która straciła swoich synów?

– Mamo – Ewa kładzie swą dłoń na wychudzonej, obciążonej prawie przezroczystą skórą dłoni starej kobiety – nawet nie umiem sobie wyobrazić, jak cierpisz, ale nie o to pytam. Chodzi mi o twoje zdrowie. Źle wyglądasz. Musisz iść do lekarza.

Nagle w przedpokoju otwierają się drzwi i słyszą głosy chłopców.

– Wrócimy do tej rozmowy – zwraca się do teściowej, a potem wychodzi naprzeciw swoim synom i otwiera ramiona z radosnym uśmiechem. Natychmiast wpada w nie Christian, a potem wolno zbliża się Arnold i z ociąganiem całuje matkę w nastawiony policzek.

– Nie powinniście być w domu wcześniej?

– Zostaliśmy dłużej w szkole, bo przyszedł jakiś pan w mundurze i wszyscy musieli pójść do sali gimnastycznej – wyjaśnia Christian.

– A po cóż to?

– Mieliśmy szkolenie. Ten pan tłumaczył nam, jak należy się zachowywać podczas nalotu. – Arnold rzeczowo uzupełnia wypowiedź młodszego brata.

– Mam nadzieję, że słuchaliście uważnie. Taka wiedza może uratować życie.

– Wszystko wiemy, mamo – przechwala się Christian. – Kiedy tylko usłyszymy syreny alarmowe, musimy odłączyć prąd, gaz i wodę w mieszkaniu, a zanim zejdziemy do schronu, otworzyć wszystkie okna i drzwi.

– Coś jeszcze, Arnoldzie? – Ewa zwraca się do starszego syna.

– Trzeba mieć zawsze pod ręką torbę albo małą walizkę, a w niej najpotrzebniejsze rzeczy: odzież, dokumenty, maskę gazową. Schodząc do schronu, obowiązkowo musimy to wszystko zabrać – posłusznie recytuje starszy chłopiec.

– Brawo! Jesteście wspaniale przygotowani – chwali synów zachwyconym nauczycielskim tonem.

– Dużo im z tego przyjdzie, jak bomba spadnie na dom! – woła Sabina z kuchni. – Lepiej chodźcie jeść, bo zupa stygnie.

Po obiedzie Ewa ćwiczy z chłopcami grę na pianinie, potem mają chwilę odpoczynku i idą odrabiać lekcje. Młoda kobieta zagląda do pokoju teściowej. Sabina leży na sofie, chyba śpi. Oczy ma podkrążone, a na twarzy i stopach widać wyraźne obrzęki. Kiedy próbuje wycofać się po cichu, staruszka podnosi powieki.

– Nie śpię. Położyłam się trochę, bo chciałam odpocząć.

– Tak mi przykro, mamo, że musisz opiekować się moimi dziećmi. Na pewno cię to męczy. Obiecuj mi, że jutro pójdziesz do lekarza.

– Nic mi nie jest. To przez te naloty. Od sierpnia, kiedy się zaczęły, prawie nie śpimy. Niemal każdej nocy wyją syreny, budzimy się, schodzimy do piwnicy i siedzimy tam przez kilka godzin. Kto czułby się wypoczęty w tych warunkach?

– Wiem, jak to jest. – Ewa ze smutkiem pochyla głowę. – Kiedy nadlatują,

z całego serca nienawidzę Anglików za to, że robią nam, zwykłym ludziom, taką krzywdę. Mam już swój kąt w naszej piwnicy. Owijam się kocem i siedzę tam, myśląc o moich chłopcach. Najbardziej boję się tego, że ja przeżyję, a oni zginą.

Sabina wpatruje się w bladą twarz synowej. Nie pociesza i nie zaprzecza, bierze ją tylko za rękę i mocno ściska. Do pokoju wdziera się szum przejeżdżających samochodów, dźwięki klaksonów i rozmowy ludzi przechodzących pod otwartym oknem. Wszystko to daje złudzenie, że życie toczy się utartymi torami. Jest tak normalnie... ale tylko do północy. Wtedy znów złowieszco zawyją syreny, a zmęczeni i przerażeni ludzie zbiegną do prowizorycznych schronów, gdzie trzęsąc się z zimna i ze strachu, będą czekać – na śmierć albo na odwołanie alarmu.

57

Na jednym z pól Neumannów położonych blisko zabudowań gospodarczych trwają wykopki ziemniaków. Peter Radach łagodnie popędza idącą przy dyszlu Lotte, a ta mozolnie ciągnie kopaczkę. Metalowe koła wrzynają się w miękki grunt, a ułożone na kształt gwiazdy łapy z żelaznych prętów wirują w zawrotnym tempie, wyrzucając na bok ziemię, jasne bulwy kartofli, na pół zeschnięte łęty, kamienie i chwasty. Co kilkadziesiąt metrów Peter zatrzymuje kopaczkę, za pomocą długiej dźwigni unosi i czyści gwiazdę, gdyż owinięte wokół niej badyle i korzenie uniemożliwiają dalszą pracę.

Za każdym razem, kiedy klacz przystaje, Marta kuli się ze wstydu. Jeszcze nigdy pole ziemniaków nie było tak zarośnięte jak tego roku. Przez całe lato ciężko pracowały z Tilą, jednak nie udało się wszystkiego dopilnować. Ustawione w szeregu kobiety pochylają się nad rozkopanymi przed chwilą rajkami, szybkimi ruchami rąk usiłują zebrać jak najwięcej kartofli i wrzucić je do wiader lub wiklinowych koszy. Potem dźwigają ciężki ładunek do wozu z wysokimi burtami ustawionego na skraju pola, wysypują zawartość i wracają do pracy. Im wyżej słońce wędruje na niebie, tym trudniej przygiętym do ziemi postaciom rozprostować kręgosłup. Z czasem ból w krzyżu staje się tak dokuczliwy, że Marta zarządza przerwę.

Siadają na miedzy, a gospodyni częstuje pracowników kanapkami i nalewa zbożową kawę z kanki do metalowych kubków. Peter jest wyjątkiem. Poza nim na polu są same niewiasty. Ewalda tym razem nie ma, bo zachorował i został w domu pod opieką babci, a o inną męską pomoc we wsi coraz trudniej. Niby wojna przycichła, ale armia wciąż powołuje kolejnych mężczyzn. Ci, co zostali, mają dość pracy w swoich gospodarstwach, więc nawet przy typowo męskich zajęciach często można zobaczyć kobiety. Anna Radach i kuzynka Hedwiga przyszły na odrobek. Są też Anna i Katharine, córki Hedwigi, Helena Kliem

i Emma, żona kuzyna Marty, Hermana. Nieco z boku usiadła chuda, niewysoka dziewczyna o włosach barwy dojrzałej pszenicy zebranych w krótki, niezbyt gruby warkocz. Cerę ma ładną, rumianą, ale mocno wygięte w górę brwi nad piwnymi oczami i cienki, trochę zbyt długi nos nadają jej twarzy ptasi wygląd. Jest smutna, a może nawet wystraszona. W czasie pracy Marta raz po raz rzucała w jej kierunku krótkie polecenia wypowiedziane categorycznym tonem. Inne kobiety były zdziwione, bo nie znały pani Neumann od tej strony. Jest co prawda powściągliwa w okazywaniu ciepłych uczuć, ale i gniew potrafi tłumić. Zbieranie nie szło dziewczynie najlepiej, a ciężki kosz niemal sam prowadził ją po polu, jednak chęci nie można było jej odmówić. Obok nowej pracownicy przysiada Tila. Posiła się tak jak wszyscy. Kiedy wstaje, by dolać sobie kawy, zauważa, że jej sąsiadka ma pusty kubek.

– Chcesz jeszcze? – pyta.

Dziewczyna podnosi na nią oczy, patrzy z uwagą, jakby chciała zrozumieć, co do niej mówią, ale nie odpowiada.

– Mów do niej po polsku – odzywa się matka.

– Przecież nie znam polskiego.

– Och, to mów po wendyjsku. Wszystko jedno – ucina rozmowę zniecierpliwiona Marta. Jednak tamta chyba domyśla się, o co chodzi, bo podaje Tili swoje naczynie, skinąwszy potakująco głową. Kobiety od rana zerkały na nią z zaciekawieniem. Chciałyby dowiedzieć się czegoś o nowej pracownicy pani Neumann, ale krępowały się dotąd, bo nie wiedziały, jak zapytać Martę, żeby tamta nie usłyszała. Teraz znajdują okazję.

– Nie mówi po niemiecku? – pyta Emma, na wszelki wypadek ścisząc głos.

– To może chociaż rozumie?

– Nie mówi i nie rozumie. Nie wiem, skąd ją Greta wzięła. Obiecała mi zastępstwo za Tilę, ale gdzie tej... – ruchem głowy wskazała na dziewczynę – do mojej Tili.

– Od kiedy jest u ciebie? – Mimo że Helena Kliem już wie, że osoba będąca przedmiotem rozmowy nie rozumie po niemiecku, zadając to pytanie, czuje się skrępowana.

– Od wczoraj wieczora. Próbowałam z nią rozmawiać po wendyjsku, ale sama umiem niedużo. Tila by sobie lepiej poradziła, bo babka ją trochę nauczyła, trochę Janka, ale pojutrze wyjeżdża. Nie wiem, co będzie dalej – wzdycha Marta. – Przypuszczam, że ona niewiele potrafi. W dodatku widzicie, jaka jest słaba.

– Jak się nazywa?

– Franziska Wozniak.

Dziewczyna, słysząc swoje imię i nazwisko wypowiedziane tak nieporadnie, bez zastanowienia wtrąca się do rozmowy, jakby chciała poprawić swą gospodynię:

– Franciszka Woźniak – mówi głośno. – Mam na imię Frania – dodaje

po polsku.

– Franja? – Anna Ulrich uśmiecha się przyjaźnie do nowej znajomej.
– Frania – poprawia tamta.
– Nie musisz się uczyć, Anno, ona nie zostanie tu na długo. – Marta szybko ucina próbę porozumienia między dziewczętami.

– Ile ma lat? – docieka Emma.
– Ledwie spojrzałam w jej papiery. Chyba siedemnaście, ale na tyle nie wygląda. Tila jest wyższa i silniejsza, a rok młodsza.

– Już żeście się naplotkowały? – Peter podnosi się z trudem, bo zawadza mu okrągły niczym piłka brzuch. Odkłada kubek do koszyka, dając w ten sposób do zrozumienia, że najwyższy czas kończyć posiłek. – Jeszcze pół pola do wykopania, a dzień krótki. Dalej, do roboty! – pogania ociągające się kobiety.

Po południu, kiedy wszystkie leżące na widoku ziemniaki zostały zebrane, Radach zaprzął Lotte do brony i praca zaczęła się od nowa. Narzędzie ściągnęło chwasty i łąty w kilka poprzecznych wałów, a przy okazji odsłoniło wcześniej ukryte bulwy. Teraz poszło już szybko, dlatego wykopki na tym polu się skończyły, zanim zaszło słońce. Klacz pociągnęła wóz pełen ziemniaków w kierunku gospodarstwa. Tam, obok płytkiego dołu, w którym większość zbioru zostanie zakopcowana na zimę, czekała wcześniej przywieziona sarta. Na noc przykryje się ją słomą, żeby kartoflom nie zaszкодził przymrozek, a w dzień światło, które sprawiłoby, że bulwy zrobią się zielone.

– Możemy rozpalić ognisko i upiec kartofle?

Oczy Matyldy, Anny i Katharine wpatrują się błagalnie w Martę i Hedwigę.

– Dobrze, zostańcie – Marta zgadza się z ociąganiem. Córka przydałaby się do przygotowania szybkiej kolacji dla pracowników, ale wie, że to ostatnie chwile Tili przed wyjazdem, więc nie ma sumienia zabronić jej tej przyjemności.

Matki nawet nie zdążyły dojść na brzeg pola, a dziewczęta już naściągały suchych łątów. Katharine wyciągnęła z kieszeni pudełko zapalek i podłożyła ogień pod garść suchej trawy. Wkrótce płomienie objęły cały stos łątów, a kłęby szarego wonnego dymu buchnęły w niebo. Lekki wietrzyk porwał je od razu i rozsunął najpierw dołem, a potem uniósł wyżej i połączył z dymami z podobnych ognisk na innych polach.

Jakże wspaniały widok miał ten, kto akurat o tej porze wracał górą do domu i mógł choć na chwilę przystanąć w najwyższym punkcie wzniesienia. Wszędzie tam, gdzie jeszcze przed godziną kończyły się wykopki, dymiły teraz ogniska. Ich niepowtarzalny zapach przyjemnie drażnił nozdrza i zapraszał do jesiennej uczy. Nad łąkami już podnosił się biały opar, który wolno zbliżał się do pól i łączył z dymem, tworząc wilgotny wonny obłok. W oddali ciągnęły się zielone, lekko zamglone bory, ale teraz ich barwa stanowiła jedynie tło dla bogactwa kolorów złocistych albo czerwonych liści winorośli i nieprawdopodobnej gamy odcieni

zółci, brązów i purpury liściastych lasów pełnych klonów, dębów, buków, jesionów i brzoź. Blisko, niemal na wyciągnięcie ręki, czerwieniły się dachy chwalimskich domów, a ubrane w jesienne barwy korony rosnących przy nich drzew ukrywały prawdę o pracowitym i pełnym trosk życiu ich mieszkańców.

Katharine, Anna i Tila najchętniej od razu wrzuciłyby do ognia przygotowane z boku ziemniaki, ale są zbyt doświadczone, by popełnić taki błąd. Czekają więc wytrwale, siedząc na odwróconych do góry dnem metalowych wiadrach, i co rusz podkładają do ognia, rozmawiając przy tym o swoich dziewczynskich sprawach. Dopiero kiedy po ogniu został żarzący się stos, zakopują w nim kartofle i znowu ćwiczą cierpliwość, mimo że brzuchy dawno zapomniały o popołudniowym posiłku i teraz burczy w nich niemiłosiernie. Wreszcie doczekały się. Rozgrzebują żar długimi patykami i odsłaniają poczerńiałe bulwy. Potem toczą je ku sobie, ostrożnie chwytają parzące kule i przerzucając z ręki do ręki, dmuchają zawzięcie, by choć trochę je ostudzić. Wreszcie zaczynają delektować się gorącymi, brudnymi od popiołu, ze zwęgloną skórką, kruchymi, aromatycznymi, najlepszymi pod słońcem ziemniakami z ogniska. Po chwili już nie tylko dłonie są brudne i lekko poparzone. Można by pomyśleć, że nad kupką żaru przysiadły trzy młode wiedźmy o umorusanych twarzach, poczerńiałych zębach i językach. Takie właśnie zastał je Emil, kiedy wyłonił się z mroku.

– Gdybym nie wiedział, że to wy, mógłbym się przestraszyć.

– Dlaczego? – nie rozumie Anna.

– Kiedy szedłem do was, widziałem tylko postacie wykonujące dziwne ruchy i wasze oświetlone żarem twarze, że nie wspomnę o tym, jak wyglądacie z bliska. Przypominacie czarownice wypowiadające zaklęcia nad gasnącym ogniskiem.

– Też coś. – Katharine wzrusza lekceważąco ramionami. – Weź sobie kartofel. Jeszcze kilka jest w popiele. No, chyba że nie chcesz być podobny do nas?

– No co ty! Ja miałbym odmówić takiego rarytasu?

Po chwili i Emil zajada z apetytem gorące ziemniaki, a jego twarz i ręce stają się identyczne jak jego towarzyszek.

– Mmm – mruczy z lubością, delektując się kawałkiem parzącego język przysmaku. – Macie sól? – bełkoce.

– Co? Mów wyraźniej – irytuje się Katharine.

Chłopak szybko przetyka i pyta ponownie: – Macie sól?

– A maselka byś nie chciał? Widzicie go! Soli się wielmożnemu panu zachciało! – kpi Katharine. – Trzeba było sobie przynieść. Nam smakuje i bez soli. Lepiej powiedz, dlaczego przyszedłeś tak późno. Nie mogłeś wcześniej? Pomógłbyś ciotce.

– Majster mnie nie puścił – usprawiedliwia się Emil. – W sobotę mam mieć wolne, to mogę przyjść do pomocy. Przydam się? – zwraca się do Tili.

– Na pewno. Mamie wciąż brakuje ludzi do pracy. Ale mnie już tu nie będzie

– odpowiada milcząca dotąd Matylda.

– Jak to? Już wyjeżdżasz? – chłopak nie ukrywa zawodu.

– Tak. Pojutrze, z samego rana. Pani Kisch odwiezie mnie do Posen, a potem dołączę do jakiejś grupy.

– Ale i tak możesz przyjść do cioci w sobotę – podkreśla Anna.

– Pewnie, że będę. Nie musisz mi tego mówić – obrusza się Emil.

– Anno! – Katharine wstaje i pokazuje siostrze, że ma zrobić to samo. – Idziemy do domu. Już późno.

– Nie, wcale nie! Zostańmy jeszcze trochę – błaga młodsza Ulrichówna. – Mam jeszcze dwa kartofle w popiele.

– Dość się najadłaś. Chodź! – dodaje kategorycznym tonem i w stronę spoglądającej na nią siostry robi grymas, wskazując oczami to Emila, to Tilę. Wreszcie Anna domyśla się, o co chodzi, i również się podnosi.

– Powiedźcie cioci, że my tu jeszcze troszkę posiedzimy – prosi chłopak.

Dziewczyny oddalają się w kierunku domu Neumannów, szepcząc i chichocząc po cichu, a Matylda zostaje sama z kuzynem.

– Będziesz jeszcze jadła kartofle?

– Nie, mam już dość. Ty zjedz.

Emil ochoczo kończy cały zapas upieczonych bulw, a przy okazji wrzuca do żaru nową porcję suchych łętów. Płomienie na powrót ogarniają kupę badyli, oświetlając żółtawym blaskiem umorusane oblicza. W tym samym momencie podnoszą głowy. Ich spojrzenia łączą się na chwilę, z początku jakby spłoszone czy może zakłopotane, ale ujrzawszy ślady sadzy i piasku na całej twarzy, z ulgą wybuchają śmiechem tak mocnym, że po chwili łzy spływające z oczu zaczynają żłobić jasne ścieżki na policzkach. Beztraska radość szybko mija, ale dobry nastrój zostaje. Tila czuje, że to coś, co legło cieniem na ich przyjaźni, odeszło w niepamięć. Emil znowu jest taki jak rok temu, przed pogrzebem babki Trudy.

– Szkoda, że wyjeżdżasz – wzdycha chłopak. – Naprawdę musisz?

– Sama nie wiem. Pani Kisch i mädelsführerin Stein nastraszyły mamę, że jak mnie nie puści, to zapłaci karę za to, że nie chodziłam na zbiórki. Ale mnie się wydaje, że one nie mogłyby tego zrobić. Przecież ja naprawdę byłam potrzebna w domu.

– To zrezygnuj. – Emil próbuje podsunąć rozwiązanie.

– Nie chcę. Pani Kisch mogłaby się jakoś na mamie zemścić. To tylko kilka tygodni. Wrócę przed Bożym Narodzeniem. Mama wytrzyma beze mnie. Zresztą od wczoraj ma dziewczynę do pomocy.

– Kto to?

– Nie wiem. Jakaś Polka. Ma na imię Franja. – Tila wymawia to słowo tak samo twardo jak matka. – A ty? Nie chciałeś kiedyś wyjechać do Berlina? Mówiłeś, że to zrobisz, jak skończysz szkołę.

– Zgadza się, ale wszystko się pozmieniało. Za rok mogę dostać powołanie do wojska.

– Nie... coś ty. Przecież wojna się skończy do tej pory.

– Mam nadzieję, że nie. – Chłopak podnosi głos. – Też chciałbym się na coś przydać. Zrobić coś ważnego. Pokonać naszych wrogów. – Oczy Emila zdają się płonąć, a na przybrudzone policzki występuje rumieniec. – Nie, to niemożliwe, żeby ominęła mnie walka.

Matylda patrzy na kuzyna z podziwem. Dopiero teraz zauważa, że przyjaciel z dzieciństwa nie jest już tym samym chłopcem, który dla psoty wkładał jej za kołnierz chrabąszcze albo prowadził za rękę do sadu, żeby pokazać jeża, któremu wynosił kozie mleko w spodeczku. Potem, wstrzymując oddechy, ukryci za krzakiem porzeczek obserwowali, jak zwierzątko zbliża się ostrożnie, przez krótką chwilę pije, a później niknie w zaroślach.

– To zobaczymy się dopiero na Boże Narodzenie? – Emil wraca do poprzedniego tematu rozmowy. – Prawie trzy miesiące! Mama będzie tęsknić za tobą – mówi ze smutkiem, jakby to jego najbardziej miała dotknąć ta tęsknota. – A ty? Jak dasz sobie radę między obcymi ludźmi?

– Przecież to nic takiego! – unosi się honorem Tila. – Wy, mężczyźni, idziecie na front. Ja tak nie mogę, choćbym nawet chciała, więc będę służyć ojczyźnie w inny sposób! – dodaje z naciskiem.

– Tila! Tila! – od strony gospodarstwa dobiega głos matki. – Chodź do domu!

– Idę, mam! – krzyczy dziewczyna w ciemność.

Podniósłszy się, bierze wiadra, na których dotąd siedzieli, a Emil zasypuje piaskiem resztki żaru.

– To... Do zobaczenia. – Tila słyszy w głosie przyjaciela nieukrywany żal.

– Do zobaczenia na Boże Narodzenie... – mówi z wahaniem dziewczyna. Emilowi wydaje się, że chce mu jeszcze coś powiedzieć, stoi więc w bezpiecznej ciemności i czeka z nadzieją w sercu.

Wreszcie Matylda z wahaniem, prawie szeptem, wydusza z siebie:

– Emil...

– Tak? – Chłopak robi krok w jej stronę.

– Proszę... Gdybyś jutro gdzieś spotkał Karla... Powiedz mu, że wyjeżdżam. Może nie wie...

Jak litościwa jest teraz ciemność! Emil chowa twarz w mroku i cofa się, by nie być tak niezdolnie blisko przyjaciółki.

– Dobrze. Postaram się – odpowiada schrypniętym głosem, a potem odwraca się i już bez słowa odchodzi, znikając w gęstej czerni nocy.

Wysiadły z pociągu odrętwiałe po ponaddwugodzinnej jeździe i zziębnięte, bo tak nieprzyjaznej pogody w końcu września trudno było się spodziewać. Tila stojąca na peronie czuje, że cała drży. Na próżno próbuje zapanować nad szczękającymi zębami i drgającymi kolanami. Pani Kisch usiłuje postawić kołnierz żakietu, żeby szczelniej otulić nieosłoniętą szyję, jednak widać, że jej wysiłki nie przynoszą oczekiwanego rezultatu. Stroje, jakie przywdziały na podróż, okazały się zupełnie nieodpowiednie, bo dziewczyna ma na sobie tylko obowiązkowe umundurowanie BDM, a pani Kisch brązowo-beżowy tweedowy kostium. Żadnej nie przyszło do głowy, żeby włożyć gruby sweter albo płaszcz – ubiory bardziej stosowne na taką aurę. Mimo że na razie chroni je zadaszenie peronu, deszcz niesiony porywami chłodnego wiatru siecze łydki zimnymi kroplami. Inni podróżni już zdążyli zniknąć w czeluści tunelu, a one wciąż stoją w tym samym miejscu. Opiekunka Matyldy rozgląda się bezradnie, bo nigdzie nie dostrzega przyjaciółki, która miała wyjść im na spotkanie. Wyraz twarzy wskazuje, że podjęła jakąś decyzję. Zwraca się w kierunku dziewczyny i dopiero teraz zauważa, jak bardzo chłód doskwiera jej podopiecznej.

– Masz tam jakieś cieplejsze ubrania? – wskazuje walizkę.

– Mam, ale kazała pani, żebym miała na sobie strój organizacji – odpowiada Tila, szczękając zębami.

– Musisz się przebrać. Nie będzie z ciebie żadnego pożytku, jak się rozchorujesz. Idziemy na dworzec. Ty pójdziesz do toalety, włożysz jakiś sweter i ciepłe pończochy, a ja tymczasem zatelefonuję do koleżanki. Powinna była na nas czekać. Nie rozumiem, dlaczego dotąd jej nie ma. – Powiedziawszy to, rusza energicznie w kierunku schodów, a Matylda z ciężką walizką idzie za nią.

W hali dworca uderza Tilę zapach przemokniętych ubrań przemieszany z duszącą wonią papierosowego dymu. Greta Kisch zostawia ją w pobliżu damskiej toalety, a sama kieruje się w stronę aparatu telefonicznego. Niestety, musi czekać, bo stoi przy nim kilkusobowa kolejka. Właśnie mówi do słuchawki, kiedy odnajduje ją już przebrana Matylda. Wygląd dziewczyny nie zmienił się aż tak bardzo. Pod krótką brązową kurteczkę z kieszeniami włożyła czarny sweter, a kołnierz białej koszuli wyjęła na wierzch. Zamiast białych podkolanówek ma na nogach czarne pończochy.

– No, teraz lepiej. Ciepłej ci trochę? – pyta opiekunka i nie czekając na odpowiedź, zdaje relację z rozmowy telefonicznej: – Są pewne komplikacje. Helga, moja przyjaciółka, rozchorowała się i musiała zostać w domu. Ktoś inny powinien odebrać cię z dworca, ale może być dopiero za godzinę. Poczekam tu z tobą, bo pociąg powrotny mam o drugiej po południu. Spróbujmy znaleźć jakieś wolne miejsce i napijmy się czegoś ciepłego.

Kiedy wreszcie siadają nad parującymi kubkami wypełnionymi słodką zbożową kawą, Tila ośmiela się zadać pytanie, które dręczy ją od dawna. – Pani

Kisch... Może mi pani powiedzieć, dokąd właściwie jadę i co będę tam robić?

– Mama ci nie mówiła?

– Powiedziała tylko, że jest potrzebny ktoś, kto zna się na gospodarstwie, żeby przygotować zagrody na przyjazd osadników ze Wschodu.

– No właśnie! To wszystko, co na razie powinnaś wiedzieć.

– Tylko że – nie daje za wygraną Tila – słyszałam, że tym zajmują się dziewczęta z Reichsarbeitsdienst. A ja jestem jeszcze za młoda, żeby być w tej organizacji. Mam dopiero szesnaście lat. Poza tym w RAD na pewno jest wiele dziewcząt ze wsi. Dlatego nie rozumiem, dlaczego ja...

– Są sprawy, których nie musisz rozumieć! – Greta jest wyraźnie zmieszana i zagniewana. – Nie nauczono cię, że masz wykonywać rozkazy, a nie zadawać pytania? Dowiesz się wszystkiego w odpowiednim czasie. Powinnaś być mi wdzięczna, że dałam ci szansę, a nie stwarzać problemy! Pamiętaj – pochyla się w stronę Tili tak, że szopa siwych włosów dotyka czoła dziewczyny, i mówi z naciskiem: – Nie zrób mi wstydu. Wypełniaj wszystkie polecenia bez dyskusji, to nie pożałujesz. Matce też pomogę, nie musisz się o nią martwić.

– Heil Hitler!

Aż podskakują na krzesłach, tak niespodziewany jest okrzyk nad ich głowami. Przy stoliku stoi wyprostowana młoda kobieta w burobrązowym mundurze ściągniętym w talii paskiem.

– Pani Greta Kisch? – Widząc potwierdzające kiwnięcie, kontynuuje: – Lagerführerin Kramer przysłała mnie, abym przejęła opiekę nad ochotniczką.

– Nareszcie! Już myślałam, że nikt się nie zjawi. – Starsza kobieta wstaje i wygładza ręką zagniecenia na spódnicy kostiumu. – Tila, pamiętaj, co ci mówiłam – patrzy znacząco na trochę wystraszoną nastolatkę, potem zwraca się do umundurowanej dziewczyny: – To co? Ja już jestem wolna? Przed odjazdem pociągu chciałam przejść się po sklepach. Może uda mi się kupić jakieś eleganckie buty. Najmłodszy syn się żeni – wyznaje z przeproszającym uśmiechem.

– O! – ożywia się poznanianka. – Najlepiej wykorzystać znajomości z kimś, kto ma krewnego służącego we Francji. Można dostać bardzo szykowne pantofle. W sklepach trudno o coś naprawdę ładnego. W dodatku trzeba oddać kartki.

Widząc, że Tila już stoi z walizką w rękę, pyta jeszcze: – Czy mam coś przekazać lagerführerin?

– Nie. Wszystko omówiliśmy wcześniej – niecierpliwi się Greta.

– Heil Hitler! – Młoda kobieta wyciąga rękę. Tila powtarza za nią ten gest, a pani Kisch niedbale, w pośpiechu im odpowiada i odchodzi w kierunku drzwi prowadzących do miasta.

Deszcz przestał padać, ale ciężkie ciemne chmury nadal nisko wiszą nad Posen. Idą w milczeniu, omijając kałuże. Matylda rozgląda się, ciekawa miasta, o którym matka czasem opowiadała. Marta była tu z rodzicami ze dwa, może trzy

razy, zanim wybuchła tamta wojna. Miała jakieś problemy z płucami, dlatego zawieziono ją do znanego lekarza, który na szczęście wykluczył gruźlicę i zapowiedział, że dolegliwości wkrótce miną. Tak też się stało. We wspomnieniach matki Posen to piękne miasto, pełne życzliwych, uśmiechniętych ludzi, z fascynującym Zamkiem Cesarskim i kolorowym ratuszem z koziołkami na wieży. Tila, stąpająca ostrożnie, by nie zamoczyć butów w brudnych kałużach i dźwigająca ciężką walizkę, czuje się oszukana. Na próżno rozgląda się, by zobaczyć cuda z matczynych opowieści. Jest brudno i zimno. Raz po raz mija mężczyźni w szarych albo brunatnych mundurach. Niektórzy z nich omiatają ciekawym wzrokiem dwie ładne wysokie dziewczyny. Inni przechodnie, zarówno kobiety, jak i mężczyźni, wyraźnie starają się na nie nie patrzeć, a jeśli nawet, to trudno byłoby nazwać te spojrzenia przyjaznymi. Za niecałe pół godziny są już na miejscu.

– To tu – odzywa się wreszcie opiekunka Tili.

Stoją przed brudnoszarą kamienicą, jedną z nielicznych w tej części Tiergartenstraße. Za ciężkimi drewnianymi wrotami znajduje się przejście na podwórze, a w ścianie z lewej strony widać początek krętych schodów wiodących do góry. Dziewczyna w mundurze idzie pierwsza, nie zwracając uwagi na taszczącą walizę towarzyszkę. Zatrzymują się na drugim piętrze, przed drzwiami do jakiegoś mieszkania. Dzwonek przywołuje usłużnie uśmiechniętą siwowłosą kobietę.

– My z polecenia lagerführerin Kramer – mówi bez słowa przywitania przewodniczka Tili. – Proszę nas zaprowadzić do jej pokoju.

Starsza pani, nie przestając się uśmiechać, cofa się w głąb mieszkania, by je wpuścić, a potem prowadzi korytarzem do kolejnych drzwi.

– Ja swoje zadanie wykonałam – zwraca się do Matyldy dziewczyna w mundurze. – Masz tu zaczekać na lagerführerin. Jak będziesz czegoś potrzebować, powiedz jej – wskazuje głową na kobietę stojącą na korytarzu.

Uczucie samotności i zagubienia spada na Tilę wraz z zamknięciem drzwi do pokoju. Podchodzi do okna i odsuwa firankę. Znowu zaczęło padać. Na przystanku po drugiej stronie ulicy czeka grupa ludzi. Wkrótce z głośnym zgrzytem zatrzymuje się tramwaj, słysząc dzwonek i rusza dalej. Chodnik jest zupełnie pusty. Gdyby nie pochylające się pod wpływem wiatru topole rosnące na tyłach przystanku, można by pomyśleć, że to nie żywe miasto, a martwa fotografia. W polu widzenia Tili pojawiają się dwie postacie. Najpierw skulony z zimna człowiek w kapeluszu idący tuż przy krawężniku, a potem energicznie kroczący mężczyzna w mundurze Wehrmachtu. W momencie, kiedy ten pierwszy zauważa mężczyznę w mundurze, natychmiast ściąga kapelusz z głowy i mimo że rynsztokiem płynie woda, bez chwili wahania usuwa się z chodnika i moczy buty w brudnej cieczy. Dopiero kiedy żołnierz niemiecki jest dość daleko, wkłada

z powrotem nakrycie głowy i idzie dalej. Kiedy jest dokładnie naprzeciwko, Tila zauważa na jego marynarce żółtą gwiazdę Dawida. Jest zdumiona. Nie, nie z powodu zachowania Żyda. Dobrze wie, że tak mu nakazują niemieckie przepisy. Raczej dlatego, że uświadamia sobie, iż pierwszy raz od dawna widzi przedstawiciela rasy podludzi. „W Unruhstadt ich nie ma. Kiedyś byli i nagle zniknęli. Ciekawe, gdzie się podziali?” – zastanawia się.

Wszechobecny zapach gotowanej kapusty przypomina Matyldzie, że nic nie jadła od wczesnego ranka, otwiera więc walizkę i wyjmuje kanapki przygotowane na drogę przez matkę. Jedząc przy stole, rozgląda się po pokoju. Wąskie drewniane łóżko jest porządnie zaścielone i przykryte zielono-żółtą kapą. W rogu stoi toaletka z dużym lustrem, ale próżno by tam szukać typowych kobiecych akcesoriów. Jedynymi przedmiotami świadczącymi o tym, że mebel komuś służy, są szczotka do włosów i kilka spinek ułożonych równo jedna obok drugiej. Jest tu jeszcze duża czterodrzwiowa szafa, okrągły stół przykryty szydełkową serwetą i cztery krzesła, a także zegar wiszący na ścianie. Pomieszczenie wydaje się Tili chłodne i bezosobowe.

Dziewczyna wstaje i znowu podchodzi do okna. Nie dostrzega tam niczego interesującego. Dużo bardziej intrygują ją odgłosy dobiegające z pozostałej części mieszkania. Słyszy kroki ludzi przemykających się korytarzem, ich przyciszone rozmowy, dźwięki stawianych na stole talerzy i brzęk sztućców. Chciałaby pójść do ubikacji, ale nie wie, gdzie ją znaleźć. Krępuje się pytać, postanawia więc, że wytrzyma do przyjścia panny Kramer. Czas płynie bardzo wolno. Wskazówki zegara zdają się wcale nie przesuwac. Tila jest zmęczona beczynnością, nudzi ją siadanie, wstawanie, podchodzenie do okna, nasłuchiwanie odgłosów domu i coraz bardziej chce się jej siusiać. Wreszcie podejmuje decyzję. Wychodzi na korytarz i w poszukiwaniu starszej pani idzie do kuchni. Kobieta jest zajęta odkładaniem talerzy do dużego białego kredensu. Odwraca się, słysząc, że ktoś wszedł. Na widok Tili przywołuje swój usługowy uśmiech.

– Czegoś panienka potrzebuje? – pyta czystą niemczyzną.

– Tak. Szukam ubikacji.

– Zaprowadzę panienkę i wszystko wytłumaczę.

– Nie trzeba. Proszę mi tylko pokazać, gdzie to jest – broni się Tila przed nadmiarem gorliwości. Jednak staruszka jej nie słucha, tylko żwawo kroczy w kierunku drzwi wyjściowych.

– Tu – wskazuje na ścianę – zawsze wisi klucz do toalety. – Jeśli ktoś z domowników chce z niej skorzystać, musi tym kluczem sobie otworzyć – wyjaśnia, wychodząc na schody i wskazując niewielkie drzwi na półpiętrze. – Tylko trzeba uważać, bo ubikacja jest przeznaczona dla czterech mieszkań. Jeżeli w drzwiach tkwi klucz, to znaczy, że trzeba zaczekać. Czasem trwa to bardzo długo – dodaje z przeproszającym uśmiechem. – Ale ma panienka szczęście, bo teraz nie

ma nikogo – dodaje, wręczając Tili klucz.

Wróciwszy do mieszkania, znowu idzie do kuchni, bo nie chce siedzieć sama w pustym pokoju. Ma wrażenie, że staruszka czeka na nią, bo na stole stoi talerz pełen gorącej zupy, a obok na desce do krojenia dwie pajdy chleba.

– Niech panienska siada i je, bo wystygnie – zaprasza.

– Nie, dziękuję. Nie jestem głodna – broni się dziewczyna.

– Co ty mówisz, dziecko! Jesteś tu kilka godzin i pewnie nie miałaś nic w ustach. Jedz! – nakazuje. Tila, czując, że protesty na nic się nie zdadzą, siada do stołu i zaczyna jeść apetycznie pachnący kapuśniak.

– Pani jest Niemką? – pyta między jednym kęsem chleba a drugim.

– Nie. Jestem Polką. Mówię po niemiecku, bo chodziłam do pruskiej szkoły, kiedy jeszcze Poznań był pod zaborem. Teraz Niemcy znowu tu są, więc język mi się przydaje – wyjaśnia zaskakująco szczerze.

– Mam ciocię, która też jest Polką i mówi po niemiecku tak dobrze jak pani.

– Gdzie mieszka ta ciocia? Może ją znam.

– Nie. Na pewno nie. Ciocia nigdy nie jeździła do Posen. – Tila akurat kończy posiłek, kiedy otwierają się drzwi wejściowe i słychać czyjeś kroki.

– To pani Kramer. Lepiej już idź. – Starsza pani wygląda na trochę zmieszana. – Może jej się nie spodobać, że rozmawiasz ze mną.

– Matyldo Neumann, gdzie jesteś? – Niski, niemal męski głos lagerführerin niesie się po całym domu. Zanim wybrzmiało ostatnie słowo, wołana dziewczyna staje w progu kuchni. Tila widzi naprzeciwko siebie niską krępa kobietę w mundurze RAD. Wygląda dość osobliwie, bo o przynależności do płci żeńskiej świadczy jedynie spódnica. Czarne, krótkie włosy są starannie przylizane i dodatkowo przypięte za uszami, a krzaczaste brwi łączą się nad nosem w jedną linię. Skóra nad pełnymi czerwonymi ustami jest odrobinę ciemniejsza, tak jakby pokrywał ją delikatny zarost.

– Co tam robiłaś? – pyta, nie witając się.

– Szukałam toalety – kłamie dziewczyna.

– Proszę do mojego pokoju.

Dopiero kiedy zostają same, kobieta przedstawia się: – Jestem Hermina Kramer. To na mnie czekałaś. Nie mogłam przyjść wcześniej, bo przed wyjazdem mam jeszcze dużo do załatwienia. – Powiedziawszy to, zaczyna taksować wzrokiem Tilę.

– Ile masz lat? – pyta, dokonawszy oceny.

– Szesnaście.

– Mmm... mało. Powinnaś mieć osiemnaście. Trudno, jakoś to załatwimy. Jesteś głodna? – pyta, zdejmując jednocześnie mundur. – Zaraz pójdziemy do kuchni, to zrobię kolację. Usiądź i poczekaj.

– Nie, dziękuję. Miałam kanapki. Zjadłam je przed chwilą. Lagerführerin

Kramer, mogę o coś spytać? – Widząc twierdzące skiniecie głową, Tila mówi nieśmiało: – Pani Kisch wspomniała, że jej przyjaciółka, do której jadę, ma na imię Helga, poza tym wyobrażałam sobie, że jest starsza. Czy nie zaszła jakaś pomyłka?

– Wszystko jest w porządku. Helga to moja matka. Pracuje tu, w Posen, w biurze RAD. Załatwiła ciebie dla mnie. Jej tłumacz nie jest potrzebny. Mają tu swojego, miejscowego.

– Tłumacz?! – dziewczyna jest tak zdumiona, że aż podnosi się z krzesła. – Przecież ja nie znam żadnego obcego języka.

– Miałaś mówić po polsku. – Pomiędzy zrosniętymi brwiami Herminy pojawiają się pionowe kreski, a spojrzenie oczu koloru stali robi się groźne. – Nie znasz polskiego? No tego się po matce nie spodziewałam. Dzień przed wyjazdem dowiaduję się, że przysłała mi zupełnie nieprzydatną głupią gęś! – Kobieta krzyczy, nie zwracając uwagi na to, że nie są w mieszkaniu same. – Mówiłam jej przecież wyraźnie, że ma być dziewczyna ze znajomością polskiego!

– Lagerführerin Kramer... ja trochę rozumiem po polsku – wtrąca Tila, kiedy wzburzona kobieta nabiera tchu. – Nie mówię, ale rozumiem. Moja ciocia mnie uczyła i babcia... Chociaż to właściwie po wendyjsku. To bardzo podobne języki.

– Po wendyjsku? Pierwsze słyszę. – Gniew Herminy zaczyna mijać. – Więc rozumiesz po polsku? – Kiedy Matylda potwierdza, czoło kobiety nagle się wypogadza. – To mi wystarczy. Mówić nie musisz. – Obrzuca wzrokiem przestraszoną, zarumienioną dziewczynę i uśmiecha się, odsłaniając mocne zdrowe zęby. – Typowa wiejska gaska, naiwna i głupiutka. Takiej mi właśnie było potrzeba – kończy zupełnie udobruchana. – Będziesz moimi oczami i uszami.

59

Tila czuje piasek pod powiekami. Jest niewyspana i zmęczona. Wydaje się jej, że od wczoraj nie zmrużyła oka. Teraz mogłaby wtulić się w kąt przedziału i drzemać, tak jak Hermina Kramer, ale chyba przez nadmiar wrażeń tak potrzebny sen nie przychodzi. Za oknem przesuwają się monotony równinny krajobraz – pola, z których uprzątnięto już większość ziemniaków i warzyw, miedze, pastwiska z kilkoma krówkami, biedne wioski i miasteczka, a właściwie tylko ich stacyjki nierzadko pokaleczone pociskami albo z widocznymi świeżymi śladami po remontach.

Dziewczyna zerka na lagerführerin. Jej głowa przechylona do tyłu i wsparta o ściankę przedziału lekko kołysze się na boki. Nieświadomie otwarte usta odsłaniają zęby i część języka. Wzrok Tili przyciąga okrągły metalowy znaczek spinający kołnierzyk białej bluzki. Widnieje na nim swastyka wkomponowana w dwa dorodne kłosa zboża. Podobne motywy znajdują się na naszywce umieszczonej na rękawie brązowego munduru. Nogi obute w brązowe sznurowane trzewiki wyciągnęła Hermina przed siebie i raz po raz trąca nimi

siedzącą naprzeciwko Matyldę. Umysł Tili zachowuje się tak, jakby nie miał czasu spać, bo musi przetrwać wszystko to, co zdarzyło się od wczoraj. Wieczorem dowiedziała się, że ma być *oczami i uszami* swej przełożonej. Teraz zastanawia się, co to może oznaczać, jaką rolę ma pełnić w obozie RAD. Czyżby donosiciela? „Nie, to chyba niemożliwe! Pani Kisch mówiła mamie coś zupełnie innego. Na pewno źle ją zrozumiałam” – myśli. Trudno jej też zaakceptować sytuację, jaka miała miejsce w poznańskim mieszkaniu. Kiedy zapytała panią Kramer o to, czyje ono jest, tamta wyjaśniła, że przedtem było *staruchy*, jak określiła starszą panią, ale teraz oczywiście prawo do niego ma państwo niemieckie. *Starucha* i jej rodzina powinni się cieszyć, że pozwolono im w nim pozostać. Zawdzięczają to jej, Herminie. Mogła wyrzucić ich na zbity pysk, jak to zrobiła większość Niemców przybyłych do Posen, ale wtedy urząd pewnie przydzieliby jej jakąś niemiecką rodzinę, bo dla jednej osoby lokal jest za duży. Załatwiła więc, że mogą zostać, byleby tylko jej nie przeszkadzali.

„To dlatego – myśli dziewczyna – wszyscy umykali z kuchni ze spuszczonej głowami, kiedy weszły tam dziś rano, żeby przygotować sobie śniadanie”. Kiedy powiedziała im „Guten Morgen”, Kramer ofuknęła ją, że powinna znać swoje miejsce i nie traktować tych ludzi jak równych sobie.

Głośne chrapnięcie towarzyszyki podróży na chwilę przerywa rozmyślenia, ale Tila zaraz wraca do wspomnień. Tym razem pojawia się w nich Karl. To, że nie próbował spotkać się z nią przez całe lato, rozumie. Ona też nie wiedziałaby, co mu powiedzieć po tym, co stało się z ojcem. Wtedy, tej strasznej nocy, przyjaciel gdzieś zniknął i od tamtej pory nie szukał z nią kontaktu. Jednak niedawno za pośrednictwem Emila przesłała mu wiadomość. Powinien się domyślić, że może już się pojawić. Jest na to gotowa, żeby tak jak dawniej usiąść pod jabłonią i rozmawiać. „A może Emil go nie spotkał albo mu nic nie powiedział? – próbuje usprawiedliwić kolegę. – Tak dziwnie na mnie spojrzał, kiedy poprosiłam go, żeby przekazał Karlowi, że wyjeżdżam”. Dzień przed podróżą, korzystając z nadzwyczajnej łaskawości matki, która nie zaprzęła jej do żadnej pracy w gospodarstwie, jeździła rowerem to tu, to tam. Najpierw do Gustava, żeby się z nim pożegnać. Potem do Bettiny, która, podobnie jak inne dziewczęta z grupy, pod wpływem pani Kisch stała się znów jej przyjazna i puściła w niepamięć sprawę ciotki Janki i okoliczności śmierci ojca. Później w nieskończoność przechadzała się z Rosiną, aż zabrakło im tematów do rozmowy. Wszystko na nic. Karl się nie pojawił. A co gorsza, nie śmiała nikogo zapytać, co się z nim dzieje.

Pociąg zaczyna hamować. Tila wstaje i otwiera okno. Zimny podmuch uderza ją w twarz i unosi włosy nad czołem. Na peronie tuż przy budynku stacji czeka kilkanaście osób. Wśród nich dostrzega dwóch uzbrojonych żandarmów, którzy z uwagą przypatrują się podróżnym. Kiedy pociąg się zatrzymuje, uwagę Tili przyciąga gwar i głośne krzyki dobiegające z drugiej strony wagonu.

Zaciekawiona wychodzi na korytarz i wygląda przez okno. Na drugim peronie kłębi się masa ludzi, głównie kobiety z dziećmi, starcy i kaleki. Wszyscy trzymają kurczowo niewielkie tobołki. Na tor wolno wjeżdża pociąg do przewozu bydła. Mężczyźni w mundurach krzykami i gestami próbują nakłonić ociągający się tłum, aby szybko i sprawnie wsiadł do wagonów. Niestety, okazuje się to niemożliwe. Zdezorientowani, nierozumiejący niemieckich komend, a przede wszystkim przerażeni ludzie rozglądają się, szukając bliskich, i nawołują się. Chłopczyk, który zapewne zgubił matkę, szłocha żałośnie, nagle dostrzega ją i biegnie, nieopatrznie przecinając drogę umundurowanemu mężczyźnie. Ten silnym kopniakiem wyładowuje na dziecku swoją złość. Pociąg, którym podróżuje Tila, rusza przy akompaniamencie rozdzierającego płaczu małego chłopca i wywrzeszczanych po niemiecku rozkazów.

– Nie wolno ci im współczuć – słyszy za plecami i obraca się ku stojącej obok Herminie. – Litość jest przejawem słabości, a Niemcy nie mogą być słabi.

– Co to za ludzie? – pyta Matylda, siłąc się na obojętność.

– W całym Warthelandzie opróżniane są gospodarstwa dla niemieckich osadników. Pewnie to mieszkańcy okolicznych wsi.

– Co z nimi będzie?

– Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi – głos lagerführerin znów robi się twardy. – I ciebie też nie powinno.

W Kutnie przesiadają się do innego pociągu, który opuszczają na niewielkiej stacji w małym miasteczku. Tam czeka na nie wóz zaprzęgnięty w parę koni. Woźnica pokornie zdejmuje czapkę i kłania się przed dwiema umundurowanymi kobietami.

Jest późne popołudnie, kiedy nareszcie docierają na miejsce. Wóz zatrzymuje się przed ładnym parterowym budynkiem przypominającym mały dworek. Przy drzwiach wejściowych kiedyś wisiały jakieś tablice informacyjne, ale teraz został po nich tylko ślad na białym tynku i otwory w ścianie. Hermina Kramer ostrożnie zsuwa się z wozu, a mimo to jedna noga obuta w wyglansowany trzewik zanurza się w rzadkiej mazi aż po kostkę. Matylda nie widziała dotąd, aby jakakolwiek rozzłoszczona kobieta tak się zachowywała. Lagerführerin wrzeszczy, wyrzucając z siebie grad najgorszych przekleństw, jakie tylko zostały dotąd wymyślone. Celem ataku jest woźnica, który zatrzymał swój pojazd akurat tam, gdzie jest pełno błota. Adresat obelg stoi z głupawym uśmiechem, mnąc w rękach czapkę, a Tila mimowolnie zerka na drogę, szukając innego, bardziej dogodnego miejsca. W myślach usprawiedliwia mężczyznę. Droga prowadząca przez wieś to jedno wielkie grzęzawisko poprzedzielane głębokimi koleinami. Panna Kramer i tak ma szczęście, bo brunatna papka wzbogacona jest tu i ówdzie krowimi plackami, więc nie tylko błoto mogła mieć na bucie i pończosze.

Kiedy wreszcie atak furii mija, Hermina pokazuje woźnicy, że ma wnieść

walizki do budynku. Prawie równocześnie gdzieś z bocznej uliczki wyłania się wysoka przygarbiona postać i szybko zmierza w ich stronę. Zapomina o oficjalnym pozdrowieniu, tylko woła z daleka: – Witam szanowne panie! Jestem ortsvorsteherem^[44]! Mam klucze do szkoły! – Słowa te są wypowiedziane po niemiecku, ale z dziwnym, niesłyszonym nigdy przez Tilę akcentem.

– Nazywam się Udo Winkler – dodaje zasapany, kiedy dociera na miejsce.

Kramer obrzuca przybysza krytycznym spojrzeniem, wypręża się, energicznie unosi wyprostowaną prawą rękę i wykrzykuje „Heil Hitler!”, po czym milknie i czeka na reakcję sołtysa. Ten domyśla się wreszcie, o co chodzi, i odwzajemnia gest i okrzyk. Potem wyciąga rękę z kluczami.

– Posprzątałicie? – Lagerführerin wskazuje na szkołę.

– Ale co? – dziwi się Winkler. – Przecież tam czyściutko, aż się świeci. Żona nauczyciela ze swoimi dziećmi tak posprzątała. Jego to nie widziałem. Gestapo wzięło go jeszcze w tamtym roku. Jak myśmy przyjechali, to tylko ona tu była i te dzieci. Miejscowi mówili, że jak się dowiedziała, że będą ich wypędzać, to za porządku się zabrała, żeby nikt o Polakach nie powiedział, że brudasy. Nawet okna umyła – uzupełnia z podziwem sołtys.

– Idiota. – Hermina międli pod nosem jakieś obelgi i mówi głośno, żeby uciąć tę niepotrzebną rozmowę: – Posprzątane? To dobrze. W takim razie wchodzimy. Proszę z nami, przekonamy się, jak jest naprawdę.

Wchodzą na szeroki szkolny korytarz. Po obu jego stronach znajdują się drzwi prowadzące do klas. Jest ich czworo. Na wprost wejścia do budynku są drzwi do mieszkania nauczyciela. Zaglądają do wszystkich pomieszczeń. Sołtys miał rację. Zarówno w klasach, jak i w trzypokojowym mieszkaniu jest tak czysto, że dziwi to nawet Tilę nawykłą do porządku w domu. Ale Kramer nie chce dać za wygraną, zwraca się więc do Winklera, wskazując palcem wiszącą na ścianie mapę: – A to co ma być? – Dopiero teraz Matylda zauważa, że to mapa przedstawiająca Polskę, tę sprzed wojny. – Zabrać mi to natychmiast i zniszczyć! Posprzątane! Też mi coś! – wyłośliwia się kobieta. – Proszę nam coś przynieść do zjedzenia na kolację, a jutro rano stawić się z kimś do pomocy, bo musimy zrobić tu prawdziwe porządki, zanim przyjadą dziewczęta.

Kiedy zostają same, lagerführerin nakazuje Tili rozejrzeć się po mieszkaniu i zorientować się w ilości sprzętów gospodarskich, pościeli i innych potrzebnych rzeczy. Wykonując polecenie, dziewczyna stwierdza, że najlepiej będzie, jak wszystko zapisze. W poszukiwaniu kartki i ołówka rozgląda się po pokoju wyglądającym na gabinet nauczyciela. Otwiera szufladę ciężkiego rzeźbionego biurka i znajduje tam czysty papier, zastrzone ołówki, wieczne pióro i kałamarz z atramentem. Z ciekawości otwiera boczne drzwiczki. Na półce, wśród podniszczonych książek wyglądających na podręczniki, leży opasły tom. Tila wyciąga go na biurko i otwiera. Od razu się domyśla, że to kronika szkoły.

Mnóstwo tam fotografii z pięknie wykaligrafowanymi opisami. Próbuje czytać. Idzie to jej z wielkim trudem, wielu słów nie rozumie, ale domyśla się ich znaczenia. Dowiaduje się, że budynek i całe wyposażenie, łącznie z umeblowaniem mieszkania dla nauczyciela, ufundowała hrabina o trudnym do wymówienia nazwisku, właścicielka pobliskiego majątku. Budowa szkoły zaczęła się w 1925 roku.

– Co ty robisz? Dlaczego marnujesz czas? – Gniewny głos przywraca Tilę do rzeczywistości. – Co tam masz? Pokaż! – Lagerführerin wyciąga rękę po grubą księgę. – Historia szkoły, co? – domyśla się, przeglądając fotografie, potem odkłada kronikę na biurko. – Jutro się tym zajmiesz. Zaczнешь pisać historię tego miejsca na nowo. A teraz do roboty, bo zaraz się ściemni, a ja nawet nie wiem, czy mamy tu naftę do lamp.

Kogut pieje i pieje. Dziewczyna zakrywa głowę poduszką, żeby nie słyszeć hałaśliwego ptaka. Na próżno, nawet przez warstwę pierza wwierca się w uszy jego schrypnięty głos. Nagle coś płoszy natręta, a ten, zamiast zamilknąć, podnosi alarm, gdacząc przeraźliwie, a zaraz potem dołącza się do niego stadko zaniepokojonych kur. Tila z rezygnacją odrzuca poduszkę i siada na łóżku. Dłużej już nie pośpi, wstaje więc, pospiesznie myje się w zimnej wodzie, ubiera w codzienne rzeczy wyjęte wieczorem z walizki i zaplata warkocz. Wszędzie panuje cisza. Matylda dochodzi do wniosku, że Hermina jeszcze śpi, starając się więc nie robić hałasu, przekręca wielki klucz tkwiący w drzwiach wejściowych i wymyka się na szkolne boisko.

Słońce dopiero co wzeszło, ale dla mieszkańców wsi to już normalny dzień pracy. Tila wychodzi na drogę. Deszcz padał dwa dni temu, toteż błoto zaczęło pomалу wysychać. Dziewczyna rozgląda się i zastanawia, w którą stronę pójść. Tam, skąd przyjechały, jest kilka domów, potem koniec wsi, a dalej las. Decyduje więc, że poznawanie osady zacznie od miejsc, których jeszcze nie widziała. Okazuje się, że wioska jest dość duża, choć mniejsza od Altreben. Większość zabudowań to biedne, drewniane, nierzadko kryte strzechą domki postawione po obu stronach głównej drogi. Idąc, przygląda się gospodyniom nabierającym wodę ze studni bądź karmiącym drób i mężczyznom kręcącym się w obejściu. Ludzie też patrzą z ciekawością na obcą dziewczynę. Z rzadka ktoś ją pozdrowi po niemiecku i uśmiechnie się, ale w większości twarzy Tila odczytuje jeśli nie obojętność, to niechęć albo przygnębienie. Doszedłszy do pobielonej kapliczki z figurą Matki Boskiej, zawraca i nieco szybszym krokiem zmierza z powrotem do szkoły. Jeszcze u końca bocznej dróżki zauważa mały drewniany kościółek otoczony cmentarzem. Chciałaby i tam pójść, ale podejrzewa, że lagerführerin może jej potrzebować, przyspiesza więc i już po kilku minutach staje przed furtką prowadzącą na boisko.

Zza budynku szkoły wydobywają się kłęby białego dymu, zaintrygowana od razu idzie więc na tyły, na podwórko nauczycielskiego gospodarstwa. Na środku placu płonie ognisko, a obok niego leży stos bezładnie rzuconych map i książek. Niektóre z nich mają bogato zdobione oprawy i tytuły pisane złotą farbą. Sołtys i wyglądający na dwanaście lat chłopiec uwijają się, drepczą pospiesznie do szkoły i zaraz wracają z naręczami *śmieci* do spalania. Hermina Kramer, wpatrująca się w płomienie z wyrazem ekstazy na twarzy, na widok Tili pochmurnieje i groźnie marszczy czarne, grube brwi.

– Gdzie łażyłaś? – krzyczy i, nie czekając na odpowiedź, pyta z wściekłością: – Nie wiesz, że nie wolno oddalać się bez pozwolenia? Mogli cię siekierą zarąbać, idiotko! I kto by wtedy odpowiadał? Oczywiście ja! Nikogo by nie obchodziło,

że takiego przygłupa mi przysłano! Odpowiadam za ciebie! Wiesz, co to znaczy? – przerywa, jakby chciała złapać oddech, a skamieniała z przerażenia dziewczyna wpatruje się w czerwoną z gniewu twarz, nie wiedząc, co powiedzieć. Wygląda jednak na to, że zastanawia się niepotrzebnie, bo Hermina syczy: – Żebyś nawet kroku stąd nie zrobiła bez mojego pozwolenia. Zrozumiałaś? Nie zamierzam złamać sobie kariery przez taką głupią gęś – kończy i zapada cisza przerywana jedynie trzaskiem drewna dorzuconego do ogniska, aby lepiej paliło się wyposażenie polskiej szkoły nieprzydatne do nauki niemieckich dzieci. Tila stoi i tak jak przełożona wpatruje się w płomień i dym unoszący do góry czarne płyty spalonego papieru.

– Masz, zachowałam to dla ciebie. – Lagerführerin podaje Matyldzie grubą księgę – kronikę szkoły. – Obiecałam ci wczoraj, że zaczniesz pisać historię tego miejsca na nowo.

Tila bierze tomisko, ale nie rozumie, co ma z nim zrobić. Kramer, zauważywszy jej wahanie, nakazuje: – Wrzuc. To nikomu niepotrzebny śmieć. No, dalej! Nad czym jeszcze się zastanawiasz?!

Matylda podchodzi bliżej gorejącego stosu i ciska księgę w ogień. Ta, upadłszy, otwiera się i natychmiast poddaje płomieniom. Mimo że gorąco jest nieznośne, dziewczyna się nie cofa. Obserwuje, jak płomień liżąc kartki, a brązowe plamy pełzną, pochłaniając równe, wykaligrafowane litery i fotografię z uśmiechniętymi dziećmi podającymi kwiaty eleganckiej starszej pani. Skóra twarzy aż piecze od bliskości żaru, a Tila czuje, jak w środku nie mniej pali ją wstyd. Ma uczucie, że zrobiła coś bardzo złego. Spopielając kronikę już przykryła zawartość szkolnej biblioteki, a ona wciąż stoi w rozterce, bo w domu kazano szanować książki. Pradziadek Matheus miał ich kilka, ale zanim sięgnął po którąś, mył ręce i sprawdzał, czy aby stół jest czysty. Matka prenumerowała czasopisma dla gospodyń i choć zajmowały już dużo miejsca, nie pozwalała niczego użyć na rozpałkę. Leżały poukładane na strychu w równiutkich stosach i kiedy czegoś potrzebowała – przepisu albo wykroju na bluzkę – sięgała do nich, zawsze wiedząc, gdzie ma czego szukać. Tila wie, że zrobiła przed chwilą coś, o czym nie mogłaby powiedzieć ani prababci Annie i pradiadkowi Matheusowi, ani też matce. Może tylko ojcu... Wspomnienie zmasakrowanej twarzy pojawiło się tak niespodziewanie, że aż się zachwiała i niechybnie upadłaby prosto w żar, gdyby nie silne ręce Herminy.

– Chyba masz całkiem nie po kolei w głowie, żeby stać tak blisko ognia. – Jak przez mgłę dociera do niej zrzęczenie przełożonej. – Winkler! Przynieś krzesło! – Posadziwszy Tilę na zydłu ustawionym pod ścianą stodółki, Kramer niknie w szkolnym korytarzu i wraca po chwili z pajądą chleba z masłem i powidłami w jednej ręce i kubkiem mleka w drugiej. – Miałam ci nie dać śniadania, skoro się spóźniłaś, ale taka słaba do niczego mi się nie przydasz. Jedz.

Wieczorem przyjadą dziewczęta. Wszystko musi być gotowe.

Przygotowanie polegało na wyniesieniu sprzętów z jednej z klas, dokładnym wyszorowaniu podłogi i wstawieniu dwunastu połowych łóżek, które już czekały w stodole. Potem przy pomocy małego Winklera Tila napełniła owsianą słomą sienniki i z wysiłkiem zataszczyła je do prowizorycznej sypialni. Tam przydzieliła do każdego posłania poduszkę, dwa koce i pościel. Następnie z Herminą posegregowały dostarczoną przez chłopów żywność i przygotowały kuchnię do gotowania posiłków dla dużej grupy, a w klasie położonej najbliżej ustawiły ławki tak, że tworzyły długi stół, przy którym można było siedzieć z obu dłuższych boków. Po południu, kiedy wszystko co najpilniejsze zostało zrobione, Hermina usmażyła jajecznicę i siadły na ganku, trzymając talerze na kolanach.

Jedzą, nie odzywając się do siebie, i myślą nad czymś głęboko. Słońce już chowa się za czubami starych sosen rosnących tuż za gospodarstwem położonym naprzeciwko szkoły. Tila myśli, że jest tu spokojnie i swojsko, nie rozumie więc, czemu Lagerführerin tak się rano zdenerwowała. Przez resztę dnia była przyjazna, żartowała z sołtysem, a nawet interesowała się samopoczuciem Matyldy. Dlatego mimo obaw dziewczyna ośmiela się odezwać pierwsza:

– Lagerführerin, czy mogę o coś zapytać?

– Mów.

– Dlaczego powiedziała pani, że ktoś mógł mnie zarząbać siekierą?

– Dziwię się, że nie rozumiesz tak prostych rzeczy. – Głos Herminy jest oschły, ale nie ma w nim gniewu. – Chociaż... może za młoda jesteś. We wsi są prawie sami Polacy. Na razie osiedliliśmy tu tylko sześć rodzin niemieckich z Wołynia. Niedługo przybędą następne. Chyba się domyślasz, że oni nas tu nie kochają. Ktoś mógł cię skrzywdzić.

– Nie zrobiłam nikomu nic złego.

– Oni nie myślą tak jak ty. To prymitywny naród. Im wystarczy, że jesteś Niemką. Kiedy przyjadą dziewczęta, wyjaśnię wam wszystkim, jakie środki ostrożności należy zachować. Co do ciebie... nie sądziłam, że odważysz się pójść sama między obcych ludzi. Po prostu do głowy mi nie przyszło. Dlatego tak się uniosłam – tłumaczy się Hermina.

– Lagerführerin – Tila ośmielona łagodnością przełożonej draży dalej. – Powiedziała pani, że będę pani oczami i uszami. Co miała pani na myśli?

– Na poprzednim obozie RAD były dwie folksdojczki. Mimo zakazu wciąż coś do siebie szeptały po polsku. Prawdę mówiąc, ledwo umiały po niemiecku. Podejrzewałam, że współpracują z miejscowymi, ale nie złapałam ich na gorącym uczynku. Ty jesteś mi potrzebna, żeby teraz zapobiec podobnej sytuacji. Znowu mają być z nami jakieś wątpliwe Niemki. Chcę, żebyś mi powtarzała, o czym rozmawiają. W ogóle masz obserwować dziewczęta i przekazywać mi informacje o nastrojach w grupie, o poglądach i wszystkim, co się dzieje, kiedy ja nie mogę

tego zobaczyć i usłyszeć. Poprzednio nie miałam takiej zaufanej osoby i, jak mi powiedziały koleżanki, to duży błąd. Wróg czyha wszędzie, trzeba być czujnym. Tylko pamiętaj, ani słowa po polsku, bo nie będą rozmawiać przy tobie. Rozumiesz?

Tila potwierdza skinieniem głowy, ale nie podoba się jej to, co usłyszała. „Mam być donosicielką? Taka będzie moja rola tutaj? Do tego byłam potrzebna pani Kisch” – myśli z goryczą.

61

Zjawily się o zmierzchu. Niepewnie wyskakiwały z budy ciężarówki i od razu rozglądały się, ciekawe miejsca, w którym spędzą wiele miesięcy z dala od rodzinnych domów i bliskich sobie osób. Hermina Kramer i Matylda stały na schodkach niczym panie domu podejmujące gości. Oczekały, zanim dziewczęta wyjęły swoje walizki i karnie ustawiły się przed frontem szkoły. Dopiero wtedy lagerführerin rzuciła do Tili krótko:

– Dołącz!

Stała ostatnia w szeregu. Dwunasta. Dorównywała im wzrostem, choć twarz wciąż wyglądała na dziecinną. I nic w tym dziwnego, bo była od nich młodsza o co najmniej dwa lata. Oficjalnie – ochotniczka przyjęta poza regulaminem z niewyjaśnionych nikomu powodów. Jak inne podniosła dumnie brodę i wypięła pierś do przodu, kiedy przywódczyni wygłaszała mowę przygotowywaną na tę okazję zapewne od dawna. Słowa: Ojczyzna, Rzesza, Führer, służba padały gęsto, przedzielane jedynie stosownymi określeniami. Pełne emocji i szczerych chęci młode kobiety nie zauważyły nawet, że lagerführerin bardziej do siebie mówi niż do nich.

Gęstniejąca ciemność przywróciła Herminie poczucie rzeczywistości, toteż zakończyła przemowę i zezwoliła na wejście do budynku. Zaledwie zdążyły wybrać sobie łóżka, a już zostały zawołane na kolację.

Siedzą teraz przy prowizorycznym stole złożonym ze szkolnych ławek – sześć dziewcząt z jednej i sześć z drugiej strony, a u szczytu, tuż pod portretem Adolfa Hitlera, dziwnie skrzycona, bo nie ma gdzie podziać nóg, sama Hermina Kramer. W milczeniu przeżuwają chleb ze smalcem i popijają go gorzką zbożową kawą. Dopiero kiedy z talerza znika ostatnia kromka, lagerführerin pozwala na rozmowę. Oczywiście nie na dowolne tematy. Każda ma się przedstawić i powiedzieć, skąd przyjechała.

Tila słucha bardzo uważnie i stara się zapamiętać imiona współtowarzyszek, jednak nie może się pozbyć wrażenia prześladowającego ją od momentu, kiedy ujrzała zeskakującą z ciężarówki dziewczynę, siedzącą w tej chwili dokładnie naprzeciwko. Ma uczucie, że gdzieś ją już widziała. Zerka na nią ukradkiem. Jest bardzo ładna. Matylda słyszała kiedyś określenie „alabastrowa cera” i wyobraża

sobie, że to właśnie taka – jasna, bez żadnej skazy, zabarwiona ledwie widocznym rumieńcem. Górna warga leciutko uniesiona do góry i duże jasnoniebieskie oczy sprawiają, że twarz wydaje się szczerą i niewinna.

– Matyldo, zasnęłaś?! – Głos Herminy, nieprzyjazny i zgrzytliwy, przypomina Tili, że nadeszła jej kolej.

– Nazywam się Matylda Neumann i przyjechałam z Altreben, miejscowości leżącej w powiecie Züllichau-Schwiebus. To duża wieś, bo ma aż sto pięćdziesiąt dziewięć domów. Niedaleko jest miasteczko Unruhstadt – recytuje niemal jednym tchem.

– Jesteś z Altreben? – Tila słyszy pełen entuzjazmu szept niebieskookiej blondynki z przeciwka. – Och, jak to dobrze...

– Jestem Irena Weber – mówi ta po chwili. – Mieszkam w niewielkiej osadzie, która nazywa się Elisental i leży blisko Unruhstadt i Altreben – kończy radośnie i zwraca roześmiane oczy ku Matyldzie.

Po prezentacji Hermina oznajmia dziewczętom, co będą robić w najbliższych dniach. Okazuje się, że dwie z sześciu niemieckich rodzin przybyłych z Wołynia jeszcze nie zdążyły wykopać ziemniaków. Trzeba im pomóc – to pierwsze bardzo pilne zadanie, bo żywność jest potrzebna i nie można dopuścić, by cokolwiek się zmarnowało.

– Każda z was będzie pełniła dyżur – informuje lagerführerin. – Zacznie Matylda Neumann. Dyżurna będzie musiała wstać rano pierwsza i obudzić resztę tak wcześnie, abyście wszystkie stawily się punktualnie na porannej gimnastyce o szóstej. Ona nie idzie na gimnastykę, tylko przygotowuje śniadanie. O wpół do ósmej macie być już umyte i najedzone, bo to jest pora, kiedy wyruszyście do pracy. Obowiązują stroje robocze. Ubrania wyjściowe razem z butami umieścicie w małym pomieszczeniu, które wskaże wam Matylda. Wszystko ma lśnić czystością. Biada tej, której buty będą brudne albo znajdę plamę na mundurze. Dyżurna kończy pracę wcześniej i wraca, żeby ugotować obiad. Reszta pracuje tak długo jak trzeba. Najkrócej osiem godzin, ale jeżeli robota nie będzie skończona, to do skutku. Po południu będą zajęcia sportowe i szkolenie polityczne. Wolne dopiero wieczorem.

Na twarzach niektórych dziewcząt maluje się źle ukrywana trwoga, ale żadna się nie odzywa. Ślepe posłuszeństwo jest nierozdzielnie związane ze służbą. Zachowanie i wygląd przełożonej też nie nastrajają do głośnych komentarzy. Dopiero w sypialni, kiedy drząc z zimna i emocji kładą się do łóżek, mają odwagę coś powiedzieć. Ale też niezbyt krytycznie, bo nie wiadomo, komu mogą zaufać. Obok Tili zasypia Irena. Zamieniła się na miejsca, bo chciała być blisko kogoś z rodzinnych stron. Również trzy inne dziewczyny coś połączyło, bo i one, dokonując zamian, położyły się na sąsiadujących łóżkach. Jeszcze jakiś czas gawędzą półgłosem, ale z każdą chwilą ubywa rozmówczyń, a przybywa równych

oddechów, posapywań, a nawet chrapania.

Tila leży z otwartymi oczami. Obawa przed zaspaniem nie pozwala jej zasnąć. Raz po raz zapala latarkę i spogląda na budzik dyżurnej. Wskazówki przesuwają się wolno. Jest środek nocy. Dziewczyna, obracając się z boku na bok na niewygodnym, jeszcze niewyleżanym sienniku, przypomina sobie dom, swój pokój na poddaszu i gwiazdy rozświetlające mrok. Myśli o cioci Jance, o tym, jak bardzo jej brak. Zastanawia się, co teraz robi i czy za nią tęskni. Chciałaby wtulić się w jej ciepłe ramiona i zasnąć jak jeszcze dwa lata temu, gdy była szczęśliwym dzieckiem. W oczach wzbierają łzy, a potem spływają ku poduszce i wsiąkają w nią, zanim ktokolwiek domyśliłby się tej chwili słabości.

Budzik terkoce tak głośno, że mógłby obudzić umarłego, ale nie wiecieć czemu Tila go nie słyszy. Irena zrywa się i przykrywa dłonią drgający mechanizm. Nagle zapada cisza. Część dziewcząt kręci się niespokojnie, inne smacznie śpią.

– Matylda – szepcze Irena, potrząsając ramię koleżanki. – Matylda, obudź się. Masz dyżur.

Ostatnie słowa powodują, że Tila nagle siada i oszołomiona próbuje zrozumieć, gdzie jest. Pod powiekami ma jeszcze chwalimski cmentarz. Śniło się jej, że idą z Emilem klonową aleją. Widzi złote liście nad sobą i złocisty dywan u stóp jak wtedy, gdy umarła babka Truda. Otwiera szeroko oczy. Wciąż jest ciemno, ale zauważa Irenę i łóżka ustawione w dwóch równych rzędach. To przywraca jej pamięć.

– Zaspałam! Hermina mnie zabije – jęczy.

– Nie – uspokaja Irena. – Bądź cicho. Ubierz się i obudź dziewczyny, a ja rozpalę w kuchni.

Nie musi niczego powtarzać. Tila, już całkiem przytomna, błyskawicznie wciąga na siebie robocze ubranie, a potem budzi towarzyszkę. Nie jest to łatwe zadanie. Paulina Koch śpi jak kamień. Nie pomaga potrząsanie i krzyki. Dopiero kiedy Irena przynosi z kuchni duży kubek zimnej wody i wylewa ją na koleżankę, ta zrywa się i nadszarpnięta przytomna goni sprawczynię lodowatego prysznica.

Kiedy wreszcie o szóstej stawiają się w komplecie na gimnastyce, a Tila przy rozgrzanym piecu kończy gotować mleko, musi przyznać, że gdyby nie ta śliczna dziewczyna z Elisental, skompromitowałyby się zupełnie.

Trzydniowe wykopki stały się chrztem bojowym dla niemal całej grupy. Z dwunastki jedynie trzy – Tila, Irena i krępa, mrukliwa Ulrika – wyrosły w gospodarstwach, były silne i nadawały się do ciężkiej fizycznej pracy. Reszta miała tylko dobre chęci, które wyparowały po kilku godzinach zginania grzbietu i dźwigania ciężkich wiader pełnych ziemniaków. Dziewczęta wychowane w miastach potrafiły robić wiele przydatnych rzeczy, ale tu ich umiejętności na razie nie były potrzebne. Już pierwszego wieczoru, kiedy półżywe ze zmęczenia wróciły do szkoły, doświadczyły ataku furii Herminy. Jej zdaniem pracowały zbyt

wolno, nie nadawały się do niczego, a ona nie rozumie, skąd tu się wzięły, bo wyraźnie prosiła, żeby przysłać jej tylko gospodarskie córki, a nie takie „leniwe krowy”. Wszystkie, niezależnie od tego, czy zostały zaliczone do gospodarskich córek, czy do „krów”, zalały się łzami na tak niesprawiedliwe traktowanie. Dopiero po kolacji Paulina Koch, widząc, że lagerführerin jest spokojniejsza, zdobywa się na odwagę i porusza bulwersujący je wszystkie temat.

– Lagerführerin, czy mogę zadać pytanie? – Zauważywszy przyzwalające skinienie, kontynuuje: – Dlaczego na polu pracowałyśmy same? Gospodarz siedział na wozie i palił papierosy albo się przechadzał i krytykował nas, a jego żona i dzieci nawet się nie pokazały.

– Właśnie! – przyłącza się Tila. – Do mnie powiedział, że pracujemy za wolno, a sam nawet palca nie ubrudził. On uważa, że to my mamy wszystko zrobić za niego, a kiedy zeszłam z pola w południe, żeby przygotować obiad, widziałam, jak jego chłopcy bawią się na podwórku, a przecież są na tyle duzi, że mogli przyjść do pomocy. Gdyby pani nie kazała Polakowi obsługiwać końskiej kopaczki, to nie miałby kto wykopać kartofli.

Hermina długo namyśla się nad odpowiedzią, a dwanaście par oczu obserwuje ją w napięciu, bo nie wiadomo, jak zareaguje. Mijają minuty i nic się nie dzieje. Twarze oświetlone żółtym blaskiem naftowej lampy stają się coraz bardziej wylęknione. Wydaje się, że cisza zwiastuje nieuchronny wybuch. Niespodziewanie lagerführerin odetchnęła i mówi:

– To są Niemcy, ale długo mieszkali poza ojczyzną. Nabrali złych nawyków od innych, gorszych ras. Na ich przykładzie możecie się przekonać, jaka jest różnica między naszą cywilizacją a Słowianami albo Żydami. My tych osadników przywrócimy germańskiej kulturze, ale nie stanie się to od razu. Trzeba być cierpliwym, a na razie pomagać i dawać wzór swoim postępowaniem i pracowitością. No, dziewczęta! – dodaje wesoło – zaśpiewajmy coś. Otwórzcie okna, niech nasze głosy płyną w przestrzeń na radość osadnikom, a innym na postrach!

– *Auf der Heide blüht ein kleines Blümelein und das heißt Erika...* – intonuje dziarsko, a dziewczęta z ochotą dołączają.

Zaśpiewały jeszcze wiele piosenek, a potem poszły do łóżek w zupełnie dobrych nastrojach. Czuły, że nie tylko o zbieranie kartofli chodzi, ale o ważną kulturową misję, jaką mają tu pełnić właśnie one, młode zwyczajne kobiety wyniesione nagle na piedestał jako krzewicielki postępu na Wschodzie.

Zaledwie skończyły się wykopki, przyszły nocne przymrozki. Wieczorami trudno było wytrzymać w nieogrzewanych pomieszczeniach. Wbrew zakazowi dziewczyny kładły się spać po dwie, żeby tylko jakoś przetrwać noc. Kramer nie pozwalała rozpalać w kaflowym piecu, bo uważała, że to zbyt wcześnie, poza tym trzeba oszczędzać opał. Szczęście miała ta, której przypadał dyżur, bo chociaż ona

mogła ogrzać się w kuchni podczas przygotowywania posiłków. Koszmarem były poranne gimnastyki i mycie w lodowatej wodzie. Zziębnięte wyruszały do przydzielonych im niemieckich rodzin, gdzie prały, sprzątały, opiekowały się dziećmi i pomagały w polu.

W końcu października, tuż po zajęciach politycznych, Kramer powiadomiła swoje podopieczne, że czekają je nowe, jeszcze ważniejsze zadania. W najbliższych dniach (termin objęty był tajemnicą) miała rozpocząć się akcja opróżniania kolejnych gospodarstw. Kiedy tylko domy będą wolne, dziewczęta z RAD wkroczą, aby je jak najszybciej sprzątnąć i skompletować sprzęty, tak żeby mogli w nich zamieszkać osadnicy.

Kilka dni później Polacy z dziesięciu gospodarstw dostali rozkaz ewakuacji. Było to nocą, więc nikt poza lagerführerin nie wiedział, co się dzieje. Rano okazało się, że nie będzie gimnastyki, bo trzeba czym prędzej ruszać do sprzątania domów. Wieczorem, a najpóźniej następnego dnia rano mieli przybyć przesiedleńcy. Po śniadaniu Kramer podzieliła je na cztery grupy i w towarzystwie ortsvorsteherera zaprowadziła do opustoszałych zabudowań. Matylda, Ulrika Runge i Anna Janick zostały przydzielone do dość dużego gospodarstwa na skraju wsi.

Tila otwiera furtkę i pierwsza wchodzi na podwórko. Czuje się nieswojo, bo ma wrażenie, że z domu zaraz wyjdzie gospodyni i zapyta, czego tu szukają. Z obory dobiega ryk niewydojonych krów, a świnie tak głośno domagają się żarcia, jakby nie jadły od kilku dni. Ulrika, która jest z nich najstarsza, obejmuje nieformalne przywództwo małej grupki.

– Ja idę do zwierząt, a wy do domu. Podpalcie pod płytą w kuchni i nagrzecie wody do sprzątania – nakazuje i odwraca się na pięcie, uważając, że już dość się nagadała.

Nieśmiało otwierają ciężkie drewniane drzwi. Zaraz za progiem Tila potyka się o jakiś porzucony w sieni garnek. Przedzierają się przez bałagan i docierają do następnych drzwi. Za nimi jest kuchnia, a w niej króluje wielki okopcony gliniany piec z okapem.

– Jeszcze trochę ciepły – mówi Anna, dotykając go dłonią. – Zaraz rozpalę ogień.

Kiedy koleżanka kuca przy otwartych drzwiczkach i rozgarnia popiół, Tila bierze wiadro i idzie do studni po wodę. Kręci z wysiłkiem korbą, ciągnąc do góry pełne naczynie, i jednocześnie rozgląda się po obejściu. Stado kur dziobie rzucone przez Ulrikę ziarno. Jej samej nie widać, ale po ciszy panującej w budynkach gospodarczych można się domyślić, że zwierzęta dostały już jeść. Tuż za wałącym się drewnianym płotem ciągnie się równina, na której są łąki, a za nimi ukryty w mlecznym oparze las. Tila z niepokojem patrzy w jego stronę, bo właśnie stamtąd może nadejść niebezpieczeństwo – polscy bandyci. Wyciąga wiadro pełne

wody i czym prędzej przelewa jego zawartość do tego, które ze sobą przyniosła. Odwraca się w stronę drewnianej chaty i oblewając stopy wodą, niemal biegnie, bo ma wrażenie, że zaraz z gęstej wilgotnej szarobiałej chmury wyjdą mężczyźni o wykrzywionych złem twarzach. Dopada do drzwi i zamyka je z hukiem.

– Co robisz?! Dlaczego tak biegłaś? Zobacz, ile wody rozlałaś! – Anna wpatruje się w Matyldę, oczekując wyjaśnienia.

– Nic, nic. Ja tylko... – Tila dyszy z wysiłku – ja tylko się bałam. Mgła jest coraz gęstsza. Pomyślałam, że z lasu przyjdą bandyci i nas zabiją.

– Też coś! Kramer nas nastraszyła, żebyśmy się nie oddalały. Jesteśmy tu prawie miesiąc, a widziałaś jakiegoś bandytę? – Anna wzrusza ramionami i odwraca się od wylęknionej koleżanki. – Dawaj tę wodę. Posprzątajmy czym prędzej, bo po obiedzie idziemy do następnego domu. Ja zajmę się kuchnią, a ty ogarnij pokoje.

Pokoje to trochę dużo powiedziane. W drewnianej chatce oprócz sieni i kuchni są jeszcze dwie izdebki. Tili przypominają mieszkanie cioci Janki i wujka Gustava. Na dużym łóżku leżą w nieładzie obleczone w kraciastą pościel ogromne pierzyny. Kiedy dziewczyna chce zdjąć poszwę, czuje ciepło, które jeszcze nie ulotniło się po dawnych mieszkańcach. Wrażenie obcości powraca. Coś jeszcze jej przeszkadza, ale Matylda nie umie tego nazwać. Wie tylko, że to, co robi, jej się nie podoba. Zmienia jednak pościel na czystą, znaną z kufurze, zamiata podłogę, ściera kurze, a potem, nabrawszy ciepłej wody z gara stojącego na kuchennym piecu, myje podłogę. Robiąc to wszystko, co rusz omija albo przestawia małą, kunsztownie rzeźbioną kołyskę, wyglądającą na bardzo starą. „Pewnie spały w niej dzieci wielu pokoleń tej rodziny” – myśli. Skończywszy, omiata wzrokiem izdebkę. Teraz panuje w niej wzorowy porządek. Na bielonych wapnem ścianach jak przedtem wiszą obrazy i haftowane makatki. Na stole wykrochmalona, ale trochę pognieciona z braku żelazka serweta, umyte okienko, a na nim biała, rozpięta na gwoździkach firanka. Jeszcze wilgotna podłoga jest przykryta dopiero co wytrzepanymi kolorowymi chodnikami. W samym kącie konik bujany i mały drewniany wózek zabawka. Porządkuje też drugą, mniejszą izdebkę i wraca do kuchni. Anna też się uporała z najcięższymi pracami. Mogą wracać do szkoły na obiad, tylko trzeba znaleźć Ulrikę.

Okazuje się, że mgła się podniosła, a niebo pokrywają grube szare chmury. Jest strasznie ponuro i może dlatego nie tylko Tila niespokojnie spogląda w stronę lasu. Annie też się wydaje, że czyjeś czujne oczy śledzą każdy jej krok na podwórzu. Dziewczęta chcą jak najprędzej znaleźć się w bezpiecznym miejscu, dlatego wołają koleżankę i sprawdzają wszystkie pomieszczenia gospodarskie. Tu też panuje porządek. Wydojone i nakarmione krowy stoją spokojnie, przeżuając pokarm, a w małym kurniku kury pchają się po dwie do jednego gniazda, by znieść jaja. Ulrikę znajdują dopiero w stajni. Dziwne, że nie słyszała ich

wołania. Stoi i zamyślona głaszcze koński łeb. Zwierzę nie zwraca uwagi na pieszczotę krępej, krótkonogiej dziewczyny o rumianych policzkach. Wyjada pachnące ziołami siano z wysokiego żłobu i raz po raz macha ogonem, choć wszystkie muchy poszły już spać.

– Ty tu sterczysz, a my cię wołamy! – gniewa się Anna. – Dalej, rusz się, idziemy na obiad.

Ulrika ostatni raz dotyka miękkich chrapów i z ociąganiem dołącza do towarzyszek.

Właśnie cała grupa kończy jeść zupę, kiedy słyszą dzwonienie z kościelnej sygnaturki i krzyki ludzi. Wybiegają na zewnątrz i ze zgrozą zauważają ciemny słup dymu. Weronika Reitzig, która jako folksdojczka dobrze mówi po polsku, zaczepia jedną z biegnących w kierunku dymu kobiet i zamienia z nią parę słów.

– Pali się to gospodarstwo, w którym rano sprzątałyście! – rzuca w stronę Anny Janick po polsku. Potem, zreflektowawszy się, zwraca się do Herminy: – Lagerführerin Kramer, proszę o wybaczenie, że użyłam języka wroga. To ze zdenerwowania.

– Mów, co się dzieje! – Akurat w tej chwili Kramer nie obchodzi tłumaczenie dziewczyny.

– Pożar! Pali się gospodarstwo na skraju wsi. To, do którego mieli dzisiaj przyjechać przesiedleńcy! Rano były tam Matylda, Ulrika i Anna.

– Neumann, Janick i Runge do mnie! – wrzeszczy Hermina, jakby dziewczyny były kilometry stąd. – Gdzie Runge?! – krzyczy, widząc przed sobą tylko dwie przerażone twarze. – Która paliła w piecu?!

– Ja – kuli się ze strachu Anna.

– Zostawiłaś ogień?

– Nie wiem. Wydawało mi się, że pod płytą już wygasło, jak wychodziłyśmy, ale nie sprawdzałam – wyznaje szczerze i wybucha płaczem Janick.

– No pięknie. A gdzie jest Runge?

Jakby wiedziała, że o niej mowa, pojawia się Ulrika. Umorusana sadzą jedzie konno na oklep, zostawiając za plecami tłum chaotycznie gaszący płonąca chałupę.

62

Gdyby nie straszne minione lato, Tila mogłaby śmiało powiedzieć, że ten tydzień był najgorszy w jej życiu. Drewniana chałupa kryta strzechą spłonęła niczym kupka suchego chrustu i nikt nie był w stanie powiedzieć dlaczego, jednak panowie z Gestapo, którzy pojawili się jeszcze tego samego dnia wieczorem, za wszelką cenę próbowali znaleźć winnego. W dawnym gabinecie polskiego nauczyciela urządzili pokój przesłuchań. Przez siedem dni mieszkali i jedli razem

z dziewczętami i ich komendantką. Tila, Anna i Ulrika nie chodziły do pracy, tylko co kilka godzin któraś z nich była przesłuchiwana. Do znudzenia powtarzały, co wtedy robiły, gdzie przebywały, co mówiły one, a co ich koleżanki. Sprawdzano ich rodziny i prywatną korespondencję, a niski, gruby mężczyzna tłustymi palcami gmerał w ich osobistych rzeczach, przewracał bieliznę i nieprzyzwoicie żartował, biorąc do rąk majtki i staniki.

Każda była podejrzana. Tila, bo miała w obozie ciotkę, która spiskowała przeciwko państwu niemieckiemu, a poza tym nie była czysta rasowo, jak powiedział drugi z gestapowców. Anna wywodziła się z folksdojczów, mogła więc sympatyzować z Polakami, wśród których wychowała się w małym wielkopolskim miasteczku. Najpewniejsza pod względem pochodzenia okazała się Ulrika, bo wywodziła się z niemieckiej rodziny z Meklemburgii i nigdy nie miała do czynienia z żadnymi Polakami. Jednak na jej niekorzyść świadczył fakt, że feralnego dnia była sama. Anna i Matyllda pracowały w domu, sprzątając pomieszczenia, a Ulrika jakoby karmiła zwierzęta i porządkowała obejście. W dodatku miała krótki kontakt z Polką, która została przysłana do obory, żeby wydoić krowy. Ostatecznie psychiczne pastwienie się nad młodymi kobietami nic nie dało, panowie orzekli więc, że dom podpalili polscy bandyci, żeby zapobiec zajęciu go przez przesiedleńców.

Kramer, która przedtem łagodniała z dnia na dzień, znowu zrobiła się niezdolnie wrzaskliwa i co kilka godzin popadała w zły nastrój, a podejrzliwość komendantki zdawała się nie mieć granic. Zaledwie wyjechali gestapowcy i dziewczęta wróciły do swoich obowiązków, Hermina kazała zostać Tili w szkole pod pozorem pomocy w przygotowywaniu klasy, w której miała ruszyć nauka dla niemieckich dzieci.

– Co mówią? – usłyszała Matyllda za plecami, kiedy robiła listę potrzebnych przyborów szkolnych. Zdumiona obróciła się w stronę przełożonej i spojrzała na nią pytająco.

– Nie gap się, jakbyś nie rozumiała, o co chodzi! – Kramer purpurowa na twarzy stoi w otwartych drzwiach i wyraźnie na coś czeka. Nie usłyszawszy żadnej odpowiedzi, precyzuje oczekiwania: – Co mówią twoje koleżanki folksdojczki? Na pewno rozmawiają po polsku i coś knują. A może ty razem z nimi spiskujesz?

– Nie! My nic takiego nie robimy! Dlaczego miałybyśmy spiskować? – Tila cała drży, bo znów czuje się, jakby przesłuchiwała ją policja.

– Przywiozłam cię tutaj, żebyś wszystko mi mówiła.

– Wiem, ale naprawdę nie ma o czym.

– O czym rozmawiacie? – uparcie pyta Kramer. – Opowiadaj!

Tila gorączkowo myśli, co mogłaby powiedzieć, żeby podejrzliwość lagerführerin została zaspokojona. – Nazywają panią Herman – mówi po chwili

namysłu.

- Też mi nowina! Wiem o tym od dawna. Dalej, co jeszcze?
- Paula Koch narzeka, że jest za dużo pracy.
- Co robią folksdojczki?
- Weronika, Maria i Anna śpią blisko siebie. Czasem rozmawiają po cichu, ale to tylko takie dziewczęce sprawy.
- Jakie? – nie daje za wygraną Hermina.
- Maria ma narzeczonego w wojsku. Teraz jest na Bałkanach. Martwi się, bo nie ma od niego wiadomości.
- Co jeszcze?
- Nic więcej. Naprawdę.
- To dlaczego zrobiłaś się czerwona? Dalej, słucham – ponagla.
- Maria zwierzyła się, że spędziła noc ze swoim chłopcem, więc Anna i Weronika prosiły, żeby im opowiedziała wszystko ze szczegółami – wydusza z siebie zawstydzona Tila.
- I co, posłuchałaś sobie? – Kramer wpada nagle w dobry humor i śmieje się rubasznie. – No dobrze. Na dziś wystarczy. Masz być wszędzie, gdzie dziewczyny coś mówią, i mi donosić. Jeśli mnie oszukasz, pożałujesz. Ty i twoja matka.

Na szczęście upływający czas i ciężka praca zacierały niemiłe chwile, a lagerführerin znowu zlagodniała. Klasa szkolna czekała na przyjęcie dzieci wyposażona we wszystko, co tylko było potrzebne małym przesiedleńcom. Johanna Lange już nie mogła się doczekać, kiedy zacznie prowadzić lekcje. Była córką wiejskiego nauczyciela. Kiedy zakończyła podstawową edukację, ojciec posłał ją do seminarium nauczycielskiego, ale jako kobieta długo nie mogła znaleźć pracy. Dzięki wojnie przed Johanną otworzyły się drzwi do kariery. Na razie zgłosiła się do służby w osteinsatzlager^[45], gdzie wkrótce spełni swoje marzenie – będzie uczyć dzieci. To właśnie przyszła nauczycielka pewnego długiego wieczoru, kiedy zabrakło nafty do lamp, a listopadowy wiatr hulał za oknem i wywiewał z wnętrza resztki ciepła, zaproponowała konkurs na najciekawszą i najlepiej opowiedzianą legendę. Nie zastanawiały się długo, bo przecież w niemal każdej wiosce czy miasteczku żyła jakaś historia przekazywana z ust do ust albo zapisana w lokalnych heimatkalenderach. Zaczęła sama lagerführerin, która zaprezentowała krwawą opowieść ze Wschodniej Fryzji, tak straszną, że dziewczęta mimowolnie przytulały się do siebie i z lękiem spoglądały w ciemne okna, bojąc się, czy nie zobaczą tam potwora z morskich głębin. Potem Johanna postraszyła koleżanki legendą o chciwym Grunerze z Lauban, który zamordował handlarza koronek, i strasznej karze, która go za to spotkała. Ulrika, która posługiwała się osobliwym pomorskim dialektem, nie zawsze rozumiałym dla innych, krótko i bez zbędnych ozdobników przekazała historię miasta Wineta pochłoniętego przez morze za winy jego mieszkańców. Matylda mówiła o tym, jak powstało Schwentesee, a potem

pozostałe dziewczęta z mniejszym lub większym talentem opowiadały zasłuchanym towarzyszkom legendy ze swoich rodzinnych stron. Ostatnia była Irena.

– Nie urodziłam się w Elisental. Moi rodzice stracili gospodarstwo w czasie kryzysu i odtąd chwyтали się każdej pracy, żeby utrzymać rodzinę. Ja jestem najstarsza, mam dwie siostry i czterech braci. Najmłodszy ma dopiero trzy lata. Jakiś czas temu znaleźliśmy mieszkanie i zajęcie w wielkim gospodarstwie leżącym właśnie w Elisental. Pewnego razu, w taki wieczór jak ten, gospodarze zaprosili wszystkich pracowników na świąteczną listopadową kolację. Każdy dostał solidny kawał pieczonej gęsiny i różne inne przysmaki. Później starsi raczyli się winem własnej roboty i opowiadali różne historie. Mnie najbardziej spodobała się legenda tłumacząca, dlaczego to miejsce nazywa się Elisental – Dolina Elizy. Posłuchajcie:

Było to prawie sto lat temu. Folwark w dolinie, w której leży też małe jezioro, będący częścią większego majątku, odziedziczyła po bezdzietnym wuju kilkuletnia dziewczynka. Na imię miała Eliza i mieszkała wraz z rodzicami gdzieś w okolicach Berlina. Odkąd pierwszy raz tu trafiła, pokochała to miejsce i najchętniej nigdzie by się stąd nie ruszała. Na razie nie mogła o sobie decydować, więc od czasu do czasu przyjeżdżała z ojcem, a latem spędzała w dolinie kilka tygodni. Matka Elizy pojawiła się na folwarku tylko raz, i to na krótko. Pogryziona przez komary i inne owady wyjechała czym prędzej i przyrzekła, że jej noga w tym dzikim miejscu więcej nie postanie. W obszernym domu otoczonym sadem owocowym i ogrodem warzywnym mieszkał dzierżawca z rodziną. Był to człowiek pracowity i uczciwy, toteż Eliza i jej ojciec mogli całe lato poświęcić na jazdę konną, pływanie, łowienie ryb i objadanie się słodkimi soczystymi owocami. Dziewczyna wracała potem pod skrzydła matki niemodnie opalona, z włosami zbielełymi od słońca, za to tryskająca zdrowiem.

Aż przyszło lato zupełnie inne niż wszystkie, jakie dotąd zdarzyły się w szesnastoletnim życiu Elizy. Najpierw ojciec spadł z konia i złamał nogę. Matka słała depesze i nawoływała ich do powrotu, ale lekarz nie zalecał podróży, zostali więc u dzierżawcy dłużej niż zazwyczaj. Trochę się nudziła. Próbowwała podobnie jak ojciec czytać zamówione na tę okoliczność książki, ale dla pełnej energii i nawykłej do ruchu dziewczyny siedzenie nad lekturą szybko stało się udręką. Zaczęła więc włóczyć się po gospodarstwie. Zaglądała do stajni, owczarni, chlewu i obory, obserwowała pracę ludzi i zachwycała się dopiero co urodzonymi zwierzęcymi maleństwami. Czasem pomagała gospodyni, ale zrezygnowała, odkąd zauważyła, że kobieta bardziej niż z pomocy cieszy się, kiedy wreszcie zostawia ją samą.

Pewnego dnia, gdy akurat zamierzała osiodłać swego konia, żeby udać się na przejażdżkę, gospodarz poprosił ją, aby tym razem zwierzę zostało w stajni,

bo zamówił kowala. Specjalista od podków dotarł dopiero w południe. Towarzyszył mu syn Jakub – wysoki, barczysty, ciemnowłosy chłopak. Wystarczyło, że spojrzenia dwojga młodych się spotkały, a stało się tak, jakby ktoś rzucił na nich zaklęcie. Nie zamienili wówczas ani jednego słowa, a on, nawet kiedy odrywał od niej wzrok, widział tylko jej oczy błękitne jak niebo i aureolę niesfornych jasnych włosów, które nie dały się wpleść w warkocze. Ona nie mogła zasnąć tego wieczoru. Leżąc na wznak, wpatrywała się w noc za oknem, ale nie gwiazdy widziała, a jego tęczęwki tak czarne, że okalające je białka miały niebieskawy kolor, jego ramiona mocne i bezpieczne i silne ręce, które z niespodziewaną delikatnością głaskały koński bok.

Nazajutrz kowal przysłał syna po zapomniane narzędzie. Eliza była w stajni od rana, tak jakby wiedziała, że Jakub musi się zjawić. To ona pierwsza zaczęła rozmowę i zaproponowała wieczorny spacer nad małym jeziorem. Tak zaczął się czas wielkiej miłości, spacerów przy księżycu, pocałunków, uścisków i dotknięć, które przeszywały ciało nieznanym dreszczem. Nikt im nie przeszkadzał, ani ojciec Elizy, przekonany, że dziewczyna za dnia kręci się po obejściu, a wieczorami śpi w swoim łóżku, ani rodzice chłopaka, pewni, że ich osiemnastoletni syn zakochał się w jakiejś miejscowej dziewczynie i dlatego wciąż gdzieś przepada. Tylko żona dzierżawcy coś zauważyła i chciała porozmawiać o tym z ojcem Elizy, ale mąż ją ofuknął, żeby się nie wtrącała, bo to dziewczyna jest właścicielką i lepiej się jej nie narażać. Dlatego od nikogo nie usłyszeli, jak bardzo do siebie nie pasują i że nie ma dla nich przyszłości, bo ani jej, ani jego rodzice nie pozwolą, żeby złamali sobie życie albo zgorzkniali i zniechęcili się, kiedy bowiem wielka miłość przeminie, rozumieją, że popełnili błąd, bo nie może przetrwać uczucie chłopca ledwie umiającego czytać i dziewczyny o miękkich białych dłoniach. Minęło lato, a oni szczęśliwi, niczego nieświadomi wciąż się kochali, marzyli i snuli plany na przyszłość. Często siadywali nad jeziorem i szeptem składali sobie słodkie obietnice. Nawet płochliwe i nadzwyczaj ostrożne dzikie gęsi tak się do nich przyzwyczyły, że podpływały blisko i zaciekawione zerkały na zakochanych.

W październiku w dolinie jest najpiękniej. Czerwienią się dęby, złocą olchy, klony, buki i brzozy. Gałęzie jarzębin ciężkie od ciemnopomarańczowych owoców gną się ku ziemi, wabiąc ptaki i owady. Cała przyroda pokazuje na pożegnanie to co najpiękniejsze. Tamtej jesieni też tak było, aż oczy się śmiały każdemu, kto stanął na wzgórzu i objął wzrokiem okolicę. Tylko Eliza i Jakub byli na dnie rozpacz. Ojciec dziewczyny zdecydował, że jest już dość zdrowy, aby odbyć podróż, zbliżał się więc czas pożegnania. Jednak nie tylko to spędzało zakochanym sen z powiek. W czasie, kiedy oni doświadczali romantycznych uniesień, gdzieś daleko zaczęła się jedna z wojen wielkiego premiera Prus. Aby spełnić swe marzenia, Bismarck był gotów poświęcić życie młodych mężczyzn, dlatego Jakub musiał iść na wojnę.

– Czy jeszcze kiedyś cię zobaczę? – szlochała Eliza wtulona w ramiona ukochanego. – A gdyby coś złego cię spotkało, jak się o tym dowiem? – pytała, podnosząc ku niemu oczy pełne łez.

– Widzisz te dzikie gęsi? – powiedział, wskazując na stado ptaków kołyszących się na tle rdzawych trzcin po drugiej stronie jeziora. – Jeśli coś mi się stanie, one przyniosą ci wiadomość.

Dzikie gęsi wkrótce odleciały, a w dolinie został wyłącznie dzierzawca z rodziną. Minęło pół roku i znowu przyszła wiosna. Eliza zjawiała się na folwarku już na początku maja. Tym razem ojciec tylko ją przywiózł i zaraz wrócił do siebie. Wojna wciąż trwała, na próżno więc dziewczyna każdego ranka wypatrywała Jakuba. Codziennie chodziła nad jezioro. Niekiedy widywała klucze przelatujących dzikich gęsi. Zdarzało się, że siadały na wodzie, wtedy obserwowała je z daleka. Wkrótce i to lato minęło, ale tym razem na tęsknocie i oczekiwaniu. Błękitne oczy Elizy straciły odcień nieba, a od ciągłego wpatrywania się w wodę stały się szare jak tafla jeziora.

Było słoneczne październikowe popołudnie, powietrze pachniało opadającymi liśćmi, a nasycone jesienne światło czyniło jeszcze piękniejszymi wszystkie barwy przyrody. Nad wodą panowała cisza, której nie mącił śpiew ptaków ani nawet szelest trzcin. Eliza przymknęła oczy. Starła się przywołać w wyobraźni obraz ukochanego. Wreszcie udało się. Ma go pod powiekami. Wyciąga do niego ręce, już... już... zaraz go dotknie... Nagle ciszę rozdarł krzyk dzikiej gęsi. Eliza gwałtownie otworzyła oczy, a serce ścisnęło złowrogie przecucie. Tuż przy brzegu, prawie u jej stóp, kołysało się ciemnoszare pióro – wiadomość od Jakuba. Przez kilka chwil stała niczym kamienny posąg, potem weszła do wody i nie bacząc na to, że moczy suknię i buty, wyłowiła gęsie pióro. Wiedziała, co się stało. Nikt nie musiał jej niczego mówić. Ukochany nie żył. I w niej coś umarło. Na zawsze.

Płynęły lata, a ona tak jak dzikie gęsi zjawiała się w dolinie wiosną i opuszczała ją jesienią. Spacerowała nad jeziorem, siadała na ściętym pniu dębu, rozmyślała, niekiedy coś szeptała. Ludzie mieli ją za trochę pomyloną i zaczęli mówić o niej Eliza Dzika Gęś, a dolinę, bez której nie mogła żyć, nazywano Doliną Elizy.

Pewnego dnia srebrzystowłosa elegancka pani wsparta na lasce jak zwykle wolnym krokiem podążyła nad jezioro. Widział ją nowy dzierzawca i listonosz z ciężką torbą jadący rowerem. Nawet zapamiętał, że w pewnym momencie przystanąła, podniosła głowę i coś zawołała w kierunku klucza dzikich gęsi. Nikt już więcej jej nie zobaczył. Kiedy nie wróciła wieczorem, pełen złych przeczuć dzierzawca poszedł szukać właścicielki majątku. Nad jeziorem, przy starym dębowym pniaku, znalazł tylko laskę i ciemnoszare pióro. Po pani Elizie nie było śladu. Na pomoc przybyli ludzie z pobliskiej wsi. Przynieśli ze sobą pochodnie

i dokładnie przetrząsnęli las i trzciny porastające brzeg. Wszystko na nic. W końcu ktoś orzekł, że pewnie utonęła, a muliste dno pochłonęło jej ciało na zawsze. Ale miejscowi mówią, że było inaczej. W pewnym momencie siedząca na pniu Eliza zamknęła oczy i osunęła się na ziemię. Wtedy nie wiadomo skąd zjawił się obok niej piękny szarobrazowy gąsior. Nagle zerwał się wiatr i zawirował, unosząc złote liście wysoko ponad gałęzie drzew. Kiedy opadły, nie było już Elizy, a od brzegu ku środkowi jeziora płynęły dwie dzikie gęsi. Do dzisiejszego dnia przybywają tam wiosną i całe lato spędzają, kołysząc się na srebrnej tafli. Jesienią gdzieś odlatują, zawsze razem, na wieki połączone prawdziwą miłością – zakończyła Irena.

Zapadła cisza. W ciemnościach nie było widać oczu mokrych od łez, ale żadna z kobiet, nawet Hermina Kramer, nie pozostała obojętna na urok tej opowieści. Wreszcie sama Irena przerwała zadumę, przypominając, że to ostatnia historia i trzeba wydać werdykt. Nikt nie miał wątpliwości, że legenda o Dolinie Elizy była najpiękniejsza.

63

Dziś jest kolejny dyżur Tili. Dziewczyna zdążyła przywyknąć do terkotu budzika i wstawania w ciemnościach. Irena może spać spokojnie, bo nie zdarzy się nic, co skompromitowałoby Małą, jak czasem nazywają ją starsze koleżanki.

W piecu trzaskają smolne szczapy połupane na drobne kawałki, a ogień już liże większe polana z liściastego drewna. W kuchni robi się ciepło, przytulnie i o wiele, wiele przyjemniej niż w sypialni, gdzie jeszcze śpią dziewczęta. Prawdę mówiąc, Tila nie czekała dzisiaj na dźwięk budzika. Wstała o dobrą godzinę wcześniej, niż musiała, bo chciała pobyć sama i pomyśleć o liście, który wczoraj dostała. Gotuje mleczną zupę z kluseczkami. Raz po raz miesza w garze wielką drewnianą łyżką, żeby zawartość nie przywarła do dna i się nie przypaliła, a w lewej ręce trzyma kartkę papieru pokrytą równym, starannym pismem. Obraca się ku wątlemu światłu świeczki i próbuje po raz nie wiadomo który czytać skierowane do niej słowa. List jest od Karla. Chłopak tłumaczy się, dlaczego przez całe lato nie próbował się z nią zobaczyć. Wyjaśnia, że nie było go w Altreben, a kiedy dosłownie na dzień wpadał do rodziców, to nigdzie nie mógł jej spotkać. Dopiero od Rosiny dowiedział się, dokąd wyjechała, i ubłagał ją, żeby dała mu adres. Jest z niej dumny, że służy ojczyźnie najlepiej jak potrafi i liczy na to, że przyjedzie na święta Bożego Narodzenia, bo on zaraz na początku roku idzie na szkolenie, a potem do wojska. Tila pociąga nosem i przyciska kartkę do serca, a potem ostatni raz miesza w garnku i odstawia go na bok gorącej płyty. Czas budzić dziewczęta, z westchnieniem chowa więc list do kieszeni i otwiera drzwi do sypialni.

– Pobudka!!! – wrzeszczy, aż drżą szyby w oknach. – Wstawać! Zaraz gimnastyka!

Mimo że to środek listopada i pracy na wsi nie powinno być wiele, młode kobiety z obozu nie mają chwili wytchnienia. Pod ich opieką jest teraz szesnaście rodzin niemieckich przesiedleńców. Część z nich przyjechała aż z Besarabii i właśnie ci mają największe problemy z językiem. Między sobą porozumiewają się po rumuńsku albo rosyjsku, a niemiecki znają bardzo słabo. Dlatego Johanna Lange staje na głowie, by w dzień nauczyć czegoś dzieci, a wieczorami dorosłych. Pozostałe też pracują, ale i edukują podczas wspólnych zajęć w gospodarstwach, bo osadnicy są zupełnie niewyrobieni ideologicznie. A one jako przedstawicielki narodowosocjalistycznej władzy czują się powołane do tego, żeby sprawić, iż ci nowi obywatele pokochają kraj, do którego wezwał ich Adolf Hitler. Właśnie z tego powodu co jakiś czas zapraszają chłopów na wieczornice, podczas których zachęcają ich do śpiewania pieśni patriotycznych i piosenek ludowych albo czytają fragmenty utworów literackich. Trochę przygnębia je to, że o ile wesołe tańce i śpiewy przyciągają wielu osadników, to w wieczory o charakterze patriotycznym prowizoryczna świetlica świeci pustkami, a nawet ci, co przyszli, zamiast wdawać się w rozważania o roli chłopstwa w budowaniu Wielkich Niemiec, wołają wspominać sielskie życie, jakie dotąd wiedli. Są wśród nich ludzie o najróżniejszych charakterach i odmiennym podejściu do pracy. Jednym, po długim pobycie w obozach dla przesiedleńców, robota pali się w rękach. Inni, zobaczywszy przydzielone gospodarstwa, najpierw pogardliwie wydymają wargi na polnische wirtschaft i butnie zapowiadają, że dopiero oni pokażą, co potrafi niemiecki chłop, a potem doprowadzają obojętnie do ruiny albo czekają, że państwo, czyli one, wszystko za nich zrobi.

Tila, odkąd dostała list od Karla, jest jakaś nieobecna. Wcześniej pisały do niej matka i Rosina, ale to nie wywołało w niej żadnych szczególnych uczuć. Zastanawiała się nawet, czy nie powinna bardziej tęsknić za domem i przyjaciółką, ale sama usprawiedliwiała się, że tu jest tak zapracowana, iż nie ma czasu na wspomnienia. Teraz zaczęła liczyć dni do Bożego Narodzenia, bo przypomniała sobie obietnicę pani Kisch, że na święta wróci do domu. Żeby lepiej zasłużyć na zwolnienie, gorliwie słucha, o czym rozmawiają koleżanki i polscy parobcy w gospodarstwach przesiedleńców, i przynajmniej raz w tygodniu zdaje Herminie dokładną relację. Przestała się tego wstydzić, bo zauważyła, że lagerführerin wzywa i inne dziewczęta. „Chyba nas sprawdza – domyśla się Matylda. – Tak widocznie trzeba, żeby wszystko było jak należy i nic nie zepsuło wysiłku wielu osób”.

Tylko jedna sprawa ją dręczy i nie jest pewna, jak postąpić. Pewnego dnia usłyszała, że polskie służące wymieniły imię Ulriki Runge. Nadstawiła uszu, choć dla niepoznaki udawała, że jest czymś zajęta. Nie jest pewna, czy dobrze je zrozumiała, choć wolałaby, żeby to było jakieś nieporozumienie. Koń, którego Ulrika uratowała z pożaru, stoi w stajni u Winklera, a dziewczyna odwiedza

zwierzę każdego wieczoru. Z tego, co podsłuchiwała Tila, wynika, że nie tylko do konia chodzi koleżanka, ale że spotyka się w stajni z parobkiem Winklera – Polakiem Adamem. Nie mieści się jej to w głowie, żeby Ulrika postąpiła tak nierozważnie. Z drugiej strony ona jedyna nie zwierza się nikomu, mówi tylko tyle, ile konieczne, a nawet bywa opryskliwa, kiedy któraś zbyt natarczywie ciągnie ją za język. Mimo że Matylda nie czuje do koleżanki szczególnej sympatii, nie chce posadzić jej niesłusznie, dlatego podejmuje jedyną właściwą, jak się wydaje, decyzję. Będzie śledzić Ulrikę, żeby się przekonać, jak jest naprawdę.

Przed kolacją dziewczęta mają trochę wolnego. Większość w tym czasie robi przepierkę albo ceruje pończochy lub robi coś zgoła innego związanego z obowiązkiem schludnego wyglądu. Tila właśnie kończy przyszywać guzik do flanelowej bluzki, kiedy dostrzega, że Runge wkłada roboczy kaftan i owija głowę chustą, a potem wychodzi. Szybko odgryza nitkę i odkłada bluzkę, po czym także ciepło się ubiera i podąża za koleżanką. Nie musi się spieszyć, bo dobrze wie, dokąd idzie Ulrika. Noc jest ciemna, a wilgotne zimne powietrze wciska się pod ubranie, tak że po chwili dziewczyna zaczyna żałować swego pomysłu. Na szczęście gospodarstwo sołtysa jest nieopodal szkoły, więc już po kilku minutach Tila bezszelestnie wślizguje się do stajni przez niedomknięte drzwi. Owiewa ją ciepło i charakterystyczny zapach końskiego nawozu, ale ciemność nie jest wcale mniejsza, dlatego zostaje przy drzwiach i nasłuchuje. Rozpoznaje różne dźwięki – stąpanie konia, parsknięcie, szelest słomy, mimo to czeka dalej. W końcu docierają do niej ciche głosy dwojga ludzi. Nie rozumie, co mówią, zresztą pada niewiele słów. Ten szept to raczej oddechy, coraz głośniejsze i szybsze. Jest w nich coś niepokojącego, wręcz zwierzęcego. Tila wydaje się, że dłużej nie zniesie tych dźwięków, niepostrzeżenie wyślizguje się więc ze stajni i czym prędzej wraca do szkoły.

Podczas kolacji zerka ukradkiem na Ulrikę, ale nie dostrzega niczego niezwykłego. Na policzkach dziewczyny jak zwykle kwitną dwa wielkie rumieńce, a proste brązowawe włosy przedzielone na środku przedziałkiem są starannie ulizane. Kiedy już wszystkie leżą w swoich łózkach, Tila wstaje za potrzebą. Wracając, dostrzega nikłą smugę światła padającą na korytarz z pokoju lagerführerin. Waha się tylko przez moment, potem puka delikatnie.

- Wejdz – dobiega ją półgłosem wypowiedziane przyzwolenie.
- Lagerführerin, chciałam powiedzieć coś ważnego o Ulrice Runge...

64

Nocą spadł pierwszy śnieg. Przykrył resztki liści zagnanych do kątów przez wiatr, schował błoto porożonych koleinami gruntowych dróg i nadał miękkość

prostym liniom dachów i płotów. Altreben widziane wczesnym rankiem od strony stacyjki kolejowej wydało się Tili skończenie piękne i czyste.

Za jej plecami ciężko rusza pociąg, a ona jeszcze stoi z walizką w ręce i patrzy przed siebie, sycąc oczy znajomym od urodzenia krajobrazem. Biała przestrzeń wcale nie jest monotonna, bo zdobią ją dymy z kominów kłębiące się nad dachami, dwa krótkonogie kundelki szalejące w chłodnym puchu, stado ptaków szukających pokarmu pod śnieżną pokrywą i nade wszystko łagodne wzgórza, których początku można się tylko domyślać, bo ciągną się na przestrzeni wielu kilometrów, by wreszcie w zachodniej części wsi opaść ku płaszczyźnie ziemi. Pierwsze, to, u stóp którego budzi się teraz Altreben, przypomina długą białą zaspę, ale kolejne, leżące za nim, wciąż kuszą zielenią starych sosnowych borów.

Nim Matylda doszła do mostu, poczuła pierwsze krople deszczu. Padały coraz szybciej, najpierw dziurawiąc śnieżną pokrywę, a później rozpuszczając ją i mieszając z błotem, resztkami roślin i nawozu zgubionego przez konie. Kiedy dotarła do placu, ubranie było zupełnie przemoczone. Choć w taką pogodę mało kto wychyla nos z domu, spotkała kilka znajomych osób. Pozdrawiała wszystkich gestem podniesionej dłoni, a oni odpowiadali jej tym samym, uśmiechając się życzliwie albo po prostu zagadywali, pytając, skąd wraca i czy długo będzie w domu.

Marta przykryta peleryną i ubrana w zbyt duże kalosze wychodzi właśnie za furtkę, żeby zabrać pustą kanę po mleku zostawioną przez mleczarza w drodze powrotnej z miasteczka. Zanim wykona obrót w stronę domu, odruchowo spogląda w kierunku wsi. Brzegiem szosy idzie ktoś niosący walizkę. Jeszcze nie rozpoznaje, kto to, ale w sercu już zaczyna kiełkować nadzieja. „Może to ona? Przecież pisała, że wkrótce przyjedzie”. Wyteża wzrok, by przez ścianę deszczu dojrzeć twarz zbliżającej się postaci. Nagle silne wzruszenie ściska klatkę piersiową i wędruje ku gardłu, a z ust Marty dobywa się szept: – Tila... to przecież Tila. – Kobieta odrzuca niepotrzebną kanę i rusza przez mokrą śniegowo-błotną breję w kierunku dziewczyny. Z każdym krokiem skorupa, w której chowała się przez minione miesiące, uciekając od uczuć, kruszeje i opada, wystawiając na cel bezbronne już serce. – Tila! – krzyczy – Tila! – Otwiera ramiona i dopada do córki z płaczem. – Tila, dziecino, nareszcie wróciłaś...

Dom wita Matyldę znajomym zapachem. Wszystko wygląda tak jak przed trzema miesiącami. Nawet krzesło przy kuchennym piecu nie zmieniło swego miejsca. Ciocia Janka mogłaby za chwilę wrócić z chlewa i przycupnąć tu na moment z kubkiem gorącej kawy. Teraz w ulubionym ciocinym kącie siedzi Tila. Marta niemal zdarła z niej przemoczony mundur i przyniosła suche i ciepłe ubranie, rozplotła mokry warkocz i wcisnęła w ręce kawę z dodatkiem tłustej śmietanki, a potem pognęła do wędzarni, bo chce przygotować solidne śniadanie.

Mogłoby być idealnie, ale Matylda czuje się nieswojo. Mama nigdy się tak

nie zachowywała. Zwykle była wymagająca i surowa w ocenach, a ciepłe uczucia okazywała rzadko. Dziś rzuciła się do niej, jakby nie widziały się całe wieki. Radość matki stawia ją w kłopotliwej sytuacji, bo przeszkadza wyznać to, co zamierzała powiedzieć już na samym początku.

Szybkie kroki na schodach i Marta jest z powrotem. Z wielkiego półcia boczku odkrawa grube plastry i rzuca na gorącą patelnię. Natychmiast po kuchni rozchodzi się woń smażonej wędzonki, a skwarki skwierczą i rumienia się złociście. Matka wbija na nie jajka o błyszczących pomarańczowych żółtkach i od razu miesza, tworząc ze wszystkiego apetyczną, tłustą i pachnącą masę. Potem wyklada na talerz i obok parującego kopca kładzie skibę chleba.

– Chodź, dziecko, najedz się.

Tili nie trzeba zapraszać. Od wczorajszego obiadu nie miała nic w ustach. Siada przy stole i rzuca się na jajecznicę, a Marta przygląda się jej z czułością, choć zauważyła, że córka zapomniała o modlitwie.

– Biedactwo, jak ty schudłaś. Już ja ciebie odpasę, zobaczysz – mówi. Na te słowa ta najsmaczniejsza w świecie potrawa nagle staje dziewczynie w gardle i co prawda kończy ją i chlebem oczyszcza talerz, by nie została na nim nawet odrobina, ale nie ma w tej czynności żadnego zapału. – Widzę, że jesteś wykończona. Idź się położyć. Może pościelić ci w gościnnym? Trochę tam cieplej niż u ciebie na górze.

– Nie, mamo. Pójdę do siebie. – Matylda czuje, jak ogarnia ją straszliwe zmęczenie. Wlecze się po schodach do góry, a potem bez rozbierania wchodzi pod zimną pierzynę i zasypia kamiennym snem.

Zanim otworzyła oczy, pomyślała trwożnie, czy nie ma dzisiaj dyżuru, ale szybko uświadomiła sobie, że jest przecież w domu. Za oknem jest ciemno, nie wie więc, czy to dopiero wieczór, czy środek nocy, jednak i tak musi wstać do ubikacji. Jeszcze przez chwilę leży pod pierzyną, teraz gorącą niczym piec, w dobrze dopasowanym do jej ciała dołku w sienniku, potem wychodzi z ciepłego gniazda i próbuje nogami znaleźć buty. Słyszy kogoś idącego w dół po schodach, ale nie są to kroki mamy. Zaciekawiona wygląda za drzwi. W dole na korytarzu pali się światło i w jego blasku dostrzega dziewczynę. Zupełnie o niej zapomniała. Nawet jej imienia nie może odnaleźć w pamięci. Schodzi na dół, najpierw idzie do ubikacji na dworze, a potem zagląda do oświetlonej kuchni. Matka z dziewczyną siedzą przy stole i w milczeniu jedzą kolację. Na widok córki Marta zrywa się i wyciąga trzecie nakrycie.

– Nie wołałam cię, bo myślałam, że chcesz jeszcze spać – usprawiedliwia się. – Chodź tu do nas – zwraca się do córki myjącej ręce. Tila z pewnym ociąganiem zajmuje swoje krzesło nieprzyjemnie zdziwiona zastaną sytuacją. Nie sięga po chleb, tylko siedzi sztywno, jakby na coś czekała.

– O co chodzi? Dlaczego nie jesz? – niepokoi się Marta.

– Mamo, czy nie pouczono cię, że nam Niemcom nie wolno siadać do stołu z polską służbą? – pyta oburzona.

– To jakieś bzdury. – Marta macha lekceważąco ręką. – W naszym domu zawsze pracownicy jadali ze wszystkimi. Ta nowa moda jest wbrew tradycji.

– Mamo, to żadna moda! – Gniew Tili narasta. – To jest prawo, a ty masz obowiązek go przestrzegać!

– Jak ty się do mnie odzywasz? – Marta traci cierpliwość. – Ja w tym domu rządę i ja decyduję, czy Franka może jeść przy moim stole, czy nie. Nie wiem, czego ciebie nauczono tam, gdzie byłaś, ale mnie się to nie podoba i będę robić, jak chcę.

Franka przysłuchująca się kłótni z początku wydaje się nie rozumieć, o co chodzi, ale usłyszawszy swoje imię, domyśla się, dlaczego Neumannówna się złości. Dziękuje po niemiecku za posiłek i wychodzi z kuchni. Tila też odsuwa z hałasem krzesło.

– Idę do Rosiny – rzuca w przestrzeń i zamyka za sobą drzwi.

Następnego dnia, kiedy wyspana i wypoczęta zasiada do śniadania, Franki nie ma przy stole. Zarówno matka, jak i córka udają, że nie było wczorajszej rozmowy. Marta gorączkowo i pospiesznie, jakby chciała zagadać problem, zdaje relację z wydarzeń, którymi żyje wiejska społeczność.

– Brat Bettiny został ciężko ranny we Francji. Jacyś bandyci wrzucili granat do kawiarni, gdzie przebywali żołnierze. Jest w szpitalu, ale nie wiadomo, czy z tego wyjdzie.

– Wiem, Rosina mi mówiła. Biedna Bettina, uwielbiała Horsta i taka była z niego dumna, kiedy zgłosił się na ochotnika.

– Najbiedniejsi są chyba jego rodzice. Kto teraz obejmie po nich gospodarstwo? Jeśli nawet chłopak przeżyje, na pewno nie będzie chodził. Nie wiem, po co mu to było. Powinien siedzieć w domu, jak go nikt do tej Francji nie zapraszał.

Matylda już ma na końcu języka jakąś cierpką odpowiedź, ale hamuje się w ostatniej chwili. Woli przemilczeć gorzkie słowa, niż znowu sprzeczać się z matką.

– Chyba pisałam ci o tym w liście... W ubiegłym miesiącu pochowaliśmy Williego.

– Co? Nie, nic nie wiem. – Matylda wygląda na szczerze przejętą. – Jak umarł?

– Potracił go samochód. Chciał kupić lekarstwa, więc podwiozłam go, bo też jechałam do Unruhstadt. Wytłumaczyłam mu, że ma poczekać na mnie przed hotelem Grundmanna, ale powiedział, że wróci pieszo, bo chce jeszcze odwiedzić kolegę z dawnego oddziału. No i stało się. Nie słyszał, że coś jedzie, a było już ciemno. Kierowca go nie zauważył. Trup na miejscu – wzdycha Marta.

- Gdzie to było?
- Zaraz na początku wsi. Koło Eichorna.
- A są jakieś dobre wieści?

Marta zastanawia się przez chwilę: – Jedni umierają, a inni się rodzą. Trochę dzieci przybyło w Chwalimiu.

– W Altreben – poprawia ją córka.

– Niech ci będzie. W Altreben urodziło się w tym roku jedenaścioro dzieci. Co prawda to aż o połowę mniej niż w ubiegłym roku, ale jest wojna, więc trzeba podziwiać tych, co mają odwagę mieć dzieci w takich czasach. Na przykład mleczarz Otto Böse ma synka Paula, a Jäckel córeczkę Brigitte.

Tila czuje się już znudzona rozmową, zbiera więc talerze i pyta: – Mamo, co jest do zrobienia?

Marta chwilę się namyśla, bo dotychczasowe obowiązki córki przejęła Franka. – Może wzięłabyś rower i pojechała do sklepu? Jest kilka rzeczy do kupienia, zaraz ci napiszę i dam kartki. Zajrzyj do wujka Gustava, na pewno się ucieszy. Wciąż o ciebie pyta.

Za trzy dni Boże Narodzenie. Marta wybrała się do kościoła na niedzielne nabożeństwo, a Franka siedzi w zimnym pokoiku na górze. To, że służąca sypia tam, gdzie kiedyś mieszkała ciotka, nie podoba się Matyldzie, ale nie ryzykuje już starcia z matką. Nie poszła do kościoła, bo nie wie, co miałyby tam robić. Lagerführerin wyjaśniła im, że religia jest dla naiwnych prostaczków, którzy nie potrafią znaleźć celu w życiu. A przecież ona już go ma – to służba Ojczyźnie i Führerowi. Trzy miesiące temu, kiedy obóz dopiero się zaczynał, Tila nie mogła zrozumieć, jak można nie modlić się przed posiłkiem albo nie iść na nabożeństwo. Teraz myśli zupełnie inaczej, chociaż nie zamierza mówić tego matce. Zachowa pozory, bo konflikty są jej niepotrzebne. Dziś wykręciła się bólem głowy i została w domu, a potem się zobaczy.

Pukanie do drzwi wejściowych od strony ulicy przerywa rozmyślanie. Matylda odkłada marchewkę, którą obierała nad wiadrem, i idzie otworzyć. Na ganku stoi mężczyzna w mundurze. W pierwszej chwili dziewczyna nie wie, kto to, ale znajome niebieskie oczy i szeroki uśmiech powodują, że nieświadomie otwiera buzię ze zdumienia: – Karl? Karl Holzer?

– Tila, co ty. Nie poznałaś mnie? – niby się dziwi, ale naprawdę puchnie z dumy, bo dobrze wie, jakie wrażenie robi w mundurze. – Będziemy tak stać czy wpuścisz mnie do domu?

– Ale... co powie mama? – Matylda rozgląda się bojaźliwie.

– Mamy nie ma, nie bój się – uspokaja młody mężczyzna i bez zaproszenia przekracza próg. – Wiedziałem, że cię zastanę, bo zauważyłem, że pani Neumann idzie sama do Unruhstadt – mówi, zatrzymawszy się na korytarzu. – Gdzie mam wejść?

– Tu. – Tila wskazuje kuchnię. – Przygotowuję obiad i muszę zdążyć, zanim mama wróci.

– Służąca nie może? Poszlibyśmy na spacer.

– Nie. Mama mi kazała to zrobić. Poza tym nawet nie wiem, czy ona umie.

– Niech i tak będzie. – Karl zdejmuje czapkę i kładzie ją na pustym krześle.

– Na długo przyjechałaś?

– Skąd wiesz, że nie zostaję? – dziwi się Tila. – Nikomu jeszcze nie mówiłam.

– Przecież nie będziesz się marnować w tej dziurze. Spójrz na mnie. – Karl wypina pierś do przodu i lekko unosi podbródek. – Już nie Hitlerjugend, a Trzecia Dywizja SS „Totenkopf”. Najpierw jadę na szkolenie, a potem – mówi z zapalem – jak już otrzaskam się w boju, może awans.

– Myślałam, że do SS bardzo trudno się dostać.

– To prawda, ale sobie zasłużyłem. Trochę pomógł mi ojciec, ale ja uważam, że przede wszystkim sam to sobie zawdzięczam – chełpi się mężczyzna.

– Jak pan Holzer mógł ci pomóc? – dopytuje się dziewczyna, której nie mieści się w głowie, że zwykły robotnik był w stanie załatwić synowi jakikolwiek przydział.

– Ten prostak nie jest moim ojcem. Jestem synem hrabiego.

Oczy Tili robią się okrągłe ze zdziwienia. Nagle przypomina jej się rozmowa z Rosiną sprzed dwóch lat. – To oni cię naprawdę porwali?!

– Co ty mówisz? Kto mnie porwał?

– Twoi rodzice. Nie... – płacze się Matyllda – państwo Holzer. Jak pierwszy raz cię zobaczyłam, od razu pomyślałam, że nie jesteś podobny do swojej rodziny. Nawet powiedziałam do Rosiny, że jesteś porwany albo adoptowany, tak do nich nie pasowałeś. Śmiała się ze mnie. Ciekawe, co teraz powie.

– Też wymyśliłaś! Nie mogę! Ale z ciebie głuptas. – Karl wybucha śmiechem. – Bo nie wytrzymam!

Dziewczyna oblewa się rumieńcem i odwraca się, chcąc niby podłożyć dREW do ognia, a potem długo i w milczeniu doprawia zupę.

– Chyba się nie obraziłaś? – Chłopak przechyla się i wyciąga rękę w kierunku Tili stojącej przy piecu. – Tila... coś ty? To było takie zabawne, że nie mogłem się powstrzymać. Chodź tu do mnie – prosi, chwytając jej dłoń. Matyllda dalej stoi, więc przyciąga ją do siebie i sadza na kolanie. – Taki z ciebie dzieciak. Śliczny dzieciak – szepcze jej do ucha, a potem delikatnie całuje w szyję. Ona, zaskoczona tą niespodziewaną pieśczołą, siedzi jak skamieniała i poddaje się kolejnym pocałunkom, czując, że coś nieznanego zaczyna w niej drzeć, i pragnie, by te usta wciąż dotykały jej szyi, włosów i twarzy, a ręce trzymały mocno, nie przyzwalając na ucieczkę.

Otwarcie drzwi gwałtownie przerywa czułą scenę. To Franka czegoś

potrzebuje z kuchni. Tila zrywa się z kolan Karla i odskakuje na bezpieczną odległość, a służąca na widok mężczyzny w mundurze wydaje okrzyk przerażenia i natychmiast cofa się na korytarz.

– Widzisz, jakie robię wrażenie na dziewczynach? – żartuje młody Holzer i próbuje znowu objąć Matyldę, ale ona wykręca się zawstydzona. – Idź już – prosi. – Mama zaraz wróci. Nie wiem, co by powiedziała, gdyby cię tu zastała.

– Dobrze. Nie chcę narobić ci kłopotów, mój ty słodki dzieciaku. Ale powiedz, kiedy znów się zobaczymy. Może jutro?

– Nie, to niemożliwe. – Tila czuje się ogromnie skrępowana i zawstydzona. – Zaraz święta. Mamy dużo pracy, bo będą goście. – Idź już – prosi. – Na pewno jeszcze się spotkamy.

65

Nigdy dotąd w życiu Matyldy nie zdarzyły się tak smutne święta, a Marta mogła jedynie porównać je do Bożego Narodzenia po śmierci rodziców, ale nawet wtedy nie było w domu tak pusto. Do świątecznego śniadania zasiadły z ciotką Lisą, jej mężem i synami, lecz już wieczorem goście wyjeżdżali, bo Paul i Johann nazajutrz z samego rana musieli stawić się w zakładzie. Przedsiębiorstwo Beuchelta pracowało pełną parą. Wciąż zawyżano normy produkcji i wydłużano czas pracy. Nawet przed kampanią polską nie było tylu zamówień od wojska, dlatego mężczyźni z rodziny Liepeltów bez skrępowania zastanawiali się głośno, który z wrogich Niemcom krajów zostanie pokonany wiosną. Ku przerażeniu Lisy nie tylko Johann rwał się na wojnę, ale i szesnastoletni Adam palił się do walki.

Tila z matką siedziały smutne nad pełnymi talerzami. Jakże inne były to święta od zeszłorocznych. Żył Walter, a Janka i Gustav cieszyli się swoim małym domem. Bardzo brakowało ich wszystkim. Nawet Marcie pomału mijał gniew na męża, a jego miejsce zajmowało przebaczenie.

Matylda najchętniej wróciłaby do obozu RAD. Kiedy tam była, często tęskniła do domu. Tu jednak też nie czuła się dobrze. Męczyło ją nadskakiwanie matki, obca dziewczyna w domu i zupełnie nowe relacje z Karlem. Przyjaciel nie był tym samym chłopcem, z którym dwa lata temu zjeżdżała z góry na sankach. Zmienił się jego wygląd i zachowanie. Najwyraźniej sama rozmowa już mu nie wystarczała, a ona wolałaby, żeby na razie nic się między nimi nie zmieniło.

W świąteczny wieczór Marta, Tila i ich goście, ubrani w ciepłe płaszcze, owinięci szalami i z czapkami na głowach ruszyli w kierunku małej stacyjki. Na dworze wiał lodowaty wiatr, który przenikał przez warstwy odzieży i zamieniał człowieka w sopel lodu. Nie rozmawiali, bo każdy koncentrował się jedynie na tym, żeby przez zbędne otwieranie ust nie tracić resztek ciepła. Zimny podmuch uderzył w nich z nową siłą, kiedy minęli gospodarstwo Gustava Schulza i wyszli

na otwartą przestrzeń między łąkami. Ucieszyło ich punktualne przybycie pociągu. Pożegnanie było szybkie i zdawkowe. Liepeltowie schronili się w ciepłym wagonie, a Marta z córką wyruszyły w drogę powrotną. Były już koło remizy strażackiej, kiedy obie jednocześnie doszły do wniosku, że dalej nie dadzą rady iść. Muszą zejść do Ulrichów i choć trochę się ogrzać.

Chwilę potem znalazły się przy zastawionym stole, w ciepłym domu z choinką sięgającą po sam sufit, z małym dzieckiem próbującym dosięgnąć długiego cukierka zwisającego między gałązkami i ludźmi, którzy stanowili prawdziwą kochającą się rodzinę. Byli wszyscy: Josef z Hedwigą, Elza z mężem i synkiem, Katharine, Anna i chłopcy: Paul i Gustav. Tila rozglądała się za Emilem, lecz nigdzie go nie dostrzegła. Zjawił się dopiero, kiedy wychodziły w zimną ciemność. Josef chciał je odprowadzić, ale był przeziębiony, więc Hedwiga stwierdziła, że po obfitej kolacji spacer dobrze jej zrobi, i szybko, zanim mąż zdążył zaprotestować, włożyła grubą kapotę.

– Ja też pójdę. Przypilnuję, żeby nikt cioci nie porwał w drodze powrotnej – żartuje Emil.

– A kto by taką starą babę chciał brać sobie na kark – odpowiada ze śmiechem, ale cieszy ją propozycja wychowanka.

Idą pod rozgwieżdżonym niebem – Marta z Hedwigą i nieco z tyłu Tila z Emilem. Tak jak wcześniej trudno się rozmawia, bo wiatr nie daje za wygraną i dokucza ludziom z całych sił. Mimo to niezręcznie byłoby nie zamienić ani słowa.

– Nie chce mi się wracać – wzdycha Marta. – Tak tam teraz smutno i pusto. Bez Janki dom nie jest taki jak kiedyś.

– A co z Gustavem?

– Córka prawie siłą zabrała go do siebie na święta. Nie chciał przyjść ani do nas, ani do swoich dzieci. Jest strasznie przygnębiony. To wszystko jest takie niesprawiedliwe i okrutne. Nie ma dnia, żebym nie zastanawiała się, co ta biedna Janka teraz robi, czy jej nie zimno albo czy nie chora.

– Też często o niej myślę. Musisz mieć nadzieję, że przetrzyma obóz i wróci. – Hedwiga próbuje pocieszyć kuzynkę.

Matylda z Emilem z początku idą w milczeniu, jakby dawni przyjaciele nie mieli sobie już nic do powiedzenia. Krępującą ciszę przerywa Emil.

– Dobrze, że wróciłaś do domu. Mamie bardzo ciebie brakowało.

– Nie wróciłam. Przyjechałam tylko na święta – wyznaje dziewczyna.

– Ciocia Marta wie? – pyta zaskoczony kuzyn.

– Nie. Nie mam odwagi jej powiedzieć. Jest taka... Nie wiem, jak to określić... inna. Pozwala mi na wszystko, nie krytykuje, nie goni do pracy. Nie wiem, co o tym myśleć. Wolałabym, żeby była taka jak kiedyś. Łatwiej byłoby mi powiedzieć.

– Kocha cię. Cieszy się, że znowu cię ma przy sobie – tłumaczy ciotkę Emil.

– Ale przez to czuję się, jakby mnie szantażowała. Przecież kochała mnie też, zanim wyjechałam, a taka nie była – skarży się płaczliwie Matylda.

– Nigdy dotąd nie rozstawała się z tobą na tak długo. Myślę, że musiała bardzo tęsknić. Nie ma już nikogo na świecie, kogo mogłaby kochać. – Głos chłopca jest jakiś stłumiony, a może to wiatr wpycha mu słowa z powrotem w gardło.

– Jak to jest, że ty zawsze wszystkich rozumiesz? – pyta poirytowana Tila.

– Nie wszystkich. Tylko tych, którzy ciebie kochają.

Dziewczyna nie ma czasu zastanowić się nad tym, co powiedział kuzyn, bo są już przy furtce.

– Powiedz mamie jak najprędzej. Nie oszukuj jej – radzi Emil na pożegnanie.

W kuchni jest ciepło, bo Franka podtrzymuje ogień pod płytą. Teraz, kiedy gospodyni z córką wróciły, cicho wychodzi i bez słowa idzie do zimnego pokoju na poddaszu. Gdy tylko kroki na schodach milkną, Matylda pyta:

– Jaka ona jest, ta Franka?

– Widzisz przecież. Jakby jej nie było. Jakoś się z nią dogaduję, ale tylko tak, że mówię, co ma zrobić. Jak się nie zna języka, trudno rozmawiać o czym innym.

– Dobrze pracuje?

– Czy ja wiem? Wolałabym, żebyś to ty była w domu. Jest pomocna, ale zauważyłam, że pracuje lepiej, kiedy patrzę albo jak coś robimy razem. Sama się guzdrze, a jak skończy, to z własnej woli niczego innego nie robi, tylko czeka, aż jej powiem.

– Tam, gdzie mamy obóz, polscy parobcy też są leniwi. Bez przerwy trzeba ich pilnować. To naprawdę jakaś niepełnowartościowa rasa.

– Daj spokój, dziecko. Jesteśmy w domu, a nie na twojej zbiorce – mówi Marta znużonym głosem. – Mądrzy ludzie powiadają, że z niewolnika nie zrobi się pracownika.

Matylda chce dać matce zdecydowaną odpowiedź, ale jedno spojrzenie na smutną twarz powstrzymuje ją przed nieuchronną sprzeczką. „Nie mogę jej dalej oszukiwać. Emil ma rację” – myśli.

– Mamo... muszę ci coś powiedzieć – zaczyna z wahaniem. – Po Nowym Roku wracam do obozu. – Nie słyszy żadnej odpowiedzi, dodaje więc: – Jestem tam potrzebna. Nie mogę przerwać służby.

– Wiem, że wracasz – odzywa się Marta po długiej chwili milczenia.

– Skąd?!

– Greta powiedziała mi wczoraj. Myślała, że wiem. Mówiła, że twoja komendantka jest z ciebie bardzo zadowolona. Podobno sama zgłosiła się do dalszej służby. – Twarz matki i jej głos nie wyrażają gniewu, a raczej

przygnębienie i zupełną rezygnację, dlatego Tila aż kuli się ze wstydu.

– Mamo, przepraszam. Ja... miałam ci od razu powiedzieć, ale nie chciałam, żeby było ci przykro... i bałam się, że będziesz krzyczeć, że nie zrozumiesz...

Marta milczy, a i Matylda nie wie, co jeszcze mogłaby dodać. Ogień pod płytą zaczyna wygasać, zimne poduchy wiatru uderzają o szybę, a one siedzą zatopione w myślach na przeciwległych końcach stołu. Wreszcie matka podnosi się ciężko i mówi:

– Idźmy spać. Niech się nareszcie skończy ten świąteczny dzień.

Żadna z kobiet mieszkających pod tym dachem nie zasnęła od razu. Marta dała upust łzom, które od wczoraj ścisnęły jej krtań, tak że ledwie mogła rozmawiać i uśmiechać się do siostry i jej rodziny, a Tila zastanawiała się, jak wynagrodzić matce to, że była wobec niej nieszczerą. Gdyby tu była ciocia Janka, dziewczyna natychmiast wysunęłaby się spod ciepłej pierzyny i poszła do niej na palcach, żeby nie obudzić mamy, wtuliłaby się w ciotczyne objęcia i zapytała, co ma teraz robić, żeby naprawić swój błąd. Franka chlupała w poduszkę, bo to były jej pierwsze święta z dala od rodziny, samotne i biedne. Myślała, że nawet krowy w oborze mają lepiej, bo gospodyni je czasem pogłaszcze, poklepie i powie coś do ucha. Ona zaś była tu rzeczą, na którą nikt nie zwracał uwagi.

Ranek też nie przyniósł nikomu ulgi. Tila czuła się nieswojo, bo matka była dla niej taka sama, jak przez minione dni. Wolałaby awanturę, wyrzuty albo gniewne milczenie, a była tylko serdeczność i dobre słowa. Po południu postanowiła zrealizować powzięte w nocy postanowienie. Powiedziała, że idzie odwiedzić Bettinę, i tak rzeczywiście zrobiła, ale prawdziwym celem przechadzki w lodowatym wietrze była pani Kisch. Zastała u niej Kerstin Heckman, mimo to zdobyła się na odwagę i wyjaśniła, po co przyszła. Wracła w trochę lepszym nastroju, bo pani Kisch obiecała jej, że spróbuje spełnić prośbę, ale żeby nikomu, nawet matce, o tym nie mówiła, bo zaraz będzie miała kolejkę znajomych z podobnymi sprawami.

Zobaczyła Karla z daleka. Musiał czekać na nią od dłuższego czasu, bo przestępował z nogi na nogę i wymachiwał rękami. Na jego widok ucieszyła się i przestraszyła zarazem. Nie wiedziała, czego może się spodziewać, więc na wszelki wypadek zwolniła kroku, by dać sobie czas na ochłonięcie.

– No, nareszcie. Myślałem już, że zamarznę – mówi, kiedy Tila jest blisko. – Gdzie byłaś tak długo?

– U Bettiny. Nie wiedziałam, że czekasz.

– Zobaczyłem przez okno, że idziesz, więc pomyślałem, że niedługo będziesz wracała i może dasz się skusić na spacer nad jezioro.

– O nie! Mam już dość zimna. Nigdzie nie pójdę, a zwłaszcza tam – protestuje Matylda.

– Wyjątkowo się z tobą zgodzę, ale mam inną propozycję. Rozmawiałem

z Petrasami. Podobno w Unruhstadt jest w kinie dobry film. Oni się wybierają, więc może i my byśmy poszli?

Tila wydaje się nie rozumieć, co do niej mówi. Z napięciem wpatruje się w małą kropkę wilgoci, która osiadła na włoskach w jego nosie.

– Zamurowało cię? – niecierpliwie się chłopak.

– Nie. Tylko ja... Nie mogę. Mama mi nie pozwoli.

– Wiedziałem, że będziesz się wykręcać. Ciekawe, co powiesz na to, że Rosina też idzie? Z nią cię puści na pewno.

Matylda myśli gorączkowo, co jeszcze mogłaby powiedzieć, ale już nic nie przychodzi jej do głowy. – No dobrze, zapytam – mówi niechętnie.

Marta rzeczywiście się zgodziła i po południu wyruszyli w piątkę do Unruhstadt do sali Gustava Eichlera, od czasu do czasu zamieniającej się w kino. Przed budynkiem czekał na nich z biletami kolega Michaela Petrasa, Otto, który bardzo podobał się Rosinie. Ponieważ byli w komplecie, czym prędzej zanurzyli się w ciepłe ciemnej sali kinowej. Jak zawsze, także i tym razem seans poprzedzała kronika filmowa. Dziewczyny uważały, że jest wyjątkowo nudna. Najpierw była relacja z sanatorium dla wracających do zdrowia żołnierzy, a potem ćwiczenia nowych żołnierzy na wielkim zaśnieżonym placu w Oslo, wizyta generała na stanowiskach bojowych gdzieś na Zachodzie, później żołnierze robiący świąteczne prezenty dla dzieci i tak w kółko. Trwało to dobre dwadzieścia minut, więc siedzące na sąsiednich krzesłach przyjaciółki zaczynały przysypiać. Chłopcy natomiast oglądali filmiki z zainteresowaniem, komentując coś od czasu do czasu albo popisując się znajomością tej czy innej pokazywanej broni. Wojna w kronice nie była przerażająca, przeciwnie, robiła wrażenie przygody dla prawdziwych mężczyzn. Wreszcie zaczął się film – *Serce królowej* z Zarah Leander w roli głównej. Była to historia Marii Stuart wspominającej swe życie tuż przed egzekucją. Tym razem mężczyźni wiercili się niespokojnie, a kobiety wzdychały, pociągały nosami i ocierały łzy. Tila też chętnie by popłakała, ale już na samym początku filmu Karl wziął ją za rękę. Kiedy Matylda spojrzała na Rosinę, chcąc sprawdzić, czy ta widzi, zauważyła, że Otto też ściska rękę jej przyjaciółki.

Początkowo siedziała sztywno i z udawanym zainteresowaniem wpatrywała się w ekran, a tymczasem Karl zwolnił uścisk i zaczął kciukiem najpierw głaskać grzbiet jej dłoni, potem przenosił pieszczotę na nadgarstek, znowu wracał i przesuwiał kciuk ku czubkom palców, leciutko zataczając małe kółka. Subtelny dotyk sprawił, że napięcie ustąpiło, a dłoń sama poddawała się czułym gestom i otworzyła swe wnętrze, aż Tila się zapomniała i głośno westchnęła w chwili, kiedy Karl i tam, w najbardziej wrażliwym miejscu, zaczął kreślić tajemne znaki.

Po kinie dziewczęta zostały zaproszone do Peschela na filiżankę gorącej czekolady. Co prawda napój w niczym nie przypominał tego sprzed dwóch lat, był jedynie jakimś erzacem, ale im to nie przeszkadzało. W świątecznych dekoracjach

pośród gwaru ludzi sączyli słodki napój i rozmawiali o błahych sprawach, jakby za drzwiami gdzieś w ciemnościach nie czaiła się wojna i nie czekała, aż weźmie okup.

66

Zima nareszcie mija. Nie była tak straszna, jak ta sprzed roku, ale też dała się ludziom we znaki. Na początku, w grudniu, ziemię pozbawioną śniegu ścisnął mróz, przed świętami temperatura się podniosła i przez dwa dni padał ulewny deszcz, a potem znowu zimny wiatr przyniósł ziąb na gołą ziemię, mroząc ją bardzo głęboko. Późniejsze obfite styczniowe śniegi nie były już żadną ochroną dla bardziej wrażliwych roślin.

Druga połowa marca 1941 roku jest na tyle ciepła, że Marta decyduje o otwarciu kopca z warzywami. Nie tylko Jäckel się o nie dopytuje, ale i sklepikarze z Unruhstadt gotowi są wziąć każdą ilość. Obie z Franką mają na nogach wielkie kalosze ubrudzone błotem, a i robocze ubrania powalane są ziemią. Odgarniają słomę, żeby dostać się do wnętrza. Marcie tak się spieszy, żeby zobaczyć, czy marchew nie przemarzła, że nie zwraca uwagi na to, że nogi na cienkiej warstwie błota, pod którą jest jeszcze zmarzlina, zaczynają się rozjeżdżać i po chwili pada jak długa w lepłą maź. Dobrze, że w ostatnim momencie wyciągnęła do przodu ręce, dzięki czemu nie upadła na twarz.

Taką ubłoconą, wyglądającą jak siedem nieszczęść gospodynię zastaje Greta Kisch. – Przerwij na chwilę i podejdź do mnie! – woła od bramy, bo boi się o swoje czyste trzewiki.

Pierwsza myśl, jaka przemyka przez głowę Marty, dotyczy Tili – czy coś się jej nie stało. Dlatego rzuca wszystko i tak szybko jak się da człapie w kierunku gościa. Jednak zanim zdążyła zadać jakiegokolwiek pytanie, Greta sama zaczyna mówić:

- Mam dla ciebie niespodziankę!
- Tila przyjechała? – cieszy się Marta.
- Nie. Jeszcze nie teraz, ale mam coś lepszego, o co twoja córka dla ciebie prosiła. Chodź, to ci pokażę. Peter Radach przejeżdżał rowerem, to powiedziałam mu, żeby go popilnował.
- Greta, o co ci chodzi? Gdzie mnie prowadzisz? Nie widzisz, jak wyglądam? Nie mogę tak się pokazać sąsiadowi, muszę najpierw umyć się i przebrać – protestuje Marta.
- Nie zwracaj mi głowy. Kogo obchodzi twój wygląd. Spójrz – mówi i wyciąga rękę w stronę furtki prowadzącej na ulicę. Zaraz za nią stoi Peter, a obok niego chłopiec w czapce na głowie i w biednej połatanej kapocie.
- Widzisz, jest twój! Tylko że coś za coś. Zabieram ci Frankę.
- Oszalałaś?! Po co mi ten dzieciak? A Franka? Teraz, kiedy nauczyłam ją

wszystkiego, ty bierzesz ją dla siebie? Dziękuję bardzo za taką zamianę!

– Wiesz co, chyba rzeczywiście musimy spokojnie porozmawiać. – Pani Kisch wzdycha z rezygnacją, a potem woła do Petera: – Daj mi go tutaj. Wejdzimy do domu.

Marta zostawia na ganku kalosze i oblepiony ziemią kaftan i prowadzi oboje do kuchni. Jeszcze się tli pod płytą, rozgarnia więc pogrzebaczem żar i dorzuca drew. Dopiero potem obraca się w stronę siedzącej już na krześle kobiety.

– Mów, o co w tym wszystkim chodzi.

– Zacznę od początku. W święta była u mnie twoja córka. Martwiła się, że zostawia cię na tak długo bez pomocy, więc poprosiła, bym załatwiła dla ciebie robotnika. Chodziło jej o mężczyznę, który zna się na pracy w gospodarstwie. No i masz – pokazuje na stojącego przy drzwiach chłopca.

Dopiero kiedy zdjął czapkę, Marta uświadamia sobie, że to nie dziecko, tylko młody, szczupły mężczyzna. Nie patrzy na nią, tylko wbija wzrok w ziemię, ale i bez tego zauważa niesympatyczny, wręcz odpychający wyraz twarzy.

– Mówisz, że zna się na gospodarstwie?

– W Arbeitsamcie tak mi powiedziano. Specjalnie dla mnie go zostawili. Liczą się ze mną – dodaje Greta chełpliwie.

– A dlaczego chcesz zabrać Frankę?

– Miałabyś za dobrze. Ludzie zaczęliby gadać. Robotników jest mało, a o naprawdę dobrych najtrudniej. W dodatku pierwszeństwo mają ci, których synowie są na froncie. Zresztą i tak nie będzie ci potrzebna, jak wróci Tila.

– Szkoda mi jej. Nie jest taka zła. Sporo już umie – waha się Marta.

– Nie możesz mieć obojga. Nic na to nie poradzę. – Greta potrząsa siwą głową.

Marta kalkuluje przez chwilę, patrząc przez okno na Frankę, która na polu tuż za bramą pochylona przy kopcu wkłada do wiadra marchew.

– Dobrze – ciężko wzdycha. – Bierz ją. Mam nadzieję, że on jest wart tej zamiany. Pójdę ją zawołać.

Zanim Franka ogarnęła się trochę i przyszła do kuchni, Greta, trochę zakłopotana, zwierza się Marcie ze swego problemu.

– Wiesz, że nasza organizacja opiekuje się wielodzietnymi rodzinami, takimi na przykład jak Holzerowie. Teraz ich syn służy ojczyźnie, więc należą się im dodatkowe korzyści, tym bardziej że wkrótce pojawi się u nich nowa pociecha. Tylko że mam kłopot. Żadna z dziewcząt z Reichsarbeitsdienst w Unruhstadt nie chce pracować u Holzerów. Od ubiegłego roku zmieniło się kilka i albo Emma je wyrzucała, albo same odchodziły. Mówiąc między nami, Holzerowa ma paskudny charakter.

– Wiem, ale co mi do tego. – Marta ma już dość gadania, bo chciałaby czym prędzej wrócić do przerwanej zajęcia.

– Pomyślałam, żeby dać Franke Holzerowej. Tyle że tam nie ma gdzie spać. Domek malutki, ledwie dwa pokoje. Czy mogłybyśmy tak się ułożyć, że Franka będzie u ciebie spała i jadła, a do Emmy będzie chodzić do pracy? Przecież to tylko kilka kroków – dodaje prosząco.

Marta jeszcze raz obrzuca wzrokiem człowieka stojącego przy drzwiach, tak jakby wciąż się wahała. – Dobrze. Niech tak zostanie. Jedzenia jest dosyć dla wszystkich. Tylko gdzie ja go położę? – zastanawia się, patrząc z niepokojem na chmurne oblicze.

Z czasem wszystko się jakoś ułożyło. Stefan, bo tak ma na imię nowy robotnik pani Neumann, zamieszkał w letniej kuchni. Od dawna stała tam stara leżanka, na której kiedyś sypiał wynajmowany na czas żniw dodatkowy pracownik. Noce były jeszcze bardzo chłodne, więc gospodyni dała mu pierzynę i starą poduchę obleczone w połataną pościel. Później, kiedy dojrzała, jak biedne ma odzienie, kazała France zanieść mu kilka rzeczy Waltera, wśród nich koszulę z przeszitym kołnierzykiem, którą tak lubił nosić po pracy. Rozwiązał się też problem z posiłkami. Odkąd Tila oburzyła się na wspólne z Franką siadanie do stołu, dziewczyna za żadne skarby nie chciała jadać razem z Martą. Nawet kiedy Matylda wyjechała, nic się nie zmieniło. Marcie było przykro, że tak osobno się posilają – ona w kuchni, a Franka w zimnym pokoiku z talerzem na kolanach. Teraz polscy robotnicy mogli razem jadać w letniej kuchni i przy okazji rozmawiać ze sobą. Franka najczęściej zwierzała się z tego, jak jest traktowana przez nową panią. Nieraz, popłakując, pokazywała siniaki, zadrapania albo miejsca po wyrwanych włosach. Mimo to w żadnym razie nie wróciłyby do dawnej sytuacji, bo dzięki temu, że ona pracuje u tej *wiedźmy*, jest tu Stefan. Dziewczyna natychmiast przyłgnęła do milczącego, nachmurzonego chłopaka. Nie zwracała uwagi na to, że niewiele o sobie mówi i prawie jej nie słucha. Tak zmęczyła ją samotność i poczucie wyobcowania, że polubiłaby każdego, z kim mogłaby rozmawiać w ojczystym języku i kto miałby podobny do niej status.

Greta nie kłamała. Najpierw Stefan zajął się Lotte. Za pośrednictwem Franki przekazał gospodyni, że klacz powinna mieć zdjętą podkowę i podcięte kopyta. Marta pomyślała ze wstydem, że dawno powinna była jechać do kowala, ale tak przytłoczyły ją inne sprawy, że kompletnie o tym zapomniała. Pewnego dnia zastała Stefana, jak naprawiał opuszczone drzwi do stodoły. Chętnie zapytałaby go, dlaczego to robi nieproszony, ale spojrzenie rzucone spode łba zniechęciło ją do wszelkich prób porozumienia. Nie przyznałaby się do tego nikomu, ale po kilku tygodniach uświadomiła sobie, że to chude, niepozorne i wciąż zagniewane chłopaczysko sprawiło, iż czuła się bezpiecznie, bo w obejściu był mężczyzna, który potrafił zadbać o zwierzęta, a prócz tego naprawić wszystko, co od lat wołało o ratunek. Franka całe dni spędzała przy dzieciach Holzerów, a Tili wciąż nie było, wszystkie kobiece obowiązki spadły więc na Martę. Od rana do wieczora

siała, podlewała, okrywała na noc dopiero kiełkujące warzywa, rozliczała się z obowiązkowych dostaw i po cichu sprzedawała to, co udało się jej ukryć przed Stanem Żywicieli Rzeszy. List od córki, w którym zawiadamiała, że nie przyjedzie na Wielkanoc, sprawił jej przykrość, ale nie aż taką, jak można by się spodziewać. Często zaglądała do szafy, gdzie zawinięte w gazetę pod stosem obrusów i pościeli leżały pieniądze „na Jankę”. Zwróciła Gustavowi jego część, ale swojej pochodzącej ze sprzedaży krowy i tego, co dołożył Walter, nigdy nie ruszyła. Teraz, kiedy mogła trochę bardziej optymistycznie patrzeć w przyszłość, zastanawiała się nad kupnem trzeciej, a może i czwartej krowy.

O ile Marcie wracał spokój ducha, o tyle w całej okolicy zapanowało przygnębienie. W lutym dostał powołanie do wojska cały rocznik 1921. Stało się tak, jakby jakaś nieznana siła wessała nagle wszystkich dwudziestoletnich chłopców, bo zniknęli z pól, fabryk, budów, a nade wszystko z rodzinnych domów. Zostali tylko ci, którzy tak jak Ewald Radach zupełnie nie nadawali się do wojska albo byli niezbędnie potrzebni w gospodarce. Żegnani łzami rodziców i rodzeństwa odjechali pewnego dnia Michael Petras, brat Rosiny, i Andreas Richter, syn Manfreda. Coś niedobrego wisiało w powietrzu i czuli to nie tylko wieczni malkontenci, ale i najbardziej gorliwi wyznawcy Hitlera.

To jednak nie zaprzęta głowy pani Neumann, kiedy pewnego kwietniowego dnia rażno idzie nad Schwentesee, by jak co roku ocenić stan swojej winnicy. Wieje lekki ciepły wiosenny wietrzyk, skowronek unosi się nad polami, a nad wsią leżącą w dole kołuje bocian. Ciemne, świeżo zaorane pola przeplatają się z dywanami intensywnie zielonej oziminy. Marta łapie w nozdrza zapach ziemi, traw i pierwszych kwiatów. Czuje, jak jej dusza budzi się z zimowego snu, krew zaczyna szybciej krążyć, a pragnienie życia zwycięża mieszkającą w niej dotąd ciemność.

Z pogodnym uśmiechem pochyla się nad małym ziemnym pagórkiem, pod którym śpi pień winorośli. Rozgarnia go ostrożnie, z miłością, jakby bała się uszkodzić młode pączki. Są tam... pocerniałe, martwe, zabite przez mróz. Marta osuwa się na kolana. Jeszcze nie wierzy, pełźnie ku następnemu kopczykowi. To samo. Jej winnica umarła.

Widok pustego łóżka Ulriki nie pozwala Tili zasnąć. Wierci się, przewraca z boku na bok, odrzuca koc, bo wydaje się jej, że majowa noc jest zbyt duszna, potem znów się przykrywa. Słyszy, jak dyżurująca Maria Napierala szuka latarki, i widzi nikłe światło na tarczy blaszanego budzika. Matylda nie chce myśleć o Ulrice, ale to przychodzi samo i siedzi w duszy jak kolec. Tłumaczy sobie, że postąpiła jak trzeba, bo powiedziała lagerführerin o spotkaniach koleżanki z polskim parobkiem, jednak wtedy nie zastanawiała się, co może się wydarzyć później. Jeszcze teraz brzmi w jej głowie dzikie wycie Ulriki, którego nie zdołały stłumić drzwi do pokoju Kramer. „A przecież lagerführerin postąpiła bardzo *po ludzku* – tłumaczy sobie Tila. – Powiedziała jej tylko, że zadając się z Polakiem, złamała wszelkie zasady panujące w obozie, sprzeniewierzyła się czystości swojej rasy i powinna zostać surowo ukarana, ale że nie chce skandalu i śledztwa, więc po prostu jutro z samego rana odsyła ją do domu”. To wtedy Ulrika zaczęła tak wyc. Nic nie mówiła, nie zaprzeczała i nie błagała, tylko wyła. Potem usłyszały jeszcze głośnie trzaśnięcie drzwiami i zapadła cisza. Po chwili do sypialni wpadła Kramer i krzyknęła: – Wstawajcie! Trzeba szukać tej wariatki! – Zerwały się z łóżek, narzuciły coś na siebie i wybiegły w zimną grudniową noc. Tila z Ireną ruszyły do stajni sołtysa. Ledwie ją dostrzegły w nikłym świetle księżyca wpadającym przez otwarte wrota. Siedziała wciśnięta w kąt i coś do siebie szeptała. Dopiero kiedy chwyciły ją pod pachy i usiłowały podnieść, zauważyły w jej ręce sznur. – Nie mogę, nie mogę – jęczała. – Ta cholerna belka jest za wysoko.

Nazajutrz przyjechał wezwany przez Herminę lekarz, który zabrał dziewczynę ze sobą. I tak pod pretekstem choroby psychicznej Ulrika opuściła obóz. Nikt nie poniósł konsekwencji, łącznie z parobkiem, który gdzieś zniknął.

Lagerführerin była wdzięczna Tili za informację i w ogóle bardzo zadowolona, że tak szybko, sprawnie i po cichu udało się rozwiązać problem. Od tamtego wydarzenia Matylda jest ulubienicą Herminy. Dziewczęta to widzą, czasem więc jej dokuczają, ale dla nich od początku jest Małą, toteż traktują ze zrozumieniem tę nadzwyczajną łaskawość przełożonej.

Wszystko dobrze się skończyło, dlaczego więc, mimo że od tamtych wydarzeń minęło pięć miesięcy, to puste łóżko nie daje jej spokoju? Tila obraca się na drugi bok, twarzą do Ireny. Kiedy przed snem jak zwykle rozmawiały szeptem, Matylda nareszcie zwierzyła się ze swego największego sekretu. Karl ją pocałował! Odprowadził na pociąg i, kiedy miała już wsiadać, przyciągnął do siebie i pocałował w usta! Nie czuła co prawda niczego nadzwyczajnego. Zastanawiała się raczej, czy Karl nie rozpoznaje smaku czosnku, którym matka ją nakarmiła poprzedniego wieczoru. To wspomnienie jest jednak na tyle zajmujące, że zapomina o Ulrice, wkrótce się uspokaja i zasypia.

O świcie wsiadają na podstawioną furmankę i w komplecie wyruszają do sąsiedniej wsi, gdzie mają przygotować domy dla osadników. Ostatnio przybywa ich coraz więcej, tak jakby władzom bardzo się spieszyło, by zakończyć akcję jeszcze w tym roku. Gruntowa droga wiedzie przez sosnowy las pełen świergotu ptaków, zapachu wiosny i krzewów obsypanych białym kwieciem, ale im nie w głowach podziwianie uroków przyrody. Tak często słyszały o czających się za każdym drzewem bandytach, że teraz rozglądają się trwożnie, jakby rzeczywiście ktoś miał zaraz wyskoczyć zza krzaka. Wreszcie dojeżdżają na miejsce.

Wieś leży wśród pól obsianych ledwo co wykłoszonym zbożem. Bliżej drewnianych chat stoją w bieli sady i soczyście zieleni się trawa ozdobiona tysiącami żółtych kwiatów mniszka. Gdyby nie wściekłe ujadanie psów, mogłoby się wydawać, że to miejsce jest rajem na ziemi. Im są bliżej, tym więcej dźwięków do nich dociera. Słyszą krzyki, lamenty kobiet i płacz dzieci. Dziewczeta patrzą pytająco na lagerführerin, ale ta tylko wzrusza ramionami, bo skąd miałyby wiedzieć, co ten hałas oznacza. Dopiero we wsi domyślają się, co się dzieje. Trafiły w sam środek wysiedlania polskich mieszkańców. Mężczyzna w mundurze SS wrzeszczy na chłopów, chcąc przyspieszyć ewakuację, a oni bez końca żegnają się ze swoimi domami i zwierzętami. Zobaczywszy nadjeżdżającą furmankę, zostawia grupkę przestraszonych kobiet i szybkim krokiem rusza w ich stronę.

– Dlaczego tak późno?! Miałyście być z samego rana!

Lagerführerin nie zamierza dać sobą pomiatać, patrząc więc na esesmana z wysokości wozu, odpowiada oburzonym tonem: – Co to ma znaczyć? Dlaczego ewakuacja jeszcze nieskończona? Miałyśmy sprzątać domy, a tu się okazuje, że musimy czekać!

Oficer, widząc hardą minę Herminy Kramer, spuszcza z tonu i już spokojniej wyjaśnia: – O szóstej rano mieli wszyscy stawić się u wyjazdu ze wsi, ale nikt nie posłuchał. Ja nie mam ludzi do roboty, bo prawie całą obsadę placówki zabrano do armii. Czekam na uzupełnienie składu, ale na razie mam rozkaz ewakuować tych chłopów. Do pomocy dostałem dwóch folksdojczów i jednego polskiego policjanta. Nikt się ich nie boi, muszę więc sam poganiać tę ślamazarną bandę. Wy mi pomożecie – dodaje zdecydowanym tonem.

– Nie ma mowy – odmawia Kramer. – Moje dziewczeta nie są przygotowane do tego typu zadań. Poczekamy, aż ewakuacja się skończy, i dopiero wtedy zaczniemy sprzątać.

– Bardzo proszę, nie róbcie trudności. W końcu chodzi o dobro osadników. Co pomyślą, jak przyjadą, a nic nie będzie gotowe? – oficer próbuje poruszyć sumienie Herminy.

Lagerführerin namyśla się przez chwilę, ale jej opór słabnie. Patrzy pytająco na swoje podopieczne i widzi, że są gotowe sprostać nowemu wyzwaniu.

– Co mamy robić?

Oficer wzdycha z ulgą i czym prędzej wyjaśnia: – Niektórzy Polacy wciąż się pakują. Trzeba ich przypilnować, żeby brali ze sobą tylko to co niezbędne. Tych, którzy już się spakowali, należy sprawdzić, zobaczyć, co wzięli, i zabrać im rzeczy potrzebne przesiedleńcom. W końcu nie mogą wejść do pustych domów. Tylko uważajcie, oni są sprytni i jak się nie patrzy, wykradają nawet to, co im się wcześniej odebrało. Kiedy będą gotowi, skłonić ich wszelkimi sposobami, żeby jak najprędzej znaleźli się w punkcie zbiórki. Potem możecie przystąpić do sprzątnia.

– Dobrze, ale proszę mi dać kilka minut na rozmowę z dziewczętami – domaga się Kramer.

Kiedy oficer odchodzi, lagerführerin każe swym podopiecznym ustawić się w szeregu obok wozu i ciężko westchnąwszy, mówi:

– Nie musimy tego robić, ale same słyszałyście. Przyjadą osadnicy i nie mogą wejść do domów, w których jest brudno i pusto. Znam was od miesięcy i wiem, ile jesteście warte. Nieraz dałyście dowody wierności państwu i lojalności wobec mnie, swojej dowódczyni. Dzisiaj macie prawo się czuć jak żołnierze na froncie. Musicie wyzbyć się wszelkich nieprzydatnych uczuć – skrepowania, wstydu czy litości. Zwycięzca zawsze wypędza pokonanego. Przypomnijcie sobie, co wam mówiono w szkole o tym, jak Niemcy byli wypędzani po tamtej wojnie, ilu krzywd doznali. Trzeba z tym raz na zawsze skończyć. Zwycięstwo musi być po naszej stronie – nieodwracalnie. Ale dopóki to się nie stanie, wiedźcie, że kto sam nie chce cierpieć, musi zadawać cierpienie. Ten, kto ma władzę, jest panem swego losu. Pamiętajcie, żadnego współczucia, litość wobec wroga jest samobójstwem dla Niemców – kończy, a one pod wpływem tych słów czują jedynie gotowość do działania i chęć poświęcenia dla ojczyzny. Tak jak lagerführerin nakazała, odrzucają miękkość i wrażliwość i biorą się do pracy.

Gdyby ktoś przyglądał się im w akcji, nie mógłby się nadziwić, że te osiemnasto-, dziewiętnastoletnie dziewczęta potrafią działać tak szybko, skutecznie i bez cienia wahania. Tila, która pracuje razem z Ireną, z podziwem zerka na jej twarz – słodycz i niewinność zastąpiło zdecydowanie. Dziewczyna rozwiązuje toboły, nie bacząc na prośby i szlochy ich właścicieli, wysypuje na podłogę bądź na gołą ziemię ich zawartość, sprawnie przerzuca i oddziela ziarno od plew, czyli odkłada to, co jej zdaniem może się przydać przybyszom, a potem każe rozwiązywać następne i następne. Przy okazji omiata wzrokiem sylwetki podejrzanie grubo odzianych kobiet i niektórym każe zdejmować wierzchnie okrycie. Nie krzyczy, nie popycha i nie wymachuje rękami, ale jest w niej coś takiego, że ludzie robią, co każe, bez ociągania. Dzięki temu po godzinie domy są puste, a chłopskie rodziny ze znacznie lżejszymi pakunkami przemierzają się do punktu zbiórki. Teraz dziewczyny mogą przystąpić do sprzątnia. Jutro przybędą tu nowi mieszkańcy.

Matylda, zmęczona całodziennym wysiłkiem, tym razem zasnęła szybko. Obudził ją jakiś dźwięk. Leży z otwartymi oczami i czeka, aż to się powtórzy. Już wie... to łkanie tłumione poduszką. Tęła unosi się znad posłania i próbuje rozpoznać, która z dziewcząt płacze. W świetle księżyca wpadającym przez okno widzi, że folksdojczka Weronika Reitzig nakryła głowę poduszką, a jej ciałem wstrząsają spazmy. Matylda opada z powrotem na posłanie. Nigdy nie zaprzyjaźniła się z Weroniką, zostawia ją więc z jej smutkiem. Obraca się na bok, ale tak jak zeszłej nocy widok łóżka Ulriki nie pozwala jej zasnąć, dlatego zwraca twarz ku Irenie. Przypomina sobie, jak przyjaciółka dzisiaj pracowała, a ona też, bo była dla niej wzorem do naśladowania. Z początku patrzy na nią z uwielbieniem, ale coś zaczyna zgrzytać w tym cudownym wizerunku i niespodziewanie dla siebie samej odwraca się od ślicznej twarzy. Leży teraz na wznak, wsłuchuje się w tłumiony szloch i nie wiadomo czemu powraca w jej pamięci obraz chłopca obejmującego koński łeb, zanim na dobre wygnała go ze stajni.

68

Łudziła się, że to nieprawda, że wzrok ją oszukał. Odsloniła każdy krzew winorośli. Chodziła do winnicy i czekała, aż ciepłe promienie słońca tchną życie w zmarzniętą tkankę. Modliła się, prosząc Zbawiciela o łaskę. Czekala i czekała. Wszystko na nic. Przyszedł czerwiec, a na gliniastym zboczach królowały jedynie bujne chwasty. Aż pewnego popołudnia poszła do Petera Radacha prosić, by wyrwał martwe krzewy, bo ziemia nie może się marnować.

Marta stoi w najwyższym punkcie swej winnicy i spogląda w dół na mężczyzn, którzy z pomocą konia wyszarpują z ziemi długie korzenie, a potem odciągają na bok, tworząc z nich stos. Czuje fizyczny ból, jakby to jej ciało było ziemią, a korzenie żyłami z niego wyrywanyymi, jak gdyby to ona miała zaraz spłonąć i zamienić się w popiół. Suchy wschodni wiatr wydyma materiał ciemnej sukni, a zaraz potem przykleja do ud i owija chude biodra. Pracujący raz po raz zerkają na postać stojącą niczym żałobnik nad grobem.

– Żal mi jej bardziej niż tej winnicy – mówi Peter i choć zauważa zdziwienie w oczach Stefana, nie przerywa. – Biedna kobieta. Niecały rok temu straciła męża, wcześniej Gestapo aresztowało najbliższą przyjaciółkę, a teraz jeszcze to. Chyba tylko córkę kocha bardziej niż tę winnicę. Jej dziadek Matheus to był winiarz co się zowie. To pole to już ostatnie po nim. Wiadomo, że to nie te same krzewy. Młodsze są. Te już Marta sadiła. Oj, lubi ona tę robotę. I wino potrafi wyczarować lepiej niż niejeden fachowiec. – Radach milknie na chwilę, bo trzeba zaczepić następnego konar, a potem kontynuuje: – Niestara z niej kobieta. Powinna sobie kogoś znaleźć, przecież sama gospodarki długo nie uciągnie. A córka? Nie wierzę, żeby na wsi chciała zostać. Marta męża potrzebuje, stąd, a nie takiego jak Walter.

Tak – mówi Peter bardziej do siebie niż do współtowarzysza – jakby wyszła za mąż, dałaby radę wszystkiemu, nawet winnicę by przebolała. Wiem, że nie rozumiesz, co mówię, ale to i lepiej. Przed kimś trzeba się wygadać, a takie czasy przyszły, że najlepiej przed tym, co ani słowa nie rozumie. Ja już raz żałowałam, że za dużo mówię. Myślałam, że z tego gestapowskiego aresztu żywy nie wyjdę, a jak wróciłem do domu, powiedziałem sobie, że język za zębami będę trzymał. Ale tobie powiem, bo muszę to komuś powiedzieć. Żeby szlag trafił Hitlera i jego bandę – kończy i wzdycha z ulgą. Dobrze, że nie patrzy w stronę Stefana, bo niechybnie zauważyłby uśmiech błakający się po zwykle nachmurzonej twarzy.

– Marto! – woła Radach. – Skończyliśmy, ale nie paliłbym dziś tych korzeni. Mokra są, niech wiatr je wysuszy!

Kobieta milczy przez chwilę, a potem kiwa głową przyzwalająco, odwraca się i odchodzi.

– Widzisz, jak to przeżywa? Nawet się nie odezwała, a chciałem ją zapytać, czy pożyczyłaby mi ciebie na jutro. Dawno mi się z nikim tak dobrze nie pracowało, a i do rozmowy pasujesz jak nikt – kończy Peter.

Radach z robotnikiem zaprzęgli konia do wozu i odjechali, a Marta zeszła ścieżką do jeziora. Pochylona nad brzegiem wpatruje się w ciemną toń, jakby chciała wyczytać z niej przyszłość. Dzisiaj nie docierają do niej śpiewy ptaków i woń kwitnących krzewów, ledwie zauważa ludzi pracujących na słonecznym zbocz doliny. Ktoś ją pozdrawia i macha ręką, ale ona nie odpowiada, tylko mocniej pochyla głowę i intensywnie patrzy w mętną wodę, jakby miała jakąś magiczną przyciągającą moc.

– O czym tak myślisz?

Marta nawet się nie ogląda, bo rozpoznaje głos mężczyzny stojącego tuż za jej plecami.

– O zmarnowanym życiu i ludziach, których zawiodłam – odpowiada wciąż wpatrzona w wodę.

– Ile masz lat? Czterdzieści? Nie, czterdzieści jeden. Jesteś przecież młodsza ode mnie o sześć lat. Wszystko jeszcze przed tobą.

– Niczego nie ma przede mną. Córka ucieka do innych ludzi, byleby nie być w domu.

– Jak każdy młody człowiek jest ciekawa świata. Wróci, przekonasz się.

– Mąż wolał inną kobietę. Ja nie potrafiłam dać mu szczęścia.

– No cóż. Może nie wypada mi źle o nim mówić, ale to raczej on nie zasługiwał na ciebie.

Marta nie komentuje tych słów, tylko kontynuuje przygnębiającą wyliczankę.

– Janka siedzi w obozie, a ja nie potrafiłam przypilnować Waltera, żeby zdążył na pociąg do Berlina i zawiózł łapówkę za jej uwolnienie. Od dziecka była

przy mnie, a teraz, kiedy potrzebuje pomocy, zostawiłam ją swemu losowi.

– Na to nie mogłaś nic poradzić.

– Przepadła moja ostatnia winnica. Nie dotrzymałam słowa danego dziadkowi. Zmarnowałam dziedzictwo mojego rodu.

– Bo sprowadziłaś mróz na gołą ziemię? Rozejrzyj się. Widzisz tu jakieś winorośle? Wszystkie winnice wymarły. Jak gdzieś coś zostało, to chyba przypadkiem. Marto, winisz się za niepopelnione grzechy. Nic, co usłyszałem, nie jest powodem, żebyś myślała, że nie ma dla ciebie przyszłości. A winnice? Nieraz niszczyły je choroby albo zimno, a ludzie nie poddawali się i zaczynali wszystko od nowa. Ty też możesz.

– Nie, nie zniósłabym tego po raz drugi.

– Wobec tego spadł mi ciężar z piersi.

Marta, słysząc wesoły ton w głosie mężczyzny, obraca się w jego stronę i patrzy pytająco w zielone oczy.

– Powiedziałaś, że nie zniósłabyś tego po raz drugi, czyli teraz zniesiesz. Dlatego się cieszę – wyjaśnia Manfred Richter. – Do domu wracasz dołem czy górą?

– Dołem. Muszę coś załatwić we wsi.

– To się dobrze składa, bo ja też już idę. Czekaj, muszę tylko zabrać ryby. Możesz się trochę przesunąć? – Mężczyzna przykuca w miejscu, gdzie przed chwilą Marta snuła ponure rozmyślenia, i wyciąga z wody siatkę z obręczami pełną trzepoczących się linów i karasi.

– Miałaś tu ryby?

– Tak. Nie przypuszczałaś chyba, że szedłem za tobą?

– Nie, skąd – bąka zawstydzona. – Sprzedajesz? – pyta, żeby zmienić temat.

– Z tego żyję. Chcesz kupić?

– Chętnie. Przyda się jakaś odmiana.

Schodzą razem w dół ku wsi. Zaledwie minęli transformator – charakterystyczny element drogi prowadzącej do pól nad jeziorem – i weszli na bruk, natknęli się na Kerstin Heckman. Manfred pozdrowił ją grzecznie, Marta zaś, dorosła, dojrzała kobieta, zarumieniła się niczym podlotek.

Kerstin na widok tych dwojga najpierw przybiera minę pełną słodczy i uśmiecha się, wystawiając rzadkie zęby na widok publiczny. Jednak gdy tylko ją minęli, twarz kobiety wraca do zwykłego stanu, a usta ściągają się w pomarszczony supełek. – Niedoczekanie – szepcze do siebie. – Nawet o tym nie myśl – ostrzega nie wiadomo kogo.

Para wkrótce się rozstaje. Manfred idzie do swego domu drogą do starego mostu, a Marta spieszy na cmentarz. Później odwiedza jeszcze Gustava i zagląda do Paula Faustmanna, żeby sprawdzić, czy nie ma listu od Tili. Stary Heinz zrezygnował z pracy listonosza. Wszystkim tłumaczy to bólem nogi, ale jego żona

zwierzyła się komuś, że to dlatego, iż musiał zanieść Bercie Neumayer zawiadomienie, że Horst poległ. Był pewien, że to nie ostatnie, wolał więc przejść na emeryturę, niż grać rolę „posłańca śmierci”, jak się wyraził. Od tego czasu trzeba iść na pocztę do Faustmanna albo czekać, aż jakieś dziecko idące ze szkoły przyniesie korespondencję, bo Paul ma zwyczaj czekać na placu na zakończenie lekcji i w zależności od tego, w jakim kierunku zmierza dziecko, dawać mu listy do adresatów.

To, co jeszcze rano wydawało się Marcie nie do zniesienia, okazało się trudne, ale nie aż tak bardzo, by ją załamać. Czuje się raczej jak ktoś, kto pożegnał drogą osobę, a teraz musi zacząć wszystko od nowa. Poza tym w jej monotonnym i samotnym życiu zdarzyło się coś zaskakującego, co trochę odciąża myśli od smutnych wydarzeń. Pierwszy raz od ponad dwudziestu lat odezwał się do niej Manfred – jej dawny narzeczony. Dotąd tylko jej się kłaniał, kiedy przypadkiem się spotkali. Dzisiaj przemówił, zupełnie zwyczajnie, jakby nie dzieliły ich złe wspomnienia.

Marta się spieszy, bo czeka ją wieczorny udój, odpasanie zwierząt i przygotowanie warzyw na jutrzejszy targ. Umówiła się z Gustavem, że to on pojedzie handlować, a do fizycznej pomocy dostanie Stefana. Dzięki temu będzie mogła od samego rana pójść do pielienia buraków. Do południa powinna oczyścić z chwastów spory kawałek pola. Po obiedzie weźmie Polaka, a że w robocie jej nie ustępuje, do wieczora skończą zagon. Właśnie idzie do obory, kiedy na podwórze wchodzi Radach i przedstawia swą prośbę. Stefan bardzo by mu się przydał jutro w polu. Ewald jest w szpitalu i nie ma kto Peterowi pomóc. Chcąc nie chcąc, Marta się zgadza, ale komplikuje to jej plany, bo zamiast Polaka ona będzie musiała jechać z Gustavem do miasteczka.

Po wieczornym obrządku myje się, wkłada czystą sukienkę i czeka. Manfred obiecał jej, że przyniesie zamówione ryby. Rzeczywiście zjawia się wkrótce z wypatroszonymi karasiami.

– Usiądź na chwilę – zaprasza Marta. – A może zjedlibyśmy je razem? – pyta tak, jakby wpadła na ten pomysł przed chwilą.

– Nie. – Odpowiedź jest natychmiastowa i zdecydowana. – Nie gniewaj się, ale rodzina na mnie czeka z kolacją.

– Rozumiem. Ja tylko chciałam być uprzejma – tłumaczy się niezręcznie.

Ciepły czerwcowy wieczór ciągnie się bez końca. Póki jest jasno, Marta pracuje w ogrodzie, wrywa chwasty, podlewa i podwiązuje pomidory. Mogłaby tak przez całą noc, żeby tylko nie wracać do pustego domu, w którym nie ma z kim zjeść kolacji. Zmrok gęstnieje i niewiele widać, myje więc ręce pod pompą i siada na schodkach ganku. Zapach maciejki zmieszany z wonią róż mógłby odurzyć każdego, ale ona jest zbyt smutna, żeby go zauważyć. Dopiero kiedy wiatr przynosi skądś zapach kwitnącej lipy, nie, nie tej, co rośnie przy oknie sypialni, ona jest

późniejsza, myśli: „Na brzegu lasu obok domu Heleny jest wczesna lipa. Właśnie. Czemu nie poszłam do Heleny? Mogłybyśmy spędzić wieczór razem. Samotne wdowy nikomu niepotrzebne”.

Z ciemności dobiega dźwięk otwieranej furtki. To Franka wraca od Emmy Holzer.

– Franka, nie robiłam dzisiaj kolacji. W kuchni są ryby. Weź je, usmaż i zjedzcie ze Stefanem. Aha, i powiedz mu, żeby jutro wstał o świcie, bo musi mi pomóc załadować wóz. Potem pójdzie do Radacha na odrodek. – Mówi do niej po niemiecku, bo zauważyła, że Polka szybko się uczy i całkiem dobrze radzi sobie z tym językiem.

– Dobrze, pani. A muszę smażyć w domu? Mogę u Stefana? – Marta dostrzega radość w oczach dziewczyny. Dawno zauważyła, że podkochuje się w swoim współtowarzyszu, ale nie ma nic przeciwko. „Są młodzi – myśli – kiedy mają się kochać, jak nie teraz. To dla mnie wszystko jest skończone”.

Kiedy Franka znika za drzwiami letniej kuchni, wstaje i wchodzi do domu. Idzie prosto do sypialni. Nie zapala światła. Rozściela łóżko i ciężko siada na jego brzegu. Potem podchodzi do okna i patrząc w rozgwieżdżone niebo, wolno ściąga ubranie. Okno w letniej kuchni nie jest jeszcze zasłonięte. Widać Frankę z patelnią i Stefana siedzącego przy stole. Dziewczyna coś mówi i gestykułuje jedną ręką, a on pali papierosa i milczy jak zwykle. Jakże im zazdrości. Podnosi ręce do góry i wyjmując szpilki z włosów. Warkocz, niczym długi czarny wąż, zsuwa się po plecach.

– Pani! Śpi pani?! Ryby gotowe! Niech przyjdzie jeść! – słychać z dołu.

W kuchni jest pusto, a na stole stoi talerz z pachnącymi rumianymi karasiami. Marta bierze go do rąk i idzie do letniej kuchni. Kiedy staje w drzwiach, zauważa wpatrzona w nią dwie pary zdumionych oczu.

– Mogę z wami? Razem lepiej smakuje.

Franka przesuwa się na drewnianej ławce, robiąc miejsce, a Stefan, którego twarz chowa się poza kręgiem światła wyznaczonym przez blaszany klosz, przygląda się Marcie, bo widzi ją pierwszy raz bez chustki, ze śladami łez na twarzy i na wpół rozplecionym warkoczem.

69

W gospodzie u Röhra dawno nie było tylu klientów co tego wieczoru. Cała rodzina właściciela pomaga obsługiwać gości, donosząc piwo podekscytowanym mężczyznom. A oni, mimo że krzywią się z niesmakiem przy każdym łyku, kiedy zobaczą dno kufła, wołają:

– Przynies tu płukanę pęcherza!

Piwo już nie smakuje tak jak dawniej. Władze Rzeszy kładą nacisk na uprawę bardziej potrzebnych niż chmiel roślin, na przykład rzepaku, lnu albo

buraków, toteż tak lubiany przez Niemców trunek niczym nie przypomina smakiem przedwojennego.

Tak więc, siląc się na nadzwyczajną dzielność, chwalimscy rolnicy i rzemieślnicy piją *plukankę pęcherza*, bo trudno im bez wspomagania się alkoholem zrozumieć, dlaczego ich wielki przywódca dziś wczesnym rankiem zaatakował Rosję. Przyszli tu, by zapytać swych sąsiadów, kuzynów i powinowatych, dlaczego nie Anglię. Niestety, oni też chcieliby uzyskać odpowiedź na to samo pytanie. Odkąd w lutym ogłoszono kolejny pobór, wszyscy byli pewni, że to z powodu przygotowań do ostatecznego pokonania tego największego wroga Rzeszy. A tu taka niespodzianka!

Także Manfreda coś przywiodło do gospody w ten niedzielny wieczór. Stoi w progu uderzony obuchem smrodu wydzielanego przez kiepskiej jakości papierosy albo skręty własnej produkcji oraz ubrania chłopów, którzy dopiero co odeszli od swych świń, owiec czy też innej zwierzyny. Wśród dymu szczypiącego w oczy dostrzega lukę, a na jej końcu Gustava Gogola smętnie pochylonego nad kuflem.

– I ty tutaj? – pyta, siadając na wolnym skrawku ławy.

– Miałem dość czterech ścian.

– A tu lepiej?

– Widać lepiej, skoro i ty przyszedłeś – odcina się Gustav.

– Chciałem posłuchać, co się mówi. Wiesz, że mój Andreas jest na Bałkanach. Podobno teraz tam trochę spokojniej, więc boję się, żeby nie trafił na Wschód. Wszędzie można oberwać, ale najgorzej w Rosji – wzdycha. – Od początku mi się ta wojna nie podobała – mówi półgłosem – ale teraz zaczynam się bać, że źle to się dla nas Niemców skończy.

– Zamknij się, Manfred, jak nie chcesz trafić pod ścianę. Jeszcze kto usłyszy i poleci donieść – denerwuje się Gustav.

– Nie ma już Waltera, specjalisty od donosów.

– Są inni. Nie ufam nikomu i nie chcę mieć kłopotów. Marzę tylko o tym, żeby doczekać powrotu Janki. Ty też masz dla kogo żyć, więc powtarzam, siedź cicho. Nie będziesz mógł wytrzymać, przyjdź do mnie do domu. Mam parę butelek od Marty. Lepiej będzie się gadało przy winie niż przy tych szczynach. – Gustav z obrzydzeniem odsuwa kufel i wstaje. – Idziesz? – zwraca się do Manfreda.

– Nie. Dopiero przyszedłem. Posłucham, co mówią.

– To słuchaj, ale ust lepiej nie otwieraj – ostrzega jednoręki i zataczając się lekko, zmierza do wyjścia. Nagle wprost pod jego nogi wywraca się kompletnie pijany Krüger. Bełkocząc przekleństwa, próbuje się pozbierać, a stojący nad nim Gustav patrzy na indywiduum z obrzydzeniem. Jego niedawny rozmówca przygląda się tej scenie z zaciekawieniem, bo Gogol wygląda tak, jakby miał zaraz kopnąć drania, ale powstrzymuje się, omija podnoszącego się opoja i wychodzi,

Richterowi zaś przychodzi do głowy pewien pomysł.

W innym miejscu, nieco bliżej drzwi, siedzi Malcher ze swoim zięciem. Młody jest tu pierwszy raz, pyta więc teścia o różne osoby, które zwracają jego uwagę. Manfred przyszedł niedawno, dlatego nie został jeszcze przedstawiony, chociaż prawdę mówiąc, Richter, gdziekolwiek się znajdzie, prędzej czy później wbrew swej woli wzbudza zainteresowanie. Trudno powiedzieć, co go tak wyróżnia. Być może chodzi o wygląd niepodobny do nikogo z mieszkańców wsi w większości skoligaconych ze sobą. Jest wysoki, barczysty, z czupryną gęstych, przyprószonych siwizną włosów. Ale najbardziej zwracają uwagę jego zielone oczy. Rzadko kiedy kolor czyichś oczu zostaje w pamięci, ale nie w przypadku Manfreda, to zauważa się u niego najpierw.

– Nazywa się Manfred Richter – wyjaśnia Malcher. – Tak jak ty należy do przybyszów. Kiedyś chwalimiacy trzymali się razem i żenili między sobą. Jego rodzina to chyba byli pierwsi obcy, co tu zamieszkali.

– Skąd przyjechali?

– Podobno spod Magdeburga. Ojciec Manfreda pracował przy budowie kolei. Żaden tam inżynier, zwykły robotnik, ale taki, którego wszystko ciekawiło. Jak tory tu u nas kładli, była praca dla miejscowych i zarobek za utrzymanie ich stałych pracowników. Richter też spał w jednym domu, ale zamiast ze swoimi przestawać, chodził po wsi i oczy z ciekawości otwierał, bo tu całkiem inny świat zobaczył. Ludzie mówili po swojemu, ubierali się inaczej, modlili się szczerzej i w Boga wierzyli jakoś prawdziwiej. Przynajmniej on tak uważał. A że na tle religijnym trochę z głową miał, to postanowił zostać w Chwalimiu, znalazł bezdzietną wdowę, która za dożywotnią opiekę dała mu dom z ogródkiem. Zaraz potem żonę z dziećmi sprowadził. Te dzieci to Manfred i jego siostra Ursula. On mieszka w domu po rodzicach, a ona wydała się za Herrysa i też żyje w Chwalimiu. Oboje są bardzo pobożni. O niej mówią czasem, że jest pastorem w spódnicy. Prowadzi wszystkie modlitwy i upomina tych, którzy nie chodzą na nabożeństwa. W ogóle trochę trudna, ale dobra z niej kobieta. Bratową pielęgnowała w chorobie, a jak tamta zmarła, dzieci bratu doglądała, chociaż swoich ma pięcioro.

– Z czego ten Richter żyje? Na chłopa nie wygląda.

– Ziemi własnej ma niewiele, trochę łąk, jedna krowa, żeby mleko dla dzieci było, ze dwie świnie i to wszystko. Dzierżawi kawałek rzeki i ma prawo łowienia w jeziorze, hoduje pszczoły i króliki, słowem: wszystko, co można sprzedać poza systemem kartkowym – ryby, miód, mięso królików. Do tego najmuje się do pracy w polu. Jakoś sobie radzi. Jak był młody, zaręczył się z miejscową dziewczyną, która później odziedziczyła duże gospodarstwo, ale rzuciła go i wyszła za innego. On zaraz potem też się ożenił. Teraz jest wdowcem. Najstarszy syn w Wehrmachcie, drugi ma słaby wzrok, więc do wojska na pewno nie pójdzie,

i dwie córki, ale one wciąż u Ursuli siedzą.

– Tata, ale wy wszystko wiecie – podsumowuje z podziwem młodzian.

– Jak się żyje w jednym miejscu od urodzenia, to trudno nie wiedzieć, chłopcze.

Tymczasem bohater opowieści, niczego nieświadom, wciąż siedzi nad tym samym kuflem piwa opróżnionym najwyżej do połowy i przysłuchuje się rozmowom toczonym przy stołach. Nikt otwarcie nie krytykuje decyzji Hitlera, co najwyżej wyrażane jest podszyte strachem zdziwienie. Większość z tych mężczyzn w młodości doświadczyła grozy wojny. Wie, jak zabójcze może być prowadzenie jej na dwa fronty. – Jakie dwa fronty? – pyta ten i ów. – Przecież Anglia jeszcze niepokonana, a od lutego nasi chłopcy biją się w Afryce i dopiero co zaczęło się na Bałkanach. – No tak, ale nie walczymy sami, mamy wielu sojuszników – próbują dodać sobie otuchy niektórzy. – Co warci są sojusznicy, którzy sami żadnej wojny nie potrafią wygrać? Wszystkim musimy pomagać. A jak poszłoby coś nie tak, odwrócą się od nas plecami. Nie pamiętacie, jak to w tamtą wojnę było? – zrzędzą malkontenci. – Rosja też była sprzymierzeńcem, a Stalin musiał spiskować przeciwko nam, że Führer go zaatakował – dodają inni. – Tak, tak, Wódz na pewno wie coś, czego my nie wiemy. Trzeba ufać jego mądrości – podsumowują dyskutanci, a potem zaczynają rozmawiać o swoich koniach, krowach, o tym, czy pszenica dobrze się zapowiada i że mogłoby trochę popadać, bo sucho, chociaż na sianokosy w sam raz, i o nowych robotnikach, kto jakiego ma i czy jest z niego zadowolony.

70

W Altreben kończy się kolejny pracowity dzień. Jest jeszcze lato, ale już czuć nadciągający chłód. Od strony Unruhstadt sunie pociąg, ciągnąc za sobą smugę dymu. Przeciąwszy gwizd zapowiada, że zbliża się do stacyjki i przejazdu kolejowego. Kiedy się zatrzymuje, wysiada z niego kilkoro podróżnych, ale tylko jedna osoba interesuje chudego, niezbyt wysokiego rudzielca, który czeka na peronie. Zobaczywszy obiekt skrytych westchnień, podbiega do dziewczyny i odbiera jej walizkę.

– Witaj w domu, Matyldo! – krzyczy, by zagłuszyć zgrzyty, stuki i sapanie ruszającego pociągu.

– Emil? Skąd się tu wzięłeś?

– Twoja mama mi powiedziała. Wyszedłem po ciebie, bo domyśliłem się, że będziesz miała ciężki bagaż.

– Nawet nie wiesz, jak się cieszę. Taszczyłam tę walizę przez cały dworzec w Posen. Myślałam, że mi ręce poobrywa. Co słyhać w Altreben? Mów, bo ja ostatni list dostałam miesiąc temu. Rosina pisała, że się zaręczyła. Nie mogę w to uwierzyć. Przecież ma dopiero siedemnaście lat!

– Co w tym dziwnego? Chłopaki jadą na wojnę, więc chcą mieć do kogo pisać.

– Rozumiem, ale do tego nie trzeba od razu się zaręczać. Karl pisze do mnie, a nie... – Tila nie kończy, bo czuje, że wspomnienie o Holzerze może zepsuć dobry nastrój. Zerka na Emila, jednak ten ma zupełnie obojętny wyraz twarzy. Mimo to zmienia temat.

– Zapomniałam, jak pięknie jest w Altreben! Tyle kwiatów w ogrodach!

– Tam nie było kwiatów?

– Były, ale mniej. Osadnicy mieli ważniejsze problemy niż kwiaty, a tamci... no, ci, którzy tam mieszkali wcześniej. Oni się nie starali.

– Po co mieliby to robić? Przecież wiedzieli, że sięją nie dla siebie.

– Może... Nie rozmawiajmy o tym. – Tila macha ręką, jakby chciała odgonić natrętą muchę. – Tak się rozglądam i wydaje mi się, że nic się nie zmieniło w Altreben, odkąd wyjechałam.

– Sporo chłopaków poszło do wojska. Mówi się, że wkrótce następni dostaną wezwanie. Mam coraz mniej kolegów – mówi Emil ze smutkiem.

Milkną, jak gdyby już nie mieli sobie nic do powiedzenia. Brukowana droga się kończy. Skręcają na wschód tuż koło wielkiego kamienia i idą w ciszy z pochylonymi głowami, próbując bez powodzenia dogonić swoje długie cienie.

Czerwona łuna nad Schwentesee zapowiada koniec sierpniowego dnia. Gasnące słońce rzuca światło na sady pełne fioletowych śliwek i jabłek we wszystkich odcieniach żółci i czerwieni, i ogrody tak bogate w barwy, jakby wszystko, co nie zakwitło do tej pory, właśnie teraz uznało, że musi się pospieszyć. Białe, różowe i fioletowe floksy ścigają się z wysokimi daliami, a wszechobecne pędy pomarańczowych nasturcji rozpełzają się po ziemi i uciekają za płot na drogę, jakby mało im było miejsca na grządkach. Szaleństwa kształtów i kolorów dopełniają wielobarwne plamy dumnych cynii i niesfornych astrów.

– Może ja teraz poniosę? – pyta dziewczyna, zobaczywszy głęboki ślad w dłoni Emila odcisnięty przez walizkę.

– Nie trzeba, właśnie zmieniłem rękę. Zresztą zaraz będziemy na miejscu.

Emil ostatnio wciąż wyobrażał sobie, jak wyjdzie Tili na spotkanie, jak będą szli ze stacji i o czym będą rozmawiać, jak powie o tym, że mu jej bardzo brakowało i że za nią tęsknił. Teraz milczy i mimo że są coraz bliżej domu Matyldy, on nie ma śmiałości wyznać tego wszystkiego, co tak starannie ułożył w myślach.

– Wejdz, mama na pewno się ucieszy – zaprasza Tila, kiedy zatrzymują się przed furtką.

– Nie, dziękuję. Ciocia na ciebie czeka. Nie będę wam przeszkadzał – odpowiada ze smutkiem.

– Trudno. – Dziewczyna czuje, że na nic się zda dalsze naleganie. – Ale

w niedzielę jak zwykle idziemy razem na nabożeństwo? – pyta, chcąc jakoś rozweselić kuzyna.

– Jasne! – Emil odzywa się znacznie różniej. – Do zobaczenia pojutrze.

Pierwszą osobą, którą Matylda spotyka, wszedłszy przez bramę na podwórkę gospodarstwa, wcale nie jest matka. Zdziwiona przystaje, bo pod wiatą na rowery widzi nieznanego młodego mężczyznę w koszuli ojca. Patrzy na niego pytająco, a i on prostuje plecy i przygląda się jej z ciekawością. Ręce ma umorusane smarem, bo naprawia rower Tili. Po chwili wahania pozdrawia ją po niemiecku, a potem znów się pochyła nad częściami wysłużonej damki rozłożonymi na starym jutowym worku. Dziewczyna domyśla się, że natknęła się na Stefana, wychwalanego przez matkę polskiego robotnika. Skinąwszy mu głową, idzie do domu. Matka musiała dojrzeć ją przez okno, bo drzwi otwierają się gwałtownie i wypada przez nie z otwartymi ramionami.

– Tak się cieszę! Jesteś nareszcie. Nie mogłam się ciebie doczekać. Od rana chodzę jak nieprzytomna, robota leci mi z rąk. Postaw, dziecko, tę walizkę. Ludzie! Jaka ona ciężka! Na pewno Emil pomógł ci ją przynieść. Wciąż o ciebie pytał. Jak mnie gdzieś nie spotkał, to zachodził, wracając z pracy. Kochany chłopak. Ciocia Hedwiga ma z niego prawdziwą pociechę. A i tutaj przychodził do pomocy. Umyj ręce i siadaj. Zrobiłam dobry obiad. Och, to już prawie kolacja. Nareszcie zjemy razem. Nawet nie wiesz, jak przykro tak samej siadać do stołu. – Marta mówi i mówi, jakby przez kilka dni powstrzymywała słowa i właśnie teraz przerwały tamę. Jednocześnie stawia garnki na fajerki. Wkrótce po kuchni rozchodzi się aromat wieprzowej pieczeni i dziewczyna uświadamia sobie, że od rana nie miała nic w ustach.

Matka krząta się jak zawsze i cały czas coś opowiada. Napięcie, które towarzyszyło Tili od jakiegoś czasu, powoli ustępuje, a niepokojące wspomnienia odchodzą na dalszy plan. Siedząc na swoim zwykłym miejscu przy stole, pochylona nad talerzem składa ręce do modlitwy, choć nie robiła tego miesiącami, i dziękuje Panu za dary, które będzie spożywać. Jest w domu. Czuje, jakby opadała z niej maska i stawała się znowu sobą.

Chcąc ucieszyć matkę, towarzyszy jej przy wieczornym obrządku i słucha potoku słów – wiadomości o tym, kto umarł, kto się urodził, których chłopców zabrała armia i kto z nich już nigdy nie wróci do domu. To ostatnie dotyczy tylko Unruhstadt, bo tych z Altreben jak dotąd los oszczędza. Tila nadstawia ucha na nowe wieści, a jednocześnie rozgląda się po tak dobrze znanym obejściu i zauważa zmiany. To prawda, że drobne, ale coś jednak znaczące. Wszędzie panuje ład zaprowadzony męską ręką. Drzwi do obory są naprawione i już nie wiszą na jednym zawiasie, dwie łopaty mają nowe trzonki, a naostrzona siekiera aż błyszczy w świetle żarówki. To, czego matka nie mogła naprawić sama, ojciec nie potrafił albo go to nie obchodziło, doczekało się teraz opiekuna.

– Widzę, że Stefan dużo pomaga – przerywa Marcie Tila.

– O tak! Nie przypuszczałam, że będzie taki przydatny. Sam się bierze do pracy. Nie trzeba mu mówić, co ma robić. Nieraz dziękowałam pani Kisch za niego. Mało komu udało się tak jak mnie. Chociaż niektórzy też chwalą swoich robotników. Podobno Alli Gutsche ma bardzo miłą i pracowitą dziewczynę – Bronkę. Opiekuje się biedną panią Gutsche, jakby to była jej matka. Mój Boże, taka młoda kobieta, a już sparaliżowana – wzdycha Marta.

– Mamo, chciałabym pójść do Rosiny. Nie na długo. Tylko się przywitam i wrócę.

– Idź, dziecko. Nie musisz od razu wracać. Poczekam na ciebie. Tylko włóż coś ciepłego, bo zrobiło się chłodno.

Sierpniowy wieczór jest naprawdę zimny. Tila, która tylko zarzuciła na siebie sweter, teraz, idąc przez sad, wciąga w pośpiechu rękawy i zapina go aż pod brodę. Dzięki temu, że nad młynem Güntera wisi ogromna tarcza księżycy, dziewczyna dobrze widzi między drzewami ścieżkę prowadzącą do furtki w płocie Petrasów. Kundelek pilnujący gospodarstwa podnosi alarm, słysząc czyjeś kroki, ale wkrótce poznaje Matyldę i ostrzegawcze szczekanie zmienia się w radosny jazgot. Ktoś zapala światło nad drzwiami i wygląda na podwórko. To Alfred Petras, ojciec Rosiny.

– To ty, Tila? Dawno ciebie u nas nie było.

– Tak, wróciłam na dobre. Jest Rosina?

– Nie ma jej. Poszła do ciotki Helgi. Zaczekaj, powinna zaraz wrócić. – Mężczyzna zapraszająco otwiera drzwi.

– Nie, nie. Przyjdę jutro. Dobranoc. – Rozczarowana obraca się na pięcie i nie zwracając uwagi na obskakującego ją psa, wraca do sadu zalanego światłem księżycy.

– Tila! – Słyszy czyjeś wołanie. Zatrzymuje się i rozgląda. Pod antonówką dostrzega najpierw czerwony punkcik – światełko żarzącego się papierosa, a potem ciemną wysoką sylwetkę.

– Karl? Skąd się tu wzięłeś? Nie pisałeś, że będziesz w domu.

– Mam znajomości – chwali się Holzer. – Nie mogłem przepuścić takiej okazji. Podejdź bliżej. Czemu tam stoisz? Chodź tu pod naszą jabłonkę – ponagla.

– Karl, ja się spieszę. Porozmawiamy jutro, za dnia. Obiecałam mamie, że szybko wrócę.

– Nie ma mowy. Chodź i przywitaj się ze mną.

Tila posłusznie podchodzi do opartego o pień drzewa młodzieńca, a on natychmiast ją obejmuje i przyciąga do siebie. Zawstydzona stawia lekki opór, ale on na to nie zważa, tylko szuka jej ust.

– Wciąż taka wstydliva? – śmieje się pobłaźliwie. – Ale to dobrze, bo znaczy, że nie oglądasz się za chłopakami i będziesz mi wierna.

– Wierna? – Matylda odsuwa się gwałtownie. – Niczego ci nie obiecałam.

– Wiem. Jednak to coś znaczy, że pozwoliłaś mi do siebie pisać. Dałaś mi nadzieję, więc nie możesz się wycofać – przekomarza się Karl.

– Tak. – Dziewczyna czuje się schwyтана w pułapkę. – Masz rację, tylko że ja nie chcę się jeszcze z nikim wiązać. Dopiero wróciłam... i muszę pomagać mamie.

Niezręczne tłumaczenia przerywa wybuch śmiechu.

– Ależ z ciebie dzieciak! Nie mogę! „Muszę pomagać mamie”! – przedrzeźnia. – Masz siedemnaście lat. – W głosie Karla pojawiają się nuty zniecierpliwienia. – Rosina już się zaręczyła, a ty zgrywasz niewiniątko. No, chodź tu. – Znowu ją przyciąga, a ona nie stawia już oporu. – Widzę, że muszę nad tobą popracować – szepcze jej do ucha i obraca, opierając ją o pień jabłoni. Tila czuje jego gorący oddech i miękkie pocałunki, którymi obsypuje jej szyję i podbródek. Niecierpliwe palce rozpinają sweter, a wargi wędrują niżej, ku piersiom. Ciało dziewczyny zaczyna omdlewać i poddawać się niespokojnym rękóm. Nagle coś w niej się budzi, jakby resztką rozsądku. Ostatkiem sił odpycha chłopaka i cofa się, stając w bezpiecznej odległości.

– Muszę iść. Nie gniewaj się, proszę – mówi zawstydzona. W odpowiedzi słyszy cichy śmiech.

– Do zobaczenia jutro. Mam dla ciebie niespodziankę – dobiega ją z ciemności, kiedy wraca na ścieżkę prowadzącą do domu.

Jest tak zmieszana, że nie zauważa Franki wracającej od pani Holzer. Ona również ma swoje kłopoty, bo pochlipując, idzie szybko przez podwórze wprost do drewnianego wychodka. Obie zderzają się ze sobą i przystają przestraszone. Polka, widząc dziewczynę esesmana, bo tak w myślach nazywa Matyldę, przybiera pełną pokory postawę.

– Przepraszam, pani. Ja nie widziałam. Naprawdę nie chciałam. Przepraszam.

Tila zdumiona wpatruje się w ptasie oblicze Franki i nawet w świetle księżycy widzi głębokie zadrapanie i krew rozmazaną na policzku.

– Co ci się stało? – pokazuje palcem na szramę.

– To nic. – Dziewczyna macha ręką lekceważąco. – Pani Holzer się zdenerwowała. Ona tak zawsze. Zagoi się.

– Bije cię?

– Normalnie. Ona taka jest. – Oczy Franki znów wzbierają łzami. – Pani, ja już pójdę. Rano muszę do roboty.

– Idź. Ja posiedzę sobie na schodkach. Powiedz mamie, że wróciłam.

Po chwili Marta siada obok córki. Milczą, ale nie ciąży im ta cisza. Razem wpatrują się w rozgwieżdżone niebo i wdychają rześkie powietrze.

Chłodny, pełen rosy świt zastał Tilę w ogrodzie. Wczesnie rano mają dostarczyć hurtownikowi warzywa, dlatego póki matka obrządza, dziewczyna sama zrywa i układa w skrzynkach pomidory, ogórki, fasolkę szparagową i sałatę. Mimo wczesnej pory na wsi toczy się intensywne życie. Pracująca w ogrodzie dziewczyna słyszy porykiwania krów wypędzanych na pastwiska, hałaśliwe gęganie i kwakanie, pianie rywalizujących na głosy kogutów i szczekanie psów. Raz po raz w ten sielski gwar wdziera się warkot samochodu lub motoru. Wtedy unosi głowę z zaciekawieniem, bo posiadanie pojazdów mechanicznych przez mieszkańców wioski nie jest zbyt częste. Potem wraca do pracy, która sprawia jej nieoczekiwaną przyjemność. Może spokojnie pomyśleć o wczorajszym wieczorze, słowach i pocałunkach Karla i o tym, co sama wtedy czuła. Uświadamia sobie, że wcale nie rozmawiali, a przecież dawniej nie mogli się nagadać. Była dumna, że taki wspaniały chłopiec chce się z nią spotykać i zwierzać ze swoich marzeń. Wydawało się jej niezwykle, że pyta ją o plany na przyszłość i radzi, co powinna zrobić. Zmienił się. Teraz najwyraźniej oczekuje od niej czegoś zupełnie innego. Zarzuca, że zachowuje się jak dziecko, i chyba ma rację. Tila przez wiele miesięcy spała w jednej sypialni z dorosłymi dziewczynami, które z czasem przestały się krępować jej obecnością i zwierzały się z najbardziej intymnych przeżyć. Domyśla się, czego chcą chłopcy od dziewcząt, szczególnie ci, którzy idą na wojnę. Z wcześniejszych listów Karla wie, że i on wkrótce wyruszy na front. Co, jeśli zażąda od niej, by mu się oddała?

Nadejście matki przerywa wahania i rozterki. Szybko kończą wypełnianie skrzynek, potem Stefan załaduje je na wóz i dostarczy, gdzie trzeba. Marta zostaje w ogrodzie, bo zamierza posiać na opróżnionych zagonkach sałatę, koper i rzodkiewkę. Przy sprzyjającej pogodzie wyrosną i będzie można je zebrać w październiku. Matylda pakuje do koszyka mleko w butelce, twaróg i masło i jedzie do Gustava. Bardzo się za nim stęskniła, jest też ciekawa, czy są wieści od cioci Janki.

– Nic, żadnej nadziei – mówi Gustav zrezygnowanym głosem.

Siedzą na wąskiej drewnianej ławeczce i patrzą na gołębice drepczące po podwórku.

– Nie mów tak, wujku. Przecież już minął rok. Ani się obejrzysz, jak ciocia wróci.

– Dla ciebie rok to tak, jakby palcami pstryknął, a dla mnie... Mój Boże! Jesteś taka młoda, więc nie wiesz, co dla mnie znaczy rok. A pięć lat? Czuję, że nie dożyję jej powrotu.

– Wujku, nie trać nadziei! – Tila chce go pocieszyć, przytula się więc do Gustava i gładzi go po dłoni. – Ciocia wróci. Zobacysz. Przecież sam mówiłeś, że pisze co miesiąc, czyli jest zdrowa i wszystko z nią w porządku.

– Nie wierzę. Wciąż pisze to samo. Jakieś zdawkowe słowa, tak jakby nie chciała albo nie mogła powiedzieć prawdy. A ludzie mówią różne rzeczy. Są tacy, którzy wyszli z obozów, bo mieli krótsze wyroki albo jakieś znajomości, i oni opowiadają o tych miejscach straszne rzeczy. Wprost w głowie się nie mieści, co tam się dzieje.

– To na pewno nieprawda. Nie słuchaj tych bzdur! W Niemczech przestrzega się prawa.

– Jeśli tak, to powiedz mi, co Janka tam robi. Niczym nie zawiniła, a skazano ją na pięć lat. To już nie jest ten sam kraj, w którym się urodziłem. Wszystko przez tego szaleńca – mówi Gogol z goryczą, ale dostrzegłszy na twarzy dziewczyny wyraz zaskoczenia i przerażenia, jaki wywołały jego słowa, milknie i zaciska zęby, tłumiąc gniew. – Dobrze, że wróciłaś – zmienia temat. – Opowiedz, co robiłaś na tym końcu świata. – Przybiera żartobliwy ton, bo chce zatrzeć przykre wrażenie.

– Już ci kiedyś mówiłam, wujku. Pomagałyśmy osadnikom. Nie ma o czym opowiadać. Zwyczajna praca, jak to na wsi – odpowiada niechętnie Tila.

– Nie podobało ci się tam? – podejrzewa Gustav.

– Nie! – dziewczyna zaprzecza gwałtownie. – Nic podobnego! Było wspaniale. Nigdy czegoś podobnego nie przeżyłam. Było nas dwanaście, potem jedenastcie. Razem pracowałyśmy, jadłyśmy i spałyśmy. Musiałyśmy solidarnie działać i liczyć tylko na siebie. A ci przesiedleńcy... jacy oni byli nam wdzięczni! Czuliśmy, że robimy coś ważnego dla tych ludzi i dla Rzeszy.

– Dlaczego potem było was jedenastcie? Któraś jednak zrezygnowała? – dopytuje się Gogol.

– Nie. Zachorowała i wróciła do domu.

– Jednak wciąż nie rozumiem, dlaczego takie dziewczątko musiało jechać na służbę. Mało to dorosłych panien?

– Są, ale z miasta. Z początku niewiele potrafiły. Tylko ja, Ulrika i Irena miałyśmy pojęcie o pracy na wsi. Reszta dopiero musiała się nauczyć – wyjaśnia Matylda. – Może kiedyś poznasz Irenę. Mieszka w Elisental. Obiecała, że niedługo mnie odwiedzi. Zobaczysz, jaka jest niezwykła.

Tila przez jakiś czas rozwodzi się nad zaletami i urodą przyjaciółki, ale o samej służbie wspomina niechętnie. Kiedy Gustav zostaje sam, jeszcze długo myśli o ulubienicy swojej żony i zastanawia się, czego nie chciała mu powiedzieć.

Dziewczyna tymczasem, zawiesiwszy na kierownicy roweru pusty koszyk, wraca do domu. Zatopiona w myślach nie zwraca uwagi na postać przyczącą za olbrzymim głazem leżącym nieopodal drogi. Dopiero przeraźliwy, ogłuszający warkot płoszy ją i przywraca rzeczywistości. Zza kamienia wyjeżdża motor prowadzony przez mężczyznę w skórzanej pilotce i staje w poprzek drogi, tuż przed jej rowerem. Tila zatrzymuje się gwałtownie.

– Zwariował pan? – krzyczy rozgniewana. – Mogłam nie zdążyć

wyhamować!

– A nie mówiłem, że mam dla ciebie niespodziankę?! – woła motocyklista, wyłączając jednocześnie hałaśliwe monstrum.

– Karl! – to jedyne słowo, jakie jest w stanie wydusić z siebie zdumiona Tila.

Nie mniej od niej zdziwiona i zainteresowana mężczyzną i całą sytuacją jest Kerstin Heckman, która wychyla się niebezpiecznie przez okno, przygniatając biustem kota rozplaszczonego na poduszce.

– Ale cię замуrowało! – cieszy się Holzer. – Powiedz coś wreszcie.

– To twój?

– Co? – Karl udaje, że nie wie, o co chodzi, ale duma go rozpiera, wyjaśnia więc. – Chodzi ci o motocykl? Prawie mój. Ojciec mi pożyczył. Oczywiście ten prawdziwy ojciec. Obiecał, że niedługo dostanę go na własność, tylko muszę zasłużyć na Żelazny Krzyż. Nie będzie z tym problemu, bo pojutrze idę na front. Podwieźć cię?

– Przecież mam rower.

– Postaw go gdzieś. Zrobimy kółeczko i wrócimy – zachęca Holzer, a Tilę kusi nowe doświadczenie, bo nigdy dotąd nie siedziała na takim pojeździe. Jest tak zaaferowana, że nie zwraca uwagi na wiszącą w oknie panią Heckman.

– No nie wiem – waha się, ale w końcu reaguje na zachęcające gesty młodego mężczyzny, opiera rower o głąz i wdrapuje się na umieszczone nieco wyżej od siodełka kierowcy siedzenie pasażera.

– Złap się mnie, bo spadniesz! – woła Karl, odpalając silnik.

Tila z uczuciem ogromnego skrępowania obejmuje chłopaka w pasie i przytula się do jego pleców. Maszyna szarpie i rusza do przodu. Jadą w stronę Züllichau. W tyle zostają pomnik, nowa szkoła, dom Krügerów, chatka Gustava, cmentarz i ogromny sztyl zapraszający gości do restauracji nad Schwentesee. Matylda oszołomiona prędkością i wiatrem rozwiewającym włosy woła: – Wolniej! Jedziesz za szybko!

– Wolniej nie mogę, bo mi się motor zatrzyma! – krzyczy Karl, lekko odwracając głowę w jej stronę.

Kiedy Tila zsiada z siodełka, czuje, jak jej nogi drżą z emocji. Umawia się z Karlem na wieczór i już swoim pojazdem wraca do domu. Tyle że teraz jazda rowerem staje się mało atrakcyjna i strasznie wolna.

Po kolacji od razu idzie do Rosiny. Tym razem jest w domu. Matylda natychmiast dostrzega zmiany w jej wyglądzie. Przyjaciółka już nie jest taka drobna i niepozorna jak kiedyś. Nie tylko trochę urosła, ale i nabrała ciała. Biodra i piersi stały się pełne i bardzo kobiece. Uśmiecha się na widok Tili, ale zaraz potem ciemne oczy zasnuwa smutek.

– Od Michaela przychodzi list za listem, a od Ottona nie mam wiadomości od miesiąca – zwierza się. – Boję się, że mogło mu się coś stać. Kiedy słyszę,

że ktoś zginął albo został ranny, od razu myślę o najgorszym. Zobacz – pokazuje na ścianę. – Przypięłam sobie mapkę i codziennie zaznaczam miejscowości, o których mówią w radiu. Wciąż się zastanawiam, gdzie on może być w tej chwili.

Tila jeszcze przed chwilą chciała zapytać, dlaczego Rosina się zaręczyła, ale teraz, kiedy słucha o jej uczuciach i widzi zatroskaną twarz rówieśniczki, myśli, że ona po prostu bardzo kocha tego swojego Ottona, bo inaczej tak by się nie zamartwiała. Na odchodnym słyszy od przyjaciółki zaskakujące wyznanie.

– Żałuję, że się z nim nie przespałam. Gdyby zginął, może miałabym chociaż jego dziecko.

Matylda ofuknęła ją za czarnowidztwo, ale ostatnie słowa Rosiny brzmią jej w uszach, kiedy wraca ścieżką przez sad. Karl już czeka. Jego usta mają smak dojrzałych antonówek. Ręce tak samo jak poprzedniego wieczoru wędrują po ciele, wkradają się pod sweter i obejmują piersi. Tila, choć podoba się jej ta odważna pieśczoła, nie potrafi się przełamać. Odpycha lekko Karla i wywija się z jego ramion.

– Przestań. Dlaczego nie rozmawiasz ze mną tak jak kiedyś? – pyta z wyrzutem.

– Już nie jest tak jak kiedyś. Idę na wojnę. Nie mam czasu na rozmowy – odpowiada ochrypłym głosem i znów wyciąga po nią rękę.

– Nie. Nie mogę. Nie chcę. Jeszcze nie teraz.

– Tila... Ja mogę zginąć, a nie byłem nigdy z żadną dziewczyną.

– Czuję, jakbyś mnie szantażował. Chcę to zrobić z miłości, a nie dlatego, że mówisz o śmierci – tłumaczy.

– Jesteś bez serca. Dałaś mi nadzieję. Pozwoliłaś o sobie marzyć, a teraz mnie odtrącasz?

– Karl... to nie tak. Zrozum. Jesteś moim przyjacielem, ale nie wiem, czy cię kocham. Ty mi też nigdy niczego takiego nie powiedziałeś. Chcę tak jak Rosina... Muszę wiedzieć na pewno. Poczekaj, proszę.

– Starczy do jutra? – pyta chłopak z goryczą. – Bo w poniedziałek już mnie tu nie będzie.

– Karl, nie bądź taki.

– Kiedy jechaliśmy motorem i czułem cię przytuloną do moich pleców, miałem taki pomysł, żeby skręcić do lasu. Nikt by cię nie obronił. Ale cóż, myślałem, że lepiej będzie po dobroci. I co? Wyszedłem na idiotę!

– Karl!

– A idź do diabła ze swoimi skrupułami. Jak zginę, będziesz mnie miała na sumieniu! – woła zagniewany. Odpycha Tilę chcąc go zatrzymać, przeskakuje przez płot i niknie w ciemnościach.

Po bezsennej nocy Matylda zwleka się z posłania i pomaga matce w porannym obrzędzie. Potem umyte i przebrane dołączają do wiernych

zdążających do kościoła w Unruhstadt. Jest ich znacznie mniej niż jeszcze kilka lat temu. Większość chłopców i dziewcząt jak zwykle uczestniczy w zajęciach organizacji. Wielu młodych mężczyzn walczy gdzieś na Wschodzie, a nie wszyscy starsi mogą albo chcą iść do świątyni. Niestety, wśród chwalimiaków spieszących do miasteczka jest Kerstin Heckman, która wciąż trzyma się blisko Marty Neumann, choć nie podchodzi do niej. Najwyraźniej czeka, aż Tila dołączy do młodzieży. Wreszcie dogodny moment nadchodzi. Matylda zostaje z tyłu, bo dostrzegła Emila. Wtedy Kerstin dopada Martę i zdaje jej barwną relację z motocyklowej eskapady córki. Pani Neumann włożyła dziś kwiecistą sukienkę, dając wszystkim do zrozumienia, że jej żałoba się skończyła. Opowieść plotkarki całkowicie zwarzyła dobry humor. Teraz Marta myśli, jak porozmawiać z córką. Rozumie, że Tila jest już prawie dorosła, nie zamknie jej więc w domu ani nie wyzwie, bo wtedy się spakuje i znów pojedzie na jakąś służbę. Zastanawia się nad tym podczas nabożeństwa, a wracając do domu, nie pamięta, co mówił pastor.

Pełne rozterki rozmyślania przerywa zatrważający obraz. Przed obejściem Petrasów zatrzymuje się motor z przyczepką i dwóch mężczyzn w mundurach z poważnym wyrazem twarzy kieruje się do domu. Wszyscy wiedzą, co to oznacza. Na pewno chcą powiedzieć o Michaelu.

72

Idzie chodnikiem, kiedy nagle zaczynają wyc syreny. Nalot! Szuka w ciemności liter namalowanych fluorescencyjną farbą. Atak paniki, bo nigdzie nie może ich dostrzec. Czuje, jak potrącają ją ludzie biegnący do schronu. Dlaczego oni wiedzą, gdzie się ukryć? Czyżby oślepla? Nie, przecież widzi w oddali wędrujące po niebie światła reflektorów obrony przeciwlotniczej. Huk bomb wypełnia całą przestrzeń, wdiera się do mózgu i wywołuje drganie każdego kawałka ciała, tumany pyłu zatykają nos i usta. Brakuje powietrza, czuje na sobie ogromny ciężar wciskający ją w ziemię. Leży na chodniku przywalona fragmentem muru. Dusi się.

Ewa siada gwałtownie na łóżku. Otwartymi ustami łapie powietrze. Szalejące serce uspokaja się pomału. Jest zimno, więc kładzie się z powrotem i szczelnie otula kołdrą. Mimo to cała drży. Leży z otwartymi oczami wsłuchana w dźwięki domu. Za ścianą płacze dziecko, ktoś kaszle, ktoś inny chodzi w kółko po pokoju, jakby chciał znaleźć wyjście z klatki. Za szafą coś chrobocze. Może mysz albo szczur. Ten sen. Wciąż do niej wraca. Wtedy jest tamtą kobietą.

To było jesienią. Władze ogłosiły, że od osiemnastego września 1941 roku Żydzi powyżej szóstego roku życia mają nosić naszytą na ubraniu żółtą gwiazdę Dawida z napisem „Jude”. Ewie, która dotąd czuła się anonimowo w tłumie berlińczyków, zabrano jej prywatność. Z judensternem byłaby napiętnowana, zdecydowała więc, że się nie zastosuje do zarządzenia. Wiedziała, że ryzykuje,

bo w razie kontroli będzie jej grozić grzywna albo obóz, w dokumentach zaś miała czarno na białym Sara Ewa Neumann^[46]. Z początku na widok każdego patrolu drętwiała ze strachu, potem zaczęła sobie wyobrażać, że idzie obok niej Georg i że on ją chroni. Szła wtedy pewniej, z podniesioną głową i odważnie patrzyła w oczy policjantom. Być może to sprawiało, że nie zaczepiali jej. Pewnego wieczoru zasiedziała się u synów dłużej. Pomagała im odrabiać lekcje, a potem prała, chcąc odciążyć Sabinę. Kiedy nad miastem zapadły kompletne ciemności, postanowiły, że Ewa zostanie na noc, a wczesnym rankiem wróci do siebie. Nie było już tak intensywnych nalotów jak w 1940 i na początku 1941. Właściwie zdarzały się sporadycznie, toteż napięcie osłabło, a ludzie stali się mniej czujni. Syreny zawyły nad ranem. Zaczęło się, ledwie znaleźli się w schronie. Kulili się przytuleni do siebie, wyobrażając sobie, jak bomba przebija strop schronu i zamienia wszystko w stertę gruzu przemieszaną z ich szczątkami. Po odwołaniu alarmu, kiedy tylko dozorczyńni otworzyła bramę kamienicy, Ewa przytuliła dzieci i opuściła mieszkanie. Bomby spadły w okolicach linii kolejowej. Przy gruzowisku uwijali się więźniowie. Poganiani przez strażników próbowali dostać się do ludzi zasypanych w piwnicy. Jedna ze ścian zrujnowanej kamienicy wisiała niebezpiecznie nad ulicą. Policjanci kierowali przechodniów i gapiów na drugą, bezpieczniejszą stronę. Ewa nie patrzyła w górę. Właśnie przemykała pod ścianą przeciwnego budynku, kiedy usłyszała krzyk. Spojrzała na chwiejącą się ruinę i w tym samym momencie upadła. Musiała stracić na chwilę przytomność, bo kiedy podniosła powieki, jej mózg zarejestrował przeszywający ból w barku i czyjaś twarz tuż przy niej. Oczy kobiety przywalonej bryłą gruzu wpatrywały się w Ewę. Zafascynowana obserwowała, jak najpierw błyszczą, a potem gasną i zasnuwają się mgłą. Miała siwe włosy. Nie. Przecież była młoda. To wszechobecny cementowy pył zabarwił wszystko na białą. Tylko strużka krwi wypływająca z kącika ust psuła wrażenie nieskalanej czystości.

– Może pani wstać? – usłyszała nad sobą, a potem zobaczyła przy głowie tamtej wojskowe buty. – Niech pani spróbuje. Pomogę pani.

Szarpnięta za ramię jęknęła z bólu, jednak zdołała się ruszyć. Nogi na pewno były całe. Podniosła się na kolana, a potem stanęła, podtrzymywana przez młodego żołnierza.

– Coś panią boli?

– Nie. Chyba nie – odpowiedziała oszołomiona. – Ta pani... chyba nie żyje.

– Zaraz się nią zajmimy. Najpierw musimy ratować żywych. Na pewno nic pani nie jest?

– Nie. Muszę iść do moich dzieci.

Chwiejnym krokiem zaczęła oddalać się w kierunku, z którego przyszła. Czowała, że musi natychmiast zobaczyć synów.

– Proszę pani! To pani torebka? – Żołnierz trzymał w wyciągniętej ręce

czarną damską torebkę. Chciała powiedzieć, że nie, bo ona ma dokumenty przy sobie, w teczce na nuty, ale przestraszyła się, że może chcieć je obejrzyć, skinęła więc głową i wzięła nie swoją własność.

Sen o nalocie wraca do niej nieustannie. Za każdym razem dusi się przywalona ścianą, a potem budzi z krzykiem, cała spocona i drżąca. Już nie zaśnie. Wstaje, zapala światło i wyciąga spod siennika elegancką czarną torebkę. Myśli, że kiedyś w *innym życiu* miała podobną. Rozkłada na łóżku jej zawartość: pęk kluczy, kosmetyczkę z pomadką do ust, pudrem, tuszem do rzęs, ołówkiem do brwi i szklanym flakonikiem z drogimi perfumami. Portfel, a w nim dwie fotografie – jedna to portret pięknej, zadbanej kobiety z odsłoniętym dekoltem, a druga to ta sama pani w objęciach wysokiego mężczyzny o ciemnej karnacji. Trochę pieniędzy, kartki na żywność i artykuły przemysłowe. I wreszcie dokumenty. Po raz nie wiadomo który Ewa czyta: Maria Isabel Delatorre. O kilka lat młodsza pracownica ambasady hiszpańskiej. Nazajutrz chciała odnieść torebkę, ale coś jej szeptało, żeby ją na wszelki wypadek zostawić. Mimo że minęło kilka miesięcy, wciąż leży pod siennikiem i czeka.

Ktoś znowu kaszle, a potem wychodzi na wspólny korytarz i, ciągnąc za sobą nogi, zmierza do kuchni. Ewa z powrotem chowa wszystkie przedmioty i wkłada pod siennik. Nabiera wody na korytarzu i myje się w swoim pokoju. Zimna zawartość miski i chłód panujący w pomieszczeniu przyspieszają ruchy, toteż raz dwa jest odświeżona i przebrana. Za oknem świta. Można już odsłonić okna i spojrzeć na brzydką szarą ulicę. Kiedy sprzedała mieszkanie, razem z koleżanką przeprowadziła się do skromnej kamienicy, której jedyną zaletą był niski czynsz. Prawdopodobnie z tego samego powodu zjawili się tam i inni Żydzi. Niestety, jakiś urzędnik uznał, że te marne warunki są i tak za dobre dla wykluczonych rasowo, i kazano im się wynieść do przeznaczonych do rozbiórki ruin w dzielnicy Köpenick, ich miejsca zajęli zaś Niemcy ze zbombardowanych kamienic. Teraz Ewa mieszka we wspólnym dla kilku rodzin lokum z kuchnią, dostępem do wody na korytarzu i cuchnącą ubikacją na podwórku. Wszędzie harcują myszy, po ścianach biegają karaluchy, a zapach stęchlizny przeniknął każdą część garderoby. „Ludzie się ode mnie odsuwają, kiedy stoję w kolejce – zwierzyła się pewnego razu doktorowi Langnerowi. – Śmierdę pleśnią i myszami. Sama siebie się brzydę”. Jednakże największą niedogodnością jest odległość. Köpenick i Charlottenburg leżą na przeciwnych krańcach olbrzymiego miasta.

Otwiera blaszane pudełko, w którym trzyma kawałek chleba i marmoladę. Gdyby nie to zamknięcie, do jedynego pożywienia dobrałyby się myszy. Ma co prawda kartki na żywność (dla Żydów przydziały są znacznie mniejsze), ale i tak trudno jej cokolwiek kupić, bo takim *pariasom* jak ona wolno wejść do sklepu pół godziny przed zamknięciem, czyli wtedy, kiedy nie ma tam już niczego. Żuje niesmaczny trociniasty chleb i popija wodą, potem wkłada płaszcz i wychodzi

na korytarz. Z pokoju zajmowanego przez rodzinę z trojgiem dzieci nie dobiega żaden dźwięk. „Ten mały chłopiec płakał przez całą noc. Muszą odespać” – myśli.

Na ulicy uderza ją powietrze pachnące wiosną, jakże inne od tego, którym przed chwilą oddychała. Przemierza ulice pełne smutnych, zatroskanych ludzi i dociera do przystanku kolei miejskiej. Na słupie ogłoszeniowym naklejono wielkie ogłoszenie. Zgromadziło się przed nim kilka osób. Ktoś głośno komentuje: – Nareszcie! Bałem się wsiadać do tego samego pociągu co oni. Władze bardzo słusznie postępują. – Mówiący te słowa mężczyzna rozgląda się, jakby sprawdzał, czy wszyscy usłyszeli, że właśnie on to powiedział. Ewa podchodzi bliżej, by przeczytać zarządzenie. Po chwili nogi się pod nią uginają. Osobom pochodzenia żydowskiego zabrania się od jutra, to znaczy od dwudziestego czwartego kwietnia 1942 roku, korzystania z komunikacji miejskiej. „Jak dostanę się do dzieci? Jak mam dojechać do uczniów?” Pytania mnożą się w głowie i nie znajduje na nie odpowiedzi. Kompletnie załamana dociera do teściowej. Zastaje ją zgarbioną nad kartkami i kupką pieniędzy.

– Nie nadaję się do tego – wzdycha matka Georga. – To są czasy dla cwaniaków i spekulantów, nie dla mnie. Zobacz, zostały mi kartki na tłuszcz i mięso z ubiegłego miesiąca, bo nie mogłam trafić na towar w sklepie. Kupuję u spekulantów i płacę niebotyczne ceny. Przez ostatni rok wyprzedalam wszystko, co wartościowe. Wczoraj wymieniłam ten piękny serwis na kilogram baraniny. Co będzie dalej, Ewuniu?

– Nie wiem, mam. – Synowa od pewnego czasu widzi, że Sabina nie radzi sobie. Przecież w sklepach zaopatrzenie jest całkiem przyzwoite, a ona kupuje u spekulantów, którzy wciskają jej, czego inni nie chcą kupić. Sama robiłaby zakupy dla teściowej, ale mogliby ją wylegitymować. – Dlaczego nie pozwalasz mi napisać do Marty? Gdyby wiedziała, jak ci ciężko, na pewno od czasu do czasu przysłałaby paczkę.

– Niczego od niej nie chcę!

– Jak uważasz, ale ja też nie mam pomysłu na to, jak poradzimy sobie z zakupami. Widzę, że Arnold ze wszystkiego wyrósł. Czy zostały jeszcze jakieś punkty na jego przydziale, żebym mogła kupić mu buty?

– Sama zobacz. – Teściowa przesuwając kartki w stronę Ewy. – Ja nie mogę się w tym połapać.

Kiedy młodsza z kobiet ślęczy nad różnokolorowym stosem, Sabina krząta się przy obiedzie. Do powrotu wnuków ze szkoły zostało dużo czasu, ale nie chce robić im apetytu na mięso, bo na dzisiaj zaplanowana jest kartoflanka na baraninie, a mięso zostanie zjedzone w następnych dniach. Wkrótce po kuchni rozchodzi się ostry, nieprzyjemny zapach. Baranina musi pochodzić ze starego tryka, bo z garnka bije odór, ale nikt nawet nie myśli o wyrzuceniu jego zawartości. Sabina otwiera tylko okno, by pobyt w pomieszczeniu uczynić znośniejszym.

– Mamo, muszę ci coś powiedzieć – zaczyna Ewa.

Sabina, słysząc poważny ton, bez słowa przysiada na krześle i czeka na kolejne zmartwienie.

– Nie będę mogła do was przyjeżdżać. Od jutra my, Żydzi, nie możemy korzystać z komunikacji miejskiej. Nie wiem, co robić.

– Jeszcze to...

Siedzą przez chwilę w milczeniu, szukając jakiegoś wyjścia. Wtem starsza pani Neumann ożywia się. – Idź do doktora Langnera. On na pewno coś poradzi.

– Dlaczego do niego? Ma mnóstwo swoich kłopotów.

– Idź. Pamiętasz, jak ci nastawił zwichnięty bark?

– Mamo, ale to zupełnie inna sprawa. – Ewa traci cierpliwość. – Pomógł mi, bo jest lekarzem.

– Nie. Nie taką pomoc miałam na myśli. Wydaje mi się, że do niego przychodzą różni ludzie.

– Jeśli ty wiesz, to Gestapo także. Chyba nie ma sensu się narażać. I tak jest dość niebezpiecznie.

– Nie ma innego wyjścia. Trzeba zaryzykować. Porozmawiam z nim dzisiaj – obiecuje teściowa.

– Nie rób tego! Proszę cię. Może sama coś wymyślę albo będę robiła tak jak do tej pory z judensternem. Zignoruję zarządzenie. Sama widzisz, że mi się udaje.

Wieczorem wsiadła jak zwykle do kolejki i wróciła do swej nory w Köpenick. W mieszkaniu wciąż panowała cisza. Tylko stary pan Eisenmann pokasływał od czasu do czasu. Mimo trosk tę noc przespała spokojnie. Może świeże powietrze wpadające przez otwarte okno albo brak dziecięcego gwaru za ścianą tak na nią wpłynęły. Obudziła się później niż zwykle. Dziś miała tylko jedną lekcję i to na tyle blisko, że szybkim marszem mogła tam dojść w godzinę. Z kamienicy naprzeciwko wyszło kilkoro ludzi. To rodzina, którą знаła z widzenia. Wszyscy, nawet dzieci, mieli walizki w rękach. Twarze mężczyzn były pełne powagi, a kobiety rozpaczliwie zawodziły.

– Przeprowadzacie się? – Ewa podeszła do człowieka, o którym słyszała, że jest rabinem. – Znowu nas przepędzają?

Stary człowiek patrzy na nią, jakby była niespełna rozumu. – Dostaliśmy nakaz. – Widząc, że dalej nie wie, o co chodzi, wyjaśnia: – Mamy się stawić na miejscu zbiórki. Nasze mieszkanie już zaplombowano, a my będziemy gdzieś przesiedleni.

– Ach, wiem. Niech mi pan wybaczy. Szczerze wam współczuję. Tak skoncentrowałam się na własnych kłopotach, że przestałam dostrzegać problemy innych – wyjaśnia zawstydzona.

– To też pani problemy. Wkrótce i do pani przyjdzie wezwanie. Wywiozą nas wszystkich. Nic nie pomoże udawanie, że nie jest się Żydówką. –

Powiedziawszy to, wskazuje na jej płaszcz bez gwiazdy i rusza w ślad za swą rodziną prowadzoną przez dwóch młodych ludzi z opaskami. Na końcu ulicy czeka ciężarówka, do której z ociąganiem ładuje się kilkunastoosobowa grupa ludzi.

Mimo że pojazd wiozący nieszczęśników już odjechał, Ewa wciąż stoi pogrążona w myślach. Jak mogła o tym zapomnieć! Przecież już od jesieni berlińczycy żydowskiego pochodzenia są deportowani. Obozem przejściowym jest ogromna synagoga przy Levetzowstraße. Nieraz, kiedy jechała do Sabiny, widziała kolumny ludzi z gwiazdą Dawida na ubraniach prowadzonych stamtąd do odległego o kilka kilometrów dworca Grunewald. Doktor Erich Langner mówił jej, że są deportowani do obozów albo gett. Nie oznaczało to niczego dobrego, bo nie słyszał, żeby ktokolwiek napisał stamtąd list albo dał jakikolwiek znak życia. Jego zdaniem tych ludzi czekała śmierć. Zaprzeczyła wtedy gwałtownie, bo nie wyobrażała sobie, żeby Niemcy zdobyli się na coś takiego, ale im dłużej kluczyła jak zaszczute zwierzę i umykała nazistowskiemu prawu, tym częściej myślała, że podejrzenia doktora mogą się sprawdzić.

Podczas lekcji gry na fortepianie nie może się skoncentrować. Dziewczynka fałszuje niemiłosiernie, a ona siedzi zamyślona i nie zwraca na to uwagi. Dopiero wejście matki dziecka przywołuje ją do rzeczywistości. Kobieta jak co tydzień stawia na stole tacę, a na niej dzbanek z gorącą kawą, filiżanki i ciasteczka. Ich widok wywołuje nieznośne ssanie w żołądku i przypomina, jak marne było jej śniadanie. Mimo to najchętniej poprosiłaby gospodynię, żeby zapakowała ciastka dla chłopców, ale tego nie robi. Sięga po jedno i długo żuje, by nacieszyć się smakiem cukru, masła i wanilii.

– Pani Neumann – mówi z lekkim skrępowaniem matka dziewczynki. – Wspominała pani kiedyś, że ma dwóch synów. Mój Alexander wyrósł z niektórych ubrań. Czy nie pogniewałaby się pani, jeśli dałabym trochę rzeczy po nim? – Powiedziawszy to, wynosi z sąsiedniego pomieszczenia duży pakunek owinięty w szary papier i przewiązany sznurkiem. – Są tu swetry, spodnie i dwie pary butów.

Ewa jest tak zaskoczona, że w pierwszej chwili nic nie mówi. Potem czuje, jak oczy wypełniają się jej łzami. – Dziękuję! Och, bardzo dziękuję. Nawet pani nie wie, jak to się przyda.

Wraca do domu taka radosna, jakby rano nic się nie zdarzyło. Wspina się po wąskich schodach do mieszkania, dźwigając ciężką paczkę. Trochę kręci się jej w głowie z głodu, ale to nieistotne, bo ma ubrania dla chłopców. Przystaje zaskoczona, bo drzwi do mieszkania są otwarte na oścież, a na korytarzu tłoczą się obcy ludzie.

– Co tu się dzieje, panie Eisenmann? – pyta staruszka stojącego w progu swego pokoju.

– Ano Goldblumowie nie żyją – stwierdza głosem pozbawionym emocji,

a potem zanosi się suchotniczym kaszlem.

– Jak to? Przecież niedawno ich widziałam. Ten chłopczyk płakał całą noc.

– Mówię pani, że nie żyją. Dzisiaj przyszli po nich. Mieli być deportowani, ale się nie stawili. Wyłamali drzwi do pokoju, a oni tam leżeli wszyscy w łóżku jakby spali. Otruli się chyba.

– Dzieci też? – kobieta nie może uwierzyć, że można zrobić coś tak strasznego.

– Co do jednego. Cała trójka. Policja już pojechała. Ci tutaj po trupy przyszli.

Jakby na potwierdzenie tych słów pojawiają się mężczyźni niosący na noszach ciało matki i najmłodszego dziecka.

Ewa drżącą ręką otwiera drzwi do swego pokoju, wchodzi i opiera się o nie z drugiej strony. Dociera do niej hałas z korytarza, potem zapada cisza. Obok nie ma już nikogo.

„Pewnego dnia przyjdą po mnie” – myśli.

73

Nie zamyka za sobą drzwi. Nie ma po co. Wszystko, co należy do niej, schowała w walizce. Niesie ją teraz w stronę stacji kolei miejskiej. W drugiej ręce ma paczkę obwiązaną szarym sznurkiem i elegancką czarną torebkę. Idzie prosto, z podniesioną głową. Obcasy dawno nienoszonych pantofli śmiało stukają o trotuar. Na twarzy ma wyraźny makijaż, a włosy upięte do góry spadają na czoło jak u Marii Isabel Delatorre. Z trwogą w sercu i udawaną obojętnością na twarzy wsiada do wagonu. Jest niedziela, więc przed południem niewielu ludzi wybrało się w podróż. Wśród pasażerów panuje senny nastrój. Ten i ów oparty o ściankę wagonu drzemie, niektórzy patrzą przez okno. Nic się nie dzieje. Słońce mocno przygrzewa, zielenią się trawniki i młode liście na drzewach.

– Mama? – Zdumiony Christian wpatruje się w odmienioną makijażem i fryzurą twarz.

– Wiosna! Postanowiłam coś zmienić – udaje wesołość. – Ach, jak na dworze pachnie! Po obiedzie musicie iść do parku. Obowiązkowo!

– Idziemy na zbiórkę – wyjaśnia nastroszony jak zwykle Arnold.

Chłopcy rzeczywiście bardzo wyrosli. Starszy, który niedługo skończy czternaście lat, stoi przed nią w śmiesznie krótkim sweterku niesięgającym paska spodni. Młodszy ma jeszcze dziecięcy ufnny wyraz twarzy i jest lepiej ubrany, bo nosi wszystko po bracie. Obaj wydają się Ewie zbyt szczupli, wręcz niedożywieni.

– Zobaczcie, co wam przywiozłam – mówi z dumą i przecina nożem sznurek, a potem odwiją szary papier. – Spodnie, swetry, buty – wylicza radośnie. – A co to? – Niechętnie bierze do ręki mundur piaskowej barwy.

– Przyda się. Niedługo przejdę do Hitlerjugend. – Arnold odwiesza do szafy strój organizacyjny, nawet go nie przymierzając.

– Zostaw. Może trzeba coś przerobić. – Sabina towarzyszy im w oglądaniu podarowanych rzeczy i cieszy się ze wszystkiego, nawet z munduru.

– To dopiero we wrześniu. Teraz nic nie trzeba robić – ucina chłodno starszy z chłopców.

Po obiedzie złożonym z ziemniaków i resztek baraniny Arnold i Christian wychodzą, więc Sabina i Ewa mogą rozmawiać swobodnie.

– Jak się tu dostałaś?

– Koleją miejską, jak zawsze.

– Mogli cię złapać. Na pewno kontrolują dokumenty.

– Nie miałam wyjścia. Mamo, czy mogłabyś zejść na dół i poprosić, żeby przyszedł tu doktor Langner?

– Czy coś się stało? – niepokoje się Sabina.

– Tak. Wyprowadziłam się. Zobacz, mam ze sobą wszystkie rzeczy – wskazuje na walizkę stojącą przy drzwiach. – Gdybym tam została... gdybym gdziekolwiek została jako Żydówka, prędzej czy później by mnie deportowali. Przecież wiesz.

– Chcesz mieszkać z nami? – Na twarzy Sabiny radość miesza się z obawą.

– Nie. Nie będę was narażać. Mam pewne dokumenty. Na razie mogę ich używać. Chcę prosić doktora Langnera o pomoc w znalezieniu jakiegoś lokum.

– Dobrze, pójdę go zawołać.

Odkąd Erich Langner zaczepił Ewę na schodach i zwrócił uwagę na chorobę Sabiny, minęły prawie dwa lata. Lekarz okazał się człowiekiem, na którym w każdej sytuacji mogły polegać. Zresztą nie tylko one. Praktycznie dla całej kamienicy stał się pogotowiem ratunkowym w mniej lub bardziej poważnych dolegliwościach. Nie wypisywał recept, ale diagnozował, doradzał i kontrolował stan chorych, a czasem zdobywał trudno dostępne leki. Dzięki temu mogli z żoną Żydówką czuć się w miarę bezpiecznie. Nawet dozorczyńni szpiegująca dla Gestapo roztoczyła nad doktorem parasol ochronny. Jej kilkunastoletnia córka choruje na padaczkę i miewa bardzo częste ataki. Langner jest w takiej sytuacji niezastąpiony. Doskonale zdaje sobie sprawę, że większość jego pacjentów doniosłaby natychmiast o jego nieuprawnionej praktyce i trafiłoby z żoną do obozu, ale powstrzymuje ich przed tym interes. Nie każdy ma pod boki lekarza, a w przychodniach kłębią się tłumy ludzi.

– Co mogę dla pani zrobić? – Głos doktora jest jak zawsze ciepły i pełen życzliwości.

– Spaliłam moje stare dokumenty – wyjaśnia, nie ukrywając niczego. – Mam inne – wyjmuję z torebki papiery należące kiedyś do Marii Isabel Delatorre. – To było wtedy, kiedy nastawiał mi pan bark. Ona zginęła pod gruzami, a żołnierz,

który mi pomógł, myślał, że to moja torebka. Nigdy w życiu nie wzięłam cudzej własności – tłumaczy się zawstydzona – ale pomyślałam wówczas, że jej już nic nie pomoże... Była do mnie podobna – dodaje po chwili.

– Postąpiła pani słusznie. Jednak dalej nie wiem, jaką rolę przewiduje pani dla mnie.

– Nie mam gdzie się podziać. Już nie mogę mieszkać z Żydami. Nie zostanę tutaj, bo wszyscy mnie znają z widzenia. Niektórzy wiedzą, jak się nazywam. Nie chcę narażać rodziny, w razie gdyby ktoś podzielił się swymi podejrzeniami z Gestapo. Teściowa mówiła, że podobno ma pan jakieś kontakty...

Lekarz patrzy pytająco na Sabinę. – Skąd takie informacje? – pyta.

– Wszyscy mówią, że do pana przychodzą różni ludzie – tłumaczy się zakłopotana kobieta. – Ale niech pan się nie boi – pociesza. – Przecież pana doktora nikt nie wyda.

– Do czasu. Widać nie byłem dość ostrożny – martwi się. – Spróbuję pomóc – zwraca się do Ewy – ale nie od razu. Musi tu pani zostać kilka dni. Proszę nie wychodzić z mieszkania, a chłopcom zapowiedzieć, żeby nie mówili nikomu, że pani tu jest. Ja tymczasem postaram się coś załatwić.

Langner zjawia się już następnego dnia przed południem. Ma dobre wieści.

– Ewo, może się pani pakować. Moja koleżanka lekarka przyjmie panią do siebie na jakiś czas. Warunki może nie będą najlepsze, ale za to mieszkanie jest blisko centrum.

Po południu ucałowała synów i znowu wyszła na ulicę, niosąc w walizce swój cały majątek. Z duszą na ramieniu wsiada do kolejki i zajmuje miejsce przy oknie. Ma wrażenie, że wszyscy ją obserwują, bo wiedzą, kim jest – człowiekiem wyjętym spod prawa, żywym celem, który za chwilę zostanie trafiony. Intensywnie wpatruje się w okno, ale gdyby miała powiedzieć, co tam widzi – nie potrafiłaby.

– Proszę dokumenty do kontroli – słyszy i zwraca nieprzytomne spojrzenie w stronę mężczyzny w mundurze koloru stali. Kątem oka widzi, że drugi stoi przy pasażerach na przeciwległym końcu wagonu. Pociąg mknie, nie ma więc żadnej możliwości ucieczki. Zaciska mocno zęby, by nie zaczęły głośno o siebie uderzać.

– Dokumenty poproszę – powtarza policjant. – Prędej!

Powoli sięga do torebki. Wyjmuje dowód osobisty i podaje bez słowa.

– Pani jest cudzoziemką? – ni to pyta, ni stwierdza i zaciekawiony ogląda jej papiery, a potem bez skrępowania porównuje twarz kobiety siedzącej przy oknie z fotografią.

„Już się domyślił! Brakuje mi tchu. Boże, zaraz się uduszę!” – Ewa wpada w panikę.

– Dziękuję – słyszy, a przed sobą widzi wyciągniętą rękę z dokumentami. Nie może się odezwać ani nawet skinąć. Jest zdrętwiała, a plecy zalewa zimny pot. Kontrola trwa dalej. Kiedy pociąg się zatrzymuje, policjanci wysiadają, a ona

opiera ciężką głowę o chłodną ścianę wagonu.

Kobieta, u której ma mieszkać, o nic nie pyta. Pokazuje pokój, wyjaśnia, czego oczekuje od lokatorki, i uprzedza, że dla bezpieczeństwa ich obu byłoby lepiej, żeby jak najszybciej znalazła sobie nowe miejsce. Dozorca to pijak, ale w kamienicy mieszkają też inni ludzie. – Prawie każdy ma coś na sumieniu – mówi, zapalając kolejnego papierosa – więc żeby odsunąć podejrzenie od siebie, donosi na drugiego. Słyszałam na mieście o dorosłych dzieciach, co na własnych rodziców donoszą. Dlatego tacy jak pani powinni wpadać na chwilę i ruszać dalej.

– Postaram się znaleźć coś innego, ale nie od razu. Proszę mnie zrozumieć...

– Przecież nie wypędzam pani. – Doktor Berta Koch wstaje z krzesła i zaczyna nerwowo chodzić po pokoju. – Uprzedzam tylko, że po czterech dniach trzeba zgłosić dozorczy swój pobyt pod tym adresem. Jak uda się z nim załatwić, żeby przez jakiś czas nie podawał tej informacji władzom, zyska pani kilka następnych dni.

*

Ewa próbuje jakoś żyć. Coraz rzadziej widuje się z dziećmi. Tym razem naprawdę mogłaby sprowadzić nieszczęście na synów, teściową i doktora Langnera. Jeszcze zanim zaczęła prowadzić życie U-boota^[47], słyszała o aresztowaniach ludzi podejrzewanych o cokolwiek. Dręczeni psychicznie i torturowani mówili swym prześladowcom wszystko, co tylko tamci chcieli usłyszeć. Sypiąc nazwiskami i adresami, przyczyniali się do zapełniania kolejnych cel w aresztach, a potem dawali katom tyle zatrudnienia, że ci nie mogli nadażyć, wieszając skazanych albo ścinając na gilotynie.

Nie chce nikogo narażać, ale aby przeżyć, musi korzystać z pomocy innych ludzi. Tym bardziej że prawie nie ma pieniędzy, a po kartki na żywność nie może pójść z cudzymi dokumentami. Kobieta, która daje jej schronienie, dzieli się z nią swoim skromnym przydziałem. – Jestem taka chuda, że już bardziej nie schudnę – żartuje. – Nie mam apetytu. Od dziecka byłam niejadkiem. Nie patrz tak surowo – mówi do Ewy – nic na to nie poradzę, że tylko papierosy mi smakują.

Najczęściej nie ma jej w domu. Chociaż przeszła już na emeryturę, kazano jej wrócić do pracy w szpitalu. Brakuje lekarzy, bo wielu jest na tyłach frontu w polowych szpitalach, a setkom medyków pochodzenia żydowskiego leczyć nie wolno.

Mimo że miała być krótko, Ewa jest u pani Berty już ponad miesiąc. Jak dawniej daje lekcje muzyki. Część z jej uczennic została deportowana wraz z rodzinami, ale na szczęście zostały trzy czyste rasowo. Ponieważ ich rodzice o nic nie pytali, korzysta z okazji zarobienia paru marek. W jednym z domów jest traktowana szczególnie dobrze. Tam od czasu do czasu oprócz zapłaty dostaje jakieś ubrania dla chłopców, a nawet coś do zjedzenia. Podejrzewa nawet, że matka dziewczynki, żona oficera Wehrmachtu, domyśla się, kim jest, i tym bardziej stara

się jej pomóc. Dzisiaj dostała pół królika! Sama nie może uwierzyć w swoje szczęście. Czym prędzej wsiada do kolejki i jedzie do Sabiny. Może zdążą go przyrzucić, zanim dzieci wrócą ze szkoły. Jest tak podekscytowana, że zapomina o niebezpieczeństwie. Na jednym z przystanków wsiadają policjanci i rozpoczynają kontrolę. Boi się, ale już nie tak bardzo jak za pierwszym razem. Przekonała się, że bycie cudzoziemką daje jej pewną ochronę. Nikt o nic nie pyta, a hiszpańskie nazwisko odsuwa podejrzenia od jej ciemnych oczu i włosów.

– *Cómo te gusta en Alemania, señorita Delatorre?*^[48] – pyta z uśmiechem policjant, któremu podała dokumenty.

Ewa kamienieje z przerażenia. Daremnie próbuje przypomnieć sobie któryś ze zwrotów, jakich się uczyła właśnie na wypadek takiej sytuacji.

– *Señorita Delatorre?* – policjant patrzy na nią wyczekująco.

Pociąg hamuje przed kolejnym przystankiem. Wtem pasażer siedzący trzy miejsca dalej nagle zrywa się i dopada do drzwi. Niestety, zrobił to za wcześnie, pociąg jeszcze jedzie. Mundurowy stojący przy Ewie rzuca jej dokumenty na kolana i rusza w stronę spanikowanego mężczyzny. To samo robi drugi policjant. Chwytają nieszczęśnika za ramiona i szarpiącego się wywlekają na peron. Ewa zauważa, że nikt z pasażerów w wagonie ani też żadna z osób oczekujących na swój pociąg nie reaguje. Wszyscy odwracają głowy od człowieka katowanego na peronie i głośno wołającego o litość. Zapewne kiedy nie widzi się takich scen, sumienie nie dręczy i można dobrze spać nocą. Bo przecież nic takiego się nie zdarzyło. To tylko jakiś Żyd śmiał nie przestrzegać prawa. Wsiadł do kolejki, chociaż mu nie wolno. Sam sobie winien.

Z obrazem zakrwawionego człowieka w głowie staje w drzwiach mieszkania Sabiny. Jest tak wstrząśnięta, że obejmuje staruszkę mocno i tuli się do niej, jakby szukała ratunku w jej chudych, pokrytych obwisłą, pomarszczoną skórą ramionach. Potem opowiada jej całe zdarzenie, ale teściowa nie reaguje tak, jak tego oczekiwała. Ewa zauważa, że Sabina jest jeszcze bardziej zagubiona niż zwykle.

– Mamo, przyjmujesz te leki, które załatwił ci doktor Langner? – pyta z niepokojem.

– Tak, tak. Biorę je.

– Możesz mi pokazać, ile ci jeszcze zostało?

– Zobacz sama. Gdzieś tu leżą. – Staruszka wykonuje ręką gest, który równie dobrze mógłby wskazywać jakiegokolwiek miejsce w kuchni.

Ewa przetrząsa szafki, wreszcie znajduje szklaną buteleczkę z tabletkami.

– Mamo, kiedy byłam u ciebie tydzień temu, było tyle samo tabletek! Dlaczego nie dbasz o siebie? Jak nie będziesz brała leków, możesz nawet umrzeć! Co ja wtedy zrobię?! – krzyczy, ale wystarczy jedno spojrzenie na bezradną kruchą postać, aby ogarnęło ją poczucie winy. Podchodzi do Sabiny, obejmuje i mocno przytula. – Mamo, proszę, wybac mi.

Wieczorem, kiedy sama siedzi w mieszkaniu Berty, podejmuje decyzję.
Napisze do Marty. Jest ostatnią osobą, która może im pomóc.

Znowu zakwitły lipy. Odurzająca woń i brzęczenie pszczół wdzierają się do sypialni przez otwarte okno. Marta otworzyła Biblię, ale księga leży beżużytecznie na kolanach, a srebrnoszare oczy patrzą gdzieś w przestrzeń. Niedawno minęły dwa lata od śmierci Waltera. Myśli o mężu bez dawnego gniewu, próbuje przywołać w pamięci jego twarz, ale obraz się zaciera. Kiedyś lubiła, jak wymawiał jej imię, teraz nie może sobie przypomnieć nawet barwy jego głosu. Dwa lata temu szczerze go nienawidziła: za Jankę, której nie pomógł, za kochankę i wstyd, który spadł na nią i niczemu niewinną Tilę. „Dzisiaj nie ma wstydu – myśli. – Kto jeszcze pamięta o moim upokorzeniu, kiedy co najmniej dwie młode żony żołnierzy spodziewają się dzieci, tyle że nie widziały mężów od roku. Nikt nawet nie wspomni, że byłam zdradzana, bo są inne, ciekawsze tematy do cichych rozmów. Pobożna, oszczędna i pracowita Helga upija się w samotności, bo nie może znieść czekania na wiadomość o zaginionym na froncie małżonku. Krüger dalej katuje Łucję, a niektórzy szepczą, że wchodzi do łóżka swojej piętnastoletniej córki. Czym dzisiaj jest wstyd? – pyta w myślach, nie oczekując odpowiedzi. – Chciałabym pojechać na grób Waltera. Może to błąd, że pozwoliłam Sabinie go zabrać. Co ze mnie za wdowa, jeśli nie mogę dbać o grób męża?”

– Pani gospodyni! – krzyczy z dołu Franka. – Zejdzie pani, ktoś przyszedł!

Nie chce się jej wstawać z krzesła, ale dziewczyna ponawia wołanie.

– Nie krzycz tak! – odpowiada zniecierpliwiona. – Już idę.

„Podobno miałam dzisiaj odpoczywać – myśli, z trudem przełykając ślinę. – Czy ta dziewczucha nie mogła powiedzieć, że jestem chora? Przecież nie nadaję się do przyjmowania gości”. Przegląda się w lustrze, poprawia włosy i rozprostowuje fałdki na sukience. Ciało przebiega dreszcz, otula się więc wełnianym szalem i wychodzi na schody. Na korytarzu przy wejściu stoi Franka, a tuż za nią Manfred. Marta aż zatrzymuje się na stopniu ze zdziwienia.

– To ty?

– Tila mi mówiła, że jesteś chora, więc przyniosłem ci miód na bolące gardło. Chciałem tylko zostawić i pójść, ale ona – wskazuje na wyraźnie zaciekawioną Frankę – uparła się, że cię zawoła.

– Miała rację. W końcu ostatnio byłeś u nas rok temu. Twoje wizyty to doniosłe wydarzenia – ironizuje Marta. – Wejdzmy do kuchni. Nie wypada, żebyśmy stali na korytarzu. Franko, nie masz jakiejś roboty? – zwraca się do Polki, która najwyraźniej ma zamiar dalej przysłuchiwać się rozmowie.

– Nie, pani gospodyni. Już pozmywałam po obiedzie. Właśnie chciałam zapytać, czy mogę iść do moich.

– Idź. Przecież nie pracujesz u mnie. Masz dzisiaj wolne.

Mimo pozwolenia Franka z pewnym ociąganiem oddała się i po chwili

wychodzi. Jest niedziela, więc większość robotników nie pracuje. Zwykle po południu gdzieś się spotykają. Polacy, Francuzi, Rosjanie ciągną do stałych miejsc, gdzie mogą ze sobą porozmawiać w ojczystym języku, zwierzyć się ze swych problemów i choć w ten sposób ukoić tęsknotę za domem.

Marcie trudno uwierzyć, że przyszedł do niej Manfred. Od czasu, kiedy przyniósł ryby, a potem odmówił, kiedy zaprosiła go na kolację, zamieniali parę słów przy okazjonalnych spotkaniach – najczęściej na cmentarzu. Domyśla się, że już nie czuje do niej żalu, ale też nie zamierza w żaden sposób wracać do tego, co było kiedyś między nimi. Pogodziła się z tym z pokorą, bo wie, że to ona była wszystkim winna.

– Co ci przyszło do głowy, żeby chorować w taki upał? – pyta mężczyzna, a zielone oczy mrużą się żartobliwie.

– Zachowałam się jak niemądre dziecko. W czwartek, pamiętasz, było jeszcze cieplej niż dzisiaj, zajechałam do Gustava. Tak mi się chciało pić, że dopadłam do studni i zanim się zjawił, wyciągnęłam wiadro zimnej wody. Piłam i piłam, a potem jeszcze trochę się spryskałam dla ochłody. Nazajutrz od rana bolało mnie gardło, a po południu dostałam gorączki. Wczoraj Tila zapakowała mnie do łóżka. Wyobrażasz sobie! Nie pamiętam, kiedy ostatnio leżałam w dzień. – Śmieje się zakłopotana. – Dzisiaj już się nie dałam, ale i tak zabroniła – mi dotykać się czegokolwiek. Nawet u krów nie byłam.

– Ale nie jest lepiej, prawda? – Manfred pokazuje na szal, którym owinęła się Marta. – Masz gorączkę.

– Nie, nie, czuję się dobrze. – Marta pospiesznie odrzuca okrycie, ale odsłonięta skóra natychmiast pokrywa się gęsią skórką.

– Właśnie widzę. Gdzie trzymasz zioła? Zaparzę ci herbatę.

– Nie, zostaw. Tila zaraz przyjdzie i zrobi, co trzeba.

– Tila z dziewczętami z BDM zbiera lipę. Wiem, bo moje córki też tam są. To gdzie masz te zioła?

Marta siedzi zawstydzona i obserwuje, jak Manfred wsypuje do kubka suszone kwiaty czarnego bzu, idzie przez podwórze do letniej kuchni, bo tam jeszcze się pali pod płytą, potem wraca i stawia przed nią pachnący napar.

– Dziękuję. Już zapomniałam, jak to jest być pod czyjąś opieką.

– Masz Tilę.

– Mam, to prawda – potwierdza i już nie dodaje, że myślała o męskiej opiece.

*

Wieczorem, jak zawsze przed snem, szcnotkuje włosy, ale całkiem odruchowo, bo znowu wraca we wspomnieniach do przeszłości. Robi swoisty rachunek sumienia. Zastanawia się, czego w swym życiu powinna się wstydzić. Przede wszystkim tego, jak potraktowała kiedyś Manfreda. Dziwi się, że jej

przebaczył i chce z nią rozmawiać. Zawiodła swych przodków, bo zmarnowała lata winiarskiej tradycji. Winorośle zmarzły, a ona się poddała i nie posadziła nowej winnicy.

Walter? Kiedy ich małżeństwo okrzepło, czy zastanawiała się kiedyś nad jego uczuciami? Zrządziła, wciąż miała o coś pretensje i karała go, odmawiając mu fizycznej bliskości. Kiedy został zabity, oddała jego ciało matce, jakby nic dla niej nie znaczył, a przecież był jej mężem blisko dwadzieścia lat. Tak bardzo się starał uratować Jankę, a ona o tym zapomniała. Wstyd, jaki wstyd!

Janka? Cierpi gdzieś w obozie. Niektórym udaje się stamtąd wrócić i mówią okropne rzeczy o tym, jak tam jest. Nie do uwierzenia, że Niemcy mogą tak traktować ludzi. Chyba przesadzają, ale i tak wstyd, że nic nie robi, żeby pomóc Jance. W szafie przybywa pieniędzy, bo pokątnie sprzedaje jaja, a całkiem legalnie króliki i kurczaki. Za wszystko dostaje tyle, że przed wojną mogłaby pomarzyć o podobnych cenach. Może jest gdzieś człowiek, któremu dałoby się zapłacić za uwolnienie Janki. Tyle że Marta nie pyta, nie stara się. Jak spojrzy w oczy przyjaciółce, kiedy wreszcie wróci?

Sabina? Przez dwa lata nie napisała do teściowej. Nie zapytała, jak sobie radzi. Nie odwiedziła ani jej, ani grobu męża. Och, jak teraz się przez to rumieni! „Boże, jakim grzesznym i samolubnym jestem człowiekiem!” Ta myśl jest tak porażająca, że ręka trzymająca szczotkę opada bezwładnie, a ona wpatruje się w swe odbicie w lustrze, jakby dopiero co poznała kobietę, która przed nim stoi.

W nocy przyszła burza z deszczem, który dotąd nie przestał padać. Krople uderzają o szyby, a potem spływają, złobiąc koleiny w mokrej przymglonej powierzchni. Wszystko wkoło pluska, siąpi i ciurka, wprawiając Martę w melancholijny nastrój. Nie wie, co ma ze sobą począć. Tila kategorycznie zażądała, by skorzystała z niepogody i nie wstawała z łóżka. Rzeczywiście w pole nie ma co się wybierać, w ogrodzie też mokro, a w obejściu córka ze Stefanem sobie poradzą. Siedzi oparta o poduszki i sączy ziołową herbatę z miodem, patrząc na krople ścigające się na szybie, i zastanawia się, od czego zacząć naprawianie siebie.

Słysząc szybkie kroki na schodach. To Tila. Nikt inny tak prędko nie wbiega na górę.

– Mamo, list z Berlina. Pani Kliem przyniosła przed chwilą.

– Czyżby babcia? – próbuje się domyślić, oglądając kopertę. – Nie, chyba nie.

– Dowiesz się, jak otworzysz – niecierpliwi się córka.

Marta oddziera ostrożnie krótszy bok i wyjmuje kartkę zapełnioną równym, drobnym pismem.

– Od cioci Ewy! – nie może powstrzymać okrzyku zdziwienia.

– Wyzdrowiała nareszcie? Co pisze?

Marta szybko przebiega wzrokiem treść listu, zastanawiając się jednocześnie, czy może dać go Tili do przeczytania. Niestety, są tam informacje, które wolałaby zachować dla siebie.

– Babcia jest chora.

– To wszystko? Co jeszcze tam jest? – Dziewczyna usiłuje zajrzeć matce przez ramię.

– Tila, mogłabyś znowu zrobić mi gorącej lipy z miodem? Chyba mam gorączkę.

Kiedy zostaje sama, ponownie zabiera się do lektury listu. Ewa prosi o jakąkolwiek pomoc. Opisuje przy tym swoją sytuację, bo chce się wytłumaczyć, dlaczego nie może zajmować się dziećmi. Pisze w zawołany sposób, ale Matylda mogłaby czegoś się domyślić, więc nie chce pokazać córce listu. Postanawia, że za kilka dni, w sobotę rano sama pojedzie do Berlina i zobaczy, w czym może pomóc. „Ten list to znak, odpowiedź na moje rozterki. Zaniedbałam Sabinę i muszę to jakoś naprawić. Pójdę na cmentarz i pożegnam się z Walterem jak należy”.

– Tak! – mówi głośno i gwałtownie zrywa się z pościeli, zaraz jednak siada na brzegu łóżka, bo nagle przed oczami robi się ciemno, a w głowie coś wiruje.

– Mamo, co ci jest? Miałaś przecież leżeć! – Tila prędko odstawia kubek na szafkę nocną i pomaga matce położyć się z powrotem.

– Nic mi nie jest. Za szybko się podniosłam – tłumaczy się, ale posłusznie daje się przykryć. – Usiądź na chwilę – prosi córkę. – Powiem ci, co postanowiłam. – Kiedy córka przysiada obok niej, oznajmia: – W sobotę jadę do Berlina, a jeśli się uda, wrócę w niedzielę wieczorem. Ty tu wszystkiego dopilnujesz.

– Co? Nie ma mowy. Mamo, dopiero omal nie upadłaś. Nie myśl, że ci pozwolę. To już prędzej ja... albo wybierzmy się razem. Weźmiemy ze sobą dużo jedzenia, tak jak wtedy z tatą.

– Ale...

– Mamo, proszę. – Dziewczynie łamie się głos. – Tęsknię za tatusiem. Chciałabym pójść na jego grób.

Decyzja zapadła. Jadą razem. Tylko jak to zrobić, żeby Tila nie dowiedziała się, że była oszukiwana w sprawie cioci Ewy. Marta rozmyśla o tym przez resztę dnia. Wydawało się jej, że zna córkę, ale teraz nie ma już takiej pewności. „Jest dość dorosła, żeby poznać prawdę. Ale co potem? Czy nie poinformuje kogoś z władz albo nie zwierzy się jakiejś nieodpowiedniej osobie? Ten Holzer. Dawno go nie widziałam, podobno jest na froncie, ale może przecież dostać przepustkę. Jemu bym na pewno nie ufała. Jak postąpić? Nie mam się kogo poradzić. Zbawicielu, proszę, pomóż mi podjąć właściwą decyzję”.

Rano, kiedy dziewczyna przynosi matce śniadanie, zastaje ją ubraną i gotową do pracy.

– Czuję się zupełnie dobrze, ale obiecuję ci, że będę się oszczędzać – wyjaśnia, napotkawszy pytający wzrok córki. – Zanim zejdziemy na dół, muszę ci o czymś powiedzieć.

75

Berlin, do którego dotarły w ciepły lipcowy dzień, jest trochę inny niż ten poznany przed laty. To prawda, że wciąż pełno w nim dźwięków i spieszących się ludzi, ale widać też miejsca po kamienicach zburzonych bombami. Główne ulice i niektóre drogi wodne przykrywa siatka maskująca. W okolicach ogrodu zoologicznego nad innymi obiektami dominuje zielony dziwaczny budynek o wysokich grubych murach i małych okienkach. Z jego narożników sterczą w niebo długie lufy 128-milimetrowych armat przeciwlotniczych, a w otworach żelazobetonowych ścian można dostrzec fragmenty działek mniejszego kalibru. Jest to jedna z trzech wież, które mają odstraszać lotnictwo wroga i zwiększać poczucie bezpieczeństwa berlińczyków.

Tila, która od czasu do czasu oglądała w sali kinowej Eichlera kroniki filmowe, a w nich relacje z Berlina, jest nieprzyjemnie zaskoczona, bo tam widziała pełne kawiarnie, szczęśliwych, uśmiechniętych ludzi stojących w kolejkach do teatrów i muzeów, rzesze kibiców na zawodach sportowych i rodziców z małymi dziećmi w parkach. W rzeczywistości mijani ludzie są przygnębieni, mało kto się uśmiecha, a wszyscy gdzieś się spieszą. Marta zagląda do sklepów. Jest ciekawa, jak wygląda zaopatrzenie. Zauważa, że punktów handlowych ubyło, ale ma wrażenie, że żywność jest, a przecież Ewa pisała, że Sabina kupuje mięso u spekulantów. Jak więc wygląda prawda?

Ten i ów przechodzień zwraca uwagę na dwie kobiety z trudem dźwigające walizki. Rodowity berlińczyk od razu domyśla się, że przyjechały ze wsi. Mają opalone, nieumalowane twarze i dawno niemodne fryzury. Dziś każda miastowa panna w wieku tej młodszej ma fale albo włosy do ramion z fantazyjnie upiętą grzywką bądź przylizaną główkę z rogalem z boku albo z tyłu. Tymczasem ta wysoka szczupła panna zaplotła włosy w gruby, sięgający do pasa warkocz i zdaje się nie przejmować swoim wyglądem. Starsza do modnej dziesięć lat temu sukienki włożyła kapelusik z tej samej odległej, bo przedwojennej epoki.

Dojechawszy kolejką miejską do Charlottenburga, próbują dotrzeć piechotą do mieszkania Sabiny, jednak niesiony ciężar tak im dokuczył, że w końcu decydują się na wzięcie taksówki. Kierowca od razu zwraca uwagę na walizki i informuje, że zawiezie je pod warunkiem, że coś z ich zawartości dostanie jako zapłatę, bo pieniędzy nie chce. Marta bardzo niechętnie otwiera podręczną torbę, którą trzyma w drugiej ręce, i wydziela mężczyźnie dziesięć jajek. Tamten chce się jeszcze targować, ale trafił swój na swego, bo nie na darmo pani Neumann kilkanaście lat handlowała na rynku w Unruhstadt. W ten oto sposób względnie

tanio udaje im się dostać w okolice domu Sabiny.

Brama jest otwarta, bo to środek dnia. Wspinają się na pierwsze piętro, ale tu spotyka je zawód – nikt nie otwiera drzwi. Siadają więc na schodach i czekają, aż wreszcie zjawi się ktoś z domowników. Ludzie przechodzący schodami w górę lub w dół zerkają na nie z ciekawością, ale o nic nie pytają. Dopiero kiedy nadeszła dozorczyńni, zostały poddane wnikliwemu śledztwu. Ona też łakomie zerka na ich bagaż. W końcu nie wytrzymuje:

– Jak panie ze wsi przyjechały, to pewnie mięsko albo smalec mają. Dobrze bym zapłaciła.

– Trochę żywności mamy, ale niewiele. Tyle co dla teściowej i chłopców – odpowiada Marta z rezerwą.

– Ej, jakie tam trochę, przecież widzę, że walizki naładowane.

– Przywiozłyśmy ubrania dla dzieci. U krewnych się pozbierało, bo teraz trudno kupić. Jedzenia niewiele się zmieściło. – Pani Neumann próbuje wywieść w pole wścibską mieszczkę.

– Szkoda. Bo jakby trochę słoninki albo jaki kurczaczek się znalazł, tobym zapomniała, że tu przychodzi taka nauczycielka muzyki, co mi nie wygląda na Aryjkę. – Dozorczyńni pewna swej przewagi szyderczo się uśmiecha.

– Od kiedy ona tu przychodzi?

– Jeszcze przed wojną tu się kręciła. Zawsze miałam na nią oko.

– I nie zawiadomiła pani władz o swoich podejrzeniach? – Marta udaje oburzoną. – Przychodzi tu nie wiadomo kto, pani ją wpuszcza, naraża wszystkich lokatorów, nie tylko panią Neumann, i to trwa już kilka lat? To raczej ja będę musiała powiadomić władze o pani niedopatrznościach. Obawiam się, że straci pani swoją posadę.

– Nie, nie. To zwykła nauczycielka. – Kobieta traci pewność siebie. – Słyszę, jak z nimi te gamy ćwiczy. Pomyliło mi się. Niech pani zapomni, o czym mówiłam. To takie głupstwa. A pani Neumann – dodaje słodkim głosem – pewnie zaraz przyjdzie. Słaba starowinka, to jak pójdzie do miasta, długo trwa, zanim wróci. – Powiedziawszy to, czym prędzej znika z pola widzenia.

Tila, która podczas rozmowy nie odzywała się wcale, teraz obraca się w kierunku matki: – No, no! Mamo, nie spodziewałam się tego po tobie – mówi z podziwem.

– Panie Kisch i Heckman są wszędzie, nie tylko w Altreben. Takie baby mnie nie przestraszą – odpowiada Marta z nutką zarozumiałstwa w głosie i po raz pierwszy od rozmowy o Ewie uśmiechają się do siebie.

Dozorczyńni miała rację. Po dwudziestu minutach zjawia się Sabina. Być może, gdyby spotkały ją na ulicy, nie poznałyby jej. Z postawnej, eleganckiej kobiety zrobiła się przygarbiona staruszka. Na widok Marty jej twarz przybiera nieustępliwy, zacięty wyraz, ale obecność wnuczki sprawia, że łagodnieje.

– Tila! Dziecko moje kochane! Przyjechałaś do babci! – woła i tak szybko, jak jej kondycja pozwala, dociera do drzwi swego mieszkania.

Są już w środku, a ona wciąż nie może oderwać wzroku od dziewczyny.

– Jakaś ty podobna do ojca – szepcze wzruszona.

Marta nie może się powstrzymać przed uniesieniem wysoko brwi. „Podobna? – myśli. – Nigdy w życiu!” Ale co tam, niech się Sabina cieszy.

Mimo że na stole wciąż przybywa wiktuałów, Sabina odnosi się do synowej z chłodną rezerwą. Atmosfera zmienia się, kiedy zjawia się Ewa.

To wciąż ta sama ciocia Ewa, którą Tila pamięta z dawnych czasów. Wychudzona, z kilkoma siwymi włosami pośród ciemnych, wysoko upiętych loków, jednak ta sama, ciepła i kochająca. Nie widziała jej od lat, ale jak kiedyś wpada z uśmiechem w ciotczyne ramiona. „Ciocia Ewa nie jest żadną Żydówką. To jakaś pomyłka. Ona jest zupełnie normalna i ja ją kocham. Taka osoba nie może być Żydówką” – wmawia sobie w myślach od kilku dni. Nie przyjmuje tego do wiadomości, bo gdyby to zrobiła, musiałyby donieść, że bratowa jej ojca się ukrywa, albo zaprzeczyć wszystkiemu, o czym jej dotąd mówiono, a wtedy nie mogłaby wierzyć Führerowi, pani Stein, ani nawet Karlowi. Wówczas cała jej służba, poczynając od wstąpienia do BDM, a na prowadzeniu grupy dziewcząt kończąc, teraz straciłaby sens.

W pewnym momencie Marta całkiem otwarcie zwraca się do Ewy:

– Nie możesz tu przychodzić. To zbyt niebezpieczne. Dozorczynie próbowała nas szantażować, mówiąc, że bywa tu kobieta o niearyjskim wyglądzie. Któregoś dnia może donieść.

Ewa rzuca szybkie spojrzenie na Tilę, a potem patrzy na Martę. Ta daje głową znak, że córka wie o wszystkim.

– Bywam tak rzadko, jak to tylko możliwe – tłumaczy – ale nie mogę zostawić Sabiny samej z tym wszystkim. Pisałam ci...

– Ależ ja daję sobie doskonale radę, Ewuniu – ożywia się starsza pani Neumann. – Zajrzyj do torby, kupiłam wszystko, co potrzeba.

– Mamo, potrzebujesz pomocy – perswaduje synowa. – Muszę cię odwiedzać, w końcu to ty opiekujesz się moimi synami. Ty mi pomagasz, a nie ja tobie.

Rozmawiały w kółko o tym samym, ale żadnego wyjścia nie znalazły. Dzień był długi, więc jeszcze zdążyły pojechać na cmentarz, gdzie Marta przeprowadziła długą rozmowę z Walterem. Przynajmniej tak się jej wydawało. Wieczór, choć bez Ewy, przypominał te sprzed wojny. Po kolacji, na którą Sabina podała wszystko, co najlepsze, długo siedziały z chłopcami przy szczelnie zasłoniętych oknach. Oni wspominali wakacje w Chwalimiu, oglądali zdjęcia, a nawet grali z Tilą w gry planszowe.

Nazajutrz Marta pojechała do ogrodu zoologicznego na spotkanie z Ewą,

a Tila z babcią i kuzynami poszła na nabożeństwo.

– Chciałam cię przeprosić – Marta zaczyna od spełnienia obietnicy danej sobie przed tygodniem. – Kiedy Sabina prosiła o pomoc dla ciebie, nawet nie próbowałam przekonać Waltera, żeby się zgodził, abys u nas zamieszkała. Wstydę się za to. Wybacz mi.

– Niepotrzebnie. On miał rację. Na wsi wytropiliby mnie szybko. Zobacz. Ukrywam się od wiosny. Mam czyjeś dokumenty i jak dotąd nikomu nie przyszło do głowy, żeby sprawdzić, czy naprawdę pracuję w hiszpańskiej ambasadzie.

– Tylko co będzie dalej? Martwię się o ciebie, o Sabinę i chłopców. Długo tak nie pociągniecie. Pisałaś, że ona się zapomina. Co, jeśli któregoś dnia zapomni zakręcić gaz?

– Nie wiem. Miałam nadzieję, że wymyślimy coś razem, ale chyba nie ma dobrego wyjścia. – Ewa garbi się na parkowej ławce, jakby kłopoty były zbyt ciężkie na jej wątłe ramiona.

– Jest. Niech Sabina z chłopcami przyjedzie do nas! Tobie będzie tu łatwiej, a u nas jest dość miejsca dla nich. – Marcie wydaje się, że znalazła doskonałe rozwiązanie, ale Ewa kręci głową.

– Możemy spróbować przekonać Sabinę, ale wątpię.

Przed klatką dla małp zebrała się grupka dzieci. Śmieją się z min zwierzątek i próbują je naśladować. Scena jest tak zabawna, że nawet dwóm zatroskanym kobietom siedzącym na ławce weseleją oblicza.

– Słuchaj – Ewa zwraca się do chwalimianki – zaraz przyjdzie tu pani, u której teraz mieszkam. Poprosiłam ją, żeby spotkała się z tobą.

– Po co?

– Pani Berta zna kogoś w Ravensbrück.

„Ten list naprawdę był znakiem – myśli Marta wsłuchana w stukot kół pociągu. – Tyle spraw dzięki niemu załatwiłam. I jeszcze na koniec ta kobieta spróbuje pomóc w uwolnieniu Janki! Czy mogłam marzyć o czymś takim?”

Matylda też ma się nad czym zastanawiać. Niestety, babci nie udało się przekonać do przeprowadzki, więc jesienią, kiedy skończą się najbardziej pracochłonne zajęcia na polu, ona ma pojechać do Berlina i choć na jakiś czas pomóc Sabinie. Z początku uznała to za wspaniały pomysł, ale teraz nie jest tego taka pewna, bo na razie nigdzie jej nie ciągnie.

76

Pociąg wiozący Martę i Tilę wyruszył z Züllichau. Zanim za pół godziny obie staną na peronie pośród łąk, mężczyźni, którzy właśnie opuścili dom pani Neumann, zdążą wrócić do siebie. Chociaż nie wiadomo, bo idą chwiejnym, niepewnym krokiem, zataczając się i wpadając jeden na drugiego. Wciąż obowiązuje zaciemnienie, więc żadne ciekawskie oczy nie powinny ujrzeć trzech

powszechnie szanowanych panów w tym stanie. Są to: Gustav Gogol, Peter Radach i Manfred Richter. Peter ma najbliżej, ale chyba go to nie cieszy, tym bardziej że zauważył drgnienie zasłony i smugę światła, która na moment padła na ścieżkę wiodącą od furtki do drzwi domu.

– Trzymaj się, chłopie – mówi do siebie, przekraczając próg.

Pozostali dzielnie kroczą dalej. Na szczęście niczym konie podążające do stajni instynktownie odnajdują drogę i bez strachu o to, czym przywitają ich żony, każdy dotarłszy do celu, ściąga buty i bez rozbierania kładzie się w pościeli.

Tymczasem Tila z matką dopiero co wysiadły z pociągu i dochodzą do mostu na Obrzycy. Noc jest bardzo ciemna, więc prawie nie widzą zabudowań. Idą na pamięć, a mijając obejścia, rejestrują zapachy i dźwięki. Lipy już przekwitają, ich woń jest ledwie wyczuwalna, za to z każdym krokiem mocniejszy staje się słodki i delikatny zapach maciejki z ogrodu Elsy Malcher, a potem ciepły podmuch wiatru skądś przynosi usypiający aromat rezedy. Kiedy już mają pod stopami asfalt zamiast nierównego bruku, czują ciężką, odurzającą woń białych lilii uprawianych z zamiłowaniem przez Gertrud Kubik, a jeszcze dalej zza płotu Alfreda Güntera wypływa goździkowy zapach lewkonii. Słodkie kwietne aromaty czasem zakłóca woń świeżych krowich odchodów pozostawionych przez bydło podczas wieczornego przepędzania z pastwiska do obory. Raz po raz ciszę przerywają szczekanie psów, parsknięcie konia w stajni albo odgłosy bitwy kocurów dobiegające z zarośli. Są już blisko domu, kiedy w te zwyczajne nocne dźwięki wdiera się chrzęszczący i skrzypiący odgłos nieco zdezelowanego roweru. Okazuje się, że to Herman Löchel, stróż nocny, który sprawdza, czy wszyscy dokładnie zasłonili okna.

Kiedy Marta zapala światło w kuchni, jej oczom ukazuje się widok dający wiele do myślenia. Otóż na stole przykrytym ceratą stoi rząd pustych butelek po winie i cztery duże kieliszki ze śladami używania. Kompozycji dopełniają talerze z resztkami jedzenia.

– Tila, zobacz, wujek Gustav kogoś tu gościł. Jak mógł? Nawet mnie nie pytał!

– Mamo, sama słyszałam, jak mówiłaś wujkowi, że ma się czuć jak u siebie w domu. – Tila uśmiecha się pod nosem, widząc zgrozę malującą się na twarzy matki.

– No ale to nie znaczy, że pozwoliłam mu urządzać z kolegami libacje.

– Daj spokój, mamo. Wujek na pewno nie robił nic złego. Co szkodzi, że zamiast się nudzić, czekając na nas, posiedział z kolegami przy winie.

– Przy moim winie! – oburzenie Marty nie mija.

– Jestem zmęczona. Chodźmy spać. Na pewno jutro się wszystko wyjaśni. – Mówiąc to, Tila bierze swoje rzeczy i idzie na górę, Marta zaś, która nie wyobraża sobie, że mogłaby udać się na spoczynek, nie sprzątnąwszy wcześniej kuchni, myje

talerze i kieliszki, a potem jeszcze zmiata podłogę. Dopiero kiedy jest czysto, a ona ledwie trzyma się na nogach, śladem córki udaje się na spoczynek.

O tym, co zdarzyło się poprzedniego wieczoru, dowiaduje się z samego rana od Franki. Dziewczyna, nawet niepytana, zdaje gospodyni relację z występku Gustava. Okazuje się, że Gogol, tak jak umówił się z Martą, sumiennie doglądał gospodarstwa, a właściwie nadzorował Stefana, bo pani Kliem, która przychodziła doić krowy, obraziłaby się, gdyby ktokolwiek stał jej nad karkiem. Tak więc Gogol, który dotąd zachowywał się przyzwoicie, wczoraj zaprosił sobie kolegów. Franka mówi, że nie mogła wytrzymać z oburzenia, kiedy przyszła od pani Emmy i to zobaczyła. Kolegami pana Gustava byli pan Richter i pan Radach.

– Były cztery kieliszki. Kto jeszcze z nimi pił? – Marta prowadzi przesłuchanie.

– No właśnie, pani gospodyni. To jest najgorsze.

– Wyduś wreszcie, kto to?

– Stefan!

– Jak to Stefan? Przecież mu nie wolno!

– Ja mu, pani gospodyni, mówiłam, ale oni go wciąż wołali, to w końcu poszedł.

– Ciebie też zaprosili?

– Nie. Uchowaj Boże! Nawet gdyby chcieli, tobym nie poszła – oburza się dziewczyna.

– Pięknie! – wykrzykuje Marta ni to do Franki, ni do siebie. – Wyjedź człowieku na chwilę, to ci z własnego domu zrobią gospodę. I to kto? Najbardziej zaufane osoby.

Pojechałaby powiedzieć Gustavowi parę słów, gdyby nie to, że chwasty w ogrodzie rosną po deszczu jak na drożdżach. Rządki pietruszki, marchewki i szpinaku ledwie widać. Darowała więc sobie wyprawę na drugi koniec wsi i po porannym obrzędzie razem z Tilą wpadły w gąszcz lebiody, perzu i żółticy. Tylko na widok Stefana pracującego w obejściu ogarnia ją gniew. Nic mu nie mówi, bo to tamci go zbałamucili, ale mimo to jest na niego zła. Gogola zobaczyła dopiero po tygodniu. Jakoś tak dziwnie jej unikał. Podobnie jak Peter i Manfred. Na ich szczęście złość tymczasem minęła, tym bardziej że Gustav opowiedział jej, jaka okoliczność sprowadziła porządnych mężczyzn na drogę występku.

Kilka miesięcy wcześniej w głowie Manfreda powstała pewna myśl. Nosił się z nią i nikomu nic nie mówił, ale do czasu. Niedawno, kiedy Otto Krüger upił się jak zwykle i tradycyjnie zaczął się awanturować w gospodzie, Richter przyglądający się z kąta odrażającemu osobnikowi postanowił wcielić w życie swój pomysł. Zwierzył się z niego Gustavowi, a ten, w porozumieniu z Manfredem, Peterowi Radachowi. By ostatecznie wszystko zaplanować, panowie potrzebowali miejsca, w którym nikt im nie przeszkodzi, i napoju dla rozjaśnienia umysłów.

Wyjazd Marty i Tili był im bardzo na rękę. Co miał z tym wspólnego Stefan? Nic. Nie był częścią planu, ale kiedy Radach zobaczył go na podwórku, nie miał sumienia zostawić samego swego ulubionego rozmówcy. Bo, jak wyjaśnił kompanom, ze Stefanem najlepiej mu się pracuje i rozmawia, bo Stefan nie rozumie niczego, co do niego mówi, więc na pewno nigdzie nie doniesie. Po pierwszych trzech opróżnionych butelkach już bez żadnego skrępowania omówili plan, bo pozostali dwaj panowie zgodnie przyznali, że milczący Polak rzeczywiście jest dobrym rozmówcą i kompanem do kielicha. Od czasu do czasu Gustav z Peterem schodzili do piwnicy i wraz z nową butelką zaczynali omawiać sprawę od początku, by dopracować wszystkie szczegóły.

Akcja trwała znacznie krócej niż jej przygotowywanie. Tydzień później, w sobotę, kiedy Krüger wyszedł z gospody, Manfred, Gustav i Peter poszli za nim. Tym razem byli prawie trzeźwi. Kiedy pijaczyna, zataczając się, zmierzał do swego domu, Radach, którego Otto o nic nie podejrzewał, zagadnął go i namówił na jeszcze jedną flaszeczkę w krzakach rosnących przy transformatorze, a Gustav stanął na czatach. Jak tylko Krüger zniknął z ludzkich oczu za ścianką z czerwonych cegieł, Peter przycisnął go brzuchem do muru, a potem ucapili go z Manfredem i dalej nim potrząsać. Nie pytali o nic ani nie stawiali warunków. Po prostu jeden trzymał szarpiące się i przeklinające indywiduum, a drugi rewidował kieszenie, wywalając ich zawartość na trawę. Czego tam nie było! Wreszcie między zasmarkaną chusteczką do nosa i resztkami tytoniu znaleźli to, czego szukali – medalik Janki. Krügerowi zagrozili, że jeżeli spróbuje komukolwiek poskarżyć, oni zaświadczą, że w ich obecności obrażał Führera. Wtedy na pewno go wezmą na Wschód albo do więzienia. Tym sposobem udało się odzyskać rzecz, która dla Janki miała ogromne znaczenie.

– Zaraz do niej napiszę. Nic nie mogłoby jej bardziej ucieszyć – powiedział Gustav do Marty, kiedy jeszcze tej samej soboty przyszedł powiedzieć o odzyskaniu Jankowego skarbu. W tych okolicznościach Marcie nawet nie przyszłoby do głowy pytać o taką błahostkę, jak libacja sprzed tygodnia.

77

Lipiec często jest miesiącem, w którym niebo nie żałuje deszczu, dlatego bywa, że zboże dosłownie *kradnie się* z pola. Gospodarze przygotowują się do żniw dużo wcześniej, umawiają ludzi do pracy i uzgadniają terminy wynajęcia snopowiązałek i żniwiarek, a potem pogoda wywraca wszystko do góry nogami, jakby Stwórca chciał przypomnieć, kto tu rządzi.

Teraz, kiedy nie miała winnicy, żniwa stały się dla Marty najważniejszym wydarzeniem w rolniczym roku. Starannie wszystko planowała, żeby zbiory przebiegły sprawnie i na czas. Już wiosną zgłosiła, że skorzysta z pomocy

Arbeitsdienstu mającego swój obóz w Unruhstadt. Wcześniej podchodziła do tej możliwości z niechęcią, bo nie wierzyła, że miejska młodzież potrafi coś zrobić jak należy. Tego roku nie miała wyjścia, bo ludzi do pracy było jak na lekarstwo. Młodzi mężczyźni byli albo na froncie, albo, jeśli nie mieli swoich gospodarstw, najmowali się u dużych rolników, którzy lepiej płacili, dobrze karmili i dawali stałe zatrudnienie. Cudzoziemscy robotnicy byli znaczącą pomocą, ale wciąż ich brakowało.

Choć lipiec był kapryśny, na początku sierpnia, dokładnie wtedy, kiedy Marta zamierzała zbierać żyto, pogoda się ustabilizowała. Poprzedniego dnia Stefan zżął kosą zboże rosnące na brzegu rozległego łąnu, tak aby żniwiarka zaprzęzona w parę koni mogła swobodnie przejechać i wygodnie zawrócić, a Marta z córką podbierały, wiązały i odkładały snopki na miedzę. W słoneczny ranek, zaledwie obeschła rosa, rozpoczęły się zbiory żyta. Kuzyn Marty, Herman, przybył ze swoją maszyną ciągniętą przez gnjade klacze. Z lejcami w rękach zajął miejsce dla kierującego zaprzęgiem, a Stefan usiadł na siodelku umieszczonym nieco wyżej.

Ruszają z hałasem. Konie prą do przodu, a urządzenie tnące w kształcie długiej listwy z ostrymi zębami zostało opuszczone i teraz z zawrotną szybkością podcina źdźbła. Stefan z wysokości siodelka obserwuje pracę ostrza i rytmicznie, co kilka metrów, za pomocą długiej tyczki odgarnia zżęte zboże. Tam gdzie upadło, natychmiast zjawiają się ludzie, którzy najpierw kręcą powrósło, a potem podgarniają zboże, obejmują powrósłem i związują w kształtny snopek. Później czym prędzej odciągają go na bok, bo żniwiarka już się zbliża i kosi następny pas żyta. Marta jako gospodyni związuje dwa pierwsze snopy i wyznacza miejsce, które da początek rzędowi, stawiając je oparte jeden o drugi. Dopiero teraz inni dostawiają do nich swoje snopki. Czasem maszyna się zacina, wtedy kto żyw dąży ku miedzy, gdzie w cieniu dzikiej gruszy czekają kanki z kompotem. Marta tak jak wszyscy ubrała się odpowiednio do takiej pracy. Ma na sobie mężowską koszulę z długimi rękawami szczelnie zapiętą pod szyją i na mankietach oraz długie spodnie Waltera ściągnięte w talii skórzanym paskiem. Stopy chronią przed podrapaniem wysokie, sięgające do kostki trzewiki. Głowę przed słońcem, kurzem i źdźbłami słomy osłania jasna, bawełniana chustka. Krótka przerwa na jedzenie i wszyscy wracają do pracy. Gospodyni dwoi się i troi, a przy okazji zerka na boki, czy dziewczyny z Arbeitsdienstu nadażają i czy dobrze kręcą powrósła, patrzy, czy ktoś czegoś nie potrzebuje albo nie poczuł się źle w palącym słońcu. W południe zostawia żniwiarzy i jedzie rowerem do domu, gdzie Helena Kliem przygotowała wielki gar zupy z mięsem, chleb w koszyku, talerze i łyżki dla każdego, a do tego chłodny kompot. Marta zaprzęga Lotte do wozu i załadowawszy to wszystko na skrzynię, wiezie żniwiarzom. Zanim zaszło słońce, zboże zostało zżęte, a snopy stoją ustawione w równych rzędach po piętnaście sztuk. Nic nie zapowiada

deszczu, mogą więc spokojnie schnąć do czasu, aż zostaną zwiezione do stodoły. Jeszcze tylko ostatni tego dnia wspólny posiłek i można wracać do domu. Jutro rano Marta, Tila i Stefan idą na odrobek do Radachów. Uwiną się do południa, bo chodzi o niewielkie pole za jeziorem. Na tym żniwa się nie kończą, bo na polu stoi jeszcze pszenica, owies i jęczmień jary. Oby tylko pogoda dopisała.

Następnego dnia po obrządku Gustav pogał krowy na pastwisko, a cała trójka wsiadła na wóz i razem z Anną, Peterem i Ewaldem ruszyli najpierw asfaltem, a potem, minawszy gospodarstwa Burcherta, Kaspera i transformator, wjechali na wzgórze. Dopiero stamtąd mogli zobaczyć, na jakim etapie są żniwa w Altreben. Niektóre pola już opustoszały i czekały na podorywkę, ale na większości, tak jak u Marty, złociste snopy stały w kupkach schodzących rzędami w dół ku wsi i łączyły się z ciężkimi od owoców drzewami.

– Dlaczego Ewald jest taki smutny? – interesuje się Tila. – Zawsze go cieszyła wyprawa na pole.

Anna milczy, tylko ręką wykonuje jakiś gest, jakby nie wiedziała, co odpowiedzieć.

– Chory? – niepokoje się dziewczyna.

Anna kiwa potwierdzająco głową, a że wyraźnie nie chce mówić, Matylda daje za wygraną.

Kiedy wracają z pola, wiatr wiejący od strony Unruhstadt przynosi dźwięk dzwonów. Jest południe, słońce pali zbrązowiałe, zakurzone twarze, każdy gasi pragnienie, sięgając raz po raz po butelkę z wodą. Oni skończyli żniwa na dzisiaj, ale zewsząd słychać klekotanie konnych kosiarek i nawoływania ludzi. Mało kto pójdzie do domu przed zachodem słońca.

– Pamiętasz, Peter, kiedy żyła twoja mama, opowiadała o polnych duchach.
– Anna chyba chce zatrzeć niemile wrażenie, kiedy to nie chciała odpowiedzieć na pytanie.

– No, pamiętam – odpowiada powożący końmi Radach. – Matka była w tym dobra. Jak zimą tkali po domach albo pierzówki były, to zawsze ją zapraszali, żeby opowiadała. Tak straszyć jak ona to nawet Ernst nie potrafił.

– Pamiętasz coś, Anno? Mogłabyś opowiedzieć.

– Tak jak teściowa to ja nie umiem. Pamiętam, że mówiła, żeby na pole w południe nie chodzić, bo można spotkać *przypoldnicę*. To taka zjawka, która pilnuje, żeby nikt nie niszczył upraw. Jeśli zauważyłaby kogoś, kto wszedł na obsiane pole, nie minęłaby go kara.

– Coś mi się przypomniało! – ożywia się Tila. – Kiedyś babka Truda mówiła o mężczyźnie, który wozem wjechał w żyto, i wtedy jakaś wiedźma coś mu za to zrobiła w nogę!

– Właśnie – potwierdza Anna. – Kiedyś takie opowieści przekazywano z pokolenia na pokolenie. Dzisiaj już prawie nikt o nich nie pamięta, a szkoda.

- Dokończ o tej *przypoldnicy* – przypomina Marta.
- Najczęściej można było ją spotkać w okresie żniw. Była wysoką starą kobietą w długiej białej sukni, a w ręce trzymała sierp. Jak ktoś nie szanował ziarna, marnował plony albo lenił się, zamiast pracować, używała tego sierpa, żeby go ukarać.
- My chyba jej nie rozgniewamy tym, że tak wcześnie wracamy do domu? – Tila udaje, że jest przejęta.
- Nie, dziecko. Zjemy obiad i idziemy do stodoły. Trzeba ją przygotować, bo tylko patrzeć, jak będziemy zwozić żyto. O lenistwie nie ma mowy – rozwiewa wszelkie złudzenia Marta.

78

Odkąd na froncie poległ Michael, a potem wiosną został powołany Tobiasz, dom Petrasów stał się cichy i smutny. Rodzice Rosiny każdego ranka wstawiali z łóżek i zajmowali się gospodarstwem, ale prawie się nie odzywali, jedynie gniewnie spoglądali na swe córki, kiedy któraś się zaśmiała. Oboje drętwieli ze strachu na dźwięk zbliżającego się motoru. Każdy list wydawał się im zapowiedzią kolejnego nieszczęścia. Nie tylko u Petrasów zagościł smutek. W niejednym domu fotografie chłopców w mundurach przepasano żałobnym kirem. Przed charakterystycznymi u chwalimiaków domowymi ołtarzykami klęczeli rodzice zaginionych, modląc się o powrót synów.

Za szczelnie zamkniętymi drzwiami Margarete Bassmann oplakuje jedyne go syna Karla, który zginął na froncie wschodnim. Rodzice Hansa Radke stracili serce do gospodarstwa, bo jego przyszły dziedzic poległ na Ukrainie. Dzieci robotników Georga Witta i Williego Zwicka zostały bez ojców, a w ostatnich dniach dotarły tragiczne wiadomości o śmierci zaledwie osiemnastoletniego Ottona Kastnera i niewiele starszego Martina Brauna. Lazarety są pełne rannych. Nie każdy z nich wróci do zdrowia. Sadownik Paul Hartmann już nigdy nie zobaczy żony, trojga malutkich dzieci i drzew jabłoni pokrytych białymi kwiatami. To dopiero początek. Wiedzieli o tym nawet ci, którzy wybuch wojny powitali z nadzieją. Chłopcy przyjeżdżający na krótkie urlopy nie mieli w sobie dawnej buty, a kiedy znów żegnali się z rodzinami, płakali, bo już zaznali wojny i oddaliby wszystko, byleby nie wracać na front.

Tila była dzisiaj u Rosiny. Przez ponad rok, który minął od jej powrotu ze służby, przyjaźń z dziewczyną z sąsiedztwa umocniła się i dojrzała. Obie czuły się nieco samotne. Narzeczony Rosiny pisał rzadko, bo zawsze najbardziej lubił naprawiać samochody, a układanie zdań i staranne ich zapisywanie męczyło go okropnie. Dramatyczna ochota Rosiny, by mieć z nim dziecko, dość szybko minęła i kiedy Otto przyjechał na urlop, już nie było o tym mowy. Karl od czasu sprzeczki i wyjazdu z Altreben nie odezwał się ani słowem. Od Franki Tila wiedziała, że jest

na Wschodzie. Pisał do rodziców o wyróżnieniu, jakie go spotkało.

– Pani Holzer chwaliła się, że dostał jakiś order. Ale nie wiem jaki. Co mnie ten esesman obchodzi? – trajkotała dziewczyna pewnego wieczoru, kiedy siedziały z matką nad cerowaniem. Potem minęło kilka miesięcy, a Karl nie dał śladu życia. Kiedy Otto był na urlopie, powiedział, że podobno dywizja Totenkopf, w której był Holzer, została okrążona i co prawda udało się im wyjść z kotła, ale wciąż toczyli ciężkie boje. Matylda zastanawiała się czasem, czy nie zapytać pani Holzer o wiadomości od syna, ale nie chciała, żeby matka Karla zaczęła snuć jakieś przypuszczenia.

Tila czuła się samotna także dlatego, że brakowało jej Emila. Kuzyn poszedł na front wiosną razem z Tobiasem. Bała się o niego bardziej niż o Karla. Holzer ma mocny, zdecydowany charakter. Nie ma w nim żadnej miękkości. Emil jest jego przeciwieństwem. Zawsze myśli o innych, jest czuły i opiekuńczy. Zdaniem Tili nie powinien być żołnierzem. „Nie, Emil nie nadaje się na wojnę. On nie mógłby nikogo zabić” – myśli ze smutkiem.

Nie musiałyby być samotna. Latem, kiedy spotkała się z Ireną, umówiły się do kina. Koleżanka przyprowadziła ze sobą dwóch miłych chłopców w mundurach. Byli na dwutygodniowym urlopie. Jeden z nich przez kolejne dni przyjeżdżał rowerem każdego wieczoru i czekał przy furtce jak wierny pies, żeby tylko chciała się z nim umówić, ale ona, nauczona doświadczeniem z Karlem, nie dała mu nadziei.

Dni Tili wypełnia praca w gospodarstwie i w BDM. Formalnie nie prowadzi żadnej grupy, ale na prośbę pani Kisch pomaga w praktycznych zajęciach, na przykład od wiosny przez całe lato zbierała z młodszymi dziewczynkami zioła i zajmowała się ich suszeniem. Teraz, jesienią, gromadzą owoce głogu i dzikiej róży. Wszystko to zostanie wykorzystane do leczenia chorych, bo coraz trudniej o leki. Matka, która kiedyś narzekała na brak córki w gospodarstwie, przestała się o to złościć, bo między nią a Gretą Kisch jest niepisany układ. Marta zgadza się na zaangażowanie córki, a Greta chroni gospodarstwo pani Neumann przed utratą robotnika. Wyjazd Tili do Berlina też został uzgodniony z przewodniczącą gminnego koła Ligi Kobiet. Do wiosny da sobie radę bez pomocnicy, a potem Matylda wróci.

Tilę zastanawia ostatnio kilka rzeczy. Na przykład, będąc u wujka Gustava, zauważyła, że na narożniku ramy obrazu Matki Bożej wisi na łańcuszku medalik ciotki Janki. Gogol zapytany o to, skąd się tu wziął, tylko się uśmiechnął i odpowiedział, że Najświętsza Panienska pomogła go odzyskać.

Być może właśnie zagadkowe odnalezienie medalika wpłynęło na poprawę nastroju matki. Jest wyraźnie ożywiona, częściej wychodzi do ludzi, a czasem pogodnie się zamyśla. Odkąd wróciły z Berlina, regularnie piszą do siebie z ciotką Ewą. Matka nigdy nie pokazuje jej tych listów, tylko po przeczytaniu od razu

wrzuca je do pieca.

Niewykluczone, że na lepszy humor mamy ma wpływ pan Richter. Ostatnio zachodzi do nich coraz częściej. Matylda już dawno dowiedziała się, że właśnie on był tym tajemniczym pierwszym narzeczonym. Jak tylko Marta widzi, że Manfred nadchodzi, biegnie do lustra i sprawdza, jak wygląda. Kiedy z nim rozmawia, zmienia się jej głos i w ogóle zachowuje się jak zalotna dziewczyna, a nie jak mama. To denerwuje Tilę, bo przecież mama i ten mężczyzna nie są młodzi i naprawdę nie wszystko im wypada.

Tak sobie myśli, leżąc pod ciepłą kołdrą w swoim pokoiku na poddaszu. Księżyc jest w pełni, a jego zimny blask oświetla malutkie pomieszczenie. Na polach nie ma już niczego, pierwsze przymrozki zapowiadają nadejście zimy. Jeszcze jutro młócenie zboża i trzeba się pakować do Berlina.

79

Młocarnię przyciągnięto poprzedniego dnia wieczorem i ustawiono w stodole między sásiekami. Rano mężczyźni połączyli ją długim pasem transmisyjnym z silnikiem ustawionym na zewnątrz, a ten podłączyli do prądu. Potem każdy zajął swoje stanowisko, a Gustav włączył silnik. Na podwórzu rozległ się piekielny hałas, który miał towarzyszyć ludziom, aż nie skończą pracy.

W sásieku, u góry na stercie słomy stoi Manfred, który podaje widłami snopki wprost na maszynę. Tam odbiera je Marta i obracając każdy kolejny w tym samym kierunku, kładzie na specjalnej półce, nożem rozcina powrósło i przekazuje stojącemu naprzeciwko Hansowi – chłopakowi z Arbeitsdienstu. Ten stopniowo wkłada źdźbła w prostokątną gardziel, w której wirujący bęben targa je brutalnie, wytrzepując ziarna z kłosów. Zboże oddzielone od plew sypie się do trzech jutowych worków przymocowanych do otworów w tyle młocarni, a słoma po przeciwnej stronie maszyny wędruje na zewnątrz i zsuwa się po pochyłej platformie. Tila i Anna Ulrich czekają na podwórzu z powrósłami, zgarniają słomę i związują ją w nowe snopy, tyle że już bez ziarna. Stefan kontroluje napełnianie worków i w razie potrzeby wymienia je na puste, a w wolnych chwilach odbiera wymłócone snopy i układa z nich stertę. Później słoma z powrotem powędruje do stodoły, ale na razie nie ma tam miejsca. Gogol też stara się pomagać, na przykład wtedy, kiedy Marta idzie do kuchni albo do zwierząt.

Podczas przerwy obiadowej Tila usiłuje wyciągnąć od Anny jakieś wiadomości o Emilu. Dowiaduje się tylko, że pisze rzadko i jest gdzieś nad Morzem Czarnym.

Kiedy ostatni omłócony snopek wyszedł z gardzieli młocarni, warkoczący silnik zamilkł. Wszyscy odetchnęli z ulgą, bo hałas był naprawdę nieznośny i uniemożliwiał wszelką rozmowę. Myją się teraz przy pompie, a lodowato zimna woda splukuje kurz, który wdarł się do nosa, uszu i wszędzie tam, gdzie ciało było

nie dość osłonięte.

Obolałe uszy cieszą się spokojem zaledwie przez kilka minut, bo oto ciszę późnego popołudnia zakłóca alarmujący dźwięk strażackiego dzwonu. Gdzieś się pali! Manfred, który pełni służbę w wiejskiej straży pożarnej, tak jak stoi, niedomyty i w zmoczonej koszuli, chwyta swój rower i bez pożegnania znika za bramą. Gustav też, choćby z czystej ciekawości, idzie jego śladem, a Anna stwierdza, że musi już lecieć do domu, Marta zostaje więc z kolacją w garnkach i na pewno nie poprawia to jej humoru.

Wkrótce cała trójka, a po chwili czwórka, bo Franka wróciła właśnie od pani Holzer, wychodzi na szosę i próbuje dojrzeć, która zagroda jest źródłem ciemnego dymu unoszącego się w zachodniej części wsi. W końcu zaniepokojona Marta wsiada na rower. Przeczucie jej nie myliło. Pali się u Gustava. Strażacy wyprowadzili sikawkę z remizy i przyciągnąwszy ją w pobliże pożaru najpierw połączyli węże ssawne, a ich końcówkę z sitem zatopili w studni na podwórku. Potem podłączyli węże tłoczne i pompują co sił. Strumień wody spada na dach małego budynku gospodarczego, w którym Gustav ma gołębnik. Większość dorosłych ptaków jest na zewnątrz, ale pisklęta nie mają już szans. Płomienie strzelają wysoko i dach, mimo polewania, zapada się do środka. Strażacy przybyli z Unruhstadt ustawili swój pojazd w pobliżu rzeki, po drugiej stronie drogi. Oni zasysają węzami wodę z rzeki i tłoczą przez ulicę. Strażak trzymający końcówkę węża polewa okoliczne budynki, aby pożar się nie rozprzestrzenił. Najwięcej wody płynie na domek Gustava. Ten stoi jak skamieniały wśród tłumu gapiów, ale w przeciwieństwie do nich domyśla się, kto mu to zrobił.

80

W sypialni na piętrze nie zapalono dzisiaj światła. Gospodyni poszła spać wcześniej, bo poprzednią noc spędziła przy proszącej się maciorze. Do rana czekała na kolejne różowe maleństwa, odbierała je, osuszała i podkładała świńskiej matce pod wymię, aby czym prędzej napiły się siary, dzięki czemu staną się silniejsze i bardziej odporne na choroby. Przez cały dzień nie miała czasu się położyć, kiedy więc zapadł wczesny listopadowy zmierzch, nie oglądając się na nic, poszła do góry, umyła się, z włosów wyjęła szpilki, przykryła się pierzyną i zasnęła kamiennym snem.

Marta śpi, a księżyc wędruje po pokoju. Wpada przez niezastłonięte okno, przegląda się w lustrze, błądzi po papierowych tapetach na ścianie i drewnianej podłodze pomalowanej olejną farbą. Sprawdza, czy Biblia jest na swoim miejscu, i dziwi się parawanowi zasłaniającemu kącik do mycia, bo niby przed kim ma się chować ta samotna kobieta leżąca w łóżku. Chyba się budzi, gałki oczne szybko poruszają się pod powiekami, oddech przyspiesza... Nie, to tylko sen.

Nad ranem otwiera oczy, wolno i leniwie, jakby nie chciała wracać

do rzeczywistości. W mroku usiłuje dojrzeć budzik. Dopiero piąta, jeszcze chwilę może poleżeć. Sen ją zaskoczył. Zdawało się jej, że skutecznie odgradziła umysł i ciało od tych spraw. Ręka wciąż na pół świadomie głaszcze pierś i szyję, bo śnił się jej mężczyzna, który ją pieścił i chciał się z nią kochać. „Mogłam jeszcze trochę pospać – myśli z żalem, ale zaraz przywołuje się do porządku. – Co za bzdury – strofuje samą siebie. – W moim wieku takie sny? Wstyd! Widać, za mało czasu poświęcam na modlitwę”.

Pół godziny później w słabym świetle żarówki, wdychając słodkawy bydlęcy zapach, doi krowę. Odgania płochę myśli, ale one wracają, siejąc niepokój w sercu. „Wszystko przez Manfreda. Bywa tu coraz częściej, ale niczego nie deklaruje. Po prostu zachodzi, czasem przyniesie ryby albo miód, jak ma ochotę, pomaga w gospodarstwie i nie chce zapłaty. Powiem mu, żeby przestał, bo zaczną plotkować. Potrzebne mi ludzkie gadanie!”

– Odejdź, paskudo! – woła rozdrażniona i ręką odpycha łeb kilkumiesięcznej jałóweczki, którą sobie zostawiła i chce ją wychować na dojną krowę. Zwierzę uwiązano do żłobu, ale łańcuch nie jest dość krótki, więc ciekawska, a może łakoma istota próbuje wsadzić łeb do wiadra.

Dwa koty dostają należny im przydział, potem Marta niesie mleko do letniej kuchni. Stefan już wstał, zasłał swoje wyrko i rozpałił pod płytą. Nawet gdyby chciał, nie mógłby się wylegiwać, bo jego lokum jest jednocześnie pomieszczeniem gospodarczym, dlatego budzi się wcześniej i chodzi spać wtedy, kiedy po letniej kuchni już nikt się nie kręci. Oboje wymieniają tylko słowa powitania, bo Polak, chociaż jest tu prawie dwa lata, nie odzywa się. Gdyby nie to, że czasem pani Neumann słyszy, jak rozmawia po polsku z Franką, sądziłaby, że jest niemową. Kiedy nie ma pod ręką dziewczyny, aby przetłumaczyła polecenia gospodyni, Marta wyjaśnia mu po wendyjsku. Robi to chyba dość nieudolnie, bo czasem zdaje się jej, że robotnik ma ochotę się roześmiać. Zauważyła, że zmężniał, a może nawet trochę urósł, i nie jest już taki ponury. Nic dziwnego. Znalazł sobie dziewczynę. Rozżalona Franka poskarżyła się gospodyni, że głupie chłopaczysko biega do takiej jednej Polki, co sobie z chłopcami śmiało poczyna. Na pewno z zazdrości tak ją oceniła, ale prawdą jest, że teraz samotne dwie kobiety razem spędzają wieczory, bo odkąd Tila wyjechała do Berlina, Marta postanowiła, że nauczy Frankę szyc.

Rozmyślając o sprawach dwojga Polaków mieszkających w jej gospodarstwie, gospodyni kończy obrządzać i wraca do domu. Rozpała ogień w kuchennym piecu i siada do śniadania. Chwila bezczynności i wspomnienie snu wróciło. Rozgniewana wstaje i szybko po schodach wbiega do sypialni. Bierze Biblię i schodzi do kuchni. „Dopóki czymś się nie zajmę, będę czytać Słowo Boże” – postanawia.

W czasie adwentu Marta była jeszcze bardziej gorliwa w kwestiach

religijnych niż zwykle. Już nie tylko w niedziele chodziła do Unruhstadt na nabożeństwa, czytała Biblię i rozważała jej treść w każdej wolnej chwili. Zaangażowała się w akcje Narodowosocjalistycznej Ligi Kobiet i pod przewodnictwem pani Kisch dziergała szaliki, skarpety i rękawiczki dla *naszych dzielnych chłopców na Wschodzie*. Greta ostatnio przycichła, bo jeden z jej synów jest pod Stalingradem. Podobno ilekroć dostaje od niego list, zamyka się w domu i płacze. Co też pisze szeregowy Kisch, że jego zazwyczaj twarda matka tak reaguje? – pyta ten i ów.

Marta dobrze wie, o co chodzi. Lisa jej powiedziała. Na Boże Narodzenie cała rodzina siostry przyjechała do Altreben. *Cała* to w tym wypadku Lisa, jej mąż Paul i najmłodszy syn, Adam. Dwaj starsi walczą na froncie wschodnim. Wiosną prawdopodobnie armia upomni się o Adama. Lisa przywiozła ze sobą ostatni list od Wenera. Został napisany jesienią, ale rodzice otrzymali go niedawno. Kiedy Paul z synem poszli na popołudniowy spacer, one siedziały nad tym listem i rozpamiętywały jego treść.

...Jak pięknie było we Francji. Myślałem, że taka jest wojna, łatwa wygrana, a potem wygodne życie zwycięzcy. Tutaj przejrzałem na oczy. Dopiero połowa października, a już tak zimno, że trudno oddychać. Paliwo zamarza, więc zamiast jechać, musimy maszerować, czasami po 30–40 km dziennie. Brakuje ciepłego obuwia i wszystkiego, co pozwoliłoby nam znieść ten przeraźliwy chłód. Nienawidzę zimy, nienawidzę Rosji, chcę do domu... – czytała Lisa i zalewała łzami list od syna.

Marta zna też inne relacje, bo kobietom trudno utrzymać język za zębami. Helena Kliem mówiła niedawno, że jej bratanek pisze przerażające rzeczy spod Stalingradu. Podobno całe kompanie giną podczas jednej bitwy. Nie ma komu grzebać umarłych. Leżą tak bez rąk, nóg, głów i nikt się nimi nie przejmuje. *Nasi dzielni chłopcy* zamarzają, są głodni, przerażeni i nie mają nadziei, że kiedykolwiek zobaczą swoich bliskich. Taka jest prawda, ale nie powie tego siostrze. Nie powie też o innych *dzielnych chłopcach*, którzy podczas urlopów opowiadali o tym, ilu Żydów udało się im ustrzelić, demonstrowali fotografie z udanych egzekucji, narzekali na brudną robotę, bo czasem krew albo mózg opryskuje mundur, ale zdarzało im się także wyrażać radość, że tylu Żydów wysłali na łono Abrahama.

Trwał właśnie czas pierzówek, kiedy radio podało informację o tym, że 6 Armia dostała się do bolszewickiej niewoli pod Stalingradem. Jeśli Herman Kisch jeszcze żyje, bo dawno nie było od niego żadnych wiadomości, wpadł w ręce Rosjan, a to było czasem gorsze od śmierci. Żadnej nadziei nie mogli mieć bliscy kuzyna Marii Petras, Friedricha, który poległ w okolicy Noworosyjska.

Marta, tak jak inni mieszkańcy Altreben, głęboko współczuła rodzinom rannych, zaginionych i zabitych, ale zajmowały ją też codzienne sprawy. Tęskniła za Tilą. Towarzystwo Franki i spotkania z kobietami wypełniały jej wieczory, ale

nie były tym, czym jest obecność bliskiej osoby. Gogol odwiedzał ją bardzo rzadko, bo bał się o dom. Od czasu pożaru zawsze wydawało mu się, że gdy opuści swe obejście, stanie się coś złego. Manfred i Peter zbudowali mu prowizoryczny gołębnik, dostawiając do stryżku domu dość pokraczną konstrukcję. Dzięki temu gołębie, które ocalały, miały gdzie mieszkać, a Gustav bez przerwy słyszał ich gruchanie dochodzące ze strychu nad sypialnią. Marta nie wiedziała, że Manfred i Peter zaczęli obmyślać zemstę za podpalenie budynku na podwórzu Gustava, bo i oni wkrótce po pożarze doszli do wniosku, że to Krüger był jego sprawcą. Jednak Gogol zabronił im zaczepiania Krügera. Stwierdził, że wszystko przemyślał, przed Bożym Narodzeniem się wypowiedział i że ksiądz Scherer kazał mu przebaczyć wrogowi, więc on przebacz i na tym koniec.

Sprawa Janki nie dawała Marcie spokoju. Okazało się, że znajomy doktor Berty pracujący w Ravensbrück jest tam nic nieznaczącym pionkiem i nie mógł załatwić uwolnienia kuzynki. Obiecał dowiedzieć się, kto to może zrobić. Jak dotąd nie przekazał żadnej konkretnej wiadomości. Marta nie traciła nadziei, trzymała w szafie zawiniątko z pieniędzmi i nie brała stamtąd ani grosza, bo wierzyła, że w każdej chwili mogą być potrzebne.

I jeszcze ten Manfred! Czemu on taki jest? Wciąż nie ma odwagi z nim porozmawiać, a na pierzówkach kobiety żartują z niej i pytają, kiedy wesele. Niech się wreszcie na coś zdecyduje! Może wtedy skończą się te zawstydzające sny.

Od Bożego Narodzenia do końca stycznia trzymał mróz. Nie tak tęgi, jak w 1940 roku, ale też bardzo dokuczliwy, toteż ludzie odetchnęli z ulgą, kiedy w lutym nadeszła odwilż.

Śnieg na szczęście topnieje wolno, bo choć w dzień słońce grzeje mocniej, nocą chłód powraca. W powietrzu jest mnóstwo wilgoci i to jej obecność prawdopodobnie sprawia, że lutowy poranek zachwyca nawet tych, którzy są mało wrażliwi na piękno krajobrazu. Bo kto dziś spojrzął w okno, zanim jeszcze wyszedł z domu, zobaczył świat jak z bajki. Wszystko, od starych akacji do najmniejszej trawki, pokryła gruba warstwa białosrebrzystej szadzi. Różowa luna we wschodniej części nieba zapowiada ukazanie się słońca. I rzeczywiście, wkrótce złota kula wychyla się zza gałęzi wysokich drzew i zalewa świat oślepiającym, odbitym w milionach kryształowych igiełek światłem. Ludzkie oczy, które chłoną ten precudny widok, po chwili zaczynają łzawić od lśniącej bieli i nieba, którego błękit stał się tak głęboki, że aż nierealny.

Jednakże na wsi nie ma zbyt wiele czasu na delektowanie się odcieniami, kolorami i kontrastami. Czy jest pięknie, czy też psa z domu by nie wygonił, swoje trzeba zrobić, dlatego, zachwyciwszy się cudem natury, chłopci idą do codziennych zajęć.

Marta musi dzisiaj liczyć tylko na siebie, bo Tila wciąż u babci Neumann, a Stefan się rozchorował. Odwilż przyniosła ze sobą prawdziwą epidemię chorób przebiegniowych. Niemal wszyscy kichają, smarkają i kaszlą. Na szczęście Martę to ominęło, kręci się więc po obejściu i raz po raz zagląda do letniej kuchni, żeby podłożyć do pieca i sprawdzić, jak się ma robotnik. Gospodyni martwi się o niego wcale nie mniej niż o najbardziej dojrzałą krowę, dlatego parzy mu ziołowe herbatki, karmi miodem i czosnkiem, nawet zaproponowała France, żeby go natarła gęsim smalcem, ale ta tylko parsknęła gniewnie. Odkąd Stefan randkuje z inną, nie będzie nic dla niego robić. Marcie samej nie wypada, zobaczywszy więc, że Polak trzęsie się od gorączki, wraca do domu po drugą pierzynę i otula nią kaszlącego mężczyznę. W ostateczności jest gotowa zawołać do niego lekarza, co prawda to kosztuje, ale w razie czego gdzie by znalazła tak przydatnego pracownika.

W południe zaniósł mu obiad, a potem sama zasiadła do stołu. Zaledwie wybrzmiały słowa wypowiedanej półgłosem modlitwy, słyszy otwieranie drzwi wejściowych, a potem kroki w korytarzu. Pomału przyzwyczała się do tego dźwięku. Wie, kto ją odwiedził. Słyszy delikatne pukanie.

– Wejdz!

Manfred najpierw wsadza głowę, a później wchodzi już bez ociągania. Twarz ma zaczerwienioną, jakby był zmęczony, ale zielone oczy jak zawsze patrzą żartobliwie.

– Chciałaś jeść sama?

– Niby z kim miałabym jeść? – Marta udaje, że się gniewa za tak głupie pytanie. – Usiądź. Może będziesz moim towarzystwem do talerza.

– Właściwie to nie wiem. – Manfred zaczyna się krygować. – Powiniennem wracać do domu. Dziewczynki na pewno przygotowały obiad.

– To tylko zupa. Zgłodniejesz, zanim dojdiesz.

Richter siada za stołem i czeka. Wbija wzrok w kobietę krzątającą się przy piecu i zastanawia się nad czymś głęboko. Potem ona obserwuje go, jak je, i próbuje sobie przypomnieć, kiedy ostatnio postawiła talerz w tym miejscu. Zawsze tu siadał Walter. Czy to coś znaczy?

– Dlaczego przyszedłeś?

Przerywa posiłek, podnosi głowę i długo się jej przygląda. Patrzy prosto w oczy, jakby chciał powiedzieć coś ważnego, ale chyba rezygnuje.

– Niedaleko stąd pod ciężarem szadzi obłamał się konar drzewa i spadł na drut telefoniczny. Trzeba było go zdjąć i odciągnąć na bok.

Nie taką odpowiedź spodziewała się usłyszeć, nawet więc nie pyta, gdzie to było i czemu akurat on to musiał robić. Nalewa zbożowej kawy do kubków i znowu siada na krześle. Rozmowa się nie klei. Marta nie czuje się swobodnie. Krepują ją myśli powracające od czasu tamtego snu. Zerka ukradkiem na Richtera, a ten patrzy w okno i obserwuje, jak słońce zamienia białe igiełki w krople wody, które spływają z gałązek, dachu i z płotu.

„Nie gap się tak – myśli. – Nie widzisz, że moja dłoń spoczywa niedaleko twojej? Weź mnie za rękę – próbuje rozkazać siłą woli. – Powiedz, że chcesz być ze mną. Och, dlaczego jesteś taki? – złości się w duchu. – Przecież wiesz, co do ciebie czuję”.

On ani drgnie. Sączy kawę z kubka, jakby tylko to go obchodziło.

„Wygląda na to, że to ja muszę mu się oświadczyć – oburza się Marta w myślach. – Przecież to nie wypada. A jak mnie odrzuci? Chyba umrę ze wstydu”.

– Manfredzie – zaczyna ze ściśniętym gardłem. – Pani Heckman rozsiewa plotki na nasz...

– Pani Heckman? Co za okropne babsko! – ożywia się Richter. – Wczoraj mnie zaczepiła i wiesz, co powiedziała?

– Co? – Marta pyta ze strachem i nadzieją.

– Oświadczyła, że należy do jakiejś organizacji, nie pamiętam nazwy, która zajmuje się kojarzeniem par. I ona uważa, że w sytuacji, kiedy tylu młodych mężczyzn jest na froncie, tacy jak ja powinni się poczuć w obowiązku do zapewnienia kobietom opieki. Powiedziała wprost, że chodzi jej o to, żebym ożenił się z jakąś wskazaną przez nią panną i płodził dzieci dla Führera i Ojczyzny.

Marta z trudem powstrzymuje drżenie rąk.

– Co odpowiedziałaś?

– Żeby mi przedstawiła listę, to sobie coś wybiorę. – Manfred mruży oczy i obrzuca spojrzeniem kobietę siedzącą po drugiej stronie stołu. Ona zagryza usta, oblewa się rumieńcem, a potem wstaje gwałtownie, bierze pogrzebacz i zaczyna energicznie odsuwać fajerki. Po chwili, chyba już spokojniejsza, odwraca się w stronę Richtera z miną pełną godności. Głośno przełyka ślinę i pyta:

– I co? Kogo sobie wybrałaś?

– Żartowałem tylko. Posłałem ją do diabła. Marto, co ty? Płaczesz?

Próbuje nie pokazywać mu twarzy. Bierze wiadro i nalewa do niego gorącej wody.

– Żartowałem – dotyka dłonią jej ramienia. – Nie sądziłem, że cię to obchodzi – mówi przeproszającym tonem, ale ona strząsa jego rękę.

– Idę do prosiaków. Wychodzisz już?

Nie czekając na odpowiedź, wkłada kaftan i owija głowę ciepłą chustką. Tylko na chwilę Manfredowi udaje się zajrzeć w jej zagniewaną twarz.

W czasie, kiedy oni nie mogą dojść do porozumienia, dwoje innych ludzi na przeciwległym krańcu wsi rozstaje się w gniewie. Krüger trzaska drzwiami i wychodzi na zalane słońcem podwórko, a jego żona próbuje się podnieść z podłogi. Dzisiaj, kiedy zaczął obmacywać Agnes, stanęła w obronie trzęsącej się z przerażenia i obrzydzenia córki. Popchnął ją, a potem kopał leżącą gdzie popadło. Teraz wyszedł, a ona, mimo że ból pękniętych żeber nie pozwala oddychać, wstaje i chwytając się sprzętów, idzie za nim. Odkąd podpalił Gustava, zawsze sprawdza, dokąd poszedł. Boi się, że mógłby zrobić to po raz drugi. Jest już na podwórku. Rozgląda się. Słońce przeszywa oczy na wskroś i wwierca się w obolałą czaszkę. Chowa się za róg stodoły. Widzi go. Jest w szopce. Nie zauważył, że za nim wyszła. Bierze coś i zmierza do furki. Kiedy znika za domem, Łucja wychodzi ze swej kryjówki i idzie jego śladem. Najpierw patrzy w kierunku obejścia Gogola. Nie ma go tam. Odwraca głowę i dostrzega drobną postać schodzącą ku rzece. Domyśla się, że jak zwykle będzie kłusował, ale coś ją pcha, żeby obserwować Ottona dalej. Robi kilkanaście kroków i kryje się za drzewem. Widzi tylko jego głowę. Musi być na samym brzegu. Rzeka wciąż jest pokryta lodem, ale tam, gdzie nurt jest silny, woda wydostaje się na zewnątrz szerokimi szczelinami. Nagle słyszy krzyk męża. Nie zastanawiając się, czy ją zauważy, biegnie tak szybko, jak pozwala na to obolałe ciało. Lód zarwał się pod ciężarem człowieka. Krüger, zanurzony w wodzie po szyję, łapie się trawy porastającej brzeg. Oszalały ze strachu bezładnie się trzepocze, a nurt rzeki zaczyna wciągać go pod lód. Nagle dostrzega Łucję.

– Nie gap się! – krzyczy. – Podaj mi jakąś gałąź! Szybko!

Spanikowana kobieta rozgląda się za czymś, co mogłaby rzucić mężowi.

– Prędeż, głupia suko! – słyszy z przerębla. Wreszcie dostrzega grubą gałąź przykrytą do połowy śniegiem. Ciągnie ją w stronę rzeki, ale ból ogranicza jej

ruchy.

– Szybciej, krowo! Zamarznę tu przez ciebie!

Nagle Łucja się zatrzymuje. Puszczą gałąź i prostuje plecy. Staje bez ruchu i patrzy, jak głowa męża znika pod wodą, a potem znów się wynurza. Słucha jego wrzasków i skamlenia. Nareszcie zapada cisza. Kobieta odwraca się i spokojnie odchodzi. Jeszcze zatrzymuje się na moment, by popatrzeć na gołębie Gustava kołujące na tle intensywnie błękitnego nieba, po czym wraca do swego domu.

82

Gdyby Marta wiedziała, nie myślałaby o głupstwach, nie wychyliłaby kieliszka wina na jednym oddechu i w ogóle nie kładłaby się spać tego wieczoru, raczej spędziłaby całą noc, klęcząc przed krzyżem i szepcząc modlitwy zbieleńskimi ustami. Zrobiła jednak to wszystko, bo nie wiedziała, że w tym momencie, kiedy ona szcotokuje włosy, z brytyjskich lotnisk startują bombowce, gdy mówi pacierz, już lecą nad terytorium Niemiec, kiedy wreszcie sen zamyka jej powieki, samoloty są już nad miejscem, w którym przebywa jej jedyne dziecko. Śpi spokojnym snem utrudzonego człowieka, a tymczasem na Berlin spada ponad dziewięćset ton bomb zapalających i burzących o niespotykanej dotąd mocy rażenia. Zaciemniona i zamaskowana stolica Rzeszy w jednej chwili zmienia się w morze płomieni, a niebo staje się ognistą kopułą.

Wyrwana ze snu przez przenikliwe wycie syren rodzina Neumannów kuli się pod ścianą schronu – piwnicy dostosowanej do przebywania w niej ludzi. Arnold, nieco z boku, przyciska dłoń do uszu, jakby nie mógł znieść wycia, świstu, odgłosów detonacji i ludzkich lamentów rozlegających się w pomieszczeniu. Tila nigdy nie przeżyła czegoś podobnego. Pobladła i roztrzęsiona tuli się do babki, a z drugiej strony obejmuje Christiana. Ona także chciałaby odgrodzić się od przerażających dźwięków. Zamyka oczy i próbuje sobie wmówić, że to nie dzieje się naprawdę, to tylko koszmarny sen, ale coraz bliższe eksplozje i wstrząsy budynku poddającego się fali uderzeniowej nie pozwalają zapomnieć, gdzie się znajduje. Nagle gaśnie światło. W schronie zapada zaskakująca cisza. Nie na długo. Jakiś mężczyzna zaczyna krzyczeć. – Pomocy! – woła. – Zasypało nas! Niech ktoś nas ratuje! Duszę się! – Światło się zapala, a ludzie wydają okrzyk ulgi.

Dopiero nad ranem wycie syren ogłasza odwołanie alarmu. Niewyspani i udręczeni psychicznie ludzie zbierają swoje rzeczy i ustawiają się w karnej kolejce do wyjścia. Tila pomaga babce wstać, a potem podtrzymuje ją na schodach. W mieszkaniu jest pełno dymu. Wszystko pokrywa cienka warstwa pyłu. Okazuje się, że nie ma ani wody, ani prądu i gazu. Prawdopodobnie rury i przewody zostały uszkodzone. Mimo że są wykończeni i marzą o spokojnym śnie, jedzą śniadanie i, zostawiwszy drzemiącą Sabinę, wychodzą z mieszkania, żeby zobaczyć, jakie skutki przyniósł najstraszliwszy jak dotąd nalot na Berlin.

Widok jest przerażający. W powietrzu unosi się żółtawy dym. Na ich ulicy brakuje kilku kamienic, zostały tylko puste przestrzenie i stosy dymiących gruzów. Naprzeciwko domu, w którym mieszka starsza pani Neumann, stała piękna secesyjna budowla. Został z niej pusty fronton. Przez wypalone okna widać zadymione niebo. Gałęzie jeszcze nie zdążyły wypuścić liści, a już gorący podmuch sparzył korę i skazał drzewa na zagładę. W niektórych miejscach nie da się iść chodnikiem, muszą więc wychodzić na jezdnię, a i ta nie wszędzie jest drożna. Pod nogami chrzęści rozbite szkło i drobiny gruzu, a połamane meble, sztucce, rozbite talerze mieszają się z resztkami zasłon, piór i wielkimi nieregularnymi bryłami cementu. Grozę tego widoku dopełniają wypalone wraki samochodów i tramwajów. Na rumowiskach kręcą się ludzie próbujący dostać się do zawalonych piwnic. Jeśli tam ktoś przeżył, trzeba go ratować. Jutro może to spotkać tych, którzy tej nocy mieli szczęście. Wszyscy kaszlą, kichają i wycierają załzawione oczy, bo w powietrzu wciąż unosi się dym i popiół. Na końcu ulicy natykają się na trzy ułożone obok siebie ciała. Tila zabrania chłopcom patrzeć w tamtą stronę, jednak oni i tak zerkają na zmiażdżone ludzkie szczątki. Wracają do mieszkania. Bracia postanawiają, że mimo wszystko idą do szkoły, więc Matylda szykuje im drugie śniadanie i po chwili zostaje w mieszkaniu sama. Wprawdzie Sabina jest, ale śpi u siebie i pewnie potrwa to dość długo. Dziewczyna zabiera się za porządki. Ściera grubą warstwę kurzu z mebli i podłóg i na tym kończy, bo wciąż nie ma wody. Zastanawia się, jak ugotować obiad. Na razie nie ma na to pomysłu, całe szczęście, że wczoraj była na zakupach, mają więc chleb i smalec. Na razie to będzie musiało im wystarczyć.

W mieszkaniu panuje niespotykana cisza. Zwykle w dzień ulicą poruszały się jakieś pojazdy, dzisiaj ich nie słychać. Tila wygląda przez okno. Jacyś ludzie pracują przy oczyszczaniu trasy, poza tym nic się nie dzieje. Dziewczyna siada w wygodnym fotelu i czeka. Na wodę i gaz... na cokolwiek. Chce wrócić do domu, do Altreben. Z początku życie w mieście wydawało się takie ciekawe. Interesowały ją wystawy sklepowe, modnie ubrane kobiety i ich fryzury. Robienie zakupów dla zdrowej młodej dziewczyny nie było żadnym problemem. Kupowała to, co wynikało z kartkowego przydziału, i jakoś wystarczało, a od czasu do czasu matka przysyłała paczkę. Kuzynowie Arnold i Christian chodzili do szkoły, a oprócz tego udzielali się w organizacji. Czasem wracali do domu dopiero wieczorem. Podawała im obiad, zmywała, prała, sprzątała, pilnowała, żeby babcia regularnie brała leki, poza tym strasznie się nudziła. Przebywanie całymi dniami ze starą kobietą męczyło Tilę. Znała już całe drzewo genealogiczne Neumannów i bohaterские czyny, jakich dokonali na wojnach przedstawiciele jednej gałęzi, oraz sukcesy kupieckie drugiej. Obejrzała albumy z fotografiami i utrwaliła w pamięci imiona prababek, pradziadków, ciotek, wujków i dalekich kuzynów. Miała dość. Nikomu by tego nie powiedziała, ale marzyła o karmieniu świń i pielieniu grządek,

mogłaby nawet pójść na pole rozrzucać obornik, byleby tylko wrócić do domu. Rzadkie wizyty Ewy niewiele dały. Dopiero teraz, kiedy spotykały się częściej, widziała, że ciotka jednak się zmieniła. Wciąż się czegoś bała, była przesadnie ostrożna. Tak ją pochłaniały własne problemy, że Tila nie interesowała się zbytnio. Cieszyła się, że przyjechała i opiekuje się babcią i jej synami. Dzisiejsza noc przelała czarę goryczy. „Mogliśmy wszyscy zginąć i teraz leżeć jak tamci na brzegu chodnika. Po co ja tu siedzę? – Tila pyta siebie w myślach. – Najlepiej, żeby babcia i chłopcy pojechali ze mną do Altreben. Tam jest bezpiecznie. Porozmawiam z ciotką, jak tylko się zjawi – postanawia. – Nie będę tu czekać, aż mi jakaś bomba spadnie na głowę”.

Arnold z Christianem wrócili dopiero o zmierzchu. Ich ubrania były tak brudne, że natychmiast musieli się przebrać. Niestety, wody dalej nie było, więc nie mogli się umyć. Zjedli posiłek bez popijania i opowiedzieli babci i kuzynce, czym się zajmowali. Pomagali oczyszczać z gruzu ulice w okolicy szkoły, stąd wygląd ich mundurków.

Wieczorem, kiedy siedzieli przy świeczce, ktoś zapukał do drzwi. To Ewa. Szła pieszo około dziesięciu kilometrów, bo komunikacja miejska działała tylko tam, gdzie nie spadły bomby. Ledwie trzymała się na nogach, a w domu nie było już ani kropli wody, by mogła ugasić pragnienie. Mimo to popłakała się ze szczęścia na widok kamienicy, bo cały czas myślała tylko o tym, czy ocalili. Opowiadała o pożarach i ruinach, jakie widziała po drodze, martwiła się o ludzi, którzy stracili dach nad głową. Jej gospodyni, pani Berta, pobiegła rano do szpitala, spodziewając się wielu rannych. Tymczasem zapadła noc, więc Ewa została, ryzykując, że wywoła tym zainteresowanie dozorczyńni.

Wyszła od Sabiny przed południem. Mimo że świeci słońce, w przymglonym powietrzu dalej unosi się kurz, pył i dym. Ulice oczyszczone, więc mogą się nimi przemieszczać pojazdy dowożące w beczkach wodę do dzielnic, gdzie wciąż jej brakuje. Na chodnikach mnóstwo ludzi, jedni wyszli z domów, by coś kupić, inni suną z tobołkami, walizkami, a nawet garnkami do krewnych albo do instytucji, które wskażą im, gdzie mogliby zamieszkać. Ewa raz po raz potyka się o gruzy, których jeszcze nie wywieziono i zalegają na poboczach i pod ścianami kamienic. Jest przygnębiona, tak jak inni berlińczycy. Piękne miasto, które zdążyła pokochać, w ciągu jednej nocy zamieniło się w pokaleczoną, chorą istotę. Patrzy na twarze mijanych osób i dostrzega w nich rozpacz. To straszne nie mieć domu, rozumie ich, ale zaraz myśli z goryczą, że władze przydzielą im lokale, bo przecież zostało jeszcze trochę Żydów. Wystarczy deportować tych ostatnich, a kwatery dla *prawdziwych Niemców* się znajdą.

Na ulicę, przy której obecnie mieszka, nie spadła żadna bomba, dlatego tutaj wydaje się, że życie toczy się swoim rytmem. Kiedy Ewa wchodzi do mieszkania, witają ją znajome zapachy i dźwięki. Słyszy plusk wody z łazienki.

– Berto, jesteś tam? – woła.

– Tak, wpadłam na chwilę, żeby się odświeżyć, i wyobraź sobie, jest woda! Zaraz do ciebie przyjdę.

Po kilku minutach lekarka zjawia się w szlafroku i z ręcznikiem na głowie.

– Brrr... – chuda postać gna do drugiego pokoju. – Woda jest zimna jak lód, ale musiałam się umyć! – woła, ubierając się jednocześnie. – Mów, co u twoich dzieci. W porządku? – pyta, zapalając papierosa.

– Tak, wszystko dobrze, ale miasto wygląda strasznie.

– Podobno zginęło kilkuset ludzi, a byłoby o wiele więcej ofiar, gdyby nie schrony. W szpitalu pełno, pacjenci leżą na korytarzach, chirurdzy wciąż operują. Mówi się, że ponad sto tysięcy berlińczyków straciło dach nad głową.

– Widziałam. Mnóstwo osób błąka się po ulicach.

– Ewo, słuchaj, ja muszę lecieć z powrotem do szpitala. – Berta zaciąga się ostatni raz i gasi niedopałek w popielniczce. – Mam coś dla ciebie – mówi i kładzie na stoliku plik dokumentów.

– Co to?

– Twoje nowe nazwisko. W nocy zmarła u nas kobieta – wyjaśnia. – Ciemnowłosa, mniej więcej w twoim wieku. Jej to już nie będzie potrzebne, a tobie może się przydać.

– Ale jak to? Rodzina będzie jej szukać. Tak nie można.

– W szpitalu zapisano jej dane. Rodzina, jeśli przeżyła, dojdzie, co się z nią stało. Nie musisz mieć skrupułów. To straszne, że w takich okolicznościach, ale dostałaś od losu szansę. Twoje hiszpańskie papiery można prędzej sprawdzić niż te. Lepiej być zwyczajną Niemką, uwierz. I jeszcze jedno. W mieście panuje chaos, tysiące ludzi szukają jakiegoś mieszkania. Nikogo nie będzie dziwić, jeśli się zgłosisz jako jedna z nich. Zostaniesz legalnie zakwaterowana, dadzą ci kartki, a może nawet skierują do pracy. Zaczнеш nowe życie. Dobrze mieszkać z tobą, ale musisz ruszyć dalej. I tak za długo tkwiłaś w jednym miejscu.

Po chwili drzwi za Bertą się zamykają, a Ewa zostaje sama z papierami nieznannej kobiety. „Kim teraz jestem? – myśli, biorąc dokumenty ze stolika. – Mam na imię Edeltraud, w lutym skończyłam czterdzieści lat – mówi do siebie na głos, tak jakby chciała przyzwyczaić się do nowej tożsamości. – Berta ma rację. Lepszej okazji nie będzie. Wiem, co zrobię. Zgłoszę się w Charlottenburgu jako ofiara bombardowania, najlepiej gdzieś blisko Sabiny. Matyllda chce wracać do matki. Nie mogę jej tu dłużej trzymać. Idzie wiosna, Marta będzie potrzebowała pomocy w gospodarstwie. No właśnie! Marta! Pewnie szaleje z niepokoju o Tilę. Sprawdzę, czy mogę się dodzwonić do Chwalimia. Poproszę, żeby powiadomiono ją, że jesteśmy zdrowi”.

To były dwa najdłuższe dni w dotychczasowym życiu Marty. Przebierała w piwnicy ziemniaki, kiedy usłyszała, że drzwi wejściowe gwałtownie się otwierają, a potem wołanie:

– Pani Neumann! Pani Neumann, gdzie pani jest?

– Już idę! – odkrzyknęła, ale Rosina nie czekała, tylko gnała w dół po ceglanych schodkach.

– Pani Neumann – wydyszała. – Berlin zbombardowany! Mnóstwo ofiar!

– Co ty mówisz? Skąd wiesz?

– W radiu podawali. Tata kazał, żebym pani powiedziała, bo może pani nic nie wie.

– O Boże! Tila! Co z moją córeczką? – Marta biegnie na górę i wypada na podwórze. Rozgląda się wokół, jakby drzewa i chmury mogły dać jej odpowiedź. – Tila, co z tobą? – pyta bezradnie. Nie ma żadnego sposobu, żeby dowiedziała się czegokolwiek. – Rosina, co ja mam teraz zrobić? Powiedz mi, bo zwariuję.

– Ja nie wiem, pani Neumann. Może coś w radiu powiedzą.

– Właśnie! Jaka ja jestem niemądra. Radio! – Marta pędzi do pokoju i włącza odbiornik. Pomieszczenie zalewają wzniosłe dźwięki muzyki poważnej.

– Nadają jakieś bzdury, a ja tu czekam – złości się, ale po kilku minutach koncert się kończy, a spiker grobowym głosem, zapewne któryś raz z rzędu tego dnia, informuje o zbrodniczym nalocie sił powietrznych Wielkiej Brytanii na Berlin. Mówi o setkach niewinnych ofiar wśród ludności cywilnej, o tym, że wróg nie oszczędził szpitali i muzeów z bezcennymi zbiorami. Potem zmienia ton na bardziej optymistyczny, bo mieszkańcy miasta nie dali się złamać. W tej chwili tysiące ochotników odgruzowują zawalone domy, oczyszczają ulice i starają się przywrócić normalne funkcjonowanie miasta. Mówi, mówi i mówi, a Marta słucha coraz bardziej zniecierpliwiona.

– Rosina, rozumiesz coś z tego? – zwraca się do stojącej za jej plecami dziewczyny.

– Nic a nic. Wygląda na to, że musi pani czekać, aż się Tila odezwie, ale jak tam wszystko zrujnowane, to ani telefony nie działają, ani poczta.

I Marta czekała. Doiła krowy, karmiła świnię, przygotowywała posiłki, ale nie dla siebie, bo nie przełknęłaby ani kęsa. Otwierała ze Stefanem kopiec z warzywami i czekała. Jedna minuta tego czekania była jak sto, a nocą jak tysiąc minut. Dopiero drugiego dnia wieczorem przyszedł Paul Faustmann.

– Telefonowała bratowa Waltera – zaczął, nawet się nie witając. – Powiedziała, że mam ci powtórzyć, że u nich wszystko w porządku. Żyją i są zdrowi.

Od tego czasu minął miesiąc. Wysłała do Berlina depezę, że Tila ma natychmiast wracać do domu, ale nie dostała żadnej odpowiedzi. Pewnie w ogóle

wiadomość nie dotarła do Sabiny. Najchętniej sama by tam pojechała i zabrała z tego straszego miejsca swoje dziecko, ale skąd ma wiedzieć, gdzie oni wszyscy są. Przecież Ewa nie powiedziała, że dom stoi. Najbardziej złościła się na Sabinę, bo gdyby tak się nie upierała, żeby zostać, teraz cała rodzina byłaby bezpieczna w Altreben.

– Nie wiem, co bym zrobiła tej samolubnej babie! – wścieka się na teściową, podsypując Lotte owsa. – Wszyscy muszą tańczyć tak jak, ona zechce – wyzywa, całkiem nie pamiętając o swoim postanowieniu, że będzie tylko dobrze myślała o matce Waltera. – Dziewczyna naraża się na niebezpieczeństwo, bo jej się nie chce tyłka ruszyć z miasta. Wielka pani!

– Na kogo tak się złościysz? – słyszy z dworu znajomy głos.

– Och, nie pytaj i lepiej zejdź mi z oczu, bo też ci się dostanie.

– To znaczy, że nie chcesz tego? – Manfred trzyma w ręce list, ale udaje, że z nim wychodzi.

– Daj! To na pewno od Tili! – Marta wrywa Richterowi białą kopertę i błyskawicznie ją rozdziera. Zupełnie nie zwraca uwagi na mężczyznę stojącego w drzwiach do stajni. Wzrok szybko biegnie po linijskach.

– Pisz – odzywa się wreszcie – że będzie dopiero przed Wielkanocą. Chce przyjechać z Christianem, to młodszy syn Georga, brata Waltera – wyjaśnia. – Teraz nie może, bo wielki kawał gruzu zsunął mu się na stopę, kiedy porządkowali teren. Nie ma złamania, ale kuleje i na razie nie nadaje się do podróży. Arnold, ten starszy, już jest poza Berlinem, bo całe klasy są wywożone z miasta do mniejszych miasteczek, żeby ochronić dzieci przed nalotami – kończy zdawać relację z listu od córki. – Widzisz? – mówi rozżalona. – To moje dziecko ma tam być i narażać się, a inne dzieci wyjeżdżają na wieś.

– Podobno jest spokój. Nie bombardują Berlina.

– Przed pierwszym marca też był spokój. Wystarczył jeden nalot.

– Niestety, masz rację. Chciałem cię tylko uspokoić. Gdybym wiedział jak, na pewno bym ci pomógł.

Marta napotyka jego zatroskane spojrzenie i nagle robi jej się ciepło na sercu.

– Dawno cię u mnie nie było.

– Myślałem, że się gniewasz za tamten żart.

– Bo się gniewałam. Chodź do domu. Chłodno dzisiaj, w końcu to dopiero początek kwietnia.

Pod płytą tli się ogień. Marta podkłada do pieca, a potem przykucnięta dmucha mocno, ożywiając słaby żar. Manfred oparty o futrynę patrzy na nią z czułością. Chustka przesunęła się do tyłu, odsłaniając gładko zaczesane ciemne włosy, twarz zaróżowiła się od wysiłku i od nikłego blasku ognia. Kiedy wstaje i obraca się ku niemu, on widzi smugę sadzy na jej lewym policzku. Podnosi rękę,

by ją zetrzeć, ale ona odczytuje ten gest inaczej. Śmiało bierze tę wyciągniętą dłoń, przytula ją do swej twarzy i przymyka oczy. – Nie warto tracić czasu na głupstwa – szepcze. – Wybacz mi to, że cię kiedyś skrzywdziłam, proszę. Tak bym chciała, żebyś mnie znów pokochał. – Powiedziawszy to, otwiera oczy i patrzy błagalnie.

On nie może się oprzeć tej srebrzystoszarej prośbie. Przyciąga ją do siebie i całuje rozchylone usta. – Nigdy nie przestałem cię kochać – wyznaje, tuląc ją w objęciach.

Wtedy ona go odpycha.

– To dlaczego mi tego nie powiedziałaś?! Całe miesiące zastanawiałam się, dlaczego tu przychodzisz. Rozmawiałeś, pomagałeś, ale nie mówiłeś tego co najważniejsze. Jak mogłeś tak mnie dręczyć? – Marta krzyczy i gestykuje. Chustka całkiem zsunęła się z głowy i upadła na podłogę, ale ona tego nie widzi, tak pełna jest gniewu.

Manfred znowu podchodzi i próbuje objąć rozeźloną babę, ale ona wyrywa się oburzona. Wtedy łapie ją za nadgarstki i zniecierpliwiony mówi: – Ty mnie rzuciłaś, więc ty powinnaś do mnie wrócić. Zrobiłaś to dzisiaj – jego głos łagodnieje – teraz przestań myśleć o głupstwach. Dość czasu straciliśmy. – Kiedy czuje, że kobieta w jego ramionach z całej siły przywarła do niego, pochyla się i zaczyna obsypywać pocałunkami jej twarz.

– Nigdy nie przestałem cię kochać – słyszy w jego ciepłym oddechu przy uchu.

84

Gdyby pewien mieszkaniec Groß Schmöllten nie wybrał się na leszcze, ciało Ottona Krügera tkwiłoby w rzece zaczepione o gałąź aż do sianokosów. Że to Otto, można było rozpoznać tylko po ubiorze, bo twarzą zajęły się ryby, które jako jedyne istoty polubiły Krügera bez zastrzeżeń. Zaraz kiedy żona zgłosiła zaginięcie i odkryto ślady na brzegu, szukali go mężczyźni z landwache, sondując dno długimi tyczkami. Wiał zimny wiatr i padał deszcz ze śniegiem, więc dość prędko stwierdzili, że jeśli się utopił, to w końcu rzeka go sama odda. Pani Krüger wyprawiła mężowi pogrzeb, ale i tym razem aura była kiepska, dlatego wszystko działo się w pośpiechu, bez należytej powagi. Pastor odprawił modły mało starannie, bo prócz zimna dokuczała mu świadomość, że zmarły nie należał do hojnych i gorliwych parafian. Żałobnicy rozeszli się szybko, uznając, że spełnili chrześcijański obowiązek i mogą już o Krügerze zapomnieć. Lucja zabrała dzieci i przybyłych z odleglejszych miejscowości krewnych na obiad, nad grobem nie został więc nikt, kto czułby potrzebę poświęcenia choćby kilku chwil zmarłemu.

Mimo że i Gustav opuścił cmentarz z uczuciem ulgi, siedzi teraz nad kubkiem ciepłej lipowej herbaty i rozmyśla nad karą, jaka dotknęła niedobrego sąsiada. „Pan Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy – mawiała Janka. Ciekawe,

co ona powie na to wszystko, jak do niej napiszę? Nie mogę wcześniej niż na Wielkanoc, bo dopiero wtedy minie miesiąc, odkąd posłałem list i paczkę. Przejdę się do Marty, zobaczę, może Tila przyjechała” – postanawia. Kiedy wstaje od stołu, zauważa, że na podwórko wchodzi Łucja Krüger z jakimś mężczyzną. Nieznajomy wyraźnie utyka na lewą nogę, mimo to idzie równie szybko jak kobieta.

– To mój krewniak ze strony matki – przedstawia kobieta swego towarzysza.

Mężczyzna wyciąga rękę, ale cofa ją zawstydzony, dostrzegłszy kalectwo Gustava. – Egon Trischke – mówi, kłaniając się lekko.

Gospodarz zaprasza gości do kuchni, bo w pokoju jest zimno. Kiedy siedzą już przy stole, patrzy pytająco na Łucję. Ona widać nie nawykła do rozmowy, bo trąca Egona w ramię. – Mów.

– Panie Gogol, Łucja mówiła, że pańska żona jest w Ravensbrück. Widzi pan, ja tam pracuję.

– Co pan powiedział? Pan pracuje w tym obozie, gdzie moja Janka? – Gustav nie może uwierzyć w to, co usłyszał. – Ma pan wiadomości od niej? – pyta rozgorączkowany. – Jak ona się czuje?

– Nie znam pani Gogol. Nie sędzę, bym ją kiedykolwiek widział. Ja tam jestem pielęgniarzem w części dla mężczyzn.

– No to po co pan przyszedł? – Gustav jest głęboko rozczarowany.

– Bo mnie Łucja prosiła. Jakby pan chciał, to ja mogę spróbować załatwić, żeby ją wcześniej zwolnili.

– W jaki sposób? To chyba niemożliwe. Zostały jej jeszcze dwa lata. Niech pan mnie nie dręczy i nie daje niepotrzebnej nadziei.

– Nie takie rzeczy się robi. Potrzeba tylko pieniędzy. Wiem, kto bierze i jak się to załatwia. Ja pogadam z lekarzem, on spotka się z doktorem z kobiecego obozu. Tamten przyjmie ją, że niby jest chora, a później da zgodę na zwolnienie ze względu na zły stan zdrowia.

– To wszystko? To takie proste? Nie chce mi się wierzyć.

– Nie chcę pana oszukać. Nie wezmę grosza dla siebie. Łucja mówiła, że jesteście dobrymi ludźmi, a pani Janka nawet jej pomagała. – Obaj patrzą na panią Krüger, a ona gorliwie potakuje. – Gdybym mógł zrobić to bez pieniędzy, nawet bym tu nie przychodził, ale nic na to nie poradzę, że takie czasy. Nic nie załatwisz bez łapówki. I powiem panu jeszcze, że gdyby ktoś z moich bliskich był w obozie, to ja bym sprzedał ostatnią koszulę, żeby go wydostać. Brakuje słów, żeby opisać, co tam się robi z ludźmi. Nie ma straszniejszego miejsca na ziemi niż Ravensbrück.

Słyszając to, Gogol już się nie zastanawia. – Długo pan będzie?

– Jadę wieczornym pociągiem. Jak się pan zdecyduje, da znać Łucji, a ona mnie zawiadomi.

– Zdecydowałem się. Nie chcę czekać ani chwili. Ile?

Marta wraca z ogrodu, kiedy prawie biegnąc, zjawia się Gustav.

– Co się dzieje? Czemu tak pędzisz?

– Masz jeszcze te pieniądze dla Janki? – pyta z nadzieją w głosie. – Marta, ja wiem, że to twoje i Waltera, ale ja ci wszystko oddam.

– Cicho, bo jeszcze ktoś usłyszy. Pewnie, że mam. Wejdz do domu. Szybko.

– Marta rozgląda się wkoło, jakby bała się, że wzmianka o pieniądzach natychmiast sprowadzi złodziei. Wprowadza Gogola do kuchni, a sama idzie do sypialni, gdzie prawie od trzech lat leży w szafie cenne zawiniątko.

– Masz. Jest wszystko. A tu są jeszcze pieniądze za porzeczeki Janki. Mówiłeś, że mam je obrabiać i sprzedawać dla siebie, ale ja nie wzięłam ani grosza. – Gustav bez słowa przelicza banknoty, zastanawia się i woła triumfalnie: – Wystarczy! Wystarczy! Marto, jak dodam do tego moje, wystarczy!

– Bądź cicho! Siadaj spokojnie i wreszcie mi wytłumacz, o co chodzi.

– Nie mam teraz czasu. Oddam to komuś i wrócę ci powiedzieć. Będę za godzinę. Przrzekam.

Gogol znika, a zaniepokojona Marta próbuje zabrać się do pracy, ale wszystko leci jej z rąk. Domyśla się, że to dla Janki, ale jeśli ktoś oszuka naiwnego Gustava, co wtedy? „Przecież ta lekarka od Ewy obiecała coś w tej sprawie zrobić. Jak pieniądze przepadną, Janka posiedzi jeszcze dwa lata”. Kobieta miota się po kuchni, a Gogola wciąż nie ma. Wychodzi z domu i zamiata podwórko przed stajnią, chociaż leży tam tylko parę plew.

– Chyba zwariuję. Obiecał, że przyjdzie. Jak dał się oszukać, to nie wiem, co zrobimy – zaczyna mówić do siebie, a Stefan wyprzęgający Lotte przygląda się jej zdziwiony.

Dźwięk metalowej zapadki przy furtce budzi ją z transu.

– Zobacz, kogo ci prowadzę! – woła Gustav.

Na podwórko wchodzi Tila z walizką w ręku, a za nią blady, jasnowłosy, niebieskooki chłopiec. Gdyby nie to, że widziała go kilka miesięcy temu, nie poznałaby Christiana, tak urósł.

85

Chociaż Tila, tęskniąc za Altreben, dopuszczała nawet pracę przy oborniku, to kiedy stało się to realne, niezbyt radośnie myślała o przyszłej srodzie, bo właśnie na ten dzień matka zaplanowała wywożenie gnoju na pola przeznaczone pod ziemniaki i buraki. Czas najwyższy, bo ziemia wchłonęła zimową wilgoć, a kwietniowe słońce ją nagrzało. Po późnej w tym roku Wielkanocy trzeba natychmiast posiać buraki, a w maju przyjdzie termin sadzenia kartofli.

Marta zamierzała poprosić Manfreda, żeby pomógł Stefanowi wywozić obornik, ale zanim to zrobiła, przyszedł Peter Radach i zapytał, czy nie ma dla

niego jakiegoś zajęcia. Radachom nie wiedzie się ostatnio. Ewald choruje coraz częściej, babka – matka Anny – nie wstaje od kilku miesięcy, wymaga więc stałej opieki, tylko Peter może zarobić na rodzinę. Utrzymanie dwóch koni to niemały ciężar, a ziemi nie ma aż tak wiele, więc Radach wynajmuje się do pracy. Woli to niż sprzedaż któregoś ze swoich zimnokrwistych ulubieńców. Peter może z łatwością dorobić u któregoś z bogatszych gospodarzy, ale jest lojalny wobec Marty i dlatego najpierw przyszedł do niej.

W środowy ranek, kiedy tylko gospodyni wyprowadziła krowy z obory, Peter ze Stefanem przystąpili do usuwania nagromadzonego tam gnoju. Zimą obornik pełnił bardzo ważną rolę, bo ogrzewał pomieszczenie, dzięki czemu nawet w tęgie mrozy było tu ciepło. Dopiero nadmiar zwierzęcych odchodów wyrzucano do betonowego płytkiego dołu na podwórzu.

Dzień nadaje się do takiej pracy jak rzadko który, bo wieje wiatr goniący nie tylko obłoki na niebie, ale i rozpraszający duszącą chmurę smrodu. Mimo to Tila pozamykała okna, a Christian nienawykły do takich woni przemyka się po podwórzu, zaciskając palce na nosie. Chłopiec, choć się brzydzi, obserwuje mężczyzn przy tak oryginalnym zajęciu. Peter ułokował się dalej od wyjścia i widłami zdejmuje warstwy udeptanego przez krowy nawozu, potem podrzuca je bliżej drzwi. Tam Stefan, który w innym miejscu robi to samo, tylko od czasu do czasu przerywa swoją pracę, nabiera obornik na widły i wyrzuca go na zewnątrz. Kiedy kupa gnoju na podwórzu jest dość wysoka, mężczyźni wychodzą z obory i nakładają go na wóz. Zapełniwszy pojazd, kładą w poprzek burt deskę do siedzenia i wyjeżdżają na szosę. Jadąc, zwracają uwagę, czy nie zgubili po drodze części ładunku, bo za zanieczyszczenie drogi mogliby zostać ukarani. Skręcają w drogę przy transformatorze i docierają do pola, które było kiedyś winnicą Marty. Peter zostaje na wozie, a Stefan zdejmuje tylną burtę i, idąc za odjeżdżającym pojazdem, ściąga hakiem porcje obornika. W ten sposób wkrótce część gruntu zapełniają ułożone w równych odstępach kupki nawozu. Praca szczególnie dla Polaka jest bardzo ciężka, dlatego Radach zarządza przerwę na papierosa. Ziemia jest jeszcze zbyt chłodna, więc siadają na wozie. Peter najpierw częstuje robotnika, a kiedy wyjmuje też papierosa dla siebie, oddaje pozostałe pół paczki Stefanowi. Ten kręci przecząco głową i pokazuje, że ma swoje, ale Niemiec się upiera, w końcu więc przyjmuje podarunek.

– Miałbym ci papierosów żałować, biedaku? – zaczyna Radach swój monolog. – Co tam ci oni przydzielili? Półtora papierosa na dzień. Tylko się z tego śmiać. Żal mi ciebie, wiesz? Siebie też, ale sam jestem sobie winien. Uwierzysz? Ja na nich głosowałem w trzydziestym drugim i potem w trzydziestym trzecim. Zawsze byłem za Centrum, a wtedy mi chyba rozum odebrało. Zresztą nie tylko mnie, bo w naszych stronach naziści dostali naprawdę duże poparcie. Zrozum, było nam wtedy ciężko. Kryzys, długi w bankach, a tam u góry zamiast rządzić, wciąż

się kłócili. Przed wyborami przyjeżdżali ci brunatni i namawiali. Mówili, że zrobią porządek, obiecywali złote góry, dobre ceny dla rolników, pracę robotnikom. Przysięgali, że jak ich wybierzemy, wszystko zmieni się na dobre. I wciąż się słyszało: narodowy handel, narodowe rolnictwo, dzieci wychowywać dla narodu. – Peter rzuca ze złością niedopałek na kupkę gnoju i mężczyźni zapalają kolejne papierosy. – A potem ani się obejrzelśmy, jak nam zabronili mówić, co chcemy, a gdyby mogli, myśleć też by zakazali. Zobacz, co narobili. Wojny im się zachciało! Płacimy za tamte wybory krwią naszych synów. Otworzysz gazetę, to tylko nekrologi widzisz. Po co było zaczepiać cały świat? Nic dobrego z tego nie będzie. Mówię ci, Stalingrad to dopiero początek. Skończy się tak jak w osiemnastym albo jeszcze gorzej.

Przy następnym transporcie obornika i przerwie na papierosa okazuje się, że Peter jeszcze nie skończył.

– Szlag mnie trafia na to wszystko. Ty wiesz, co oni mojemu chłopcu zrobili? W tamtym roku, jak był w szpitalu, wykastrowali go! Uwierzysz? – Peterowi łamie się głos. – Wzięli jak jakieś zwierzę, nie pytali nikogo, wycięli mu tam wszystko. „Żeby się nie rozmnażał, bo to głupek” – tak mi powiedziała pielęgniarka. A jak podniosłem głos, jeszcze dodała: „Takich jak on się likwiduje, więc niech pan się cieszy, że tylko tyle mu zrobiliśmy”. Czy to są lekarze? Co ja mogę z tym zrobić? Nic. Anna każe mi cicho siedzieć, bo ktoś może podsłuchiwać. Co oni zrobili z porządnymi ludźmi? Jak to się stało, że im się tak w głowach poprzestawiało, że szpiegują się wzajemnie, podglądają, co kto robi, a potem donoszą na bliźniego? Ślepi czy co? Nie tylko mężczyźni. Niejedna baba to by za Hitlera życie oddała. Dziewczyny czczą go, stawiają w domach ołtarzyki. Niedługo jego urodziny, to już jeden przed drugim przystrajają domy, żeby się wykazać. – Peter robi się coraz bardziej czerwony na twarzy, a jego wydatny brzuch podskakuje przy każdym głośniejszym wypowiedzianym słowie. – Lepiej wracajmy do roboty, bo i tak na nic to moje gadanie się nie przyda. – Mówiąc to, bierze do ręki lejce i zamierza dać koniom sygnał, żeby ruszyły. Stefan, który już się ustawił z tyłu, żeby zrzucić nawóz, zauważa, że Peter siedzi na desce dziwnie pochylony. Podbiega do Radacha i podtrzymuje go, żeby nie spadł. Stojąc na wozie, rozgląda się, czy jest ktoś w pobliżu, kto mógłby pomóc. Niestety, ludzie pracujący na swych polach są zbyt daleko. Z trudem układa bokiem tułów Petera na ławce, a sam zeskakuje i hakiem zgarnia resztę gnoju na jedną wielką kupę. Potem ściąga Radacha w głąb wozu i kładzie jego głowę na swojej zwiniętej w wałek kapocie. Zakłada krótką burtę, wskakuje na wóz i zacina batem konie. – Wio! Wio! Szybko! – krzyczy i pędzi na złamanie karku.

Anna właśnie pompuje wodę ręczną pompą, kiedy dobiega ją głośny hurkot kół na asfalcie i krzyczane po polsku słowa. Ciekawa, co to może być, wychodzi za furtkę. Zobaczywszy Stefana, błyskawicznie otwiera bramę i dopada do wozu.

Peter oddycha i lekko się porusza, więc nie tracąc czasu, nie zastanawiając się, czy zrozumie, woła do Polaka: – Zostań z nim, ja sprowadzę lekarza!

Stefan siedzi na wozie obok chorego i czuwa. Czas wlecze się niemiłosiernie. Nagle z domu wychodzi Ewald. Zobaczywszy ojca w tym stanie, zaczyna głośno zawodzić. Wdrapuje się na wóz i próbuje objąć jego głowę. Robotnik nie może w żaden sposób uspokoić chłopca, wreszcie, kiedy kolejny raz bez powodzenia odciąga go do tyłu, mówi niemal czystą niemiecką: – Uspokój się, Ewald. Tata wyzdrowieje. Mama zaraz wróci z doktorem. Cicho, nie płacz.

Nieco podchmielony doktor Pupke kazał najpierw ułożyć chorego w bardziej godnym dla siebie miejscu. Kiedy go zbadał, orzekł, że pacjent z tego wyjdzie. Musi jedynie się oszczędzać, a w najbliższym czasie leżeć w łóżku i najlepiej nic nie robić, a na przyszłość zalecił lekką dietę, bowiem jedną z przyczyn choroby jest nadmierne objadanie się. Kazał też rzucić papierosy. Już zupełnie przytomny Peter wpuszczał jednym uchem słowa lekarza, a wypuszczał drugim, bo wciąż myślał o tym, czy naprawdę słyszał Stefana mówiącego po niemiecku, czy to były tylko majaczenia chorej wyobraźni.

Nazajutrz Manfred z Polakiem kończyli wyrzucanie nawozu. Praca była jeszcze cięższa niż dnia poprzedniego, bo chodziło o stajnię, gdzie Lotte całą zimę sumiennie udeptywała gnój. Na polu nad jeziorem Marta, Tila i Christian Neumann rozrzucali zaś kupki obornika. Chłopiec nieprzyzwyczajony do takiej pracy często odpoczywał, ale zaraz zaciskał zęby i znowu chwycił widły. Kiedy w przerwie poszli nad jezioro, zanurzył dłonie w lodowatej wodzie.

– Pokaż – poprosiła Tila. – Oho! Nieźle – skomentowała pęcherze na rękach kuzyna. – Też kiedyś takie miałam. Jak wrócimy, przygotuję ci napar z nagietka. Przyspieszy gojenie. Tak mi robiła ciocia Janka. Za jakiś czas skóra ci stwardnieje. Zobaczysz, przyzwyczaisz się – pocieszała chłopca.

86

To już ostatnia dekada kwietnia. Za parę dni Wielkanoc. Wyjątkowo późna, ale dzięki temu niezwykle piękna. Altreben tonie w różowobiałej chmurze kwiatów wiśni, czereśni i wczesnych odmian jabłoni.

Marta z Tilą wychodzą właśnie z ogrodu, zostawiając za sobą równe, zielone rzędy rzodkiewki, pietruszki, marchwi, szpinaku, bobu i grochu. Plevienie skończone, można zjeść obiad i szykować się do kościoła. Christian, który miał sprzątnąć królikom, też uporał się z robotą i czeka na schodkach, bawiąc się z kotem. Dzisiaj pojedą rowerami, bo w domu jest jeszcze sporo pracy, trzeba więc prędko wrócić. Matylda nie ma zbyt szczęśliwej miny. Matka zaprosiła na świąteczny obiad pana Richtera z rodziną. Przyjdą z nim Klaus, rówieśnik Tili,

oraz dobrze znane z ubiegłego roku, kiedy zajmowała się wraz z BDM zbieraniem ziół, Ida i Luiza. Najstarszy syn pana Richtera, Andreas, jest w Wehrmachcie i niewiele o nim wiadomo. „Domyślam się, co się święci. Moja mama chce zastąpić matkę dzieciom pana Manfreda, a on sam zostanie moim tatusiem” – ironizuje po cichu. Wcale się jej to nie podoba. Nie wyobraża sobie, jak będzie wyglądało ich wspólne życie. Zamieszkają razem czy wszystko zostanie po staremu? Ledwie się przyzwyczaiła do obecności Franki w dawnym pokoiku cioci Janki, a już nadciąga kolejna zmiana. Dom, do którego tęskniła w Berlinie, niedługo nie będzie istniał. Dawny spokój zastąpi gwar i nieuniknione konflikty. „Może zabiorą mi pokój – oburza się na zapas. Kiedyś nawet lubiła tego mężczyznę o młodej twarzy i niepasujących do niej siwych włosach. Dawno temu pomógł jej założyć łańcuch, który spadł z roweru niedaleko Gabrielów. Zawsze uśmiechał się do niej, gdy go spotkała na wsi. Teraz nie myśli o nim tak dobrze. – Wkradł się w łaski matki i chce, żeby zapomniała o tatusiu” – myśli rozżalona.

Wracają z nabożeństwa osobno. Marta jedzie obok Christiana i o czymś z nim rozmawia, a Tila specjalnie została z tyłu. Chce dać matce do zrozumienia, że się domyśla i nie zamierza się cieszyć. Tylko że ona zdaje się niczego nie zauważać. Dawno nie była taka pogodna, a zarazem skupiona na sobie.

W Wielki Piątek Marta ubiera się do kościoła. Najbardziej uroczystym kolorem jest czerń, wkłada więc tradycyjny strój wendyjski. Włożyła już czarną spódnicę, białą bluzkę i dopasowany w talii czarny żakiet. Na nogach ma czarne sznurowane trzewiki na niewielkim obcasie. Przygląda rozdzielone przedziałkiem włosy i przykrywa je niewielkim sztywnym czarnym czepek zakończonym wstęgą, niezadowolona z efektu przesuwając go nieco, żeby było lepiej widać ciemne pasma, i zawiązuje z tyłu kokardę. Staje bokiem do lustra i wykonuje szybki obrót. Końce wstęgi posłusznie poddają się ruchom kobiety i tańczą zalotnie wokół bioder. Marta napotyka w lustrze swoje uśmiechnięte spojrzenie i nagle poważnieje. „Wielki Piątek, a ja tu tak! Wybacz mi grzesznej, Zbawicielu” – prosi, patrząc na krzyż wiszący na ścianie.

Rozmyślenia nad grzechem towarzyszą pani Neumann przez całą drogę z Altreben do Unruhstadt. Bo choć sama jakiś czas temu doszła do wniosku, że w dzisiejszych czasach wstyd nie oznacza tego samego co dawniej, to jednak sumienie dość mocno ją uwiera. Od chwili, gdy doszło do wyjaśnienia nieporozumień między nią a Manfredem i przypieczerowania zgody w sypialni, uczucie jest utrwalane przy każdej okazji. Odkąd wróciła córka, spotkania są rzadsze, bo w domu wciąż ktoś jest. No, chyba że akurat Tila z Christianem zostaną wysłani w jakiejś pilnej sprawie do Ulrichów albo do Unruhstadt po zakupy. Jako ludzie bogobojni, aczkolwiek ulegający pokusom, Marta i Manfred zamierzają skończyć grzeszny epizod w życiu i wziąć ślub. Zaraz po świętach wybierają się do pastora, ale wcześniej chcą powiedzieć o swych planach dzieciom, stąd pomysł

wspólnego świątecznego obiadu.

Pani Neumann jest już na wysokości sali gimnastycznej, kiedy dogania ją Gogol podążający na drogę krzyżową do swego kościoła.

– Była u mnie Łucja. Powiedziała, że wszystko jest na dobrej drodze. Wzięli Jankę do szpitala, niby na leczenie, a potem ją wypuszczą – mówi wzruszony.

– Ach, co za wspaniała wiadomość! – Marta rzuca się na szyję długonosemu draǵalowi. – Gustavie, to będą cudowne święta! – woła.

Wielkanoc 1943 roku jest dla Marty wyjątkowa, wszystko układa się lepiej, niż mogła sobie wymarzyć. Nareszcie wróci Janka, skończyła się dojmująca samotność, czuje się kochana i bezpieczna. Dostrzega dąsy córki, ale wierzy, że Matyllda przyzwyczai się do nowej sytuacji i polubi Manfreda i jego dzieci. W świąteczny poranek stoi na schodkach ganku, wdycha rześkie, pachnące powietrze i wsłuchuje się w ptasie trele. Jak piękna jest ta Wielkanoc!

Nie wie, że kiedyś ktoś nazwie Wielkanoc 1943 roku krwawą. No tak, wciąż toczy się wojna, a na froncie jest wielu chłopców z Altreben. Jednak nie z tego powodu przylgnie to straszne słowo do najważniejszego chrześcijańskiego święta. Dokładnie wtedy, kiedy duszę Marty przepelnia poczucie szczęścia, niespełna czterysta kilometrów na wschód, w getcie warszawskim chrześcijańscy niemieccy żołnierze z miotaczami ognia palą dom po domu, a żydowskie kobiety z dziećmi w ramionach skaczą z okien i roztrzaskują się na bruku. Jeszcze dalej na wschód, ale przecież nie aż tak daleko, bo na Wołyniu, inni chrześcijanie, tyle że prawosławni, ogarnięci nienawiścią zarzynają swoich sąsiadów – Polaków, też chrześcijan.

Co myślałaby Marta, gdyby wiedziała o tym wszystkim? Pewnie przez chwilę by się zadumała, a potem zajęłaby się swoimi sprawami, jak każdy człowiek, któremu wydaje się, że to, co dalekie, choćby było najstraszniejsze, jego nie dotyczy.

87

– Dobrze, że już sobie poszli – wzdycha z ulgą Tila, kiedy Manfred z dziećmi zniknęli za drzwiami. Matka ich odprowadza, więc w domu od razu zrobiło się cicho. Dziewczyna musi przemyśleć to, co się wydarzyło, zarzuca więc na plecy sweter, wdziewa pantofle i usłyszawszy, że Marta wraca, wychodzi z drugiej strony na podwórze, a potem na ulicę. Najchętniej poszłaby do Bettiny, bo mieszka najdalej, ale koleżanki nie ma we wsi od pół roku. Zgłosiła się do służby i dotąd nie napisała do żadnej z dziewcząt, a rodzice, choć mają wiadomości od córki, niczego nie tłumaczą. Mówią tylko, że jest zdrowa i wszystko u niej w porządku. Do Rosiny nie ma po co iść, bo Otto przyjechał na urlop i narzeczeni spędzają czas ze sobą. W końcu Matyllda postanawia pójść do Ulrichów. Na pewno któraś z kuzynek będzie w domu.

Świąteczny obiad wypadł dobrze, gdyby wziąć pod uwagę jakość i ilość potraw, gorzej z atmosferą. Wszyscy, łącznie z Martą i Manfredem, byli spięci i zachowywali się nienaturalnie. Rozmowa się nie kleiła, toteż jedli, dokładali sobie i znowu jedli, jakby chcieli usprawiedliwić pełnymi ustami niemożność konwersacji. Uprzejmie podawali półmiski, prosili i dziękowali, tylko Christian patrzył na to wszystko zdziwiony, bo zupełnie nie wiedział, o co chodzi. Dopiero kiedy Marta i Manfred powiedzieli o swoich planach, właśnie młody Neumann zapytał, co będzie dalej. Nie dzieci Richtera ani Tila, tylko Christian miał odwagę zajrzeć w nową dla obu rodzin rzeczywistość. Usłyszeli, że po ślubie Manfred z córkami zamieszka u Marty, a Klaus na razie zostanie w rodzinnym domu. Kiedy wróci z wojny Andreas, bracia zdecydują, który czym się zajmie. Tila słuchała tego wszystkiego ze wzrokiem wbitym w obgryzioną kość spoczywającą smętnie na talerzu, Ida i Luiza także nie najlepiej to odbierały, a Klausowi było wszystko jedno, bo nieustannie wpatrywał się w swą przyszlą siostrę. Odkąd Matyllda zauważyła wlepione w siebie wielkie oczy za grubymi okrągłymi szklami okularów, czuła się jak mysz obserwowana przez kota.

Idzie teraz do Ulrichów i tak intensywnie myśli, że nie zauważa Kerstin Heckman wspartej na poduszce i mija ją bez słowa ze spuszczoną głową. Jest już na placu, kiedy dogania ją Christian.

– Tila, czemu mi nie powiedziałaś, że idziesz do cioci Hedwigi? – dyszy, zmęczony szybkim biegiem.

– Skąd miałam wiedzieć, gdzie jesteś – odburkuje chłopcu.

– Byłam w oborze. Wiesz, że jaskółki przyleciały?!

– No i co z tego?

– Nie cieszysz się?

– Z czego? Co roku przylatują – wzrusza ramionami Matyllda.

– Ale ja nigdy tego nie widziałem. – Chłopiec spuszcza głowę i nagle robi się smutny, jednak trwa to tylko moment, bo z bramy Ulrichów wybiegają im na powitanie Paul i Gustav. Paul ma już czternaście lat, a Gustav dziesięć. Od czasu przyjazdu do Altreben Christian spędza z nimi każdą wolną chwilę. Najlepiej rozumie się z Paulem, który przypomina mu starszego brata, tyle że Ulrich potrafi o wiele więcej niż Arnold. Nie chodzi tu o szkolną wiedzę, bo w tej dziedzinie trudno byłoby zaimponować Arnoldowi, ale o inne niezwykle ciekawe rzeczy, na przykład Paul umie wspinać się na drzewa i zrzucać wronie gniazda. Jak mało kto zna tajniki wędkarstwa, bo nie tylko wie, jak zrobić wędkę, przyczepić do niej żyłkę i spławik oraz fachowo zawiązać haczyk, ale i jak znaleźć rosówki i potem umocować je jako przynętę, wreszcie orientuje się, gdzie najlepiej biorą okonie, a nawet potrafi rozłożyć rower na części, a potem złożyć go z powrotem. Och! Paul Ulrich naprawdę imponuje Christianowi. Dlatego na widok takiego autorytetu uśmiech wraca na bladą twarz młodego Neumanna. Chłopcy

nawet nie zachodzą na podwórze, tylko w trójkę gdzieś pędzą, a Tila idzie do domu przywitać się z resztą rodziny. Niestety, zastaje tylko ciotkę, bo dziewczęta też udały się w odwiedziny do krewnych, których we wsi jest bez liku.

– Wejdz – zachęca Hedwiga, zobaczywszy, że Tila zamierza wracać do domu. – Posiedzimy, porozmawiamy. Przecież dawno u nas nie byłaś.

Matylda nie bardzo wie, o czym miałyby rozprawić z ciotką, ale posłusznie siada przy kuchennym stole, a Hedwiga stawia przed nią talerz z ciastem.

– Gdzie jest wujek? – pyta dziewczyna, udając zainteresowanie.

– Położył się. Plecy go wciąż bołą. Stary już jest, nie dla niego ciężka robota w polu, ale nie da sobie wytłumaczyć. O Emila nie pytasz?

– No właśnie, ciociu. Co z nim? Pisał?

– Píše, jak oni wszyscy, ledwo co. Tylko domyślić się można, że wolałby tam nie być. Może dostanie urlop, ale ze Wschodu tydzień będzie do domu jechał. Tila, ty pewnie masz ciekawsze wiadomości – ciotka zmienia temat. – Mów, jak się udał świąteczny obiad.

– Normalnie. Było to, co zawsze na Wielkanoc. – Dziewczyna udaje, że nie wie, o co chodzi.

– Przecież nie pytam, co jedliście! O narzeczonych pytam!

Matylda krzywi się, jakby cytrynę połknęła, ale mówi: – Ślub ma być w sierpniu po żniwach, jak się pastor zgodzi.

– I co ty na to? Coś mi się zdaje, że nie bardzo się cieszysz?

– A co ja mam do gadania? Mnie nikt o zgodę nie pyta.

– Tila, ja wiem, że tobie się może nie podobać, że ktoś inny zajmie miejsce ojca, ale mamie samej jest bardzo ciężko. Powinnaś ją zrozumieć. Trudno jednemu człowiekowi poradzić sobie z całym gospodarstwem.

– Mama nie jest sama. Ja jej pomagam – oburza się Matylda.

– Wiem, że ma z ciebie pociechę, ale w gospodarstwie potrzebny jest mężczyzna.

– Stefan by wystarczył.

– Oj, Tila. Widzę, że trudny z tobą orzech do zgryzienia. – Ciotka patrzy z troską na pochyloną głowę dziewczyny. – Matka prędzej czy później wysłaby za męża. Nie wiesz, na kogo by trafiła, a pan Richter to porządny człowiek. Będzie dobrym ojcem dla ciebie.

Matyldę jakby ktoś igłą dźgnął, aż się z krzesła uniosła.

– Nigdy nie będzie moim ojcem! Niech matka sobie tego nawet nie wyobraża!

– Usiądź i posłuchaj! – Hedwiga gniewa się nie na żarty. – Nie spodziewałam się tego po tobie. Nie wiedziałam, że jesteś aż tak samolubna. Mama wszystko robi dla ciebie, jesteś dla niej najważniejsza. Po nalocie na Berlin, kiedy nie miała od ciebie wiadomości, od zmysłów odchodziła. Jakbyś jej teraz

powiedziała, że ma Richtera zostawić, to na pewno by to zrobiła! Gdyby chodziło o kogoś takiego jak Krüger, tobym zrozumiała, ale Manfred to taki dobry człowiek. Czego od niego chcesz? Chyba tylko to ci przeszkadza, że już nie tylko ciebie mama będzie kochać. Tak, moja panno. Jesteś o nią zazdrosna. Tyle ci powiem.

Tila, która od początku rozmowy o matce i jej narzeczonym siedziała z gniewną i zaciętą twarzą, słuchając ciotczyńnych wyrzutów, robiła się coraz bardziej czerwona. Kiedy Hedwiga skończyła, wybuchnęła głośnym płaczem, zerwała się z miejsca i wybiegła bez pożegnania.

Idąc do domu, stara się ukryć zapłakaną twarz, pewnie dlatego znowu nie zauważa świdrującego spojrzenia rudego kota i jego właścicielki. Mija właśnie gospodarstwo Alberta Karcha, kiedy słyszy zbliżający się warkot motoru. Schodzi na pobocze, nawet się nie obejrzawszy. Pojazd mija ją tak blisko, że pęd powietrza porusza spódnicę i włosy na czole, a zapach spalin wdziera się w nozdrza. Dopiero wtedy podnosi wzrok i spogląda na oddalający się motocykl. Poznaje go. Na siodełku, które ona zajmowała kilka miesięcy temu, siedzi teraz Irena z Elisental.

Już zapadł zmierzch, a Marta dopiero zabiera się za zmywanie po świątecznym obiedzie. Tila najpierw zniknęła, a kiedy wróciła, od razu poszła na górę i do tej pory nosa stamtąd nie wystawiła. Stefanowi dała wolne, na pewno więc poszedł do swojej Kaśki, a i Franka gdzieś się zapodziała, toteż zupełnie sama musiała się uporać z obrządkiem. Jest naprawdę zmęczona. Wcześniej udział w dłuższym niż zwykle nabożeństwie, a potem stanie przy piecu i pilnowanie, żeby wszystko, co poda, było smaczne, a teraz jeszcze stos talerzy i garnków do umycia. To Tila powinna pozmywać, ale woli się dąsać w swoim pokoju, niż zachowywać jak na dobrą córkę przystało. „Narobiła mi wstydu – myśli Marta, myjąc energicznie talerze i rozchlapując wodę bardziej niż zazwyczaj. – Przyszli goście, a ona nie odezwała się przy stole ani słowem, jakby wielkie nieszczęście ją spotkało. Wszystkim zwarzyła humor. Musiałam udawać, że tego nie widzę, bo gdybym zwróciła jej uwagę przy gościach, byłaby awantura. Potem sobie poszła i zostawiła mnie samą z tym wszystkim. Pójdę zaraz na górę i powiem, co myślę. Niech sobie nie wyobraża, że będzie mną rządzić”. Z umytych talerzy i garnków na ceratę rozłożoną na stole ścieka woda. Marta wylewa pomyje do świńskiego wiadra, napełnia miskę czystą, ciepłą wodą i zabiera się za płukanie statków^[49]. Co chwila, po wyjęciu z wody kilku z nich, prostuje plecy i łapie się za bolący krzyż. „Czy ja na pewno nadaję się do zamążpójścia? Tu i tam mnie boli, a wczoraj rano wyrwałam sobie dwa siwe włosy. Mam nadzieję, że Manfred nie zdążył zauważyć. Co prawda on cały jest siwy, ale mężczyźnie nikt tego nie wypomni”. Znowu się prostuje, tym razem chyba nie z powodu bolących pleców. Na wspomnienie Richtera twarz jej łagodnieje, a na usta wraca uśmiech, którego pani Heckman na pewno nie nazwałaby skromnym. Marta stoi rozmarzona, ale

wkrótce znowu marszczy brwi i wraca do płukania garnków. Skończywszy to zajęcie, zabiera się do wycierania i wkładania wszystkiego na swoje miejsce. Mimo że myśli o Tili, nie trzaska już talerzami. „Co ja mam z nią zrobić, jak przekonać? – zastanawia się zatroskana. – Nie rozumiem jej uporu. Przecież będzie nam lżej. Więcej rąk do pracy. Odetchnie sobie. Niechby Janka już wróciła, ona zawsze rozumiała Tilę, może by mi podpowiedziała, jak mam trafić do własnego dziecka” – myśli wciąż, kiedy sprząta kuchnię i wyciera mokrą podłogę. Na koniec rozgląda się, czy coś jeszcze zostało do zrobienia. Jest porządek. Można iść spać. Trochę za wcześnie, ale czuje się taka zmęczona, że nie będzie czekać, aż wróci Franka. Zanim skieruje kroki do sypialni, zagląda do Christiana. On też już śpi. Wchodzi ciężkim, zmęczonym krokiem na górę. U Tili pali się światło. Owładnięta nagłym impulsem naciska kławkę. Dziewczyna leży przebrana do snu, ale nie śpi. Spogląda na matkę spod czerwonych spuchniętych powiek, potem demonstracyjnie odwraca się do ściany. Mimo to Marta zostaje. Siada na brzegu łóżka i długo milczy.

– Córuchno, wiesz, jak ciężko być samemu? – odzywa się przejmująco smutnym głosem. – Rano wstajesz i nie masz do kogo ust otworzyć. Modlisz się przed śniadaniem i tylko swój głos słyszysz w pustej kuchni. Cały dzień harujesz jak wół i jesteś tylko z własnymi myślami. Do domu wracasz jak najpóźniej, bo nikt na ciebie nie czeka. – Tila słyszy w głosie matki łzy, ale dalej patrzy w ścianę. – Tak ze mną było, kiedy wyjechałaś, i tak będzie, jak wyjdiesz za mąż i ułożysz sobie z kimś życie. Jesteś już dorosła, niedługo spotkasz kogoś, kogo pokochasz, i będziesz chciała z nim być. Na pewno o tym marzysz, a nie o samotności.

Marta chce się podnieść, przygnębiona brakiem reakcji ze strony Matyldy, wtedy ona nagle się obraca w stronę matki i kładzie głowę na jej kolanach, a ramionami opasuje biodra.

– Opowiedz o tatusiu – prosi.

– Ale co?

– Nie wiem. Cokolwiek.

– Cudownie wyglądał w mundurze. Kiedy zobaczyłam go pierwszy raz, serce zaczęło mi bić jak szalone. Potem odezwał się do mnie i zaskoczyło mnie, jak pięknie mówi. Używał słów, których nie znali wiejscy chłopcy. Miał ładne dłonie. Zawsze patrzyłam na nie z podziwem. Były białe i delikatne.

– Wiem. Tatuś miał takie długie palce.

– Tak, kochanie. Właśnie takie były. Kiedy tylko się pobraliśmy, a on dostał pracę w ratuszu, powiedział, że teraz jestem żoną urzędnika i mam się odpowiednio ubierać i dbać o siebie, żebym nigdy się nie zestarzała i aby on mógł być zawsze dumny, że ma taką ładną żonę. – Marta śmieje się do wspomnień, a jej ręka wędruje ku włosom córki i zaczyna je delikatnie gładzić. – Pewnego razu dla żartu

ubrałam się jak wtedy nasze kobiety we wsi w długą czarną spódnicę, czarną bluzkę i taki fartuch do pasa wiązany z tyłu. Jak mnie zobaczył, rozgniewał się i powiedział, że mam to natychmiast zdjąć i nie chce mnie więcej w tym stroju widzieć. Tak wzięłam sobie do serca jego oczekiwania, że do dziś zawsze w sobotę moczę ręce w serwatce, żeby były choć trochę bielsze, myję włosy w deszczówce, a płuczę je w wywarze z ziół, czasem, kiedy idziesz już spać, kładę sobie na twarz maseczkę z utartego jabłka zmieszanego z twarogiem. Mam wyrzuty sumienia, że to próżność, ale kiedy spojrzę na moje rówieśniczki, wiem, że to ma sens, bo na pewno wyglądam od nich młodziej.

– Tatuś ci dobrze radził, mamó. To naprawdę działa. Powiedz coś jeszcze, proszę.

– Tatuś wprowadził nowoczesność do naszego domu. Zaczął od wychodka. – Marta znowu się śmieje. – Kazał wykopać szambo i postawić porządną ubikację na murowanym fundamencie. Potem, kiedy już wszędzie był prąd, pociągnął wodę. Do dzisiaj w większości domów we wsi są pompy albo studnie, a ja dzięki tacie mam kran z wodą i zlew w kuchni. Zarzekał się jeszcze, że zrobi łazienkę taką jak u babci Sabiny, ale potem już mu się chyba nie chciało, a ja nie naciskałam, bo byłam przyzwyczajona do mycia za parawanem i kąpieli w wannie w kuchni co sobota.

– Co tatuś mówił, kiedy się urodziłam? Żałował, że nie jestem chłopcem?

– Nie! Skąd!? Uwielbiał cię. Zwykle mężczyźni nie zajmują się dziećmi, bo nie wypada, ale on zawsze, kiedy miał czas, brał cię na kolana i bawił się z tobą. Pamiętasz, jak chodziłaś z nim nad rzekę albo na sanki?

– Pewnie, że tak. Miałam dobrego ojca, prawda?

– Najlepszego na świecie, kochanie. Nikt go nie zastąpi.

Na schodach słychać szybkie kroki. To Franka wraca ze spotkania ze swoimi.

– Mamó...

– Tak, kochanie?

– Przepraszam cię. Nie chcę, żebyś była sama. Na pewno polubię pana Richtera.

Jeszcze przez kilka dni prześladował Tilę warkot silnika motocyklowego. Przeważnie słyszała go podczas pracy w ogrodzie, raz czy dwa Holzer przemknął koło niej z impetem, kiedy jechała rowerem, ale nie przystanął na chwilę, nie zagadnął, nawet nie skinął głową. Matyldzie było strasznie przykro, nie tylko przez Irenę, którą zobaczyła w świąteczny dzień na siodełku za Karlem, ale przede wszystkim z powodu jego ostentacyjnej obojętności. Tyle czasu spędzili ze sobą na rozmowach, zwierzała mu się ze swoich marzeń, on też opowiadał o planach na przyszłość. Wydawało się jej, że ma przyjaciela, z którym doskonale się rozumie. Nie mogła pojąć zachowania chłopaka. „Czyżbym tak bardzo go dotknęła? – zastanawiała się rozgoryczona. – Nie mam prawa zdecydować o czymś tak ważnym w życiu jak miłość? Poprosiłam go, żeby zaczekał. Mógł to zrobić, choćby z przyjaźni. Nie chce, to nie. Widocznie wcale go nie znałam” – stwierdziła. Trudno powiedzieć, czy zrobiło jej się od tego lżej, ale kiedy Holzer w końcu wyjechał na Wschód, poczuła ulgę.

Wkrótce zupełnie inna sprawa zajęła jej umysł. Wujek Gustav dostał wiadomość, że prawdopodobnie w ciągu dwóch tygodni ciocia Janka wróci do domu. Wyjaśnił, że ciocia choruje i zostanie zwolniona ze względu na zły stan zdrowia. Naiwne dziewczę uwierzyło, bo skąd miało wiedzieć, że gdyby z tego powodu zwalniano więźniów obozów koncentracyjnych, to jednego dnia wszyscy nieszczęśnicy wróciliby do domu, a w barakach zostaliby tylko ich oprawcy. Nie było tak, że nikt nie wiedział, co się dzieje w Ravensbrück albo w innych podobnych miejscach, ale na ogół nie rozmawiano o tym, a jeśli nawet ktoś próbował coś powiedzieć, to go uciszano albo mówiono, że to nie może być prawda. Martę, Tilę, Gustava, a nawet Christiana, który pamiętał Jankę jak przez mgłę, opanowało radosne podniecenie. Nie zauważyli nawet, jak minęła pora kwitnienia bzów, a przecież wtedy Altreben jest najpiękniejsze.

Do licznych obowiązków Marty i Tili doszedł jeszcze jeden. Po Wielkanocy Christian poszedł do szkoły. Do tej samej, do której kiedyś chodziła Marta, a potem Tila. Teraz obie pilnują, żeby miał zawsze czyste ubranie, drugie śniadanie, odrobione lekcje i umyte uszy. Chłopak wcale nie jest zachwycony, bo wolałby spędzać czas, pomagając w polu Stefanowi albo chodząc na ryby z Manfredem, ale jakoś to przeboleje. Okazuje się, że nie jest jedynym przybyszem. Do krewnych we wsi przyjechało kilkoro innych dzieci. Przebywają u rodzin z matkami albo same. Wcześniej mieszkały w Berlinie, Hamburgu, Hanowerze albo innym z bombardowanych przez Anglików miast. W nowej sali gimnastycznej w Unruhstadt pojawiły się dwie klasy chłopców z Berlina. Są tam pod opieką nauczycieli, uczą się i trenują w bezpiecznym miejscu.

W końcu maja, kiedy zaczęły kwitnąć akacje, do Gustava przyszła Łucja

Krüger i przekazała upragnioną wiadomość. Ma czekać na żonę w Fürstenbergu^[50] w czwartek trzeciego czerwca. Już w poniedziałek zaczęły się intensywne przygotowania do powrotu Janki. Gustav z pomocą Tili sprzątnął mieszkanie i całe obejście tak dokładnie, że wszystko dosłownie lśniło, a w ogrodzie, jak na zawołanie, rozwijały się pąki piwonii posadzonych kiedyś przez ciotkę. Wracając od Gogola, Matylda wstąpiła do Gabrielów po żytni zakwas, bo Marta chciała upiec dla kuzynki prawdziwy wiejski chleb, potem zaszła do Faustmanna dowiedzieć się, czy są dla nich jakieś listy, a jeszcze później zajrzała do starej szkoły, bo umówiła się z Christianem, który miał dziś dyżur przy hodowli jedwabników, że pokaże jej te dziwne larwy, które produkują surowiec na spadochrony.

Załatwiwszy wszystkie sprawy, wyjeżdżała właśnie z placu na ulicę, ale jeszcze nie zdążyła dobrze rozpedzić roweru, kiedy usłyszała głos pani Heckman.

– Tila! Zaczekaj! Chciałam porozmawiać.

„O rety! Nie zauważyłam jej. Pewnie znowu będzie miała pretensje, że się nie przywitałam” – myśli i zatrzymuje się bez entuzjazmu.

Spojrzenie wyblakłych niebieskich oczu zdaje się przenikać na wylot i wystawiać dziewczynie niepochlebną opinię, jednak usta uśmiechają się. – Powiedz, co tam u was. Dawno nie widziałam mamy. Pewnie nie ma czasu wychodzić na wieś, bo szykuje się do wesela.

– Nie, ślub dopiero w sierpniu. Mama jest wciąż zajęta w ogrodzie – wyjaśnia szybko Tila i próbuje wsiąść na rower.

– Czekaj. Nie spiesz się tak – powstrzymuje ją Kerstin. – Widziałam, że ostatnio nie masz humoru – mówi, patrząc badawczo na Matyldę. – Pewnie przez matkę. Ja ci się nie dziwię, że się za nią wstydzisz... – zawiesza głos, czekając na reakcję dziewczyny.

– Nie rozumiem, o czym pani mówi. Przepraszam, ale ja naprawdę muszę już wracać do domu – niecierpliwi się Tila.

– Wiem, wiem, nie wypada ci mówić, ale każdy widzi, że matka na złą drogę zesłała...

– Pani Heckman, o co pani chodzi?

– No przecież mówię, że o twoją matkę. Wstyd mi o tym mówić, ale przecież wszyscy wiedzą, że matka twojego ojca doprowadziła do śmierci. Młode dziewczyny mężów nie mają, a ta by zaraz chciała drugiego. Nie da rady inaczej, to przez łóżko. I to w tym wieku! Stój! – woła, widząc, że Tila czerwona z gniewu odwraca się od niej plecami. – Mówię ci, stój! Nie musisz się martwić. Napisałam skargę do Reichsbund Deutscher Familie^[51]. Nie można dopuścić do tego ślubu. Tyle dziewcząt czeka na męża. Moja młodsza córka ma trzydzieści lat. Nadałaby się dla Richtera. Nie martw się! – woła za odjeżdżającą Matyldą. – Zrobię z tym porządek.

Pedałuje, ile ma sił w nogach, żeby jak najprędzej zostawić daleko za sobą to przebrzydłe babsko. Wzburzona wbiega do domu. Na korytarzu natyka się na Manfreda i Martę.

– Tila! – matka śmieje się do niej zarumieniona, szczęśliwa. Oczy jej błyszczą, a włosy są w lekkim nieładzie. – Po co tak pędziłaś? Cała jesteś spocona. Napij się kompotu z truskawek. Stoi w kuchni. Zaraz przyjdę do ciebie, tylko odprowadzę pana Richtera.

Kiedy oboje wychodzą przez gościnny ganek, Matylda obserwuje ich z okna pokoju. Idą do furtki tak blisko siebie, że dotykają się ramionami i biodrami. Zatrzymują się przy płocie. Matka podnosi głowę, patrzą sobie w oczy, z ich gestów, spojrzenia, dotyku promienieje szczęście. Robi jej się wstyd, że tak ich podgląda, więc cofa się i idzie do kuchni. Nie widzi, jak Marta rozgląda się, czy aby ktoś nie patrzy, i obejmuje Richtera, a on pochyla się i całuje ją w usta na pożegnanie.

– I co? Załatwiłaś wszystko? – pyta córkę, wróciwszy do domu.

– Tak. Tu jest zakwas od piekarza – mówi Tila do matki, unikając jej wzroku. – Byłam jeszcze w szkole, pomogłam Christianowi nakarmić jedwabniki. Narwaliśmy liści morwy z drzew, które rosną wokół boiska, a potem rzuciliśmy je tym robakom. Wiesz, jakie są obrzydliwe? Nie rozumiem, jak on może przy nich pracować – mówi byle co, żeby pokryć zmieszanie.

– Nie widziałam ich nigdy. A swoją drogą nie przypuszczałam, że Christian tak się wciągnie w sprawy naszej szkoły. I do pimpfów przystał! Kto by pomyślał, że będzie tak dobrze się u nas czuł. Muszę napisać do cioci Ewy. Ucieszy się.

Tymczasem chłopak, zamiast wrócić do domu po skończonym dyżurze, zaszedł do Ulrichów. Paul i Gustav wyjeżdżali akurat rowerami po pokrzywy. Nie pytając nikogo, wyprowadzili spod szopy jednoślad Emila i we trzech pojechali w okolice Schwentese. Najpierw w wilgotnych zaroślach poszukali pokrzyw. Paul naciął ich sierpem, a Gustav pomógł ładować do jutowych worków. Christian nie dotykał parzących roślin, bo nie miał rękawic i ubrany był w koszulę z krótkimi rękawami. Kiedy dodatek do jutrzejszego świńskiego śniadania był gotów, porzucili rowery i worki i pobiegli do lasu rosnącego na cienistym zboczu nad jeziorem. Ulrichowie pokazali Christianowi miejsce, gdzie znaleziono Franza Klenke, a potem weszli wyżej, gdzie stoi stara sosna, pod którą zginął zastrzelony stryj chłopca, Walter. Obejrząwszy te wywołujące ciarki na plecach tajemnicze miejsca, nieco zmęczeni położyli się w cieniu.

Kończy się długi czerwcowy dzień. Niedługo słońce skryje się za drzewami, ale jeszcze przez kilka minut będzie rzucać złoty blask na morze bieli ciągnące się od Schwentese przez Reckenwalde, Gross Schmöllen, Langmeil, Züllichau aż po Grünberg. Wszędzie, gdzie okiem sięgnąć, z drzew starych i młodych, które wyrosły u ich stóp, zwieszają się długie, ciężkie grona akacjowego kwiecia.

Chłopcy leżą na trawie, patrzą w górę na akacjowe niebo, wdychają zapach ciężki i miodny. Gdyby byli romantykami, pomyśleliby, że tak musi być w rajcu – białokremowo-pachnąco, ale są tylko wiejskimi wyrostkami, myślą więc, że burczy im w brzuchu, a do kolacji daleko. Dlatego Paul wstaje i wyciąga rękę po kwieciste grono, a potem wkłada je do ust i pociąga za ogonek. Żuje kwiaty ze smakiem, aż mruży oczy z rozkoszy. Potem Gustav robi to samo. Tylko Christian patrzy na nich zdumiony, że można tak jeść kwiaty, w dodatku z małymi czarnymi chrząszczykami w środku.

– Masz. – Gustav podaje mu okazałe grono. – Nie otrujesz się.

Christian się waha, ale jest ciekawy. Najpierw zrywa jeden kwiatek, potem drugi. – Smaczne! – woła zaskoczony odkryciem i jak Ulrichowie napycha usta akacjowym przysmakiem.

W drodze powrotnej, prowadząc rowery z przełożonymi przez kierownice pękatymi worami, mijają pole truskawek należące do któregoś z licznych we wsi Kurmutzów. Gustav patrzy tęsknie na wielkie czerwone owoce wychylające się spod liści. – Zerwiemy parę? – pyta starszego brata. Ten przystałby pewnie na propozycję, ale nie wie, czy Christian się nie wygada. – Nawet o tym nie myśl – przestrzega. – Dopiero by nam ojciec zerznął pasem tyłki!

Zaczyna się robić ciemno, kiedy wreszcie Christian dociera do domu. Ciocia Marta jest w letniej kuchni. Stoi przy piecu, podśpiewuje pod nosem i smaży placki. Zamiast nakrzyczeć na Christiana, że tak długo wracał ze szkoły, stawia przed nim i Stefanem talerz z posypanymi cukrem placuszkami i zatopionymi w nich kwiatami akacji.

89

– To już jutro – szepcze do siebie Marta, stojąc na schodkach gościnnego ganku. – Jutro wraca Janka. Nareszcie – wzdycha z ulgą. Rzuca spojrzenie na dwa wysokie drzewa rosnące blisko ulicy, ale po jej stronie płotu. Posadził je ojciec, Martin Swade, gdy był chłopcem. Kiedy wraca z Unruhstadt, tam, gdzie kończy się jesionowa aleja, a zaczynają bzy, zawsze spogląda przed siebie. Wie, że w miejscu, gdzie widać pochylone nad szosą akacje, jest jej dom.

– Tila! Chodź, będziemy piekły chleb! – woła do córki pracującej w ogrodzie.

Godzinę później pochylają się nad drewnianą dzieżą używaną w rodzinie od tak dawna, że Marta nie wie, czy to babcia Anna pierwsza mieszała w niej ciasto na chleb, czy też któraś z jej poprzedniczek. Jest pociemniała ze starości i tak gładka, jakby całe pokolenia kobiet, ugniatając ciasto, jednocześnie polerowały jej powierzchnię. Zanim do pachnącego kwaskowato, pełnego bąbelków zaczynu wsypały żytniej i pszennej mąki oraz soli i dolały letniej wody, żeby uzyskać odpowiednią gęstość, musiały siebie przygotować do tak uświęconych czynności,

jakimi są robienie ciasta na chleb i jego pieczenie. Najpierw umyły twarze i długo szorowały dłonie noszące ślady pracy w gospodarstwie, potem zawiązały chustki na głowach i włożyły czyste fartuchy. Pracują w piwnicy, bo tam, dokładnie pod kuchnią, znajduje się duży chlebowy piec. Marta i Tila, stojąc po obu stronach stołu, na którym jest dzieża, energicznie mieszają gęstą masę, która oblepiła im prawie całe przedramiona. Kiedy matka uznaje, że ciasto jest dostatecznie wyrobione, zeszkrobują resztki z rąk, a potem przykrywają białym prześcieradłem i zostawiają w spokoju, żeby rosło. Obok pieca czeka starannie ułożone suche liściaste drewno. Starsza z kobiet otwiera metalowe drzwi i zagląda w czarną czeluść, potem wkłada polana, najpierw brzozone, żeby było łatwo rozpalić, później doda dębiny, aby temperatura w środku osiągnęła odpowiedni poziom. Po chwili buchają płomienie – piec zaczyna się grzać. Teraz przez dwie – trzy godziny trzeba kontrolować rosnące ciasto i pilnować ognia. Na razie idą do innych zajęć, ale Marta co rusz zagląda do piwnicy i przegarnia żar, żeby piec nagrzewał się równomiernie. Wreszcie się doczekała. Masa w dzieży wygląda jak napuchnięta. Woła więc córkę i razem nabierają porcje, a następnie przekładają je na drewniany stół obficie posypany mąką. Toczą w tej mące ciasto, męczą je, rozciągają i składają, aż w końcu wychodzi zgrabny bochen, który wkładają do koszyka uplecionego ze słomy i odstawiają do ponownego wyrośnięcia, po czym nabierają następną porcję i powtarzają czynności. Kiedy wszystkie dziesięć koszyków jest wypełnionych i ustawionych równo na półce, będącej częścią jednego z boków pieca, Marta ostrożnie, żeby się nie poparzyć, otwiera metalowe drzwiczki i kolejny raz specjalnym ożogiem przegarnia rozświetlone czerwonym blaskiem resztki drewna. A chleby rosną. Gdy osiągną właściwą objętość, gospodyni wygarnia większość żaru, zostawiając tylko jego niewielką część z tyłu paleniska, a potem wymiata popiół i przeciera miejsce pod chleby wilgotną ścierką. Kiedy wszystko jest gotowe, obsypuje mąką długą drewnianą łopatę i po kolei wrzuca na nią zawartość koszyków, smaruje bochny ciepłą wodą, szybko wsuwa do pieca i na koniec zamyka drzwiczki. Czekając, aż chleb się upiecze, matka z córką sprzątaję pomieszczenie.

Mija niewiele czasu, a wszędzie zaczyna się rozchodzić intensywny zapach. Nie ma takiego miejsca, gdzie by nie trafił, wnika w każdy kąt i niepodzielnie panuje pod dachem domu pani Neumann. Potem wylewa się przez otwarte okno i miesza z duszną wonią kwitnących akacji, wypływa na ulicę i zmusza każdego, kto jedzie wozem bądź rowerem albo po prostu przechodzi, do obrócenia głowy i zastanowienia, skąd się tu wziął, a później do przymknięcia oczu i nabrania w płuca tego mocnego, prastarego zapachu pieczonego chleba.

Christian wyczuł go już koło Petrasów, a może tylko mu się zdawało, bo wiedział, że dzisiaj jest ten wyjątkowy dzień. Biegł całą drogę, a i tak nie zdążył na czas. Był dyżurnym i musiał zostać po lekcjach, żeby dopilnować porządku

w klasie, wytrzeć tablicę, wypłukać ścierkę i zmienić wodę w misce na czystą.

– Dlaczego nie poczekałaś? – pyta Tilę rozżalony, ale już nie interesuje go odpowiedź, bo wabi go ta woń, wypełnia nozdrza i kusi. – Gdzie jest chleb? Mogę kawałek?

– Nie – odpowiada dziewczyna bez serca. – Mama dopiero go wyjęła. Musi ostygnąć.

– Dlaczego? Ja mogę jeść ciepły! Nawet gorący!

– Nic z tego. Wytrzymasz. Ja też nigdy nie mogłam jeść takiego chleba. Umyj ręce i siadaj do stołu, naleję ci zupy.

Kiedy się posilił, cichcem przemknął do piwnicy. Przez niewielkie okienko wpada tam smuga światła, odprysk jasnego słonecznego dnia. W pomieszczeniu z pobielonymi ścianami i tak samo białym piecem buchającym teraz gorącym na ceglanej podłodze stoi stół, a na nim, wsparte krawędzią o wysokie drewniane listwy, stygną ciepłe, gdzieniegdzie lekko pęknięte okrągłe bochny. Chciał tylko rzucić na nie okiem, ale cóż może poradzić słaby chłopiec, kiedy one tak wabią rozkoszną wonią, zapraszają rumianą, popękaną skórką, wodzą na pokuszenie bezbronne palce, aż wyciągają się po ten zakazany owoc. Najpierw tylko odłupują niepotrzebnie odstającą skórkę i zaraz na języku rozplywa się kwaskowaty, słonawy, trochę słodki, doskonały, niepowtarzalny smak ciepłego chleba. Przepadł biedny Christian! Już zapomniał, że tylko ta skóreczka, a potem jeszcze jedna. Dłubie szybko i niecierpliwie w jednym z bochnów, powiększając małe pęknięcie do rozmiarów sporej wyrwy z obszarpanymi brzegami.

– Co ty tu robisz? – słyszy za plecami rozgniewany głos ciotki. Odwraca się gwałtownie i odsłania dziurawy dowód winy. Marta najpierw milczy, jakby się zapowietrzyła ze złości, a potem otwiera usta. Chłopiec kuli się w oczekiwaniu na grad wyrzutów.

– Mamo! Mamo! Chodź tu. Szybko! – woła Tila z korytarza. – Pani Kliem widziała ciocię Jankę! Przyjechali pociągiem!

Marta nagle obojętnie na szkodę uczynioną przez Christiana. Odwraca się i biegnie prędko po schodach na górę. – Jak to? Mieli przyjechać dopiero jutro.

– Nie wiem, mamo. Pani Kliem ich widziała, jak szli ze stacji. Nawet przywitała się z ciocią.

– Musimy tam iść. Dam tylko świniom i się przebiorę. Christian! Chodź tu zaraz. – Kiedy zjawia się skruszony winowajca, Marta mu oznajmia: – Za karę zostaniesz w domu. Jak nakarmisz króliki, siadasz do lekcji. Dzisiaj nie jesz kolacji – kończy kategorycznym tonem.

Matylda pierwsza wpada do domku Gogolów. Gwałtownie otwiera drzwi małej kuchni. Gustav siedzi przy stole. Ciotki nie widać, za to na krzeselku stojącym w kącie przy ciepłym piecu kuli się jakaś nieznana chuda staruszka. Dziewczyna omiata ją wzrokiem i grzecznie wita, ale zaraz zwraca się do Gustava.

– Wujku, gdzie ciocia? Pani Kliem mówiła, że ją przywiozłeś.

Gustav patrzy smutno w oczy dziewczyny, ale nic nie mówi.

– Tila, dziecko kochane. Nie poznajesz mnie? – dobiega ją głos z kąta przy piecu.

90

„Wróciła ta kryminalistka” – gadają we wsi. Nie wszyscy. Niektórzy mówią: „Janka wróciła”. Jeszcze inni nie wypowiadają się na ten temat, bo nie wiadomo, czy to bezpieczne. Bohaterkę tych rozmów mało kto widział, bo żona Gustava prawie nie wychodzi z domu. Pojawiła się kilka razy na podwórku i w ogródku. Przyjrzała się kwitnącym piwoniom, ale nie pochyliła się nad nimi ani nie powąchała pachnącego groszku pnącego się w górę po płocie. W ogóle nie zachowuje się jak Janka. Gogol stara się tego nie widzieć, jest troskliwy i serdeczny, próbuje rozmawiać, ciągnie za język, bo myśli, że jego żona niepotrzebnie dusi w sobie jakiś ból. Na próżno, bo ona odpowiada zdawkowo, zbywa go, czasem tylko się uśmiecha wyrozumiale, jakby myślała sobie: „I tak tego nie zrozumiesz”.

Marta też martwi się o kuzynkę. Ledwie ją poznała, kiedy weszła do Gogolów z jeszcze ciepłym chlebem w koszyku. Wstrząsnął nią nie tylko wygląd przyjaciółki, jeszcze bardziej poruszyło zachowanie Janki. Kiedy objęła chudą, kruchą postać, nie wyczuła odpowiedzi. Ciało kuzynki wydawało się zupełnie bierne. Tylko w spojrzeniach kierowanych na Tilę dojrzała ślady dawnej czułości. Gdy Marta położyła chleb na stole, prawie nie odrywała od niego wzroku, wręcz nie mogła się na niczym skupić, jakby tylko ten pachnący bochen dla niej istniał. Wierciła się niespokojnie, wreszcie wstała i podeszła do stołu.

– Mogę ukroić kawałek? – spytała jak łakome dziecko.

– Jest jeszcze ciepły. Zaszkodzi ci – tłumaczyła Marta.

– Mogę?

– Krój. Upiekłam go dla ciebie. Nie musisz pytać.

Janka wzięła nóż do jednej ręki, a chleb do drugiej. Chciała mocno przycisnąć bochen do piersi, ale nagle skrzywiła się z bólu i przesunęła go nieco. Nożem trzymanym w prawej dłoni zrobiła znak krzyża na spodzie chleba, a potem powoli, z namaszczeniem odkroiła grubą kromkę.

– Chcecie? – rzuciła w przestrzeń. Nie usłyszawszy odpowiedzi, wzięła skibę i wróciła do swego kąta przy piecu. Ugryzła chleb ze dwa razy, ale chyba nie była głodna, bo schowała resztę do kieszeni.

Nie odzywała się wiele. Pytała o znajomych ze wsi, potem o Waltera, ale słuchała nieuważnie, a jej wzrok wciąż biegł do leżącego na stole bochenka.

Marta z Tilą wracały do domu w milczeniu. Obie czuły się zawiedzione, bo inaczej wyobrażały sobie powitanie Janki. Miało być radośnie, a nie było.

Okazało się, że nie wystarczy wrócić do domu, żeby być szczęśliwym.

Potem wpadały do Gogolów codziennie. Za każdym razem z nadzieją, że coś się zmieniło, ale tylko twarz Gustava stawała się coraz bardziej zatroskana.

– Wszędzie chowa chleb, do kieszeni, pod poduszkę, nawet w szafie pod bielizną znalazłem kawałek. Płacze przez sen, coś mamrocze. Nie poznaję mojej Janki. Marto, co ja mam robić? – zapytał pewnego razu, gdy odprowadzał ją do furtki.

W ciepłe czerwcowe przedpołudnie państwo Gogolowie po raz pierwszy od ponad trzech lat idą razem do kościoła w Unruhstadt na niedzielną mszę świętą. Z trudem namówił Gustav żonę, żeby ruszyła się z domu. W końcu się udało. Wyszli wcześniej, mogą więc iść wolno, spacerkiem. Dopiero w pobliżu miasteczka spotykają chwalimskich luteran wracających ze swego nabożeństwa. Niektórzy widzą Jankę po trzyletniej przerwie i nie mogą uwierzyć, jak bardzo się zmieniła. Większość podchodzi, żeby się przywitać, i pyta o zdrowie. Inni udają, że nie zauważyli jej obecności, albo otwarcie dają do zrozumienia, że nie będą się zadawać z kimś, kto prawdopodobnie zdradził ich ukochanego Führera. Kobieta zdaje się nie zważać na nieprzyjazne spojrzenia, uśmiecha się samymi ustami do życzliwych osób, czasem coś odpowiada, ale widać, że chciałaby już iść, żeby zostawić całe to zamieszanie za sobą. Wreszcie ruszają dalej.

Mszę odprawia młody, trzydziestokilkuletni ksiądz Johann Scherer. Janka jest jakaś niespokojna, jakby modlitwa jej nie interesowała. Kapłan wszedł na surową, murowaną z cegieł ambonę i coś mówi do wiernych, ale ona zdaje się go wcale nie słyszeć. Rozgląda się po kościele, patrzy na figury świętych i posąg Matki Bożej z Dzieciątkiem, dotyka dłonią medalika włożonego jej na szyję przez Gustava zaraz pierwszego dnia po powrocie, wreszcie zatrzymuje wzrok na krucyfiksie znajdującym się w głównym ołtarzu. Patrzy w napięciu na krzyż, nie spuszcza z niego wzroku i nie klęka, mimo że wszyscy wokół padli na kolana.

Gdyby Zbawiciel zajrzał teraz w jej oczy, zobaczyłby, że Janka Gogol z domu Kaczmarek bardzo chce Go o coś zapytać.

91

W letniej kuchni pani Neumann trwa zaprawianie kompotów. Na polu leżącym blisko domu rośnie duży zagon truskawek. Pierwsze były na sprzedaż. Dopiero kiedy owocowanie zaczęło dobiegać końca, Marta zdecydowała, że reszta będzie dla rodziny. Ostatnie truskawki zwykle są drobniejsze, za to mają wyborny smak. Przedwczoraj spory kosz zawiozła do Gogolów, a pojutrze, bo truskawki zazwyczaj zrywa się co drugi dzień, swój przydział dostanie Hedwiga. Na sam koniec z malutkich i najśłodszych owoców usmaży konfitury.

Dziś nie może liczyć na pomoc córki, bo Matylda, jak każdego wojennego roku, włączyła się w wielką akcję zbierania ziół. W sytuacji, kiedy szpitale są pełne

ranych i brakuje leków, trzeba uzupełnić ich niedobór, korzystając ze starych sposobów radzenia sobie z chorobami. Od wiosny, jak tylko pojawia się mniszek, do jesieni, gdy zbierane są owoce czarnego bzu, zastępy wiejskich dziewcząt i chłopców zrzeszone w Hitlerjugend wyruszają na pokrzywę, kwiat lipy, krwawnik, kocankę, dziurawiec, rumianek, skrzyp i... można tak wymieniać bez końca. Kiedyś razem z Janką uczyły Tilę, kiedy i co zrywać, jak suszyć i w jakich warunkach przechowywać. Teraz dziewczyna jest w organizacji specjalistką, która przekazuje swą wiedzę młodszym. Chociaż nie musi, zawsze wyrusza z którąś z grup i tak jak dzieci, z pełnym poświęceniem dla ojczyzny, parzy pokrzywami bosc łydki, rani ręce w zaroślach, daje się pociąć komarom i ryzykuje, wspinając się na drzewa.

Marta stoi przy stole, na którym w emaliowanej miednicy piętrzy się stos opłukanych truskawek. Pozbawia je szypulek i wrzuca do ustawionych w rzędzie słoików. Nie jest to zajęcie wymagające skupienia, więc myśli gospodyni mogą błądzić swobodnie. „Jak dobrze, że Tila przywiozła Christiana. Szkoda, że Arnold pojechał gdzie indziej – żałuje starszego z braci Neumannów. – Na pewno nie jest mu tam tak dobrze jak Christianowi u nas. Matylda doskonale się nim opiekuje, jakby była jego prawdziwą siostrą”. Marta parska śmiechem, bo przypomniawsza sobie, jak podczas grabienia siana chłopiec znalazł małą żabkę i wrzucił ją Tili za koszulę. Potem goniła za nim, żeby mu natrzeć uszu, ale zmykał tak szybko, że nie miała szans.

Gospodyni zalewa owoce syropem z wody i cukru, wyciera krawędzie słoików najpierw moką, a potem suchą ściereczką, dopasowuje wygotowane wcześniej gumki, następnie dobiera szklane pokrywki i zespala całość metalową sprężyną. Tak przygotowane kompoty wkłada do kotła, w którym jest woda, i przesuwa go na gorące fajerki. Zanim zawartość się zagotuje, zrobi następną partię.

Przez okno letniej kuchni ma widok na *swoją* lipę, tę, która zagląda do jej sypialni. „Może już za tydzień zakwitnie?” – cieszy się. Później myśli przeskakują na zbliżający się ślub. – Dwudziestego drugiego sierpnia zostanę panią Richter. Pani Richter – mówi nieśmiało. – Pani Richter – powtarza głośniej.

– Dzień dobry, pani Richter – słyszy nagle. Zawstydzona obraca się ku drzwiom otwartym na podwórze. – Manfred? Dawno tu jesteś?

– Tylko chwilę – odpowiada mężczyzna z szelmowskim uśmiechem. Opiera się o futrynę z rękami skrzyżowanymi na piersi.

Marta ma wrażenie, że miękną jej kolana od patrzenia w zielone oczy narzeczonego. Uśmiecha się do niego lekko speszona. – Ja tylko chciałam sprawdzić, jak to brzmi.

– I co?

– Podoba mi się – odpowiada śmiało i rzuca mu przeciągłe spojrzenie, ale

zaraz ucieka wzrokiem, jakby spłoszona własną odwagą.

– Gdzie Stefan?

– Na odrobku u Radachów.

– Może poszlibyśmy do domu na chwilę?

– Nie, Manfred. Mam rozpoczętą robotę i muszę pilnować słoików, bo jeszcze popękają, jak zaczną się mocno gotować. – Marta podchodzi do swojego mężczyzny, obejmuje go w pasie i kładzie mu głowę na piersiach. – Przyjdź wieczorem. Pójdziemy na spacer.

– Dobrze, pani Richter. Będę, jak się ściemni. – Całuje ją w czoło i odchodzi.

Chwilę później na podwórku zjawia się Tila, zmęczona, zakurzona i spocona, ale uśmiechnięta.

– Mamo, zebraliśmy dzisiaj najwięcej rumianku! – oznajmia. – Aha, pani Kisch pytała, czemu nie byłaś wczoraj na zebraniu Ligi Kobiet.

– Zupełnie mi to z głowy wyleciało! Bardzo się gniewała?

– Nie, ale kazała ci przekazać, że panie z Ligi włączają się w akcję wekowania kompotów dla szpitali wojskowych.

– No proszę. Myślałam, że zrobię więcej zapraw, bo niedługo będziemy dużą rodziną – wzdycha Marta z rezygnacją. – Trudno, rannym żołnierzom nie będę żałować. Pomożesz mi z tymi truskawkami? – zwraca się do córki.

– Zaraz, mamo, tylko się trochę umyję.

W kuchni nie ma ciepłej wody, bo dzisiaj ogień nie był tu rozpalany, dziewczyna nalewa więc do miski zimnej z kranu, zrzuca brudne ubranie i myje się, chlapiąc dookoła. Potem biegnie na górę po czystą sukienkę. Jeszcze chce poprawić włosy, ale słyszy z dworu głos matki:

– Emil! To naprawdę ty?!

„Co? Czy ja dobrze słyszałam? – myśli. – Emil przyjechał?” I już zbiega po schodach i wypada na ganek. Stoi do niej tyłem i rozmawia z Martą. – Emil! – krzyczy.

Chłopak się odwraca, a ona zaskoczona nie może pojąć, że aż tak mógł się zmienić przez ten rok, kiedy go nie widziała. Rudawe włosy zbrązowiały, a piwne oczy nabrały głębi. Zawsze był tylko kuzynem, towarzyszem dziecięcych zabaw, wyrostkiem w krótkich spodniach z wiecznie podrapanymi nogami. Teraz widzi przed sobą dorosłego mężczyznę w szarozielonym mundurze i w ułamku sekundy dostrzega zachwyt w jego oczach. Zakłopotana podnosi rękę do potarganych włosów, a on już ku niej pędzi, chwyta w mocne ramiona, aż stopy tracą grunt, i śmiejąc się, kręci nią w powietrzu. Marta przygląda się temu powitaniu z pobłażliwym uśmiechem. Chyba wie, co się święci, i wcale nie zamierza przeszkadzać.

– Tila, zajmij się gościem. Ja muszę pilnować kociołka ze słoikami – mówi i znika w letniej kuchni.

Matylda prowadzi Emila do domu. Zawstydzona bałaganem, który zostawiła po sobie w kuchni, szybko wylewa wodę z miski do zlewu i wyciera podłogę.

– Siadaj – wskazuje krzesło, które przed chwilą przetarła suchą ścierką. – Chcesz coś do picia? Mamy kompot z porzeczek i zsiadłe mleko.

– Niczego mi nie dawaj. Ciotka mnie nakarmiła i napiła, myślałem, że nie wstanę od stołu. Usiądź ze mną – prosi. – Opowiedz, co się z tobą działo przez cały rok.

Tila przysiada naprzeciwko i zdaje relację ze swego, jak uważa, nudnego, monotonnego życia. Raz po raz zerka na kuzyna i wtedy jej twarz oblewa rumieniec. – Teraz ty – zwraca się do Emila, kiedy uznaje, że już nic nie ma do powiedzenia.

– Dostałem trzy tygodnie urlopu, ale z tego pięć dni jechałem do domu. I tak miałem szczęście, bo udało mi się zabrać ciężarówką. Gdybym liczył tylko na pociąg, trwałoby to dłużej.

– Kiedy wracasz?

– Myślę, że mogę tu pobycć dziesięć dni.

– Tak krótko? – Dziewczyna jest zawiedziona. – Co będziesz robił?

– Odpoczywał. Pomagał ciotce i wujkowi. Kąpał się w rzece. Wszystko, o czym marzyłem, będąc daleko stąd. – Emil nagle smutnieje. – Co u Karla? – pyta na pozór obojętnie.

– Nie wiem. Od dawna nie pisujemy do siebie. Był na urlopie w Wielkanoc, ale nie spotkaliśmy się – odpowiada szczerze Tila. – Myślę, że kogoś ma – dodaje.

Twarz Emila od razu się rozjaśnia. – A Rosina? Dalej jesteście przyjaciółkami?

– Tak. To się chyba nigdy nie zmieni, ale nie mamy dla siebie zbyt wiele czasu. Ja pracuję z mamą w gospodarstwie, a ona zaczęła pomagać w przedszkolu. Jest coraz więcej dzieci, bo przyjeżdżają krewni z bombardowanych miast i zostają na dłużej. Czekają, aż się uspokoi. Wiesz coś o tym? Słyszałeś, kiedy ta wojna wreszcie się skończy?

– Tego nikt nie wie. Po Stalingradzie coś się psuje. Jakoś nie możemy ruszyć do przodu. Wydaje mi się, że dowództwo przygotowuje się do większego natarcia, bo przybywa coraz więcej ciężkiego sprzętu. Wielu z nas puszczono na krótko do domów, ale wszyscy mamy ten sam termin powrotu.

Siedzą przez chwilę zamyśleni, wreszcie Emil podnosi się z miejsca. – Pójdę już – mówi – na pewno masz dużo pracy, a ja ci przeszkadzam.

– Nieprawda! Cieszę się, że przyszedłeś. – Tila chciałaby go jeszcze zatrzymać, ale wie, że chłopak ma trochę racji, bo czeka na nią sporo zajęć. – Jakbyś miał czas dziś wieczorem, zajrzyj do nas. Mama na pewno się ucieszy, bo nie miała kiedy z tobą porozmawiać.

– Przyjdę. Do zobaczenia! – woła i lekko, jakby miał skrzydła u ramion,

zbiega ze schodków ganku.

Czerwcowy wieczór nadciąga powoli. Matylda patrzy na słońce zniecierpliwiona jego lenistwem. Powinno zejść szybciej, a nie tak się guzdrać. Ona się postarała i w mig uwinęła się z robotą. Potem zdążyła umyć głowę i włosy wypłukać w rumianku, wyszorować czarne od kurzu stopy i wyprasować sukienkę. Teraz czeka, aż czerwona kula schowa się za wzgórze. Ma wrażenie, że matka tak samo jak ona złości się na wolno upływający czas. Widzi, że Marta też ma wilgotne włosy. Nie zaplotła ich po myciu, bo chce, by szybciej wyschły. Zdjęła fartuch, włożyła czystą sukienkę i usiadła przy oknie z robótką. Ciemne falujące pasma spadają jej na twarz, więc raz po raz odgarnia je niecierpliwie. Unosi wtedy głowę i uśmiecha się do córki. „Przyjdzie pan Richter” – domyśla się Tila.

Nareszcie nastał wieczór, a potem krótka czerwcową noc. Marta wzięła pod rękę Manfreda i zniknęła z nim w ciemnościach. Stefan już po kolacji gdzieś przepadł. Nawet Franka, choć śmiertelnie zmęczona pracą i wyzwiskami pani Holzer, poszła do innej, równie samotnej polskiej robotnicy. Tylko Christian śpi zmęczony, a jego brudne nogi wystają spod czystej pościeli, bo dziś wyjątkowo żadna z opiekunek nie miała czasu sprawdzić, czy się umył.

Matylda i Emil siedzą na schodkach gościnnego ganku i rozmawiają półgłosem. Tak wiele wspomnień ich łączy, wspólnych znajomych i krewnych, że nocy nie starczy, żeby nagadać się do syta. A kiedy czasem zapadnie cisza, to wcale nie przeszkadza, bo dobrze im tak siedzieć, patrzeć na cienki rogalik księżycy, słuchać słowika śpiewającego w zaroślach, wtórujących mu świerszczy i wdychać woń jaśminów i lip.

Wszyscy czują magię tej ostatniej czerwcowej nocy. Kto tylko mógł, wyszedł z domu i zanurzył się w ciepłym pachnącym powietrzu i dźwiękach słodkich, upojnych, budzących dziwną tęsknotę w duszy, skłaniających do szukania bliskości drugiego człowieka, leżenia na trawie, szeptu, pocałunków, namiętnego dotyku.

W maleńkim domku na końcu wsi śpiąca w pościeli kobieta nagle szeroko otwiera oczy. „Gdzie ja jestem? – myśli ogarnięta paniką. – Czy teraz to sen, czy to, co przed chwilą nim było? Czy to naprawdę mój dom? A może obudzę się za chwilę i znowu tam będę?” Siada gwałtownie i łapie otwartymi ustami powietrze.

– Janka – szepcze Gustav. – Co ci? Źle się czujesz? – Siada obok niej i obejmuje mocno jedyną ręką. – Uspokój się. Jestem tutaj. – Tuli ją i kołysze jak dziecko. – Ciii... już dobrze. To tylko sen. Jestem z tobą.

92

Minęły cztery lata, odkąd Tila, chcąc zrobić wrażenie na Karlu, założyła strój kąpielowy cioci Ewy. Przypadek sprawił, że nigdy jej w nim nie zobaczył.

Wówczas dziewczyna nie była zadowolona ze swego wyglądu. Dziś, kiedy stoi przed tym samym lustrem, może skrytykować jedynie nierówną opaleniznę, bo kostium leży, jakby był specjalnie uszyty na jej figurę. Jest pewna, że mogłaby się w nim pokazać nie tylko na chwalimskim kąpielisku, ale nawet na plaży w Unruhstadt, gdzie nie brakuje miejscowych elegantek. W dużo lepszym nastroju niż kiedyś zdejmuje granatowo-biały trykot i odrzuca go na łóżko.

Jeszcze raz, jakby od niechcienia, zerka w kierunku lustra. Ciekawość nie pozwala jej ubrać się od razu. Stoi zupełnie naga. Zaintrygowana przygląda się swemu odbiciu. Tknięta jakąś myślą wyjmuje z włosów spinki podtrzymujące warkocz. Ten ruch powoduje, że pełne piersi wędrują do góry wraz z uniesionymi ramionami. Tila rozplata warkocz i rozpuszcza długie włosy. Znowu spojrzenie w lustro. Ręką dotyka twarzy, a potem przesuwają ją po smukłej szyi i dekolcie. Zafascynowana własnym ciałem obejmuje dłońmi piersi. Dziwi ją gładka i delikatna skóra i dreszcz podniecenia mający swe źródło w podbrzuszu. Jedną ręką wędruje właśnie tam, gdzie schowana za kępą ciemnozłotych włosów śpi tajemnica. Chciałaby sięgnąć dalej, by obudzić to coś, co ma dość trwania w letargu i tęskni za dotykiem, ale nagle pojmuje grzeszność tej sytuacji i cofa dłoń gwałtownie. Zarumieniona ze wstydu, a może z podniecenia, odwraca się od lustra i szybko się ubiera. Potem zaplata warkocz i wychodzi z sypialni.

W domu nie ma nikogo. Matka pojechała załatwić jakieś sprawy w Unruhstadt, a Christian wziął worek i udał się na pole po liście buraków dla świń. Deszcze padają rzadko, dlatego nie starcza tradycyjnych pokrzyw i trzeba uzupełniać ich brak w inny sposób. Za chwilę Tila pójdzie na pastwisko po krowy. Tam też daje się we znaki susza. Trawa wyjedzona przez zwierzęta odrasta bardzo słabo, więc co kilka dni Stefan wybiera się wozem na jedno z pól leżących w okolicach jeziora i kosi lucernę, a potem krowy dostają zielonkę do koryt. Dzięki temu dają dużo mleka, ale to oznacza mniejszą ilość wartościowego siana na zimę.

Tila idzie na pastwisko i myśli o Emilu. Umówili się, że pójdą popływać. Dziewczyna się cieszy, bo od dawna nie ma z kim chodzić nad rzekę. Raz się wybrała, ale na kąpielisku zastała tylko dzieci uradowane z rozpoczęcia wakacji. Dziś nareszcie będzie miała odpowiednie towarzystwo, i to takie, z którym przewrażliwiona matka puści ją bez obaw. Chciałaby, żeby już była ta pora, ale najpierw musi zagonić krowy do obory, dokończyć przygotowanie obiadu, a później pojechać na cmentarz podlać kwiaty, a przy okazji odwiedzić ciocię Jankę i wujka Gustava. To ostatnie trochę psuje jej humor. Tak jak kiedyś uwielbiała towarzystwo ciotki, tak teraz nie wie, jak się zachowywać w jej obecności. Co prawda ciocia Janka pomału zaczyna przypominać siebie sprzed obozu, ale tylko fizycznie. Dzięki temu, że dużo je, wisząca na kościach jeszcze trzy tygodnie temu żółtawa skóra wypełnia się tłuszczem, a na twarz wracają rumieńce. Jednak najbardziej przeszkadza Tili zachowanie cioci. Trudno się z nią

rozmawia, właściwie najczęściej milczy. Zapytana o coś, robi wrażenie człowieka obudzonego ze snu. Wujek mówi, że jej dusza wciąż jest w obozie, i on się boi, że może już nigdy stamtąd nie wrócić.

Kilka godzin później, kiedy Matylda porządkuje grób brata i dziadków, słyszy za plecami czyjeś kroki. Odwraca się i dostrzega Elsie, koleżankę ze szkolnej ławy. Wygląda na bardzo zmęczoną. Widać, że wysoka temperatura nie sprzyja młodej kobiecie w widocznej ciąży. Szeroka sukienka ma mokre plamy pod pachami, a lekko obrzęknięta twarz jest złana potem.

– Dobrze się czujesz? – pyta zatroskana Tila.

– Tak. Nic mi nie jest. – Elsie przystaje i ciężko opiera się o nagrobek. – Wysłałam z domu, bo już nie mogę tam wytrzymać. Ojciec wypomina mi każdy kęs. Dzisiaj przy obiedzie znowu zaczął.

– O to mu chodzi? – pyta Tila niepewnie, wskazując na brzuch koleżanki.

– A o co by innego?

– Przecież Führer zachęca kobiety do rodzenia dzieci. Nawet te, które nie mają ślubu.

– Powiedz to mojemu ojcu. – Elsie wykrzywia usta w pełnym goryczy uśmiechu. – Może by brak ślubu jakoś przełknął, ale przecież Maks zginął, zanim mi ten brzuch zaczął rosnać. Teraz wciąż słyszę, że przyniosłam wstyd rodzinie i urodzę bękarta, a przecież dostałam pismo, że dziecku będą się należały wszystkie świadczenia, tak samo jakby Maks był moim mężem, i w dokumentach nie napiszą, że *ojciec nieznany*, a będzie *ojciec wojenny*.

– Nie wiem, jak ci mogę pomóc – mówi Tila bezradnie.

– Nie pomożesz mi. Muszę znosić to wszystko albo... – Elsie patrzy w kierunku rzeki.

– Nawet o tym nie myśl! – woła przestraszona Matylda. – W razie czego idź do pani Kisch. Ona na pewno coś na to poradzi.

– Dobrze, dobrze. Nie denerwuj się – uspokaja koleżanka. – Tylko czasem tak mnie nachodzi... Słyszałaś, że Bettina przyjechała na urlop? – zmienia temat.

– Bettina? Coś podobnego! Chyba rok jej nie było. Widziałaś się z nią?

– Nie. Podobno przyjechała wczoraj popołudniowym pociągiem. Może razem pójdziemy do niej wieczorem?

– Och! Dzisiaj nie mogę. Może jutro?

Umówiwszy się na następny dzień, dziewczęta się rozstają. Tila wsiada na rower i po chwili skręca w piaszczystą dróżkę wiodącą do domu Gogolów. Gustav z jakimś mężczyzną pracują przy budowie małego budynku gospodarczego, stawianego w miejscu spalonego kilka miesięcy temu. Matylda zamienia parę słów z wujem, a potem siada obok ciotki na ławeczce stojącej przed domem. Janka ma przymknięte oczy. Wygląda, jakby spała, ale oddech na to nie wskazuje.

– Dzień dobry, ciociu – mówi Tila.

Kobieta podnosi powieki i lekko się uśmiecha. – Dobrze cię widzieć, dziecko.

– Jak się dziś ciocia czuje?

– Tak jak wczoraj. Dobrze – odpowiada i milknie.

– Emil przyjechał. Dostał urlop – Matylda podtrzymuje rozmowę.

– I co u niego?

– Właściwie nie wiem. On mnie wypytywał, ale sam wiele nie mówił. Dzisiaj idziemy nad rzekę, to się dowiem. – Dziewczyna oczekuje jakiejś reakcji, ale na próżno. Ciotka utkwiała wzrok w bocianie lecącym od strony łąk i milczy.

– Na cmentarzu spotkałam Elsie. Powiedziała, że Bettina też przyjechała na urlop. – Tila mówi cokolwiek, żeby tylko przerwać nieznośną ciszę. – Jutro pójdziemy ją odwiedzić.

Nagle Janka blednie, zaczyna się trząść, na czole pojawiają się krople potu, oddycha szybko, z trudem łapiąc powietrze otwartymi ustami.

– Wujku! – krzyczy przestraszona dziewczyna. – Coś się dzieje z ciocią! Prędko!

Gustav zeskakuje z drabiny i gna w kierunku ławeczki.

– Co ci jest? – Siada obok żony i obejmuje ją uwalanym wapnem ramieniem.

– Czego się przestraszyłaś? Powiedz – prosi. Jednak Janka nie jest w stanie niczego z siebie wydusić. Jeszcze jakiś czas trzęsie się i dyszy, aż wreszcie, kiedy się trochę uspokaja, Gustav prowadzi ją do domu. Tili, która chce wejść za nim, pokazuje gestem, że ma zostać na zewnątrz.

– O czym z nią rozmawiałaś? – pyta, wróciwszy na podwórko.

– O niczym szczególnym. Powiedziała, że Emil przyjechał, i o Bettinie, która też ma urlop.

– Czegoś się jednak przestraszyła. Pomyśl. Może coś zobaczyła? – podpowiada Gustav.

– Bocian leciał. Patrzyła na niego.

– Nie, to chyba nie to. – Gustav siedzi zgarbiony z wyrazem kompletnej bezradności na twarzy. – Nie umiem jej pomóc – skarży się. – Ona nic nie mówi o obozie. Tam musiało stać się coś takiego... – nie kończy. – Ten Trischke, który pomógł ją uwolnić, mówił, żeby czym prędzej ją zabrać, bo tam jest piekło. Nie wyjaśnił, co to znaczy, i ona nie chce niczego opowiedzieć. Co ja mam robić? – pyta bardziej siebie niż zdeorientowaną dziewczynę.

Kiedy późnym popołudniem wygrzewają się z Emilem na kocu, Tila opowiada kuzynowi o tym, co stało się Jance.

– To było takie dziwne – mówi. – Na podwórku tylko wujek Gustav i ten młody murarz, w górze bocian, gruchają gołębie, a ona... jakby ducha zobaczyła. Nigdy nie widziałam, żeby ktoś tak się bał.

Emil milczy z twarzą ukrytą w miękkiej tkaninie.

– Śpisz? – pyta zaskoczona.

– Nie, skądże. Idziemy popływać? – Podnosi się z koca, bierze Tilę za rękę, pomagając jej wstać, a potem już nie puszcza dłoni dziewczyny. Biegną w stronę rzeki i równocześnie wskazują do wody, opryskując gromadę wyrostków. Ci pewnie zareagowaliby gniewem, ale Emil jest żołnierzem, kimś godnym szacunku, więc udają, że nic się nie stało, i dalej dokazują na brzegu.

Pływają przez kilka minut, a kiedy nogi znajdują grunt, przystają i śmieją się ze swego wyglądu. Strużki wody lecą z mokrych włosów na twarz. Do ramienia Emila przykleił się fragment wodorostu. Tila wyciąga rękę i dotyka zimnej skóry przyjaciela, chwyta palcami zielonkawą łodyżkę i z miną pełną obrzydzenia odrzuca na bok, chłopak zaś nie może oderwać wzroku od kształtnych piersi falujących pod wpływem wody. Zatrzymały się na nich drobne kropelki. Niektóre z nich zamieniają się w cienkie strumyczki, które nikną w intrygującym rowku ozdobionym zalotną kokardką. Emil cieszy się, że Tila widzi tylko górną część jego ciała, mimo to rumieni się i żeby pokryć zakłopotanie, macha ręką i opryskuje dziewczynę. Ta piszczy przeraźliwie, ale rzuca się na chłopaka, żeby się zemścić. Zwierają się w wodzie w tej niby-walce, ale to tylko pretekst, by być jak najbliżej siebie, chwytać za ręce, nogi, ocierać się i dotykać. W końcu Tila się uwalnia i wydostaje na brzeg. – Nie dogonisz mnie! – woła i gna co sił w nogach w stronę lasu. On pędzi za nią. Dopada ją na brzegu łączki i przewraca w trawę. Leżąc, dyszą i pękają ze śmiechu. Na moment spotykają się ich spojrzenia, ale trwa to krótko, bo Matylda, nagle speszona, odwraca wzrok. – Chodźmy stąd, bo mrówki po mnie chodzą – mówi.

Kiedy znów odpoczywają na ciepłym od słońca kocu, Tila pyta: – Jak tam jest?

– Gdzie? – Emil zdaje się nie rozumieć pytania.

– Tam, gdzie byłeś. Na froncie.

Chłopak milczy, ale gdy Matylda myśli, że już nie odpowie, odzywa się: – Przepraszam cię. Nie chcę o tym mówić.

93

Po południu następnego dnia, kiedy Tila pompuje wodę do starej wanny, zjawia się Emil. Dziewczyna prostuje się i wyciera pot z czoła.

– Nie mówiłeś, że przyjdiesz tak wcześnie.

– Przeszkadzam? Mogę wrócić wieczorem.

– Nie. Zostań! Tylko nie wiem, co mama na to. Mam jeszcze dużo pracy – usprawiedliwia się Matylda.

– Pomogę ci. Co mam robić?

– Napelnij wannę. Kiedy woda się zagrzeje, będzie do podlewania w ogrodzie. Pójdę powiedzieć mamie, że jesteś.

Po chwili Marta, która sprzątała piwnicę, wychodzi na ganek.

– Emilu, z nieba mi spadłeś – cieszy się na widok chłopaka. – Mógłbyś zaprząć Lotte i pojechać po zielonkę na pole? Umiesz przecież kosić.

– Oczywiście, ciociu. Stefana nie ma?

– Herman go dzisiaj potrzebował. Jego robotnik spadł z wozu i złamał rękę. Nie mogłam odmówić, kiedy przyszedł prosić o pomoc – tłumaczy Marta.

– To ja już idę po Lotte – mówi Emil i znika w stajni.

Dopiero teraz kobieta dostrzega rozczarowaną minę córki. Z lekkim uśmiechem zwraca się do Tili: – Jak chcesz, też możesz jechać.

– Przecież miałam ci pomóc, mamu – martwi się Tila nieszczercze.

– Dzień jest długi. Jeszcze zdążysz. Jedź.

Siadają obok siebie na ławce wspartej o przeciwległe burty wozu. Drewniane koła obite blachą niemiłosiernie hałasują, obracając się na twardym asfalcie, dlatego prawie nie rozmawiają. Matylda podziwia kwiaty w ogrodach, błękitne niebo bez jednej chmurki i wiśnie dojrzewające w sadach. Gdyby spojrzała w bok, na twarz przyjaciela, dostrzegłaby na niej cień smutku, ale przepelnia ją błogość, która nie pozwala zauważyć niczego, co mogłoby ją zmącić.

– Co z ciocią Janką? Byłaś u niej dzisiaj? – przerywa milczenie chłopak.

– Mama odwiedziła ją rano. Jest jeszcze dziwniejsza niż przedtem. Wcale nie wychodzi z domu. Wujek mówił, że kiedy ją zapytał, czy chciałaby na ławeczkę, to tak się przestraszyła, jak wczoraj przy mnie.

– Na pewno coś sobie przypomniała i teraz nie daje jej to spokoju. – Emil próbuje znaleźć wyjaśnienie.

Przyszła pora, by zjechać na wyboistą drogę wiodącą na pola przy jeziorze. Lotte ciągnie wóz z wysiłkiem, pojazd przechyla się to w jedną, to w drugą stronę, podskakuje, a kiedy koło wpada w dziurę, oni zderzają się ramionami, opadają na twardą ławkę i znów wzlatują w górę. Są już na grzbiecie wzniesienia, kiedy Emil pyta: – Wiesz, że ten wielki kamień, który leży niedaleko drogi, był najpierw w tym miejscu?

– Tak. Byłam jeszcze małym dzieckiem, kiedy go przewieziono. Nie wiem nic więcej, poza tym, że był na drodze koło transformatora.

– Wujek Josef mówił, że znajdował się dokładnie na środku, więc kiedy ktoś jechał, musiał omijać go z jednej albo z drugiej strony. Dlatego droga się rozwidlała przed kamieniem i łączyła za nim. Ludzie próbowali go usunąć, ale tkwił bardzo głęboko. Padające przez lata deszcze sprawiały, że piasek z gliną spływał z wodą w dół, do wsi, a kamień stawał się coraz bardziej widoczny i jeszcze trudniejszy do ominięcia. W końcu chwalimiacy się zdenerwowali. Mężczyźni ze wsi zebrali się z łopatami i tak długo kopali, aż dobrnęli do podstawy głazu. Zaczekali, aż będzie padał deszcz. Kiedy ziemia zrobiła się mokra, a glina śliska, z trudem wpełnęli go na wielkie sanie, a właściwie szerokie i długi płozy

zaprzęgnięte w dwie pary koni. I tak powoli przewieziono kamień w dół do wsi i zostawiono tam, gdzie teraz leży.

– Ciekawa historia. Nie znałam jej.

– To jeszcze nie koniec... – Emil zawiesza tajemniczo głos, ale Tila szturcha go zniecierpliwiona, więc kontynuuje opowieść. – Gdy babka Truda dowiedziała się, że ruszają głaz, strasznie się rozgniewała. Wtedy jeszcze miała głowę w porządku, dlatego wszyscy w domu bardzo się dziwili, co też jej się stało. Otóż babka twierdziła, że kamień ma zostać na swoim miejscu. Zawsze tam był i nie trzeba nic z nim robić. Podobno dawni mieszkańcy wsi opowiedzieli Wendum jakąś legendę. Nikt już jej nie pamięta, ale babka wierzyła, że jeśli kamień zacznie wędrować, to wszyscy chwalimiacy będą musieli zostawić swe domy i też pójść na wędrowkę.

Mimo słońca piekącego w plecy Tila czuje, jak zimny dreszcz przebiega jej ciało. Dobrze, że są już na miejscu i można czymś się zająć, zamiast myśleć o ponurej przepowiedni.

Emil zdjął koszulę, chwycił kosę, zamachnął się i już pierwsza partia lucerny leży skoszona. Dziewczyna zbiera zielonkę i wrzuca ją na wóz. Jeszcze kilka machnięć i wystarczy. Prowadzą konia w cień, a sami biegną nad jezioro, by choć przez chwilę zaznać chłodu. Nad wodą panuje cisza. Siadają na pomoście i zanurzają zakurzone stopy w ciemnej toni. Ulga jest natychmiastowa. Przyjemne zimno orzeźwia całe ciało. Tila widzi, jak opalony tors Emila na moment pokrywa gęsia skórka. Ma ochotę go dotknąć, ale brakuje jej odwagi. Odwraca więc głowę i zatrzymuje wzrok na łodziach tkwiących na nieruchomej tafli.

– Przyjemnie byłoby popływać – marzy.

– Nie mamy czasu – sprowadza ją na ziemię chłopak.

– Może przyjdziemy tu w niedzielę?

– Nie. Jutro wyjeżdżam – mówi, ledwie wydobywając słowa ze ściśniętego gardła.

Tila zrywa się na równe nogi. – Jak to?! Przecież miałeś być dziesięć dni! – krzyczy urażona.

Emil siedzi zasmucony i wpatruje się w wodę. Jego przygnębienie jest tak widoczne, że Matylda rezygnuje z wyrzutów i wraca na miejsce obok kuzyna.

– Dlaczego mi nie powiedziałeś?

– Chciałem, żeby choć przez kilka godzin było tak jak wczoraj – mówi zrezygnowany. – Rano dostarczono mi rozkaz natychmiastowego powrotu. Dotyczy to żołnierzy na urlopie z całej okolicy. Jutro o świcie w Unruhstadt będzie podstawiony specjalny pociąg, którym powiozą nas na Wschód.

– Dlaczego? – pyta dziewczyna bezradnie.

– Nie wiem. Mówiłem ci, że coś się szykuje. Pewnie przyspieszą ofensywę.

– Emil kładzie rękę na dłoni Tili. – Zrozum, to jest rozkaz. W wojsku nie ma

dyskusji. Mnie też jest przykro.

Wracają smutni i milczący. Lotte, niepoganiana przez nikogo, człapie smętnie polną drogą. Niedaleko miejsca, gdzie trakt zaczyna schodzić w dół, rośnie drzewo czereśni. Czerwone owoce wyglądają zza liści i błyszczą w słońcu, zachęcając do skosztowania. Emil nagle się rozpogadza. Ściąga lejce i zatrzymuje wóz.

– Co robisz?

– Urwę ci czereśni – uśmiecha się i, stojąc na wozie, sięga po soczyste kule.

– To nie nasze. Nie wolno! – Matylda wstaje z ławki, próbując go powstrzymać.

– Tylko kilka. Dla ciebie – mówi zadowolony z siebie i odwraca się z pełną garścią owoców tak dojrzałych, że ich czerwień przybrała czarny odcień.

Nagle Lotte szarpie lekko wozem. Oboje tracą stabilny grunt pod nogami i przewracają się na stertę lucerny. Zapominają o smutku i śmieją się z siebie. Emil wspiera się na jednej ręce, a w palcach drugiej trzyma za ogonki dwie połączone czereśnie. Powoli opuszcza je do ust Tili. Ta próbuje złapać owoce, ale one to zbliżają się, to uciekają. Wreszcie rozdrażniona przytrzymuje dłoń i łapczywie chwytając czereśnie zębami. Słodki sok spływa na język, ale część zostaje na wargach, barwiąc je na ciemnoczerwony kolor. Dziewczyna śmieje się zwycięsko, ale milknie, bo dostrzega spojrzenie Emila. Pochylony nad nią wpatruje się jak zahipnotyzowany w kroplę soku na ustach. Potem zagląda jej w oczy i widzi w nich milczące przyzwolenie. Tila nie ucieka wzrokiem, nie wstaje, nie mówi czegoś, co zakłóciłoby tę chwilę. Czeki. Najpierw jest pieszczota, delikatna, jakby ciepły wiaterek spijał słodycz soku z jej warg, potem bardziej śmiała, bo język męczyzny szuka głębiej, zęby uderzają o zęby, dłonie uwolnione ze wstydu same wędrują ku piersiom. Ona obejmuje go ramionami, nie pozwala oderwać się ustom, przywiera do niego całym ciałem, jak gdyby chciała go wchłonąć. Całują się gwałtownie, nie bacząc na to, że rozgniatają owoce rozrzucone na zielonych łodygach lucerny. Dopiero kolejne szarpnięcie Lotte przywraca im przytomność. Klacz, znudzona bezsensownym postojem, sama ruszyła w dół, ku wsi. Zrywają się zawstydzeni i siadają z powrotem na ławeczce. Tym razem tak blisko siebie, że niczego między nich nie dałoby się wcisnąć. Grzecznie pozdrawiają wspartą na parapecie Kerstin Heckman, która ich odprowadza świdrującym spojrzeniem. Zauważa plamy soku na plecach i rękawkach niebieskiej sukienki i ze zgorszeniem kiwa głową.

W domu Matylda mówi matce o niespodziewanym wyjeździe kuzyna. Pyta, czy mogłaby spędzić z nim więcej czasu. Marta kiwa głową ze zrozumieniem. – Christian podleje w ogrodzie i pójdzie po krowy na pastwisko – mówi. – Tila, jak Emil przyjdzie wieczorem, niech do mnie zajrzy. Też chcę się z nim pożegnać.

Jeszcze słońce dobrze nie zaszło, a chłopak zjawia się z powrotem. Zagląda

do letniej kuchni, gdzie Marta sieka liście buraków.

– Emilu, wiesz, że bardzo cię lubię – zaczyna. – Wydaje mi się, że moja córka skradła ci serce. – Uśmiecha się do zarumienionego mężczyzny. – Nie mam nic przeciwko, ale proszę cię, nie zróbcie jakiegoś głupstwa. Jeszcze nie pora.

– Ciociu, przyrzekam, że zachowam się odpowiednio. Nigdy nie skrzywdziłbym Tili.

– Wierzę ci. – Marta znów się uśmiecha. – Wyjeżdżasz jutro? To smutne, że nawet nie dali ci odpocząć. Do zobaczenia, chłopcze. Wracaj zdrów, będziemy na ciebie czekały.

94

Christian Neumann zerwał się o świcie i od razu, bez śniadania, chciał iść do Manfreda. Zdenerwował tym Martę, bo wiedziała, że jest stanowczo za wcześnie, poza tym miała co robić przy obrządki, a wymysły chłopaka zaburzały codzienny rytm jej zajęć.

– Marsz z powrotem do łóżka. – Czarne brwi ciotki zbiegają się w jedną surową kreskę. – Nie widzisz, że słońce jeszcze nie wzeszło! Po co tam pójdziesz? U pana Richtera wszyscy śpią o tej porze.

– Ale pan Manfred kazał przyjść z samego rana. – Christian nie daje za wygraną. – Powiedział, że jak się spóźnię, to nie będzie na mnie czekał.

– Nie mam czasu kłócić się z tobą. Do łóżka albo do roboty! Jak wydoję krowy, możesz je wygonić na pastwisko za torami.

– Dobrze! Ale potem idę prosto do Richterów – negocjuje rozgorączkowany wyrostek.

– A niech ci będzie. – Marta macha ręką z rezygnacją. – Tylko żebyś ich nie budził. Siedz na ławeczce, dopóki ktoś się nie pojawi. Najedz się i zaczekaj, aż podoję.

Zanim ciotka doszła do obory, chłopak wchłonał pajdę chleba ze smalcem i popił zimną zbożową kawą, która została z wczorajszej kolacji. Jest już gotowy. Kręci się po podwórku, zaczepia koty nierozumiejące, dlaczego ten chudy młodzian przeszkadza im w codziennym rytuale wypatrywania gospodyni z wiadrem mleka, liczy jaskółki śmigające tam i z powrotem, kopie kamyki i obserwuje Stefana myjącego się przy pompie. Nareszcie się doczekał. Marta odpięła krowy z łańcuchów przy żłobie, a Stefan założył im na rogi postronek łączący zwierzęta i jego koniec dał Christianowi do ręki.

Niestety, ciotka miała rację. Na podwórku Richterów nie widać żywego ducha. Po co zrywać się skoro świt, jeśli nie odstawia się mleka do mleczeni, a jedyną krowkę można napaść na pobliskiej łączce. Tak jak Marta przykazała, Christian chce usiąść na ławeczce przed domem, ale nie wiadomo skąd pojawia się duży rudy pies i zaczyna szczekać głębokim basem. Wygląda przy tym tak groźnie,

że chłopak nieruchomieje tuż przy furtce. Gdyby nie to, że obudzony hałasem gospodarz ukazał się wreszcie w drzwiach, stałby tak do końca świata.

– Christian! Co tu robisz o tej porze?

– Miałem przyjść rano! – woła, tkwiąc dalej w swoim miejscu.

Manfred ledwie słyszy osaczonego nieszczęśnika, więc rozkazującym tonem krzyczy:

– Oskar! Do budy!

Pies na głos swego pana posłusznie milknie i w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku biegnie w kierunku otworu wyrżniętego w drzwiach małej stodółki. Nie chowa się jednak, ale siada i z uwagą przygląda się przybyszowi.

– Chłopcze, rano to nie znaczy, że od razu jak słońce wszędzie – kręci głową Richter. – No cóż, moja wina. Mogłem powiedzieć, o której godzinie. Zawsze jesteś taki niecierpliwy? – zadaje retoryczne pytanie i obraca się do wejścia. – Chodź, zrobimy sobie śniadanie, a potem przygotowujemy wszystko do miodobrania. Najpierw – obrzuca Christiana krytycznym spojrzeniem – muszę cię odpowiednio ubrać, bo w tej koszulce i krótkich spodenkach długo byś mi nie napomagał.

Tymczasem Marta obudziła Tilę, żeby razem ze Stefanem przygotowała warzywa na sprzedaż. Około siódmej weszła na wóz, a Lotte zachęcona przez swoją panią ruszyła w drogę do Unruhstadt. Z tyłu, między skrzynkami z kapustą, oparty o worek młodych kartofli siedzi Stefan. W miasteczku nie byłoby dobrze widziane, gdyby robotnik powoził albo siedział na ławce obok Niemki, dlatego zawsze, kiedy jadą razem, Polak mości się za plecami gospodyni.

Mimo trzęsienia i turkotania przejażdżka jest całkiem przyjemna. Powietrze jeszcze nie zdążyło się rozgrzać i wciąż ma świeży, rześki zapach. Na drodze panuje spory ruch. Wozami i rowerami dokądś zmierzają ludzie, czasem z tyłu bądź z przeciwka pojawia się ciężarówka przewożąca towary. Lotte nie reaguje na hałas silnika. Nie zdarzyło się jeszcze, by ta ciężka, powolna klacz przestraszyła się czegokolwiek, dlatego Marta, nawet kiedy dostrzeże z daleka jakiś pojazd mechaniczny, nie ściąga lejców i spokojnie czeka, aż maszyna przejedzie.

Unruhstadt wygląda zawsze tak samo. Senna atmosfera prowincjonalnego miasteczka, ratusz, rynek, kamieniczki wokół – nic się z pozoru nie zmienia. Tylko pory roku sprawiają, że można zauważyć upływający czas. Jest jednak coś jeszcze, co powoduje, że ktoś, kto pojawia się tu rzadko, zdaje sobie sprawę z pewnego przeistoczenia. Na ulicach widać coraz mniej młodych mężczyzn, za to znacznie więcej smutnych, zamyślonych kobiet. Niektóre są w żałobie. Trudno byłoby doszukać się na twarzach przechodniów entuzjazmu sprzed kilku lat. Dominuje powaga, bo na Wschodzie w okolicach Kurska trwa właśnie wielka bitwa. Codziennie podawane są komunikaty o sukcesach niemieckich wojsk. Nawet jeśli są prawdziwe, to każdy wie, że zwycięstwo osiąga się tysiącami ofiar. Przez cztery lata wojny nauczyli się tego nawet najzagorzalsi naziści. Bitwa toczy się już dwa

tygodnie, a końca nie widać. Ci, których bliscy są teraz na froncie wschodnim, nieustannie myślą, czy pewnego dnia nie odwiedzi ich smutny urzędnik. Wojennych zgonów jest coraz więcej, dlatego do rzadkości należy informowanie rodziny przez wojsko. Po prostu do ratusza przychodzi plik zawiadomień i wskazany urzędnik odwiedza krewnych ofiar, by powiadomić ich o wielkiej stracie. Bywa, że od śmierci żołnierza mija wiele tygodni, a nawet miesiące, zanim do jego domu dotrze tragiczna wiadomość.

Umysł Marty rejestruje zmianę nastrojów, ale najbardziej uderza ją brak ulubionych zapachów. Gdzie się podziały czekoladowe i korzenne aromaty? Fabryka słodczy – serce miasta – stoi zamknięta na trzy spusty. Po tym jak zmuszono Carla Lichtensteina do jej sprzedaży, przez pewien czas produkowała karmelki i czekoladę. Potem, na skutek problemów z surowcami, nowy właściciel – fanatyczny nazista Fritz Deig przestawił się na wytwarzanie budyniów, ale i to skończyło się niepowodzeniem. W końcu zamknięto fabrykę, która dawała pracę dziesiątkom, a w najlepszym okresie setkom ludzi. Teraz stoi cicha i opuszczona, tylko wysoki komin, z którego nie wydobywa się ani odrobina dymu, przypomina o latach świetności^[52].

„Może jeszcze kiedyś... w lepszych czasach” – myśli Marta, przymykając oczy i próbując przywołać w pamięci zapach wanilii, czekolady, migdałów i prawdziwej kawy. Ogarnia ją tęsknota za tym, co odeszło w przeszłość, co kiedyś wydawało się zwyczajne, codzienne, a teraz wspomniane wywołuje w duszy melancholię.

Rozwożą ze Stefanem warzywa, dostarczając je bezpośrednio sklepikarzom albo indywidualnym klientom. Pani Neumann chciałaby teraz pójść do krawcowej. Sama umie szyć, ale sukienka, którą włoży do ślubu, nawet skromna, wymaga bardzo wprawnej ręki. Zostawia więc wóz i konia pod opieką robotnika i niknie w jednej z uliczek. Kiedy wraca, mówi do Polaka, że teraz kolej na niego. Jeśli chce, może pójść coś sobie kupić. Robotnicy dostają skromne kieszonkowe i bardzo okrojone w porównaniu z Niemcami kartkowe przydziały artykułów przemysłowych i spożywczych. Widząc, że Stefan zmierza do sklepu Josefa Kretschmera, podjeżdża tam wozem i czeka. Sama też czasem robi tu zakupy, choć Kretschmer to katolik. Kiedyś zawsze towarzyszyła Jance, która przywiązywała wielką wagę do przynależności religijnej właścicieli. W sklepie można nabyć dosłownie wszystko: od artykułów metalowych, budowlanych, wędkarskich po spożywcze. Słyszy, że drzwi się otwierają. Spogląda tam, bo myśli, że Stefan wraca, ale okazuje się, że właśnie wychodzi starszy mężczyzna – właściciel sklepu, który odprowadza szacownego klienta – księdza Franza Weckera, proboszcza katolickiej parafii w Karszynie. Chwilę rozmawiają, potem duchowny wsiada na rower i odjeżdża. Tymczasem Stefan kupuje jakieś drobiazgi. Ma dzisiaj szczęście, bo obsługuje go praktykantka – wyjątkowo ładna drobna niebieskooka

blondynka Elisabeth Muhs^[53]. Panna Muhs ma dobre serce, bo rozumie, że przydział półtora papierosa na dzień jest mniej niż skromny, dlatego kiedy sprzedaje papierosy robotnikom, zawsze im dołoży kilka sztuk. Polak uśmiecha się z wdzięcznością do dziewczyny i zadowolony wychodzi ze sklepu. Marta czekająca na wozie przypadkowo chwyta nieprzeznaczony dla niej uśmiech i przychodzi jej do głowy, że robotnik jest całkiem przystojnym mężczyzną.

W czasie, kiedy Marta ze Stefanem załatwiają swoje sprawy w Unruhstadt, a Tila na polu haka buraki, Christian, wyszorowany dokładnie przy studni, bo pszczoły nie znoszą zapachu potu, i przebrany nie do poznania, przygotowuje się psychicznie do wizyty w pasiece Manfreda. Ma na sobie długie spodnie Klausea i koszulę z rękawami szczelnie zapiętymi przy nadgarstkach. Płótno, z którego ją uszyto, jest wyjątkowo grube i gęsto tkane. Na głowie chłopca tkwi kapelusz z szerokim rondem, z którego zwisa siatka osłaniająca twarz i szyję. Każdy element ubioru zabezpieczono, żeby pszczoły nie mogły dostać się do ciała niepokojącego je człowieka.

Jest jeszcze dość wcześnie, toteż lubiący dłużej pospać powiedzieliby, że ranek nie minął, ale dla pszczelarza szykującego się do miodobrania to najbardziej stosowna pora. Kilka dni temu przekwitły lipy, więc w ulach powinno być pełno miodu. Pogoda też jest odpowiednia, dlatego nie ma na co czekać. Manfred wręczył Christianowi dymiący podkurzacz, sam zaś niesie podłużną skrzynię na pszczele ramki, a w niej kilka innych przedmiotów, między innymi długie gęsie pióro. W rozproszonym cieniu drzew owocowych na długim podejściu stoi rząd uli. Zatrzymują się przy pierwszym.

– Podkurzaj – rzuca komendę Richter. – Najpierw trochę do otworu wlotowego... Taak, dobrze. Teraz tutaj. – Pokazuje odkryte z góry wnętrze ula.

Christian jest spięty, chciałby wszystko robić bezbłędnie, ale paraliżuje go strach. Mimo szczelnego ubrania i rękawic na dłoniach ma wrażenie, że brzęczące wokół stworzenia myślą tylko o tym, jak dostać się pod ubranie i wbić mu w skórę ostre żądło. Tak silnie dusi miech podkurzacza, że wonny dym z żarzącego się próchna zasłania pszczelarzowi widok.

– Nie tak mocno! – denerwuje się Manfred. – Zepsujesz miód. Będzie go czuć dymem. Odstaw to. Wystarczy!

Mężczyzna uderza w górną część ramki. – Pszczoły, które siedzą na plastrze, powinny pospadać. – Nie chcę zabierać ich ze sobą – tłumaczy pomocnikowi i jednocześnie wyjmuje ramkę z grubym plastrzem. Większość sześciokątnych komórek jest zasklepiona woskiem, a po powierzchni chodzi kilka dezorientowanych owadów. – Weź gęsie pióro i delikatnie zsuń nim pszczoły do ula. Dobrze – mówi, kiedy Christian wykonuje polecenie, i wkłada pierwszą ramkę do skrzyni, potem przykrywa ją mokrym prześcieradłem.

– Dlaczego pan tak robi? – pyta chłopiec.

– Płótno tłumi zapach miodu. W przeciwnym wypadku za chwilę mielibyśmy pełną skrzynię rozgniewanych pszczoł.

Kiedy ramki z pierwszego ula zostały wybrane, idą do niewielkiego pomieszczenia gospodarczego, gdzie stoi miodarka. Zanim plastry trafią do bębna, Manfred za pomocą przedmiotu podobnego do szerokiego widelca otwiera komórki z miodem, a to, co je zasklepiało, wrzuca do miski. Potem zapełnia ramkami wewnątrz bębna zbudowanego z drewnianych klepek i nakazuje Christianowi, aby ten wprawił go w ruch za pomocą korby. Z małego otworu umieszczonego tuż przy dnie wprost do kamiennego garnka zaczyna płynąć złocisty, gęsty płyn.

Podczas pracy przy następnych ulach obawa o uządlenie maleje. „Minęło tyle czasu, a żadna pszczoła się do mnie nie dobrała” – myśli chłopak z satysfakcją. Jest bardziej uważny, więc Richter chwali go od czasu do czasu i wciąż cierpliwie tłumaczy, dlaczego i co robi. W końcu milknie, bo podejrzewa, że nadmiar specjalistycznych wyjaśnień może nużyć wyrostka. Obserwuje go i widzi, jak się stara. Zastanawia się nad tym, co powiedziały mu córki kilka dni temu. Podobno koledzy z Jungenschaftu śmieją się z Christiana, że jest delikatny jak panienka. Nie chodzi o tężyznę fizyczną, ale o zachowanie. Na przykład zaczepiony nie chce się bić i nie potrafi być bezwzględny i brutalny, a właśnie do takich postaw zachęca się pimpfy podczas gier terenowych. Gdyby nie to, że w pewnym sensie chroni go Paul Ulrich, dokuczano by mu jeszcze bardziej. „Jest taki, bo nie ma ojca. Od małego wychowują go kobiety, babka z matką. Nawet tu, w Chwalimiu, przestaje głównie z Martą i Tilą. Nic dziwnego, że jest miękki i dziecinny” – myśli.

– Christianie, czy mógłbyś pomagać mi częściej?

– Przy pszczołach?

– Nie tylko. Jest wiele zajęć. Klaus chodzi do gospodarzy, bo chce mieć swoje pieniądze, nie mam więc z niego wiele pożytku, a dziewczyny zajmują się domem i ogródkiem. Przydałby mi się ktoś taki jak ty. Oczywiście, jeśli nie będziesz zbyt drogi... – Richter zawiesza głos, czekając na reakcję ukrytego za kapeluszem i siatką młodego pszczelarza.

– No co pan? Przecież ja bym nie wziął żadnych pieniędzy. Naprawdę mógłbym? – nie wierzy w swe szczęście. – Ale czy ja potrafię? – wątpi.

– Potrafisz, a jak nie, to cię nauczę. Nie martw się.

– Ale...

– Co tam znowu?

– Ciocia Marta. Może się gniewać, że jej nie pomagam – zastanawia się Christian.

– Jakoś to załatwimy. Moja w tym głowa – uśmiecha się pod nosem Manfred.

Minęło sporo czasu, zanim obeszli wszystkie ule i odwirowali skradziony pszczołom miód. Po skończonej pracy Richter zabrał do domu miskę pełną

odsklepin i nieregularnych plastrów ociekających pachnącą słodyczą. Do kuchennego stołu zasiadły córki Manfreda: Ida i Luiza, jego syn Klaus i Christian, gorliwy adept pszczelarstwa. Każde chciwie sięga po kruche kawałki wosku, wkłada je do ust, żuje z lubością, mrużąc oczy z rozkoszy, a kiedy nie czują już ani kropli miodu, wypluwają wyssane ze smaku resztki wprost do specjalnie przygotowanego garnuszka. Na odchodne chłopiec dostaje talerz z plastrami miodu szczelnie przykryty mokrym lnianym ręcznikiem. – To twoja zapłata. Poczęstuj wszystkich w domu – mówi Richter.

Christian, przebrany w swoje rzeczy, dumnie niesie należność za pracę i wyobraża sobie, jaką zrobi wszystkim niespodziankę. Kusi go, żeby zajrzeć pod szmatkę i sprawdzić, czy miód się nie przelewa. Przystaje i podnosi mokry ręcznik. Jeszcze niesyty słodkich woni pociąga nosem i ni stąd, ni zowąd pojawia się pszczoła. Macha na nią ręką, ale rozdrażniony owad nie ustępuje. Kolejne machnięcia i nagle czuje piekący ból na nosie. Strzepuje umierającego owada, ale cierpienie nie mija. Z puchnącym, coraz większym nohalem czym prędzej gna do domu, pamiętając wciąż o pełnym talerzu, z którego nie chce uronić ani kropli.

Susza co prawda przyspieszyła dojrzewanie zbóż, ale potem jak na złość zaczęło przepadywać, więc żniwa były *kradzione*. Jeśli coś udało się skosić za ładnej pogody, niemal natychmiast uciekano z tym z pola, bo deszcz przychodził nie wiadomo skąd i moczył zbiory. W tej sytuacji każde ręce do pracy były na wagę złota. Większym gospodarzom pomagały brygady z Arbeitsdienst z Unruhstadt, a u Marty prócz Stefana i Tili na pole szli Manfred z Klausem oraz Gustav z Janką. To, że żona Gogola przełamała się, uznano za wielkie wydarzenie. Mówiła niewiele, ale zakasała rękawy i zabrała się do pracy jak za dawnych czasów. Chyba dobrze jej to zrobiło, bo podczas posiłku na polu śmiała się z żartów razem z innymi, a potem nie spieszyła się do domu. Zaszła najpierw do Marty i zaproponowała, że gdyby była taka potrzeba, może jak kiedyś pomagać w gospodarstwie.

Zaledwie skończyły się żniwa, susza wróciła, mimo to na pola wyszli oracze. Pługi kroili ścierniska i przewracały skiby, a ze wzniesienia docierały do wsi głośno wołane komendy wydawane koniom. – Wio! Prr! Nazad! Brr! Vor! Links! Wišta! Rechts! Zurück! – niosło się w przestrzeń wraz z zapachem świeżo zaoranej ziemi.

Niestety, radość z obfitych plonów psuły wieści dochodzące ze świata. Wielka bitwa pancerna na Wschodzie wciąż trwała, a mętne informacje w radiu nie mogły rozproszyc podejrzeń, że Niemcom nie idzie tak, jak by tego chcieli. Jednak najbardziej przerażające okazały się wiadomości o bombardowaniu Hamburga i śmierci dziesiątków tysięcy cywili pod gruzami albo w burzy ogniowej będącej skutkiem nalotów. Mieszkańcy wsi ze zgrozą słuchali spikerów radiowych opisujących cierpienia niewinnych ludzi i oburzających się na barbarzyństwo Anglików i Amerykanów, którzy nie mieli litości ani dla ludzi, ani dla dzieł sztuki i zabytków. Podkreślali przy tym, że lotnictwo niemieckie bombarduje jedynie obiekty wojskowe i inne strategicznie ważne dla celów wojennych. Nigdy nawet się nie zająknęli o tonach bomb, które od września 1939 roku spadły na polskie, holenderskie i angielskie miasta, obracając w perzynę domy, specjalnie oznakowane szpitale, a także dziedzictwo kulturowe innych narodów, tysiące ludzi straciło zaś życie, a miliony dach nad głową. Większość prostych rolników nie miała o tym pojęcia, a jeśli nawet do kogoś dotarły takie informacje, to z różnych względów szybko o nich zapominali.

Wszystkich, którzy mieli bliskich na froncie, dręczyła obawa o ich życie. Listy przychodziły bardzo rzadko, a żołnierze pewnie nie mieli czasu na ich pisanie. Tila i Rosina codziennie zaglądały do Faustmanna, pytając, czy nie ma dla nich korespondencji. Kiedy tylko dowiadywały się, że u Eichlera wyświetlana jest najnowsza kronika filmowa, szły do Unruhstadt, żeby ją obejrzeć. Każda z osobna

wpatrywała się w napięciu w ekran, bo naiwnie liczyła, że w którejś migawce filmowej z frontu zobaczy swojego ukochanego.

Leniwie, niespiesznie, jakby litując się nad oczekującymi wieści rodzinami, nadchodziły zawiadomienia o śmierci na polu bitwy. Pewnego dnia Marta zbierająca pomidory w ogrodzie usłyszała pełen rozpaczny krzyk. Kiedy podniosła głowę, zobaczyła Marię Petras stojącą na zalanym słońcem podwórzu z białą kartką w ręce. Widziała, jak ze stodoły wybiega Alfred, bierze od żony tę kartkę i zaczyna się słaniać, jakby nagle stracił władzę w nogach. W końcu usiadł tam, gdzie stał, i trwał, osłaniając ramionami głowę, jak gdyby chronił ją przed ciężarem, który na niego spadał z nieba. Scena ta była tak wstrząsająca, że Marta nie mogła dłużej patrzeć, nie dokończyła swojej roboty i poszła do domu. Domyśliła się, że sąsiedzi stracili drugiego syna. Wieczorem Tila dowiedziała się od Rosiny, że Tobias poległ na początku lipca. Wiadomość pochodziła od dowódcy młodego Petrasa, który w prywatnym liście nie tylko zawiadamiał rodziców o śmierci syna, ale opisał też jej okoliczności. Ogień nieprzyjaciela był tak intensywny, że oddział Tobiasa nie był w stanie utrzymać swoich pozycji, dlatego dowódca dał rozkaz wycofania się. Mieli wielu rannych. Niektórych z uwagi na okoliczności musieli zostawić na polu bitwy, jednak Tobias nie chciał porzucić przyjaciela ranionego w obie nogi. Niósł go na plecach, co bardzo spowalniało odwrót. W pewnym momencie tuż przy Tobiasie wybuchł pocisk. Młody żołnierz zginął na miejscu. Nie cierpiał – podkreślał piszący.

Przez cały wieczór Tila i Rosina wspominały obu braci Petrasów. Wszystkie radosne chwile, dziecięce figle i ostatnią wspólną kąpiel w rzece. Płakały i śmiały się na przemian, nie wierząc do końca, że już nigdy nie zobaczą radosnych chłopców. Rosina martwiła się o rodziców, nie wyobrażała sobie, że kiedyś się otrząsną po utracie synów.

Marta nie miała dość odwagi, żeby pójść do sąsiadów z wyrazami współczucia. Nie wiedziała, co mogłaby powiedzieć Marii, jakich słów użyć, by ukoić jej ból. Jednak wydawało jej się, że wypada odwiedzić zrozpaczonych rodziców, dlatego następnego dnia o zmierzchu, kiedy pożegnała się z Manfredem, niepewnie weszła na podwórko Petrasów. Maria siedziała na ławce przed domem.

– Idź stąd – powiedziała, kiedy Marta do niej podeszła.
– Ja tylko chciałam...
– Idź – nakazała kobieta w czerni. – Nie masz tu nic do roboty.
– Ale...
– Nie masz tu nic do roboty z tą swoją szczęśliwą twarzą. Idź – powtórzyła zniecierpliwiona.

Marta, zmieszana nieprzychylnym przyjęciem, odwróciła się i poszła do domu. „Mam szczęśliwą twarz? – zastanawiała się. – Powinnam się czuć winna, że nareszcie wszystko się układa? Nieładnie mnie potraktowała – pomyślała, ale

nagle zatrzymała się na ścieżce. – Ona cierpi, nawet nie umiem sobie wyobrazić jak bardzo, a ja jak głupia gęś obrażam się o byle co. Przyszłam nie w porę. Poczekam, aż ochłonie”.

96

Na równiutko zasłanym łóżku leży sukienka. Marta odebrała ją dzisiaj od krawcowej. Jest uszyta z delikatnego jedwabiu, tak lekkiego, że przymierzając ją, miała wrażenie, że nic na sobie nie ma.

– Musiała naprawdę dużo kosztować. Chociaż... – waha się – może nie? Przecież dzisiaj, jeśli ma się mięso, jaja, ser, warzywa albo miód, można za to dostać, co tylko się chce.

Ostatnio ludziom w miastach żyło się trudniej niż kiedyś. Dotąd, nie licząc zimy 1940 roku, zaopatrzenie było wystarczające. Brakowało niektórych towarów, ale każdy, kto miał odrobinę sprytu i znajomości, radził sobie zupełnie dobrze. Rok 1943 był pierwszym rokiem wojennym, kiedy wyraźnie zaczynało brakować artykułów spożywczych. Wojsko miało we wszystkim pierwszeństwo. Manfred, który w czerwcu jeździł do Berlina, opowiadał, że kwitnie tam czarny rynek. Jego znajomi twierdzili, że prawie każdy ma dodatkowe, nielegalne źródło zaopatrzenia. Najbardziej dochodowa była sprzedaż mięsa z pokątnego uboju. Marta bała się robić takie rzeczy. Starła się uzupełniać niedostateczne ilości wieprzowiny mięsem królików i kurczaków, ale doskonale wiedziała, że wielu gospodarzy mocno ryzykowało, sprzedając po cichu rąbanek^[54]. Przy okazji ich robotnicy byli lepiej traktowani, bo dużo wiedzieli i widzieli, mogliby więc donieść na swych pracodawców w chwili złości.

„Ciekawe, czy Manfred zrobił coś wbrew prawu? Musiał przecież jakoś zapłacić za materiał, który mi podarował. Na pewno nie kupił go w sklepie. Nie chciał niczego wyjaśnić, tylko się uśmiechał. »Masz być piękną panną młodą. Będzie pasować do twoich oczu« – powiedział”.

Marta siedzi na krześle przy oknie i na próżno usiłuje skoncentrować się na czytaniu Biblii. Raz po raz podnosi wzrok znad księgi, patrzy w stronę łóżka i ciężko wzdycha. „Nie wiem, czemu przyjąłam ten prezent. Przecież mogłam ubrać się w którąś z sukienek Ewy. Takie nieszczęścia spadają na ludzi, a ja się stroję na ślub. Żeby to jeszcze pierwszy, ale jestem wdową i Manfred wdowiec, więc raczej nam skromność przystoi. Jaki przykład daję Tili? Co ludzie o mnie powiedzą? Na pewno będą gadać, że jestem próżna i pełna pychy – myśli zakłopotana i na powrót pochyla głowę nad słowami Pisma. Po chwili znowu zerka na miękko układającą się jedwabną tkaninę – popielatą z delikatnym białym wzorem i białymi wykończeniami przy kołnierzyku i rękawach. – Śliczna! Najpiękniejsza ze wszystkich i tylko moja, nie po kimś. Uszyta specjalnie dla mnie – próbuje się usprawiedliwić. – Włożę ją tylko raz, na ślub, a potem dam Tili”.

Ostatnia próba skupienia się nad Biblią i wstaje z krzesła. Zdecydowanym ruchem zgarnia sukienkę z łóżka, wkłada ją na wieszak i chowa do szafy. „Dość myślenia o głupstwach – karci się w myślach. – Czas wracać do zajęć. Jak przyjedzie Lisa, nie będę miała czasu, a tyle jeszcze do zrobienia. Ślub za pięć dni, trzeba wreszcie przygotować pokój dla dziewczynek Manfreda” – postanawia. Na wspomnienie córek przyszłego męża twarz kobiety się rozpogadza. Naprawdę cieszy się, że dom zapełni się ludźmi. Już jest inaczej, odkąd wróciła Tila i zamieszkał tu Christian, ale Marta czuje, że może obdarzyć swą troską i miłością o wiele więcej osób. Nareszcie będzie miała wokół siebie taką rodzinę jak inni ludzie, na przykład Hedwiga. Jej na pewno nigdy nie zagrozi samotność.

Zanim zejdzie na dół, zagląda na strych, żeby sprawdzić, czy wyschło pranie. Wczoraj wieczorem zebrała ze sznura wilgotne pościele i powiesiła pod dachem. Dzisiaj, mimo ładnej pogody, nie wyniosła ich na powrót na dwór. Ściągając pachnące świeżością poszewki, przez otwarte okno poddasza spogląda na ogród i dom Petrasów. Widzi Marię krzątającą się po podwórku. Ogarnia ją smutek na widok przygarbionej kobiety w czerni. Niepotrzebnie poszła do niej. Kontrast między losami ich obu jest zbyt wielki, by jedna drugą mogła zrozumieć.

Na dole natyka się na Frankę.

– Wcześniej wróciłaś!

– Trafiło się ślepej kurze ziarno, pani gospodyni. Normalnie mogłabym sobie pomarzyć o odpoczynku, ale dzisiaj mojej pani nagle strzeliło do głowy, żeby pojechać z dziećmi do matki. Kazała, żebym ich odprowadziła do pociągu, i tyle.

– Tak bez powodu?

– No może nie całkiem. – Franka zniża głos do szeptu. – Hilda powiedziała mi w sekrecie, że rodzice się w nocy kłócili. Podobno pani Holzer znowu będzie miała dziecko i to się bardzo nie spodobało jej mężowi.

– Mógł pomyśleć o tym wcześniej, zamiast teraz robić wymówki.

– Jak znam panią Holzer, to ona mu nie zawsze pozwala myśleć. Odkąd u niej jestem, wciąż powtarza, że chce mieć małego Adolfa. Do łóżka im nie wchodzę, ale coś mi się zdaje, że pan Holzer nie był pytany o zgodę.

– Franka, przestań plotkować! – Marta czuje, że rozmowa schodzi na niebezpieczne tory. – Nie masz co robić, to pomóż mi naciągnąć pościele.

Zaczyna się ściemniać, kiedy niespodziewanie zjawia się Manfred. Jest w bardzo dobrym humorze.

– Andreas wreszcie napisał – oznajmia od drzwi.

– No popatrz! Chyba cały worek przesyłek przywieźli dzisiaj do Faustmanna, bo Tila dostała list od Emila, a Rosina od Ottona. Teraz pewnie razem czytają je dziesiąty raz z rzędu. Mów, co pisze Andreas. Przyjedzie na ślub?

– Nie. Nie dostanie urlopu.

– Szkoda. Kiedy pomyślę o tych biednych chłopcach na Wschodzie... Matki

dostają listy, a nie wiadomo, czy ci, co je napisali, jeszcze żyją.

– Przestań! Pobieramy się. Powinnaś być szczęśliwą panną młodą – Richter uśmiecha się i przytula Martę.

– Nie sądzisz, że to nieprzyzwoite być radosnym w dzisiejszych czasach? To tak, jakby się chciało prowokować los.

– Marto, nie szukaj dziury w całym, nie dociekaj, czemu to właśnie my zasłużyliśmy na łaskę. Zaufaj Bogu.

Lisa zjawiała się następnego dnia po południu. Przyjechała sama, bo jej mąż Paul i najmłodszy z synów nie dostali wolnego. W zakładach Beuchelta w Grünbergu produkcja szła pełną parą. Mało kto z dwutysięcznej załogi mógł liczyć na urlop, i to tylko w nadzwyczajnych okolicznościach. Nikt nie narzekał, bo zatrudnienie w tak ważnym dla potrzeb wojennych zakładzie^[55] dawało ochronę przed powołaniem do wojska.

Jak to zwykle bywa, kiedy przyjedzie gość, cały wieczór minął na rozmowie. Właściwie był to monolog Lisy, która wylewała przed siostrą wszystkie żale i pretensje do losu. Werner już czwarty rok był na wojnie, a ta z każdym tygodniem wydawała się straszniejsza i mniej pomyślna dla Rzeszy. Johann został lekko ranny i na razie przebywał w lazarecie. I to jedyna dobra wiadomość, którą Lisa mogła się podzielić.

Marta denerwuje się od rana, bo siostra, dla której zostało niewiele do roboty, wciąż jej towarzyszy i przeszkadza w pracy. Nie udało się jej namówić do odwiedzenia teściów w Unruhstadt, z policzeniem sztućców i talerzy uwinęła się w lot i od razu odszukała Martę, by dalej użalać się nad swym losem. Tila z Franką, która jak dotąd ma wolne od dzieci Holzerów, są na polu, Christian u Manfreda, a Stefan na odrobku u Radachów. Wreszcie Marta znajduje zajęcie dla Lisy. Będzie skubać kurczaki przeznaczone na weselny obiad. Pani Neumann wpada do kurnika i jednego po drugim wnosi kogutki. W drewni pozbawia nieszczęsne ptaki głów i opierzone tułowia lądują w wiadrze, wystawiając na zewnątrz sztywne kończyny zakończone pazurami. Reszta pracy należy do Lisy. Unieruchomiwszy siostrę na jakiś czas, Marta z ulgą oddała się do ogrodu. Nareszcie ma ciszę, spokój i może pobyć ze swoimi myślami. „To już za trzy dni zostanę panią Richter. Na wsi gadają. Wiem, że wszystko nakręca Kerstin, ale mam to w nosie. Niech się zajmie swoimi sprawami. – Marta spulchnia ziemię między grządkami, dziabiąc trochę zbyt energicznie. Kiedy prostuje plecy, patrzy na podwórze Petrasów. Nie widać żywego ducha. – Ciekawe, co z Marią? Rosina rano zabiera dziewczynki do przedszkola, Alfred idzie do swoich zajęć, a ona siedzi w domu sama. Nie powinni jej tak zostawiać. Poszłabym do niej, ale może mnie znowu wygonić. Co robić?” – zastanawia się. Spogląda na wzniesienie i zauważa dwie sylwetki.

To Tila i Franka wracają z pola. Idą obok siebie, ale chyba nie rozmawiają.

Mimo że Polka mieszka u nich trzy lata, Matylda wciąż jest dla niej oschła. Jeśli się do niej odzywa, to tylko coś komunikując albo zadając pytanie. Jedyne, co się zmieniło, to stosunek do wspólnych posiłków. Przyzwyczała się do tego, że na ogół jadają razem z Franką i Stefanem. Uznała, że jest to bardziej praktyczne, i przestała napominać matkę. Poza tym zauważyła, że w wielu gospodarstwach jest podobnie. Trudno traktować gorzej robotników, jeśli razem z nimi się pracuje, nierzadko mieszka pod jednym dachem i przez długie miesiące stopniowo poznaje się ich historie. Przestają być anonimowymi narzędziami, a stają się ludźmi, z którymi ma się wspólne sprawy i tajemnice.

– Marto!

Kobieta osłania ręką oczy od słońca świecącego prosto w twarz i patrzy w stronę szosy. Tuż przy płocie, w luce między wysokimi słonecznikami, dostrzega Manfreda. Zostawia motykę i podchodzi do narzeczonego.

– Nie zajdziesz?

– Nie. Spieszę się. Co u ciebie?

– Lisa przyjechała. Mógłbyś się z nią przywitać.

– Przyjdę wieczorem. Muszę jechać, bo Christian został sam z babami – śmieje się mężczyzna i chwyta za rower.

– Zaczekaj! Wiesz, że Kerstin znowu plotkuje? – żali się Marta.

– Nic na to nie poradzisz. Taka już jest. Dziewczynki mówiły, że straszy je złą macochą.

– Co?! Bezczelne babsko! Jak śmie! Zaraz pojedę i powiem tak, że pójdzie jej w pięty!

– Daj spokój – Manfred próbuje powstrzymać Martę, która zdejmuje fartuch i chce iść po rower. – Wiem, jaka jesteś, i wytłumaczyłem im, że to nieprawda, co mówi pani Heckman. One ufają mnie, a nie jej.

– Nie daruję jej!

– Gdybym wiedział, że jesteś taka porywcza, nie przyjąłbym twoich oświadczeń. – Manfred z wesołymi iskierkami w oczach przygląda się zarumienionej z gniewu Marcie.

– Ja ci się oświadczyłam?

– No. Przypomnij sobie.

Kobieta zastanawia się przez chwilę, a potem zaczyna się śmiać. – Tak rzeczywiście było! Tylko nie wydaj mnie przed tą plotkarą, bo do końca życia by mi dokuczała.

– To mogę już spokojnie jechać? Nie narozrabiasz?

– Nie. Wpadnij wieczorem – mówiąc to, przechyla się na drugą stronę płotu i szepcze: – Mam ochotę cię pocałować.

Manfred rozgląda się i choć widzi zbliżającą się na rowerze panią Deutschmann, odpowiada: – Nie ma nikogo – i schowawszy się za szerokim

liściem słonecznika, namiętnie całuje narzeczoną.

Po południu Marta wraca od Heleny Kliem, która piecze ciasta i będzie pomagała w kuchni. Uroczystość zapowiada się skromnie, bo to nie czasy na wystawne wesela, a i państwo młodzi nie tacy najmłodszy. Oprócz nowo poślubionych małżonków do stołu zasiądą tylko ich dzieci: Tila, Klaus, Ida i Luiza oraz siostra Marty Lisa, siostra Manfreda – Ursula Herrys z mężem i najmłodszym synem, Janka, Gustav i Radachowie. W domu nigdzie nie widać Lisy, więc Marta po cichu przemyka się na górę, żeby choć chwilę poświęcić Bogu.

Siada na krześle, wyciąga przed siebie zmęczone nogi i sięga po Biblię. Nieprzypadkowo otwiera Księgę na słowach: *Gdybym mówił językami ludzkimi i anielskimi, a miłości bym nie miał...* Czyta po kilka wersów, potem spogląda w okno, zamyśla się i wraca do lektury. Jeszcze tylko ostatnie zdanie, to najpiękniejsze: *Teraz więc pozostaje wiara, nadzieja, miłość, te trzy; lecz z nich największa jest miłość*^[56]. Przez uchylone okno dochodzi ją dźwięk dzwonu wzywającego strażaków. „Znowu gdzieś się pali. Kiedy skończy się ta susza?” – myśli i odkłada Księgę. Niby już wychodzi, ale jeszcze otwiera szafę i dotyka sukienkę. Szorstkie, zniszczone od pracy dłonie delikatnie zahaczają cienką, chłodną tkaninę. – Jaka piękna! – mówi półgłosem, wyjmując sukienkę z szafy, by ją jeszcze raz obejrzeć.

Godzinę później, kiedy w letniej kuchni przygotowuje jedzenie dla świń, w otwartych drzwiach staje Tila.

– Mamo...

– Co tam? – pyta, zaparzając jednocześnie otręby w wiadrze.

– Mamo... coś się stało...

Dopiero teraz podnosi głowę i patrzy pytająco na córkę. – Mów wreszcie – ponagla ją.

– Pan Richter... nie żyje.

– Nie. Co ty mówisz? Widziałam go dzisiaj.

– Był pożar. Paliła się stara stodoła nad rzeką. Strażacy uznali, że za późno, żeby gasić. I nagle ta pani, co przyjechała z Berlina do rodziców, zaczęła krzyczeć, że jej dzieci tam są. Dopiero co widziała, jak się bawiły w stodole. Wtedy pan Richter pobiegł je ratować. Dach się na niego zawalił...

– A dzieci? – Marta pyta, tak jakby opowieść Tili jej nie dotyczyła.

– Znalazły się u sąsiadów.

– Co z Manfredem?

– Mówiłam. Nie żyje. Dopiero co go wyciągnęli.

Lisa naprawdę się przydaje. Po wieczornym czuwaniu zaproponowała siostrze Manfreda, Ursuli, żeby całe mięso i ciasta przygotowane na weselny obiad

przeznaczyć na poczęstunek po pogrzebie. Zajęła się też Marta, która trwa w dziwnym oszołomieniu, bo wciąż nie dotarło do niej to, co się stało. Robota leci jej z rąk, przystaje zamyślona, patrzy przez okno na furtkę, jakby czekała, że on zaraz przyjdzie.

Dzisiaj po raz pierwszy od wielu dni chmury przestłoniły niebo i zrobiło się chłodno. Niedługo skończy się lato, noce stały się zimne, szybciej przychodzi wieczór, a kartofle zmęczone suszą są prawie gotowe do kopania.

Marta schodzi na dół do czekającej na nią rodziny. Nie dostrzega zaskoczonych twarzy Lisy, Tili i Christiana. Nie ma na sobie żałobnego stroju odpowiedniego na pogrzeb. Włożyła jedwabną jasnopopielatą sukienkę. Zwiewne fałdy poruszają się delikatnie wokół bioder i łydek, a białe wykończenia ożywiają kolor i nadają ubiorowi uroczysty charakter. Włosy upięła w elegancki kok, na nogach ma pończochy i odświętne, lekkie sandałki na obcasie.

Mimo zdziwienia nikt nic nie mówi. Wychodzą z domu i w milczeniu idą do Richterów. Dzieci Manfreda też są w szoku. Zachowują się jak bezwolne kukły, robią mechanicznie to, co inni ludzie, albo wykonują polecenia zapłakanej ciotki. Na cmentarzu nad wykopanym dołem pochylają się pastor i najbliżsi. Marta nie podchodzi, jest razem ze swoimi, zniknęła w tłumie mieszkańców wsi. Dochodzą do niej strzępki przemówień, w których powtarzają się słowa: bohater, wzór, dzielny strażak... Słucha, ale tak jakby to jej nie dotyczyło. „Dzisiaj jest dzień ślubu – myśli. – Pani Richter, pani Richter” – powtarza w duchu. Nagle ludzie otaczający Martę rozstępują się. Robią przejście dla Ursuli Herrys. Wyprostowana, o surowej twarzy, w której tylko zaczerwienione oczy świadczą o uczuciach, staje przed narzeczoną swego brata.

– Dlaczego ciebie przy nim nie ma? – pyta.

– Ja? A kim ja jestem? Dzisiaj dopiero miał być ślub – odpowiada Marta z trudem.

– Chodź! – rozkazuje Ursula, bierze ją za rękę i prowadzi do rodziny Richtera.

Grudki żółtego piachu toczą się z usypanej sterty wprost na eleganckie sandałki. Na łąkach za rzeką pasą się krowy. Na grobie obok kwitną kolorowe astry. Pastor coś mówi, a potem strażacy zaczynają spuszczać trumnę do dołu. Chłodny wiatr przenika przez cienką tkaninę, Marta zaczyna drżeć, nie może tego opanować, tak jak nie potrafi powstrzymać napływających łez i głośnego szlochu.

Kilka dni po wyjeździe Lisy przeszła przez ogród i otworzyła furtkę w płocie Petrasów. Maria siedziała na ławeczce. Widząc wahanie na twarzy sąsiadki, skinęła przyzwalająco głową i wskazała miejsce obok siebie.

W gospodach Altreben coraz mniej stałych bywalców. Niby listopad to zupełnie dobry miesiąc na spotkania przy piwie i polityczne dyskusje, ale o czym tu debatować, jeśli trudno zrozumieć to, co dzieje się na froncie, a zadawanie pytań może źle się skończyć dla pytającego. Sowietci prą na Zachód i wygląda na to, że żadna siła nie potrafi ich powstrzymać. Włosi zdradzili i stanęli po stronie wrogów Rzeszy, a tylko patrzeć, jak zrobią to inni. Lotnictwo nieprzyjaciela bombarduje Berlin i inne wielkie miasta. Niejeden gospodarz, weteran poprzedniej wojny, pochylony nad kuflem podłego piwa mruczy pod nosem: „A nie mówiłem? Trzeba było zaczynać walkę na tyłu frontach? Ciekawe, gdzie ta cudowna broń, o której mówią w radiu? Długo jeszcze będziemy na nią czekać?”.

Kobiety są coraz bardziej zajęte dobroczynnością. Całe lato zaprawiały kompoty dla szpitali wojskowych i pomagały w suszeniu ziół. Teraz dziergają szaliki, skarpety i rękawice dla żołnierzy, a także organizują zbiórki żywności, odzieży i sprzętu dla ofiar nalotów. We wszystkich akcjach niezmiennie pierwsze skrzypce gra Greta Kisch. Odkąd jej syn zaginął na Wschodzie, stała się jeszcze bardziej wymagająca dla kobiet w Altreben. Prowadzi notatki, zapisując skrupulatnie, która z gospodyń się angażuje i w jaki sposób, a która się ociąga. Starają się więc na wyścigi, by zadowolić przewodniczącą gminnego koła Narodowosocjalistycznej Ligi Kobiet.

W długi listopadowy wieczór w kuchni pani Neumann trzy kobiety usiadły w pobliżu pieca i migają drutami. Różnokolorowe kłębki wełny wrzucone do koszyczków wyraźnie zmniejszają swoją objętość. W czajniku postawionym na brzegu gorącej płyty szumi woda, w piecu trzaskają płonące drwa, a przy stole Christian marszczy czoło nad zeszytem do matematyki. Nie jest zbyt pilny, bo co rusz stalówka zamocowana w drewnianej obsadce zawisa nad zeszytem i atrament zasycha, tworząc grubą warstwę utrudniającą pisanie. Kiedy chłopiec kończy odrabiać pracę domową, Tila zabiera się za przygotowanie kolacji. Franka narzuca gruby kaftan i niknie w ciemności, by po chwili wrócić ze Stefanem. Zasiadają do stołu razem i wspólnie odmawiają modlitwę. Polak jak zwykle milczy, ale z szacunkiem pochyla głowę wraz z innymi. Po kolacji, gdy Stefan chce wrócić do zimnej letniej kuchni, Marta mówi do Franki, by go zatrzymała. – Powiedz mu, że może zawsze tu siedzieć tak długo, jak zechce. – Po czym, udając, że nie dostrzega gniewnego wzroku córki, pochyla głowę nad robótką.

– To już zawsze tak będzie? Wieczory z robotnikami? My Niemcy mamy z nimi siedzieć? – oburza się dziewczyna, nie zwracając uwagi na obecność dwojga Polaków.

– Tu jest ciepło. – Marta próbuje tłumaczyć. – Razem pracujemy, a potem mamy wyganiać ich na zimno? Poza tym jest jakoś inaczej, różnie wśród ludzi.

– Zależy komu. Oni zabijają naszych, a ty, mamó, traktujesz ich jak rodzinę.

– Ci nie zabijają nikogo. Przyzwyczaiłam się do nich. Są tu już tyle czasu.

Marta jest smutna, ale nie zrozpaczona. Wypłakała swój ból i rozczarowanie. Robi, co musi, i niczego nie planuje. Kiedy spotyka Kerstin Heckman, wbija w nią wzrok i czeka, aż tamta spuści oczy. Niechby tylko znów zaczęła plotkować, przekonałaby się, co znaczy gniew pani Neumann. Marta tęskni za Manfredem. Chciałaby mieć jakąś jego rzecz, której czasem mogłaby dotknąć, ale nie ma niczego, niekiedy więc wyjmuje popielatą sukienkę i wtula w nią twarz. Wie, że podobnie tęskni Christian. Jemu także trudno uwierzyć, że mężczyzny, do którego przylgnął, już nie ma. Po wakacjach wrócił do szkoły, chodzi na spotkania pimpfów, pomaga w domu i to wypełnia mu czas, ale wszystko robi bez entuzjazmu. Paul Ulrich mówił, że któregoś dnia Christian przyznał się, że chciałby już wrócić do babci. Od jakiegoś czasu w radiu mówią o wznowieniu nalotów na Berlin. Odkąd o tym usłyszał, jest zupełnie rozbity. Nie ma apetytu i ochoty na jakiegokolwiek zajęcia.

Cisza zaczyna ciążyć Marcie. Wstydzi się za córkę. Franka i Stefan posłusznie siedzą w kuchni, ale widać, że czują się tu źle. Gospodyni odkłada druty i idzie do piwnicy. Przygląda się butelkom z winem. Wciąż jest ich sporo, mimo że od dwóch lat nie uprawia winorośli. Nie sprzedała zapasów, bo francuskie wina wygrywają konkurencję z miejscowymi smakiem i ceną. Zresztą nie zależy jej na pieniądzach, a wino w końcu się wypije. Sięga po dwie butelki, sprawdza nalepkę i niesie do kuchni. – Nie ma po co ich trzymać. Tila, daj kieliszki.

Córka nie potrafi ukryć oburzenia. Głośno trzaska drzwiczkami kuchennego kredensu, kiedy wyjmuje szkło. Chce dać do zrozumienia, jak bardzo jej się nie podoba taka zażyłość z robotnikami.

Ledwie zamoczyli usta w jasnym kwaskowatym winie, Franka się krzywi.

– Pani gospodyni, mogę cukru dosypać? Niedobre jakieś.

Marta śmieje się wyrozumiale, ale dostrzega też ironiczny grymas na twarzy Matyldy.

– Takie ma być. Nasze wina zawsze były kwaśne, czyli wytrawne. My je lubimy, ale jeśli chcesz, to sobie dosłódź.

– Możesz nie pić, jak się nie znasz – wtrąca Tila.

Polka się rumieni, ale nie odpowiada na zaczepkę. Wsypuje łyżkę cukru do kieliszka, energicznie miesza i próbuje. – Teraz jest dobre – stwierdza z zadowoleniem.

– Franko, opowiedz nam o sobie. Wieczór długi, chętnie posłuchamy – prosi gospodyni. Znów nalewa wina i bierze się za robotkę. Christian, który dotąd siedział ze znudzoną miną przy stole, przysuwa krzesło bliżej ciotki. Tylko Stefan zostaje na swoim miejscu w kącie i wolno sący żółtawy napój.

Franka, zaczerwieniona od alkoholu i ciepła bijącego od kuchennej płyty, zaczyna swoją opowieść. Zastanawia się nad doborem słów i kaleczy niemiecki

język, ale mówi dalej, bo skoro została zauważona, musi pokazać, że na to zasługuje. Opowiada o małym miasteczku niedaleko Warszawy, w którym się urodziła, i zapracowanej matce, która zarabiała, najmując się do prania u zamożnych ludzi, i o ojcu szewcu. W szkole uczyła się słabo, bo w domu nie było ani miejsca, ani czasu na naukę. Jak tylko skończyła obowiązkową edukację, a młodsze rodzeństwo podrosło i już nie trzeba było się nim zajmować, matka oddała ją na służbę. Państwo Friedmanowie mieli piekarnię, ale tam nie było dla niej wstępu. Pracowała w domu, głównie sprzątała i opiekowała się dziećmi, kiedy pani Friedman szła pomagać mężowi w zakładzie. Źle tam nie miała, była przyzwoicie traktowana i nikt nie żałował jej jedzenia. Przerywa, namyślając się, co dalej powiedzieć. Zerka na Matyldę, a kiedy napotyka jej nieprzyjazne spojrzenie, marszczy gniewnie brwi i jakby podjęła jakąś decyzję, wraca do swojej opowieści.

– Skończyło się, jak tylko wybuchła wojna. Przyszli Niemcy – mówi Franka – i zabrali Friedmanów do bożnicy, razem z innymi Żydami. Co miałam robić? Wróciłam do domu. Matka od razu narobiła krzyku, że niczego nie zabrałam od moich państwa, i kazała iść z powrotem i nie wracać bez bielizny i wszystkiego, co by się przydało w domu albo na sprzedaż. Wstyd mi było, ale poszłam, tyle że za późno, bo dom był splądrowany. Niektórzy całkiem porządni Polacy, jak się tylko dowiedzieli, że Niemcy Żydów wyprowadzają, natychmiast ruszyli szabrować. – Franka przerywa i zamyśla się. – Mnie to najbardziej żal dzieci Friedmanów. Były jak moje własne rodzeństwo – mówi po chwili. Mimo że nikt jej o to nie pyta, ośmielona wypitym trunkiem i sprowokowana zachowaniem Matyldy, wyjaśnia: – Siedzieli w bożnicy dwa dni bez jedzenia i picia, podobno czekali na transport, ale coś nie poszło, jak planowali, bo oficer, co kierował wszystkim, uznał, że tych kilku rodzin żydowskich nie warto nigdzie dalej przewozić i zlikwidują ich na miejscu.

Franka znowu milknie. W kuchni panuje grobowa cisza. Marta, która znała trochę przeszłość dziewczyny, bo rozmawiały o niej wcześniej, nie takiej opowieści się spodziewała. Żałuje teraz w duchu, że poprosiła dziewczynę, by powiedziała coś o sobie. Mogłaby przerwać to wszystko, zarządzając pójsście na spoczynek, jednak czeka, dziwnie ciekawa, co było dalej.

– Takie wyrostki, co ich wszędzie pełno, pobiegły za nimi. Niemcy zaprowadzili Żydów za miasteczko, na piaski. U nas wszędzie pełno piasków. Tam prawie nic nie rośnie, tylko kępy siwej trawy. Chłopcy schowali się między karłowatymi sosenkami i patrzyli. Żydzi dostali łopaty i kazano im kopać dół. Potem ustawili wszystkich nad tym dołem i puścili po nich serię z karabinów maszynowych. Małe dzieci, których nie pozwolono wziąć matkom na ręce, przeżyły i strasznie płakały, więc oficer wyjął pistolet i po kolei wszystkie zabił, strzelając w główki.

– To nieprawda! Kłamiesz! – wybucha Tila. – To nie może być prawda! Niemcy tak nie robią! – woła i twardo patrzy w oczy Polki, próbując dostrzec w nich fałsz. – Może ktoś ci głupot naopowiadał, a ty uwierzyłaś!

– Prawda. Mojemu ojcu i kilku innym z miasteczka kazali ich zakopać – mówi Franka, wytrzymując spojrzenie Matyldy.

– Mamo! Nie pozwól jej! Ona tak mówi, bo mnie nie lubi i chce mi zrobić na złość.

– Matyldo, usiądź – Marta jest rozgniewana, tylko nie wie, na kogo bardziej, na córkę czy na Frankę. – A ty – zwraca się do robotnicy – mogłabyś nie opowiadać takich historii, i to przy dziecku. – Wskazuje na Christiana. – Mów, co było dalej? Z tobą – podkreśla, dając dziewczynie do zrozumienia, że ma nie ciągnąć niewygodnego wątku.

– Najpierw byłam w domu, ale widziałam, jak im ciężko. Pranie prawie się skończyło, bo najbogatsi poszli do piachu, ojciec też zarabiał grosze. Matka napisała do Warszawy, do siostry, czy mogłabym do niej przyjechać i jakiejś pracy poszukać. Zdążyłam pobyć u ciotki dwa dni. Szłam właśnie do jednej pani, której adres dostałam, jak nagle zrobiło się zamieszanie. Wszyscy gdzieś biegli, chowali się w bramach, w sklepach, jak zwierzęta, które ktoś przestraszył. Nie wiedziałam, o co chodzi, więc zatrzymałam się jak głupia na środku chodnika i rozglądałam się dookoła. Zobaczyłam, że w poprzek ulicy stoi ciężarówka, a z niej wyskakują niemieccy żołnierze. Pomyślałam, że to nie wróży nic dobrego, więc obróciłam się w drugą stronę i jak inni chciałam uciekać, ale tam też ulica była zamknięta. Niemcy krzyczeli coś, ale nic z tego nie rozumiałam, patrzyłam tylko na ludzi, co robią, i zachowywałam się tak samo. Stałam z podniesionymi rękami twarzą do ściany i czekałam. Myślałam, że to już śmierć przyszła, więc modliłam się w duchu do Matki Bożej, żeby mnie tylko nie bolało, jak będą strzelać. Długo to trwało. Ręce mi mdlały z bólu, ale trzymałam je wysoko. W końcu podeszło do mnie dwóch Niemców z tłumaczem. Kazali pokazać dokumenty. Kiedy okazało się, że nie mam zaświadczenia o zatrudnieniu, ucieszyli się i dołączyli do grupy takich jak ja. Nawet nie pozwolili zawiadomić ciotki. Potem nas zakwaterowali i cały czas pilnowali. Musieliśmy się wykąpać w wodzie z dodatkiem czegoś śmierdzącego, a nasze rzeczy zabrali do dezynfekcji. Wieczorem przyszedł lekarz i nas badał, czy nie mamy jakichś chorób zakaźnych. Zaglądał wszędzie. W życiu takiego wstydu i poniżenia nie przeżyłam. Jakbym wcale nie była człowiekiem. Nadawałam się, więc mnie zabrali i przywieźli do Unruhstadt. Tak się tu znalazłam. A o tamtym naprawdę nie kłamałam. Niech mi pani gospodyni wierzy – dodaje.

Marta nie komentuje słów Franki. Podrzuca drewno do pieca i bierze w ręce robótkę. Tila robi to samo i zaczyna pilnie liczyć oczka we fragmencie wełnianej skarpety. Christian myśli nad czymś głęboko, a Stefan, oparłszy głowę o ścianę,

zdaje się drzemać, ale obserwuje wszystkich spod nie całkiem zamkniętych powiek. Wtem w ciszę wdziera się głośnie pukanie.

– Odwiedziny o tej porze? – dziwi się Marta. – Idę zobaczyć, kto to.

– Mamo, nie idź sama. Pójdę z tobą. – Tila zrywa się z krzesła i podąża za matką.

Z korytarza dobiegają odgłosy ożywionej rozmowy. Christian nasłuchuje z uwagą i nagle zrywa się z krzesła. – Mama! Mama przyjechała! – Wypada na korytarz wprost w ramiona Ewy Neumann.

Dopiero późno w nocy gość zdołał się położyć. Stęskniona matka siedziała przy łóżku Christiana, dopóki nie zasnął. Wcześniej długo musiała mu tłumaczyć, dlaczego nie zabierze go ze sobą do Berlina.

– Mocno przeżył śmierć Manfreda – tłumaczy Marta. – Nie sądziłam, że był dla niego taki ważny. Wszystko byłoby inaczej, gdyby nie ten pożar – dodaje, teraz bardziej myśląc o sobie.

Obie kobiety schowały się pod pierzyną i w zimnej sypialni grzeją się ciepłem swoich ciał.

– Jak ty to zniosłaś, biedaczko?

– Dałam sobie radę. Nie martw się, jestem zahartowana. W końcu to nie pierwszy raz – mówi Marta z goryczą. – Powiedz mi teraz to, czego nie mówiłaś przy wszystkich.

Ewa namyśla się: – Nie wiem, co najpierw.

– Sabina?

– Mieszkam z nią. Już nie może być sama. Wiem, że dużo ryzykuję, bo szukają tych Żydów, których jeszcze nie wyłapali, a mają ich w rejestrach. To żaden problem dotrzeć do mojej teściowej. Dziwię się, że dotąd tego nie zrobili. Pewną ochronę daje mi obecność doktora Langnera, bo dozorczyńni siedzi cicho, dopóki on opiekuje się jej chorą córką.

– Mówiłaś, że Arnold wrócił... – Marta podrzuca następny temat.

– Wrócił, ale to jakby nie mój syn.

– Wiem, co czujesz. Z chwilą, gdy nasze dziecko wyjedzie z domu, a oni obejmują nad nim władzę, zmieniają je nie do poznania. Z Tilą jest tak samo. Bywają dni, że już mi się wydaje, że odzyskałam ją całkowicie, kiedy nagle wychodzi z niej obcy człowiek. Staraj się, by Arnold jak najwięcej przebywał z tobą. To może pomóc.

– To niemożliwe. Zachowuje się tak, jakbym była w domu złem koniecznym. Wobec Sabiny jest wręcz ostentacyjnie troskliwy. Okazuje jej szacunek i uwielbienie. Mnie ignoruje. Czasem łapię się na tym, że się go boję. Nie zdziwiłabym się, gdyby pewnego dnia przyszli po mnie, bo on doniósł.

– Mówisz o swoim dziecku! – Marta nie może pojąć słów Ewy. – On nie zrobiłby czegoś takiego.

– Pewnie masz rację. Stałam się strasznie podejrzliwa. Od kilku lat żyję w strachu. Wciąż boję się, że ktoś za mną chodzi albo że znajoma z dawnych lat rozpozna mnie w tramwaju. Kiedy na ulicy zatrzymuje się samochód, szybko podchodzę do okna, żeby sprawdzić, czy to nie Gestapo. Używam cudzej tożsamości. A co, jeśli spotkam kiedyś męża lub dziecko tej kobiety, której dokumenty noszę w torebce? Bywa, że podczas nalotu nawiedza mnie pragnienie, żeby trafiła mnie bomba i cała ta udręka nareszcie się skończyła.

– Nie sądziłam, że jest tak źle. Dzisiaj, zanim przyjechałaś, ta dziewczyna, Franka, opowiadała, jak w jej miasteczku Niemcy zabili wszystkich Żydów, nawet dzieci. Tila się oburzyła, zarzuciła Polce kłamstwo, ale ja czułam, że ona mówi prawdę. – Marta przerywa, jakby myślała nad czymś, a Ewa czeka na dalszy ciąg. – Wiesz, uderzyło mnie to, że ona wciąż mówiła „Niemcy”. Niemcy przyszli... Niemcy wyprowadzili... Niemcy zastrzelili dzieci... Niemcy postawili mnie pod ścianą... Ciągłe Niemcy i Niemcy! Wszystko się we mnie gotowało. Chciałam jak Tila rzucić jej w twarz, że kłamię, że jestem Niemką, a nie robię nic złego, więc niech nie mówi: Niemcy. Ale co miałyby wówczas powiedzieć? Jeśli nie Niemcy, to kto robi te straszne rzeczy?

– W Berlinie nie ma już Żydów. Jeśli jacyś zostali, to tacy jak ja – ukrywający się. Uwierzysz, że nikt z deportowanych, których znałam, nie dał znaku życia? Wsiedli do pociągu i ślad po nich zaginął. Gdzie się podzieli? Co to za miejsce, z którego nie można wysłać listu? Twoja Polka mówiła prawdę. Leżą gdzieś w dołach martwi...

– Może pan Lichtenstein i Miriam z córeczką także?

W sypialni zapada cisza, ciężka, trudna do zniesienia, pełna bólu i pytań, na które nie ma odpowiedzi. Kobiety już nie rozmawiają, ale i nie śpią. Przewracają się z boku na bok, wzdychają i wpatrują się w ciemność.

99

Po dwóch dniach pobytu u Marty Ewa wróciła do Berlina. Tak zaplanowała podróż, żeby przyjechać na dworzec wcześniej rano. Miasto nocą przerażało ją. Nigdy nie przyzwyczała się do kompletnych ciemności, w których się pogrążało po zapadnięciu zmroku. Być może miało to związek z pewnym wydarzeniem, jakie przeżyła w lutym 1941 roku. Wracała właśnie od Sabiny. Zasiadła się u niej, bo Arnold od kilku dni miał wysoką gorączkę, starała się więc spędzać przy łóżku syna każdą wolną chwilę. Po południu temperatura spadła, ale na wszelki wypadek została jeszcze kilka godzin. Wyszła późnym wieczorem. Ulice były prawie puste, bo wszyscy bali się seryjnego mordercy grasującego w Berlinie od kilku miesięcy. Z początku o nim nie myślała. Szła do S-Bahnu prawie po omacku. Potem, kiedy oczy przyzwyczyły się do ciemności, zaczęła zauważać pobielone krawężniki i znaki namalowane fluorescencyjną farbą. Wsiadła do prawie pustego wagonu.

Zauważyła w nim samotną kobietę. Kiedy pociąg wyjechał na otwartą przestrzeń, natychmiast wygaszono światła. Na którymś z licznych przystanków wsiadł ktoś jeszcze i zajął miejsce gdzieś za jej plecami. Wyraźnie czuła ostrą woń potu i słyszała przyspieszony oddech. Obejrzała się, ale w gęstym mroku nie dostrzegła nikogo. Zlana zimnym potem wysiadła w swojej dzielnicy. Zanim doszła do rudery, w której mieszkała, ogłędnęła się chyba ze sto razy. Następnego dnia przeczytała o kolejnym zabójstwie. „Morderca z S-Bahna”, jak go nazywała prasa, znowu zaatakował. Przy torach, dokładnie na trasie jej wczorajszej podróży, znaleziono zwłoki trzydziestodwuletniej kobiety. Od tamtej pory minęły ponad dwa lata, zabójcę schwytano, ale ona wciąż boi się berlińskiej nocy.

Teraz tak samo jak wtedy jedzie kolejką miejską. Jest jeszcze ciemno, ale gdyby nie była Żydówką z ukradzionymi dokumentami, nie miałaby czego się obawiać. W pociągu panuje tłok, bo ludzie spieszą się do pracy. Ledwie wcisnęła się do wagonu z torbą wypchaną wiktuałami. Raz po raz ktoś się o nią potyka i klnie siarczyście. Przez zaparowane okna zaczyna przenikać światło dnia. Ołowiane chmury wiszą nad szarym miastem i za chwilę lunie deszcz. Stado wron, które obsiadło bezlistne drzewo rosnące tuż przy torach, spłoszone przez mknący pociąg podrywa się do lotu z głośnym krakaniem. Na szybie pojawiają się pierwsze krople. Ewa wysiada z wagonu, a zimne wilgotne powietrze natychmiast wciska się pod liche palto. Jest całkiem jasno, kiedy zupełnie przemoczona staje przed kamienicą, w której mieszka z Sabiną i starszym synem. Brama już otwarta. Całe szczęście, bo wścibska dozorczyńni znowu zaczęłaby zadawać kłopotliwe pytania. Przekręca klucz w drzwiach. W mieszkaniu jest cicho. Zagląda do pokoju Arnolda. Spod grubej pierzyny widać tylko czubek głowy. „Dlaczego nie poszedł do szkoły? Czyżby zaspał?” – zastanawia się, ale go nie budzi. Sabina też śpi. Ewa, starając się nie hałasować, przygotowuje śniadanie. Wkrótce po całym mieszkaniu rozchodzi się woń smażonego boczku. Niemal natychmiast w kuchni pojawia się chudy, rozczochrany wyrostek w swetrze naciągniętym na piżamę.

– Nareszcie coś porządnego do zjedzenia – mówi bez słowa powitania.

– Dzień dobry, synku. – Ewa próbuje objąć chłopaka, ale ten mija ją obojętnie i siada przy stole.

– Te pyszności są od cioci Marty – mówi, nakładając na talerz parującą jajecznicę. – Christian je tak codziennie. Ty też mógłbyś. Ciocia cię zaprasza.

– Nie wiem, co miałbym robić w tej dziurze – odpowiada Arnold i pospiesznie odgryza kęs wiejskiego chleba.

– Tam też można chodzić do szkoły, a co najważniejsze, byłbyś z bratem. On tęskni za tobą. – Ewa patrzy wyczekująco na syna, ale ten wydaje się całkowicie pochłonięty spożywaniem jajecznicy. – W Chwalimiu jest bezpiecznie – zachęca. – O nalotach słyszeli tylko w radiu.

– Tchórze szukają bezpiecznej nory, kiedy ojczyzna wzywa. – Twarz

Arnolda wykrzywia pogardliwy grymas. – Dzisiaj zgłoszę się do obrony przeciwlotniczej – oznajmia.

– Nie możesz! Jesteś za młody!

– Za dwa miesiące skończę szesnaście lat. Nie będę chodził do szkoły. Teraz jestem potrzebny gdzie indziej.

Buta malująca się na twarzy syna przeraża Ewę. – Dziecko moje...

– Nie mów tak do mnie! Nie jestem twój! Babcia jest moją opiekunką. Nie życzę sobie, żebyś się do mnie zwracała jak do swojego syna. – Chłopak wstaje od stołu, przewracając taboret, i wychodzi, zamykając z hukiem drzwi do swojego pokoju.

Ewa stoi jak skamieniała. Nie słyszy posuwistych kroków Sabiny zmierzającej do łazienki ani Arnolda, który ubrany w mundur Hitlerjugend opuszcza mieszkanie.

– Ewuniu, wróciłaś do nas! – Radosny głos teściowej dochodzi jakby z daleka. – Zaraz obudzę Arnolda. Też się ucieszy. Nie wiesz nawet, jakie to dobre dziecko. Jak on mi pomagał. Nawet pranie zrobił – szczebiocze Sabina, człapiąc do pokoju wnuka. – Gdzie on się podział? Widziałaś go może?

Ewa kiwa potakująco głową.

– No pewnie! Przecież już późno. Poszedł do szkoły. A mi się tak dobrze dzisiaj spało. Dałaś mu śniadanie?

Znowu kiwnięcie.

– Co ty taka dziwna jesteś? Stało się coś?

– Nie, nic się nie stało. Jak ty się, mamó, czujesz? – Ewa nareszcie odzyskuje głos.

– Dobrze, kochana, nic mnie nie boli, tylko w nocy ten kaszel mnie męczył. Może doktor coś by poradził?

– Zaraz do niego pójde. Zjedz śniadanie, umyj się i przebierz. Znowu spałaś w sukience.

– Tak mi jakoś ciężko było. Pomyślałam, że chwilę poleżę i minie, ale zasnęłam – tłumaczy zawstydzona staruszka.

– Nie szkodzi, mamó. Zaraz pójde z tobą do łazienki, pomogę ci się umyć i przebrać, a tymczasem jedz. Zobacz, jaki dobry twaróg przywiozłam od Marty – zachęca.

– Co u Tili? Dawno jej nie widziałam.

– Zakochana i nieszczęśliwa, bo Emil jest na froncie.

– Emil? Czy to ten chłopak, co mieszka u Ulrichów?

– Tak. Marta mówiła, że od dawna był w niej zakochany, tylko Tila tego nie zauważała.

– Przecież on jest biedny! Nie powinna z kimś takim się wiązać.

– Mamó, to nie ma znaczenia. Jest dobrym człowiekiem. Marta się cieszy,

bo w przyszłości Tila miałyby z kim prowadzić gospodarstwo.

– Jej tylko jedno w głowie – gospodarstwo! – wybucha Sabina. – Jakby niczego innego nie było na świecie. Gdyby nie to jej gospodarstwo, może Walter by żył! – Nagle kobieta milknie i otwartymi ustami głośno chwyta powietrze.

– Mamo, proszę, uspokój się. Nie wolno ci się denerwować. Połóż się, a ja pójdę po doktora Langnera.

Ewa, upewniwszy się, że teściowa zaczyna normalnie oddychać, wychodzi na schody, a potem szybkim krokiem zmierza do oficyny, gdzie mieszka lekarz. Puka uparcie, bo ma wrażenie, że za drzwiami ktoś jest, jednak nikt nie otwiera. Kiedy wraca, okazuje się, że Sabina zdrzemnęła się na kanapie w salonie, przykrywa ją więc kocem, a potem zabiera się do przetrząsania szafki z lekami. Niestety, szklana buteleczka, w której powinny znajdować się tabletki na serce, jest pusta.

W listopadzie każde miasto bywa ponure, zwłaszcza kiedy ciężkie, ciemne niebo zdaje się wisieć nad głową, jednak Berlin jest stokroć smutniejszy niż jakiegokolwiek znane Ewie miejsce. Ubrana w niewyschnięty od rana płaszcz, z twarzą otuloną czarnym szalem idzie do apteki, mając nadzieję, że przekona znajomą aptekarkę, aby sprzedała jej lek bez recepty. Nie ma sumienia namawiać teściowej na wędrowną w ten chłodny dzień, a potem na czekanie w długiej kolejce na badanie u lekarza z kasy chorych. Doktor Langner nie mógłby wystawić recepty, ale może by coś poradził albo dał tabletki na kilka dni. Przeważnie ma coś w domu, bo dostaje lekarstwa od swoich dawnych kolegów z pracy. Tyle że go nie zastała, musi więc sama coś załatwić. Okazuje się, że najbliższa apteka jest nieczynna, dlatego idzie dalej. Wiele sklepów i restauracji zostało zamkniętych tuż po klęsce pod Stalingradem. Proces ograniczania punktów handlowych trwa nadal. Czym handlować, jeśli prawie wszystko jest na kartki – od żywności po buty, tkaniny, gotowe ubrania i pościelenie. Od wiosny skwery i trawniki w parkach stopniowo zamieniły się w ogródki warzywne, a ukwiecone niegdyś balkony w minihodowle zwierząt – królików i kur. Berlińczycy jakoś sobie radzą, ale Ewa, powróciwszy ze spokojnej, dostatniej wsi, zauważa kontrast, kiedy porównuje tamtejsze warunki życia z trudnym bytowaniem w wielkim mieście.

W kolejnej aptece odmówiono jej wydania leku bez recepty, ale uprzejmy farmaceuta doradził zioła. Wprawdzie nie są tak skuteczne jak tabletki, jednak mogą trochę pomóc. Teściowa wciąż śpi, przyrządza więc napar w kuchni i zabiera się do późnego obiadu. Słyszy, że otwierają się drzwi wejściowe. To Arnold. Normalnie wyrzwałyby do holu, żeby zamienić z synem parę słów, ale dziś nie ma na to ochoty.

– Obiadu jeszcze nie ma? – słyszy za plecami głos pełen pretensji.

– Nie ma. Babcia źle się czuje, musiałam iść do apteki. Weź sobie kawałek chleba – mówi, nie odwracając się w stronę chłopaka.

– Zaczekam – odburkuje Arnold i idzie do siebie.

Wieczorem Ewa schodzi do mieszkania lekarza. Znowu nikogo nie ma. Wydaje się jej to dziwne, bo pani Langner nigdzie nie wychodzi. Ma tak semicką urodę, że tylko w czterech ścianach czuje się trochę bezpieczniej. Spotyka doktora dopiero następnego dnia rano, kiedy wynosi śmieci. Ponieważ Sabina jeszcze śpi, umawiają się na wizytę po południu.

Tuż po obiedzie Ewa otwiera okno, by pozbyć się z mieszkania kuchennych zapachów. Sabina siedzi w fotelu, czekając na Langnera. W pokoju słychać odgłosy ulicy. Wtem pojawia się ten dźwięk, którego Ewa boi się najbardziej. Przed domem zatrzymuje się najpierw jeden samochód, potem drugi, trzaskają drzwiczki.

Wiele razy wyobrażała sobie tę chwilę. Myślała, że szybko chwyci dokumenty, wybiegnie z mieszkania i ucieknie dwa albo trzy piętra wyżej. Tam się przyczai i będzie czekać, aż przeszukają mieszkanie, a kiedy jej nie znajdą, pojedą sobie. Teraz, zamiast czym prędzej się kryć, stoi bez ruchu, wpatrując się w zaparkowane pojazdy. Nie ma wątpliwości, że to oni. Wstrzymuje oddech, nasłuchuje, a czas wlecze się niemiłosiernie. Cisza, nikt nie wali do drzwi, nawet kroków na schodach nie słychać.

Najpierw pojawia się mężczyzna w kapeluszu i długim płaszczu. Nie widzi jego twarzy. Gestapowiec otwiera drzwiczki i wykonuje ręką zapraszający gest. Pierwsza wsiada pani Langner, a potem jej mąż. Drugi pojazd zabiera dwie młode kobiety i kilkuletniego chłopczyka. Odjeżdżają.

„To nie po mnie! Dziękuję ci, Boże, że to nie po mnie. – W tej chwili może myśleć jedynie o tym. – Jeszcze nie teraz...”

– Ewuniu, kiedy przyjdzie doktor? Czy nie powinien już być? – Głos teściowej dociera jak przez ścianę. – Dlaczego milczysz? Gniewasz się na mnie?

Ewa obrzuca Sabinę nieprzytomnym spojrzeniem. Potrzebuje czasu, by wrócić do równowagi. – Doktor nie przyjdzie – wydobywa się ze ściśniętego gardła. – Już nigdy...

Dwa dni później Arnold spakował plecak i opuścił dom. Wybrał moment, kiedy nie było matki, bo nie zamierzał się z nią żegnać. Babci powiedział, że przyjęto go na kurs przysposobienia obronnego i odtąd będzie mieszkał w koszarach.

W drugiej połowie listopada rozpoczęła się powietrzna bitwa o Berlin. Pierwsze cztery naloty RAF-u w tych dniach spowodowały śmierć prawie czterdziestu tysięcy cywilów, a pół miliona ludzi straciło dach nad głową. Jedną z najbardziej poszkodowanych dzielnic był Charlottenburg. Dziwnym trafem kamienica, w której mieszkały panie Neumann, przetrwała. Wokół dymiło morze ruin, a ich dom stał. Ocalał nawet wtedy, kiedy tydzień przed Bożym Narodzeniem brytyjskie samoloty wróciły nad Charlottenburg, by dokończyć dzieła zniszczenia.

Po koszmarnej nocy spędzonej w piwnicy zamienionej na schron, tuż po odwołaniu alarmu Ewa wstała z twardej ławki i pochyliła się nad siedzącą naprzeciwko teściową. Zaniepokoilo ją nieruchome spojrzenie niebieskich oczu. Przytknęła dłoń do bladego policzka. Był zimny. Sabina umarła, chociaż żadna bomba nie spadła na jej dom.

100

Marta przekręca gałkę radia. W pokoju robi się cicho. Chłopiec, który cały wieczór spędził przy odbiorniku, śpi nieświadomy obecności ciotki. Żółty blask nocnej lampki oświetla twarz dwunastolatka. Kobieta patrzy na nią ze smutkiem. Nie umie pomóc dziecku, na które wciąż spadają nowe ciosy. Dzisiaj przyszedł długo wyczekiwany list od Ewy. Píše, że w listopadzie odeszła babcia, a o Arnoldzie nie ma żadnych wiadomości. Mieszkanie Sabiny przydzielono dwóm rodzinom, które straciły cały dobytek podczas nalotów. Ewa zajmuje jeden pokój. Wspomina o tym, że bomby zniszczyły słynny berliński ogród zoologiczny, część zwierząt zginęła od razu, inne błąkały się w ruinach, by w końcu zdechnąć bądź trafić do garnków.

Marta nie potrafi sobie wyobrazić tego, co przeczytała. Nie mieści jej się w głowie, że dwieście kilometrów od spokojnego i bezpiecznego Chwalimia dzieją się takie rzeczy. W pokoju jest bardzo zimno, poprawia więc pierzynę i kładzie na niej gruby koc. Na koniec gasi lampkę przy łóżku Christiana i idzie do siebie. Nie musi zapalać światła. Księżyc świeci tak intensywnie, że przez okno widać wszystko jak w dzień – nagie gałęzie lipy, ciemne krzewy bzu i białą pokrywę śniegu. Niebo znaczą złote punkciki gwiazd. Aż trudno uwierzyć, że z tego samego nieba spada na ludzi śmierć. „Czym jest mój smutek i samotność wobec tego, co spotyka berlińczyków? – myśli Marta. – Gdzie się podziewają w tę mroźną styczniową noc? To straszne wszystko nagle stracić, nie mieć domu, swojego łóżka, ciepłego kąta i liczyć tylko na litość obcych ludzi”.

Kładzie się z ciężkim sercem, ale sen nie przychodzi. Jak to jest, że właśnie wtedy, gdy wokół panuje cisza i ciemność, z odległych zakamarków umysłu wychodzą smutne wspomnienia, troski i lęki? Marta leży na boku i szeroko otwartymi oczami wpatruje się w zarys poduszki Waltera. Wyciąga dłoń i kładzie ją na chłodnej powierzchni. Nie tak dawno słyszała oddech męża i widziała jego głowę zanurzoną w biel poszewki. „Nie tak dawno? W czerwcu będą cztery lata, jak zginął. – Palec wędruje po wykrochmalonej mereźce, a myśli biegną do innego mężczyzny. – To mogła być poduszka Manfreda. Każdego ranka budziłoby mnie jego zielone spojrzenie”. Oczy kobiety robią się wilgotne od łez, a ciało aż kuli się od nagłej tęsknoty.

Rano wstaje z bólem głowy, zmęczona i niewyspana. Prócz codziennych zajęć czeka ją przygotowanie pierzówki – pierwszej w tym domu od wielu lat. To

Janka zwróciła jej uwagę, że już najwyższy czas. Odpowiedziała wtedy, że to niepotrzebne, bo ma dosyć poduszek i pierzyn, ale kuzynka upierała się, że Tila zasługuje na nowe.

– Każda dziewczyna dostaje wyprawę – przekonywała. – Nie możesz dać jej starych pierzyn, które kiedyś były szykowane dla ciebie.

– Przecież jeszcze nic nie wiadomo. Emil nie poprosił jej o rękę. Poza tym jest wojna. Wszystko może się zdarzyć. – Marta nie dawała za wygraną.

– Nie myśl, że jak ciebie spotkało nieszczęście, to i ją musi – zdenerwowała się Janka.

– Dobrze już, dobrze – opędzała się od nieustępliwej kuzynki. – Zróbmy pierzówkę. Pójdę do Gertrudy Adam i zapytam, czy ma pierze na zbyciu.

– Ma. Rozmawiałam z nią wczoraj. Ktoś zrezygnował z zamówienia i zostało jej kilka kilogramów. Powiedziałam, że przyjdiesz w tej sprawie. – Janka uśmiechnęła się z satysfakcją.

– Jak to? Przecież nie wiedziałaś! – Zdumiona Marta spojrzała na zadowoloną twarz kuzynki, a potem machnęła ręką z rezygnacją.

Wieczorem w dużym pokoju przy kuchni gromadzą się kobiety. Są wśród nich Anna Radach, Helena Kliem, a nawet Maria Petras. Matka Rosiny niechętnie wychodzi gdziekolwiek, dlatego Marcie szczególnie zależało na jej obecności. Wreszcie dała się uprosić i teraz siedzi razem z innymi, spowita w czerń, z pociemniałą, wychudłą twarzą. Są prawie gotowe, kiedy zjawiają się jeszcze dwie osoby: Kerstin Heckman i Greta Kisch.

– Możemy się przyłączyć? – Przez otwarte drzwi wsuwa się głowa Kerstin i słychać głos przesycony fałszywą słodyczą. – Chciałyśmy pomóc, chociaż nikt nas o to nie prosił.

– To dla Tili – dodaje wchodząca za przyjaciółką pani Kisch. – Całe lato z godnym naśladowania oddaniem pracowała dla Rzeszy. Nigdy mi nie odmówiła, o cokolwiek ją prosiłam. Dlatego nie może mnie tu zabraknąć. – Greta zatrzymuje się przy drzwiach i patrzy nieustępliwie w oczy Marty.

– Wchodźcie, wchodźcie! Zapraszam! Każda para rąk się przyda. – Gospodyni czerwona niczym burak chwyta dwa krzesła odstawione pod ścianę. – Nic wam nie mówiłam, bo wiem, jak jesteście zajęte – usprawiedliwia się.

Z początku niespodziewane pomocnice pracują z wyrazem twarzy godnym obrażonych księżniczek, ale powoli się rozchmurzają, bo przy darciu pierza i plotkach czas mija szybko i miło. Bohaterki wieczoru nie ma. Matylda i Rosina owładnięte poczuciem misji, jak na prawdziwe córki Rzeszy przystało, postanowiły bezczynne zimowe miesiące poświęcić ojczyźnie i zgłosiły się na kurs pielęgniarstwa. Zaraz po nowym roku wyjechały do Züllichau, gdzie w miejscowym szpitalu odbywało się kilkutygodniowe szkolenie. Marcie było trochę markotno, bo znowu zostawała sama, ale nie spierała się z córką, bo dobrze wiedziała,

że od dawna ma niewielki wpływ na jej decyzje.

Po posiłku uprzyjemnionym szklaneczką wina kobiety drące pierze zaczynają śpiewać. Repertuar popularnych piosenek ludowych i aktualnych szlagierów wyczerpuje się po godzinie. Kerstin, która nie może zbyt długo wytrzymać bez dokuczania bliźniemu, zerka na Jankę i ni to pyta, ni stwierdza: – W kryminale też pewnie jakieś ładne pieśni śpiewałaś?

Okrągła twarz Janki robi się blada. Mimo wyraźnego wstrząsu wywołanego słowami pani Heckman żona Gustava Gogola śmiało spogląda w oczy obłudnej kobiety. – Śpiewałam – odpowiada, nie spuszczając wzroku.

– To może byś nas nauczyła jakiejś nowej piosenki? – przymiła się Kerstin.

– W obozie śpiewaliśmy na rozkaz strażniczek albo wieczorem na bloku, dla siebie. Co rozkażesz, to ci zaśpiewam.

Mina Janki nie wróży niczego dobrego, ale Heckman wydaje się nie dostrzegać napięcia. – Ja miałabym ci rozkazywać? Co ty mówisz? Zaśpiewaj nam jakąś ulubioną piosenkę więźniarek. Tylko żeby nie była nieprzyzwoita – uprzedza bogobojna chwalimianka.

Janka kiwa głową na znak, że się zgadza, i zaczyna nucić, najpierw nieśmiało, a potem coraz odważniej: *Die Gedanken sind frei, wer kann sie erraten, sie Fliegen vorbei wie nächtliche Schatten...* Na początku znaną melodię podejmuje też Kerstin, ale zauważywszy, że nikt prócz niej nie towarzyszy śpiewającej, milknie i rozgląda się zaskoczona. Jej przyjaciółka Greta słucha z kamienną twarzą, Marta tak jak inne pracuje, ale jest wyraźnie zakłopotana i nie wiedząc, gdzie podziąć oczy, pilnie wpatruje się w palce rwące pióra. Helena Kliem uśmiecha się zagadkowo, a Anna Radach zerka spłoszona na drzwi i szczelnie zasłonięte okna, jakby bała się, że ktoś podsłuchuje. Reszta kobiet robi obojętne miny, ale widać wyraźnie, że to na pokaz. Słowa bardzo popularnej kiedyś pieśni w ustach byłej więźniarki w tych szczególnych czasach stają się nagle obrazoburcze, zbyt śmiałe i buntownicze, ale Janka nie zwraca uwagi na towarzyszkę. Twarz ma natchnioną, a wzrok pusty, jakby wpatrywała się w głąb siebie. Śpiewa o tym, że myśli są wolne. Nie można ich zamknąć i nie można zabronić. Z człowiekiem da się zrobić wszystko, ale do jego myśli nikt nie ma dostępu. *Die Gedanken sind frei...* – kończy. W duszy brzmi jeszcze miła dla uszu melodia i niepokojące słowa, ale w pomieszczeniu panuje głucha cisza.

Na dźwięk otwieranych drzwi wejściowych wszystkie, poza zamyśloną Janką, reagują wzdrygnięciem i przestraszonym spojrzeniem. To tylko Christian wraca z wieczornych ćwiczeń pimpfów. Marta opuszcza pomieszczenie i idzie do kuchni, by dać chłopcu kolację. Kiedy wraca, gospodynie jedna po drugiej, tłumacząc się pilnymi zajęciami, wychodzą. Jedyne kuzynka cierpliwie drze pierze. Marta siada obok. Pracują w milczeniu. Nagle Janka zaczyna mówić:

– Zaczęli mnie bić w areszcie w Züllichau. Zadawali jakieś pytanie i znowu

bili, gdzie popadnie. Koniecznie chcieli wiedzieć, z kim się spotykałam i jakie informacje przekazywałam. Wmawiali mi, że jestem szpiegiem, a ja przecież niczego takiego nie robiłam. Nie mogłam powiedzieć tego, co chcieli, bo ja nic nie wiedziałam o szpiegowaniu. Straszili, że aresztują Gustava i was, nawet Tilę, jak im wszystkiego nie powiem, ale ja nic nie wiedziałam – powtarza. – Myślałam już, że umrę od tego bicia i głodu, ale się modliłam do Najświętszej Pani, żeby mnie ocaliła i was także. Po procesie dali mi spokój. Potem trafiłam do obozu. – Janka milknie, a Marta czeka, bo czuje, że to jeszcze nie koniec. Po długiej chwili następuje dalszy ciąg opowieści.

– Najpierw zapędzili nas do jakiejś szopy. Przyjechałyśmy po południu, czekałyśmy więc w niej do następnego dnia. Rano poprowadzili nas do długiego baraku, gdzie za stołem siedziało kilku mężczyzn. Nie wiem na pewno, ale chyba niektórzy byli lekarzami. Kazano nam rozebrać się do naga. Wyobrażasz sobie? Ja, stara kobieta, stałam zupełnie naga przed obcymi ludźmi, a oni patrzyli na mnie, jakbym była jakimś obrzydliwym stworzeniem. Im chodziło tylko o to, czy nadajemy się do pracy. Słabe od razu dostawały wyrok śmierci – czerwoną kartkę. Ja miałam szczęście, dostałam kartkę z szansą na życie. Potem strażnicy zabrali nam dosłownie wszystko, cokolwiek miałyśmy przy sobie. Dla nich przestałam być człowiekiem, byłam tylko numerem. W bloku, do którego mnie przydzielono, były same Niemki. Po obu stronach przejścia stały drewniane prycze. Leżące na nich sienniki i poduszki wypełnione trocinami cuchnęły i były pełne robactwa. Po pierwszej nocy całe ciało miałam spuchnięte i pogryzione. Prócz strażników przesładowało nas zimno, głód i niepewność. Można było umrzeć w każdej chwili. Wystarczyło zemdleć podczas kilkugodzinnego apelu i już było po tobie. Za byle co posyłali do bunkra, a tam bili albo kaleczyli. Nawet jeśli nie mnie się to przytrafiło, to słyszałam jęki i krzyki tych biedaczek. Modliłam się z całych sił, by Bóg zesłał im ratunek, ale tam chyba Boga nie było.

Głos Janki brzmi, jakby był wyprany z wszelkich emocji, a ręce wciąż drżą pierze. Marta już dawno przestała pracować. Zastygła z przejęcia, słucha monotonnej opowieści, najstraszniejszej ze wszystkich, jakie dotąd zdarzyło się słyszeć na pierzówkach.

– Wszystkie, które uznali za zdadne do pracy – opowiada dalej Janka – miały swój przydział. Ja na początku pracowałam przy rozładunku berlinek, takich stateczków towarowych. To była strasznie ciężka robota, ponad siły głodnych i słabych kobiet, ale nikt się tym nie przejmował. Ja na szczęście nawykłam do pracy, ale były takie dziewczynki jak Tila. Widać, że w domach chuchano i dmuchano na nie. One umierały szybko... – zamyśla się, jakby kogoś wspominała.

– Cały czas pilnowały nas strażniczki z psami – mówi po chwili. – To nie były zwykłe zwierzęta, tylko bestie. Obserwowały nas, gotowe do skoku, gdyby któraś zrobiła gwałtowniejszy ruch. Wystarczyło podnieść rękę, a rzucały się,

przewracając na ziemię i chwytając zębiskami za piersi. Kiedyś się potknęłam, nie wywróciłam, tylko tak jakby podbiegłam. Nawet nie wiem, kiedy rzucił się na mnie ogromny wilczur. Zobacz. – Kobieta rozpiną bluzkę i podnosi ciepły podkoszulek.

Tam, gdzie powinna być pełna pierś, Marta widzi cienką czerwoną skórę i poszarpaną bliznę. – Och! – krzyczy przejęta. – To musiało strasznie boleć!

– Przeżyłam – odpowiada Janka obojętnie i znowu milknie, pogrążając się we wspomnieniach.

Kiedy Marta myśli, że to koniec ponurej opowieści, kuzynka mówi:

– Tam była Bettina.

– Nasza Bettina? Co tam robiła? – Pani Neumann nie rozumie.

– Bettina jest strażniczką w Ravensbrück. Jedną z najokrutniejszych.

– Nie. Mylisz się. To ktoś podobny. Przecież nikt stąd nie mógłby... – gorączkuje się Marta. – Bettina wyjechała na służbę, nie do obozu.

– Nasza Bettina, przyjaciółka Tili, jest strażniczką w Ravensbrück – cierpliwie powtarza Janka. – Nie myślę się, bo widywałam ją codziennie. To ona pozwoliła swemu psu mnie okaleczyć.

– Na pewno nie zrobiłaby tobie czegoś takiego. Musiała cię nie poznać.

– Zgadza się. Nie poznała mnie. Kiedy została strażniczką, już nie wyglądałam tak jak dawniej. Poza tym dla niej byłam tylko numerem. I całe szczęście. Gdyby wiedziała, że to ja, na pewno żywa bym stamtąd nie wyszła.

– To straszne. Nie mogę uwierzyć. Jest tylko o rok starsza od Tili – przeżywa Marta. – Myślisz, że Tila też tak mogłaby?

Janka milczy i już nie podejmuje dalszej opowieści. Wkrótce zjawia się Gustav. Jest zaskoczony pustkami na pierzówce.

– Co się stało? Nie przyszły? – pyta.

– Przyszły, ale je wypłoszyłam – odpowiada butnie jego żona. – Przepraszam, Marto, że zburzyłam twój spokój – zwraca się do kuzynki. – Komuś musiałam o tym powiedzieć.

„Czy wiosna w Chwalimiu będzie za rok równie piękna?” – zastanawiają się niektórzy. „Choć front jest coraz bliżej, to niemożliwe, żeby wróg doszedł aż tutaj” – przekonują siebie najwięksi pesymiści. „Führer na to nie pozwoli. Na pewno coś szykuje, żeby zmiażdżyć przeciwników” – pocieszają się. Te nadzieje umacniają przybysze z Berlina, którzy od marca napływają do Chwalimia i Unruhstadt. Opowiadają historie o tajemniczej broni, która ma być wkrótce wykorzystana. Prawie wszyscy znają osobiście kogoś, kto zna kogoś innego, kto na własne oczy widział ową broń. Mówią o bombach o takiej sile rażenia, że są w stanie zmieść z powierzchni ziemi cały Londyn albo Nowy Jork. Jednakże dotąd to Hamburg, Kolonia i Berlin są niemal zmiecione, a ich mieszkańcy nawet w dzień nie mają spokoju, bo Brytyjczycy przylatują nocą, a Amerykanie zaczynają o świcie.

Tymczasem kwiaty obojętne na ludzkie łęki kwitną i pachną, zboża zielenią się na wzgórzach, krowy rodzą cielęta, a koguty pieją w obejściach.

Na polach widać głównie kobiety. Jeśli zobaczy się mężczyznę, to jest to cudzoziemski robotnik albo młokos, który jeszcze nie doczekał się poboru, lub dojrzały wiekiem rolnik niezdatny do służby. Wszyscy inni walczą na froncie albo służą w formacjach pomocniczych. Częściej niż kiedyś pojawiają się żołnierze na urloпах i rekonwalescenci, bo już nie trzeba jechać ze Wschodu tygodniami. Z Ukrainy czy Litwy jest znacznie bliżej.

Pewnego ciepłego wiosennego dnia do domu Neumannów przykuśtykał Emil. Przyjechał trochę wcześniej, niż zapowiedział w liście do Matyldy. W przeciwnym wypadku nigdy by nie pozwoliła na to, żeby jej ranny ukochany tak bardzo się forsował. Napisał do niej przed Wielkanocą. Leżał w lazarecie, miał więc czas na korespondowanie. Informował, że jest lekko ranny w nogę i jak tylko wydobrzeje, zjawi się w Altreben. W domu nikogo nie było, więc usiadł na ganku oplecionym pędami winorośli i cierpliwie czekał.

Matylda wracała właśnie z zajęć udzielania pierwszej pomocy rannym, które prowadziła dla dziewcząt z BDM, kiedy pani Heckman zawołała do niej z okna, że szuka jej ktoś ubrany w wojskowy mundur. Nie bacząc na nic, nacisnęła mocniej pedały roweru i popędziła przed siebie. Ujrzała go pierwsza. Siedział na schodkach z twarzą wystawioną ku słońcu, z przymkniętymi powiekami. Głowę przechyloną w bok oparł o deski pomalowane zieloną farbą. Spał. Zeszła cichutko z roweru i stała przed furtką. Obawiała się, że wchodząc na podwórko, może go obudzić. Patrzyła na bladą wymizerowaną twarz, marząc, by móc się nim opiekować przez całe życie. Młody mężczyzna chyba coś wyczuł, bo otworzył oczy i osłoniwszy je ręką przed słońcem, spojrzął w kierunku furki. Zobaczywszy Tilę, zerwał się i jednocześnie krzyknął z bólu – noga sama się zgięła i byłby upadł, gdyby nie podparł się ręką o schodek. Dziewczyna rzuciła rower na trawę i popędziła

na pomoc.

– Nic mi nie jest – tłumaczy zawstydzony. – Za szybko się podniosłem.

– Mogłeś upaść. Uderzyć się! Jesteś taki nieostrożny! – wyrzuca mu Tila, ale już go obejmuje i tuli delikatnie, jakby nie chciała zrobić mu krzywdy. – Jesteś! – szepcze i topi spojrzenie w jego brązowych oczach.

– Jesteś – jak echo powtarza chłopak. Ostrożnie dotyka jej policzka i włosów splecionych w warkocze, jakby nie mógł uwierzyć, że to ona, i w dodatku w nim zakochana.

Marta wróciła ze Stefanem z pola dopiero późnym popołudniem. Cieszy ją widok Emila, ale i trochę martwi, bo wie, że dopóki będzie na urlopie, córka niewiele robi w gospodarstwie. Już nie może liczyć na Jankę. Niedawno zatrudniła się w Unruhstadt u Richterów. Właścicielki, bo tylko kobiety zostały w majątku, odkąd pan Georg Richter poległ w Afryce, miały stałych robotników, głównie Polaków, którzy jeszcze przed wojną pracowali w posiadłości, zachęceni przyzwoitymi zarobkami, mieszkaniem służbowym i dobrym traktowaniem. Jednak władze od pewnego czasu ograniczają liczbę cudzoziemskich robotników w rolnictwie, przenosząc ich do przemysłu zbrojeniowego, dlatego Richterom także brakuje rąk do pracy.

Marta była sama sobie winna temu, że Janka poszła gdzie indziej, bo bardzo rzadko wołała ją do pomocy. Dawali sobie radę z Tilą i Stefanem, czasem w wolnej chwili dołączali do nich Franka albo Christian. Niestety teraz, kiedy jest więcej zajęć, Matylda będzie tylko patrzeć, żeby umknąć na spotkanie z chłopakiem, a nikogo do pomocy zamiast niej nie znajdzie. Franka, odkąd pani Holzer urodziła wymarzonego Adolfa, rzadko bywa u Neumannów, bo jest na służbie dzień i noc. Słabe, chorowite i płaczliwe dziecko wymaga nieustannej troski. Christian ma po szkole zajęcia z przysposobienia obronnego. Wciąż uczy się strzelania, orientacji w terenie i wielu innych rzeczy, które mogą się przydać na wojnie.

Ona sama jest w nie najlepszej formie psychicznej. Kruchą równowagę, jaką w sobie zbudowała po śmierci Manfreda, naruszyła opowieść Janki. Już nie potrafi nie myśleć o głodujących ludziach i ich prześladowcach. Nawet jeśli wcześniej dochodziły ją jakieś strzępy informacji, to starała się wmawiać sobie, że to nieprawda albo że na pewno nie jest tak źle. Pewnego razu na polu, kiedy siały marchew na wczesny zbiór, Janka ni z tego, ni z owego znowu zaczęła mówić o obozie. Tym razem o dzieciach, które cierpiały bardziej niż dorośli. Marta gotowa była się sprzeczać, bo to było nie do uwierzenia. Kto mógłby dzieci trzymać w obozie? Za co? Ale nie odezwała się. Wiedziała, że kuzynka mówi prawdę.

Od tego czasu nie potrafi zasnąć, jeśli nie wypije kieliszka wina. Tylko tak może zatrzeć w wyobraźni obraz żydowskiej dziewczynki, której rodziców zabito, a ją chwilowo oszczędzono, bo nie starczyło czasu. Janka troszczyła się o nią przez

kilka dni. Tuliła do snu i śpiewała kołysanki. Kiedy po nią przyszli, nie mogli jej oderwać od opiekunki. Ciągnęli za włosy, aż wreszcie wylamali maleńkie paluszki i krzyczącą z trwogi powlekli po piachu.

– Jak możesz żyć po tym wszystkim? – zapytała.

– Myślałam, że nie będę mogła, ale jak widzisz, żyję – odparła kuzynka.

Marta spogląda przez okno na zakochaną parę. Tila odprowadza Emila, wspiera go ostrożnie, żeby odciążyc zdrową nogę. Córka promienieje szczęściem.

„Jaka przyszłość ją czeka w tym strasznym świecie?” – zastanawia się i zabiera się do zmywania po obiedzie.

Szczęśliwe chwile zawsze mijają zbyt prędko. Rana na nodze goi się dobrze, ale lekarz uprzedził Emila, że już zawsze będzie utykał. Normalnie przeniesiono by go w stan spoczynku, ale teraz, kiedy każdy choć trochę zdolny do walki jest potrzebny, trudno na to liczyć. Niecałe dwa tygodnie od przyjazdu jeszcze niezupełnie zdrowy żołnierz dostał powołanie do służby w Ordnungspolizei^[57].

– Dobre i to – pociesza go Matylda. – Przynajmniej nie wrócisz na front.

– W ogóle nie chciałbym wyjeżdżać. Najchętniej zostałbym z tobą.

Jest wczesne niedzielne popołudnie. Młodzi przyjechali rowerami nad Schwentesee. Tila rzadko tam bywa, bo nie może zapomnieć strasznej nocy, kiedy zginął ojciec, ale z Emilem poszłaby wszędzie. Alejką wokół jeziora przechadzają się tacy jak oni – dziewczęta z Altreben albo z Unruhstadt i żołnierze na urlopach. Kilku nastolatków uparcie okrąża akwen na rowerach, na wodzie kołysze się łódź z całującą się parą, z wnętrza restauracji płynie jakaś melodia, a na drewnianym podeście kręci się starsze małżeństwo. Po trawniku otaczającym willę sunie paw z wachlarzem mieniących się zielonkawo piór. O wojnie przypominają jedynie mundury młodych mężczyzn i niezwykły jak na tę porę spokój. Tila i Emil tak jak inni szepczą, całują się i tulą. Czasem milkną zasłuchani w ptasie trele bądź słowa piosenki mówiące o miłości i pożegnaniu.

Zatrzymali się pod starą jabłonią obsypaną w tej chwili kwiatami. Od czasu do czasu jakiś biały płatek pod wpływem podmuchu wiatru odrywa się i spada na ich włosy. Jeden zatrzymuje się na nosie Matyldy. Ona próbuje go zdmuchnąć, robiąc przy tym zabawnego zeza. Wybuchają śmiechem i znowu się całują.

W pewnym momencie mężczyzna sięga do kieszeni. Wyjmuje z niej małe pudełeczko w kształcie serca. Tila wie, co to znaczy. Wzruszona podnosi wieczko i zagląda do wnętrza. Na białej atłasowej tkaninie spoczywa pierścionek z niebieskim oczkiem. Emil bierze ją za rękę i pyta przejęty:

– Zostaniesz moją żoną?

– Tak! – odpowiada, rzucając mu się na szyję. – Och! Tak!

Po kolejnej serii pocałunków pierścionek zostaje wsunięty na palec, a oni szczęśliwi patrzą to na błękitny kamyk, to sobie w oczy. Nagle słyszą szum i deszcz białych płatków spada im na głowy. To paw wywołał wstrząs,

bo podfrunął i usiadł na gałęzi. Znowu się śmieją szczęśliwym, beztroskim śmiechem, nie zwracając uwagi na głośny, przenikliwy krzyk ptaka.

Potem narzeczony odprowadza Tilę do domu i młodzi rozstają się, by spotkać się znów wieczorem. Zostało im tylko kilka dni, nie mogą więc tracić czasu. I nie tracą, bo Emil nie ma w sobie dość silnej woli, by dotrzymać obietnicy danej kiedyś Marcie. Wszystko się sprzysięgło przeciw niemu – miękka majowa trawa, ciepła pachnąca noc i piękna dziewczyna tuląca się bezwstydnie i niebroniąca śmiałych pieszczot.

Marta stoi w sypialni i wdycha mocny gorzkawy zapach bzu. Ten, zamiast budzić w niej dawną błogość, tylko pogłębia smutek i poczucie osamotnienia. Jak zawsze przed snem sięga po szczotkę, tyle że nie przed lustrem, a w otwartym na oścież oknie w ciemnościach rozświetlonych blaskiem księżycy zasłuchana w słowicze trele odbywa swój rytuał szczotkowania długich ciemnych włosów.

102

Peter Radach umiera. Nie zdążył sprzątnąć pszenicy z pola, tylko jęczmień ozimy i żyto trafiły do stodoły. Pewnego upalnego dnia usiadł znużony na ławeczce przed domem i już z niej nie wstał o własnych siłach.

Marta posłała Stefana do pomocy Annie, mimo że sama nie zakończyła jeszcze żniw, Greta załatwiła młodzież z Reichsarbeitsdienstu i tylko dzięki temu żniwa u Radachów wciąż trwają.

Wieczorem do leżącego w łóżku Petera zagląda Ewald. Codziennie próbuje zachęcić ojca do wstania. Bierze go za rękę, ciągnie delikatnie i mówi coś po swojemu, płacze albo denerwuje się, bo nie rozumie, dlaczego tata leży, zamiast iść do pracy. Dzisiaj złości się bardziej niż zwykle. Jakiś obcy chłopak w mundurze popchnął go i śmiał się, kiedy wywrócił się na ściernisku, a ojca nie było, żeby nakrzyczeć na tamtego. Ewald szarpie chorego za ramię i gorączkowo bełkoce. Milknie, poczuwszy czyjąś rękę na ramieniu. To Stefan. Zazwyczaj upośledzony mężczyzna cieszył się na jego widok, bo lubił człowieka, który często pracował z ojcem, ale teraz i na niego jest zły. Na polu nie obronił go, tylko stał i patrzył. Ewald wie, że tak nie postępuje przyjaciel. Strząsa dłoń Polaka i nadąsany wychodzi z pokoju.

– Gniewa się na mnie – mówi cicho Stefan.

Peter podnosi powieki i patrzy z uwagą na robotnika. – Zawsze mi się wydawało, że mnie rozumiesz. Dlaczego ukrywałeś, że znasz niemiecki? – pyta z wysiłkiem.

– Tak było lepiej. Mogłeś być przy mnie szczerzy. – Stefan uśmiecha się przepraszająco.

– Nie wydałeś mnie... – szepcze chory i zamyka oczy.

Polak myśli, że Radach zasnął, więc bezszelestnie wycofuje się z pokoju.

Jest już przy drzwiach, kiedy Peter, nie podnosząc powiek, mówi słabym głosem:

– Jak przyjdą, powiedz, żeby nie robili krzywdy...

– Kto? Komu nie mają robić krzywdy? – dopytuje Stefan, cofnąwszy się do łóżka, ale na próżno. Chory zasnął.

Peter Radach odszedł nazajutrz o świcie. Dusza opuszczała utrudzone ciało w tej samej chwili, kiedy nad Unruhstadt słońce zaczynało swą wędrówkę po nieboskłonie, a jego pierwsze promienie przeglądały się w kroplach rosy i czujnych oczach zajęcy pasących się na ścierniskach.

Po pracy, w stodole pełnej nieomłóconego zboża, Stefan ukląkł obok swego letniego posłania, sięgnął po krzyżyk, który nosił na szyi na łańcuszku, i ściskając go w dłoni, modlił się za duszę Petera.

„Co by ojciec na to powiedział – myślał potem – że ja za Niemca mówię pacierz? Za dobrego człowieka – usprawiedliwił się przed sobą – nieważne, kim był”.

Na polach w pobliżu Schwentesee w równych rzędach stoją ułożone w kopy snopy pszenicy. Kłosa są ciężkie od ziaren. – Jakiż urodzaj w tym roku! – cieszą się gospodynie. – Będzie i dla państwa, i dla siebie. Starczy wszystkim do następnych żniw. Żeby tylko ta wojna się skończyła, żeby tu nie przyszła... – zaklinają los.

103

Emil nie napisał, że przyjedzie. Nawet ciotka Hedwiga była zaskoczona, kiedy stanął w drzwiach. Zjadł obiad, pożartował z dziewczętami, poszedł z Gustavem po krowy, nawet wstąpił na chwilę do Gogolów, ale do Matyldy mu się nie spieszyło. Wieczorem Hedwiga widziała się z Martą na zebraniu koła Ligi Kobiet, ale nie powiedziała jej o przyjeździe przyszłego zięcia. „Niech młodzi sami dochodzą ze sobą do ładu. Może się pokłócili?” – pomyślała.

Josef zaprosił Emila do gospody. Okazało się, że są jedynymi gośćmi Friedy Androl. Sączą marne piwo i rozmawiają, a właściwie mówi wuj, bo młody mężczyzna w policyjnym mundurze tylko odpowiada na pytania. Tak jak wszyscy Josef chce wiedzieć, czy istnieje jakiegokolwiek niebezpieczeństwo, że front dojdzie do Chwalimia.

– Wuju, Sowieci stoją za Wisłą. Jeśli ją przekroczą, chyba nic ich nie powstrzyma.

– Ale wszyscy mówią o wunderwaffe!

– Tak, tak. Mówią o cudownej broni, tylko nikt jej nie widział – drwi Emil.

– Nie przegramy. To się nie może tak skończyć. Za dużo ofiar ponieśliśmy. Z każdego domu w Chwalimiu i Unruhstadt ktoś zginął na froncie albo został ranny. To nie może pójść na marne – przekonuje Josef.

– Obyś miał rację, wuju.

– Powiedz, chłopcze, co ty robisz w tej Ordnungspolizei.

– Służymy na tyłach. Większość policjantów to tacy jak ja – nie w pełni sprawni żołnierze albo zwykli ludzie – starsi mężczyźni nienadający się do walki na pierwszej linii, którzy w cywilu byli urzędnikami, rzemieślnikami albo rolnikami. Duża część z nich to ochotnicy wierzący w naszego Führera.

– To chyba ta wasza służba nie jest zbyt ciężka. No i bezpieczniejsza! Nie to, co front.

– Sto razy bardziej wolałbym front! – Emil nagle podnosi głos. – Tam przynajmniej wiedziałem, kto jest wrogiem i dlaczego muszę go zabić. Ja albo on – nie było innego wyjścia.

– To co wy tam robicie? – chce wiedzieć Josef zaskoczony wybuchem chłopaka.

– Utrudniamy życie polskim bandytom, tym, którzy niszczą linie kolejowe, wysadzają jadące na front pociągi pełne uzbrojenia albo naszych żołnierzy. To przez nich nie możemy uzyskać przewagi na froncie. Przed sobą mamy Sowietów, a za plecami polskich bandytów – wyrzuca z siebie zagniewany Emil. – Wybacz, wuju, ale już nie chcę o tym rozmawiać. Chodźmy do domu. – Mówiąc to, wstaje z długiej ławy i nie sprawdzając, czy Josef za nim podąża, zmierza do drzwi.

Minęła doba, odkąd wysiadł z pociągu na stacyjce w Altreben. Po sutym obiedzie przygotowanym przez ciotkę niezbyt szybkim krokiem maszeruje do domu Neumannów. Jest tak zamyślony, że na wysokości gospodarstwa Marty przechodzi przez jezdnię, nie patrząc na boki, i wpada wprost pod koła roweru pani Knobel. Młoda kobieta omal się nie wywraca. Zdenerwowana obrzuca Emila epitetami, a potem wsiada z powrotem na rower i mruczając gniewnie pod nosem, jedzie dalej.

Tila jest zajęta myciem podłogi w dużym pokoju. Wykręciwszy mokrą szmatę, prostuje się nad wiadrem i od niechcienia rzuca spojrzenie na ulicę właśnie w tym momencie, kiedy zawstydzony mężczyzna próbuje przeprosić pechową cyklistkę. Ogarnięta paniką natychmiast rzuca ściereczkę na podłogę, w biegu zrywa z siebie przybrudzony fartuch i susami pokonuje schody na górę. Błyskawicznie nalewa wody do miski, myje się, a potem poprawia włosy, z wieszaka ściąga odświętną niebieską sukienkę, gna do lustra w matczynym pokoju i uznawszy swój wygląd za znośny, zbiega po schodach na dół. Niepotrzebnie się spieszyła, bo Emil rozmawia z matką. Stoją oboje na progu stajni i wymieniają jakieś uwagi. Wychodzi mu naprzeciw szczęśliwa, roześmiana. Narzeczony, ujrawszy ją, blednie, jakby zobaczył ducha. Aż się zachwiał i oparł o ścianę.

– Co ci jest? – niepokoi się Marta. – Źle się czujesz?

– Nie. Jakiś skurcz mnie w nogę złapał – kłamie. – Już przechodzi.

– Chodźmy do domu. Usiądziesz. – Marta prowadzi gościa pod rękę, a Tila otwiera drzwi. – Zrób mu coś do picia. Ja idę, bo nie skończyłam czyścić Lotte.

– A Stefan? – Emil wie, że od kilku lat ten obowiązek jest przypisany Polakowi.

– Posłałam go do Radachów. Wiesz, że Peter nie żyje?

– Ciocia mi mówiła. Szkoda. Porządny był z niego człowiek.

Zostali sami, ale rozmowa jakoś się nie klei. Tila zagaduje narzeczonego, patrzy zalotnie, nawet przez moment siada mu na kolanach. On się uśmiecha, całuje w policzek, odpowiada zdawkowo, wreszcie wstaje i wyjaśnia, że musi już iść, bo obiecał pomóc wujowi.

– Ale przyjdiesz wieczorem? – pyta Matylda, choć uważa, że nie może być inaczej.

– Nie – słyszy. – Spotkamy się jutro. Zайдę po ciebie, idąc na nabożeństwo.

Znowu cmoknięcie w policzek i już go nie ma. Zupełnie dezorientowana stoi na środku kuchni. Nie wie, co ma myśleć. Ciężkim krokiem wraca do swego pokoiku, z powrotem przebiera się w robocze ubranie i idzie dokończyć sprzątanie. „O co mu chodzi? – zastanawia się. – Na pewno ma kogoś innego! Dlatego jest taki obojętny. Już mnie nie kocha! – Łzy napływają do oczu i kapią na mokrą podłogę. – Mogłam się tego spodziewać. Dostał, co chciał, i już mnie nie potrzebuje. Czemu byłam taka głupia i mu uległam? Gdyby nie to, wciąż by mnie kochał. Ale Karłowi się oparłam i też mnie zostawił. Bądź tu mądra. Karl! – nagle doznaje olśnienia. – Przecież był na urlopie. Na pewno ktoś powiedział Emilowi, że z nim rozmawiałam. A to on mnie zagadnął. Pytał, czy nie wiem, co się dzieje z Ireną. »Skąd mam wiedzieć?« – odburknęłam i tyle. Jutro wszystko się wyjaśni – wzdycha z ulgą. – Wytłumaczę, jak było, i Emilowi minie. Przecież nie rzuci mnie za takie głupstwo. – Uspokojona wychodzi na podwórko i wylewa z wiadra brudną wodę. – A jeśli on już mnie nie kocha...?”

Wspólny spacer na nabożeństwo w Unruhstadt niczego nie wyjaśnił. Przeciwnie, pogorszył sprawę, bo Tila po kilku próbach nawiązania rozmowy naburmuszyła się i wracali, nie zamieniwszy po drodze ani jednego słowa. Kiedy byli już przed domem, Emil nieoczekiwanie zapytał, czy po południu pójdzie z nim na spacer. Zgodziła się, mimo że była przekonana, iż chodzi mu tylko o zerwanie zaręczyn.

Marta także dostrzega zmianę w zachowaniu chłopaka. Niepokoi ją ta sytuacja, bo nie mogłaby marzyć o lepszym zięciu niż Emil. To nie tylko pracowity i uczciwy mężczyzna. Dla pani Neumann jego największym walorem jest brak własnego gospodarstwa i to, że w razie ożenku przyjdzie do Tili. „Będzie miał kto tu pracować. Może nawet winnicę się odtworzy... – marzy, ale natychmiast karci się za lekkomyślność. – Znowu zaczynam, a przecież powiedziałam sobie, że już nigdy nie będę niczego planować”. Obserwuje córkę wybierającą się na spotkanie z narzeczoną. Nie wygląda na szczęśliwą.

– Tila... co się dzieje? Posprzeczałyście się? – pyta zatroskana.

– Nie wiem, mamoo... – Nagle usta Matyldy układają się w podkówkę, jak wtedy, gdy była mała. – On jest jakiś obcy. Chyba już mnie nie kocha.

Marta bierze w ramiona swoją nieszczęśliwą córeczkę. – To niemożliwe. Kochał cię już wtedy, gdy byliście dziećmi. Wszyscy to wiedzieli oprócz ciebie. Nie mógł tak nagle się odkochać. Zapytaj go – radzi. – Musi być jakaś inna przyczyna. Idź. – Popycha ją lekko w stronę drzwi. – Na pewno wszystko się wyjaśni.

– Weź sweter! – woła za idącą korytarzem dziewczyną. – Wieczory są chłodne.

Tak jak w dniu zaręczyn, jadą rowerami nad jezioro. Najpierw asfaltem przez całą wieś, potem, zostawiając po lewej cmentarz, skręcają w prawo obok dużej reklamy restauracji nad jeziorem. Tu kończy się długie wzniesienie, na którym wiele lat temu rosły setki hektarów winorośli. W pewnej odległości od drogi stoi dom oznaczony numerem jeden^[58]. Pierwszy dom w Altreben dla tych, którzy jadą od strony Züllichau. Mieszka tu emeryt Anton Marschner. Jego wielką miłością są ptaki. Robi dla nich budki lęgowe i zawiesza je w każdym możliwym miejscu. Potem słucha ich śpiewu od świtu do zmierzchu, dziękując Bogu za piękno tego świata.

Do jeziora prowadzi wygodny trakt, która wrzyna się w dolinę i kończy dokładnie przed willą Else i przystanią. Tila i Emil odstawiają rowery i idą do restauracji napić się lemoniady. Owszem, rozmawiają, ale o tym, że jesień przyszła nie wiadomo kiedy, o udanych wykopkach i smaku pieczonych kartofli, i że lada chwila zieleń klonów zamieni się w złoto. Spacerując alejką wokół jeziora, przystają na słonecznych plamach, by chwycić ostatnie gorące promienie, a potem znów zanurzają się w chłodnym cieniu. W końcu opuszczają wygodną drogę i ścieżką między zaroślami idą w górę na pole, które kiedyś było winnicą Marty. Tam przysiadają pod samotną gruszą, której owoce wciąż wiszą na gałęziach. Emil zrywa jeden i wbija weń zęby. Cierpki smak i kamienna twardość zniechęcają go, odrzuca więc gruszkę daleko.

– Dopiero zimą będą dobre – wyjaśnia Matylda. – Nie pamiętasz? Mama zawsze chowa je do siana, żeby zmiękły.

– Pamiętam. Ja tylko... – nie kończy chłopak.

– Emil... co się z tobą dzieje? Dlaczego jesteś taki? – Tila zdobywa się na odwagę, bo niepewność jest dla niej udręką.

– Jaki? – Emil udaje, że nie rozumie.

– Obcy, inny. Jakbyś mnie wcale nie kochał! – podnosi głos zdenerwowana dziewczyna. – Powiedz mi w oczy, że chcesz zerwać zaręczyny, i mnie nie oszukuj! – wykrzykuje przez łyzy. – Masz – mówi, zdejmując z palca pierścionek. – Weź go sobie. Nie potrzebuję twojej litości!

– Tila! Przepraszam! Kocham cię nad życie. Jak mogłaś tak pomyśleć? –

Emil wkłada z powrotem pierścionek na palec szlochającej Matyldzie. – Przepraszam, przepraszam, przepraszam – powtarza, całując jej łzy. – To moja wina. Ta służba, teraz... Wolałbym front.

– Dlaczego? Przecież na froncie mogliby cię zabić! Nie rozumiem. Wytłumacz mi dlaczego.

– Nie wiem jak. Nie teraz.

– Poczekam. – Tila rozkłada sweter na trawie i kładzie się, jakby dawała do zrozumienia, że się stąd nie ruszy, dopóki nie usłyszy wyjaśnień. – Uspokoimy się i wtedy porozmawiamy. Musisz mi powiedzieć, co cię dręczy.

Emil kładzie się obok, patrzy w górę na liście gruszy i na niebo, po którym suną pierzaste obłoczki, gryzie źdźbło trawy i myśli, co ma powiedzieć ukochanej. Wydaje mu się, że zasnęła. Leży z ręką pod głową, oczy ma zamknięte, a po łzach zostały tylko ślady.

– Znasz legendę o Schwentesee? – pyta półgłosem, pochylając się nad dziewczyną.

Natychmiast otwiera oczy. Są teraz tak błękitne jak niebo i sukienka, którą ma na sobie. – Znam. Przecież to nasza legenda. Każdy ją zna. Wieki jej nie słyszałam, opowiedz – prosi, bo chce, żeby mówił cokolwiek. Byleby nie milczał.

– W dawnych czasach – zaczyna Emil, kładąc się na plecach – w tym miejscu, gdzie dziś jest jezioro, była osada, w której mieszkali zamożni ludzie. Pewnego wieczoru przybył do wsi zmęczony wędrowiec. Chodził od chaty do chaty, pukał do drzwi, a kiedy mu otwierali, prosił o nocleg i coś do zjedzenia albo chociaż kubek wody. Jednak ludzie zatraskiwali mu drzwi przed nosem. Nikt nie chciał wpuścić za próg biedaka w zakurzonym odzieniu. Zasmucony wędrowiec szukał dalej. Na krańcu wsi, znacznie wyżej od innych, stała mała biedna chatka. Mimo że był już bardzo zmęczony, podjął ostatnią próbę. Wspiął się z trudem na wzniesienie i zapukał. Otworzyła mu sympatyczna niewiasta. Wpuściła go od razu. Przy stole siedziała gromadka dzieci i mąż kobiety. Choć niewiele było do jedzenia, posunęli się na ławie i podzielili tym, co mieli, a gospodyni przygotowała mu miejsce do spania. Kiedy rano gospodarze wyprowadzili swego gościa za próg, oczom wszystkich ukazał się przerażający widok. Na miejscu dawnej wsi i otaczających ją pól powstał duży lej, a na jego dnie połyskiwała woda. Dookoła wznosiły się wzgórza. Okazało się, że ów nieznany gość to był Zbawiciel, który przybył, by wypróbować ludzkie serca. Jednak wszystkie były twarde i bezlitosne. Dlatego ziemia i znajdujące się na niej budynki oraz cały majątek ludzi musiały przepaść. Ocalała tylko jedna cnotliwa i pobożna rodzina. Potem ów nieznajomy gość rozpląnął się w powietrzu na oczach zdziwionych gospodarzy. Skromna chata owych biedaków stała tam, gdzie kiedyś znajdował się dom winiarza. Pamiętasz go? – zwraca się Emil do zasłuchanej Tili. – Legenda głosi, że na dnie naszego jeziora znajdują się ci, którzy mieli

zatwardziały serca. Nie zasłużyli na nic lepszego – kończy, siadając.

Zapada cisza. Słońce zachodzi za lasem i robi się chłodno, ale Matylda wciąż leży. – Dlaczego opowiedziałeś mi właśnie to? Co chcesz mi dać do zrozumienia? – pyta, siada przy nim i kładzie mu głowę na ramieniu. – Powiedz. Będzie ci lżej.

– Mam złe, zatwardziały serce – mówi niespodziewanie Emil. – Moje miejsce jest tam – wskazuje na ciemną wodę dobrze widoczną z miejsca, gdzie się zatrzymali.

– Co? Co ty mówisz? Na pewno nie ty! Ktokolwiek, ale nie ty! Przecież cię znam. – Tila nie może się pogodzić z tym, co usłyszała.

– Chciałaś, żebym ci powiedział, co mnie dręczy. Dobrze. – Emil podejmuje desperacką decyzję. – Jeśli masz być moją żoną, musisz wiedzieć, jaki jestem. Kiedy dostałem powołanie do policji, nawet się ucieszyłem. Myślałem, że wszystko lepsze niż front. Szybko się przekonałem, że to nie jest takie proste. Jestem w oddziale, który wspiera wojsko i SS w walce z bandytami. Oni nazywają siebie partyzantami. Są na swojej ziemi, w Generalnym Gubernatorstwie. Znają teren, trudno ich złapać, a ich działalność naraża nas na wielkie straty. Są bez skrupułów. Widziałem skutki wybuchu na torach, kiedy przejeżdżał pociąg wiozący rekrutów na front. Nie będę ci opowiadał, co zostało z tych dzieciaków. Mówię o nich dzieciaki, bo mieli po siedemnaście, a niektórzy nawet szesnaście lat. Dlatego ja też nie miałem żadnych wyrzutów sumienia. Był rozkaz: Łapać! Torturować! Wiesz! – robiłem to i spałem spokojnie. Rozkaz to rozkaz – mówiłem sobie. Do czasu, kiedy skierowano nas do pacyfikacji wsi podejrzanej o pomaganie partyzantom.

– Co to znaczy?

– Oni muszą gdzieś leczyć rannych, zdobywać jedzenie, czasem się przespać. Wsie są dla nich takim zapleczem. Jeżeli pozbawi się ich tych miejsc, można ich szybciej wykończyć – tłumaczy młody policjant.

– Jak się im te miejsca zabiera? – dopytuje się dziewczyna.

– Pali się je. Po prostu.

– No to trudno – kwituje Tila. – Po co wieśniacy pomagają bandytom? Chyba wiedzą, co ich za to czeka?

– Myślę, że wiedzą, ale i tak to robią, bo nas nienawidzą.

– Co potem? Dokąd idą, jak już spalicie im domy? – Ciekawość Matyldy nie gaśnie.

– Nigdzie. Są zabijani.

– A dzieci? Kobiety? Co z nimi? – Tila czuje, że coś ją chwyta za gardło.

Emil nie odpowiada od razu. – To była bardzo biedna wieś – mówi po chwili. – Małe, niskie domy kryte strzechą paliły się błyskawicznie. Mężczyzn rozstrzelaliśmy najpierw. Kobiety myślały, że ich obronią. Krzyczały, błagały, czepiały się naszych nóg. Potem patrzyły na swe płonące chałupy i dalej

zawodziły. Dowódca powiedział, że mamy załatwić wszystkich, żeby inni, którzy pomagają bandytom, zrozumieli, że nie będzie dla nich litości. Spędziliśmy te lamentujące baby, dziewczęta i dzieciaki w jedno miejsce. Długo nie mogliśmy ich porządnie ustawić. Wreszcie się udało, stały jedna obok drugiej. My z karabinami naprzeciwko. I wtedy ją ujrzałem... Mogła mieć piętnaście lat. Miała na sobie niebieską sukienkę, a jasne włosy były zaplecione w warkocze. Bardzo się bała. Patrzyła mi w oczy... Drżała. Rozumiesz? Cała się trzęsła. Nie panowała nad tym. Nogi, ręce, usta – to był jeden wielki dygot.

Matylda słucha i czuje, że cierpie jej skóra. Już wie, co będzie dalej.

– Obok mnie stał z karabinem starszy mężczyzna. W cywilu był sprzedawcą. Opuścił lufę i powiedział dowódcy, że on tego nie zrobi. Za nim jeszcze dwóch odmówiło wykonania rozkazu. Wiesz, w policji jest inaczej niż w wojsku, za odmowę wykonania rozkazu w szczególnej sytuacji nie ma formalnej kary. Oni mogli tak zrobić.

– Ty też? – pyta Tila z nadzieją.

– Nie – odpowiada przytłumionym głosem. – Kary nie ma, ale później wszyscy mają cię za tchórza albo mięczaka. Pomyślałem, że jak strzelę celnie, oni nie będą się męczyć, więc kiedy padł rozkaz... zrobiłem to.

Zmierzch zapadł szybko. Nad jeziorem unosi się mgła, a oni nie wstają. Patrzą w przestrzeń, bo boją się spojrzeć sobie w oczy.

– Wciąż o niej myślę... O tej dziewczynie... Niebieska sukienka była cała we krwi.

– Co się ze mną stało? – odzywa się znowu po chwili milczenia. – Kiedy moje serce zrobiło się złe i zatwardziało? Co powiedziałby Zbawiciel, gdyby teraz przyszedł na ziemię? Chyba potopiłby nas wszystkich jak niepotrzebne kocięta, bo na nic innego nie zasługujemy. Jedni drugim wyrządzamy krzywdę, oko za oko... nigdy przebaczenia.

– Sam mówiłeś, że oni zabijali naszych, więc to sprawiedliwe. – Tila próbuje pomóc Emilowi.

– Już nie wiem, co jest sprawiedliwe. Niech się to wreszcie skończy! – Mężczyzna kładzie się na mokrą od zimnej rosy trawę, jakby całkiem opadł z sił.

– Chodźmy. – Matylda wstaje i bierze go za rękę. – Idźmy do domu. Już nikogo tu nie ma.

Zanim położyła się do snu, zdjęła odświętną niebieską sukienkę i powiesiła ją na wieszaku. „Już nigdy jej nie włożę” – pomyślała.

104

Nemmersdorf^[59]! Och! Nemmersdorf! Cóż może być straszniejszego od Nemmersdorfu! Tytuły w gazetach krzyczą, martwe twarze patrzą z fotografii. Zobacz, żołnierzu, co stanie się z twoją żoną, córką, matką, narzeczoną, jeśli

zapomnisz o Nemmersdorfie! Zmęczyła cię wojna? Masz dość zabijania? Obejrzyj kronikę filmową. Zobacz Nemmersdorf! Zaciśnij zęby, kobieto. Poślij ostatniego syna na front. Bo inaczej przyjdzie po ciebie dziki Azjata. Nemmersdorf! Spójrz na ciało niemowlęcia w śpioszkach. To zrobią twoim dzieciom, jeśli ich nie powstrzymamy. Ciebie też czeka Nemmersdorf.

Do sali kinowej u Gustava Eichlera w Unruhstadt prowadzone są zastępy młodzieży, żeby mogła na własne oczy się przekonać, do jakiego barbarzyństwa są zdolni Sowietci. Na widowni słychać szloch przerażonych dziewcząt i złorzeczenia żądnych odwetu chłopców. Radio i prasę opanował jeden temat: Nemmersdorf. Przez dwa tygodnie nie ma nic innego. Jest tylko Nemmersdorf.

– Ciociu, idę walczyć. Wrócę do Berlina i zgłoszę się na ochotnika – oznajmia Christian po powrocie z Unruhstadt.

– Mama nigdy by się na to nie zgodziła. Zostaniesz tutaj. – Stanowczy ton Marty nie pozostawia wątpliwości.

– Ciociu, ja muszę! Wszyscy musimy. Oni nie mogą wygrać! Wiesz przecież, co wtedy będzie!

– Od walki są dorośli mężczyźni. Dzięki Bogu nikt nie bierze do wojska trzynastoletnich chłopców. Chcesz pomóc? Robotnicy kopią rowy przeciwczołgowe. Weź łopatę i pokaż, co potrafisz.

– Kopanie rowów? To nie dla mnie! Chcę walczyć! – woła rozgorączkowany wyrostek. – Jutro jadę do Berlina.

– Ani mi się waź! – Marta gniewa się nie na żarty. – Mam dość kłopotów, żeby się jeszcze o ciebie martwić! Żołnierz się znalazł! Marsz do łóżka! Nie dostaniesz dzisiaj kolacji.

Trzaśnięcie drzwiami sygnalizuje, że Christian nareszcie posłuchał. Wkrótce z pokoju, gdzie śpi, dobiega dźwięk włączonego radia. Przemawia Goebbels. Co chwila rozlega się aprobujący krzyk tłumu. Powinna pójść i kazać mu przyciszyć odbiornik, ale na dzisiaj ma dość kłótni. Żałuje, że Tila wyjechała. Może ona przemówiłaby chłopakowi do rozumu.

Zaledwie zebrały z pola ostatnie warzywa i je zakopcowały, Matylda oznajmiła, że nie może siedzieć na wsi, kiedy w szpitalu w Züllichau brakuje pielęgniarek. Przynajmniej na okres zimowy zgłosi się do pomocy. Tym razem Marta nie oponowała. Dopiero co usłyszała o Nemmersdorfie, pomyślała więc, że w razie czego córka będzie dalej od frontu, a jeśli nawet oni by tu przyszli, to szpital na pewno zostanie ewakuowany na czas. Do tej pory dostała od Tili jeden list. Donosiła, że ma bardzo dużo pracy. Nie jest w pełni wykwalifikowaną pielęgniarką, wykonuje więc wszystko, co potrafi – zmienia opatrunki, karmi i myje rannych, czasem pisze listy w ich imieniu.

Marta tak jak inne kobiety ze wsi mówi, że Nemmersdorf się nie powtórzy. Führer na to nie pozwoli. Na razie przygotowują się do przyjęcia uciekinierów.

Zastanawiają się, gdzie ich ulokować i jak wyposażyć. Robią listy potrzebnych produktów i zapisują, kto i co może ofiarować. Zbierają też pieniądze, ciepłą odzież i koce. Żadna niczego nie skąpi. Wszak i tak może dziękować Bogu, że to nie ona jest w potrzebie.

Christian to niejedyny problem Marty. Wczoraj do Holzerów przyszedł burmistrz i powiedział, że od przyszłego tygodnia zostają bez pomocy, bo Franka, podobnie jak wielu innych cudzoziemskich robotników, będzie przeniesiona w głąb Niemiec do fabryki. Dziewczyna od kilkunastu godzin lamentuje. Nie znaczy to wcale, że tak jej dobrze było u Emmy. Pewnie już miała nadzieję na rychłe oswobodzenie, a tu wywiozą ją gdzieś daleko. Wśród robotników mówi się, że choć praca przymusowa u rolnika żadną rozkoszą nie jest, to lepiej być na wsi, niż spać w barakach i pracować w fabryce przez co najmniej dwanaście godzin, o różnicach w wyżywieniu nie wspominając. Pani Neumann, tak kiedyś niechętna polskiej dziewczynie, przyzwyczaiła się do niej i nawet polubiła. Gdyby tylko mogła, załatwiłaby, żeby jej nie zabierali, ale nie ma takich znajomości. Poza tym bałaby się pytania, kogo w takim razie mają zabrać. Może Stefana? Na to by się nie zgodziła. Trudno, niech już tę Polkę biorą. Jest pracownicą Emmy, to ona powinna coś zrobić.

W sobotę wieczorem dała France swoją starą walizkę, żeby miała w co włożyć ubrania, dołożyła okazały pakunek z żywnością, wcisnęła kilkadziesiąt marek do garści, ucałowała mokre od łez policzki i tyle ją widziała.

Christian całe niedzielne popołudnie spędził u siebie. Ani zimno, ani głód nie były w stanie oderwać go od radioodbiornika. W nocy z soboty na niedzielę miało miejsce kolejne wielkie bombardowanie Berlina. Spiker co godzina informował o tym, które dzielnice najbardziej odczuły naloty, i uaktualniał liczbę ofiar. Kiedy Marta przyniosła kolację do nieopalanego pokoju, chłopak wrócił do tematu sprzed kilku dni.

– Ciociu, jadę do Berlina. Muszę znaleźć mamę i Arnolda – zakomunikował.

– Wiem, że się o nich martwisz, ale nie jesteś w stanie im pomóc – próbowała tłumaczyć. – Nawet jeśli ich odszukasz, to przysporzysz mamie kłopotów, bo będzie miała jeszcze ciebie na głowie.

– Jestem mężczyzną! To ja się będę mamą opiekował. Jutro wyjeżdżam – oświadczył hardo młodzieniec.

– Jutro idziesz do szkoły i nie chcę więcej słyszeć o twoich niemądrych planach. – Marta zagniewana wróciła do kuchni.

Gdyby nie obecność Stefana, spędziłaby wieczór zupełnie sama. Osobliwe to towarzystwo ten Stefan. Dopóki była Franka, rzadko kiedy w kuchni panowała cisza. Marta zerka znad robótki na milczka naprawiającego końską uprząż. „Dziwny z niego człowiek – myśli. – Przez te kilka lat, co jest u nas, powinien się nauczyć trochę więcej niż dzień dobry, do widzenia i dziękuję. Ciekawe, co on

teraz myśli. Czeka na Rosjan czy się boi tak jak my? Powinien się cieszyć, że są coraz bliżej. Wróci do domu”. – Napiłbyś się gorącego mleka przed snem? – pyta głośno.

Stefan podnosi głowę i patrzy pytająco. Marta nalewa mleko do rondelka, odsuwa jedno kółko fajerki i stawia garnczek na ogniu. Bierze dwa kubki z kredensu i pokazując mleko, daje do zrozumienia, o co chodzi. Robotnik lekko się uśmiecha i potakuje. Po kilku łykach przyjemne ciepło ogarnia człowieka od wewnątrz. Robi się błogo, przytulnie, leniwie. Gospodyni widzi, jak mężczyzna walczy z narastającą sennością. – Idź już. Jutro dokończysz – mówi do niego i wyjmuje mu sztyko z dłoni. – Ja też idę spać.

W pokoju Christiana jest cicho. Zasnął nareszcie. Marta zdaje sobie sprawę ze stanu ducha chłopca. Od dawna nie było żadnej wiadomości od Ewy, a Arnold całkiem przepadł. Berlin jest wciąż bombardowany. Nie wiadomo, czy najbliższe Christianowi osoby w ogóle jeszcze żyją. Cóż w tym dziwnego, że biedne dziecko chce szukać matki i brata. Musi być wobec niego surowa, bo inaczej już by go tu nie było, a przecież w Chwalimiu jest bezpieczny.

Wchodzi pod zimną pierzynę. Jakoś nie może się zagrzać. Zapomniała wcześniej przynieść termofor i teraz szczęka zębami. „W kuchni powinna być gorąca woda. Zejdę, bo inaczej nie zasnę”.

„Światło w pokoju Christiana? – Naciska klamkę i zagląda do środka. Cisza. Chłopak śpi. – Wydawało mi się”. Ze zbiornika w piecu nabiera wody i napełnia gumowy pojemnik. Wraca do siebie, ale senność już minęła.

Najpierw myśli o Tili i Emilu. Córka powiedziała jej, co trapi narzeczonego, a ona w zamian za okazane zaufanie podzieliła się historią cioci Janki, nie ukryła też roli Bettiny. Wspomnienie o kuzynce przywołało w pamięci tragiczne obrazy, o których tak bardzo próbowała zapomnieć. I do tego jeszcze Nemmersdorf. Wizerunki zamordowanych kobiet i dzieci wdzierają się pod powieki, zatruwają umysł przerażeniem, wlewają w serce zwątpienie w Bożą moc. Czy tutaj też będzie Nemmersdorf?

105

Rano najpierw wyprawiła Christiana do szkoły, a potem ze Stefanem załadowali na wóz skrzynki z warzywami i pojechali do Unruhstadt. Załatwiwszy wszystkie sprawy, zaszli jeszcze do sklepu Josefa Kretschmera. Stefan wykupił swój przydział papierosów, a ona uzupełniła zapas świeczek, bo mówiono, że może nie być prądu. Po powrocie szybko ugotowała zupę i odstawiła ją na brzeg ciepłej płyty, po czym wsiadła na rower i pojechała do Janki.

– Po co tam poszłaś? Mało ci pracy? – robi kuzynce wyrzuty. – Dobrze, że tak się skończyło. Mogłaś się zabić.

Żona Gustava Gogola leży na plecach, obolała, posiniaczona,

z unieruchomioną nogą.

– Chciałam pomóc Łucji. Chłopaka zabrali do wojska i została sama z córkami. Nie ma swojego Stefana jak ty. Całe gospodarstwo na jej głowie. Dopiero teraz mogła się wziąć za młócenie – Janka tłumaczy krewniaczkę.

– Czemu kogoś nie wynajęła?

Kuzynka patrzy na Martę z politowaniem. – Kogo? Słyszałaś o kimś, kto nie ma zajęcia? – Widząc, że przyjaciółka ma niewiele do powiedzenia, dodaje: – Rodzina powinna sobie pomagać, więc poszłam. To moja wina, że taka ze mnie gapa. Nie uważałam i spadłam ze słomy w sąsiedku na klepisko. Tylko kłopotu biedaczce narobiłam.

– W razie czego jak ty się ewakuujesz z tą złamaną nogą? – martwi się Marta.

– E tam, nie będę uciekać zbyt daleko. Za rów przeciwczołgowy jakoś dokuśtykam – żartuje Janka, ale zaraz poważnieje. – Nic mi nie zrobią. Jestem stara, gruba i chora, a Gustav bez ręki. Zostalibyśmy nawet, gdybym mogła chodzić. Ty musisz uciekać.

– Ja też zostanę. Najważniejsze, że Tila jest bezpieczna. Ja dam sobie radę.

Janka unosi się na łokciu. – Nie dasz rady. Wiesz, co zrobili w Nemmersdorfie. Nie czekaj, aż cię dopadną, uciekaj przy najbliższej sposobności.

– Łatwo ci mówić – denerwuje się Marta. – Skąd mam wiedzieć, jak to długo potrwa, zanim będę mogła wrócić? Co ze zwierzętami? Zabiorę ze sobą krowy, świnię i kury?

– Gustav wszystkim się zajmie. Daj tylko znać kiedy.

– Janko, ja nigdzie nie będę uciekać – powtarza Marta z uporem. – Już postanowiłam. Nie umiałabym żyć gdzie indziej.

– Zgwałcą cię i zabiją. Nie rozumiesz?! – denerwuje się kuzynka.

– Może tu nie dojdą i ta rozmowa jest bez sensu? – pani Neumann chce przeciąć bezcelową dyskusję. Okazję ku temu daje Gustav, który zagląda do pokoju.

– Widziałaś, co zrobili z waszym cmentarzem? – pyta.

– Nie. Dawno tam nie byłam. Co się stało? – Marta zrywa się z miejsca.

– Jedź i sama zobacz. Tylko szybko, bo robi się ciemno.

Tuż za domem Gustava Nowaka, tam gdzie kończy się jego sad, a zaczyna las, w poprzek wzniesienia biegnie ogromny wał z piasku przemieszanego z gliną. Schodzi w dół ku drodze, a potem, po drugiej stronie, wrzyna się w cmentarz. To ziemia wydobyta z głębokiego szerokiego rowu przeciwczołgowego. Marta aż krzyknęła z trwogi, bo w piaszczystym nasypie wyraźnie widać poźółkłe ludzkie czaszki, kawałki żeber i piszczeli, a nawet resztki trumien. Słyszy czyjś płacz. Rozgląda się. Niedaleko zatrzymała się Gabi Biedermann z córką. Starsza z kobiet

głośno zawodzi, a młodsza stoi struchlała, zasłaniając usta dłonią. „Tam były groby rodziców Gabi – uświadamia sobie Marta. – Dzięki Bogu, nasze są dalej”.

Wkrótce grono kobiet się powiększa. Jest też kilku mężczyzn. Mimo zapadającego zmroku rozpoznaje Klauza Richtera i jego siostry. Już ma odejść, kiedy zauważa robotnika z naszytą na ubraniu literą P. Młody człowiek oparł się o łopatę i z mściwą satysfakcją przygląda się zbiegowisku. Trwa to krótko, bo zaraz strażnik goni go do pracy, ale dla Marty wyraz twarzy robotnika stanowi zapowiedź tego, co może zdarzyć się w najbliższej przyszłości.

Wraca do domu przygnębiona. Przy obiedzie, do którego siadła tylko ze Stefanem, nie odzywa się. W pewnej chwili ręka trzymająca łyżkę zawisła tuż przed ustami, a gospodyni nawet tego nie zauważyła. Polak zerka na kobietę. Może nawet, jak zwykle, uśmiechnąłby się pod nosem, ale coś jest w wyrazie twarzy pani Neumann, że przygląda się jej poważny i zamyślony.

Jest już zupełnie ciemno, kiedy Marta uświadamia sobie, że Christian nie wrócił ze szkoły. „Nic nie mówił o zbiórce – zastanawia się. – Może zaszedł do Ulrichów i się zasiedziało. – Próbuje się nie denerwować. – Zaraz będzie”.

Po godzinie, nie mogąc wytrzymać niepewności, idzie do Hedwigi. Listopadowa noc jest ciemna i mglista. Spacer przez pustą wieś nie należy do przyjemnych, tym bardziej że tyłu obcych ludzi pojawiło się w ostatnich czasach. Uciekinierzy z miast i cudzoziemscy robotnicy przywiezieni do kopania rowów obronnych. Czy to wiadomo, co komu do głowy przyjdzie? Z ulgą otwiera bramkę w płocie krewniaków. Okazuje się, że przyszła na próżno. Christiana tu nie ma. Zdziwieni chłopcy mówią, że nie było go w szkole. Myśleli, że jest chory. Hedwiga przepytuje synów, czy Christian coś im wspominał o swoich planach. Przestraszeni kręcą przecząco głowami, ale Marta i bez tego wie, że jej podopieczny uciekł i pojechał do matki. Zapewne wsiadł do rannego pociągu do Züllichau, a potem prosto do Berlina. Już go nie znajdzie. Wraca przygnębiona. Zawiodła Ewę. Nie upilnowała chłopca. Jak jej spojrzeć w oczy, jeśli coś mu się stanie?

Dopiero po powrocie do domu dostrzega ubytki w spiżarni i brak stu marek przeznaczonych na bieżące wydatki, które trzymała w kredensie za szkłem. Została tylko kartka zapisana ładnym równym pismem. *Kochana Ciociu, pożyczam pieniądze i jedzenie na drogę. Wszystko Ci oddam. Przepraszam, ale nie mogę inaczej. Dziękuję za wszystko. Christian.*

Marta siedzi na krześle z kartką w ręku. Nie reaguje na pukanie i nie dostrzega wchodzącego Stefana. On patrzy jej przez ramię, czyta kartkę, ale jak zawsze milczy. Widząc, że gospodyni nie przygotowała kolacji, sam idzie do spiżarni, skąd wraca z chlebem, masłem i twarogiem. Zaparza świeżą kawę i siada przy stole. Dopiero teraz gospodyni zauważa jego obecność. Uśmiecha się przepraszająco i też siada do stołu. Odmawia modlitwę i sięga po chleb.

Krótkie listopadowe dni mijają szybko, jeśli są wypełnione pracą. Za to wieczory wloką się niemiłosiernie. Pani Neumann od czasu do czasu odwiedza Helenę Kliem albo Ulrichów, sumiennie uczęszcza na spotkania Ligi, ale coraz bardziej boi się samotnych wędrówek przez pogrążoną w wilgotnej ciemności wioskę. Czasem włącza radio. Właśnie za jego pośrednictwem dowiedziała się, że naloty na Berlin wciąż trwają. Tiergarten i Charlottenburg zamieniły się w jedno wielkie rumowisko. Zginęło prawie cztery tysiące cywilów, a pół miliona nie ma dachu nad głową. – Boże mój, Boże – powtarza, siedząc na posłaniu Christiana. – Dziecko, co ty najlepszego zrobiłeś!

Tego samego dnia, tyle że rano, Christian wyszedł ze schronu znajdującego się na jednej ze stacji metra i pieszo ruszył w kierunku Charlottenburga.

Bezmyślnie czyta namalowane na ścianach napisy: *Erst siegen, dann reisen. Najpierw zwycięstwo, później podróże! Alle Räder müssen rollen für den Sieg. Wszystkie koła muszą toczyć się dla zwycięstwa. Fahrachtung! Vorsicht bei Gäsprechen! Podróżując, uważaj, z kim rozmawiasz! Feind hört mit! Wróg podsłuchuje!*^[60]

Miasto przypomina koszmar. Charlottenburg cały w płomieniach. Fasady niektórych budynków jeszcze stoją, ale przez puste otwory okienne sypią się na przechodniów fontanny iskier. Wszędzie taki dym, że nie ma czym oddychać. Prerażeni, krzyczący ludzie domagają się pomocy. Nieliczni próbują gołymi rękami odrzucać kawały ścian, by dostać się do bliskich uwięzionych w piwnicach. Ulice są nieprzejezdne. Christian wspina się na hałdy gruzu. W pewnym momencie dostrzega ludzką rękę sterczącą z dymiących ruin. Wędrówka przez piekło trwa już piątą godzinę. Z odgruzowanych piwnic wydobywane są ciała. Układa się je blisko przejść, tak by żywi mogli zidentyfikować ofiary. Christian rozgląda się. Nie jest pewien, czy dobrze idzie. Szuka znajomych budynków, jakichkolwiek punktów orientacyjnych. Wreszcie wydaje mu się, że rozpoznaje wieżę kościoła, do którego chodzili z babcią na nabożeństwa. To jeszcze tak daleko, a on umiera z pragnienia. Przysiada na chwilę na kawałku muru, a potem rusza dalej.

W tym samym czasie z innego punktu miasta, ale do tego samego celu zmierza młody mężczyzna w mundurze Wehrmachtu z opaską Hitlerjugend na rękawie. Skończył nocny dyżur w obronie przeciwlotniczej i wiedząc, gdzie tym razem spadły bomby, nagle zapragnął zobaczyć matkę albo chociaż sprawdzić, czy kamienica, w której mieszka, ocalała. I on, głodny, spragniony i śmiertelnie zmęczony, przedziera się przez ruiny, starając się nie patrzeć na twarze umarłych.

Obaj docierają na miejsce o podobnej porze. Stają naprzeciwko siebie oddzieleni kupą gruzu, która była ich domem. Serca wypełnia rozpacz, bo domyślają się, jaki los spotkał matkę. Do rzędu ciał pokrytych cementowym kurzem podchodzą ludzie i zaglądają w blade oblicza. Arnold nie zbliża się do ofiar. Czuje, że po tym, jak się rozstał z matką, teraz nie zniósłby jej widoku.

Zapada zmierzch, a on nie może się ruszyć z miejsca. Obserwuje z daleka wysokiego chłopaka, potarganego i zakurzonego, który pochyla się nad każdym zabitym. Dostrzega, jak nogi się pod nim uginają, a potem klęka na ziemi i płacze. Nie rozpoznaje w nim brata. Robi się ciemno. Napięcie opada na tyle, że może zrobić krok, a potem następny. Wraca na służbę. Nie może się spóźnić.

Dni są coraz krótsze, a każdy bardziej ponury od poprzedniego. Ciemne, ciężkie chmury nie przepuszczają słonecznych promieni. Wiszą nad ludzkimi głowami i siąpią deszczem. Niemcy są równie posępni jak późnojesienna aura. W Unruhstadt przystają w grupkach przed sklepami i rozmawiają o przyszłości, wymieniają się wiedzą o przebiegu frontu, zastanawiają, czy Oni są daleko. – Jeśli przegrana jest nieuchronna, to niechby ci z Zachodu byli tu pierwsi – szepczą niektórzy do bardziej zaufanych osób. Nie mogą powiedzieć tego głośno, bo Führer mówi, że się nie poddamy, a nie wolno uważać inaczej niż Wódz. Każdy robi jakies zapasy na czarną godzinę, mając jednak nadzieję, że ona nie nadejdzie.

Marta jak inni jest przybita złymi wiadomościami, ale miniona noc, choć pracowita, poprawiła chwilowo jej nastrój. Wycieliła się młoda krówka, którą sobie zostawiła z przeznaczeniem na mleczną krowę. Poprzedniego dnia gospodyni zauważyła oznaki zbliżającego się porodu, a że bała się o pierwiastkę, postanowiła poczekać w oborze. Po jakimś czasie dołączył do niej Stefan. Mimo że poradziłyby sobie sama i wcale nie prosiła robotnika o pomoc, zrobiło jej się różniej, kiedy zajrzał do obory, a potem został. Zaczęło się po północy. Przycupnęli na stołeczkach w kącie i nie podchodzili, tylko obserwowali, żeby w razie czego pomóc. Ale nie trzeba było. Najpierw ukazały się przednie nóżki, a potem ułożona na nich główka. Po jakimś czasie wyszła reszta. Położyli malucha na czystej słomie i szybko oczyścili jego nozdrza i pyszczek ze śluzu, żeby mógł swobodnie oddychać. Potem podali go krowie do wylizania. Matka sumiennie masowała jęzorem każdy kawałek ciała cielęcia, ono zaś w tym czasie próbowało wstać. Śmiali się oboje, patrząc, jak niezdarnie się podnosi, wywraca i znowu prostuje patykowate nogi, które rozjeżdżają się na boki. W końcu podstawili maleństwo do nabrzmiałego wymienia. Od razu zaczęło łapczywie ssać. W oborze rozległo się zasapane cmokanie, mlaskanie, a różowy język lekko wysunięty z pyszczka masował wymię, pobudzając je do dalszego wydzielania mleka.

– Dzielna krówka! – rozradowana Marta pochwaliła zwierzę, klepiąc je po grzbiecie. – A pamiętasz – mówiła dalej – jak prowadziłam cię do buhaja? Wyczułaś chłopaka i tak pognałaś, że się przewróciłam w mokry śnieg, a ty mnie ciągnęłaś aż do bramy Wilhelma Rischke, ale postronka nie puściłam! – Wydało się jej, że usłyszała parsknięcie za plecami. Obejrzała się zaskoczona, ale twarz Stefana była doskonale obojętna.

Nazajutrz po obrzędzie zdrzemnęła się trochę, potem zjedli późny obiad i znowu przyszedł wieczór. Żeby uczcić narodziny cielątka, otworzyła wino po kolacji i piją je ze Stefanem w milczeniu. Przy drugiej butelce Marta ma tak dość ciszy, że zaczyna mówić do siebie. Lekko podchmielona opowiada o swojej rodzinie, ziemi, która daje jej siłę do życia, o winiarskich tradycjach i gościach

odwiedzających winiarnię dziadka Matheusa. Zrobiło się późno, mimo to gospodyni przynosi z piwnicy trzecią butelkę. Stefan wstaje i pokazuje, że ma nie otwierać. Daje do zrozumienia, że trzeba iść spać, ale ona patrzy mu błagalnie w oczy. – Nie zostawiaj mnie samej – prosi. – Nie chcę być sama. Posiedź jeszcze trochę.

Polak posłusznie zajmuje miejsce przy stole, a Marta nie zastanawia się wcale, jak to się stało, że ją zrozumiał. Cieszy się, że ma słuchacza, snuje więc swą opowieść o Chwalimiu/Altreben. O tym, jaki jest piękny o każdej porze roku, o pracowitych, oszczędnych ludziach, którzy odmawiali sobie wszystkiego, żeby na miejscu ubogich chatk odziedziczonych po przodkach postawić wygodne murowane domy. – Każdy wie, że my chwalimiacy jesteśmy najbardziej pracowici – chełpi się. – Nasze warzywa i owoce są najlepsze. Nikt nam nie dorówna!

Stefan widzi, że jego gospodyni jest pijana. Mowa zamienia się w bełkot, a głowa opada coraz niżej.

– Idziemy spać – mówi do niej rozkazującym tonem.

– Nie. Jeszcze wcześniej – upiera się kobieta.

– Jest późno. Jutro trzeba wstać, podoić krowy, nakarmić świnie.

Zaprowadzę cię do góry.

Podtrzymując, żeby się nie wywróciła, holuje ją po schodach do sypialni. Tam sadza na łóżku, zdejmuje jej trzewiki, kładzie i przykrywa pierzyną. Jest już na dole, kiedy Marta mruczy w poduszkę: – Zostań ze mną. Nie chcę być sama.

Ranek jest bardzo trudny. Nie zdążyła otworzyć oczu, a już wie, że zasnęła. Zrywa się z posłania, choć głowa pęka przy najmniejszym ruchu. „Ubranie? Spałam w sukience i pończochach? Aż tak się upiłam? O Boże, niczego nie pamiętam. Szybko, bo mleko trzeba wystawić” – sama siebie popędza. Przemywa twarz i przypina wsuwkami opadające pasma włosów, później w pogniecionej sukience, na którą zarzuca fartuch i stary kaftan, gna do obory. Stefan na pewno jest w stajni. Marta przemyka się chyłkiem, bo nie wie, gdzie oczy podziać ze wstydu.

Cielę bryka, a krowy spokojnie przeżuwają siano. „Stefan je wydoił?” – zastanawia się gospodyni. Najprościej byłoby zapytać, ale nie jest gotowa na spotkanie ze świadkiem swej wczorajszej hańby.

W letniej kuchni nie ma kany, ale jest nieumyte wiadro do mleka, a w nim tkanina do cedzenia. „Nie jest taki idealny” – z przekąsem myśli Marta i zabiera wszystko do domu, żeby tam porządnie wyszorować i wyparzyć. Minęła godzina, zanim podpałiła w piecu, nagrzała wody, umyła naczynia po wczorajszej kolacji, ukryła butelki po winie, wreszcie siebie doprowadziła do porządku i zawołała Stefana na śniadanie. W tym czasie ból głowy nieco zelżał i zaczęła wracać pamięć.

Zjedli jak zawsze w milczeniu. – Stefan... – Marta już nie jest tak

zawstydzona i pełna winy jak z samego rana. – Co prawda nie pamiętam, jak wczoraj dotarłam do własnego łóżka, ale wiem, że mówiłeś do mnie po niemiecku.

Stefan robi tę swoją zagubioną minę, jakby nic nie rozumiał, jednak Marta uparcie drąży dalej. – Nie udawaj. Na pewno mi się nie śniło. Odezwij się – ponagla zniecierpliwiona.

Polak opuszcza głowę i siedzi pochylony, jakby się zastanawiał, co robić dalej. Wreszcie patrzy Marcie w oczy, a w jego spojrzeniu nie ma skruchy.

– Ma pani rację. Znam niemiecki.

– To może mi wyjaśnisz, dlaczego udawałeś przez cztery lata.

– Po prostu nie miałem nic do powiedzenia – tłumaczy z hardą miną.

– Kłamiesz! – Marta traci cierpliwość. – Na pewno miałeś jakiś inny cel.

– Niby co? Liczyłem wasze krowy, a potem przekazywałem wiadomości Anglikom? – ironizuje robotnik.

– Jesteś bezczelny!

– To pani nie wiadomo o co ma pretensje. Przywieziono mnie tu, chociaż się o to nie prosiłem, a mimo to robiłem, co do mnie należało. Pani sama mnie chwaliła przed sąsiadami. Mówienie nie należało do moich obowiązków. A teraz muszę wracać do pracy. – Wstaje energicznie i znika za drzwiami.

Oburzenie zapiera Marcie dech. „Pięknie! – myśli. – Słyszałam na wsi, że robotnicy podnoszą głowy, ale po Stefanie czegoś takiego się nie spodziewałam. I to za co? Dostał ubrania Waltera, dbałam o niego w chorobie, złego słowa nigdy nie powiedziałam! A tu taka zapłata! Tila miała rację. Za bardzo się z nimi bratałam”.

Przez resztę dnia mijają się obrażeni. Po kolacji Stefan od razu idzie do siebie, a Marta udaje się na spotkanie Ligi. Tam dowiaduje się o kolejnych nalotach na Berlin. Wraca do domu zasmucona i pełna niepokoju o Ewę i chłopców, ale najbardziej o Christiana. Nie może sobie darować, że go nie dopilnowała. Przed snem pisze list do Neumannów, choć prawie nie wierzy w to, że dotrze do ich rąk. Przeprasza Ewę, że nie dotrzymała obietnicy, i prosi o wiadomość, czy Christian dotarł do domu.

Sen znowu nie przychodzi. Za dużo trosk spada na jedną głowę. Za oknem słychać wzmagający się wiatr. Gałęzie lipy raz po raz ocierają się o ścianę domu, stuka jakiś źle przymocowany kawałek blachy. „Idzie zmiana pogody – myśli Marta. – Może nareszcie będzie więcej słońca”.

Rano wieje dalej. Deszcz nie pada i zrobiło się znacznie chłodniej. Skłębione obłoki gnają na zachód, niejednemu więc przychodzi do głowy myśl, że i one uciekają przed bolszewicką nawałą.

Zupa mleczna na śniadanie dobrze wpływa na zziębniętych ludzi. Marcie minęła złość na Stefana, choć dalej jest wobec niego nieufna. Ma też żal, że niegrzecznie się do niej odzywał, ale sama zaczyna rozmowę na bezpieczny

temat. Pyta o adwent w Polsce. Jest ciekawa, czy w rodzinnych stronach robotnika obchodzi się ten okres jakoś szczególnie. On opowiada jej, jak matka jego i rodzeństwo budziła w nocy, żeby zdążyli się umyć i ubrać, a potem szli całą rodziną na roraty. Kościół był w innej wsi, musieli więc wyjść naprawdę wcześniej. Mówi o ciemnościach rozświetlanych tylko blaskiem świec, zimnie, ssaniu w żołądku i surowości rodziców, którzy pilnowali ich religijnego wychowania.

– Skąd jesteś? – Marta uświadamia sobie, że nic o nim nie wie.

– Spod Grodziska.

Kobieta unosi brwi. – Gdzie to jest?

– Grätz – podpowiada jej niemiecką nazwę.

– A, wiem! To niedaleko – cieszy się. – Czemu nie mówiłaś wcześniej?

Może dostałabyś przepustkę, żeby odwiedzić rodziców.

Stefan pochmurnieje. – Pani może robić, co uważa, a ja muszę do pracy – mówi, wstaje od stołu i zostawia zaskoczoną Martę. Potem słyszy z dworu pukanie. Polak przybija hałasującą w nocy blachę. Gospodyni idzie do piwnicy. W tak wietrzny dzień lepiej nie wychodzić z domu bez potrzeby, dlatego zdecydowała, że robi przegląd warzyw zmagazynowanych poza kopcami i przeznaczonych do rychłej sprzedaży. Po obiedzie znowu schodzi na dół. Tym razem do schowka na wino. Zostało tam tylko kilkadziesiąt butelek. Marta przeczuwa, że kiedy przyjdą Rosjanie, wszystko wypiją. Nie chce zostawić wina barbarzyńcom, dlatego postanawia, że większość rozda rodzinie i znajomym. Idzie do obrządku, a resztę dnia spędza na segregowaniu zapasów i na wspomnieniach. Siedzi przy długim stole, nalewa wino do kieliszka i myśli o Ernście Kliemie, jego opowieściach i o tym, czego ją nauczył, o urodzajnych latach, kiedy beczki zapełniał słodki, mocny moszcz, i innych, gdy choroby albo przymrozki niszczyły cały zbiór. Przypomina sobie upalny dzień zakończony burzą i szalony bieg po zboczach, żeby tylko dotrzeć do szopy na łodzi. I jeszcze zielone oczy Manfreda śledzące ją z kąta. Nie może opanować łez. Wszystko co dobre minęło. Nie ma winnicy, miłości, już nigdy nie będzie wina w tej piwnicy.

Małe okienka, przez które latem wpada światło, na zimę są starannie zabezpieczane, by do domu nie wchodził mróz, dlatego Marta traci poczucie czasu, nie wie, że zrobiło się ciemno i czas na kolację. Trochę zaniepokojony Stefan zagląda do piwnicy.

– Pani Marto, wszystko w porządku? – pyta, ujrawszy gospodynię we łzach nad kieliszkiem wina.

– Tak, tak – powtarza kobieta jakby obudzona ze snu. – Pewnie już późno, co? Chodźmy do kuchni. Zaraz zrobię coś do zjedzenia.

Pod płytą dawno wygasło, najpierw więc trzeba rozpalić. Marta, ogarnięta poczuciem winy, krząta się przy piecu. Wrzuca na patelnię trochę smalcu i podsmaża kartofle z obiadu, dodaje po kubku mleka i kolacja gotowa. Wcześniej

wypiła prawie całą butelkę wina, wciąż lekko szumi jej w głowie i nie chce spędzać reszty wieczoru w samotności.

– Tak tu ciepło w kuchni. Posiedzimy jeszcze? – mówi do Stefana. – Przyniosę coś z piwnicy.

– Lepiej nie. Możemy posiedzieć bez tego. Zresztą ja za tym waszym winem nie przepadam. Wolę wódkę.

– Nie kupuję – usprawiedliwia się pani Neumann.

– Nie szkodzi. I tak nie mam dzisiaj ochoty na picie.

Czy to z powodu braku alkoholu, czy dlatego, że między nimi wisi jakieś niedopowiedzenie, rozmowa o byle czym rwie się i co chwila zapada niezręczna cisza. W końcu Stefan idzie spać, a i Marcie nie pozostaje nic innego. Wie, że nie zaśnie tak szybko, a wycie wiatru dodatkowo źle na nią wpływa. Zdaje sobie sprawę, że nie powinna, ale bierze z piwnicy kolejną butelkę i niesie ją na górę. Stawia wraz z kieliszkiem na nocnej szafce i mówi sobie, że otworzy ją tylko wtedy, jeśli będzie naprawdę musiała. Tymczasem słucha jęków i zawodzenia w kominie, szalonych uderzeń w okno i trzaskania gałęzi o ścianę. Wydaje się jej, że cały dom drży w posadach. Nie wytrzyma, kiedy w pobliżu z łomotem zwala się na ziemię jakieś drzewo. Zapala lampkę nocną i nalewa sobie wina. Wypija je jednym haustem i kuli się ze strachu. Kolejne potężne uderzenie wichury wbija w okno ułamany konar lipy. Na podłogę sypie się szkło, a do sypialni wdziera się lodowaty podmuch. W przypiływie paniki narzuca na siebie sweter i wybiega z domu. Zimny, porywisty wiatr uderza ją w twarz i zaplątuje nocną koszulę wokół nóg. Gwałtownie wpada do letniej kuchni i zamyka za sobą drzwi. Opiera się o nie plecami, jakby broniła wejścia wszystkim strachom, które ją goniły.

– Nie chcę być sama – mówi, dysząc.

– Chodź – słyszy z ciemności.

Wsuwa się pod ciepłą pierzynę i kładzie bez ruchu. Jest zaskoczona tym, co zrobiła. Leży na plecach i czuje, jak walące w panice serce pomału przestaje szaleć, a całe ciało ogarnia błogi spokój.

Po chwili w letniej kuchni, pełnej wiader i sprzętów gospodarskich, rozlega się ciche pochrapywanie. Za to Stefan, rozpląszczony na zimnej ścianie, ułożony bokiem na skraju wąskiej leżanki, nie może zasnąć. Zastanawia się, co będzie dalej.

107

Nigdy dotąd tak się nie wstydziła. Przez cały dzień unika Polaka jak ognia. Nie poszła do kościoła, bo wydaje się jej, że ma na twarzy wypisane, gdzie spała tej nocy. Ona, Marta Neumann, nie była w niedzielę na nabożeństwie! To się zdarzyło tylko kilka razy w ciągu jej czterdziestoczteroletniego życia, i to z ważnych powodów. Dzisiaj nie poszła ze wstydu.

Zaniepokojona Hedwiga wstąpiła do niej, wracając z Unruhstadt. –

Rzeczywiście wyglądasz na przeziębioną. Twarz ci płonie, a oczy błyszczą – mówi, obrzucając kuzynkę zatroskanym spojrzeniem. – To przez ten wiatr. Na pewno cię przewiało. Przyślę Annę z ziołami.

– Nie trzeba. Mam wszystko – wykręca się.

– To chociaż się połóż. Stefan na pewno wie, co robić – upiera się Hedwiga.

– Zaraz się położę – mówi na odczepnego. – Słyszysz go? Zabija okno deskami. Wielka gałąź lipy wpadła mi do pokoju. Jutro muszę jechać do Unruhstadt po szkło.

– Wątpię, czy dostaniesz. Wichura narobiła dużych szkód. Nigdzie w okolicy nie ma prądu i nie ty jedna będziesz miała deski w oknie. A najwięcej kłopotu było z tą akacją, która przewróciła się na szosę koło Güntera. Wozak nie mógł rano dostarczyć mleka do mleczarni. Zresztą po co ci to mówię – reflektuje się Hedwiga. – Musiałaś widzieć na własne oczy, bo to blisko ciebie.

Nie podejmuje tematu, bo pamięta tylko, jak drzewo upadło z hukiem, a o jego usuwaniu nie miała pojęcia.

– Jakby Tila nie przyjechała, przyjdź do nas na Boże Narodzenie. Przecież nie będziesz siedziała sama w pustym domu.

– Boże Narodzenie? Święta? – pyta Marta z goryczą. – Nie wiem, czy dożyję jutra. Nie myślę o świętach.

– Nie jesteś aż tak chora. Nie przesadzaj – obrusza się Hedwiga.

– Myślę o wojnie. Oni mogą tu być niedługo.

– Przestań. Są jeszcze daleko. Mówię ci, idź do łóżka, bo w głowie ci się miesza – denerwuje się kuzynka.

Zaledwie poszła, zjawiała się Helena Kliem. Ją też zaniepokoiła nieobecność Marty na nabożeństwie. Wyszła po godzinie, niosąc do domu kilka win, które dostała w upominku od pani Neumann.

Nie da się wciąż siebie unikać, dlatego chcąc nie chcąc Marta siada do posiłku ze Stefanem. Nie patrzy mu w oczy, choć wie, że on jej się przygląda. „Pewnie dziwi się, że jestem taka stara – myśli, oblewając się rumieńcem. – Mam, na co zasłużyłam. Zrobiłam błąd i teraz muszę swoje odcierpieć”.

Wiatr ucichł zupełnie. Ze świecą w ręku Marta wchodzi do sypialni. W pokoju panuje przenikliwe zimno. Na podłodze wciąż leżą kawałki szkła z rozbitego okna. Zapomniała dzisiaj je sprzątnąć. Zrobi to jutro. Uświadamia sobie, że od rana tu nie była. Nie czytała też Pisma po obiedzie. „Co się ze mną dzieje?” – zastanawia się, klękając do pacierza.

Leży w swoim łóżku i próbuje myśleć o błahostkach, ale zaledwie zamknie oczy, wszystko sobie przypomina. Dawno nie spała tak mocno i spokojnie jak minionej nocy. Kiedy się obudziła, w mroku poranka dostrzegła wpatzonego w nią Stefana. Powinna była natychmiast zerwać się i uciec, ale ona, rozluźniona i na pół śpiąca, powiedziała to, czego nikomu dotąd nie wyznała. – Kiedyś śniłeś mi się

każdej nocy – wyszeptwała. I jakby sen wciąż trwał, położyła dłoń na jego nagim torsie. „Który mężczyzna nie uznałby tego za zachętę?” – myśli teraz zażenowana. Potem ożywia w pamięci każdą pieszczotę, pocałunek i siebie nieznaną, odważną, zachłanną. Z każdym dotknięciem kradła mu młodość, bezwstydnie czerpała ją dłońmi, językiem, udami. Poznawała centymetr po centymetrze krzepkie ciało i zdawało się jej, że i ona pięknieje, piersi stają się jędrne, a skóra nabiera jedwabistej gładkości.

Wspomina i niby się wstydzi, ale czuje, że chce to przeżyć znowu. Aż brzuch ją boli od tego pragnienia. Siada, podciąga kolana pod brodę i obejmuje je ramionami, walczy ze sobą. – To wbrew przykazaniom – szepcze w ciemności. – Zabiją go, jak się dowiedzą – próbuje wzbudzić w sobie trwogę. – Nie wolno, to złe, jest taki młody – szuka argumentów, ale już słabnie i wie, że nie wygra z tą namiętnością. Drży z zimna, a może pożądania, kiedy stoi na dworze i w mroku szuka kłamki. „Jestem zgubiona” – myśli i wchodzi, by zatracić się w grzechu.

Grudzień jest bardzo zimny. Śnieg, który spadł pewnej nocy, nie topnieje. Stefan często przesiaduje w domu, grzejąc się przy kuchennym piecu. W dzień nigdy nie rozmawiają o tym, co jest między nimi. Chyba się im wydaje, że tak łatwiej ukryją swą tajemnicę. Tryb życia Marty nie zmienił się ani trochę. Odkąd się poddała i uznała, że nie ma dla niej ratunku, skupiła się na zachowaniu pozorów. Odwiedziła wszystkich bliskich i podarowała im wino – świąteczny prezent, uczestniczy w adwentowych nabożeństwach, angażuje się w działalność Ligi Kobiet. Nikt nie domyśla się, że praworządną, religijną niemiecką gospodynię łączy zakazana więź z polskim robotnikiem.

Może nie do końca nikt... Jest ktoś, kto wie, choruje z zazdrości, nocą stoi za płotem i widzi, jak Marta idzie ścieżką wydeptaną w śniegu i znika za drzwiami letniej kuchni.

Tylko w mroku rozmawiają o ważnych sprawach. Kiedyś zapytała go, skąd zna niemiecki.

– Ojciec zawsze nam mówił, że trzeba znać język wroga.

– Jak to wroga? – zachnęła się.

– Niemcy byli dla niego wrogami, choć wcześniej całą wojnę bił się w niemieckiej armii. Później walczył w powstaniu wielkopolskim – wyjaśnił.

– Co to?

– Nie wiesz? Przecież tu też były walki w dziewiętnastym roku.

– A! Tak. Oczywiście, że wiem. Tylko wy nazywacie to inaczej. Poznałam wówczas mego męża. Walczył z Polakami.

– Wygraliśmy wtedy, ale ojciec nigdy Niemcom nie ufał. Uczył nas waszej mowy, a jak nie chcieliśmy, to brał pas – wspominał Stefan. – Miał rację, że wam nie wierzył. W trzydziestym dziewiątym przyszli po niego. Mieli go na liście. Nie zapomnieli.

– Co się z nim stało?
 – Najpierw zabrali go do Poznania. Teraz jest w obozie w Buchenwaldzie.
 – Boże! – Przez ciało Marty przebiegł dreszcz przerażenia. – Tak jak Janka. Mówiła mi, jak jest w takich miejscach.
 – Matkę i resztę rodzeństwa wygnano z naszego gospodarstwa i wywieziono za Warszawę. Ja byłem w domu najstarszy i najsilniejszy, dlatego wzięli mnie na roboty. Tak trafiłem do ciebie – skończył swą opowieść Stefan.
 – To dlatego zawsze byłeś taki ponury. Nienawidzisz nas, Niemców.
 – Nie wszystkich.
 Innym razem Stefan zapytał, co zrobi, jak przyjdą Sowieci.
 – Nie wiem, ale na pewno nie ucieknę.
 – Mogą cię skrzywdzić.
 – Nieważne, co się ze mną stanie. Tila musi być bezpieczna. Tylko na niej mi zależy – wyznała.
 – A na mnie? – zapytał przekornie.
 – Ty jesteś moją zgubą. Grzechem, za który nie ma odkupienia – odpowiedziała poważnie.
 – Nie rozumiem. Co złego w miłości?
 – Kochasz mnie? – zapytała, ale bez cienia uczucia w głosie.
 – Nie. Chyba nie – zawahał się. – Dobrze mi z tobą.
 – Ja też ciebie nie kocham, więc nie ma miłości. Jest tylko pożądanie. A to grzech.
 – Myślisz, że pójdziesz za to do piekła? – parsknął.
 – Pójdę. Nie tylko za to. Nasz Pan już zdecydował.
 – Przestań. Nie lubię, kiedy tak mówisz. – Objął ją i przyciągnął do siebie. – Po co w ogóle rozmawiamy, zamiast czymś się zająć?

Noce z Martą są inne niż wszystkie, które przeżył z dziewczętami. Nie przeszkadza mu, że mogłaby być jego matką. Nie zamierza się przecież z nią żenić. Marta jest w łóżku jak głodny człowiek, który wie, że to jego ostatni posiłek w życiu. Kocha się namiętnie, łapczywie, oddaje się temu bez reszty, jakby istniało tylko teraz i nie było żadnego potem.

108

Tila przyjechała nocą. Trzaśnięcie drzwiczek wojskowego gazika zabrzmiało w ciemnościach jak wystrzał. Zaniepokojony Stefan podniósł głowę znad poduszki, ale że nic się nie działo, wtulił ją w rozpuszczone włosy Marty i zasnął. Tymczasem Matylda chodzi po pustym domu i szuka matki. Nie ma jej w sypialni, gdzie straszy zabite deskami okno. „Pewnie przeniosła się na dół” – dochodzi do wniosku. W pokoju, gdzie kiedyś spał Christian, też jej nie znajduje. – Gdzie jesteś, mamó? – pyta półgłosem zaniepokojona. – Gdzie się podziałas i czemu

zostawiłaś dom otwarty? – Kuchenny piec oddaje resztki ciepła. Tila nalewa sobie letniej kawy i siada przy stole. Zastanawia się, co robić. Przyjechała tylko na kilka godzin. Żołnierze, którzy ją przywieźli, będą rano wracać do Züllichau i zabiorą ją z powrotem. „Może Stefan coś wie – przychodzi jej do głowy. – Obudzę go i spróbuję się z nim dogadać po wendyjsku” – decyduje i po chwili wchodzi do letniej kuchni. Zamyka za sobą drzwi i dopiero wtedy zapala światło.

– Mama?! – krzyczy na widok rozczochranej i zaspanej Marty, która podniosła głowę oślepiona blaskiem żarówki. W mgnieniu oka dociera do niej, co się tu dzieje. Przerażona i zawstydzona obraca się na pięcie i gna do domu.

Marta zjawia się po chwili. – Przepraszam, córeczko. Nie wiedziałam, że przyjedziesz – tłumaczy się. – Na pewno jesteś głodna. Rozpalę w piecu i coś przygotuję.

Matylda siedzi wyprostowana i milczy. Obserwuje matkę, jak przykucnięta przy piecu dmucha w smolne łuczywa, żeby się szybciej paliły. Na nocnej koszuli ma długi sweter. Rozpuszczone, potargane włosy opadają na plecy.

– Wiesz, że to zabronione? – odzywa się wreszcie.

– Wiem. Ale ty nie doniesiesz, prawda? Zabiliby go wtedy – mówi, nie patrząc na córkę.

– O sobie nie myślisz? Tobie też by nie darowali.

– Znam prawo, ale życie to co innego. Zastanawiałaś się kiedyś, jak trudno jest kobietom, których mężowie poszli na front? Wiele sypia z robotnikami i rodzi ich dzieci.

– To zdrajczyńie niewierne mężom walczącym za ojczyznę – twardo odpowiada Tila.

– Nie. To samotne, pozostawione sobie kobiety. Nie masz prawa ich osądzać. – Marta porzuca przepaszający ton. – Mnie też. Gdybyś nie przyjechała tak niespodziewanie, nie naraziłabym cię na to wszystko.

– Mamo, on jest niewiele starszy ode mnie. – Matylda nie kryje obrzydzenia.

– Myślisz, że nie wiem? Tila, dajmy temu spokój. Nie chcę się tłumaczyć. Na długo przyjechałaś?

Dziewczyna wciąż jest nachmurzona, ale odpowiada: – Wracam rano. Zabiorę się wojskowym samochodem. W południe zacznę dyżur.

– Będziesz zmęczona. Zjedz i połóż się – radzi matka.

– Za chwilę. Powiedz, mamo, co z Christianem. Jak to było, że zniknął? Niewiele o tym pisałaś.

Marta opowiada, a Tila je jajecznicę, popija gorącym mlekiem i zaczyna przysypiać na krześle. Matka wyjmuje z piekarnika gorącą cegłę, zawija ją w gazety i niesie do łóżka córki.

– Śpij spokojnie. Obudzę cię na czas – słyszy dziewczyna, przykładając policzek do poduszki.

Rano Matylda wciąż jest pełna rezerwy. Przed odjazdem uprzedza: – W święta mam dyżur, dopiero w styczniu dostanę dwa dni wolnego. – Samochód już czeka, więc się żegna, ale nie obejmuje matki, jakby nie chciała jej dotykać. – Nie doniosę na ciebie, ale skończ z tym, bo zrobi to ktoś inny – ostrzega i odchodzi w stronę gazika.

– On mówi po niemiecku! – nie wiadomo po co woła za nią Marta.

Tila się nie ogląda, wsiada do samochodu i odjeżdża, nawet nie machnąwszy ręką.

– Co teraz? – zapytał Stefan, kiedy przysła do niego nocą.

– Nic. Za tydzień święta – odpowiedziała i przyłgnęła do niego całym ciałem.

Boże Narodzenie pełne śmiechu dzieci, radości i prezentów to tylko wspomnienie. Nawet śpiew kolęd jest inny niż zawsze. W słodkich, chwytających za serce melodiach pobrzmiewa trwoga przed tym, co nieuchronnie nastąpi. „Nemmersdorf” – szepczą, bo boją się powiedzieć to głośno. Nemmersdorf stało się zbyt prawdopodobne, już można je wyczuć w wietrze wiejącym od wschodu. Oddychanie powietrzem przyniesionym stamtąd zatruwa każdą radosną chwilę. Nie cieszą narodziny zdrowego, mocnego dziecka ani pieniądze odłożone w szufladzie lub pełna zboża stodoła. Nadchodzi Nemmersdorf.

Styczniowy mróz nie odpuszcza. O żadnej wojennej zimie nie można powiedzieć, że była lekka, ale teraz do wszelkich niedogodności dochodzi niepewność. Niektórzy decydują się na wyjazd do krewnych mieszkających gdzieś dalej na zachód. Pewnego wieczoru przysła do Marty pani Holzer z małym Adolkiem w ramionach. Widokiem chudego płaczącego dzieciątka chciała skruszyć serce gospodyni.

– Marto, mam wielką prośbę. Odwiozłabyś mnie wozem pod Züllichau? Jadę do matki na dłużej. Udo na froncie, Karl też. Co ja mam sama tu robić?

– Czemu nie pojedziesz pociągiem? – dziwi się Marta.

– Dużo rzeczy chciałam wziąć. Nie poradzę sobie z dziećmi i bagażem – tłumaczy pokornie Emma.

– Poproś kogoś innego. Moja Lotte jest stara. Nie pojedę w taki mróz, bo może paść w drodze. Tam i z powrotem byłoby ze trzydzieści kilometrów. To dla niej za dużo, w dodatku siedem osób i bagaż. Nie, nie mogę ci pomóc – odpowiada stanowczo pani Neumann.

– Dobrze zapłacę – kusi kobieta, a chłopczyk jej akompaniuje, krzyząc wniebogłosy.

– Emmo, pieniędzy mam dość, a drugiego konia nie kupię. Wojsko rekwiruje każdą chabetę. Cud, że po Lotte jeszcze nie przyszli.

– Po prostu nie chcesz mi pomóc – oburza się pani Holzer. – Ale czego można się spodziewać po kimś takim!

– Co masz na myśli? – pyta groźnie Marta.
– Gzisz się z robotnikiem, wywłoko! Nie myśl, że ludzie nie wiedzą!
– Wyjdz! Wynoś się natychmiast! – gospodyni robi się czerwona ze złości. –
I żebym cię tu więcej nie widziała! – woła za odchodzącą pospiesznie Emmą.

W połowie stycznia przyjechała Tila. Wcześniej napisała krótki list, w którym uprzedziła matkę. Chciała w ten sposób uniknąć kłopotliwej sytuacji, na wypadek gdyby romans z Polakiem wciąż trwał.

W nocy dopadało śniegu i nikt go nie odgarnął, brnie więc przez pustą przestrzeń między łąkami, a biały puch przesypuje się nad krawędziami wysokich filcowych botków i topi się wewnątrz pod wpływem ciepła. Mimo to uciążliwy marsz sprawia Matyldzie przyjemność. Altreben wita ją ciszą i spokojem, dymami unoszącymi się z kominów i wesołymi krzykami dzieci zjeżdżających z góry na sankach.

Plac jest pokryty siecią ścieżek wydeptanych przez ludzi, idzie się więc łatwiej. Zastanawia się, czy nie zajść do ciotki Hedwigi, ale rezygnuje. Wczoraj dostała list od Emila, zatem to ona jest posiadaczką najświeższych wiadomości.

– Tila! Tila! Zaczekaj! – krzyczy ktoś za nią. Ogląda się i widzi Katharine biegnącą w jej kierunku.

– Co się stało? Dlaczego wyglądasz, jakby cię diabeł gonił? – pyta Matylda zadyszana dziewczynę.

– Wracam z piekarni... – Katharine nabiera tchu. – Kobiety w kolejce gadały o twojej mamie... – Dziewczyna przerywa, nie wiadomo, ze skrępowania czy ze zmęczenia. – Że ona z robotnikiem...

Tilę zalewa fala wstydu. „Wszyscy już wiedzą – myśli. – Nie posłuchała mnie”.

– On kiedyś był z tą Kaśką, co służy u Kurmutza. Najpierw rozpowiedziała wszystkim, a wczoraj się odgrażała, że dzisiaj pójdzie do Unruhstadt na Gestapo. Leć do cioci Marty i powiedz jej. Szybko! – ponagla Katharine.

W ciężkich butach trudno biegać, ale Matylda pędzi tak prędko jak potrafi. Jest wściekła na matkę, lecz nie chce jej krzywdy.

Z impetem otwiera drzwi do domu.

– Mamo! – krzyczy. – Mamo! Gdzie jesteś?!

Szuka jej w całym domu, potem biegnie do obory. Zagląda wszędzie. Nie ma Lotte i wozu. Na pewno pojechała do Unruhstadt. „Co robić?” – myśli gorączkowo.

– Stefan! – wrzeszczy ze złością. – Stefan!

Ze stodoły wyłania się postać w ciepłym kaftanie i czapce głęboko naciągniętej na uszy.

– Jesteś! Dlaczego nie odzywałeś się, jak cię wołałam?

– Nie słyszałem. Mama pojechała do miasta – wyjaśnia.

Matylda podejmuje błyskawiczną decyzję. – Uciekaj! Uciekaj natychmiast! –

Widząc wahanie Polaka, tłumaczy mu: – Twoja Kaśka podobno poszła na Gestapo donieść na ciebie i mamę. Mogą tu być w każdej chwili. Zbierz swoje rzeczy, a ja coś ci uszykuję na drogę.

Oszołomiony Stefan nie rusza się z miejsca. – Nie stój jak kolek! – pogania dziewczyna. – Rób, co mówię!

W kuchni zawija trochę jedzenia w czysty lniany ręcznik, sięga do kredensu, gdzie matka trzyma pieniądze, i wypada na podwórze. Polak już czeka z niewielkim tobołkiem w ręce.

– Masz – podaje mu zawiniątko. – Nie idź szosą. Janka ma rodzinę w Siedlcu. Wiesz, gdzie to jest? – Twierdzące skinienie głową. – Nazywają się Kaczmarek. Powiedz, że cię Janka przysłała. Ukryją cię. Ona nie wie, ale się nie obrazi. No, już. Zmykaj!

– Ale... Marta...

– Powiem jej. Nie masz czasu. Uciekaj.

Tila czeka na matkę. Dopiero kiedy Stefan zniknął, dotarło do niej, co zrobiła. Zaledwie wóz powożony przez Martę zajechał na podwórze, przed domem zatrzymał się czarny duży samochód osobowy. Gestapo. Matylda wyszła im naprzeciwko.

– Nie ma go – odpowiada na pytanie o Stefana. – Nie wiem, gdzie jest. Dopiero przyjechałam. Służę w szpitalu w Züllichau.

Zaniepokojona Marta podchodzi do córki. – Tila, czego panowie chcą?

– Mają sprawę do Stefana.

– A gdzie on jest? – Pani Neumann rozgląda się wyraźnie przestraszona.

– Tego właśnie chcieliśmy się dowiedzieć – odzywa się jeden z gestapowców.

– Pani Neumann, dostaliśmy zgłoszenie, że utrzymuje pani kontakty płciowe z robotnikiem przymusowym – mówi surowo drugi, ale z każdym słowem w jego ton wkrada się zwątpienie. Obrzuca wzrokiem wiejską babę ubraną w grube palto i owiniętą szalem, spod którego jeszcze wystaje ciepła chustka. Czerwona od mrozu twarz, jeszcze bardziej czerwony nos i załzawione przerażone oczy. Przenosi wzrok na Tilę.

– A może to o panienkę chodzi? Mówi panna, że dopiero przyjechała? Co panna robi w Züllichau?

– Pracuję. Jestem pielęgniarką. Można to łatwo sprawdzić. – Matylda patrzy prosto w oczy gestapowca.

– Czy coś pannie wiadomo o kontaktach matki z Polakiem?

– Pan chyba żartuje. Musiał ktoś coś pomieszać albo zrobić na złość. Moja matka? To niemożliwe – łże jak z nut dziewczyna.

Mężczyzna jeszcze raz obrzuca niepewnym wzrokiem Martę, ale nie daje za wygraną. – Gdzie on może być?

– Proszę szukać. Mówiłam, że jak przyszedłam z pociągu, jego nie było – powtarza. – Mamo, chyba masz gorączkę. – Pochyliła się troskliwie nad oszołomioną Martą i bierze ją pod ramię. – Możemy już wejść do domu? Zrobię mamie coś gorącego do picia.

Mężczyźni najpierw przeszukują letnią kuchnię, potem inne pomieszczenia gospodarcze, a na końcu dom. Po Stefanie ani śladu.

– Gdyby wrócił, niech się zgłosi do wyjaśnienia – mówią na pożegnanie.

– Tila, gdzie on jest? – pyta przerażona Marta, kiedy odjechali.

– Kazałam mu uciekać – odpowiada córka, a potem wyjaśnia, co się stało. – Pójdę teraz do cioci Janki, żeby wiedziała, że posłałam go do jej rodziny. Mamo – obróciła się, choć już miała wychodzić. – Pomyśl teraz, co by się stało, gdyby nie zbieg okoliczności. Mogłaś zgubić jego i siebie. A ja – dodała z wyrzutem – musiałam dla ciebie kłamać.

Nie usłyszała podziękowania. Marta głęboko nad czymś myślała, a Tila maszerująca przez wieś miała wrażenie, że śnieg pod stopami skrzypi: „Ul-rika, Ul-rika, Ul-rika...”.

109

– Nie mogę tego słuchać! – Matylda znowu denerwuje się na matkę. – Jak to nie zamierzasz się ewakuować?! Mamo, czy ty wiesz, co mówisz? Nie widziałas, co oni robią Niemcom?

– Nie zostawię zwierząt na pastwę losu. Do czego wrócę, jak wszystko pozdycha? – tłumaczy swoje racje Marta.

– Jak cię zabiją, to zwierzęta też zdechną.

– Tila, oni są dopiero w Prusach Wschodnich. To daleko. Jeszcze długo potrwa, zanim tu dojdą. Zresztą to niemożliwe. Tu nigdy nie było żadnego frontu – matka próbuje innych argumentów.

– Dobrze. Jeśli tu jest bezpiecznie, to ja też zostaję – mówi zdecydowanie Matylda. – Pojadę tylko do szpitala i powiem, że nie mogę dłużej pracować, bo muszę być z matką.

– Nie, ty masz wyjechać. Nie chcę, żebyś tu ze mną była. – Marta podejrzewa, że córka nie żartuje.

– Pojadę, jeśli mi obiecasz, że się ewakuujesz na czas – nie ustępuje Tila.

– Dobrze. Przyrzekam ci, że ucieknę. Nie pozwolę, żeby mnie dopadli. Zadowolona?

– Na pewno? – Dziewczyna nie całkiem wierzy matce.

– Na pewno. Przysięgam. A teraz już idź, bo nie zdążysz na pociąg. – Marta pogania córkę, a na pożegnanie przytula mocno i długo. Odprowadza ją jeszcze do furtki i stoi tam dopóty, dopóki nie zniknie jej z oczu.

Zaczął się około dwudziestego stycznia. To wtedy pojawiły się pierwsze

wozy. Najpierw w Unruhstadt, potem w Chwalimiu i innych wsiach leżących przy trasie do Züllichau. Uciekinierzy pochodzili głównie z Kraju Warty i Poznania. Z każdym dniem było ich coraz więcej. Podróżowali całymi kolumnami na wozach i traktorach wyładowanych najcenniejszym dobytkiem. Mróz był straszny, a tam kobiety, dzieci i staruszkowie, poowijani w koce, przyprószeni śniegiem. Czasem ktoś prosił o nocleg, ale rzadko, bo strach przed żadnym zemsty *Iwanem* był silniejszy od zmęczenia i głodu. Widok uciekinierów sprawił, że i mieszkający na trasie ich wędrówki Niemcy zaczęli gotować się do drogi. Pakował się komisarz okręgowy Erbt z żoną i pastor Plumbaum z rodziną. Czekali tylko na sygnał, żeby móc wyruszyć w bardziej spokojne miejsce.

Jeszcze jeden widok musieli ujrzyć bezpieczni dotąd mieszkańcy Unruhstadt i okolic. Dwudziestego piątego stycznia Marta pojechała do apteki w miasteczku. Zrobiła to na prośbę Anny Radach, która się rozchorowała, a nie mogła przecież posłać Ewalda po lekarstwo. Wyszła od farmaceuty i stanęła jak wryta. Ulicą przechodziły setki kobiet, wychudzonych, przygnębionych, brudnych i zmarzniętych. Niektóre szły boso, choć było ponad dwadzieścia stopni mrozu, inne miały stopy owinięte szmatami. Próbowwały coś mówić do patrzących na nie ludzi, prosić chyba o jedzenie, ale konwojujący je strażnicy z psami wrzaskiem i biciem przywoływali je do porządku.

– To więźniarki z obozu – powiedziała półgłosem stojąca obok Marty kobieta. – Pędzą je dalej do kopania rowów przeciwczołgowych.

Szły długo. Ciepło ubrane Niemki same zaczęły odczuwać przejmujące zimno.

– Gdzie jest mój chleb? – usłyszała Marta, kiedy ostatnie z kobiet ją minęły. Spojrzała w kierunku mówiącej te słowa dziewczyny. To panna Muhs ze sklepu Josefa Kretschmera patrzyła błękitnymi zdziwionymi oczyma w pusty koszyk. – Pewnie któraś z nich zabrała – powiedziała bez gniewu.

Pani Neumann kupiła jeszcze trochę nafty i wyruszyła w drogę powrotną. Więźniarki były daleko przed nią, ale przy szosie leżały ciała tych, które nie mogły dalej iść. Patrzyła ze zgrozą, jak strażnicy idący za kolumną podchodzą do nich i uderzając z całej siły łopatami, sprawdzają, czy żyją. Jedna z nich poruszyła się, wtedy mężczyzna wyjął pistolet i ją zastrzelił.

Marta zaniósła Annie lekarstwo i wróciła do domu. Była zbyt wstrząśnięta, żeby zająć się czymkolwiek. Siedziała w zimnej kuchni aż do wieczora, rozpamiętując to, czego była świadkiem. Potem poszła do zwierząt, wydoiła krowy, jak zawsze zadbała o świnię, kury i króliki, ale robiła to wszystko mechanicznie, wciąż mając przed oczami widok kobiet idących boso po śniegu i ciała na poboczu. Zanim poszła do łóżka, sięgnęła po Biblię. Chciała w niej znaleźć jakieś pocieszenie, ale później nawet jej nie otworzyła. Trzymała dłoń na Księdze i patrzyła pustym wzrokiem przed siebie.

Następnego dnia przyszła Hedwiga. – Jedziemy – powiedziała.

– Dokąd?

– Nie wiem. Byle dalej – ciężko westchnęła kuzynka. – Jest dla ciebie miejsce na wozie. Zabierz się z nami. Możesz się zatrzymać u Lisy w Grünbergu.

– Nie. Nie chcę nigdzie jechać.

– Wszyscy uciekają albo szykują się do ucieczki. W Unruhstadt podstawią pociąg, a ludzie ze wsi mają radzić sobie sami. Nikt cię potem nie zabierze. My mamy miejsce dla ciebie albo jeszcze lepiej weź swój wóz i Lotte, to więcej zmieścimy. – Mimo przygnębienia Hedwiga podchodziła do ewakuacji praktycznie.

– Mówiłam ci, że nigdzie się nie wybieram – nie ustępowała Marta. – Możesz wziąć Lotte. W dwa konie szybciej pojedziecie. Tak, weź ją – dodała gorączkowo. – To będzie najlepsze.

– Przemyśl to jeszcze. Nie mam czasu, żeby cię przekonywać, bo muszę nas spakować – niecierpliwiła się Hedwiga. – Rano przyślę Annę, gdybyś zmieniła zdanie.

Nazajutrz z samego rana przyszła nie tylko Anna, ale i Josef. Nie zdołali skruszyć uporczywej Marty. Za to ona odprawiła ich z Lotte i wozem.

Mija kolejny niespokojny dzień. Z daleka słychać odgłosy zbliżającego się frontu. Szosą przemierzają się tłumy ludzi. Wojskowe samochody, które mają problem z przejechaniem, trąbią na tarasujących jezdnię uciekinierów. Wszyscy bez wyjątku reagują strachem na warkot samolotu i patrzą w niebo, próbując rozpoznać, czy to czasem nie wróg, który, jak wieść niesie, ostrzeliwuje kolumny cywilów.

Marta idąca do Gogolów prowadzi rower poboczem, bo jazda w tych warunkach jest niemożliwa. Przechodząc obok domu Kerstin Heckman, zerka w okno, ale nie widzi niczego prócz mrozu malującego szyby.

– Janka źle się czuje. To widok więźniarek tak na nią podziałał – tłumaczy jej Gustav, zanim weszła do pokoju. Kuzynka siedzi na krześle z wyciągniętą do przodu usztywnioną nogą.

– Niedługo będę chodzić – zapowiada. – Na razie korzystam z podpórki – uśmiecha się, pokazując łaskę. – Co z Tilą?

– Jest bezpieczna w Züllichau. Może nawet już ich ewakuowali.

– A ty? Dalej nie chcesz uciekać? – niepokoje się Janka.

– Nie. Właściwie przyszłam tu dzisiaj, żeby tak na wszelki wypadek, gdybyśmy miały się już nie zobaczyć, podziękować ci za to, że zawsze byłaś przy mnie i przy Tili – mówi Marta wyraźnie wzruszona. – Kiedyś tego nie umiałam docenić, ale mam nadzieję, że wiesz, że obie bardzo cię kochamy.

– Wiem. Nie musisz mi tego mówić. Wy też byliście dla mnie najbliższą, najbardziej kochaną rodziną. – Oczy Janki zachodzą łzami.

– Przestańcie się rozklejać. Co za grobowy nastrój. Nie mogę słuchać tych waszych babskich sentymentów. – Gustav, maskując wzruszenie, zrywa się z miejsca i podchodzi do okna. – Wciąż idą – mówi po chwili. – My zostajemy i ty też, więc może chociaż nocuj u nas. Będzie nam raźniej.

– Dziękuję wam, ale wolę być u siebie. Janko – Marta pyta na odchodnym – czy wiesz coś o Stefanie? Dotarł do twoich?

– Nic nie wiem. Ale jeśli ich odszukał, będzie bezpieczny.

Marta szczelnie zasłoniła okna. Chodzi po pustym domu i wspomina dzieciństwo, rodziców, dziadków i szczęśliwe lata, które przeżyła w jego ścianach. Mimo późnej pory nie kładzie się spać. Wyciąga albumy ze zdjęciami i przegląda je. Czasem nawet dotyka fotografii, jakby gładziła twarze bliskich.

Przed świtem idzie do obory. Doi krowy, nalewa dużo mleka kotom, a resztę wynosi do letniej kuchni, zadaje zwierzętom siana, ile tylko się zmieści do żłobów, zdejmując im łańcuchy z szyi i wychodząc, zostawia lekko uchyloną oborę. Potem karmi świnię, kury i króliki, dając im tyle jedzenia, że starczyłoby na kilka dni.

Wraca do kuchni. Nie rozpala pieca. Idzie do pokoju i patrzy chwilę przez okno na ludzi idących z tobołkami albo ciągnących małe drewniane wózki. Schodzi do piwnicy z zapaloną naftową lampą. Wie, co ma robić. Dawno to zaplanowała. Zdejmuje z półki ostry nożyk do cięcia pędów winorośli. Siada na ławie, a przed sobą stawia ostatnie wino, pozostawione na tę okazję.

110

Matylda nie może się oprzeć wrażeniu, że matka wyprowadziła ją w pole. Od dwóch tygodni, ilekroć myśli o domu, przypomina sobie pożegnanie. Wydaje się jej, że było coś szczególnego we wzroku matki, kiedy na nią patrzyła. Niepokój dziewczyny rośnie z dnia na dzień, kiedy więc zapada decyzja o ewakuacji szpitala, Tila informuje przełożoną, że ona zostaje. Musi odszukać matkę i pomóc jej w ucieczce przed Rosjanami. Nie słucha żadnych argumentów, nie dba o własne bezpieczeństwo, chce wrócić czym prędzej do domu.

Pociągi nie kursują normalnie, szuka więc okazji. Niewiele pojazdów zmierza na wschód. To raczej stamtąd napływają rzesze uciekinierów. Przypadkowo dowiaduje się, że urząd pocztowy wysyła ambulans do Unruhstadt po swoich pracowników i ich rodziny. Zabiera się z nimi. Podróż trwa bardzo długo, bo droga z Züllichau do Altreben jest niesamowicie zatłoczona. Oni jadą pod prąd, próbując przebić się przez setki ludzi otępiełych z zimna i zmęczenia. Na poboczu widać porzucone z braku paliwa traktory, padłe konie i wozy pełne dobytku, których nie ma kto ciągnąć. Gdzieniedzie leżą ledwo przysypane śniegiem zwłoki tych, dla których ta przymusowa podróż okazała się zbyt trudna. Na jednym z drzew niedaleko Langmeil wisi dwoje ludzi – zapewne samobójców.

Matylda stara się zaglądać w każdą twarz żywego czy umarłego człowieka.

Szuka jakiegokolwiek informacji o matce. Kiedy kolejny raz mocno zwalniają, dostrzega znajome oblicza. To Łucja Krüger idzie z córkami, ciągnąc mały drewniany wózek załadowany po brzegi. Na prośbę dziewczyny ambulans zatrzymuje się na chwilę, a ona próbuje się czegoś dowiedzieć. Chwalimianki mówią tylko tyle, że Marta nie zamierzała opuszczać domu.

Jest noc, gdy docierają do Altreben. W zimnym świetle księżycy wieś robi upiorne wrażenie. Otwarte na oścież bramy, śnieg zryty kołami wozów i wałęsające się psy. Nigdzie żywej duszy. Nawet jeśli są tu ludzie, to o tej porze siedzą w domach zamknięci na cztery spusty i czekają, co przyniesie jutro.

– Będziemy wracać rano. Stójcie z matką koło siódmej przy szosie, to was zabierzemy – mówi na pożegnanie kierowca.

Po chwili zostaje sama. W długim płaszczu, ciepłej chustce, z niewielką torbą w ręce stoi przed płotem własnego domu i boi się przekroczyć furtkę. „Dlaczego u nas brama jest zamknięta?” – zastanawia się. Najpierw wchodzi na podwórze. Nie ma wozu pod wiatą ani Lotte w stajni. To znaczy, że matka wyjechała. Co za ulga! W znacznie lepszym nastroju zagląda do obory. Krowy zostały, ale przecież nie mogła wziąć ich ze sobą. Tila idzie do domu. „Prześpię się trochę i rano wrócę do Züllichau. Niepotrzebnie się bałam o mamę”.

Nie ma prądu, przy blasku świecy rozpala więc ogień pod płytą i szuka czegoś do zjedzenia. W spiżarni jest kilka jajek i kawałek słoniny. Robi sobie jajecznicę i popija gorącą kawą. Nastawia budzik na szóstą i kładzie się spać. Głośny terkot przerywa mocny, spokojny sen. Zastanawia się, czy nie wydoić krów, ale rezygnuje, bo mogłaby nie zdążyć na ambulans. Wrzuca do torby jedzenie znalezione w spiżarni. Potem przypomina sobie, że w piwnicy powinny być słoiki z mięsem. Weźmie kilka, bo w mieście brakuje żywności. Bierze wiklinowy koszyk i ze świecą w rękę idzie na dół po krętych ceglanych schodkach. Napęnia go wekami i już chce wychodzić z piwnicy, kiedy jej uwagę przykuwają na pół otwarte drzwi do pomieszczenia, gdzie stoją kadzie i beczki oraz stół do butelkowania wina. Nagle ogarnia ją niewytłumaczalny lęk. Najchętniej rzuciłaby wszystko i uciekła, ale jakiś przymus każe jej zostać. Odstawia koszyk i popycha dłonią szorstkie deski. Niesmarowane zawiasy skrzypią przeraźliwie. Do ciemnego wnętrza wpada światło świecy i rzuca blask na wypaloną lampę naftową i opróżnioną butelkę. Przewrócony kieliszek leży w plamie wilgoci pachnącej winem.

Marta wygląda, jakby spała. Głowa i górna część tułowia spoczywa na stole. Jedno ramię podpira policzek. Powieki są zamknięte, a usta lekko rozchylone.

– Mama?! – Matylda w krótkim przeblasku nadziei myśli, że matka się upiła i zasnęła, ale zaraz dostrzega, że rękawy swetra są brunatne od zakrzepłej krwi. Krew przeciekła przez szpary między deskami i zebrała się w czarnej kałuży na ceglanej podłodze.

– Co ty zrobiłaś?! – krzyczy dziewczyna. Próbuje podnieść matkę za ramiona, ale sztywne, zimne ciało wraca do swej pozycji. – Mamo, co ty zrobiłaś?! Jak mogłaś mnie zostawić?! Mamo... – krzyk zamienia się w szloch.

Do otępiełego umysłu nie dociera uporczywe trąbienie. W końcu ustaje, a w piwnicy zapada przeraźliwa cisza. Mijają minuty, może godziny. Świeca rozpląnęła się i zgasła. Dokuczliwe zimno budzi Tilę z odrętwienia. Po omacku wychodzi na górę. Pada śnieg.

Odległe dudnienie przypomina o zbliżających się Rosjanach. Szosa jest pusta, tylko czasem przejeżdża nią jakiś samotny pojazd, a potem ślady, które wyłobił, zasypuje świeży puch.

„Trzeba uciekać – podpowiada instynkt. – Ale nie zostawię tak mamy. Muszę ją pochować. – Matylda rozgląda się bezradnie. – Gdzie? Na cmentarzu? Za daleko i ziemia zmarznięta. Co mam robić?” – Boże, powiedz mi, co mam robić – szepcze.

Oszołomiona chodzi bez celu po podwórzu i zagląda do pomieszczeń gospodarskich. Krowy ryczą, bo pełne wymiona bolą i nawet cielę nie jest w stanie wypić całego nagromadzonego w nich mleka. „Przynajmniej czymś się zajmę” – myśli i sięga po wiadro. Doi krowy, a potem podpala w letniej kuchni i topi śnieg, żeby mieć wodę do pojenia, później parzy wrzątkiem otręby dla świń. Kiedy wszystkie zwierzęta są nakarmione, uświadamia sobie, że sama od przyjazdu niczego nie jadła. W piecu jeszcze się pali, idzie więc do piwnicy po ziemniaki. Mijając drzwi, za którymi jest matka, stąpa ciszej, jakby nie chciała jej obudzić. Wchodzi do pomieszczenia, gdzie przechowuje się warzywa. Stopy obute w ciężkie trzewiki od razu zanurzają się w piasku. Tu nie ma ceglanej ani betonowej podłogi, jest tylko jasny, suchy piach. Już wie, co robi!

Matylda wstawia do gotowania kociołek kartofli i wraca do piwnicy z łopatą. Odstawia skrzynki z warzywami i zaczyna kopać. Nie jest to proste, bo piasek jest sypki i zaraz osuwa się z powrotem do dołu. Cała się spociła, zdjęła więc gruby kaftan, a później sweter. Kolejna świeca się dopala, a grób wciąż jest zbyt płytki. Dziewczyna wpada w trans. Pracuje bez tchu. Mija północ, kiedy nareszcie uznaje, że wystarczy. Wychodzi po podstawionych wcześniej pustych skrzynkach. Wyciąga z szafy prześcieradło. Razem z nim wypada na podłogę plik banknotów. Tila patrzy na nie obojętnie i wraca do piwnicy. Bierze matkę pod pachy i nadludzkim wysiłkiem ciągnie bezwładne, ciężkie ciało. Zsuwa je do grobu i przykrywa prześcieradłem. Potem z sypialni matki przynosi Biblię. Brudne, zakrwawione od popękanych pęcherzy dłonie otwierają Księgę i przewracają kartki w poszukiwaniu odpowiednich słów. W ponurej piwnicy, oświetlonej jedynie wątłym blaskiem świecy, rozlega się drżący głos dziewczyny: – *Jam jest martwychwstanie i żywot; kto we mnie wierzy, choćby umarł, żyć będzie...*^[61] Łzy płynące z oczu żłobią koryta w grubej warstwie kurzu osiadłego na twarzy. Nie

może czytać dalej. Zakopuje dół, a skrzynki z warzywami wracają na miejsce.

Ostatkiem sił wychodzi z piwnicy. Jest dzień. Nie ma prądu i wody, myje się więc w resztkach, które znajduje w zbiorniku w piecu, i przebiera w czyste rzeczy. Śmiertelnie zmęczona kładzie się w ubraniu do łóżka i zasypia.

Kopie dół, jest już bardzo głęboki. Wystarczy... Chce wyjść. Paznokcie próbują znaleźć zaczepienie w chłodnej, wilgotnej ziemi. Na próżno. Wysoko na suficie widzi migotliwy poblask, ale tu na dnie jest całkiem ciemno. Piasek zaczyna się osypywać. Nie może poruszyć stopami. Budzi ją własny krzyk. Szeroko otwarte oczy rejestrują światło dnia. To tylko sen, ale rzeczywistość nie sprawia, że Matylda się uspokaja. Może leżałaby dalej i szlochała w poduszkę, gdyby nie dźwięk, który dochodzi z dworu. To rozmowa, głośna, ożywiona, chyba kłótnia. Tila wyskrobuje w szronie pokrywającym szybę mały otwór. Na szosie blisko furtki stoi dwóch żołnierzy w obcych mundurach.

To Oni! Matylda bez zastanowienia rzuca się do drzwi prowadzących na podwórze. Zatrzymuje się na ganku. Przed nią niczym nieskalana biała powierzchnia. W nocy spadł śnieg i przykrył wszystkie ślady. „Jeśli tędy ucieknę, łatwo mnie dopadną”. – Ogarnięty paniką umysł próbuje znaleźć jakieś wyjście. Nie ma takiego. Tila cofa się do domu. „Strych!” – przychodzi jej do głowy. Uszczelnione drzwi otwierają się ciężko. Wsuwa się przez wąską szparę i przystaje w ciemnościach. Chwilowe poczucie bezpieczeństwa mija, kiedy uświadamia sobie, że przecież Oni też tu przyjdą. Przeszukają cały dom od piwnicy po dach. Właśnie, dach! Może tam nie zajrzą. Oczy przyzwyczyły się do mroku. Rozpoznaje niektóre kształty, poza tym zna tu każdą skrzypiącą deskę. Z dołu słysząc ciężkie kroki. Weszli! Najciszej jak potrafi przekrada się do krótkiej drabiny opartej o ścianę wędzarni. Wyżej, na stropie, jest niewielka przestrzeń przylegająca do komina. Tylko kominiarz tam zagląda, kiedy korzysta z wyczystki znajdującej się w bocznej ścianie. Wspina się tam i wciąga za sobą drabinę. Całym ciałem przywiera do stropu wędzarni i czeka.

Nie przychodzą od razu. Do uszu Matyldy docierają odgłosy tłuczonego szkła, gniewne okrzyki, trzaskanie drzwiami. Jest ich więcej niż dwóch. Wchodzą na górę. Wojskowe buciory hałasują na schodach. Najpierw pokoje. Teraz otwierają się drzwi na strych. Padają krótkie, ze złością wypowiedziane słowa. Dziewczyna widzi żołnierza idącego do okna. Za chwilę jasność zachodzącego słońca zalewa drewnianą podłogę, kilka sztuk niezebranego prania i nieliczne sprzęty. Rozmawiają. Jeden z nich kieruje się w stronę wędzarni. Jest tak blisko, że Tila czuje mieszaninę smrodów niemytego ciała i brudnej odzieży. Stara się nie oddychać. Serce wali tak mocno, że boi się, iż usłyszą. W wędzarni jest pusto, znowu rozlegają się więc gniewne okrzyki. Wychodzą, zostawiając drewnianą okiennicę otwartą na oścież. Siarczysty mróz bez żadnych przeszkód wchodzi do domu i przenika i tak zziębniętą Matyldę. Dziewczyna wciąż leży bez ruchu

i pomału zamarza, a żołnierze coś robią na dole. Z dworu słyszy pijackie krzyki, w powietrzu czuć dym. Ostrożnie unosi głowę. Między konarami jesionów widzi płonący dom Petrasów. „Co, jeśli i nas podpała? Będę w pułapce”. – Czeka strwożona na to, co może nastąpić. Tymczasem dzień się kończy, ale na strychu jest jasno od łuny pożaru.

Tila nasłuchuje. Od jakiegoś czasu na dole panuje cisza. Chyba poszli. Rozprostowuje zeszywniałe kończyny i schodzi na dół. Pod nogami chrzęści rozbite szkło. Drzwi na dwór zostawili otwarte. Na kuchennym stole czai się kot. Wlepia wzrok w dziewczynę, a potem wraca do jedzenia resztek mięsa z rozbitego słoika. Matylda podejmuje decyzję. Do plecaka, który kiedyś brała na terenowe ćwiczenia BDM, pakuje trochę ciepłej odzieży, zapalki, krótki ostry nóż, trochę cukru i ugotowane wczoraj kartofle. W rękawicach, wysokich botkach, ciepłym palcie, owinięta wełnianą chustą opuszcza dom, w którym się urodziła i w którym została na zawsze jej matka.

Szosa nie jest bezpieczna, brnie więc do góry na wzniesienie. Nogi zapadają się w śnieg. Przewraca się, podnosi i idzie dalej. Mija sporo czasu, zanim dociera do najwyższego punktu wzgórza. Tu się zatrzymuje, żeby odpocząć. „Ulubione miejsce mamy” – przypomina sobie i tak jak ona prostuje się i obejmuje wzrokiem okolicę.

Całe niebo na wschodzie rozjaśnia krwawa poświata. Nad Unruhstadt unoszą się jasne kłęby podświetlonego ogniem dymu. Część Altreben również stoi w płomieniach. Pali się restauracja Rauscha i pojedyncze domy leżące wzdłuż szosy od strony miasteczka. Czerwona łuna rozpościera się nad środkiem wsi. Oczy dziewczyny rozszerzają się ze zgrozy. – Koniec świata – szepcze.

Zaczyna sypać śnieg. Matylda podąża przed siebie, a towarzyszy jej krwawy blask i dym, z którego popiół opada razem z białymi płatkami na zbocze. Jest jasno, dlatego dobrze widzi znane kępy krzewów i pojedyncze drzewa owocowe rosnące na miedzach. Głębokie ślady szybko zasypuje świeży drobny puch niesiony podmuchami wiatru.

Dopiero po godzinie dociera na rozstaje dróg. Teraz musi zdecydować, czy zejdzie na dół i dalej będzie szła wzdłuż szosy, czy skręci ku jezioru i później pójdzie przez lasy. Wspomnienie rosyjskich żołnierzy i tego, co może ją spotkać z ich rąk, powoduje, że wybiera drugie wyjście.

Nad Schwentesee zaległa cisza. Gdyby nie łuna w oddali, byłoby tu wręcz idyllicznie. Zamarzniętą taflę pokrywa śnieg. Białe nawisy gną gałęzie świerków i sosen. Willa wygląda jak ilustracja z bożonarodzeniowej kartki. Jakby wojna tu nie dotarła, bo dobra wróżka przykryła dolinę czapką niewidką.

Tila jest tak zmęczona wędrówką przez zasy, że w obliczu tego spokoju traci czujność. Nie słyszy, że za jej plecami ktoś się skrada. Silne ramiona chwytają ją od tyłu, a męska ręka zamyka usta. Na próżno się szamocze. Napastnik jest

silniejszy. Próbuje krzyczeć, ale ze ściśniętej krtani dobywa się tylko cichy pisk. Mimo to uścisk staje się lżejszy.

– Kobieta? – ktoś mówi po niemiecku i puszcza ją zupełnie.

Matylda odwraca się gwałtownie. Stoi przed nią bardzo młody mężczyzna w mundurze Wehrmachtu.

– Dotarłam do swoich? – cieszy się dziewczyna. – Jest tu niemieckie wojsko?

Żołnierz rozgląda się bojaźliwie.

– Chodźmy do środka. Szybko, bo ktoś może nas zobaczyć – mówi i prowadzi ją do willi.

W restauracji ukrywa się kilka osób. Są tu cudzoziemscy robotnicy, którzy nie mieli zaufania do rosyjskich wyzwolicieli, i niemieccy żołnierze, może dezercerzy, a może tacy, którzy zgubili swoje oddziały. Nikt nikogo o nic nie pyta. Połączył ich strach przed Rosjanami. Mają zapasy jedzenia i liczą, że nikt tu szybko nie dotrze.

– Nie – zdecydowanie odpowiada Matylda na propozycję, by do nich dołączyła. – Nie będę czekać na to, co się wydarzy. Idę dalej!

– Jak chcesz – wzrusza ramionami jeden z żołnierzy. – Ja się stąd nie ruszam.

Z początku szła leśnymi drogami. Jakież było jej rozczarowanie, kiedy o świcie ujrzała przed sobą Reckenwalde. Przez całą noc uszła najwyżej cztery kilometry, w dodatku zupełnie opadła z sił. Wsunęła się pod ciężkie od śniegu gałęzie starego świerka. Stanowiły swego rodzaju namiot, pod którym było zacisznie i sucho. Dziewczyna zjadła dwa kartofle, trochę cukru i *popiła* śniegiem. Wiedziała, że ryzykuje zamrożenie, ale musiała się przespać. Położyła się na igliwiu, głowę oparła na plecaku i zasnęła. O zmierzchu wypęzła z kryjówki i, zostawiając po prawej stronie duże jezioro, poszła dalej. Znowu błędziła, kiedy więc następnego ranka stwierdziła, że pokonała zbyt mały dystans, postanowiła iść nocą wzdłuż szosy. Odpoczęła w stercie słomy i już za dnia poszła w kierunku trasy Unruhstadt – Züllichau.

Był to koszmarny szlak. Co jakiś czas natykała się na leżące na poboczu ciała zamrożonych dzieci, kobiet i starców. Wozy zepchnięte z drogi przez wojskowe samochody sterczały dyszlami do góry. Wokół było pełno najróżniejszego dobytku rozrzuconego w nieładzie. Rosjanie szukali zegarków i nie znajdując ich na przegubach uciekinierów, rozpruwali toboły, a potem wyrzucali, co nie było im potrzebne. Dziewczynie szło się o wiele wygodniej niż przez lasy. Z początku nocna wędrówka wśród trupów przygnębiała i napawała grozą. Później z każdym napotkanym ciałem Tila robiła się coraz bardziej obojętna. Dwukrotnie w porę zauważyła zbliżające się światła ciężarówki. Nie uciekła. Po prostu położyła się w rowie. Za drugim razem nie chciało jej się wstać. Ogarnęło ją

zwątpienie w sens ucieczki. Pragnęła odpocząć i przez moment zazdrościła ofiarom, że już nie muszą iść, bać się, nie czują zimna, bólu i głodu. Jedyne, co dodawało jej sił, to myśl o Emilu. „Nie mogę tu zostać – mówiła sobie. – Nie robi się czegoś takiego, jeśli się kogoś kocha. Nie zrobię tego Emilowi. Nie poddam się – powtarzała, kiedy całkiem opadała z sił. – Nie zrobię tak jak mama”.

Rano była w pobliżu Langmeil. Ciała dwojga samobójców dalej wisały na drzewie. „Muszę odpocząć gdzieś, gdzie nie grozi mi zamrożenie” – pomyślała. Zdawała sobie sprawę, że ma gorączkę. Bolał ją każdy kawałek ciała i męczyło pragnienie. Ukrywając się w sosnowym zagajniku, zbliżyła się do jakiegoś gospodarstwa. Choć na śniegu było wiele śladów, wydawało się, że nie ma tu nikogo. Do lasu przylegała tylna ściana niewielkiej stodoły. Jedna z desek była obluzowana. Poruszała nią jeszcze trochę i gwóźdź puścił. Przecisnęła się przez wąski otwór, wyjęła kilka snopków i schowała się w powstałej niszy, którą zastawiła z powrotem słomą. Cała się trzęsała, nie czuła głodu, marzyła jedynie o ciepłe. Oparła głowę na plecaku i zasnęła. Jak przez mgłę dotarł do niej warkot silnika. Otwarcie oczu wydawało się zadaniem ponad siły, ale w końcu się udało. W pełnym świetle dnia w szparze między snopkami ujrzała coś, co natychmiast odpędziło resztki snu. Na klepisku leżały ciała dziewcząt. Nie było wątpliwości, co się z nimi stało. Zostały zgwałcone i zastrzelone. Do stodoły ktoś wszedł. Tila usłyszała chłupot i poczuła zapach benzyny. Po chwili w pomieszczeniu już nikogo nie było. Nagle zrozumiała. Stodoła została podpalona! Strach dodał jej sił. Wyturlała się ze swego przytulnego kąta, stanęła na równe nogi i odnalazła wzrokiem obluzowaną deskę. Wydostała się na zewnątrz i złapała ustami powietrze. „Zostawiłam plecak!” – przypomniała sobie, ale już nie było do czego wracać. Wyczołgała się do zagajnika i stamtąd obserwowała rosyjskich żołnierzy. Było ich trzech – kompletnie pijanych i coś krzyczących w stronę płonącej stodoły. Potem wsiedli do gazika i odjechali.

„Zamarznę do zmięzchu. Umrę tu – kołaczę się Tili po głowie. – Nie chcę. Jeszcze nie. Pójdę choć kawałek. To nic, że jest jasno”.

Wstaje mimo narastających dreszczy. Zatacza się. Zgubiła chustkę, warkocze na wpół się rozplotły, gdzieś zapodziały się rękawice. Każdy ruch wywołuje ból. Resztką świadomości dostrzega tory kolejowe.

„Już niedaleko do Züllichau – cieszy się. – Jeszcze trochę i będę bezpieczna. – Nagle potyka się i upada. – Jak ciepło – myśli, leżąc w zaspie. – Odpocznę trochę”.

Blask odbity od śniegu wyciska z oczu łzy i wbija się boleśnie w głębi mózgu. Ktoś się zbliża, a może tylko się jej wydaje. Opuszcza powieki. Czuje coś, jakby delikatne muśnięcie.

– Emil? – szepcze. – To ty? Widzisz, jak lecą płatki jabłoni? Zobacz, słońce zachodzi nad naszym jeziorem.

Niemieckie nazwy miejscowości używane w powieści oraz odpowiadające im nazwy polskie

Altreben – Chwalim

Bomst – Babimost

Dorothenau – Dąbrówka

Grätz – Grodzisk Wielkopolski

Gross Schmöllten – Smolno Wielkie

Grossdorf – Wielka Wieś

Grünberg – Zielona Góra

Hirschberg – Jelenia Góra

Karschin – Karszyn

Kopnitz – Kopanica

Langmeil – Okunin

Neu Bentschen – Zbąszynek

Reckenwalde – Wojnowo

Unruhstadt – Kargowa

Wollstein – Wolsztyn

Züllichau – Sulechów

Posłowie

Chwalim ma bardzo długą historię. Nazwa *Chwalim* pojawia się w źródłach historycznych pochodzących z okresu średniowiecza. Do 1793 roku, czyli drugiego rozbioru, wieś nieprzerwanie należała do Polski. Kiedy po powstaniu wielkopolskim w 1919 roku wytyczano zachodnią granicę odradzającej się Rzeczypospolitej, miasteczko Kargowa (powieściowe Unruhstadt) i leżący w pobliżu Chwalim przypadły Niemcom. Obie miejscowości wróciły do Polski po II wojnie światowej w 1945 roku.

Wendowie, bohaterowie mojej powieści, to w rzeczywistości Chwalimiacy, grupa etnograficzna nazywająca się tak od miejsca zamieszkania. Według badaczy niemieckich byli Słowianami pochodzącymi od Serbów Łużyckich. Stąd nazwa Wendowie, bo tak w Niemczech do dzisiaj nazywa się ludność serbołużycką. Polscy historycy wywodzą Chwalimiaków z Dolnego Śląska. Robią to na podstawie analizy dialektu, którym się posługiwali. Bardzo trudno jest ustalić, skąd się wzięli. Nie zachowały się żadne źródła pisane pozwalające stwierdzić, kiedy i skąd sprowadzono nowych osadników. Historycy przypuszczają, że zjawili się w Chwalimiu w drugiej połowie XVII wieku lub na początku XVIII za sprawą któregoś z Unrugów, właścicieli ówczesnej Kargowej i okolicznych wsi. Oskar Kolberg^[62] uważa, że przybyli po najeździe szwedzkim na Polskę. Wrogie wojska doprowadziły kraj do ruiny i spowodowały wyludnienie niektórych terenów. Unrugowie, wierni poddani polskich królów, byli protestantami, postarali się więc nie tylko o napływ rąk do pracy, ale i o wzmocnienie liczebne wyznania luterńskiego.

Przez dziesiątki lat osadnicy nie integrowali się z miejscową ludnością. Bliski był im język polski, ale wyznanie katolickie już nie. Z kolei wyznawany luteranizm mógł ich łączyć z Niemcami, ale język słowiański na to nie pozwalał. Dlatego żyli jak w enklawie, żenili się między sobą, pielęgnowali swoje zwyczaje, przestrzegali tradycji. Słynęli z pracowitości i pobożności. W XIX wieku zaczęli uprawiać krzewy winorośli. Dzięki temu Chwalim stał się centrum winiarstwa w Prowincji Poznańskiej państwa pruskiego. Niewysokie, dziś trudne do dostrzeżenia z okien samochodu długie wzgórza pokrywały równe rzędy niskich krzewów winorośli przywiązanych do akacjowych palików. Lata nieurodzajów, choroby grzybowe, a po pierwszej wojnie światowej ustanowienie granicy z Polską i utrata wschodniego rynku zbytu spowodowały upadek winiarstwa. Mimo to pracownicy Chwalimiacy potrafili odnaleźć się w nowej rzeczywistości. Nastawili się na sadownictwo, ogrodnictwo, hodowlę bydła mięsnego i handel. Wykorzystali przechodzącą przez miejscowość linię kolejową, żeby odstawiać płody rolne do Berlina i innych części Niemiec.

Jednak otwarcie na świat sprawiło, że szybko zaczęli tracić swą odrębność.

Badacze odwiedzający wieś w dwudziestoleciu międzywojennym stwierdzali, że zanikają nie tylko stare tradycje, ale i chwalimski dialekt, a jego miejsce zajmuje język niemiecki.

Zanim powieść ukazała się drukiem, przeczytali ją moi znajomi. Po lekturze chcieli wiedzieć, co jest prawdą, a co fikcją. Trudno odpowiedzieć na to pytanie, tak przemieszane jest jedno z drugim.

Na pewno do stycznia 1945 roku w Chwalimiu (Altreben w latach 1938–1945) mieszkali potomkowie grupy etnograficznej przez jednych zwanej Chwalimiakami, przez innych Wendami. Wiedzę o ich obyczajach zaczerpnęłam przede wszystkim z następujących artykułów przetłumaczonych przez Tadeusza Mąkosę: *Eine Wanderung durch das Posener Weinland*, [w:] „Posener Lehrer Zeitung” 1907, Nr. 5; Walther Hämpel, *Wenden an der brandenburgisch-polnischen Grenze*, [w:] *Heimat-Kalender des Kreises Züllichau-Schwiebus* 1932. Pojedyncze słowa i całe wyrażenia z dialektu chwalimskiego pochodzą z następujących pozycji: Kazimierz Nitsch, *Dialekt chwalimski*, „Przegląd Zachodni” 1951, r. VII, t. III, nr 9–12, Poznań; Reinhold Olesch, *Zur Mundart von Chwalim in der früheren Grenzmark Posen-Westpreussen*, Akademie der Wissenschaften und der Literatur, Wiesbaden 1956; Przemysław Hauser, *Konsul Rzeczypospolitej Polskiej w Pile o ewangelikach z Chwalimia w 1929 roku*, [w:] Zbigniew Chodyła (red.), *Eruditio et interpretatio. Studia historyczne*, wyd. 2, Poznań 2000 oraz Joachim Benyskiewicz, *Chwalim – lużycki, niemiecki czy polski*, [w:] „Lětopis. Zeitschrift für Sorbische Sprache, Geschichte und Kultur” 1994. Ostatni artykuł pozwolił mi również na zapoznanie się z poglądami jednego z polskich naukowców na pochodzenie Chwalimiaków, zawierał także listę nazwisk występujących w dawnym Chwalimiu.

Bardzo cennym źródłem były przekazy ustne. Na pierwszym miejscu chcę wymienić pana Hansa Gutsche – dawnego mieszkańca wsi, obecnie mieszkającego w Poczdamie. Nie tylko wyczerpująco odpowiedział na moje pytania, ale również dostarczył dokładny plan miejscowości z naniesionymi numerami domów i obiektami takimi, jak: restauracje, winiarnie, wieki kamień, pomnik poległych, siedziba straży pożarnej, kąpieliska nad rzeką itp. To od niego wiem o problemie, jaki mieli rolnicy z kamieniem zawałodrogą i jak się z tym uporali, o czereśni rosnącej przy drodze na pola i o znaczeniu ośrodka rekreacyjnego nad jeziorem. Pan Gutsche przekazał mi także listę mieszkańców wsi i zawodów przez nich wykonywanych. Każda osoba została przypisana do numeru domu. Dzięki temu, kiedy patrzyłam na plan miejscowości, wiedziałam, kto gdzie mieszkał i którądy szło się na pole, do szewca, krawca lub do punktu pocztowego.

Równie dobrą pamięcią jak pan Gutsche wykazali się mieszkańcy Kargowej, pani Elżbieta Zmuda i pan Bernard Grelak. Dzięki ich wspomnieniom dowiedziałam się, jak postrzegali mieszkańców pobliskiego Chwalimia ludzie

z miasteczka. Oni też podkreślali pracowitość i religijność tzw. Wendów. Doskonale pamiętali zabawy nad jeziorem i swoje tam wyprawy rowerem lub pieszo. Przybliżyli mi przedwojenną Kargową, zajęcia mieszkańców i atmosferę miasta w czasie wojny. Pani Zmuda była naocznym świadkiem marszu śmierci, który przeszedł przez miasteczko dwudziestego piątego stycznia 1945 roku. Wraz z rodziną doświadczyła tragicznych przeżyć, uciekając przed Armią Czerwoną. Pan Grelak towarzyszył mnie i mojemu mężowi w wyprawie nad jezioro zwane teraz Zaciszem i pokazał, gdzie była restauracja, pomost do łańców, gdzie rosły winnice. Wspomniał o pewnym majowym dniu, gdy grała muzyka, kwitły jabłonie i paw z krzykiem usiadł na gałęzi, wywołując deszcz płatków. To od pana Grelaka wiem o ołtarzu z bławatków i emerycie Marschnerze konstruującym budki dla ptaków. Oboje opowiedzieli o życiu religijnym niewielkiej katolickiej społeczności parafii Unruhstadt. Dzięki fotografiom pani Zmudy dowiedziałam się, jak wyglądało wnętrze obu świątyń – katolickiej i ewangelickiej.

Cenne wiadomości o Kargowej i okolicach zaczerpnęłam z następujących publikacji:

Stefan Petriuk, *Unruhstadt und Karge. Eine im Zeitaler der Toleranz entstandene Stadt im Spannungsfeld zwischen Polen und Deutschen/Unrugowa i Kargowa. Miasto powstałe w czasach tolerancji, podczas istniejących napięć między Polakami i Niemcami*, Uście – Kargowa – Langballigholz 2005; Stefan Petriuk, *Gemeinde Unruhstadt – Karge auf alten Ansichtskarten/Gmina Kargowa na dawnych pocztówkach*, Uście – Kargowa – Langballigholz 2011; *Historia Kargowej i zarys dziejów miasta partnerskiego Weissenberg*, praca zbiorowa pod redakcją Wojciecha Strzyżewskiego, Kargowa 2013.

Pani Elżbieta Rusin, nauczycielka mieszkająca w starej szkole w Chwalimiu, pomogła mi, m.in. znajdując w internecie wywiad z mężczyzną, który jako robotnik przymusowy pracował we wsi w końcu 1944 roku przy kopaniu rowów przeciwczołgowych.

Obraz Niemiec w czasach nazizmu, uroczystości, zebrań, kultu Hitlera – to wszystko jest fikcją, ale stworzoną na podstawie źródeł i zastosowania analogii. Jeśli w całej Rzeszy tak było, w Chwalimiu nie mogło być inaczej. Źródła, z których skorzystałam, to: Guido Knopp, *Dzieci Hitlera*, tłumaczenie Sława Lisiecka, Świat Książki, Warszawa 2008; Melita Maschmann, *Bilans. Moje życie w Hitlerjugend. Bez usprawiedliwienia*, Oficyna Wydawnicza Mireki, Kraków 2005; Richard Grunberger, *Historia społeczna Trzeciej Rzeszy*, t. 1 i t. 2, tłumaczenie Witold Kalinowski, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1987.

W opisach wojennego Berlina inspirowałam się książką Rogera Moorhouse'a *Stolica Hitlera. Życie i śmierć w wojennym Berlinie*, tłumaczenie Jan Wąsiński, Wydawnictwo Znak, Kraków 2011.

Pisząc o Ravensbrück, posiłkowałam się wspomnieniami więźniarek z tego obozu zamieszczonymi na różnych stronach internetowych.

Chwalimiacy byli luteranami, tam więc, gdzie to było konieczne, wzmacniałam wymowę poszczególnych scen, korzystając z fragmentów z tzw. Biblii Warszawskiej i modlitewników. Były to następujące wydawnictwa: *Biblia to jest Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu*, Towarzystwo Biblijne w Polsce, Warszawa 1994; *Agenda Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego czyli Ewangelicko-Luterskiego. Część II Nieurzędowa – Pogrzeb*, Warszawa 1956; *Śpiewnik ewangelicki. Codzienna modlitwa, pieśń, medytacja, nabożeństwo, wybór pieśni*, redakcja i opracowanie Międzykościelna Komisja Śpiewnikowa, Bielsko-Biała 2002.

Dziękuję wszystkim, którzy przyczynili się do powstania powieści. W szczególności Elżbiecie Zmudzie, Krystianowi Bernardowi Grelakowi, Elżbiecie Rusin, Hansowi Gutsche, Stefanowi Petriukowi, Bernardowi Chmielowi, pastorom Erichowi Busse i Dariuszowi Likowi, Muzeum Regionalnemu w Świebodzinie, Mediatece Światowid w Kargowej wraz z jej kierowniczką Małgorzatą Kwiecień, paniom z Dyskusyjnego Klubu Książki w Kargowej, a nade wszystko mojemu mężowi Tadeuszowi za inspirację, pomoc w zbieraniu materiałów, tłumaczenia z języka niemieckiego, wielogodzinne dyskusje, duchowe wsparcie i wiarę w sens mojego pisania.

Starłam się być wierna faktom historycznym, mam jednak nadzieję, że Czytelnicy wiedzą, iż powieść historyczna to nie podręcznik do historii, i wybaczą mi, jeśli gdzieś minęłam się z prawdą.

Zofia Mąkosa

Przypisy

- [1] Bund Deutscher Mädel – Związek Dziewcząt Niemieckich działający w ramach Hitlerjugend. [2] Efez 5,22–24. *Biblia to jest Pismo Świąte Starego i Nowego Testamentu*, Towarzystwo Biblijne w Polsce, Warszawa 1994. [3] Schwentesee (zbitka słowiańskiego *święte* z niemieckim *see*). Tak nazywano wówczas niewielkie jezioro leżące w pobliżu Chwalimia. Obecnie nazywa się Zacisze. [4] Obecnie ulica Kilińskiego. [5] G. Knopp, *Dzieci Hitlera*, tłum. S. Lisiecka, Świat Książki, Warszawa 2008, s. 24. [6] Mieszaniec (niem. *mischling*), kundel – tak określano w nazistowskich Niemczech osoby, które wśród przodków miały choć jednego Żyda. [7] Zwolnienie od rygorów rasowych. [8] Miejscowości te wróciły do Polski w wyniku powstania wielkopolskiego. [9] Miasto we wschodnich Niemczech. [10] Pimpf – popularna nazwa członka Deutsches Jungvolk, organizacji w ramach Hitlerjugend zrzeszającej chłopców w wieku 10–14 lat. Potem chłopcy stawali się automatycznie członkami Hitlerjugend. [11] Za: K. Nitsch, *Dialekt chwalimski*, „Przegląd Zachodni” 1951, r. VII, t. III, nr 9–12. [12] Tamże. [13] *Tak! Byłeś tam*. Tamże. [14] *Zapnij mi guzik*. Tamże. [15] Tamże. [16] Wiara i Piękno – ostatni etap przynależności organizacyjnej dla młodych kobiet (od 17 do 21 roku życia). [17] Kol 3,25. *Biblia...*, dz. cyt. [18] Zakłady Beuchelta w Zielonej Górze (Grünbergu) zostały założone w drugiej połowie XIX wieku. Produkowano tam m.in. stalowe elementy mostów i tabor kolejowy. [19] Kalendarz zawierający istotne dla mieszkańców danego powiatu informacje (ciekawostki, ważne wydarzenia, legendy, porady itp.). [20] *Śpiewnik ewangelicki. Codzienna modlitwa, pieśń, medytacja, nabożeństwo*, wybór pieśni, red. i oprac. Międzykościelna Komisja Śpiewnikowa, Bielsko-Biała 2002. [21] *Bielmem zaszłe*. [22] R. Olesch, *Zur Mundart von Chwalim In der früheren Grenzmark Posen – Westpreussen*, Akademie der Wissenschaften und der Literatur, Wiesbaden 1956. [23] K. Nitsch, dz. cyt. [24] R. Olesch, dz. cyt. [25] ŚE 265. *Śpiewnik ewangelicki*, dz. cyt. [26] *Eine Wandernung durch das Posener Weinland*, „Posener Lehrer Zeitung” 1907, Nr. 5. [27] G. Knopp, dz. cyt., s. 55–56. [28] Tamże. [29] Zarah Leander była czołową gwiazdą niemieckiego kina w okresie nazizmu. [30] Landwache – straż nocna zwykle składająca się z dwóch osób. Wyznaczano do niej mężczyzn z kolejnych domów. Wypatrywali ognia, złodzieja lub dywersanta. [31] Kopel (gwar.) – ogrodzone pastwisko. [32] Ps 144,15b. *Biblia...*, dz. cyt. [33] Sokół gdański – jedna z ras gołębi. [34] K. Nitsch, dz. cyt. [35] Befka – krawat będący elementem szaty liturgicznej pastora, ma kształt dwóch rozdzielonych pasów. [36] Iz 60,20. *Biblia...*, dz. cyt. [37] *Agenda Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego czyli Ewangelicko-Luterskiego. Część II Nieurzędowa – Pogrzeb*, Warszawa 1956. [38] K. Nitsch, dz. cyt. [39] R. Moorhouse, *Stolica Hitlera. Życie i śmierć w wojennym Berlinie*, tłum. J. Wąsiński, Wydawnictwo Znak, Kraków 2011, s. 81. [40] ŚE 138. *Śpiewnik ewangelicki*, dz. cyt. [41] Jungmädelbund – sekcja HJ podlegająca

Związkowi Niemieckich Dziewcząt (BDM), do której należały dziewczynki w wieku 10–13 lat. [42] Używana w Niemczech nazwa brytyjskich żołnierzy. [43] W kolejności podanych nazwisk – dowódca U-Boota i lotnicy – jedni z pierwszych bohaterów wojennych wykreowanych przez hitlerowską propagandę. [44] Sołtysem. [45] Obóz służby na Wschodzie. [46] Od sierpnia 1938 roku każdy obywatel Niemiec żydowskiego pochodzenia nienoszący żydowskiego imienia miał w dokumentach dodane imię Izrael (mężczyźni) lub Sara (kobiety). [47] U-bootami albo nurkami nazywano w Niemczech ukrywających się Żydów. [48] Jak się pani podoba w Niemczech, panno Delatorre? [49] Statki – dawniej naczynia kuchenne. [50] Podczas II wojny światowej w jednej z dzielnic tego miasta zlokalizowano obóz koncentracyjny Ravensbrück. [51] Towarzystwo Rodziny Niemieckiej. [52] Bez wątpienia w fabryce podczas wojny produkowano budyń, nie ma natomiast pewności, czy rzeczywiście została zamknięta w 1943 roku. [53] Pani Elżbieta Zmuda (po mężu), mieszkanka Kargowej, uczyła się zawodu sprzedawczyni i praktykowała w sklepie Josefa Kretschmera. [54] Nielegalny ubój – Schwarzschlachten. Podczas wojny groziły za niego także Niemcom surowe kary, do kary śmierci włącznie. [55] W czasie II wojny światowej w zakładach Beuchelta produkowano m.in. wagony do transportu wojska i broni, ciągniki saperskie, a nawet U-booty. [56] 1 Kor 13,13. *Biblia...*, dz. cyt. [57] Policja porządkowa. [58] Po tym domu dziś nie został żaden ślad. [59] Nemmersdorf – miejscowość w Prusach Wschodnich, którą 21 października 1944 roku jako pierwszą w Rzeszy zajęły oddziały 11 Gwardyjskiej Armii 3 Frontu Białoruskiego, dokonując rzezi mieszkańców. Po dwóch dniach wieś została odbita przez Niemców. Po wielu latach okazało się, że w rzeczywistości ofiar nie było tak wiele. To Niemcy zwieźli do Nemmersdorfu zabitych z okolicznych miejscowości, a Rosjanom przypisali czyny, których akurat tam nie popełnili. Rzekome okrucieństwo Sowietów wykorzystali do celów propagandowych. [60] Tłumaczenie Tadeusza Mąkosy. [61] Jan 11,25. *Biblia...*, dz. cyt. [62] Oskar Kolberg, *Dzieła wszystkie*, PTL, Wrocław-Poznań 1982.

CIERPKE GRONA

**Epicka opowieść z czasów wojny – rodzinne więzy,
siła miłości, determinacja kobiet.**

Rok 1938. W Chwalimiu, wsi położonej na niemiecko-polskim pograniczu, żyją ostatni potomkowie Wendów — Słowian, którzy osiedli tu przed dwoma wiekami. W tym urokliwym i spokojnym miejscu mieszkają Marta Neumann, gorliwa luteranka, która desperacko próbuje utrzymać gospodarstwo odziedziczone po przodkach, jej córka Matylda i kuzynka Janka Kaczmarek. Życie na prowincji wydaje się toczyć niezmiennym rytmem wyznaczanym przez pory roku, jednak wielka polityka wkracza w dylematy dnia powszedniego. Ideologia faszystowska i zbliżająca się wojna nie pozostają bez wpływu na relacje międzyludzkie i budzą poczucie zagrożenia. Mieszkająca w Berlinie szwagierka Marty usiłuje przeżyć i uchronić swoje dzieci przed prześladowaniami nazistów, a Janka Kaczmarek zostaje aresztowana i oskarżona o szpiegostwo. Wreszcie pewnego dnia wojna puka do drzwi samych Neumannów i nie oszczędza im niczego.

Autorka plastycznie i wiarygodnie odtwarza rzeczywistość prowincji i stolicy III Rzeszy w przededniu i w trakcie drugiej wojny światowej, ukazując przy tym ludzki los w uniwersalnym ujęciu.



Książnica

www.publicat.pl

ISBN 978-83-245-8272-3

EAN 9788324582723

U.KS.OBY002.1.01.01

